Lwowska Narodowa Naukowa Biblioteka Ukrainy imienia W. Stefanyka

NAUKOWY DZIAŁ CZASOPISM IM. MARJANA I IWANNY KOCIW

Ż 39607

PRZYJACIEL MŁODZIEŻY:

pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

R.1900 nr 1-24

LWÓW

Ж IV 92
39607
1900

167-153



Rok II. — 1900.

Z 66 rysunkami w tekście, dwoma kartonami

i mapą W. Ks. Poznańskiego.

107153

WE LWOWIE.

CZCIONKAMI DRUKARNI LUDOWEJ PRZY PL. BERNARDYŃSKIM L. 7.

1900.

IK IV 39607

SPIS RZECZY:

Str

Z PIŚMIENNICTWA PIĘKNEGO.

A. Poezye.

Duchińska S., Do młodzieży polskiej . . . 73
Gliński K., Do Betleem 223
Gomulicki W., Deszcz liści 242
Górski M. K., Z podróżnej teki 157
wg., Dwa sonety: Na falach, — Viator sum. 51
— Noc zimowa 266
Hugo W., Ekstaza 87
Z „Kalewali“ (Żal Ainy. — Smutny powrót . 142
Kasprowicz J., Chór z „Baśni nocy świętojańskiej“ 228
Konarski St. ks., Adversa cum fortuna. (Tłumaczenie *Fr. Kniaźnina*). 218
Lemański J., Polowanie. Bajka 206
Lenau M., Niagara. 189
Nitowski J., Kochaj! 111
Oksza W., W tyczniową noc 27
Z „Pieśni o Rolandzie“ 98
Pieśni ludowe w przekł. *E. Porębowicza*:
— 1) Dwie siostry (wersya z wysp Faroër) 4
— 2) Nurek (piosnka lud. franc.) . . 41
— 3) Trzy krzesła białe (piosnka lud. prowans.) 63
Miriam (*Przesmycki Z.*), Z „Sonetów samotnika“ 159
Rossowski St., Jesienne scherzo 222
Vrchlicky J., Motyw z Krzywoklatu (z podob. poety) 16

B. Proza.

Coppeé Fr., Nona, powiastka 37
Czapelski T., „Spisek“ studencki. . . . 14
France A., Pierrefonds . . . . . 5 i 16
Mrsztik W., W maju. Obrazek wiejski . . 97

Str.

Multatuli, Życie na wyżynach. (Z żuławskiego) 171
Potapienko M. J., Świat cały przycisnąć do piersi. Powiastka rosyjska 109 i 137
Przyjaciele aż do grobu. Oryginalna powiastka chińska. . . . . 150 i 181
Sienkiewicz H., Na Olimpie. Legenda . . 49
Brolis (*Szołkowski M.*) Czarnoksiężnik. Baśń wyjęta z kronik XVII w. 76, 85 i 99
Świętochowski A., Lew kamienny. . . 225 i 237
Tołstoj M. L., Bóg nie rychliwy, ale sprawiewiedliwy. Powiastka . . . 197
Złoty toporek. Baśń łotewska 61

Z dziejów ojczystych.

Fijałek J. ks., Wiek pierwszy, wiek złoty (wszechnicy krakowskiej, z 3 rys.) 122
Urywek z pamiętnika *Halki* o l. 1860—64 (z ryć. „Maciek w powstaniu) . 25
Kętrzyński St., Gal-Anonim, pierwszy kro-
— nikarz polski. 139
Krczek Fr., Franciszek Smolka (z podob.) 2 i 13
— Z życia żaków krakowskich w dawnych czasach 134
Piwowarski A., Wspomnienia ucznia wszechnicy warsz. z r. 1830. 256 i 261
Schreiber W., Przyrodnicy na uniwersytecie krakowskim 132
Szkoły jezuickie w Rzeczypospolitej . . . 219
Winiarz A., O sejmach w Polsce 51, 78, 91, (sprost. 108) 113, 157, 204, 229, 241 i 270.
Wojciechowski K., Dzieje wszechnicy Jagiellońskiej od wieku XVI. do chwili obecnej . . . 127

Str.

Z życia umysłowego u swoich i obcych.

Amborski J., Szkice z dziejów piśmiennictwa francuskiego I—III. 54, 63, 79, 92 i 102.
Duchińska S. 83
Gubrynowicz Br., Henryk Sienkiewicz (z podobizną) . 74, 101, 111, 164
Gbr. Br., Z najnowszej naszej literatury dramatycznej:
I. L. Rydla „Zaczarowane koło“ . 6
II. J. Nowińskiego „Biała gołąbka“ 27
Krczek Fr., Jan Ruskin (z podob.) . . 30 i 43
Nowe książki . . . . 33, 59, 95, 118 i 246
Pini T., Lud w poezyach M. Konopnickiej (z podob. poetki). . . 17, 41, 64 i 87
— Obrazki miejskie W. Gomulickiego 249 i 277
Świadek, Uroczystości krakowskie . . . 146
J. A. Święcicki, ... 118
T. S., Mark-Twain. 266
Wojciechowski K., Stanisława Konarskiego krótki rys żywota . . 214

Z estetyki i filozofii.

Bobrów E., Rozmaite typy światopoglądu etycznego 31, 105, 169, 242 i 265
Matejki „Szkice z dziejów cywilizacyi w Polsce“ . . . . . 106 i 178
O Rubensie (z ryć.) 11
Szkice z zakresu estetyki:
V. O rozwoju w sztuce (z *H. A. Schmida*) 55 i 67
VI. Barwy w malarstwie (z *W. Seidlitza*) 166 i 207
„Ukrzyżowany“ A. van Dycka (z ryć.) . . 95

Z ludoznawstwa i geografii.

* * *, Listy z podróży na Wschód daleki. Morze Śródziemne, Aden, Indye, Cejlon, Syngapur, Chiny. Z 19 rycinami. 153, 184, 201, 226, 238, 254, 263 i 274
O języku chińskim 190
Krczek Fr., Finlandya i Finowie:
I. Kraj, mieszkańcy i ich dzieje 68
II. Język, poezya lud.: Kalewala i Kanteletar . . . . 115 i 141
Obszar ziemi niezbadany 178
Opisanie W. Ks. Poznańskiego (z mapą) 206, 232, 241, 268 i 281
(*m. r.*), Z Litwy (z rys.) . . . . . 44 i 56
W. Leopold, Postojna — jezioro cyrknickie — odmieniec (z 3 widok.) . . . 143
Warmski M., Afrykański teatr wojny (z 2 rys.) 8 i 19

Str.

Z nauk przyrodniczych i techniki.

B. Abakanowicz 222
Błażek B., Czy musimy spać? . . . 93 i 116
Zadanie krwi w ustroju 171
O krążeniu krwi 244
Dom zdrowia dla młodzieży w Zakopanem. . 178
Największy dom na świecie 118
Fauna pokojowa 195
Gąbki 35
Nowoczesny hotel amerykański 35
Krause E., Gawęda o cieple . . . . 45 i 69
Pakrowski K., Główne metody astronomii fizycznej . 173, 191, 209 i 232
Romer E., O wieku ziemi . . 21, 32, 80 i 103
Szkodliwość palenia tytoniu 119
Temperatura w wysokich warstwach atmosfery 118

Pogadanki *Kropki* 10, 34, 58, 81, 105, 135 i 175
Z całej Polski (*K. L. W.*) 21, 46, 70, 93, 117, 176, 193, 234, 257 i 282
Wymiana kart z widokami 48, 60, 84, 120, 147 i 282.
Łamigłówki, zagadki i t. p. 12, 24, 36, 48, 60, 107, 120, 147, 179, 196 i 224.
Konkursy: I. (krajoznawczy) 1, 119.
II. (mickiewiczowski) 83 i 211.
Zagadnienia naukowe (nry 56—155) stale na końcu nru.
Skrzynka pocztowa Redakcyi i Administracyi w każdym nrze.
Do Czytelników 1 i 149.

SPIS RYCIN.

Alchimowicz H., Przy świetle księżyca . . 205
Autograf wiersza A. Mickiewicza p. n. „Podróżni“ 253
Barącz T., Kościuszko (rzeźba) 64
„ Posąg Kościuszki w Chicagu. . 244
Batowski St., Wieczornica 52
Dąbrowska St., Krajobraz zimowy . . . 53
Dębicki St., Królowa Jadwiga. 124
„ Wojciech Blar z Brudzewa . . 128
Fałat J., Typ Litwinki 40
Z gwiazdą betleemską. 276
Harasimowicz M., Stawisko 202
Leon XIII. na przechadzce 65
Matejko J., Pierwszy sejm w Łęczycy . . 100
„ Wpływ wszechnicy na kraj w XV. wieku 125
„ Elekcya 156

Str.

Matlakowski W., Sosrąb w starej chacie góralskiej 164
Obst S., Wodospad Żinki 162
Rygier T., Chrystus 80
Sozański M. A., Maciek w powstaniu . . 28
„ Z jarmarku w Ułaszkowcach 204
Stachiewicz P., Przed bitwą 252
Stanisławski J., Wieczór 113
Stankiewiczówna Z., Noc 56
Styka J., Fragment z „Golgoty“ 89
Szerner W., Huculki w drodze 160
„ W żniwa 200
Targ na wełnę w Warszawie 203
Teatr miejski we Lwowie 233
Witkiewicz St., Mgła wiosenna 101
„ Kurniawa 157
„ Zagroda góralska. . . . 163
„ Drzwi zagrody góralskiej . 164
Wywiórski M. G., Z polowania 201
Zuber J., Pieśń o opryszkach 161

Podobizny.

A. Durskiego 68
M. Konopnickiej 88
J. Ruskina 29
H. Sienkiewicza (pędzla K. Pochwalskiego) . 77
Fr. Smolki 4
J. Szczepanika 268
J. A. Święcickiego (pędzla St. Lentza) . . 112
J. Vrchlickiego 16

Widoki.

Z Adenu:
Przystań 152
Chłopcy somalijscy, Nurek somalijski. . . 153

Str.

Z Cejlonu:
Kandy 184
Palma talipotowa 185
Oracze syngalscy 186
Chata syngalska 187
Świątynia zębu Buddhy 188

Z Chin:
Amoj (Kulanseu) 229
Chińczycy przy grze 231
Dżunka chińska 230
Makao 228
Pagoda w Nankinie 265
Osada nawodna. 240
„Mały sierota“ na Jancekianie 277
Sziwujjen 264
Willa mandaryna 241

Z Indyi:
Parsowie 155
Cmenterzysko parskie 154

Z Ojcowa:
Maczuga Herkulesa 41

Z Postojny:
Zasłona w grocie 140
Kazalnica 141
Most. 144

Z Transwalu:
Kopalnie dyamentów w Pretoryi . . . 7 i 15

Na osobnych arkuszach.

I. *P. Rubensa* „Synowie mistrza“.
II. *A. van Dycka* „Ukrzyżowany“.
III. Mapa W. Ks. Poznańskiego.

Rok II. We Lwowie 1. stycznia 1900. Nr. 1.

ADRES
Redakcyi i Administracyi:
LWÓW,
pl. Bernardyński l. 7.
(Drukarnia)
Redaktor przyjmuje w sobotę od godz. 5—6. wieczorem.

Przyjaciel młodzieży

PISMO
dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16.
Przedpłata
z przesyłką pocztową
roczna 5 koron
półroczna 2 kor. 50 h.
ćwierćroczna 1 kor. 50 h.
Numer pojedyńczy
25 halerzy.

Dopóki człowiek czuje piękno i zdolny jest do uniesień, póty tylko jest młody. *J. I. Kraszewski.*

DO CZYTELNIKÓW.

Programy huczne, szumne frazesy — to rzecz nie nasza. Pod tym względem wolimy za wskazówką piewcy „Wiesława“ nosić garstką ziemię w nadziei doczekania się góry. I widocznie droga to dobra, skoro po roku pracy cichej z jednej strony stoimy wobec licznego grona młodzieży, która uznaje nasze usiłowania poczciwe, z drugiej zaś wywołaliśmy współzawodników na tem polu. To dodaje nam tylko bodźca do tem usilniejszego działania w tym kierunku nadal. Chcemy być prawdziwymi „przyjaciółmi młodzieży“. Porzućcie więc, młodzi Czytelnicy nasi, lęk i formy zbyteczne, a z całą ufnością wynurzajcie się przed nami ze swemi rojeniami i marzeniami, snujcie przed nami „swych uczuć przędzę“, nie pozwalajcie więdnąć w ustroniu „swych uczuć kwiatom“, nie trawcie serca ogniem niepodzielanych pragnień i tęsknoty samotnej! U nas, starszej braci Waszej, która przecie walczy o tesame ideały, pracuje dla tejsamej Matki - Ojczyzny, znajdziecie zawsze posłuch chętny, radę szczerą i współczucie niekłamane. Gdzie pismo nie starczy, śpieszcie osobiście w progi naszej redakcyi! Wszak na to otwieramy je w pewnych stałych godzinach.

Ze swej strony wprowadzamy celem ożywienia wymiany myśli między czytelnikami a redakcyą i dla lepszego poznania ich indywidualności zawody o nagrodę na pewne tematy ogólniejsze. Pierwszą próbę robimy w nrze niniejszym. — Wpływ otoczenia na człowieka jest rzeczą, uznaną dziś powszechnie. Ale nie każdy zdaje sobie należycie sprawę z tego pewnika, nie stara się zmierzyć kierunku i doniosłości tego wpływu i zastosować swego postępowania odpowiednio do warunków.

Co zaś może wpływać donioślej na człowieka nad ziemię ojczystą z jej dziejami i nadziejami?

Żądamy więc opisu krajoznawczego. Warunki są następujące: Każdy przedpłaciciel „Przyjaciela młodzieży“ niechaj opisze jak najdokładniej miejscowość, którą zna najlepiej, bądźto rodzinną, bądź też tę, w której wychował się lub wychowywa, podnosząc przedewszystkiem szczegóły, oddziałujące najsilniej na jego umysł i serce. Dzieje, losy, stan obecny wioski czy miasta, lub ich części, czerpane jednak z tradycyi ustnej lub z zabytków zachowanych, przystęp... każdemu, a nie z opisów nowoczesnych, powinny wchodzić w ramy pracy. Wzorem może być szkic „Pierrefonds“, podany w nrze niniejszym. Forma i rozmiary dowolne. Dzień ostateczny nadsyłania prac (jeśli pocztą, to opłaconych należycie) — 15. lutego 1900 r. Cokolwiek będzie ciekawego w opisach nadesłanych, spożytkujemy odpowiednio w piśmie, a prace, uznane za najlepsze, ogłosimy drukiem. Wyznaczamy nadto trzy nagrody na prace najlepsze: I. *Glogera* Geografię historyczną ziem polskich; II. *Skarbka* Dzieje Księstwa Warszawskiego; III. *Schnür-Pepłowskiego* Studya historyczne.

Redakcya.

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
ІН УРСР
№

Franciszek Smolka.

Znaczne posługi czynił Rzeczypospolitej,
Z cnotliwych spraw swych dostał sławy znamienitej,
Był wzięty u wszech ludzi, niósł pierwsze urzędy,
A według przystojeństwa zachował się wszędy;
W tej sławie i mniemaniu przyszedł ku starości,
Którą on snadnie nosił krom żadnej przykrości;
Nakoniec pełen wieku i przystojnej chwały
Sam się prawie położył, jako kłos dostały.

Takie świadectwo książę poetów naszych wystawił hetmanowi Janowi Tarnowskiemu w r. 1561. Po trzech z górą wiekach możemy je powtórzyć wobec świeżej mogiły Franciszka Smolki. Jeśli wypadałoby co dodać do wierszy powyższych, to chyba uwagę, świadczącą li na korzyść wielkiego nieboszczyka: „niósł pierwsze urzędy“, ale takie tylko, na które powoływały go wolny wybór i zaufanie ziomków i obcych, przyjaciół i wrogów. Nie przyjmował odznaczeń, jedynie tytuł radcy tajnego z konieczności. Zresztą nie dbał o godności, pomny słów Jana z Czarnolasu, że

Cnota (tak jest bogata) nie może wziąć szkody,
Ani się też ogląda na ludzkie nagrody;
Sama ona nagrodą i płacą jest sobie
I krom nabytych przypraw świetna w swej ozdobie...

A ten umysł, który w nim to wszystko sprawował,
Tak się był dobrze cnotą zewsząd obwarował,
Że go żadna fortuna nigdy nie pożyła,
Bądź łaskawie, bądź mu się inaczej stawiła.

Gdybym chciał tak dalej przytaczać to, co Kochanowski mówi o wiekopomnym zwycięzcy obertyńskim, a co można odnieść z pominięciem okoliczności ubocznych do śp. Smolki b e z z m i a n y, musiałbym powtórzyć cały poemat „O śmierci Jana Tarnowskiego“. Nie uczynię tego. Lecz i to, co przytoczono, wystarczy do wykazania, że w tym „wielkim starcu“ ubyła nam jedna z szeregu świetlanych postaci dziejów naszych, ubyło ucieleśnienie ideału Polaka, niezmiennego mimo tylu wieków, a pozostał wzór przepiękny do naśladowania — jego życie. Toż poznajmy je choć pokrótce! [1])

Urodzony 5. listopada 1810 r. z ojca Wincentego, b. rotmistrza wojsk austr. i kontrolora przy żupie solnej w Kałuszu, i z matki, Anny Némethyównej, latorośli węgierskich rokoszan, wyrósł pod wpływem tradycyj rodzinnych na młodzieńca, gorąco miłującego Ojczyznę. Właśnie kończył studya prawnicze, gdy wybuchło powstanie przeciw Moskwie. Poszedł za głosem obowiązku. Niestety nie zdążył już na pole walki. Właśnie bowiem wyparto oddział Dwernickiego do Galicyi. Po paru miesiącach wstąpił więc do służby rządowej przy t. zw. fiskusie (prokuratoryi skarbu). Zdolności i sumienność w wypełnianiu obowiązków zyskały mu uznanie przełożonych, którzy rokowali mu świetną karyerę urzędniczą. Zawiódł ich nadzieje. Niespodzianie 24. marca 1824. r. wystąpił z urzędu mimo stanowczego oporu swego naczelnika. Dlaczego to uczynił? Oto nie mógł pogodzić obowiązków urzędnika austryackiego z obowiązkami, jakie nań wkładało przystąpienie do patryotycznego spisku. Do spisku zaś musiał przystąpić, bo widział w nim jedyną naówczas drogę do urzeczywistnienia najświętszych ideałów narodowych choć w perspektywie dalekiej. Poświęcenie widoków osobistych dla sprawy narodowej i prawość charakteru przy niepospolitej trzeźwości sądu i stanowczości wysunęły wnet b. praktykanta fiskusa, a obecnie dependenta adwokackiego, na czoło tajnego stowarzyszenia we wschodniej części Galicyi. Na tem stanowisku hamował niewczesne zapędy wysłanników wychodźtwa polskiego, którzy parli do zbrojnego powstania mimo warunków, wcale nie sprzyjających; natomiast kładł nacisk główny na pracę nad uświadomieniem ludu, który widział wówczas wrogów w szlachcie dzięki poduszczaniom nasłanych biurokratów. „Dążenie do swobód politycznych, rozbudzanie ducha narodowego, reformy społeczne, ekonomiczne i administracyjne miały być celem Stowarzyszenia, a środkiem, prowadzącym do oswobodzenia Polski.“ Niestety niektórzy spiskowcy okazali za mało hartu duszy, inni nawet zdradzili sprawę. Skutkiem tego Smolka znalazł się w więzieniu 29. sierpnia 1841., a więc w chwili, gdy przy boku Leokadyi Beckerównej, niedawno poślubionej mu gorącej patryotki, począł sobie zakładać gniazdo rodzinne. Mimo czteroletnich męczarni fizycznych i duchowych nie uciekł się

[1]) Nie posiadamy — niestety — całkowitej i wyczerpującej monografii o Smolce, bo dzieło K. Widmanna p. n. „Franciszek Smolka, jego życie i zawód publiczny“ (We Lwowie 1886) sięga li po rok 1849, choć liczy 991 str.; zresztą grzeszy rozwlekłością i bałamutnem przedstawieniem rzeczy mimo wielkiej wartości materyału, w niem zawartego.

do żadnych zeznań na czyjąkolwiek szkodę, owszem uratował wiele osób swem milczeniem. Ostatecznie w rocznicę ścięcia Ludwika XVI. (21. stycznia 1845.) ogłoszono jemu i 12 innym spiskowcom, między którymi był też późniejszy książę biskup krakowski, Albin Dunajewski, wyrok śmierci, a z nim równocześnie ułaskawienie. Skutki zasądzenia pozostały jednak. Smolka stracił tytuł doktora i prawo wykonywania adwokatury, a temsamem źródło utrzymania siebie i rodziny. „Otaczała go jednak aureola patryotyzmu i poświęcenia dla sprawy narodowej, aureola zdolności do rozwiązywania największych, najważniejszych zadań w życiu publicznem". Toteż gdy Centralizacya Towarzystwa demokratycznego, urzędująca na emigracyi, wysłała Edwarda Dembowskiego do Galicyi celem wywołania ruchu zbrojnego w r. 1846., emisaryusz ten ofiarował Smolce naczelny kierunek powstania we Lwowie i na Rusi. Smolka odmówił, bo nie wierzył w powodzenie bez udziału ludu, a wiedział, że lud nie weźmie udziału w powstaniu. Gdy zaś Dembowski zagroził mu szubienicą, nie cofnął się w przeświadczeniu, że odmową swą uratuje naród od ofiar bezpożytecznych. Jakoż zapobiegł wybuchowi we Lwowie i uratował miasto od katastrofy, która wywołała rzeź szlachty w Galicyi zachodniej, śmierć Dembowskiego i stracenie Wiśniowskiego [2]).

Zdrowie Smolki, nadwerężone więzieniem długoletniem, upomniało się tymczasem o swoje i zmusiło go do wyjazdu zagranicę na czas dłuższy. Po powrocie cofnął się w zacisze domowe, lecz nie na długo.

Wypadki roku 1848, owej „wiosny ludów" [3]), wyprowadziły go na arenę szerszą życia publicznego. Powstanie Włochów przeciw Austryi, zaprowadzenie republiki we Francyi, rozruchy marcowe (13. i 14.-go) w Berlinie i Wiedniu, obudziły w ludach, zamieszkujących państwo austro-węgierskie, dążenie do wolności choć niebardzo jeszcze określone co do celu i środków. Najlepiej jeszcze pod tym względem przygotowanymi były umysły w Galicyi dzięki spiskom poprzednim. Skoro więc wiadomość nadeszła z Wiednia o zwycięstwie rewolucyi z 13. marca, zaraz koło, składające się ze Smolki, R. Heferna, F. Ziemiałkowskiego i kilku innych dawnych przewódców w spiskach, ułożyło adres do tronu, w którym wyłuszczono żądania kraju ze stanowiska polskiego, ogólnonarodowego. Między innemi żądano w adresie zniesienia wszelkiej różnicy prawnej i politycznej w całem społeczeństwie, a więc przedewszystkiem poddaństwa i pańszczyzny; zagwarantowania narodowości polskiej i wprowadzenia języka polskiego do szkół, sądów i urzędów politycznych; obsadzenia urzędów krajowcami, utrzymywania w kraju wojska krajowego pod komendą krajowców i nadania mu organizacyi narodowej. Jednym z głównych autorów tego programu, którego jasność i dojrzałość przewyższa wszystkie adresy wiedeńskie, był właśnie Smolka. On też należał do deputacyi, która wręczyła adres, pokryty tysiącami podpisów, gubernatorowi Stadionowi. Utworzono we Lwowie 14. kwietnia „Radę narodową". Nie mogło w niej braknąć Smolki. A gdy za pobudką Czechów zwołano do Pragi zjazd słowiański na 31. maja, Smolka udał się tam jako wysłannik „Rady"; mimo że sprzyjał federacyi, nie brał jednak udziału w zjeździe wobec jego kierunku, niezgodnego ze stanowiskiem polskiem, i wyjechał 8. czerwca do Wiednia w misyi politycznej. Tu niespodziewanie otrzymał wiadomość, że wybrano go w Lubaczowie posłem do sejmu wiedeńskiego (tzw. rajchstagu), który cesarz zwołał na 10. lipca celem ułożenia ustawy zasadniczej i konstytucyi dla państwa. Ucieszony tym dowodem zaufania, wystosował do wyborców swych manifest, prawdziwe wyznanie wiary politycznej, któremu pozostał zawsze wiernym, a którego szczyt stanowi zakończenie: „Miłość nieograniczona dla drogiej nam Ojczyzny, połączona z oględnością jak najsumienniejszą, będzie dla mnie w tem trudnem zadaniu przewodnią gwiazdą. Jeżeli wszyscy w zgodzie braterskiej połączeni za jej przewodnictwem pójdziemy, zaprowadzi nas, da Bóg, do przystani szczęścia drogiej naszej Ojczyzny".

W sejmie młody nadporucznik gwardyi narodowej (p. ryć. s. 4), w której mundurze występował często w Wiedniu, zwrócił na siebie uwagę powszechną nietylko swymi sumiastymi wąsy

---

[2]) O wypadkach 1846. r. prw. książkę dra K. Ostaszewskiego-Barańskiego „Krwawy rok".

[3]) O wypadkach tego roku prw. książkę J. Starkla „Rok 1848" (We Lwowie 1899).

i prześliczną jasną brodą, lecz także poważnemi rozsądnemi wystąpieniami w obronie sprawiedliwości i wolności wszystkich ludów. Chciano go wybrać nawet kwestorem. Nie przeczuwał, że wkrótce wypadnie mu piastować godność o wiele ważniejszą, a nawet przez czas pewien skupiać w ręku swojem losy całego państwa. Mianowicie co miesiąc wybierano ponownie prezydenta sejmu. Przy trzecim wyborze 14. września Smolka otrzymał 221 gł. na 288 głosujących. A były to czasy, których temperatura podnosiła się gwałtownie, póki wybuch nie nastąpił. Trzeba tu było powagi niezwykłej i krwi zimnej sporo wobec wszechstronnych ataków na sejm, zwłaszcza ze strony kamaryli dworskiej, która starała się wydrzeć ludowi wszystkie jego zdobycze konstytucyjne choćby kosztem przelewu krwi. Te warunki posiadał Smolka i to zapewniło mu w dziejach roku 1848. miejsce pierwszorzędne. Gdy już wszystko się rozprzęgało, gdy dwór schronił się do Ołomuńca, gdy ministrowie uciekali z Wiednia chyłkiem, gdy ks. Windischgraetz otoczył stolicę pierścieniem żelaznym, gdy posłowie rozbiegali się z miasta, a motłoch wznosił barykady, Smolka ze spokojem przewodniczył sejmowi, który ogłosił się w permanencyi, i starał się o pokojowe zakończenie sprawy. Przytem nie oszczędzał swej osoby wcale. Swej obrony ministra Latoura, znienawidzonego przez Wiedeńczyków, omal nie przypłacił życiem; również niebezpieczeństwo życia groziło mu, gdy poprzed wojsko, atakujące gwardyę, przemykał się do płonącego budynku, by ratować papiery kancelaryi sejmowej. Taką samą obojętność okazywał wobec pokus ministerstwa, które pragnęło tego nowoczesnego Katona pozyskać dla swych planów reakcyjnych teką ministeryalną i krociowemi sumami, lub przynajmniej usunąć z Wiednia obietnicą prezydentury apelacyi. Smolka oparł się groźbom i prośbom i spełnił obowiązek swój do ostatka. To naturalnie było nie na rękę wstecznikom, którzy w sejmie, przeniesionym tymczasem do Kromieryża, zyskali większość dzięki dziwnej polityce Czechów. Użyto wszelkich sposobów celem obalenia Smolki przy wyborze prezydyum 22. listopada. Sztuczka jednak udała się dopiero w miesiąc później. Ale po miesięcznej prezydenturze Strobacha nawet wrogowie Smolki głosowali nań jako na prezydenta i odtąd przewodniczył sejmowi nieustraszenie aż do rozbicia rajchstagu zapomocą wojska 7. marca 1849. Wraz z tem rozbiciem narzucono ludom nową konstytucyę z 4. marca, która długo pozostała li na papierze. Konstytucyę podpisał już cesarz Franciszek Józef I., który dnia 2. grudnia 1848. objął rządy po zrzeczeniu się tronu przez ces. Ferdynanda.



(Dok. nast.)

Dwie siostry.

(Wersya z wysp Faroër).

„Komn tveâr Bilar rujandi vi Geâr“

Przyjechali dwaj panowie
— A obaj cwałem —
Do młodszej siostry swatowie:
Swaty jesteśmy dziewczyno,
— A obaj cwałem —
Przyjmcież dobrze swaty!

Młodszą siostrę poswatali,
Starszej siostry zaniechali.

Młodsza umie płótno tkać,
Starsza umie trzodę gnać

Młodsza umie złoto prząść,
A starsza ni wełny trząść.

Starsza do tej młodszej mówi:
„Siostro, chodźmy ku brzegowi!“

— „Po co mamy iść nad morze?
Bielizna czysta w komorze.“

„Będę z tobą się kąpała,
Abym jak ty wybielała.“

— „A kąp się ty do wieczora,
Będziesz dziś, jak byłaś wczora.

Zbielej ty jak śnieg na glebie,
Mój kochanek nie dla ciebie.“

Młodsza usiadła na skale,
Starsza ją strąciła w fale.

Młodsza pręży białe dłonie:
„Ratuj siostro, siostra tonie!“

– „Nie pomogą próżne jęki,
Ustąp mi kochanka ręki.“

„Oddam wszystko co posiadam,
Lecz kochankiem mym nie władam.“

A wtem wicher południowy
Porwał ciało w nurt wirowy.

I znów powiał wiatr szeroki,
Na wybrzeże poniósł zwłoki.

Aż wiatr wschodni na ostatku
Rzucił ciało o bort statku.

Trzej rybacy tam się wieźli,
W wodzie martwy trup znaleźli

Wzięli parę ramion sztywną,
Harfę z nich złożyli dziwną.

Wzięli włosy złotolśniące,
Skręcili z nich struny brzmiące.

„Idźmy z harfą na wesele!
Odprawia się w blizkiem siele.“

I usiedli w kącie sali,
W dźwięczną harfę swą zagrali.

Powiadała pierwsza stróna:
„Moja siostra — narzeczona.“

Druga rzekła takie słowa:
„Siostra siostry swej katowa.“

Trzecia tak strwożyła gody:
„Mój kochanek — sam pan młody.“

Panna młoda ogniem płonie:
„Przykry dźwięk w tej harfy łonie.“

Pannę młodą krew zalewa:
„Przykrym głosem harfa śpiewa.“

— „Skoro widzim, jak się dręczy,
Stróna czwarta niech zadźwięczy!“

Stróna jeszcze nic nie rzekła,
Panna młoda już uciekła.

Coraz głośniej harfa brzmiała,
Panna młoda wtem skonała.

Przełożył *Edward Porębowicz*



Pierrefonds.

Napisał

Anatol France,

członek Akademii francuskiej *).

Dziwnie to miła prowincya to Valois, które przebiegam w tej chwili i którego chętnie całowałbym ziemię; a ziemia ta to prawdziwa karmicielka naszego ludu.

Każde pokolenie zostawiło tu swoje piętno, a w końcu jest to niby relikwiarz ojczyzny w jakiemś obramowaniu młodem i wdzięcznem. Czuję, że moją jest ta gleba, którą obsiewali moi ojcowie. Bezwątpienia wszystkie prowincye Francyi są zarówno francuskie i nierozerwalne zjednoczenie zupełnie dokonało się między temi prowincyami, które tworzyły państwo pierwszych królów-mnichów z trzeciej dynastyi i temi, które weszły ostatnie w ten święty związek. Wolno przecież staremu Paryżaninowi, będącemu archeologiem, kochać wyjątkową miłością tę Ile de France i ziemie sąsiednie, szanowne gniazdo naszej całej Francyi. Tam to powstał ten rozkoszny język, język *d'oïl*, język Amyot'a i La Fontainea, język francuski. Wkońcu to moja ojczyzna w ojczyźnie.

Jestem w Pierrefondzie, w pokoju wynajętym mi przez chłopów — pokoju, zaopatrzonym w szafę orzechową i łóżko o firankach z białej bawełnianej tkaniny. Na wązkiej płytce marmuru, pokrywającej kominek, wieniec panny młodej pod szklanym dzwonem. Na ścianach, bielonych wapnem, w małych czarnych ramkach kolorowane obrazki z czasów jeszcze monarchii lipcowej. Wspaniałomyślność Napoleona względem pana de Saint-Simon z tym podpisem: „Książę de Saint-Simon, emigrant francuski, wziął (*sic*) za broń i, skazany na śmierć, miał już śmierć ponieść, gdy jego córka przybiegła prosić o ułaskawienie Napoleona, który jej rzekł: Daruję życie ojcu pani i za całą karę zostawiam mu wyrzut sumienia, że podniósł broń przeciwko własnej ojczyźnie“. Pan młody i Panna młoda po obu stronach

*) Jest to wyjątek z dziennika Piotra Nozière'a, bohatera najnowszego dzieła France'a „Pierre Nozière“. W jednym z najbliższych nrów podamy szkic działalności piśmienniczej tego wybitnego powieściopisarza francuskiego. (*P. R.*)

źwierciadła nad kominkiem; Pasterka Estella ze swą laską pasterską, którą owija różowa wstążka; Józefina z feronierą na czole.

Ten rodzaj obrazów zaginął; zabiła go fotografia. Mam tu właśnie naokoło siebie ze dwadzieścia małych fotograficznych portretów i ludzi o przygładkanych włosach i oczach wytrzeszczonych; kuzynów i kuzynek (to widoczne); dzieci, skrzywionych i mających oczy zamknięte. Wieśniacy już nie kupują Estelli pasterki, lecz każą się fotografować. Jedyne ryciny nowe, które wiszą na ścianach pokoju, to poświadczenia odbycia pierwszej komunii, podpisane przez proboszcza; przedstawiają szeregi chłopczyków i dziewczynek, klęczących przed ołtarzem, a Ojciec Przedwieczny błogosławi je z na pół otwartego nieba.

Z okna widzę staw, lasy i zamek, a o sto kroków dalej gaj bukowy, śpiewający przy najmniejszym powiewie wiatru. Słońce, które go oblewa, sieje po ścieżkach plamki świetlane. W tych gajach rosną maliny, ale trzeba umieć ich szukać: dzika malina o liściach zielonych z jednej strony, a białych z drugiej, kryje się po skrajach ciepłych polanek.

Po lasach mnóstwo dzikich kwiatów które przenoszę nad kwiaty pielęgnowane; subtelniejsze mają kształty i milszy zapach, a ich nazwy są wdzięczniejsze.

Na lewo wznosi się wspaniała kamienna budowa zamku pierrefondzkiego; prawdę mówiąc ten zamek jest dzisiaj tylko olbrzymiem cackiem. Za czasów swej młodości „był wszelkiej mocy pełen i opatrzon w potrzeb wszelką". Nieszczęściem dla niego wynaleziono przebrzydły proch strzelniczy, zanim wykończono wszystkie części zamku.

Zrazu zniósł pogardliwie grad pierwszych kul żelaznych i kamiennych; lecz w początkach XVII. wieku ogień trzydziestu dział prędko dokonał wyłomu i rozwalił wieże. Dla nas, których postęp cywilizacyi oswoił z armatami Kruppa, wieże zamku w Pierrefondzie wydają się naiwnemi.

Każda z nich na swych ścianach nosi postać dzielnego rycerza. Ośm ich jest, a mianowicie: Cezara, króla Artusa, Aleksandra, Jozuego, Hektora, Judasza Machabejczyka i Godfryda z Bouillonu. Tych ośmiu rycerzy różnych wieków i krajów, ale każdy z dobrego domu i każdy waleczny żołnierz, nosi jeden i ten sam strój, który jest strojem rycerza z początku XV. wieku.

Podobni są, w obramowaniu z liści ostrokrzewu, do figur z talii starych kart. „Mistrz" rzeźbiarz, który wykuł te postaci, nie troskał się wcale o barwę lokalną i odział trojańskiego Hektora jak Godfryda z Bouillonu, a Jozuego jak Ludwika Orleańskiego. W owym czasie dr. Schliemann nie poszukiwał jeszcze na trojańskiej równinie uzbrojenia pięćdziesięciu synów Pryama. Ludzie nie byli archeologami i nikt sobie nie suszył głowy nad wykryciem, jak żyli niegdyś przodkowie. Ta troska jest właściwością naszego wieku. Usiłujemy przedstawić Hektora w knemidach i nadać osobom podaniowym lub historycznym ich prawdziwy charakter.

(Dok nast.)

Z najnowszej naszej literatury dramatycznej.

I.

L. Rydla „Zaczarowane koło" [1]).

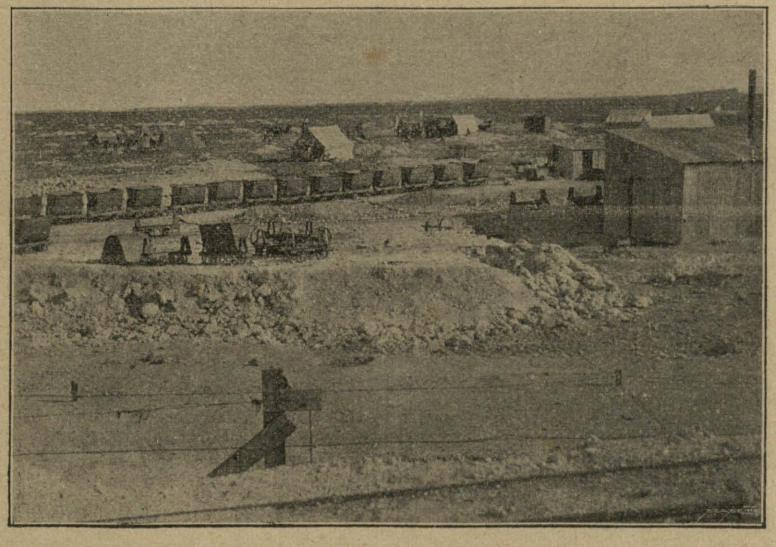
Epika i liryka polska posiada w swej skarbnicy klejnoty nieoszacowanej wartości; nie może się niestety pochlubić nimi polski dramat, skromny i ubogi w porównaniu ze swemi siostrzycami. Z utęsknieniem więc i niecierpliwością wyczekuje cały nasz ogół chwili, w której się pojawi talent, mogący nas obdarzyć tak długo wyczekiwanem arcydziełem; dotychczas jednak zapowiadane arcydzieła nie zyskały dłuższej nad kilkutygodniową sławy. I najnowsze utwory, o których zamierzam mówić, nie dały nam jeszcze wielkiego dzieła, co potrafi olśnić swą pięknością, wzbudzić otuchę i wiarę w siły niezmożone, użyźnić na nowo społeczność całą, — lecz ujawniły kilka talentów pisarskich, które przy pracy wytrwałej mogą przysporzyć chwały poezyi naszej dramatycznej Na czoło tej nielicznej garstki wysunął się młody poeta — Lu-

---

[1]) Wystawione z wielkiem powodzeniem w Krakowie i Warszawie, a ogłoszone w *Bibliotece warsz.* z r. 1899. (*P. R.*)

cyan Rydel, autor „Zaczarowanego koła“, baśni dramatycznej w 5 aktach.

Z legend ludowych wysnuł młody autor całe tło dramatu. Oto zaraz w akcie I. widzimy, jak koło chatki dziadka leśnego schodzą się kolejno: głupi Maciuś, pastuszek marzący tylko o fujarce, którąby wygrała wszystkie jego melodye, Imć. P. Boruta, słynny dyabeł łęczycki, i Kusy, złośliwy czarcik, wyrządzający szkody chłopom, tak jak Boruta szlachcie i magnatom; wszystko to postaci fantastyczne. Przychodzi jednak do leśnego dziadka także młynarka, wieśniaczka krakowska, z prośbą o środek na to, ażeby serce Jaśka, parobka w młynie jej męża, zwróciło się ku niej na nowo. Kusy podszeptywa jej złowrogą myśl: zabicia męża w zmowie z parobkiem, a wspólność zbrodni zwiąże ich jak najściślej i na zawsze. Z tą chwilą zawiązuje się węzeł dramatu. W akcie II. jesteśmy w domu Wojewody, dumnego magnata, który gości na swym zamku braci szlachtę, chcąc ją pozyskać dla siebie. Urażony głęboko tem, że król dał buławę nie jemu, lecz jego stryjecznemu bratu, Hieronimowi, korzysta z propozycyi Boruty, — który przybył na ucztę, a odkrywszy stan duszy wojewody, przedstawił się, kim jest, i ofiarował swe usługi — i zawiera z nim układ następujący: Hieronim zginie, lecz jeśli Wojewoda przyczyni się choć bezwiednie do śmierci niewinnego człowieka, wyjąwszy brata, to dusza jego stanie się własnością dyabelską. Umowa zawarta.



Z polecenia Boruty każe Wojewoda ściąć jawor, zasadzony w dniu urodzin stryjecznego brata: gdy jawor padnie, brat umrze, a buława dostanie się Wojewodzie; napróżno Wojewodzianka prosi ojca, by pozostawił ulubione jej drzewo, — prośba jej, ubrana w formy tryoletowe, liczy się do najpiękniejszych ustępów w dramacie:

„Pod tym jaworem ogródek,
To mój ulubiony kątek...
Zwę go „ustroniem pamiątek“
Ten mój najmilszy ogródek,
Bo w nim tyle niezabudek
Nad wodą i modrych łątek. —
Ach pod jaworem ogródek
To mój ulubiony kątek.

Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam jak gdyby wczora:
W cieniu onego jeziora...
Gdy byłam jeszcze maleńka,
Siadała ze mną matenka,
Taka biedna, taka chora!..
Choć byłam jeszcze maleńka,
Pamiętam jak gdyby wczora.

Te uśmiechy, te [pieszczoty,
Gdym u kolan [jej usiadła!
Czasami przede [mną kładła
Swój stary Ołta-[rzyk złoty
I uczyła abeca-[dła...
Te uśmiechy te [pieszczoty,
Gdym u kolan [jej usiadła!

Więc bronię ci-[chej ustroni
Pod jaworem przy [studzience...
Wspomnienia mo-[je dziecięce
Wabią mnie do [tej ustroni,

Tam w gałęziach słowik dzwoni,
Tam pamiątki lube święcę!
Więc bronię cichej ustroni
Pod jaworem przy studzience..

Tam obyczajem pasterek
W studzience poję baranki
I z kwiatów składam równianki...
Zwyczajem tkliwych pasterek!
W jaworze szumi wiaterek.
A ja, wśród błogiej sielanki,
Zwyczajem tkliwych pasterek
W studzience poję baranki“.

Jawor padł, brat Wojewody skonał. Lecz z tą chwila poczyna Boruta knuć intrygę, aby dostać Wojewodę w swe ręce. W bójce z Jaśkiem ginie młynarz. Podejrzenie pada na niewinnego drwala, Wojewoda więc skazuje go na śmierć. Pełną grozy jest scena, gdy

kat, wezwany do wykonania wyroku śmierci na drwalu, a nie znający drogi do zamku, wstępuje z zapytaniem o drogę do chaty młynarki i Jaśka. Widząc ich zmieszanymi, mówi: „Nie bójcie się, wszak macie czyste sumienie". Nie mieli czystego sumienia i, choć wskazali katowi drogę, nie zmogli zmory — Jasiek zginął, a młynarka obłąkana pobiegła na zamek, by wyznać winę. Zapóźno już było, drwal nie żył, a Wojewoda, związany słowem, stał się łupem Boruty.

Taką jest w rysach najogólniejszych treść baśni dramatycznej; przeplata ją jeszcze szereg pięknych epizodów, nie pozostających jednak w ścisłej łączności z główną akcyą dramatyczną. Do takich należy romantyczna scena pomiędzy Maciusiem a Wojewodzianką, która pała dziwnym sentymentem do pastuszka z powodu jego grania; z chwilą jednak, gdy fujarka wypada z rąk jego, pryska urok i piękna panna odwraca się ze wzgardą od naiwnego chłopaka. Również epizodem oderwanym jest scena duszenia Maciusia przez dyabłów, kiedy obiecują mu wielkie bogactwa, byle poszedł na rok do piekła grać Lucyperowi. Maciuś odrzuca tę propozycyę, bo:

Jak już g ać dla kogo,
To grać Najświętszej Panience,
Co nitkę babiego lata,
Chodzący po niebie, przędzie,
A przed sobą mleczną drogą
Dzieciątko wodzi na ręce ..
Co się zmęczy, to se siędzie
Śród gwiazd — nikiej śród stokroci,
Ano zaś wstaje... I wszędzie
Za nią służebni janieli
Chodzą bieluścy a złoci
Bez kwitnące rajskie sady —
I coraz to inszy zwija
Niteczkę, co ją z kądzieli
Wyprzędła Panna Maryja.

Wykazać można wiele wad w organiźmie dramatycznym tej sztuki; niejasna myśl przewodnia, brak ścisłego spojenia w kompozycyi całej, niedokładny rysunek psychologiczny bohaterów, pewne sprzeczności w ich charakterach — oto najważniejsze niedostatki i błędy „Zaczarowanego koła", którym towarzyszy nakoniec niedostateczne jeszcze opanowanie techniki dramatycznej przez autora. Zalet jednak i piękności posiada to dzieło również sporo, a wśród nich dominuje przepiękny i harmonijny język, jakim od czasów Słowackiego nie przemawiał do nas nikt w dramacie. Widać w dziele p. Rydla wzorowanie się na tym mistrzu słowa niezrównanym, jak również można wykazać wpływ znakomitego twórcy „Dzwonu zatopionego", Gerarda Hauptmanna; lecz mimo to praca naszego autora nie traci nic na swej wartości. „Zaczarowane koło" pozostanie w piśmiennictwie naszem, jako niezwykle piękna poetyczna fantazya, zasługująca na uważne przeczytanie.

Bron. Gbr.

Afrykański teatr wojny.

(Patrz rycinę na stronie 7).

Coraz częściej słyszymy o wojnach poza Europą; w ostatnich czasach mieliśmy: japońsko-chińską, hiszpańsko-amerykańską, teraz zaś w Afryce południowej Anglików z Boerami. Te strzały dalekonośnych dział najnowszych modeli i karabinów z pierwszorzędnych fabryk świata cywilizowanego, których echa dochodzą nas z odległych kontynentów lub oceanów, są zapowiedzią, że europejska kultura zaczyna na seryo i energicznie zabierać się do objęcia w posiadanie świata całego.

Najnowszy konflikt zbrojny, którego przebieg śledzi z żywem zainteresowaniem przedewszystkiem cała Europa, rozgrywa się na ziemi południowej Afryki między pierwszą potęgą świata W. Brytanią, a europejskimi osadnikami pochodzenia holenderskiego (Boer, czyt. Bur — niem. Bauer), którzy w drugiej ćwierci naszego stulecia założyli tam dwie niezależne rzeczypospolite, naprzód orańską, potem transwalską, zwaną dziś południowo-afrykańską.

Dzieje osadnictwa tych ziem to ciekawa karta z ogólnej historyi rozprzestrzenienia się rasy białej po świecie. Pierwszymi posiadaczami wybrzeża przylądkowego byli Portugalczycy; szukając drogi morskiej do Indyj, odkryli i zajęli południową kończynę Afryki w r. 1487., a w r. 1498. w czasie podróży Waski de Gama wybrzeże południowo-wschodnie, Natal (przybili tu w święto Bożego Narodzenia). Była to ważna stacya dla stosunków Portugalii z kolonią indyjską, mimo

to Portugalia nie uczyniła nic, aby zabezpieczyć i rozwinąć tę posiadłość.

W czasie 1580—1640. była Portugalia, jak wiadomo, połączona z Hiszpanią — Hiszpania zaś prowadziła z Niderlandami nieszczęśliwą wojnę, której zawdzięcza swe powstanie niepodległa Holandya. Dlatego i Portugalia musiała ponieść wtedy część kosztów tej wojny i utraciła między innemi osadami także Ziemię przylądkową na rzecz Holendrów. W XVII. w. rozwinęła się mała Holandya i stała się pierwszą potęgą morską i handlową. Kompania wschodnio-indyjska założyła w r. 1652. pierwszą stałą osadę nad zatoką Table, dzisiejszy Capstadt (Kapsztad). Odtąd rozpoczęła się także intenzywniejsza kolonizacya Kraju przylądkowego przez Holendrów, z początku na wybrzeżu, potem coraz dalej w głąb kraju, połączona z bezlitośną walką przeciw tubylcom: Hotentotom i Buszmenom, których mordowano lub zabierano w niewolę i zaprzęgano do ciężkiej pracy dla białych panów; pod tym względem Holendrzy nie byli tu lepsi od Hiszpanów w Ameryce.

W okresie rewolucyi francuskiej Holandya utraciła prawie zupełnie swoją niezależność i stanowiła tylko część Francyi, naprzód republikańskiej pod nazwą rzeczypospolitej batawskiej, potem za czasów Napoleona jako królestwo Holandyi, pod panowaniem brata cesarskiego Ludwika.

Anglicy, którzy właśnie w drugiej połowie XVIII. w. zdobyli sobie pierwsze miejsce w świecie, jako państwo kolonialne i handlowe, zwalczali z zawziętością, podziwienia godną, Francyę republikańską, a Napoleona nawet z niesłychaną. Słabili więc wroga, gdzie mogli, i wtedy zdobyli w czasie od 1795 do 1806. Kraj przylądkowy i urządzili go jako swoją kolonię, bardzo cenną dla połączenia z Indyami, zdobytemi właśnie niedawno. Tak dostali się osadnicy pod panowanie angielskie i wspierali dzielnie swoich panów w walkach, szczególnie z wojowniczymi Kaframi, przez które granice kolonii rozszerzono znacznie na północ i wschód.

Dobre porozumienie jednak wnet się zmieniło w otwartą nieprzyjaźń, kiedy w. r. 1833. rząd angielski zniósł niewolnictwo w swych osadach, a Boerowie, zarówno rolnicy, jak i hodowcy bydła, utraciwszy przez to siły robocze, uczuli się ekonomicznie zagrożonymi. Wprawdzie wypłacono im odszkodowanie (indemnizacyę), ale tylko w połowie sumy żądanej (żądali 3 milionów funt. sztr. za 36.000 niewolników). Dlatego Boerowie, którym nie mogło się pomieścić w głowie, aby murzyn mógł do czego lepszego być przeznaczonym, niż do niewoli i roboty, postanowili gromadnie opuścić kraj, w którym panują tacy „sentymentalni dziwacy“. Nastąpiła więc w r 1835. i 1836. wielka wędrówka Boerów z granic angielskiej kolonii. Zajęli naprzód kraj między rzekami Oranjem i Vaalem (Wal), a potem wśród ciężkich walk kraj Matabelów na północ od Vaalu aż po Limpopo. W taki sposób powstały tutaj dwie rzeczypospolite: orańska na południu i południowo-afrykańska, która przez krótki czas nazywała się także transwalską.

Jako nieprzyjaciele niewolnictwa zajmowali Anglicy w Afryce stanowisko istotnie cywilizacyjne i postępowe. Wnet jednak wystąpił na jaw w całej nagości zwykły, bezwzględny egoizm zaborców i handlarzy. Rzeczpospolita orańska uzyskała, dzięki różnym okolicznościom, które nie pozwoliły Anglikom na nią zwracać uwagi, uznanie swej niepodległości już w r. 1853.; ale zato historya Transwalu to powtórzenie znanej bajeczki o owieczce, która wilkowi mąciła wodę. W r. 1852. to państewko wywalczyło sobie po raz pierwszy ze strony Anglików uznanie niepodległości. Z góry jednak można było przewidywać, że spokój ten nie będzie trwałym, albowiem ludność, oddana głównie hodowli bydła, dąży zawsze do zajęcia przestrzeni jak najszerszych. Próbowali więc i Boerowie rozszerzania swych osad to w kraju Beczuanów na zachodzie, to w ziemi Matabelów na północy — szczególnie zaś pragnęli zająć wschodni kraj Kafrów, aby uzyskać przystęp do Oceanu; od tego zależał normalny rozwój młodego państwa. Ale do tego właśnie nie dopuścili Anglicy; ziemię Kafrów zdobyli wśród trudów i długich walk, w stosunku do Beczuanów i Matabelów zajęli na mocy osobnych układów rolę opiekunów i protektorów, wytyczając Boerom linie graniczne: dotąd a nie dalej! jak niegdyś Rzymianie w Hiszpanii. Odtąd obie rzeczypospolite otoczone są żelaznym pierścieniem angielskich posiadłości — bądź bezpośrednich, jak na południu i wschodzie, bądź zostających pod czułą opieką rzą-

du angielskiego, na zachodzie i północy. Pierścień ten przerwanym jest tylko na północnym wschodzie, gdzie Portugalia ma jeszcze resztki swego potężnego niegdyś państwa kolonialnego. Czy wobec znanych apetytów angielskich Portugalia potrafi długo jeszcze utrzymać tę posiadłość, to kwestya przyszłości, na razie jednak Boerowie mają tędy wolną drogę do morza, której Anglicy nie mogą zamknąć. Uzyskali też od rządu portugalskiego, że poprowadził kolej od zatoki Delagoy aż do granicy transwalskiej, przedłużoną przez Boerów do stolicy Transwalu, Pretoryi [1]). Ta linia komunikacyjna podniosła w lot ruch handlowy, tak iż zapowiadały się dla Transwalu czasy świetnego rozwoju ekonomicznego.

Mieczysław Warmski.

(Dok. nast.)

Pogadanka.

Z radością usłyszałem od redaktora, że tęsknicie trochę za starym gadułą, ktory z ważnych powodów, a z wielkim żalem, musiał przerwać swoje poufne pogawędki. Tak! nie umiałbym inaczej nazwać tego; wiedzcie bowiem, że, pisząc pogawędkę, wyobrażam sobie zawsze w myśli, żem pośród was: widzę was wpatrzonymi we mnie i zasłuchanymi i staje przedemną wtedy mimowoli obraz z mego dzieciństwa, kiedy wraz z rodzeństwem i przyjaciółmi rówieśnikami słuchaliśmy opowiadań dziada naszego, starego wiarusa napoleońskiego. I jam już stary — tylko czasy się zmieniły, więc inna treść moich opowieści, choć z tego samego płyną źródła: z pobojowisk i walk — twardego życia.

Z nadzieją i gorączką oczekiwania nowych, a dobrych rzeczy wchodzicie w rok nowy, ostatni naszego stulecia. Zapatrzeni w przyszłość, radzibyście przebić te gęste zasłony, któremi na szczęście ludzkie zakryty przed nami dzień jutrzejszy. Tam ja z wami nie pójdę, dacie bowiem sobie radę bezemnie. Pragnąłbym natomiast zwrócić uwagę waszą i wzrok wstecz, aby zwyczajem dobrego gospodarza zrobić rachunek z tym rokiem starym. Był to z wielu względów rok dla nas smutny, ponieśliśmy liczne, a dotkliwe straty i ciosy. O niektórych chciałbym z wami pomówić.

Więc naprzód o tych, których już niema między nami. Obfite żniwo zebrała w tym roku śmierć na naszej chudej niwie narodowej; pod sierpem żeńca Bożego legły kłosy doirzałe i z pewnością ze wszystkich najpełniejsze: Józef Majer, Wojciech Kossak, Włodzimierz Dzieduszycki i Franciszek Smolka. Trzeba te imiona ustawić obok siebie, aby zrozumieć doniosłość straty, jaką ponieśliśmy na wszystkich polach narodowego życia. Szczęśliwy, kto umiera tak, jak ci; każdy z nich może o sobie powiedzieć: *Non omnis mortuus sum.* Każdy z nich działał na innem polu, ale wszyscy łączyli się w jednem wielkiem uczuciu: miłości ojczyzny To zmarli prawdziwie wielcy bogacze narodu, których spuścizną będziemy mogli długo się ratować w ciężkich chwilach naszego życia. Ale zważcie, że mówię tylko: ratować się, nie zaś: czerpać bez rachunku ze skrzyni odziedziczonej i bez pracy zjadać kapitał ich czynów.

Druga rzecz, o której chciałem z wami pomówić, to smutnej pamięci sprawa Kasy Oszczędności. To także ciężka strata, którą nam przyniósł rok ubiegły, bardzo dotkliwa z wielu względów, a z pewnością nie najmniej dlatego, że, przeniesiona na pole polityczne, wywołała gorszące, namiętne walki, jakich może nie było przed nami, — że rozdzieliła nas, którzy, nawet ściśle zjednoczeni, mamy ledwie tyle siły, aby się utrzymać na falach. Nie myślę wchodzić w szczegóły, ani sądzić rzeczy, już osądzonej. Radbym jednakże z tego smutnego doświadczenia wyciągnąć naukę dla was, młodzi, abyście w przyszłości umieli zapobiegać podobnym klęskom. Oto pokazało się w tej sprawie, jak niebezpiecznie jest dla publicznej instytucyi, gdy naczelnik zawładnie nią po dyktatorsku, a urzędnicy pozwolą się zniżyć do roli głuchych i ślepych wykonawców, niby maszyn; pokazało się, że urzędnik publicznej instytucyi ma obowiązek, wypływający z jego przysięgi służbowej, czuwania rozumnego nad jej dobrem w zakresie swego urzędowania i sprzeciwienia się szkodliwym rozkazom, nawet pod grozą utraty miejsca.

Z drugiej strony pokazało się także na sprawie Kasy Oszczędności, jak fałszywie pojmujemy tzw. „urzędy honorowe". Były tam różne rady i dyrekcye, powołane do kierowania i kontrolowania, a złożone z ludzi różnych zawodów — obywateli, zasługujących ze wszech miar na szacunek i zaufanie. Tylko ci ludzie nic lub prawie nic się nie rozumieli ani na sprawach finansowych, ani na wielce skomplikowanej rachunkowości tak wielkiej instytucyi finansowej, i zdawało im się, że to nic nie szkodzi być nadzorcą, a nie rozumieć się na nadzorze — dlatego, że to był urząd honorowy. Gdyby ten smutny przykład odzwyczaił nas od przyjmowania w życiu obywatelskiem tak lekkomyślnie różnych urzędów honorowych, do których nie jesteśmy uzdolnionymi — co niestety jest bardzo powszechną chorobą naszego społeczeństwa — to byłaby już stąd wielka korzyść na przyszłość, a działalność naszych rozmaitych rad, wydziałów towarzystw i korporacyj rozwijałaby się w energiczniejszem tempie — Wnet i wy wejdziecie w życie publiczne. Miejcież ten przykład przed oczyma, ilekroć przyjdzie na was pokusa ubiegania się o jakiś urząd honorowy!

Z boleścią, a prawie ze wstrętem, przychodzi mi poruszyć jeszcze jedną sprawę, zapisaną w smu-

---

[1]) Rycina, podana na s. 7., przedstawia kopalnie dyamentowe w Pretoryi (*P. R.*).

tnej kronice roku ubiegłego: myślę o strajkach studenckich. Na samo wspomnienie tych zdarzeń ogarnia mię wstyd, że naszej młodzieży przyszło zrobić ten wynalazek, i żal, że młodzież ta padła ofiarą jakiegoś obałamucenia i zatraciła zdrowy instynkt, który byłby musiał ją odwieść od bezrozumnego małpowania. Strajk robią drukarze, piekarze, krawcy, górnicy — w ogóle robotnicy wszelkich możebnych zawodów. To są obywatele pełnoletni, utrzymujący z pracy rąk siebie i rodziny, a pragnący w tej ciężkiej walce o byt zdobyć korzystniejsze warunki zarobku. Jest to coraz liczniejsza warstwa społeczna, nowy stan, którego dawne wieki nie znały. Walczą o prawa, jak niegdyś plebejusze przeciw patrycyuszom, albo w rewolucyi francuskiej stan trzeci przeciw szlachcie i duchowieństwu, jako stanom uprzywilejowanym. Strajk jest jedną z broni używanych w tej walce — podobną bardzo do rzymskiej secesyi na Górę świętą.

Gdzież tu jest więc analogia, aby środek ten stosować do życia młodzieży? Młodzież nie jest odrębnym stanem, ani warstwą społeczną ale szczęśliwą częścią narodu, która, choć z wszystkich warstw pochodzi, sama się nie dzieli na warstwy; — jest tą uprzywilejowaną częścią, dla której właśnie wszystkie warstwy toczą bój zażarty, aby ona dorósłszy nie potrzebowała znać i czuć różnicy stanów. Dla tej młodzieży walczą przecież wszyscy: arystokrata, mieszczanin, chłop czy robotnik. I to chciałbym jak najgłośniej powiedzieć, abyście mię wszyscy słyszeli, a zarazem jak najjaśniej, abyście mię zrozumieli; albowiem w tej kwestyi objawia się coraz wyraźniej niebezpieczne pomieszanie pojęć i raz w raz odzywają się głosy, że młodzież ma swoje interesy i potrzebuje ich bronić i że dla ich obrony potrzebuje organizacyi i osobnych organów. Nieprawda! młodzież nie ma żadnych interesów, któreby nie były interesem całego społeczeństwa — więc nie śpieszcie się do tej walki, która was i tak później nie minie i której się najecie aż do obrzydzenia. Natomiast korzystajcie z przywileju młodości, której wolno o tych walkach nic nie wiedzieć; wszak waszem zadaniem jest urzeczywistnić to, co zawsze było ideałem wsrystkich najszlachetniejszych serc i najmędrszych głów świata: r ó w n o ś ć ludzi. Nie psujcie sobie młodości!

Z tego punktu widzenia są przeto wszystkie tego rodzaju ruchy i dążenia wprost niedorzecznością i to szkodliwą dla was samych. Ale sprawa ta ma jeszcze drugą stronę. Spytajcie się swoich ojców lub dziadów, do jakiej szkoły chodzili; spytajcie się swoich braci zakordonowych, czem dla nich szkoła! Jeżeli oni kiedy zrobili taką solidarną demonstracyę, to uczynili to pod wpływem oburzenia z powodu gwałcenia najświętszych uczuć ludzkich. Ale tu u nas przeciw komuto strajkowano? Chyba przeciw ojcom i matkom To już nietylko niedorzeczne, to byłoby zwyrodnieniem uczucia i, gdybym nie miał wszelkich podstaw do wierzenia, że to było tylko wynikiem chwilowego obałamucenia, musiałbym gorzko zapłakać i zrozpaczyć o naszej przyszłości. W każdym razie muszę ten fakt zapisać na konto strat moralnych, które nam przyniósł rok ubiegły. Niechże ten nowy będzie szczęśliwszym!

Kropka.

Rozmaitości.

O Rubensie, niezrównanym malarzu flamandzkim pomówimy później w szkicu osobnym. Do nru niniejszego załączamy karton osobny z odbitką jego podobizny własnych synów według miedziorytu G. A. Müllera. Oryginał znajduje się w galeryi ks. Liechtensteinów w Wiedniu i pochodzi z czasów ok. 1626. r.; kopię współczesną posiada słynna galerya drezdeńska. Obraz przedstawia dwu synów Rubensa: Alberta (* 1614) i Mikołaja (* 1618). Już same cechy zewnętrzne, utrwalone przez artystę, mówią wiele o charakterach obu chłopców. Starszy, przywdziany w poważny strój czarny, oparł się na pozór niedbale o podstawę słupa, założył nogę na nogę, lewą ręką, obnażoną umyślnie z rękawiczki, obejmuje brata protekcyjnie, w prawej trzyma symbol uczoności — książkę: wszystko to oznąki budzącej się samowiedzy. Z drugiej strony oblicze pełne, iście dziecinne, pozwala się domyślać że jeszcze młodzikowi temu, pragnącemu się podobać, bardzo daleko do lat, w których siły umysłowe dojrzewają. Młodszy natomiast jest dzieckiem w całkowitem rozumieniu tego wyrazu. I postawa niewyszukana i grymas twarzy wobec ruchów czyżyka, tresowanego na nitce, i barwy jasne ubrania (niebieska, pomarańczowa, jasnoszara) dowodzą tego. A właśnie to świetne scharakteryzowanie duchowej strony obu postaci zapomocą bardzo prostych środków malarskich nadaje — pominąwszy stronę barwną obrazu — dziełu Rubensa wartość niepospolitą i wraża je w pamięć widza na zawsze.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 56. Które utwory piśmiennictwa polskiego opierają się na motywie wiersza „Dwu sióstr“, podanego w nrze bieżącym?

Nr. 57. Jaki jest słoworód i jakie znaczenie wyrazów: autonomia, centralizm, federacya?

Nr. 58. Skąd pochodzi nazwa miasta Pretoryi?

Nr. 59. W której okolicy pada deszcz, największy na kuli ziemskiej?

Nr. 60. Co to jest *Polonium?*

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: *Smoleńskiego* Szkoły historyczne w Polsce; *ks. Brykczyńskiego* Listy z Włoch o sztuce kościelnej; *Biernackiego* Nowe dziedziny widma — *NB.* Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi do 10. stycznia r. 1900. Przedpłaciciel „Przyjaciela młodzieży ma prawo do losowania o nagrody wymienione, choćby odpowiedział trafnie tylko na jedno zagadnienie!

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 51—55.

Nr. 51. Autorem pieśni „Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę“, jest poeta niemiecki, Juliusz Mosen (1803–1867). W oryginale pieśń ma tytuł „Die letzten Zehn vom vierten Regiment“; na polski język przełożył ją K. Gaszyński.

Nr. 52. Podług Angota najwięcej burz elektrycznych bywa w Abisynii (około 400 rocznie), najmniej — jeżeli pominiemy okolice podbiegunowe — w Peruwii. W Limie, stolicy tego kraju, starzy ludzie nie wiedzą nawet, co to grzmot (podług „Revue éléctrique“).

Nr. 53. Najbogatsze pola dyamentowe w poł. Afryce są w starem łożysku rzeki Vaalu, oraz na gruntach, położonych nad dopływami tej rzeki.

Nr. 54. Przywilej na utrzymywanie powozów publicznych w Paryżu otrzymał w r. 1650. niejaki Sauvage; na przedniej części jego domu umieszczony był obraz św. Fiakra (Fiacrius, święty szkocki). Stąd pochodzi nazwa dorożki „fiakier“.

Nr. 55 Obliczenie wysokości gór i głębokości dolin na księżycu musi być z natury rzeczy niedokładnem i uskutecznia się też tylko w przybliżeniu zapomocą porównywania cieni, które rzucają w różnych fazach oświetlenia słonecznego.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 20. grudnia b. r.

(wszystkie) Badura, Stadtmüller, (51—3, 55) Bednarowski, Gocal, (51, 53–5) Korzeniowski, Smolka, (51, 53—4) Stamm, (51, 53) Studiosus, (51, 54) Auditor, Dubieński, (52—5) Sfinks, (52—4) Lykaon, (53—4) Chrzanowski, Gieruszyński, Michalewicz, Schönhuber, (54—5) Witoszyński, (54) Orlicz.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): N. Michalewicz we Lwowie (Nansena Podróż do bieguna), Sfinks w Krakowie (Szokalskiego Rozwój umysłowości w przyrodzie).

Łamigłówka filologiczna (żartobliwa)

Odczytać jako heksametr daktyliczny:

Barbara, meum: mirabile.

Rozwiązanie łamigłówki z nru 12:

1. *H.* 2. Jeż, 3. Asnyk, 4. Nehring, 5. Tyszyński, 6. Henryk Ibsen, 7. Niesiecki, 8. Grabiec, 9. Pasek, 10. Rej, 11. *n.*

Trafne rozwiązania nadesłali do 20. grudnia b. r.:
Agopsowicz, Badura.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Sz. czytelnikom Redakcya dziękuje za życzenia, nadesłane z powodu świąt B. Narodzenia, i wzajem życzy spędzenia chwil wolnych, przypadających na czas obecny, z pożytkiem dla ciała i ducha. — *A. B.* List nadszedł późno. Odpowiemy w nrze 2. — *G. w T.* Dzięki za pozyskanie przyjaciół pismu. Z zakresu filozofii i estetyki mamy w tece parę artykułów. Nowel nie możemy się wyrzekać — trzeba łączyć *utile dulci*. Zresztą zawsze staramy się uczynić zadość życzeniom. — *Hercules*. Rzecz żądana w nrze. — *Jugora*. Uwaga słuszna. Tygodnik, o który chodzi, jest jednem z najlepszych pism polskich, kosztowny. — *Niezapominajka*. Proszę o wyraźne podanie przedmiotów, o które chodzi, a odpowiemy listem. — *In Ciężkowice moranti*. Roschera „Leksykon mitologiczny“ (po niem.) pod wyr. Fatum i Mojra, Encyklopedya kościelna pod wyr. Predestynacya itp. Warto też przeczytać E. B. Tylora „Cywilizacyę pierwotną“ (po polsku) i Langa „Wierzenia pierwotne“. O zwyczajach ludowych, związanych z B. Narodzeniem, O. Kolberg w olbrzymiem dziele swem p. n. Lud (spis rzeczy w każdym tomie), czasopisma *Wisła* i *Lud* często (n. p. *Lud* t. V. s. 154. Szopka w Podhorcach itp.) Odtąd pogadanki „Kropki“ będą w każdym nrze nieparzystym. Słuszna uwaga, wiek XX. zaczyna się 1. stycznia 1901. Za ciepłe słowa zachęty dzięki. — *S. S.* w *S.* Odpowiemy osobno. — *K. S* Czekamy odwiedzin w godzinie redakcyjnej. Gibiera Spirytyzm (Warsz. 1891), Wallace'a O cudach i nowoczesnym spirytyźmie. — Filos Bogacki: Mnemonika; Z. Glogera „Geografia historyczna ziem dawnej Polski“, właśnie wydana (Kraków, str. 387 z 64 ryć. 5 kor. — *W. J.*, Marek Hieronim Vida jeden z najznakomitszych poetów łacińskich Odrodzenia, był Włochem, ur. 1480. um. 1566; jego pemat *De ludo Scaccharum* służył za wzór „Szachom“ J. Kochanowskiego.

Od administracyi.

Orliczowi. D 1. listopada wpłacono 1 zł. 10 ct za które wysłaliśmy numery od 1. stycznia 1899; prenumerata więc skończyła się z grudniem 1899. na 1900 nic nie zostaje.

Kaz. P. w Krakowie. Przedpłata półroczna wynosi 2 kor. 50 h.

St. Dzierz. Jar. Należy się cała: 5 kor.

Jul Sob. Kr. Na rok 1900. nic nie otrzymaliśmy. Numer jednak wysyłamy.

Zygm. Gwizd. Trzeb. Prosimy reklamować Nr. 4 na poczcie. Wysłaliśmy 2 razy.

Szan. Przedpłacicieli lwowskich upraszamy o zgłoszenie się po karty prenumeracyjne w biurze Administracyi, gdzie też zechcą odbierać co 1. i 16. każdego miesiąca nry pisma naszego; albowiem tylko poza Lwów będziemy rozsyłać nry pocztą.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść: Do Czytelników. — Franciszek Smolka. — *E. Porębowicz*, Dwie siostry (*wiersz*). — *A. France*, Pierrefonds. — *Bron. Gbr.*, L. Rydla „Zaczarowane koło“. — *M. Warmski*, Afrykański teatr wojny. — *Kropka*, Pogadanka. — O Rubensie. — Zagadnienia, łamigłówka, skrzynka pocztowa Redakcyi i Administracyi.

Do tego numeru dołącza się dla przedpłacicieli „Przyjaciela“ odbitka obrazu Rubensa „Synowie mistrza“.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 16. stycznia 1900.



Rok II.

Nr. 2.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Człowiek człowiekowi, pokolenie pokoleniu, zdają swoje prace: tym tylko sposobem dokonują się wielkie dzieła. *S. Goszczyński.*

Franciszek Smolka.

(Dokończenie.)

Smolka, uporządkowawszy papiery sejmowe i oddawszy je ministrowi w Wiedniu, gdzie władze policyjne wyrządzały mu wiele przykrości, powrócił wreszcie po rocznej niemal niebytności do Lwowa, do rodziny. Reakcya, która nastała w całej monarchii po stłumieniu rewolucyi węgierskiej, zemściła się teraz na nieustraszonym prezydencie rozbitego sejmu. Poddano go pod dozór policyjny, odebrano mu prawo noszenia wszelkiej broni, nawet karabeli, nie pozwolono swobodnie opuszczać Lwowa itd. Smolka przyjął te ukłucia ze stoicyzmem, właściwym mu zawsze. Wszak spełnił swój o b o w i ą z e k, miał czyste sumienie. Więc zagrzebał się w papierach swej kancelaryi adwokackiej, do której prowadzenia odzyskał tymczasem prawo, i czekał chwili szczęśliwszej dla państwa i kraju. Wypadło czekać długo...

Ministerstwo absolutystycznej reakcyi Bacha (1851—59) i krótkotrwałe rządy Ag. hr. Gołuchowskiego upadły, Schmerling został prezydentem gabinetu (13. grudnia 1860). Opinia liberała, zresztą błędna, wywołała w kraju naszym akcyę na korzyść nowego prezydenta. Wysłano deputacyę do Monarchy z hołdem; Smolka, który w grudniu 1848. na czele sejmu witał 18-letniego Cesarza przy wstąpieniu na tron, znalazł się i teraz mimo oporu zachowawców w tej deputacyi, z trzech złożonej. Dowodzi to najlepiej, że ogół miał go zawsze na oku. Rozumie się, że wszedł też do Rady państwa, otwartej 1. maja 1861. roku, gdzie zaraz zaznaczył swe stanowisko interpelacyą, niemiłą dla gabinetu. Bo b. poseł lubaczowski pozostał wierny hasłom i ideałom swej młodości. A nawet postanowił propagować je drukiem i w tym celu założył wraz z Ziemiałkowskim i innymi patryotami „Dziennik polski“ dla obrony narodowości i wolności, a odpierania ataków centralistycznych na samorząd (autonomię) kraju, na polskość i na prawa obywatelskie. Naraził się przez to Schmerlingowi, ale tak za jego rzą-

dów, jak i później nie przestał przeciwstawiać centralizmowi swojej idei ustroju federacyjnego Austryi nawet wtedy, gdy i sejm galicyjski i delegacya polska w Wiedniu zajęły stanowisko czysto autonomistyczne pod wpływem Gołuchowskiego i Ziemiałkowskiego. Póki centraliści byli u steru nawy państwowej, bojownik idei „wolności, równości, braterstwa“ z r. 1848. nie mógł wejść w skład prezydyum Izby posłów, choć zasługiwał na to dla swej bezstronności w przewodniczeniu i tylu innych przymiotów charakteru, uznanych oddawna nawet przez jego przeciwników. Dopiero era Taaffego, który został prezydentem gabinetu 12. sierpnia 1879., powołała go zrazu na pierwszego wiceprezydenta, a wnet i na prezydenta [1]). Odtąd aż po rok 1893. prowadził obrady Izby ku zupełnemu zadowoleniu wszech stronnictw, póki starość ze swemi dolegliwościami nie spowodowała go do cofnięcia się w zacisze domowe. Jaki mir zdobył sobie w parlamencie, dowodem biust jego, ustawiony w gmachu posiedzeń Izby, i — czego niebywało dotąd — wyznaczenie mu pensyi dożywotniej jednogłośnie. Także Sejm uchwalił mu pensyę, gdy ustępował po długiem urzędowaniu z Wydziału krajowego. Przyznano starcowi sumę pokaźną bez opozycyi, bo wiedziano, że nie użyje jej dla siebie. Wszak od szeregu lat obracał wszelkie niemal dochody swoje na doprowadzenie do celu ulubionego dziecięcia i wymownego wyrazu swej myśli: kopca Unii lubelskiej we Lwowie.

Któż nie słyszał bodaj jednej anekdotki o starcu z mlecznobiałą brodą i sumiastymi wąsami, który w chwilach wolnych od sesyi parlamentarnej pośpieszał na Wysoki Zamek, by zawieźć pod szczyt kopca choć jedną taczkę dziennie?! *Nulla dies sine linea* rzymskiego cesarza wykonane tu z małą zmianą dekoracyi. O, jakże to charakteryzuje poczucie obowiązku tego męża, jak wzniosły to wzór i symbol!

Uderzmy się w piersi: czy każdy z nas dorzuca codziennie choć grudkę ziemi na budowę gmachu lepszej przyszłości Ojczyzny?!

Wszak już poeta z Czarnolasu nawoływał:

Służmy poczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!

Ten, którego szczątki śmiertelne oddaliśmy ziemi 7. grudnia, trzymał się tej maksymy. Niechże więc jego

sława poczciwa i po śmierci słynie!

Fr. Krczek.

---

[1]) O dziejach l. 1849—1881. poucza dziełko d'Abancourta „Era konstytucyjna austro-węgierskiej monarchii“ (Krak. 1881).

“Spisek“ studencki.

— Czem wam przysłużyć się mogę? — zapytałem stojących przedemną lękliwie dwu uczniów gimnazyalnych, zapiętych po szyje w jasnopopielate „szynele“.

— Mamy wielką, bardzo wielką prośbę do p. redaktora, — rzekł głosem cichym, lecz stanowczym, jeden z nich o głowie, krótko strzyżonej, błyszczących oczach i pewnej zuchowatości w całej postawie, podczas gdy drugi z twarzą bladą, smętną, jakby z portretu Chopina wykrojoną, patrzał milcząco przed siebie. — To nie jest tylko prośba nasza osobista, idzie tu... — i urwał nagle, oglądając się podejrzliwie dokoła.

— Mówcie śmiało, jesteśmy sami — uspokoiłem chłopaków.

— P. redaktor zna równie dobrze mnie, jak i Zdzisława, a pochlebiamy sobie nie z najgorszej strony. Kilka razy okazał nam pan nawet swoje względy i to właśnie skłoniło nas do żądania od pana dzisiaj łaski... tak, bo to byłaby prawdziwa łaska!

— No, no... — zachęcałem chłopców — tnij kawalerze swoją sztukę, jak nieprzymierzając twój sławny pradziad pod Somosierrą!

— Więc powiem... Pan ma na górze mieszkanie, złożone z małego pokoju i większej sali. Chcielibyśmy zatem prosić najgoręcej o użyczenie nam tej właśnie sali, lecz nie na jeden dzień tylko, ale dwa razy w tygodniu, w godzinach popołudniowych, od 4-tej do 6-ej... — co wyrecytowawszy jednym tchem, chłopiec otarł występujący mu na czoło pot kroplisty.

W tej chwili Zdzisław przyszedł koledze z pomocą i, zbliżając się ku mnie je-

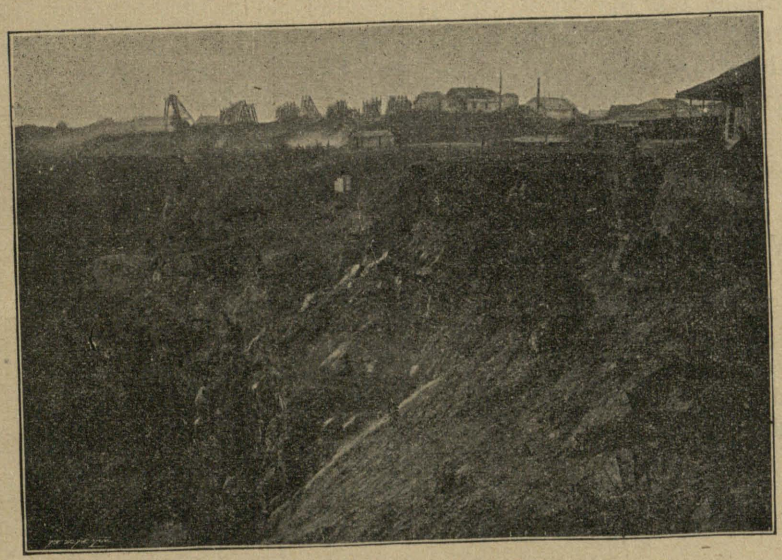
szcze bardziej, odezwał się głosem pełnym słodyczy:

— To całej naszej dwunastki prośba, p. redaktorze, od jej zadośćuczynienia zależy spełnienie naszych pragnień, marzeń!...

Nie dając chłopcom czekać, odparłem natychmiast:

— Nie powiedzieliście mi nic więcej nad to, a musicie mieć ku temu ważne powody, toż i ja o więcej nie będę was pytać. Wiem, żeście prawi, zacni i moralnie zdrowi. Z oczu waszych czytam, że jesteście Polakami i chcecie zostać najlepszymi synami swej ziemi. Życzeniu waszemu odmówić nie mogę, szczęśliwy nawet jestem, że zasłużyłem na wasze zaufanie; ale zwrócić muszę uwagę waszą, czy się przypadkiem w jakikolwiekbądź sposób nie narażacie? Pomnijcie...

— Nie — przerwał żywo pierwszy — nie narazimy w niczem pana, ani siebie, ani rodzin naszych! Dom, przechodni, w nim redakcya, szkoła muzyki, mnóstwo wielkich mieszkań, wszystko to zapewnia nam bezkarność i bezpieczeństwo. Zresztą i my mamy swoją czujną policyę — dorzucił z uśmiechem znacząco — i swoje niezawodne straże. A oto słowo, słowo polskiego studenta, iż cel nasz jasny, czysty, święty!



Kopalnie dyamentowe w Pretoryi.

I wyciągnął ku mnie z powagą rękę, którą uścisnąłem mocno, po męzku, jak niemniej drżącą dłoń Ździsława.

— W słowo studenta polskiego wierzę, jak w Ewangelię! — przydałem na koniec tej osobliwej rozmowy i tego przed lat dziesiątkiem w Warszawie pamiętnego mi na zawsze spotkania...

. . . . . .

Klucz do mojego mieszkania brał kolega Ździsława, jak zapowiedział, dwa razy tygodniowo.

Chłopiec nie spóźnił się nigdy i nigdy też, bodaj jednym wyrazem, nie wspomniał o niczem. Wchodził, składał milcząco ukłon, ja podawałem mu rękę, odbierał klucz i po dwu godzinach odnosił mi go znowu, szepcąc teraz krótko, a z przyciskiem: „Dziękujemy!“ Tak trwało przez jesień, zimę i wiosnę. Około maja rozprysło się to drogie, szare ptactwo, aby w październiku zlecieć znów pod moją strzechę... I znowu zajmowali mi chłopcy kwaterę na długie, wieczorne godziny...

Salę pozostawiali zawsze w najzupełniejszym porządku bez jakiejkolwiek widocznej zmiany. Krzesła przysunięte do dużego stołu, żadnych świstków, skrawków, ani dymu, ni popiołu. Rzecz prosta, iż nie pytałem ich nigdy o nic, stając się mimowoli... współspiskowcem, bez świadomości natury owego spisku! Przyzwyczaiłem się tylko do nich, jak do czegoś pożądanego, bliskiego, bardzo kochanego.

Raz — pomnę, w drugim roku, — znalazłem na środku stołu kartę.. Chwytam ją zdziwiony i odczytuję: „Czy nie będzie to z naszej strony nadużyciem bezgranicznej Pańskiej dobroci, jeśli poprosimy o Lelewela i Historyę r. 1831. Mochnackiego?“...

Czyż potrzebuję dodawać, iż z wszystkich próśb, jakie kiedykolwiek w życiu do mnie zanoszono, tę wypełniłem z największą skwapliwością i z najradośniejszem uczuciem?!

. . . . . .

W tych czasach, za pośrednictwem księgarni lwowskiej, otrzymałem z Warszawy przesyłkę.

*

Rozwijam. To książka, praca młodego historyka, rokującego iście piękne nadzieje. Biorę ją tedy do ręki i... i na drugiej karcie tytułowej spotykam następującą dedykacyę:

„Jeden z tych, którzy przed laty, dzięki łaskawej gościnie Szanownego Pana, zdołali poznać dzieje ojczyste, ośmiela się przypomnieć tutaj pamięci, złożyć imieniem własnem i kolegów, uczestników ówczesnego historycznego kółka, najszczersze podziękowanie, oraz przedstawić pod pobłażliwą ocenę owoc swej poczętej jeszcze na ławach szkolnych pracy".

Oto, jak pod moim dachem spiskowali studenci warszawscy!

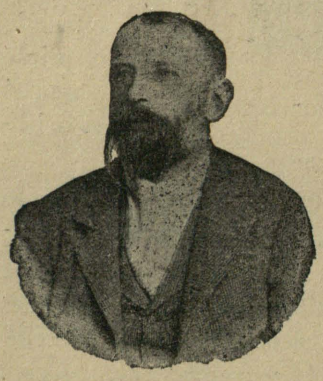
. . . . . .

A ty, mój Michale, tak ogromnie szczęśliwy, iż możesz uczyć się w własnym, macierzystym języku, nie uczęszczasz, jak słyszę, dość gorliwie na godziny „Historyi kraju rodzinnego"?!!! *Tadeusz Czapelski.*

J. VRCHLICKÝ.

Motyw z Krzywoklatu.

Na zamku krzywoklackim wchodzę w same cienie;
Gdziekolwiek oko zwrócę, gruzy — spustoszenie.
Wchodzę, gdzie huczna w sali bywała biesiada;
Nagle mi do nóg z gzymsu ptasie gniazdo spada
Z ścian surowo patrzyli praojców rówieśni;
Wtem oknem z pola wpadły dźwięki czeskiej pieśni.
I śpiew ten brzmiał tak słodko, aż łzy z ócz wyciska:
Że niema śmierci, zguby, zniszczenia, zwaliska!
Gdy zmilknął, bór mu zdala do wtóru zaszumiał,
Ja wpatrzyłem się w gniazdo i wszystkom zrozumiał:
Gdzie niegdyś zbroje dziadów, tam dziś gniazdo ptasie;
Wnuk nową walkę toczy, już w ducha zapasie.
Został śpiew, bohaterów dzieło dalej przędziem;
Tylko wiary! byliśmy, jesteśmy i będziem.
Burzliwe moje serce w tej modlitwie drżało:
Ach, tyle pieśni wysnuć, ile w gnieździe brzmiało!



Przełożył *Br. Grabowski.*

Pierrefonds.

Napisał

Anatol France,

członek Akademii francuskiej.

(Dokończenie.)

Niewątpliwie ta ambicya jest wzniosła i szlachetna. Po wielkich mistrzach i ja jej podlegałem. Dziś nawet mam nieskończony podziw dla potężnych talentów, które usiłują odtworzyć przeszłość w poezyi i sztuce. Można jednak zrobić sobie to zapytanie, czy podobne pokuszenie może być uwieńczone powodzeniem i czy nasza znajomość przeszłości wystarcza, aby ją odtworzyć w jej właściwych kształtach i barwach i z jej właściwem życiem. Wątpię. Mówią, że my, dzieci XIX. w., posiadamy silnie rozwinięty zmysł historyczny. Zgoda. Ale przecież to zmysł nasz, t e g o c z e s n y. Ludzie, którzy przyjdą po nas, nie będą mieli tego zmysłu; będą mieli lepszy lub gorszy, nie wiem, i nie w tem rzecz. Lecz to jest pewna, że będą mieli zmysł inny. Będą oni widzieli przeszłość inaczej i będą niezłomnie wierzyli, że ją widzą lepiej, niż my. Toteż nasze odtworzenia przeszłości w poezyi i malarstwie sprawiać im będą więcej zdziwienia, niż zachwytu. Rodzaje w sztuce starzeją się szybko.

Pewnego dnia pewien wielki filolog, przechodząc ze mną koło kościoła Notre-Dame w Paryżu, rzekł do mnie, wskazując na postaci królów, które ozdabiają główną fasadę:

— Ci starzy rzeźbiarze chcieli przedstawić judajskich królów, a wykuli królów XIII. wieku i tem właśnie budzą w nas tak żywe zajęcie. Dobrze maluje się tylko siebie i swoich.

Toż samo trzeba powiedzieć o rzeźbionym zamku w Pierrefondzie. Oto Artus, który był nieskazitelnym rycerzem! Czując nadchodzącą śmierć, nie chciał, aby jego niezwyciężony miecz mógł wpaść w ręce, niegodne tej broni. Rozkazał tedy swemu giermkowi rzucić go w morze. Otóż ten niewierny giermek, mając na względzie dobroć miecza i jego wielką wartość, ukrył go w szczelinie skały, potem powrócił i oświadczył dobremu Artusowi, że jego miecz spoczywa w głębi wód morskich.. Ale, uśmiechając się z pogardą, Artus wskazał mu palcem wierny miecz, który

powrócił do jego boku, aby nie być wspólnikiem zdrady.

Wieża pod nazwą tego rycerza, którego miecz był tak wierny, była niewierną i zdradziecką, zawiera bowiem ciemnicę, zwaną oubliettes. Viollet-le-Duc tak ją opisuje: „Pod dolnem piątrem zamku jest jeszcze piętro o sklepieniu ostrołukowem, a pod niem piwnica siedmiometrowej głębokości, mająca eliptyczne sklepienie. Wejść do niej można tylko przez okienko, przebite w najwyższej części sklepienia, to jest zapomocą drabiny lub węzłowatej liny: w samym środku tej okrągłej piwnicy wydrążona jest studnia, mająca czternaście metrów głębokości, a jej otwór o średnicy jednego metra i trzy dziestu centymetrów odpowiada okienku, wyciętemu w eliptycznem sklepieniu piwnicy.

Światło i powietrze zewnętrzne dochodzi do piwnicy tylko przez wązką strzelnicę, a w murze zrobione jest siedzenie wychodka. Była więc przeznaczona dla istoty ludzkiej; studnia zaś wydrążona w środku, była prawdopodobnie grobem, zawsze otwartym.....“

Rycerze owi są umieszczeni pod zewnętrzną galeryą we framugach, obramowanych liśćmi roślinnymi. Liść jest arcydziełem budownictwa gotyckiego od XII aż do XV. w. Rzeźbiarz tych czasów znał tylko florę swych lasów i pól. Nie wiedział jeszcze o akancie Greków i o szlachetnej wytworności wolut. Ale umiał z wdziękiem upinać ostrokrzew, bluszcz, pokrzywę i oset u głowic swych kolumn; umiał rzucać po ścianach pęki kwitnących poziomek i rozwieszać wiązanki z gałęzi dębowych.

Framugi rycerzy, acz dość wysoko umieszczone, wydają się nam jakby ukwiecone. Dość jest popatrzyć na nie przez lornetkę, aby dostrzedz, że każdą inny liść ozdabia.

Rozmaitość rozkoszna panowała w rzeźbie ornamentacyjnej wieków, które nazwano gotyckimi. Toteż Viollet-le-Duc*), który miał za zadanie odtworzenie wszystkich motywów ornamentacyjnych zamku pierrefondzkiego, z całą usilnością dążył do nieskończonej rozmaitości form. Ani jednego fryzu, ani jednej „rosace“, któreby się powtarzały. Ta rozmaitość nadaje niezmierny wdzięk budowom, poprzedzającym epokę Odrodzenia, Odrodzenie zaś w chwili rozkwitu nie zrywa z tym miłym zwyczajem urozmaicenia motywów.

Prawdę mówiąc zadużo jest nowych kamieni w zamku pierrefondzkim.

Jestem przekonany, że restauracya tego pomnika, przedsięwzięta w r. 1858. przez Viollet-le-Duca i skończona według jego planów, jest dostatecznie przestudyowaną. Jestem przekonany, że główna wieżyca, zamek i zewnętrzne obwarowania przybrały postać pierwotną. Lecz starych kamienic, starych świadków już niema i nie jest to już zamek Ludwika Orleańskiego; dziś jest to obraz wielkości naturalnej tej starej siedziby. A zburzono właśnie ruiny, co także jest rodzajem wandalizmu.

*) Na rozkaz Napoleona III wspaniały ten zamek, zupełnie zrujnowany, znakomity ten architekt odbudował z najściślejszą wiernością tak, jak był pierwotnie. Zawiera on dziś bogate znamiona średniowiecznych zabytków.

LUD

w poezyach M. Konopnickiej.

I.

Gdybyśmy chcieli wymienić wszystkich naszych poetów, którzy kiedykolwiek zajmowali się w swych utworach ludem wiejskim, musielibyśmy sięgnąć czasów bardzo dawnych, bo jeszcze XV. w. i przytoczyć nazwisk omal że nie tyle właśnie, ile ich dzieje naszej literatury mieszczą w sobie

Wystarczy przypomnieć długi szereg sielankopisarzy, od Szymonowicza aż do Brodzińskiego, którzy z natury rzeczy ludem musieli się zajmować, aby uzasadnić zdanie powyższe; a przytem trzeba pamiętać, że i u takich pisarzy, jak Rej, Kochanowski, Klonowicz, wzmianki o wieśniakach, nawet obszerniejsze nieco, nie należą do wyjątków. Ale aż do końca XVIII. w. wzmianki te są suche, pobieżne i bezduszne; wspominano o ludzie albo dla dokładności obrazu, albo dla zadośćuczynienia modzie, która na wzór starożytnych sielankopisarzy kazała poetom stroić się w barwną sukmanę, pod którą nie umiano jeszcze dojrzeć i zrozumieć serca chłopskiego. Stosunki społeczne tłómaczą nam ten fakt zupełnie jasno: szlachta zbyt była zajęta własnemi sprawami, aby zwracać baczniejszą u-

ЛЬВІВСЬКА БІБЛІОТЕКА
ім УРСР
№

wagę na stan pogardzany, uważany za rodzaj inwentarza gospodarczego, którego pożyteczności i potrzebie nikt nie myślał przeczyć, ale w którego myśli i uczucia bliżej wglądać nikt nie uważał za stosowne.

Dopiero kiedy przy schyłku XVIII. w. zaczęły się szerzyć hasła, idące z Zachodu, o równości i braterstwie wszystkich stanów, kiedy u nas, po części nawet niezależnie od tych haseł, zaczęto pilniej zajmować się kwestyą włościańską, którą w konstytucyi 3. maja tak pięknie — w teoryi — załatwiono, wtedy i literatura piękna zwróciła pilniejszą uwagę na lekceważoną i pomijaną dotychczas olbrzymią warstwę narodu: jeszcze przed ogłoszeniem konstytucyi majowej podnosi Niemcewicz w „Powrocie posła“ sprawę uwłaszczenia chłopów. Prawie równocześnie zaś zaczyna się w całej Europie gwałtowny zwrot do poezyi ludowej, która miała być najlepszem lekarstwem na martwotę pseudoklasycznej literatury Jak przedtem wszyscy brali sobie za wzór i za wyłączny temat do poezyi życie dworskie, tak teraz staje się modą badanie zwyczajów ludowych i spisywanie legend i poezyj, które, nieskażone żadnymi martwymi przepisami, od wieków rozwijały się swobodnie pod nizkiemi strzechami kmiotków.

Ruch ten ożywia wprawdzie naszą poezyę i sprowadza ją na nowe zupełnie tory, ale nie przyczynia się wiele do wprowadzenia ludu w całej jego prawdzie do zaczarowanej krainy poezyi. Romantycy wyzyskiwali skwapliwie materyał, którego im pieśni i podania wiejskie dostarczały, ale przejęte stąd motywy przenosili w sferę zupełnie inną. nie mając wielkiej ochoty do zajmowania się gminnymi Maćkami i Kaśkami Żaden z naszych wielkich poetów nie pozostawił nam ani jednego typu chłopskiego, choć każdy z nich o sprawę ludu potrącał (Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, Słowacki w drobnych poezyach i „Złotej Czaszce“, Krasiński w „Śnie“); jedyny może wyjątek stanowi Garczyński, który pierwszy przedstawił w „Wacławie“ lud z zupełnym realizmem takim, jakim jest. W epoce romantyzmu można zatem mówić tylko o „poezyi ludu“ — „ludu w poezyi“ nie było jeszcze wówczas.

Pominąwszy mniejsze etapy w rozwoju sprawy, nas zajmującej, i kilka mniej ważnych nazwisk, znajdziemy ogromny postęp pod tym względem dopiero w poezyach Syrokomli. Ten skromny, a tak sympatyczny „lirnik litewski“ był pierwszym naszym poetą, który odczuł głęboko niedolę upośledzonego ludu wiejskiego, ukochał go całem sercem i stał się jego żarliwym orędownikiem. W utworach swych gromił z całą bezwzględnością niemiłosiernych i nieuczciwych panów, dowodził. że wieśniak, ulepiony z tej samej gliny, co i szlachcic, powinien także posiadać te same prawa, domagał się uwolnienia wieśniaków od jarzma niewoli, hańbiącego cały naród, i przedstawiał, że zapomocą oświaty powinno się i należy całą tę ogromną masę ludzi podnieść moralnie i intelektualnie i w ten sposób powiększyć także liczbę obrońców niepodległości Ojczyzny. Więcej niż połowę swych tak licznych utworów epicznych, lirycznych i dramatycznych poświęcił Syrokomla tej ukochanej przezeń sprawie, a przedstawiał ją tak wszechstronnie, że niebyło prawie kwestyi, związanej z ludem, którejby nie poruszył, jak niebyło tonu. w którymby do serc współbraci nie starał się w obronie pokrzywdzonych włościan przemówić. Dzięki temu znajdujemy w poezyach autora „Dęboroga“ tak różnorodny i tak bogaty zbiór typów ludowych, jak u żadnego innego naszego poety, a niejedną z tych kreacyj musi najsurowszy nawet krytyk zaliczyć do prawdziwych ozdób całego naszego piśmiennictwa.

Przykład przedwcześnie zmarłego „lirnika litewskiego“ nie pozostał bez wpływu i bez naśladowców. Cały szereg najmłodszych naszych pisarzy zaczął teraz zwracać pilniejszą uwagę na braci w siermięgach, badać dokładnie warunki ich życia, ich wyobrażenia i potrzeby i czynić ich bohaterami swych utworów. W powieści czynili to i czynią tacy pisarze, jak Sienkiewicz, Prus, Orzeszkowa, Klemens Junosza, Sewer i inni, w poezyi zaś przedewszystkiem Marya Konopnicka, w której twórczości sprawa ludowa jest jednym z głównych i charakterystycznych motywów artystycznych. Przyglądnijmy mu się zatem nieco bliżej, bo to pozwoli nam także zapoznać się z istotą talentu najznakomitszej z poetek polskich i najwybitniejszej dziś przedstawicielki współczesnego naszego Parnasu.

Tadeusz Pini.

Afrykański teatr wojny.

(Patrz rycinę na stronie 15.)

(Dokończenie.)

Tymczasem zaszły wypadki, które pogorszyły położenie obu państewek. W r. 1867. Boer z Hopetown w Oranii, von Niekerk, zobaczył, że dzieci jego sąsiada bawiły się kamyczkami przeźroczystymi jak szkło. Naiwne dzieci darowały mu największy, sprzedany w Europie za 500 funt. szt. Wnet potem nabył drugi kamień od naczelnika kraju Grikuy za cenę 500 owiec, 12 krów i 2 koni, w łącznej wartości 270 fnt.; za ten kamień otrzymał w Londynie 11.000 fut.: jest to sławna „gwiazda Afryki“, ważąca po oszlifowaniu 42½ karatów. Gdy potem inni zaczęli między ludnością poszukiwać i znachodzić takie cenne kamienie, a rzecz rozniosła się po świecie, rozpoczął się w Oranii okres gorączki dyamentowej, która ściągała tłumy awanturników i poszukiwaczy dyamentów. Początkowo poszukiwania ograniczały się do doliny rzeki Vaalu, później jednak znaleziono dyamenty także w zachodniej stronie w skałach serpentynowych kraju Grikuy, który należał do Oranii. Tu się przeniosła też cała gorączka i tu urosło w krótkim czasie, jak grzyb po deszczu, miasto Kimberley z 20.000 mieszkańców: kopaczy, kupców, a przedewszystkiem szynkarzy. Pod pozorem, że mała rzeczpospolita nie potrafi utrzymać porządku w tem mieszanem towarzystwie międzynarodowem, ani zabezpieczyć dostatecznie życia i mienia, wmieszali się Anglicy do sprawy; dla zachowania pozorów prawa wyszukano jakiegoś kacyka, który za kilkaset krów odstąpił „swoich praw do kraju Grikuy“, Anglikowi Cecylowi Rhodesowi i tą drogą przeszły pola dyamentowe pod panowanie Anglii; rządowi orańskiemu dano tylko 90.000 fnt. odszkodowania Protesty nic nie pomogły, Orania musiała pogodzić się z losem, w jej rękach pozostały tylko pola dyamentowe drugorzędnej wartości. Odtąd zaczyna się tu rozwielmożniać nietyle wpływ rządu, ile kapitalistów angielskich, na których czele stoi wspomniany Rhodes, zły duch południowej Afryki. — Do prowadzenia energicznej eksploatacyi potrzeba było kapitałów angielskich, albowiem najbogatsze pokłady znajdują się dopiero w głębokości 100—200*m* w skale, roboty przeto są kosztowne, ale obfitość kopalni przewyższa wszystkie dotychczasowe[1]). Ogółem wydobyto dotąd 30 mil. karatów, t. zn blizko 4.000 *kg.*, wartości 600 milionów kor. W Jägerfonteinie, na terytoryum orańskiem, znaleziono w r. 1893. największy dotąd znany dyament „Imperial“ wagi 960 kar. (prawie pół funta), który zakupiono i ofiarowano w darze papieżowi.

Odtąd pieniądz kapitalistów angielskich i spekulantów opanował te terytorya i zaczęto przemyśliwać nad sposobami wcielenia obu republik do państwa brytyjskiego, albowiem liczne ślady złota, znajdywanego w Transwalu od r. 1867., a od r. 1871. nawet już wywożonego, zaostrzyły apetyt Rhodesa i innych jeszcze podobnych także na Transwal. Jakoż już w r. 1876. wysłano do Transwalu oficyalnego delegata z Londynu, rzekomo dla porozumienia się z rządem rzeczypospolitej w sprawie środków, jakich rząd zamierza użyć dla ochrony mienia mieszkańców przed Kaframi, z którymi wtedy wojnę prowadzono, w istocie zaś dla wysondowania opinii w kraju. Sir Teofil Shepstone znalazł tu dość licznych zwolenników panowania angielskiego zarówno między handlowcami, którym chodziło o zniesienie ceł ochronnych, jak i między przeciwnikami ówczesnego prezydenta Bürgera. Z niesłychaną zuchwałością dokonał też zamachu stanu 12. kwietnia 1877., ogłaszając proklamacyę do ludności, że od tej chwili rzeczpospolita przeszła pod protektorat angielski. Stolica Pretorya, która liczyła wtedy 200 mieszkańców, nie stawiła oporu, wielka zaś ludność, rozrzucona po rozległych stepach, nie zaraz dowiedziała się o tem. Później rozpoczęto protesty, wysłano deputacye do Londynu z przedstawieniami, a gdy to nie pomogło, wszczęto wojnę. Wtedy wystąpił na widownię dzisiejszy prezydent, Krüger. Możeby zwycięztwa, które Boerowie odnosili, nie były zakończyły sprawy tak łatwo, ale w r. 1880. przyszedł do steru w Anglii niedawno zmarły szlachetny Gladstone i ten mimo silnych prądów przeciwnych zwrócił Transwalczykom wolność. W r. 1884. zawarto ostateczny traktat, na mocy którego „rzeczpospolita południowo-afrykańska“ otrzymała zupełną niezależność z tem jedynem zastrzeże-

---

[1]) Ryciny, podane na str. 7. i 15., przedstawiają kopalnie dyamentowe w Pretoryi. (*P. R.*)

niem, że nie zawrze żadnych traktatów z państwem obcem, lub plemieniem tuziemców na wschodzie lub na zachodzie bez aprobaty rządu angielskiego.

Tymczasem odkryto w r. 1886. ogromne pokłady złota, naprzód w dolinie rzeki Kaapu, dopływu Limpopa, w północnej stronie kraju, a potem jeszcze bogatsze na południu, w kwarcu gór witwatersrandzkich. Nowa gorączka ściągnęła tłumy awanturników do Transwalu, między innymi i angielskich kapitalistów, którym się otworzyło ogromne pole do interesów, eksploatacya bowiem szczególnie w Witwatersrandzie wymaga wielkich nakładów. Kwarc złotodajny znajduje się dopiero w głębokości 100—300 *m.* Kwarc ten kruszy się na proch w młynach, odpowiednio urządzonych, proch przepuszcza się przez rtęć, która dokładniej, niż najsprawniejszy celnik, wydobywa z niego całą zawartość kruszcu; następnie w retortach glinianych oddziela się znowu złoto od rtęci. Wydatność kamienia jest nadzwyczajna, 14 *gr.* złota z 1000 *kg.* kamienia (w Kalifornii 3 *gr.*); ale produkcya jest kosztowna z powodu głębokich robót górniczych i drogich cen życia (mieszkanie z 3 pokoi w Johannesburgu 1200 kor. miesięcznie). W produkcyi złota zajął teraz Transwal pierwsze miejsce w świecie; w r. 1897. produkcya wynosiła 100.000 *kg.* (na całej ziemi wydobyto w tym r. — 357. 364 *kg.*)

Oba okręgi złotodajne zaludniły się przybyszami z całego świata, przedewszystkiem Anglikami; ogniskiem ruchu na południu jest miasto Johannesburg, liczące dzisiaj już przeszło 20.000 mieszkańców białych, (podczas gdy stolica Pretorya ma ich ledwie 5.000), na północnem terytoryum urosło równie szybko Barberton.

Wobec tego odżyła dawna chęć zajęcia Transwalu pod panowanie brytyjskie. W pierwszym rzędzie zależy na tem klice kapitalistów, powiązanych w rozmaite towarzystwa akcyjne, na których czele stoi C. Rhodes. On też był główną sprężyną, działającą w obecnym konflikcie. Dla licznych obcych przybyszów (tzw. uitlanderów), przebywających w Transwalu czasowo tylko dla interesów, zażądano prawa wyborczego, aby, zapełniwszy nimi radę (Volksrad), drogą uchwały przeprowadzić zjednoczenie z W. Brytanią, lub wywołać wojnę w razie odmowy. Boerowie odmówili i oto mamy wojnę; rząd angielski dał się porwać tym spekulantom, bo rzecz przyszła w chwili, gdy w polityce angielskiej góruje plan stworzenia wielkiego państwa afrykańskiego od ujścia Nilu aż do Kraju Przylądkowego.

Z podziwem patrzy świat na te zapasy małych kraików z pierwszą potęgą świata Rzeczpospolita transwalska ma obszaru 315.590 km^2 (jest więc cokolwiek mniejsza niż Węgry), z ludnością 610.000, w czem tylko 11.000 białych. Orania zaś na obszarze 107.000 km^2 (= Galicya + Śląsk + Morawa) ma mieszkańców 133.518, w tem 61.000 białych. Boer afrykański nie wygląda wprawdzie tak romantycznie i poetycznie, jakim fantazya nasza przedstawia go sobie w tej chwili; jest to zwykły chłop holenderski, tylko że właściwości narodowe spotęgował jeszcze w ciągu prawie 300-letniego odosobnienia, ale wspiera go dzisiaj poczucie słusznej sprawy i zamiłowanie niezależności i samodzielności. Przywykł do życia w szerokich stepach, zdany zawsze tylko na własne siły, nie lęka się żadnego niebezpieczeństwa. Myśliwy zawołany, nie dla ochoty, lecz z potrzeby, znający kraj swój doskonale i umiejący w nim się poruszać, nadaje się przedziwnie do takiej partyzantki i sam stanie w potrzebie za oddział wojska. W walce bierze na cel tylko oficerów, a strzał jego nie chybia; stąd taka wielka liczba zabitych lub rannych oficerów w wojsku angielskiem. Te wszystkie okoliczności przechyliły dotychczas szanse walki na stronę Boerów. Ale z drugiej strony zimny rozsądca przeciwstawia temu niewyczerpane zapasy siły W. Brytanii w ludziach, okrętach, broni i pieniądzach. Samo porwanie się w takich warunkach nazwanoby w Europie szaleństwem. Co prawda, Europa dziś przeraźliwie wytrzeźwiała i z rachunku wypuszcza już zawsze czynniki moralne, jak: miłość wolności i ojczyzny, męztwo i honor. Ale były czasy, w których i Europa niekiedy tak szalała; dość przypomnieć Termopile i Salaminę, albo bohaterskie zapasy Holandyi z Filipem II. I oto właśnie potomkowie dzielnych towarzyszy broni Wilhelma Orańskiego po 300 latach zerwali się znowu do takiego boju, z pewnością w warunkach nie gorszych, niż tamci. Czy będą równie szczęśliwi — przyszłość okaże.

Mieczysław Warmski.

O wieku ziemi.

I.

Potężny rozkwit nauk przyrodniczych stulecia ostatniego doprowadził do pogłębienia umiejętności, tak daleko idącego, że teraz strona studyów i badań opisowych przestała już dawno być celem; stała się środkiem do celu: wyjaśnienia najtajniejszych zagadnień istnienia zjawisk, roztaczających się przed badawczymi zmysłami i dociekającym umysłem

Już w ostatnich latach wieku ubiegłego zdawano sobie dostatecznie sprawę z pochodzenia warstw, wchodzących w skład budowy sztywnej skorupy ziemskiej, a chociaż w szczegółach nie brak wątpliwości nawet do dnia dzisiejszego, to przecież już przed stu laty nie brakło umysłów, szczególniej w Anglii (Hulton i Playfair) które pojmowały trafnie genezę warstw ziemi. Rozróżniano trzy grupy utworów: krystaliczne masowe (granity), krystaliczne warstwowe, zawsze pofałdowane, połamane i ogromnie zakłócone (gnejsy, łupki krystaliczne odmian najrozmaitszych), wreszcie warstwowane utwory osadowe (piaskowce, wapienie, łupki ilaste, glinkowe, margle itd.) Tę ostatnią grupę utworów spostrzegano nieraz w stanie wypiętrzonym, sfałdowanym, w innych wypadkach znajdowano je poziomo ułożone, zawsze jednak w jednem miejscu grube, rozwinięte potężnie, klinujące się w pewnym kierunku, więc coraz cieńsze. Już ta budowa kształtu warstw osadowych przekonywała, że są one następstwem osadzania się namułu rzecznego w wodach mórz i jezior, ale odciski i skamieniałości ustrojów z wód słonych i słodkich, znajdywane w niektórych warstwach nieraz w ogromnej obfitości, usunęły wszelkie wątpliwości co do pochodzenia tych warstw.

Gdziekolwiek napotkano na kompleks warstw, należący przynajmniej do dwu tych grup, spostrzegano bez wyjątku, że granity znajdują się na samym spodzie, na nich spoczywają pofałdowane łupki krysztaliczne, a na tych dopiero warstwy osadowe. Ten fakt w związku z krystaliczną budową granitów, jakoteż podobieństwem do niektórych skał niewątpliwie wulkanicznego pochodzenia, doprowadził do poglądów następujących: granity są pierwotną skorupą ognisto-płynnej ziemi, gdy sztywniała, są przeto najstarszemi skałami na jej powierzchni, łupki krystaliczne są już młodsze, ale w każdym razie są najstarszymi utworami osadowymi na ziemi, bo powstały prawdopodobnie w przegrzanych wodach młodej ziemi; najmłodszymi wszakże są utwory osadowe, zawierające odciski i skamieniałości ustrojów (organizmów), których brak zupełnie łupkom krystalicznym. Widocznie w czasie, gdy łupki krystaliczne osadzały się z wód młodej ziemi, warunki ciepłoty i właściwości prastarej atmosfery ziemi wykluczały istnienie wszelkiego życia. Poznano jednak wkrótce, że skamieniałości warstw osadowych nie są rozrzucone w poszczególnych warstwach bezładnie. Gdziekolwiek spostrzegano kompleks warstw osadowych, zauważano, że mniej doskonały świat ustrojów (organiczny) pozostawił ślady swe zawsze w dolnej warstwie, a przynajmniej każdy utwór większy wskazywał, iż w czasach jego powstania istniały jemu tylko właściwe: roślinność i świat źwierzęcy. W ten sposób wyróżniono w utworach warstwowych 10 poziomów, które odpowiadają 10 okresom dziejów ziemi. Dla charakterystyki tych okresów, nadmieniam, że w pierwszym, najstarszym okresie osadowym już bardzo obfitujący i w gatunki i w osobniki świat ustrojów zamieszkiwał ziemię, ale ryby i skrytopłciowe rośliny lądowe pojawiają się dopiero w drugim, owady w trzecim, gady w czwartym, ptaki w piątym, ssawce w szóstym, a drzewa liściaste dopiero w siódmym okresie. Dokładne zbadanie resztek ustrojów w każdym poziomie — a była to tytaniczna praca kilku pokoleń — umożliwiło ocenę względnego wieku warstw, składających się na budowę jakiegoś kraju.

(Dok. nast.)

Eugeniusz Romer.

Z całej Polski.

Rozpoczynamy pod napisem powyższym kronikę najważniejszych wypadków współczesnych z życia narodowego, a będziemy ją pomieszczali w „Przyjacielu“ raz w miesiąc; sądzimy bowiem, że młodzież polska powinna się zawczasu zaprawiać do rozważnego obserwowania wszelkich objawów życia zbiorowego. Wiemy, że na wieczorkach mickiewiczowskich, urządzanych we wszystkich szko-

**

łach średnich tej części Polski, w której żyjemy, corocznie z ust młodzieży padają gorące zapewnienia, że interesuje ją żywo wszystko, co się dzieje wszędzie tam, gdzie brzmi mowa polska i serca polskie biją dla Ojczyzny. Wierzymy tym zapewnieniom i dlatego pragniemy ułatwić jej oparcie tych zapewnień o grunt realny znajomości wszystkiego, co w Polsce się dzieje, gdyż zdaje nam się, że najbardziej miłować można to tylko, co się zna dobrze i wszechstronnie.

* * *

Mając w Galicyi język polski w szkole i urzędzie, oraz możność pielęgnowania swoich ideałów narodowych, często niewszyscy wiemy, jak ciężką jest dola braci naszych w dwu innych dzielnicach Rzeczypospolitej.

W kolebce państwa polskiego, Poznańskiem, rząd pruski sili się, jak tylko może, wynarodowić Polaków. Dzień każdy przynosi nam nową, każdym razem coraz to boleśniejszą wieść o krzywdach, które walą się na naród nasz, tamują jego rozwój normalny i zmuszają do zużywania na samoobronę sił, obracanych przez inne narody na pomnożenie ogólnego dobra materyalnego i moralnego (oświaty).

Najstraszniejszym jest tam ucisk szkolny. Oto właśnie dowiadujemy się z pism polskich, wychodzących w Poznańskiem, że w Chełmnie, w Prusiech zachodnich, gdzie w gimnazyum istniał dotąd jeszcze księgozbiór szkolny polski dla uczniów, postanowiono go zamknąć, natomiast dawać uczniom-Polakom do ręki wyłącznie książki niemieckie. Wobec bardzo ograniczonej nauki języka polskiego w szkole średniej, a usunięcia jej ze szkoły ludowej, wiele osób, szczególnie pań, chętnie zbiera dziatwę na naukę języka polskiego. Rządy pruskie są konstytucyjne, a konstytucya nie sprzeciwia się prywatnej nauce języka polskiego. Ale władze pruskie, nie oglądając się na przepisy konstytucyi, wydają raz po raz okólniki, zabraniające prywatnego uczenia języka polskiego, a nieposłusznych skazują na kary pieniężne, niekiedy nawet dość wysokie, mimo że ci „nieposłuszni“ umieją wykazać zgodność swego działania z ustawami obowiązującemi.

Pomniki Mickiewicza w Poznaniu i Słowackiego w Miłosławiu kryć się muszą w ogrodach, a tymczasem Niemcy zamierzają uczcić Bismarka pomnikiem, który ma stanąć na ziemi polskiej, w Poznaniu, i za pieniądze polskie, bo wzięte z podatków, które Polacy składają. Przed rokiem rząd rosyjski wystawił w Wilnie pomnik Murawiewowi, zwanemu Wieszatielem, który w latach 1861—1863. był takim gnębicielem Litwy, że go sami nawet uczciwsi Moskale potępiają. Czem dla mieszkańców Wilna jest pomnik srogiego wielkorządcy, tem pomnik Bismarka będzie niezawodnie dla Poznania.

W zaborze rosyjskim z ostatnich tygodni mamy do zapisania nowe szczegóły do dziejów znanego ucisku unitów. „Zupełnie słusznie — pisze jeden z dzienników — porównują nasze stulecie pod względem prześladowania unitów z pierwszymi wiekami chrześcijaństwa. Zarówno jak pierwsi chrześcijanie, unici nasi nietylko ponoszą męczeństwo i prześladowanie wrogów kościoła, lecz wykazali także hart i moc ducha, dzięki którym z poddaniem znoszą cierpienia i trwają w swej wierze. Znowu 40 takich męczenników, włościan powiatu bialskiego (gub. siedleckiej) dostało po 25 rs. kary, albo 15 dni aresztu w razie niezapłacenia kary, za to, iż wszyscy odmówili pełnienia nocnej straży przy cerkwi prawosławnej w Terespolu“.

„Ciekawe i charakterystyczne — mówi dalej to samo pismo — są motywy tej odmowy... Oskarżeni... na zapytanie, czy przyznają się do winy, oświadczyli, że oni od czasu przyłączenia byłych unitów do prawosławnej cerkwi wyrzekli się jej raz na zawsze i żadnych czynności przy prawosławnej cerkwi nie spełniają i spełniać nie będą, choćby rząd najsurowiej za to ich karał“.

Naturalnie włościanie przegrali proces i musieli chwilowo uledz bezprawiu.

Ażeby módz wśród ludu polskiego szerzyć uległość dla rządu i wpoić mu przekonanie, że rząd rosyjski nie ma wobec niego złych zamiarów, generał-gubernator (wielkorządca) Królestwa Polskiego, książe Imieretyński, polecił kancelaryi swojej wydawać pismo dla ludu p. n. „Oświaty“. W Warszawie i we wszystkich prowincyach polskich w zaborze rosyjskim niema ani jednego pisma polskiego, któregoby przed wydrukowaniem nie czytali urzędnicy rosyjscy, zwani cenzorami. Urzędnicy ci kreślą wszystko, co wydaje się im zanadto „polskiem“. Takie czytanie pism wszystkich przed ich wydrukowaniem nazywa się cenzurą prewencyjną (uprzednią). „Oświata“ będzie wychodziła bez tej cenzury. Ks. Imieretyński zwrócił się do arcybiskupa warszawskiego, Popiela, z prośbą, aby polecił jednemu z księży swojej dyecezyi prowadzić cenzurę artykułów religijnomoralnych w „Oświecie“. Arcybiskup odmówił, bo nie chce, aby księża polscy przyczyniali się do szerzenia pomiędzy ludem pod osłoną języka polskiego kultury rosyjskiej.

W Galicyi w ostatnich dniach grudnia Sejm zebrał się na 2 posiedzenia celem uchwalenia t. zw. prowizoryum budżetowego, t. j. upoważnienia dla Wydziału krajowego do czynienia wydatków z kasy krajowej tymczasowo, zanim uchwali się budżet [1]). Jest zwyczaj, że każdą sesyę sejmu marszałek kraju i namiestnik zagajają mowami, w których streszczają działalność Wydziału krajowego i rządu w czasie między jedną sesyą sejmu a drugą. W tegorocznej mowie P. Namiestnik, dr. Leon hr. Piniński, szeroko mówił o rozwoju szkół wyższych i średnich w kraju i o usiłowaniach w celu ich podniesienia.

Komitet budowy pomnika Mickiewicza we Lwowie, na którego czele stoją profesorowie wszech-

---

*) Budżet krajowy jestto wykaz spodziewanych dochodów i przyzwolonych przez Sejm wydatków kraju, wedle którego Wydział Krajowy zobowiązuje się gospodarzyć w kraju przez cały rok.

nicy: dr. Br. Radziszewski jako przewodniczący, i dr. Pilat jako zastępca, obliczył, że ze składek ma na budowę pomnika 50.000 kor. Rada miejska dała na ten cel 60.000 kor., a potrzeba jeszcze 50.000 kor., gdyż koszt budowy obliczono ogółem na 150.000 kor. Komitet, ufając ofiarności ogółu polskiego, ma nadzieję, że uda mu się uroczyście odsłonić pomnik w r. 1901. Pomnik będzie miał kształt słupa (kolumny), nad której wykonaniem pracuje artysta rzeźbiarz, Antoni Popiel.

K. L. W.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 61. Skąd pochodzi nazwa języka d'oïl (prw. „Pierrefonds“ na s. 5.), co oznacza i w jakim stosunku język ten pozostaje do języka d'oc z jednej, a do dzisiejszego języka francuskiego z drugiej strony?

Nr. 62. Którzy naczelnicy i gdzie odznaczyli się najbardziej w powstaniu 1863. roku?

Nr. 63. Skąd pochodzi wyraz „jubileusz“, znaczenie pierwotne i dzisiejsze? Kiedy kościół katolicki obchodził po raz pierwszy jubileusz stuletni, oraz kiedy obchodu takiego niebyło w roku przepisanym?

Nr. 64. Pochodzenie i znaczenie wyrazów: neptunizm i plutonizm?

Nr. 65. Kogo i dlaczego nazywamy hakatystami? Jakie ich cele?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: *Konopnickiej* Adam Mickiewicz i *Nusbauma* Z zagadnień biologii i filozofii przyrody. — *NB.* Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 25. b.m. Przedpłaciciel „Przyjaciela młodzieży“ ma prawo do losowania o nagrody wymienione, choćby odpowiedział trafnie tylko na jedno zagadnienie!

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 56—60.

Nr. 56. Al. Chodźki ballada „Maliny“, na której Jul. Słowacki oparł swą tragedyę „Balladynę“, przerobioną przez Wł. Żeleńskiego na operę p. n. „Goplany“; Ant. Czajkowskiego ballada „Maliny“, Jul. Turczyńskiego „Czarnobrewiec“. Na motywie „Dwu sióstr“ opierają się też liczne podania i pieśni ludowe polskie. Por. o tem wyborną rozprawę Wł. Bugla „Tło ludowe Balladyny“ w t VII. „Wisły“, czasopisma ludoznawczego warszawskiego

Nr. 57. Gdy cała władza ześrodkowywa się w jednem miejscu i w jednym urzędzie, mówimy o rządzie centralnym (od łać. *centrum*, środek); urządzenie państwa na tej zasadzie nazywamy centralizacyą, a dążenie do utrzymania tego urządzenia centralizmem. Jeśli jest to państwo jednolite narodowościowo — czego dziś o żadnem niemożna powiedzieć — urządzenie takie nie nastręcza trudności. W przeciwnym razie, zwłaszcza gdy powstało drogą podbojów, poszczególne części państwa, pomne swej przeszłości, która wyrobiła odmienny ich charakter i odmienne potrzeby w teraźniejszości, odczuwają dotkliwie zgubne wpływy zogniskowania władzy w rządzie obcym, nieświadomym warunków i potrzeb każdej części, lub nie uwzględniającym ich z innych przyczyn. Ich marzeniem musi być odzyskanie niepodległości państwowej, lub przynajmniej ułożenia stosunku swego do państwa w ten sposób, by tworzyły wprawdzie na zewnątrz jedną całość wobec państw innych, na wewnątrz wszakże zachowały swą odrębność i niezależność Taki stosunek wygląda na stałe przymierze tych części i dlatego zwie się federacyą (z łać. *foedus*, przymierze), a dążenie do takiego urządzenia państwa federalizmem. Zasada federalistyczna zwyciężyła w Szwajcaryi, Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, w Niemczech i w osadach angielskich, tworzących z Anglią tzw. Wielką Brytanię. W Austro Węgrzech jedynie Węgrzy wywalczyli sobie taki stosunek do drugiej połowy monarchii, inne części składowe, przedewszystkiem kraje korony św. Wacława (Czechy, Morawa i Śląsk) walczą oń oddawna. Rząd główny, zmuszony okolicznościami zewnętrznemi, tj. wojnami niepomyślnemi, poczynił pewne ustępstwa na rzecz owych części Mianowicie dyplomem cesarskim z 20. paźdz. 1860. przyznano krajom w Przedlitawii swobodę stanowienia własnych praw i rządzenia się niemi — ale w obrębie ustaw ogólno-państwowych. To nazwano (niezupełnie słusznie) autonomią; wyraz ten grecki (*autós* = sam i *nómos* — prawo) przetłumaczono na polski: samorząd. Taki ustrój posiada też Galicya, a w jej obrębie powiaty i gminy, tak miejskie, jak wiejskie

Nr. 58. Nazwa miasta Pretoryi pochodzi od nazwiska M. W. Pretoryusa, pierwszego prezydenta „Rzeczypospolitej południowo-afrykańskiej“ i syna zwycięzkiego wodza Boerów z pierwszej połowy b. w., na którego cześć je założono.

Nr. 59. Deszcz, największy na świecie, pada w Czerapundżi w górach Khasi u stóp Himalajów (wys. 1398 m.), bo przeciętnie 12086 m.; drugim punktem jest Debundża w Kamerunie z 9 m.

Nr. 60. Polonimu — pierwiastek chemiczny, niedawno odkryty w Paryżu przez polkę, panią Currie-Skłodowską.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 10. stycznia b. r.

(wszystkie) Auditor, (świetnie), (56—8). Prajer, Podobiński, Samborzanin, (56—7, 60), Badura, Machalski, Michalewicz, R. Witoszynski, (56, 59-60) Iduna, (57, 59—60) K. Stadtmüller, (56-7) Ἀνήρ, Bednarowski, Ἡρακλῆρ, Michalski, Młynek, Piotrowski, Reinhold, Sfinks, Stamm, (56,

60) Pordes (57, 59) Grotowski, (57, 60) Wiktor, (58—9) Masiuk, (57) Smolka, Zawirski.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Zawirski (Smoleńskiego), Smolka (ks. Brykczyńskiego), R. Witoszyński (Biernackiego).

Rozwiązanie łamigłówki z nru 1.

Wiersz podany można odczytać jako heksametr daktyliczny, wyrażając znaki pisarskie słowami: Bar ba-ra com-ma me-um duo pun-cta mi ra-bi-le pun-ctum.

Trafne rozwiązania nadesłał do 10. stycznia b. r.:

Machalski.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Do Wszystkich Czytelników. Prosimy o jak najgorętsze rozpowszechnianie pisma naszego między znajomymi. Im liczniejszy będzie zastęp przedpłacicieli, tem częściej będziemy mogli je ilustrować i dodawać osobne kartony na wzór tego, który dołączono do nru 1., a który podobał się ogólnie, tem łatwiej będziemy zdążali do doskonałości, zwolnieni od troski o byt materyalny pisma. Przedewszystkiem zaś w każdym księgozbiorze szkolnym „Przyjaciel“ powinien się znajdować! — *Bol. B. w T.* Znakomite dzieło 2-tom. prof. Zdziechowskiego „Byron i jego wiek“; kompilacya Biegeleisena „W. Szekspir“ jako t. X Dzieł tego poety, wydanych przez Księgarnię polską we Lwowie 1897. Do konkursu dopuszczone wszelkie opisy. *Cyprowskiemu.* Próbki jeszcze niegodne druku, ale uczucia sporo pozwala rokować nadzieje. Tylko czytać wciąż wzory naszej poezyi (Kochanowski, Krasicki, Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Asnyk)! *K. L. M.* Jeżeli „leksykon“ oznacza „encyklopedyę“, to jedynie Enc. Macierzy polskiej w 2 t., jeżeli „słownik“, to „Słownik języka polskiego“, wydawany obecnie w Warszawie. — *L. M.* Odpowiedzieliśmy kartką. — *Laczyce z Gór.* Już mamy gramatykę ruską dla Polaków; wydali ją właśnie prof. Konarski i Kokorudz. - *Niezapominajce.* K. Wojciechowski „Podręcznik do hist. liter. polskiej“ (Lw. 1899), A. Zipper „Repetitorium der deutschen Literaturgesch.“ lub P. Frank „Handbüchlein der dt. Litgesch.“, F. Terlikowski „Życie Greków i Rzymian“, dzieje według Zakrzewskiego podręcznika. Reszta w nrze 3. — *K. Piotr.* Było to jedyne zażalenie, wina więc zapewne poczty. — *R. W. W.* Otworzymy tę rubrykę w nrze 3. po porozumieniu osobistem. *S. S. w S.* „Alphabete in allen Stilarten u. Zierschriften“, wydane w Wiedniu nakładem Pichlera (3 lub 4 kor.)

Ingora. Brak wytrwałości i zniechęcenie, ciężkie wrogi rozwoju młodego pokolenia, można zwalczyć tylko cierpliwą pilnością, energią i odwagą. Piękne wzory podaje S. Smiles w książeczce o „Samopomocy“ (po polsku wyd. w Warsz., po niem. p. n. Selbsthilfe, Univ. Bibl. 3267—3269), którą polecamy do czytania dla odpoczynku wśród nauki do egzaminu dojrzałości. Przygotowanie rozpocząć należy od historyi, bo ten przedmiot trzeba kilka razy powtórzyć, aby utrwalić w pamięci; potem historya literatur, a na końcu fizyka; z matematyką trzeba skończyć w ciągu roku. Codzienna, prawidłowa praca najłatwiej prowadzi do celu i najpewniej chroni przed znużeniem. Wiek XX. zaczyna się z dniem 1. stycznia 1901.; tylko Niemcy z nieuzasadnionego rozkazu swego cesarza zaczęli go już z rokiem bieżącym.

Od administracyi.

Wszystkich Sz Przedpłacicieli lwowskich upraszamy o odbiór numerów pisma naszego wprost w lokalu administracyi co 1. i 16. dnia w miesiącu, lub w dniach następnych; wystarczy przysłać kogokolwiek z kartą prenumeracyjną, po którą należy się zgłaszać również w administracyi.

Nieliczne zbroszurowane egzemplarze rocznika I. pisma naszego, które posiadamy jeszcze na składzie, są do nabycia po cenie 4 *k* 50 *h* w lokalu administracyi, po 5 *k* w księgarniach.

Galor. Nie rozumiemy, dlaczego powiedziano „jeszcze tylko jeden kwartał“. Chętnie zaczekamy. N-ry wysyłać będziemy. Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 koronę 50 hal.; nie dopłacili przeto 25 hal.: St. Bl. Kraków, Rom. Kr. Lwów, Ar. Sp. Lwów, St L. Rzeszów, Wilh. Wysp. Tarnów, Lud. Pr. Radł. Nie doplacili 24 *h.* Bol. Bat. Tarnów, Alb. Cetn. Lwów. Nie dopłacili 50 *h.* Grz. Piotr. Tr., Em. Somm. Kleszcz., Woj. Sołt. Zł. Nie dopłacili 20 *h.* Wł. Sm., Kraków.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Dr. Franciszek Krczek.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia). Redaktor przyjmuje w każdą sobotę (z wyjątkiem świąt) w godz. 5—6 wieczorem.

Treść nru. 2.: *Fr. Krczek*, Franciszek Smolka. (Dok.) — *T. Czapelski*, Spisek studencki. — *J. Vrchlicky*, Motyw z Krzywoklatu (wiersz z sylwetką poety) — *A. France*, Pierrefonds (Dok.) — *T. Pini*, Lud w poezyach M. Konopnickiej. — *M. Warmski*, Afrykański teatr wojny (Dok.. z ryć.) — *E. Romer*, O wieku ziemi. *K. L. W.* Z całej Polski — Zagadnienia. — Skrzynka pocztowa Redakcyi i Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 1. lutego 1900.



Rok II.

Nr. 3.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyń zy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

W progach ubogiej chaty chłopskiej mieszka jeszcze serce czyste i spokojne Z tej krynicy trzeba czerpać nam siłę do odrodzenia, do nowego życia. *Fr. Rawita Gawroński.*

Urywki z pamiętnika Halki

o l. 1860—64.

... Komu nie zaryły się w pamięci na wieki wypadki polityczne od roku sześćdziesiątego? Ktoby mógł spojrzeć suchem okiem na krew niewinną i jęki swych braci, kiedy nawet nieprzyjaciele płakali nad naszą dolą?! Okropnych scen byłam świadkiem; bo mąż, od samego początku czynny w sprawie narodowej, całą duszą był oddany obowiązkom Polaka. A ja nie śmiałam osłabiać w nim ducha i poczucia, tak świętego, łzami i obawą, która łatwy ma przystęp do słabych serc kobiecych ...

Jedną z pierwszych i celniejszych demonstracyi w Warszawie była procesya na Starem mieście dn. 25. lutego 1861. r. Po długiem uśpieniu zbudził nas, jak trąbą archanioła, śpiew: „Boże coś Polskę". Zadrżały z radości mury poczciwej naszej stolicy, a Moskal zdumiał się na widok chorągwi karmazynowych z białem. Szablą w ręku usiłował wydrzeć te godła narodowe, tratując dumne polskie głowy, które się poważyły podnieść z pod jarzma moskiewskiego. A nasi, drwiąc z wroga, znosili odważnie prześladowanie, ożywieni nadzieją lepszego jutra. Dla tych z naszego kółka, którzy wyjdą cało z procesyi, daliśmy hasło zebrania się w Teatrze rozmaitości. Doliczyliśmy się wszyscy, ale moi panowie wrócili z poszarpanem ubraniem, poturbowani, niektórzy z sińcami... Zabawnie wyglądała scena, na której odgrywano Narcyza (Rameau, s tukę znaną A. E. Brachvogla) czy inną komedyę, bo nikt nie zwracał uwagi na aktorów, którzy jednak musieli swe role odegrać do końca.

W dniu 27. lutego, nie spodziewając się zajść krwawych, pojechałem z wizytą do znajomych. Wracając przez Krakowskie przedmieście usłyszałam strzały. Mnóstwo zebranego ludu upewniło mnie o nowej katastrofie. Dorożkarz nie chciał jechać dalej. Wysiadłam... I naraz okropny widok odsłonił się moim oczom. Pierwsi polegli nasi bracia z ostatnie-

go powstania; leżeli na bruku, krwią zlanym, pasując się z śmiercią... Kozacy przebiegali ulice, chłostając nahajkami przechodzących. Szłam wolno trotoarem, drżąc ze wzruszenia wewnętrznego; trzymałam się ściany, ażeby nie upaść. Instynktowo znalazłam się w mieszkaniu naszem, ale i tam męża niebyło. Przyszedł jednakże wkrótce, smutny, z krepą na kapeluszu. Kazał mi ubrać się w żałobę, poczem poszliśmy do hotelu Europejskiego odwiedzić ciała poległych. Ale nie mogliśmy się dotłoczyć i dopiero nazajutrz widziałam naszych męczenników. Trudno skreślić piórem wrażenie moje na widok pierwszych ofiar z ostatniego powstania. Pogrzeb wspaniały, którego wspomnienie historya dalekim przekazała pokoleniom, tylko ten wyobrazić sobie może, kto był świadkiem naocznym uroczystego pochodu, zwolna posuwającego się przez kirem przybrane ulice Warszawy. Niezwykły spokój przy udziale takiej masy ludzi świadczył o boleści, rozlanej na wszystkich twarzach. Prócz osób, złożonych ciężką chorobą, ani jedna dusza polska nie została w mieszkaniu. Wszyscy śpieszyli na Powązki...

Powracając na wieś, spotkaliśmy w lesie kilku młodych ludzi, równo ubranych, w czamarkach ciemnogranatowych, w lakierowanych kaszkietach i butach. Twarze ich wynędzniałe, żółte, intrygowały nas tem więcej, że widocznie unikali spotkania, kryjąc się za drzewa. Po wsi mówiono, że mnóstwo takich bladych panów po lasach się kręci, cierpiąc głód i zimno, a nic przyjąć nie chcą.. Staraliśmy się wraz z sąsiadami wyśledzić szczególne posłannictwo rozprószonych po lesie, ale napróżno. Skomunikowanie się z nimi było niepodobne. Jedni sądzili, że to partya Mierosławskiego dla podburzania ludu przeciw szlachcie, drudzy, że się ukrywają przed branką do wojska. Przestaliśmy nareszcie badać, lecz chcąc zapobiedz nędzy, kazaliśmy wśród lasu wkopać kotły, które co rano kucharz mięsem napełniał. Często można było przy nich zastać mnóstwo leśnych mieszkańców, których lud c z a r n y m i b r a ć m i nazywał, ale czem prędzej w głąb lasu pierzchali, gdy się kto z naszych zbliżał, chociaż z wieśniakami tajemne miewali narady...

Przez ten czas bywały zjazdy obywatelskie w naszej okolicy, w których mąż brał udział... Raz powrócił z sejmiku, oznajmiając, że się przyłączył do liczby tych, którzy wbrew zakazowi rządu obchodzić będą pamiątkę Unii i ponowienie złączenia Litwy z Koroną na granicy t. zw. krajów zabranych. „Jedź, — powiedziałam, — ale zabierz mnie z sobą!“ I tak się stało..

Noc była cicha — gdyśmy stanęli w Stefankowicach, ostatniej stacyi przed Horodłem, gdzie kilkanaście tysięcy Polaków obozowało pod gołem niebem... Niedługo gwar się zrobił na dworze, bo trzecia wybiła, a najdalej o piątej mieliśmy wyruszyć pod Horodło. Moi panowie już nie spali, a za chwilę całe tłumy zaległy świątynię, w której odbywało się nabożeństwo na naszą intencyę... Po nabożeństwie ustawiono porządkiem szeregi nasze. Księża wystąpili naprzód z krzyżami. Za nimi 7 kobiet, żony i córki urzędników z Horodła, niosące obrazy.. (Musiano iść pieszo 10 wiorst w piasku, bo taką jest odległość Stefankowic od Horodła). W połowie drogi zatrzymały się nasze szeregi, bo ks. Bojarski jeszcze przemawiał i podnosił ducha, a przytem uspakajał poburzone umysły, ażeby zapobiedz grożącemu nieszczęściu... Śpiewając: „Pod Twoją obronę“, pochód ruszył dalej. Prawie całą drogę od Stefankowic ciągnęły się krzaki wyciętych lasów; z poza nich wyglądały czapki i piki kozaków, którzy nam mieli tył zabrać A naprzeciw ukazały się szeregi nieprzyjacielskie, gotowe do boju, i armaty, które lada chwila miały sypać na nas mordercze kule.

(Ostatecznie po porozumieniu się z jen. Chruszczewem, dowódcą nieprzyjaciół, uzyskano możność odprawienia nabożeństwa pod Horodłem).

Obchodziliśmy odnowienie Unii Litwy z Polską wśród chorągwi narodowych i mów patryotycznych, otoczeni działami i szeregami nieprzyjaciół, którzy z odkrytemi głowami byli przytomni ofierze mszy świętej. Polacy ścięli dąb, który przynieśli na barkach, i na wzgórzu, gdzie się odbywało nabożeństwo, ustawili z niego krzyż. A pod tym krzyżem Polki usypały kopiec. Na to wszystko patrzył wróg i nie obojętnie, ale z rozczuleniem. Widać było cały czas powiewające białe chustki — w szeregach nieprzyjacielskich. Nie pot niemi ścierano, ale łzy, bo i tam byli Polacy A gdy podczas Podnie-

sienia, jakby z ziemi wyrosły, ukazało się 30 chorągwi narodowych, gdy Orły i Pogonie przy promieniach słońca powiewać zaczęły, a lud padł na twarz, skrapiając łzami ukochaną ziemię, Polacy w szeregach nieprzyjacielskich, nie mogąc się oprzeć pokusie połączenia z nami, wjechali konno w nasze grono i, ściskając ręce tym, co stali bliżej, wśród łez szeptali do ucha: „I my Polacy — i w nas polska krew płynie!“ Na nabożeństwie było kilkadziesiąt kobiet z okolicy, które w ekwipażach czekały z daleka na rozwiązanie tej sprawy. A gdy pomyślny obrót wzięła, przybyły pod Horodło, gdzie rozdawały chorągwie i rozmaite upominki.

Gdyśmy wracali wszędzie po miasteczkach witano iluminacyą wszystkich, co mieli udział w tej wyprawie... W Lublinie przenocowaliśmy. Rano przyszli do nas Żydzi z prośbą, ażebyśmy raczyli przybyć do bożnicy: że tylko tam godnie przyjąć mogą powracających z Horodła. Poszliśmy i nie zapomnę, jakie na mnie uczyniły wrażenie żydowskie ceremonie. Rabini w okryciach, srebrem litych, kiwali głowami, jak lalki chińskie, nad ogromnemi księgami. A najoryginalniej wyglądało, jak ksiądz X., nasz towarzysz podróży, wraz z rabinami i z całem żydostwem śpiewał pieśni narodowe.

Chcieliśmy powracać na Warszawę, ale na szosie zatrzymano nas. Jakiś szpieg doniósł o naszej wyprawie i na rogatkach czekano na nasz omnibus, ażeby razem całą deputacyę powiatu naszego przewieźć do cytadeli. A w tym dniu stan wojenny ogłoszono w Warszawie. Słuchając dobrej rady, podzieliliśmy się na partye. Każdy boczną drogą powrócił do siebie...

Podczas demonstracyi w Horodle był pogrzeb wspaniały w Warszawie arcybisk. Fijałkowskiego, także jedna z ważniejszych uroczystości narodowych, które poprzedziły powstanie.. Po ogłoszeniu stanu wojennego w Warszawie, zamknięciu kościołów itd., działo się coraz gorzej. Nareszcie pierwsza ukazała się szubienica, na której zawisł biedny Jaroszyński... Krwawe dzieje rozpoczęły się w całem znaczeniu... Nadszedł styczeń, a z nim pierwsze wyjście w lasy naszych rycerzy.

Dopisek Red. Podaliśmy urywki powyższe, ażeby młodym czytelnikom naszym dać wyobrażenie o chwilach, które bezpośrednio wyprzedziły wybuch powstania styczniowego, pod kątem widzenia osoby współczesnej, naocznego świadka owych wypadków doniosłych.

W styczniową noc.

W bezksiężycową noc gwiazd cichych boru za-
[dumanie
Wodzi oczami po bezbrzeży
Równi śniegowej, co w dal bieży,
Sama nie wiedząc snadź: kiedy u kresu drogi
[stanie,
A blada, smukła Cisza, w dół opuściwszy oczy,
Pustynią białą zwolna kroczy.

Nagle nią szarpnął Strach — wstrząsnąwszy się
[podniosła głowę,
Spojrzała przed się w dal i pełna drżącej trwogi
[pierzchła,
A wpół zdumiony bór patrzy w głąb dali, co —
[zamierzchła —
Rzuca mu z swoich płuc jakgdyby zgiełki walk
[echowe.

Oto już widać: kłąb groźny, jak chmura, gnana
[burzą,
Pędzi — a przed nim szum leci i jakby chrzęsty
[broni —
Rośnie i gna! i grzmi! Widać już zbite masy koni:
To wojowników huf pędzi — ich kształty w przód
[się dłużą,
A piersi ich nie w stal okute, ni w szyszaki czoła,
A groźną duszę ich rozpacz potężna w dal gdzieś
[woła!

Już przegrzmiał huf, a bór, co szumiał jeszcze —
[pełen trwogi,
Obaczył nagle gdzieś w głębokich jarach swej pa
[mięci
Ten sam potężny huf, jak gna przez śnieżnych
[pól odłogi
Na jakiś straszny bój, co wielką sprawę krwią
[poświęci —
I dziwny zdjął go dreszcz i podniósł czoło, pełne
[dumy,
I znikającym już rzucił wieczystej czci poszumy.

Witołd Oksza.

Z najnowszej naszej literatury dramatycznej.

II.

J. Nowińskiego „Biała gołąbka“.

W legendarny świat podań rodzimych wprowadził swych słuchaczy i czytelników

twórca „Zaczarowanego koła“, (o którem prw. w nrze 1. Przyjaciela); w inne sfery, lecz również pełne nastroju, wiedzie nas autor „Białej gołąbki“. Tam były postaci fantastyczne, tu znów na planie pierwszym osoby historską dynastyę, żyje spokojnie na uboczu. Młody Carlo, widząc raz pastwienie się syna obecnego władcy nad nędznym żebrakiem ulicznym, stanął w obronie ofiary i zabił ciemiężcę; w obawie kary srogiej musiał opu-



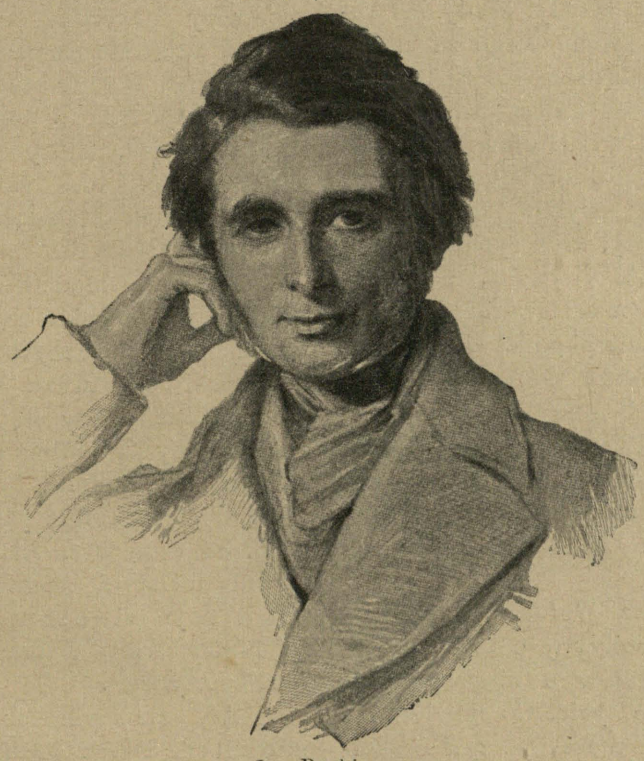
Maciek w powstaniu.

storyczne; tamten utwór jest baśnią dramatyczną, ten poematem dramatycznym.

Bohaterem jest młody szlachcic moleński, Carlo Corsi; rodzina jego w dawnych czasach władała księstwem, a wyparta przez uzurpaścić miejsce rodzinne i pod przybranem nazwiskiem tułać się po świecie. Książę Moleny daremnie poszukiwał zbiega. Wreszcie nie mogąc wywrzeć na nim zemsty za zamordowanie ukochanego syna, zabrał posiadłości

Carla i zburzył jego siedzibę rodzinną. Lat ośm od tej chwili upłynęło; w piersi Corsiego tęsknota za krajem ojczystym wzrosła i pod jej wpływem związał się potajemną z siąsiednim władcą Sarmy umową mocą której obaj, działając wspólnie, mają zdobyć Molenę, nieprawnie panującego wygnać i potem uczynić stosowny podział.

Pod obcem nazwiskiem francuskiem Carlo przybywa do Moleny, ażeby przeprowadzić swój plan zdradziecki, a mianowicie, zaciągnąwszy się na ochotnika, wybadać stosunki i położenie i w chwili wybuchu wojny z księciem Sarmy przejść z orszakiem niezadowolonych na jego stronę. Zbrodnicze te zamysły krzyżuje jednak niespodziewany wypadek — miłość; po powrocie do Moleny zakochał się Carlo nieznany w nieznanej sobie córce księcia i pozyskał gorącą z jej strony wzajemność. W miłosnem upojeniu zapomina o swych planach i namawia swą ubóstwianą do ucieczki. Ale w dniu uroczystym wprowadzony na dwór księcia, poznaje, kim jest jego piękna Bianka. Zrywa więc umowę z władcą Sarmy i postanawia walczyć pod sztandarem księcia dla Bianki. Z tryumfem, pełen sławy, powraca zwycięzcą z wojny — i oto następuje moment tragiczny. Książę Moleny dowiaduje się, że jego zbawca i kochanek jego córki jest Corsim, mordercą jego syna. Dla starca cios to śmiertelny. Umiera również Bianka, nie wiedząc jednak o całej grozie położenia Carlo zaś nie przyjmuje tronu, ofiarowanego mu przez lud, lecz idzie walczyć za wiarę na Maltę, zostaje żołnierzem Chrystusowym.



Jan Ruskin.

Nie Carlo jednak jest bohaterem dramatu, nie jego czyny skupiają na sobie uwagę wszystkich, nie jego postać wysuwa się na plan pierwszy. Rola przodownicza przypada pięknej a nieszczęśliwej Biance, gołąbce białej. Od niej, jak od gwiazdy promiennej, bije światło, w którego blasku wszyscy się zmieniają; przed nią, jak przed istotą nadziemską, wszyscy się korzą; miłość, którą obdarzyła wybranego, zniewala dla niego serca nasze, wzmaga dlań nasze współczucie. Bujna wyobraźnia poety wymarzyła czy wyśniła tę postać, subtelne pióro jego oblokło ją w szaty rzeczywistości, a dla oceny piękności jej szukać trzeba do porównania istot kobiecych, które powstały w widzeniach Dantego lub Petrarki. Z pięknych epizodów dramatu nie wolno pominąć milczeniem sceny, kiedy Corsi zwiedza zwaliska swej siedziby rodzinnej w towarzystwie starego, wiernego sługi, pilnującego zgliszcz z wydartemi przez wroga oczyma. Scena ta wywiera wrażenie głębokie. Również silnym jest monolog księcia przed portretem zabitego syna z którym rozmawia jak z żywym, prosząc o przebaczenie, że dotąd nie mógł wykonać zemsty na zabójcy. Pod pióro ciśnie się jeszcze cały szereg ustępów dramatu, godnych podniesienia, — przemilczam je, podnoszę jedynie w końcu jako wielką zaletę dzieła piękny, poetycki język. Jako błąd naszego poematu dramatycznego należy wytknąć wadliwość budowy jego: pierwsza to jednak próba na tem polu młodego autora, wielka droga przed nim otwarta i można już dziś żywić niepłonną nadzieję, że, jeśli teraz dał tak piękne dzieło poetyckie z czasów włoskiego Odrodzenia, to kiedyś wyjdzie z pod pióra jego utwór, który stanie się naszej literatury dramatycznej odrodzeniem.

Br. Gbr.

Jan Ruskin.

Trzy nazwiska cieszyły się największym rozgłosem w Anglii przed pół wiekiem: Gladstone (czyt. Glecton), Martineau i Ruskin (czyt Rösk'n). Ci, którzy dodali nazwiskom tym blasku, dziś już spoczywają w grobie. Najpóźniej, bo 20. z. m., dokonał ziemskiej pielgrzymki ostatni z wymienionych, co do znaczenia i wpływu jednak pierwszy między nimi, w ogóle zaś jeden z największych mocarzy ducha. Wprawdzie ojczyzna Ruskina nierychło zrozumiała swego proroka, wprawdzie poza W. Brytanią idee jego poczęły się przyjmować dopiero wtedy, kiedy ich rodzic, uznawszy pracę życia swego za ukończoną, cofnął się w zacisze urocze nad jezioro konistońskie (Coniston Lake), jednak tem szybciej rosną szeregi wyznawców jego haseł. Dopomogły do tego przedewszystkiem w Anglii 2-tomowy wybór dzieł tego mistrza angielskiej prozy, oraz życiorysy pióra Collingwooda i J. A. Hobsona, na „kontynencie" książka Francuza Roberta Sizeranne'a p. n. Ruskin i kult piękna. U nas poznano też po raz pierwszy dokładniej myśli przewodnie estetyki i etyki ruskinowskiej właśnie z tej książki, wydanej po polsku w r. z.*) Przed kilkunastu dniami otrzymaliśmy też pierwszy tomik przekładu „Wyboru pism" Ruskina p. n. Malarstwo i poezya" (Warsz 1900., 65 ct.)

Są to najważniejsze źródła, przystępne czytelnikom polskim, którzyby chcieli dowiedzieć się więcej szczegółów o niepospolitym Angliku i o pracy jego życia. Co bowiem zamyślam podać poniżej, może być tylko szkicem pobieżnym, niejako streszczeniem wybornej charakterystyki Ruskina, umieszczonej przed 2 laty w niezrównanym miesięczniku angielskim, Przeglądzie przeglądów.

Jeśli na kim dobitnie można stwierdzić prawdę słów poety o młodości-rzeźbiarce, co wykuwa żywot cały, to z pewnością na Ruskinie. Jako syn zamożnego handlarza win (* w lutym 1819), już od czwartego roku życia towarzyszył z matką ojcu w dorocznych podróżach kupieckich po Anglii, Walii i Szkocyi. W ten sposób nietylko poznał dziecięciem najpiękniejsze okolice swej ojczyzny, lecz także miał sposobność zwiedzenia głównejszych galeryi obrazów po zamkach lordowskich; ojciec bowiem, zamiłowany w malarstwie, i sam zbierał dzieła mistrzów cenionych i w swych wycieczkach po kraju zaglądał skwapliwie do zbiorów prywatnych. Tak więc przyroda i sztuka były pierwszemi nauczycielkami małego Jasia, co więcej — uczyniły go poetą i rysownikiem, zanim skończył 10 wiosen. Po opisach wierszem i prozą (z własnymi rysunkami) wrażeń, doznawauych ze strony przyrody i dzieł sztuki, malec 7-letni wziął się do powieści w stylu Edgeworthównej (1767—1849). Rychło nazbierało się pism tych na 3 tomy! Także to musiało ucieszyć ojca, który marzył o synu-poecie uwieńczonym, ale równocześnie zasmucić matkę, ponieważ chciała widzieć dziecię swe biskupem anglikańskim!

Na razie młodzik rozwijał się po myśli rodzica. Przyczyniał się do tego sam wybór nauczycieli prywatnych, — bo mały Jaś wychowywał się zrazu w domu —, pomiędzy którymi odznaczały się dwie dusze artystyczne, Copley Fielding i Harding. Toteż gdy dorastający młodzian wstąpił w progi kolegium oksfordzkiego, zdobył z łatwością w r. 1839. nagrodę w zawodach poetyckich opisem słynnej świątyni elefantyńskiej, w którym głosił zwycięztwo chrześcijaństwa nad bóstwami hinduskiemi. Widoczny w tem ślad wpływu matczynego.

Ale niebawem miał nastąpić w życiu młodzieńca zwrot ważny, choć wywołany niepozornym artykułem w czasopiśmie *Blackwood's Magazine*. Właśnie został magistrem sztuk wyzwolonych (1842 r.), gdy przeczytał w piśmie wspomnianem surowe potępienie obrazów J. M. W Turnera, które odbiegały daleko od utartych wówczas pojęć estetycznych. Młody znawca sztuki, oburzony krytyką, postanowił odpowiedzieć na nią artykułem: „Turner i dawni mistrze". Celem uczynienia go jak najdoskonalszym udał się na „kontynent", gdzie studyował galerye obrazów kolejno we Włoszech i indziej. Tak powstał miasto broszury tom pokaźny p. n „Malarze współcześni" (1843.); po nim w ciągu lat 17 ukazały

*) Z niej pochodzi podobizna, podana na str. 29; książka ta stanowi t. I. i III. wydawnictwa księgarni H. Altenberga we Lwowie p. n. Wiedza i życie.

się jeszcze 4 dalsze. Choć w dziele tem zajmował się głównie przyrodą i teoryą estetyczną, przygodnie zwracał w niem też uwagę swych ziomków na dawnych mistrzów włoskich, nieznanych im przedtem, jak Fra Angelica i Tintoretta. Przez to przyczynił się do powstania szkoły malarzy angielskich, zwanych prerafaelitami, a temsamem nawrócił malarzy albiońskich z dróg błędnych, po których chadzali wówczas. Gdy naś nie mógł w książce o „Malarzach współczesnych“ wypowiedzieć wszystkiego, co czuł i myślał pod niebem włoskiem i pod wpływem arcydzieł sztuki, zgromadzonych na półwyspie apenińskim, począł puszczać w obieg osobne tomy, poświęcone jużto miastom poszczególnym (‚Kamienie Wenecyi“ i „Poranki florenckie“), jużteż pewnym działom sztuki (np. „Siedm świateł budownictwa“), a nawet nauki (np. florze angielskiej i alpejskiej w książce p. n. „Prozerpina“). We wszystkich zaś tych dziełach występował przeciw przesądom estetycznym i budził umiłowanie przyrody, a czynił to w formie tak wytwornej i jasnej, że wnet ogłoszono go pierwszym stylistą angielskim.

Tymczasem Ruskin dobiegał czterdziestki, a wraz z nią wstąpił na drogę nową. I znów nie samorzutnie, ale pod wpływem obcym — tym razem niepospolitego myśliciela. Tomasza Carlyle'a (1795—1881), autora głośnego „Sartora Resartusa“ i ‚Przeszłości i teraźniejszości“. Przeobrażenie, które dokonało się w duszy Ruskina dzięki Carlyle'owi, biograf pewien tak scharakteryzował krótko, a treściwie: ‚Przedtem Ruskin był estetykiem, teraz usunął sztukę na plan dalszy, a na pierwszy wysunął etykę. Przedtem był prawowiernym protestantem angielskim, teraz rozpoczął przebudowę swej wiary od podstaw. Przedtem był filantropem uczuciowym, teraz stał się działaczem społecznym i reformatorem, niezadowolonym z obecnego stanu rzeczy“.

Fr. Krczek.

(Dok. nast.)



Rozmaite typy światopoglądu etycznego.

I.

(Wstęp: Co odróżnia człowieka od źwierzęcia? — Co to jest filozofia, a co etyka? Przedmiot i zadanie jednej a drugiej. Światopogląd etyczny i przyczyny rozmaitości na tem polu).

Źwierzęta — jak się zdaje, — pogrążone zupełnie w teraźniejszości, nawet wtedy zajmują się li chwilowymi powabami życia, gdy cieszą się błogim spokojem. Natomiast człowiek, załatwiwszy zmysłowe potrzeby życia, oddaje się rozmyślaniu, w którem wybiega daleko poza teraźniejszość i dowolnie sięga myślą jużto w przeszłość jużteż w przyszłość. Człowiek to jedyna istota, nosząca w sobie świat drugi poza tem, co widzi i słyszy, — mianowicie świat pojęć, dostępny li dla myśli; tylko człowiek też jest zdolnym do nauki. Człowiek poznaje świat, otaczający go; równolegle z tem pogrąża się w samobadanie i samopoznanie, spełniając sławny rozkaz filozofów: „Poznaj siebie samego!“ Człowiek zdoła zestawić ogół wiedzy o świecie, potrafi stworzyć jednolity światopogląd: jednem słowem — *homo natura philosophus*. Tylko on zdoła, nie ulegając chwilowym porywom i ponętom otoczenia, regulować, urządzać sobie własne życie według pewnych zasad i oddziaływać na świat zewnętrzny w sposób rozumny i przeobrażająco, nawet ulepszać i upiększać go według celów i planów, wymarzonych we własnej duszy: człowiek więc jest zdolnym nietylko do filozofii i nauki, ale także do sztuki. Religia i filozofia, nauka i sztuka, a w następstwie też praktyczne stanowienie o własnym losie — oto ostateczne granice, wyraźnie oddzielające nasz rodzaj ludzki od reszty żyjącego świata. Zdolność do regulowania swojego stosunku do otoczenia i urządzania własnego życia według tego, zarówno jak zdolność do czynienia tego stosunku przedmiotem poznania i do układania zdobyczy tego poznania w system — oto ludzkie wyłącznie cechy człowieka.

Filozofia jestto logiczne wyrabianie sobie pojęć i łączenie ich w jeden system harmonijny. Systematyczność zaś polega na podporządkowaniu jednej rzeczy pod drugą (*subordinatio*) i rzeczy równie ważnych pod inną ważniejszą i główną (*coordinatio*). Cała wiedza o świecie wyraża się w pojęciach; także nasz stosunek do świata i życia jest jednym z przed-

miotów wiedzy. Porównawcza ocena pojęć i rozdział ich według stopnia ważności należy do filozofii. Wynika z tego, że filozofia poddaje rozbiorowi (krytyce) cały nawet świat jako całość, bo odtwarza w poznaniu całą postać całego świata i rozbiera i rozdziela według ważności poszczególne części budowy świata, wyrażone pojęciami, które poddaje krytyce i ocenie. Filozofia zatem jest obok poznania (pojmowania) świata zarazem o c e n ą świata.

My, podmioty myślące, wchodzimy również w skład świata. Filozofia, rozpatrując miejsce i stanowisko osobnika ludzkiego w ogólnym systemie budowy świata, daje też wyrok i sąd o znaczeniu człowieka i jego życia na świecie, określa tak lub owak znaczenie tego osobnika. Stosownie do tego sądu układamy też i tworzymy prawidła przewodnie, które winny kierować życiem. Tu już przechodzimy z ontologii na pole etyki. Metafizyczne poznanie bytu świata koniecznie pociąga za sobą także odpowiednią etykę. Takąto drogą system filozoficzny wzbogaca się istotnie drugą ważną i niezbędną swoją częścią składową — nauką moralności (etyką).

Całkowity zatem światopogląd obejmuje nietylko poznanie świata i ocenę jego, lecz także odpowiedni pogląd na życie osobnika, jego ideały czyli cele, godne urzeczywistnienia.

Należy zaznaczyć, że światopogląd nie musi wyrażać się koniecznie jasnemi pojęciami. Niewszyscy ludzie myślą filozoficznie, niewszyscy umieją wyrażać logicznie swoje przekonania. Ale wszyscy żyją, t. zn. oddziałują na świat i kierują swemi dążeniami. Życie ich wyraża samo przez się nieświadomy pogląd osobnika na świat, jako system; można podciągnąć ten pogląd pod jeden z ogólnych schematów filozoficznych. Światopogląd odbija się zarówno w dziełach sztuki, w dziełach naukowych, jakoteż w czynach, słowach i ruchach jednostki. Filozofia podaje tylko podstawy i formułuje rozwój duchowy, który dokonywa się w człowieku bezwiednie i doprowadza go do takiego lub owakiego światopoglądu, do takiego lub owakiego sposobu życia. Jak niemożna brać ludzi wszystkich na jedno kopyto, tak też niema jednego kierunku w filozofii. Odpowiednio do różnych kierunków rozmaite oceny świata i życia istnieją — wyższe i niższe. (D. c. nast.)

O wieku ziemi.

I.

(Dokończenie.)

Nauka jednak o okresach życia ustrojowego na ziemi była jeszcze w powijakach, kiedy zrobiono z niej bardzo ciekawe zastosowanie dla ocenienia wieku, w którym powstały te lub owe góry. Zastosowanie to stanowi niespożytą zasługę francuskiego uczonego, Eliasza Beaumonta (r. 1830). W górach są warstwy wypiętrzone, połamane i pofałdowane, ale u stóp gór spoczywają warstwy, ułożone poziomo; z tych zjawisk Beaumont wywnioskował słusznie wiek gór, które musiały być starszemi, niż najniższa, a więc najstarsza warstwa, ułożona u stóp gór poziomo Tą metodą stwierdzono aż do lat ostatnich, że Alpy, Karpaty, Pireneje, Apenin, Bałkan, Himalaje, Tienszan, Kordyliery itd., w ogóle najwyższe góry świata, są górami najmłodszemi, góry zaś Szkocyi, Anglii, Norwegii, średnie góry Niemiec, góry Świętokrzyskie, Dobrudża, w ogóle te, z których tylko resztki pozostały, najstarszemi. Jakkolwiek metoda ta oceny wieku gór oddaje po dziś dzień stałe usługi nauce, przecież nie zaspokoiła dążenia do wiedzy w zupełności, a nadto zasadnicze błędy o powstaniu gór tkwiły w pojęciu Beaumonta. Nietylko bowiem stwierdzono znacznie później, że góry nie są następstwem pionowego wypiętrzenia warstw zewnętrznych skorupy ziemi, ale sfałdowaniem poziomem tychże warstw wskutek kurczenia się stygnącej ziemi, lecz także już wnet po Beaumoncie upadł pogląd, którego trzymano się uparcie, jakoby cała fizyognomia ziemi była wynikiem gwałtownych katastrof, szybko dokonywanych pod wpływem potęg fizycznych, obecnie nieznanych, na powierzchni kuli ziemskiej. Jest to niepospolitą zasługą znakomitego geologa angielskiego Karola Lyell'a (czyt. Lajel), że obalił te nie przyrodnicze poglądy, które panowały w geografii i geologii, i wykazał niezbicie, iż wszystkie szczegóły rzeźby powierzchni naszej matki-ziemi są następstwem długiego działania sił przyrody, które teraz jeszcze możemy naocznie spostrzegać. Tytaniczne, legendarne potęgi sił nieznanych zastąpiła kolosalna, ginąca w pomroce, prawie niepojętą przestrzeń czasu. Rzymska zasada zwyciężyła w naukach przy-

rodniczych: *Gutta cavat lapidem, non vi, sed saepe cadendo.*

Cały pogląd na genezę form ziemi przeobrażał się w myśl tych teoryi, a stan dzisiejszy tego poglądu jest następujący: Ziemia, która niegdyś krążyła w stanie ognisto-płynnym, promieniując, tj. wysyłając ciepło w przestwory wszechświata bezmiernie zimne (przeszło — 200°), ostygła i zesztywniała powierzchownie; lecz promieniuje przez twardą i zimną skorupę ustawicznie i głębsze jej warstwy ogniste stygnieją i sztywnieją; promieniowanie i sztywnienie ziemi powoduje zmniejszenie objętości kuli ziemskiej, a to ściąganie się warstw, jakkolwiek powolne i nieznaczne, powoduje nieustanne drżenie stałej skorupy zewnętrznej, która stara się przystosować do zmniejszonej objętości jądra ognistego; ziemska skorupa drży, pulsuje bez przerwy — najczulsze przyrządy ledwo odczuwają, że powierzchnia ziemi nie zna spokoju. Góry łańcuchowe są następstwem tych ledwoznacznych, drobnych, a statecznych ruchów skorupy ziemskiej. Równocześnie z tym niezwykle długim procesem powstawania gór na powierzchni ziemi, różnomiernie oświetlonej i ogrzanej przez słońce, powstają stale, statecznie wiatry, które przenoszą parę wodną z mórz na lądy rozgrzane. Różnice ciepłoty, zmienne światło i ciepło słoneczne kruszą najtwardsze skały powłoki ziemskiej, ząb czasu nadgryza je i nadwereża, wody zaś deszczów i zatopów, strumieni i rzek, unoszą zmurszone części gór w niziny, a stąd rzekami głównemi do mórz. Równocześnie więc, ale niezwykle powoli, powstają i niszczeją góry, powstają i niszczeją warstwy. Jeszcze jest trzeci proces, przeobrażający formę twarzy ziemskiej, mianowicie zapadliska, które wszakże potrzebują milionów lat do wykształcenia zupełnego, taksamo jak procesy poprzednie. Góry łańcuchowe, jako poziome fałdy skorupy zewnętrznej, są faktycznie temi jej częściami, które przylegają najmniej do wewnętrznych warstw jądra ziemi; powszechne ciążenie sprawia, że się te górskie sklepy zarysowują i statecznie osuwają w głębię wzdłuż najsłabszych linii pęknięć (tzn. linii, wzdłuż których występują odczuwalne trzęsienia ziemi). Postać ziemi zmienia się zatem ciągle: stare góry znikają i przez osunięcia i przez działanie wód, nowe powstają, ale powstając są już ruinami, zniszczonemi przez deszcze i śniegi; morza stają się lądami przez nasypy rzek, a morze, wyparte przez nie, zalewa obszary, zapadłe wskutek pęknięcia itd. Niema stałej formy ziemskiej, niema lądów i mórz stałych Są znane siły, które dokonują tych przeobrażeń, a miernik tych sił, czas geologiczny, jest ilością, niezupełnie jeszcze poznaną.

Proces, przedstawiony powyżej, a przeobrażający ustawicznie postać ziemi, czyni zrozumiałem dążenie do poznania czasu geologicznego. Już Lyell pojął konieczność rozszerzenia wiedzy w tym kierunku i poczynił w r. 1842. pierwsze badania nad Niagarą, którą nazwał zegarem geologicznym ziemi.

Eugeniusz Romer.

Nowe książki.

Wład. Lubicz. Oko Proroka czyli Hanusz Bystry i jego przygody. Powieść z dawnych czasów. Lwów, nakł. „Macierzy Polskiej“ 1899. str. 456. Bardzo zajmująca powieść dziejowa; akcya rozgrywa się w połowie XVII. w. na tle stosunków włościańskich i mieszczańskich, znakomicie skreślonych. Wł. Lubicz jest pseudonimem jednego z najlepszych naszych pisarzy i stylistów współczesnych.

Roman Zawiliński, Słowacy, ich życie i literatura, z ilustr. (Bibl. dzieł wyborowych t. 101. str. 158). Pierwszy w naszej literaturze obraz życia i rozwoju umysłowego bratniego narodu, o którym, jak słusznie zauważył autor, „wiemy tyle, co o Samojedach lub Czukczach“. Ilustracye przedstawiają miejscowości, typy ludowe i podobizny najznakomitszych przedstawicieli piśmiennictwa słowackiego.

„Życiorysy sławnych Polaków“. — Pożyteczne to wydawnictwo petersburskiej księgarni K. Grendyszyńskiego doszło obecnie do liczby 16 tomików, które zawierają monografie: M. Kopernika H. Merczynga, A. Mickiewicza St. Tarnowskiego, J. Korzeniowskiego, Z. Kaczkowskiego Kl. Hofmanowej i T. Czackiego, wszystkie pióra znakomitego krytyka P. Chmielowskiego, J. Zamojskiego W. Nowodworskiego, Jana i Jędrzeja Śniadeckich przez L. Świeżawskiego, Fr. Chopina F. Hoesicka, M. Gosławskiego St. Żdziarskiego, St. Konarskiego H. Wernica, J. Kochanowskiego Wł. Nehringa, M. Czajkowskiego Fr. Rawity-Gawrońskiego, J. B. Zaleskiego M Mazanowskiego i St. Moniuszki B. Wilczyńskiego. Niektóre z tych prac (np. Chmielowskiego, Mazanowskiego, Wilczyńskiego) należą do najlepszych i najobszerniejszych, jakie nasze piśmiennictwo posiada o mężach, będących przedmiotem tych roz-

praw, inne zaś (np. Hoesicka Tarnowskiego i Żdziarskiego) są słabe. Każdy tomik, zaopatrzony podobizną kosztuje 30 kop (78 h.)

M. Konopnicka, Mickiewicz, jego życie i duch Warszawa 1900, str. 192. Nie jest to studyum naukowe, ale jakby poemat o najznakomitszym naszym poecie. Książka ta, odznaczająca się wysoką wartością artystyczną, powinna znaleźć jak największe rozpowszechnienie, tem bardziej, że cena jej jest nader przystępną.

Dante Alighieri, Boska komedya, przekład E. Porębowicza. Część I. Piekło, część II. Czyściec. Warszawa 1900. Cena każdej części 2 kor. 60 h. Jest to najlepszy z dotychczasowych przekładów arcydzieła literatury włoskiej. Dr. Porębowicz, prof. lwowskiej wszechnicy, jest znanym już oddawna z wybornych tłumaczeń Byrona, Leopardiego, trubadurów prowansalskich i Calderona i z prac krytyczno-literackich (np. o Morsztynie). Po wyjściu trzeciego tomiku „Komedyi“ — nawiasem mówiąc są one wydane prześlicznie — omówimy ten przekład w „Przyjacielu“ nieco obszerniej. (*tp.*)

Pogadanka.

Z różnych stron kraju mieliśmy w ciągu stycznia wiadomości o uroczystych obchodach rocznicy powstania w r. 1863. Obchody te nie są dotychczas jeszcze tak powszechne, jak inne narodowe uroczystości. Nie wspominam o tem dlatego, iżbym chciał komuś z tego czynić zarzut; owszem, im rzadsze są, tem pewniejszą mają wartość, bo biorą w nich udział ludzie nie dla mody, lecz z prawdziwej potrzeby serca; ale właśnie dlatego, że można je uważać jako rzetelny wyraz uczuć, dowodzą, jak w społeczeństwie naszem podzielone są zdania i sądy o tym r. 1863. A byłby już czas, aby się ustaliły. Od chwili, kiedy młodzież warszawska wyszła w styczniową noc do lasów, uzbrojona tylko kijami, którymi zdobyła pierwsze karabiny — od tego czasu upłynęło już 37 lat. Z takiej perspektywy można już przecież widzieć jasno i sądzić trzeźwo; stosunki tak gruntownie się zmieniły. Pokolenie, które to powstanie robiło, schodzi dzisiaj już do grobu — w życiu zaś czynni są ci, którzy wtedy byli dziećmi, albo których wcale jeszcze nie było. Myśmy już prawie obcy dla nich, a to daje pewną gwarancyę potrzebnej bezstronności. Że jest wielu wśród dzisiejszego pokolenia którzy dla wypadków tego roku mają tylko słowa najostrzejsze nagany i oburzenia, temu się nie dziwię, bo każde zdarzenie historyczne można przynajmniej dwojako oceniać, ale dziwi mię, że tak wielu jest między nami, którzy, choć nie podzielają oburzenia tamtych, wstydzą się prawie przyznać głośno, że mają cześć i sympatyę dla bohaterów r. 1863. Że powstanie skończyło się klęską, to nie ujmuje w niczem jego wartości, jaką miało samo w sobie jako protest szalonej rozpaczy przeciw gwałtowi i bezprawiu; było ono wprawdzie gromem, ale nie było sromem, z pod którego niema zmartwychwstania. Kto wszystkie nieszczęścia, jakie po tem poszły, uciski narodowości naszej na wszystkich polach temu powstaniu przypisuje, ten zamyka po prostu oczy i uszy na fakty dziejowe; one głośno świadczą, że ucisk ten rósł i potężniał powoli, ale konsekwentnie, od chwili utworzenia Królestwa kongresowego, bo polityka carów nie mogła znieść dwoistości w swojem państwie, jak niemoże znieść dzisiaj autonomii Finlandyi, choć ta powstania nigdy nie robiła. Jeżeli czego mamy się wstydzić, to chyba tego, że tylko mała garstka wielkiego narodu zerwała się do protestu i żywą krwią go podpisała. Ta krew to prawdziwa krew bohaterów, której posiew nie idzie nigdy na marne. Nie trzeba być szowinistą, aby stwierdzić, że od tego czasu zrobiliśmy ogromne postępy na wszystkich polach i we wszystkich dzielnicach, że siły nasze narodowe stężały, wzrosła odporność, zwiększył się dorobek cywilizacyjny, który nam zdobył miejsce w rzędzie narodów wyższej kultury, jakiego dotychczas nie mieliśmy. To życie młode zrodziło się z tej krwi; nietylko, że jesteśmy dziś silniejsi, ale że wogóle jesteśmy jeszcze, to zasługa r. 1863.

A to już rzecz nie mała przetrwać i mieć siły do czekania przyszłości. Mam właśnie pod ręką artykuł francuskiego literata i uczonego Anatola Leroy Beaulieu, ogłoszony w Revue des Revues, który powtórzyły nasze dzienniki. Warto nań zwrócić uwagę, nietylko dlatego, że jako głos nam życzliwy stanowi rzadki dziś objaw w prasie zagranicznej, ale przedewszystkiem jako głos trzeźwy i rozumny. Autor odpowiada na zapytanie, przedłożone mu przez redakcyę „*Krytyki*“, co myśli o Polsce i jej przyszłości. Rozebrawszy warunki bytu we wszystkich dzielnicach, znajduje, że najtrudniejsze one są pod berłem pruskiem, mimo tego jednak stwierdza, że „naród z przeszłością taką, jak wasz, nie może zniknąć, chyba, że sam siebie opuści“. Omawiając szanse nasze na przyszłość, powiada, że „odbudowanie Polski byłoby szczęściem dla Europy i zaszczytu dla stulecia, ale u schyłku tego stulecia Europa nie jest gotową do takiej naprawy“ dawnej niesprawiedliwości. Ale co jest niemożebne dzisiaj, to będzie możebne jutro lub pojutrze; stanie się to nie drogą rewolucyi, ale ewolucyi. „Odbudowanie Polski jest złudą tylko w tej Europie, w jakiej my żyjemy“, ale nie jest złudą bezwzględną, bo ta Europa zmienia się ciągle i szybko — cała sztuka i zadanie nasze na przyszłość, aby żyć do tej pory, aby przetrwać! Stąd jasno, jak na dłoni, wysnuwają się obowiązki naszego pokolenia, a więc i wasze, młodzi przyjaciele: utrzymywać narodowość, budzić poczucie w masach, dźwigać je materyalnie i intelektualnie, a my dodamy — i moralnie. Czyńmy każdy, co może, a przyszłości oczekujmy spokojnie!

Kropka.

Rozmaitości.

Gąbki. Nikt sobie nie wyobraża, jaką ilość gąbek świat zużywa. Główne ich targowisko znajduje się w Londynie, dokąd w roku 1898. sprzedano 800.000 kilogr. wartości 5½ miliona franków. Nie wchodzi w rachubę to, co się sprzedaje w innych punktach małego znaczenia, ale których sprzedaż, razem wzięta, musi przedstawiać poważną cyfrę. Najlepsze, tj. najdelikatniejsze gąbki, poławiają się na zachód od Malty. Wogóle Morze Śródziemne jest źródłem najlepszych gatunków. Największe pokłady znajdują się w morzach, otaczających Grecyę, zacząwszy od morza Marmary, wzdłuż brzegów Azyi mniejszej, między Angorą a Cyprem. Na wybrzeżach Egiptu, Trypolisu i Tunisu aż do Algieru wydobywa się znaczną ilość gąbek, ale w miarę zbliżania się do tego ostatniego kraju gąbki stają się grubszego gatunku. Najmniej poszukiwane dla grubości swej i szerokości są gąbki z zatoki meksykańskiej z brzegów Florydy i Hondurasu z Morza Czerwonego i Oceanu indyjskiego.

Wydobywanie najłatwiejsze jest zapomocą sieci i harpunów, ale przy tem wiele się niszczy; dla tego najlepsze zwykle zbierają nurkowie.

Nowoczesny hotel amerykański. Waldorf Astoria-hotel w Nowym Jorku zastosował wszelkie zdobycze w dziedzinie mechaniki i elektrotechniki do wygody życia. Maszyny parowe znajdują się w podziemiach hotelu i dają 4.000 koni siły mechanicznej. Siła ta wytwarza 1.500 kilowotów, rozprowadzanych do mnóstwa maszyn specyalnych, których zadaniem jest dostarczanie ruchu, światła, ciepła, zimna, świeżego powietrza, wody itd. po całym gmachu.

Cały hotel jest oświetlony 25 tysiącami lamp elektrycznych; przyrządy do ochładzania zdolne są wytworzyć 150 ton (tona — 1000 kilogr.) lodu dziennie; pompy mogłyby zaopatrzyć w wodę całe średniej wielkości miasteczko; dźwigacze do rozwożenia towarów po piętrach i windy do przewożenia mieszkańców na górę lub na dół w ciągłym są ruchu, wywołanym przez elektryczność; wentylatory wpędzają na niższe piętra, gdzie się mieszczą restauracye, kawiarnie, sale koncertowe i balowe, 14 milionów stóp sześciennych świeżego powietrza na godzinę. Na koniec różne motory elektryczne pracują w kuchniach, pralniach, umywalniach i t. d. Słowem w hotelu wszystko się robi maszynami, poruszanemi elektrycznością.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 66. Którzy malarze uwiecznili wypadki warszawskie, opisane w „Urywkach z pamiętnika Halki o l. 1860—64.“?

Nr. 67. Który jest najdawniejszy znany utwór dramatyczny polski?

Nr. 68. Skąd pochodzi i co oznacza nazwa prerafaelitów?

Nr. 69. Kiedy i gdzie urządzono pierwszą wystawę światową?

Nr. 70. Co to jest „pianka morska“ i skąd nazwa?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: *Vrchlickiego* Legenda o św. Prokopie i *Zaborowskiego* Światy zaginione

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 12. b. m. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 61—65.

Nr. 61. Narzecze prowansalskie używało wyr. *oc* (z łać. *hoc* – to) w znaczeniu: tak jest, francuskie zaś północne niegdyś *oil* (z łać. *hoc ille*), dziś zmienione na *oui*. Od tej cechy charakterystycznej nazywano pierwsze narz. *langue d'oc*, drugie *langue d'oil*. Dzisiejszy język piśmienniczy franc. jest dalszym ciągiem drugiego.

Nr. 62. Maryan Langiewicz, dyktator 10 19. marca 1863., pod Wąchockiem, Staszowem i Małogoszczą; Zygm. Padlewski pod Myszyńcem; Z Sierakowski, zw. Dołęgą, pod Rogowem; E. Taczanowski pod Pyzdrami i Ignacewem; Jeziorański pod Kobylanką; Czachowski pod Grabowcem, Opatowem itd.; Z. Chmieliński pod Rudnikiem; M. Borelowski Lelewel pod Panasówką; nadto E Callier, jen. Heydenreich, zw. Krukiem, J. hr. Hauke, zw. Bosakiem, ks. Maćkiewicz, L Narbutt. Francuz Young de Blankenheim (pod Nowąwsią), R Traugutt i in

Nr. 62. Jubileusz (z łać annus iubilaeus) ma swe źródło tak co do nazwy, jak i rzeczy, w dziejach St. Zakonu. Żydzi bowiem obchodzili uroczyście każdy 50-ty rok (po 7 okresach 7-rocznych),a ogłaszano go trąbami (po hebr. jobel). W kościele katolickim Bonifacy VIII. ogłosił po raz pierwszy r. 1300. rokiem radości i odtąd co lat 100 obchodzono „miłościwe lato“ z wyjątkiem r. 1800., kiedy Stolica apostolska była opróżnioną wskutek śmierci Piusa VI Przeniesiony na grunt świecki, jubileusz oznacza dłuższy okres czasu, upływający w życiu jednostek, społeczeństw, narodów, ludzkości, od pewnej ważnej chwili.

Nr. 64. Neptunizm i plutonizm — poglądy przyrodnicze na powstanie skorupy ziemskiej, nazwane tak od bóstw greckich (Neptun i Pluton), którym podlegały odpowiednie żywioły: w pierwszym wypadku woda, rzekoma przyczyna ukształtowania się warstw tej skorupy, w drugim ogień wewnętrzny, podziemny. Przedstawiciele główni tych poglądów: nept. A. B. Werner, drugiego Hulton.

Nr. 65. H K. T., krótkie oznaczenie pewnego towarzystwa w Niemczech od początkowych głosek założycieli: Hahnemanna, Kenemanna i Tiedemanna; stąd Hakate i członkowie hakatyści. Cel: zwalczanie i gnębienie polskości

w ziemiach polskich, zabranych przez Prusy, wszelkimi sposobami.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 25. stycznia b. r.

(wszystkie) Auditor (znakomicie), Biegelmeyer i Machalski (wybornie), Prajer, Reinhold; (62—5) Stamm; (61, 62, 65) Bator, (61, 63, 65) Bednarowski, Malowany, (62—3. 65). Badura, (63—5) Kędzierski, Smolka, Stadtmüller, Wiktor (świetnie); (61, 65) Dziurzyński, Dubieński, Loewel; (62, 65) Solski; (63—4) Kienzler, (63, 65) Pordes, (64 65) Chruszczewski, Emanu-, Gieruszyński, (61) Bloch, Masiuk, (65) Królikowski.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Dziurzyński (Konopnicką) i Stamm (Nusbauma).

Logogryf.

dem, zie, sie, mas, wel, usz, bow, bau, se, ni, pu, knia, dem, lipsk, eu, ła, kow. ra, na, wa, ge, brow, biń, wicz, ski, ski, ski, ski, ski tzen, dą.

Ułożyć z tych zgłosek 11 wyrazów, których głoski środkowe dają nazwisko jednego z największych bohaterów polskich. Znaczenia tych wyrazów: 1) miasto saskie, 2) pułkownik kościuszkowski, 3) imię znakomitego wodza austryackiego, 4) naczelnik w powstaniu listopadowem, 5) konfederat barski, 6) nazwa niemiecka miejscowości, słynnej bitwą 1813 r., 7) jenerał-legionista, 8) skarbiec pamiątek narodowych polskich, 9) marszałek francuski, który odznaczył się pod Aspernem, 10) jenerał polski z r. 1831., 11) jenerał legionów polskich.

Ułożył *Ἡρακλῆς*.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Do wszystkich czytelników. Wobec żądań, wyrażonych przez szereg korespondentów, przedłużamy termin nadsyłania prac na konkurs, ogłoszony na czele nru 1., do 10. kwietnia b. r.; przypominamy ponownie odezwę na czele „Skrzynki“ w nrze 2.

Do zbieraczy kart z widokami. Stosownie do życzenia przedpłacicieli „Przyjaciela“ otwieramy nową rubrykę: wykaz adresów tych czytelników naszych, którzyby pragnęli wymieniać między sobą karty z widokami. Pierwszy adres podajemy tego, który rzucił tę myśl: *R. W. Witoszyńskiego*, ucznia II. gimn. we Lwowie. Dalsze zgłoszenia przyjmujemy. — *Ab.* Domysł mylny; przedpłata za I kwart. uiszczona. — *Bator.* Odpowiedź na nr. 62. najlepsza z nadesłanych. Brawo. Przedpłata w porządku. — *Emanus.* Zmiana redakcyi winna zwłoce; odpowiemy listem. Pogadanki w nrach nieparzystych stale — *Ἡρακλῆς*. Z braku miejsca dopiero w tym nrze. Podręcznik żądany: Ph L. Martin, Die Praxis der Naturgeschichte. 3 części i atlas, Weimar 1898 8 k. 50 h. Zażalenie uwzględniono. — *Gwizd.* Odpowiedziano listem. — *Pr. w B.* Skorzystamy później. — *Rabagas.* Kartka chyba doszła na czas. — *Sfinks.* Cierpliwości! Książkę zamówiono, niema jej we Lw. — *Sm. w Kr.* Wyrównano. — *W. M. w L.* Winieta, której niemożna było umieścić w nrze 1., bo nie była gotową, zyskała sobie uznanie ogólne znawców wytrawnych. Gdzie w niej brak powagi? Prosimy o jaśniejsze przedstawienie zarzutów. Kartki od N. Roku b. r. kosztują 5 *h.* — *S. S. w S.* Też Day. Alte u. neue Alphabete, Lipsk nakład Hiersemanna 5 k. *Wandoom* Niepodobna odpowiedzieć krótko na zapytania, stawiane bezwzględnie. Bo np. Zola wywierał do niedawna wpływ największy, a trudno nazywać go dziś jeszcze najznakomitszym autorem franc., gdyż tacy pisarze, jak Bourget, France, Rod, usunęli go już w cień, choć wpływ ich powszechny daleko mniejszy. Arcydzieł niem. przełożono b. mało, ledwie całego Schillera, Goethego niewiele, jeszcze mniej z Lessinga, Herdera i in. Co do 3. posiadamy zapas.

Od administracyi.

P. Jan P. Tarnów. Wysłaliśmy Nr. 1. według wskazówki do Kolbuszowej. Wyprawiono oba nry ponownie 29. bm. *Z W. Chyr.* Reklamacye można wysyłać nieopłacone, jeżeli się napisze na czele tak, ażeby poczta mogła to widzieć: Reklamacya. *W. Sm. w K. i Bator.* Wyrównano.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Dr. Franciszek Krczek.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia). Redaktor przyjmuje w każdą sobotę (z wyjątkiem świąt) w godz. 5—6 wieczorem.

Treść nru 3: Urywki z pamiętnika Halki o l. 1860—64. — *W. Oksza*, W. styczniową noc (wiersz). — Maciek w powstaniu (ryć.) — *Br. Gbr.* J. Nowińskiego „Biała gołąbka“. — *Fr. Krczek*, Jan Ruskin (z podobizną). — *E. Bobrów*, Rozmaite typy światopoglądu etycznego I. — *E. Romer*, O wieku ziemi I (Dok.) — *tp.* Nowe książki — *Kropka*, Pogadanka. - Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe, logogryf, skrzynka pocztowa Redakcyi i Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 16. lutego 1900.



Rok II.

Nr. 4.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Każdy człowiek musi zaczepić własne ogniwo o łańcuch całej ludzkości, jeśli chce, by prądy życia jak iskra elektryczna przebiegały po nim i orzeźwiały go. Stowarzyszenie jest potrzebą ludzi. *M. Bałucki.*

NONA.

Powiastka Fr. Coppée'go *).

Przed niewieloma laty przypędziłem parę niedziel w pewnej wiosce rybackiej na wybrzeżu bretońskiem.

*) Franciszek Edw. Joach Coppée (czyt. Kope), urodz. 12. I. 1842., w Paryżu, współczesny wybitny poeta franc., zrazu urzędnik ministerstwa wojny, od r. 1872. archiwista słynnego teatru Komedyi franc., wreszcie od r. 1884. członek Akademii. Debiutował w r. 1866. zbiorkiem wierszy p. n. „Relikwiarz“, dostąpił największego rozgłosu „Bezrobociem kowali“ (przekł. w W. Szymanowskiego „Poezyach i dramatach“ Warsz. 1884. t. II), w którem wystąpił jako rzecznik klasy robotniczej, i dramacikiem 1-akt. „Przechodniem“ (przekł. Kaszewskiego Warsz. 1869.) Wiele z jego powieści, nowel i wierszy przełożono na polski. W r. z. „Przyjaciel“ ogłosił przekład jego noweli p. n. „Kawałek chleba“. Utwory jego cechuje wykwintność formy mimo całej prostoty stylu, prawdziwy patryotyzm, głębia uczucia i współczucie z uciśnionemi tak jednostkami, jak warstwami i narodami.

Był to wprawdzie zakątek zapomniany, ale bardzo malowniczy: przystań niewielka, co najwyżej na 10 łodzi, jedna tylko ulica i to nadmiernie stroma i podobna do koryta rzecznego, a na górze na pierwszym planie wysokiego brzegu kościół, klejnocik gotycki, na środku cmentarza, pełnego świerzopu, skąd w szerz i w dal mogłeś patrzeć na Ocean.

Ponieważ miałem zamiar pracowania w spokoju, zatrzymałem się w tem zaciszu aż do końca września, któryto miesiąc niezwykłym trafem w dżdżystym klimacie departamentu finisterskiego (Finistère) był tego roku wyjątkowo jasnym i pogodnym. Zamieszkiwałem w jednej gospodzie tamtejszej przestronną, wybieloną wapnem izbę, której urządzenie było wprawdzie skromnem, ale chędogiem, a której okno wychodziło na morze.

Na krześle trzcinowem przy stole, niepociągniętym politurą, oheblowanym tylko poprostu, tworzyłem wtedy wiersz za wierszem z towarzyszeniem uroczyście łagodnego

szumu fal wezbranych, które przypominały mi bezustannie, że rytm miarowy jest prawem przyrodzonem. Ale niemożna wciąż tylko układać wierszy i pisać, toteż obok tego urządzałem sobie wycieczki, a to po części z przyczyn zdrowotnych, poczęści zaś dla rozrywki: najczęściej przechadzałem się wzdłuż nierównego wybrzeża — na prawo wyschły i wspaniały, stromy brzeg, na lewo zaś niezmierzone rozłogi pustkowi piaszczystych, odsłanianych przez odpływ morski, tylko tu i ówdzie przerywanych w swej monotonii chmurnie spoglądającemi grupami czarnych skał.

Samotność zupełna dokoła. Zaledwie niekiedy 2 lub 3 razy wymieniłem tam pozdrowienie ze strażnikiem cłowym, który krążył tamtędy ze strzelbą na ramieniu. Byłem tak prawidłowym, a cichym gościem w tych stronach, że mewy nie bały się już czerwonej mojej czapki wełnianej i poskakiwały sobie zaledwie na parę kroków odemnie, promieniste ślady swe wytłaczając w mokrym piasku. Ten marsz 6 do 8-kilometrowy odbywałem codziennie i zawsze wracałem z kieszenią, pełną przecudnych muszli, których można się doszukać, gdy się grzebie pilnie w ciągle wilgotnych kamykach krzemiennych.

Te wycieczki były mi najmilszemi.

Zresztą w dni, kiedy ostry wiatr wiał i morze się podnosiło, omijałem wybrzeże, podążałem w górę ulicą wioskową i swobodnie wałęsałem się po wrzosem porośniętych łąkach, lub z książką w ręku siadałem na starej ławce w tyle cmentarza, gdzie budynek kościelny zasłaniał mię przed wiatrem zachodnim.

Jakże pięknem było to miejsce smutku i dumań: Na tle jesiennego nieba, po którem chyżo płynęła chmura, wyniośle i smukle strzelała w górę wieża, przebita na wskróś wnękami okien. Kruki, gnieżdżące się w kopule, przelatywały tam i sam kracząc, a cień ich wielkich skrzydeł bezustannie migał się rozmaitymi kształty po bezładnie rozrzuconych grobach, wysoko pokrytych trawą. Między na pół obalonymi frontowymi słupy kościoła, których szary kamień ucierpiał wiele od wiatru morskiego, od czasu do czasu pojawiała się wśród rozkołysanych łodyg drobnych żółtych kwiatów czarna koza, przywiązana do palika, prawie że straszna z powodu swych płomienistych oczu i dyabelskiej brody, ilekroć becząc wyprostowywała się na swym powrozie. Szczególnie pod wieczór, skoro tylko krwawo czerwone słońce, chyląc się ku widnokręgowi morskiemu, poczęło przezierać przez dziwacznie rozpięte gałęzi starej, uschłej jabłoni, podupadły cmentarz napełniał duszę ciężką melancholią.

Pewnego takiego wieczora bezmyślnie przechadzając się pomiędzy grobami, z których niejeden pod imieniem i nazwiskiem rybaka podawał na kamieniu smutną wiadomość o śmierci w falach morskich, spostrzegłem na krzyżu, jeszcze świeżym, wyrazy, które wstrząsły mną niespodzianie:

TU LEŻY

NONA LE MAGUETÓWNA,

zginęła w morzu dnia 26. października 1878
w 19. wiośnie życia.

Zginęła w morzu! Młode dziewczę! Wszakże kobiety nigdy nie udają się na morze łódźmi rybackiemi. Jakże więc mogło się wydarzyć takie nieszczęście?

„No, panie“, ozwał się nagle za mną ostry głos jakiś, „przyglądasz się pan grobowi biednej Nony?“

Odwróciłem się i poznałem starego żeglarza o drewnianej kuli, którego przyjaźń pozyskałem był sobie kilku kieliszkami wódki, ofiarowanymi mu w nizkiej izbie gospody.

— „Tak jest“, odparłem, „ale sądziłem, że wy, rybacy, nie puszczacie kobiet na morze, bo to rzekomo — jakem słyszał — przynosi nieszczęście“.

„I święta to prawda!“ starowina ciągnął dalej „Nigdy też nawet noga Nony nie postała na łodzi... Chcesz pan się dowiedzieć, jak biedne dziewczę zginęło?... Dobrze, opowiem to panu!“

I towarzysz mój począł opowiadać:

„Przedewszystkiem muszę panu powiedzieć, że ojciec Nony, Piotr Le Maguet, był wysłużonym marynarzem, jak ja, i moim dawnym towarzyszem. Pod Bourgetem, gdzie admirał La Roncière wbił swoją pozłacaną czapkę na ostrze szpady i na czele naszego oddziału rzucił się na domy, opatrzone strzelnicami, Piotr i ja z siekierami w ręku towarzyszyliśmy mu i on to pochwycił mię w swe ramiona, gdy przeklęte Prusaki wpakowały mi kulę w nogę. Tego samego wieczora dla

dodania mi otuchy Piotr ściskał mię za ręce, gdy lekarz pułkowy operował mię w lazarecie fortecznym. Wierny Piotr był też przy mnie w dzień ów, kiedy admirał przyniósł mi do łóżka medal za waleczność.

Lecz nakoniec przecież te przebrzydłe Prusaki zwyciężyły, zawarto pokój i nas obu odesłano do domu. Mnie ze względu na kulę nie pozostało nic innego prócz spożywania swej pensyi, jak psu na łaskawym chlebie. Ale Piotr, który miał jeszcze wszystkie członki zdrowe, znalazł sobie zajęcie na łodzi rybackiej. Wkrótce potem żona mu umarła na febrę i osierociła go wraz z małą Noną, której ledwie się zaczął dziesiąty roczek. Wobec tego ja, stary marynarz i kawaler, zajmowałem się biedną sierotą, ilekroć wdowiec ojciec pracował na morzu. A była to, panie, dobra i ładna dziewczynka, bardzo stateczna i bardzo łagodna. Dość często w czas odpływu chadzaliśmy razem do skalnych zatok zbierać raki morskie, żółwie, a czasem znalazło się i jakiego homara. Ach żyliśmy z sobą w wielkiej przyjaźni! Dwa lata wszystko wiodło się nam dobrze i Nona przystąpiła do pierwszej komunii, rosła jak z wody i dojrzewała w piękną pannę.

Wtem dnia pewnego w czas burzliwy nieszczęście spotkało Amelię, łódź, w której znajdował się Le Maguet: gdy łódź wpłynęła do przystani, wobec przypływu morza sternik nie zdołał zwinąć w czas przedniego i bocznego żaglu, wskutek czego cały statek rozbił się o skałę, widoczną tam nieco na prawo, i fale go pochłonęły. Na pokładzie byli czterej ludzie: sternik, dwaj marynarze, z tych jeden biedny mój Piotr, i chłopak okrętowy. Ale morze wyrzuciło na brzeg tylko trzech topielców, a zatrzymało u siebie mojego towarzysza. Tak Nona osierociała zupełnie. O ile to było w mej mocy, starałem się usilnie zastąpić jej ojca, co zresztą rozumiało się samo przez się Ale dziewczyna była niepocieszoną, nawet gdy pierwszy atak rozpaczy minął. A wie pan, dlaczego? Oto wskutek przesądu, któremu hołdują wszystkie kobiety tutejsze. Wyobraź pan sobie: wierzą, że ciało musi spocząć w ziemi poświęconej, jeżeli dusza nie ma się błąkać po ziemi aż do dnia sądnego! My naturalnie, którzy wiemy, co się dzieje, gdy ktoś umiera na okręcie, nie wierzymy w głupstwa podobne. Znamci ja ten proces krótki; w dychtowym worze, z kulą u nogi, spuszcza się zwłoki po desce z pokładu w wodę, a kapitan z głową odkrytą i z księgą w ręce odczytuje głośno modlitwę za nieboszczyka. Ale nasze kobiety, jak panu wiadomo, wszystkie są bardzo nabożne, toteż Nona świeciła za spokój duszy swego ojca świece po wszystkich kapliczkach całej okolicy.

Czas jednak to najlepsze lekarstwo na zapomnienie: po kilku latach zdawało się, że Nona przecież uspokoiła się nieco w swym żalu. Zresztą smutek nie przeszkadzał jej w rozwoju sił i piękności. I nie mówię tak dlatego, żem ją kochał, jak ojciec, bo była naprawdę najpiękniejszą i najświeższą dziewczyną w całej parafii. Tak szczęśliwie żyliśmy z sobą razem! Nie byliśmy wprawdzie bogaczami, ale mimoto końce wiązały się nam jakoś. Miałem swą pensyę i swój medal i chadzałem z Noną między skały zbierać homary. Zajęcie to dość popłatne, a jedyne niebezpieczeństwo stanowi ta okoliczność, że przypływ morza może człowieka zaskoczyć. I — niestety — to właśnie przyprawiło o życie biedną moją Nonę.

Dnia pewnego, kiedy reumatyzm przykuł mię do łóżka, Nona udała się na połów bezemnie. Dzień był jasny jak dziś, a wiatr silny. Kilku wieśniaków, którzy również udali się byli w stronę skał, zauważyło brak młodej dziewczyny, wracając z pełnymi koszami. Mocny Boże! niebyło wątpliwości: spóźniła się i zaskoczył ją przypływ fal, w których znalazła śmierć! Ach, panie, co za noc przeżyłem wówczas! Ja, starzec, otrzaskany z ciosami losu, przepłakałem ją do samego świtu. A ciągle wracała mi na myśl silna wiara tej dziewczyny, że ten tylko dostanie się do nieba, kogo pochowają na cmentarzu. Toteż skoro tylko morze poczęło opadać z chwilą odpływu, zawlokłem się na wybrzeże i wraz z innymi począłem szukać zwłok. I znaleźliśmy naszą Nonę na jednej z owych skał bazaltowych, pokrytej trawą morską. Tam odważna dziewczyna, widząc się zgubioną niechybnie, przygotowała się na śmierć bohaterską. Oto, panie mój, pięknie chustką poniżej kolan związała sobie sukienkę i, wciąż wierna dawnej swojej wierze, pięknymi czarnymi włosy swymi przywiązała się do krzaka w tem przekonaniu niewzruszonem, że

ciało jej znajdą i złożą w ziemi poświęconej. I mogę powiedzieć śmiało, — a przecie odwaga nie obcą mi z doświadczenia bezpośredniego, —

Starzec skończył swą opowieść. Przy ostatnim przebłysku wieczornego światła ujrzałem dwie wielkie łzy, spływające po opa-



Typ Litwinki (do art Z Litwy)

że żaden męszczyzna chyba nie patrzył w oczy śmierci z takim spokojem, jak ona".

lonej jego twarzy. Nie przemówiwszy ani słowa do siebie wzajem, zeszliśmy razem do

wsi. Głęboko wzruszyła mię stateczność prostego dziewczęcia, które nawet w chwili śmierci zachowało całą wstydliwość swej płci i pobożność swego rodu.

Przedemną z niezmiernej oddali latarnie morskie rozjaśniały monotonną ciemność nieba i morza.

Wspaniałą jest Bretania, dzielną jej ludność nadmorska!

Nurek.

Piosnka ludowa francuska.

(Prw. Beaurepaire'a „*Etude sur la poésie populaire de la Normandie*“ Par. 1856, s. 54)

Hej! tam na moście w Nantes —
(Płyń mój żeglarzu, płyń!) —
Stanęłam w pewne rano —
(Płyń mój żeglarzu!).

Obaczyłem nad wodą
Dziewczynę zapłakaną.

„Czego płaczesz, dziewczyno
Tak przecudnej urody?“

— „Płaczę mego pierścienia,
Który wpadł mi do wody.“

Chłopiec szaty odrzucił,
Skoczył, pod wodą zginął.

Pierwszy raz się zanurzył,
Z piaskiem w garści wypłynął.

Drugi raz się zanurzył,
Dotknął ręką pierścienia.

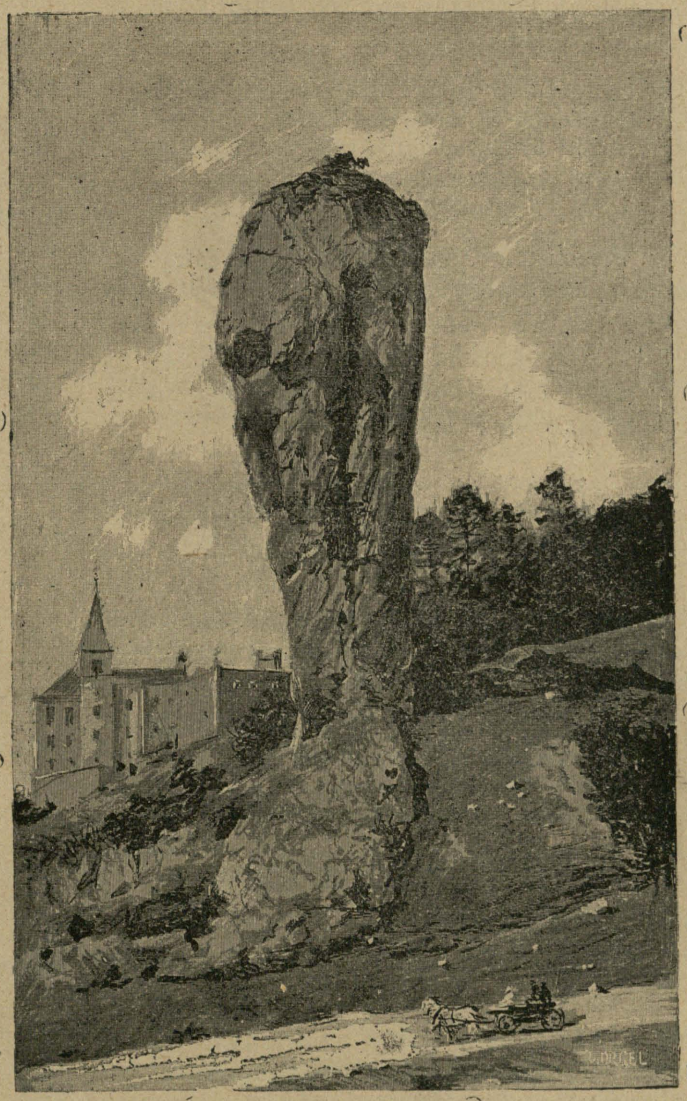
Trzeci raz się zanurzył,
Przepadł nakształt kamienia.

Przełożył *E. Porębowicz.*

LUD
w poezyach M. Konopnickiej.

II.

Zajęcie się ludem wiejskim widoczne jest w poezyach Konopnickiej już od samego początku jej działalności na niwie piśmienniczej[1]) zarówno w formie, jak i w treści utworów. Pierwszy objaw, tj. wpływ poezyi ludowej na budowę zwrotki, nad którym nie będę się zastanawiał dłużej, występuje początkowo słabo i nieznacznie i później dopiero staje się u niej czynnikiem wybitnym, górującym nad innymi. Natomiast w treści utworów, w sposobie zapatrywania się na sprawę włościańską, jest stanowisko poetki od razu jasnem



Maczuga Herkulesa w Ojcowie.

i pewnem i nie ulega już następnie prawie żadnym zmianom.

Jakby programem całego tego kierunku jest wiersz „Jaskółka“. Miła zwiastunka wiosny powraca zza morza na ojczyste niwy i cieszy się ich świeżością; smutno jej tylko, że dola ludu nie uległa żadnej zmianie, że przez tak miłą jej

[1]) Pierwszy tom „Poezyi“ Konopnickiej wyszedł w Warszawie w r. 1881., trzy następne „serye“ w latach: 1883., 1887. i 1896. W r. 1897. ukazał się zbiorek p. n. „Linii i dźwięków“.

.. strzechę zmurszałą deszcz w chatę przecieka,
A ściany się krzywią i paczą,
Jak gdyby nie były siedzibą człowieka,
Co ziemię tę potem uprawia od wieka,
Lecz nędzną gospodą tułaczą.

że dzieci wiejskie wzrastają „jak płonne te kłoski“ na dzikim ugorze „bez myśli, bez czynu, bez woli“, że ludzie są znękani i zniechęceni do życia, a na ustach mają tylko „piosenkę niedoli“. Widząc to wszystko, woła jaskółka z żalem:

„Och! gdybym ja mogła rozegrzać was pieśnią,
Jak słonko tę rzekę pod lodem,
Myśl strzęsłaby z siebie, co rdzą jest i pleśnią,
Duch zrzuciłby więzy, co lot jego cieśnią,
I lud by się zbudził narodem“.

Rezolutna ptaszyna nie poprzestaje jednak na tem westchnieniu, lecz zabiera się do czynu: czarnemi skrzydełkami zawisa u okna dworu, przy którem dziedzic czyta swej żonie najświeższe gazety, i zwierza się młodej kobiecie z swych myśli:

„O panie! o pani! słoneczko kwietniowe
Przyświeca tak jasno, tak ładnie...
Czyż żaden promyczek na główki na płowe
Wioskowych pacholąt nie padnie?“

Myśl ta przemawia do przekonania i do serca poczciwej pani, która przerywa mężowi czytanie:

„Ach! widzisz, nie mogę dziś słuchać z uwagą,
Myśl moja ucieka z jaskółką
I leci nad wioską odartą i nagą...
Mój drogi, zajmijmy się szkółką!..“

Ale mąż jest innego zdania:

„Hm! chłopu nauka co najmniej ryzyko...
Czytajmy, jeżeliś łaskawa!“

Ale jaskółka nie daje za wygraną; opowiada dziedziczce, jakto za granicą inaczej się dzieje, jak tam „plon myśli dojrzewa“ już w czynach, jak tam ludzie nie frazesami, lecz przykładem zagrzewają do działania.

Ach! rzućcie wy w wiosce ziarenka oświaty,
Dostatków maleńkie okruchy;
A wzniosą się czoła ku słońcu, jak kwiaty,
I zbudzą się myśli i duchy!

Idąc za tym podszeptem, pani przerywa po raz drugi mężowi i zadaje mu cały szereg pytań:

„Najdroższy! chcę wiedzieć, dlaczego z pozoru
Praw równość głosicie człowieka,
A przestrzeń odwieczna od chaty do dworu
Tak zawsze boleśnie daleka?
Dlaczego przed dzieckiem, panienką, paniczem,
Zsiwiałą swą głowę odkrywa
Staruszek, piast wiejski, z dostojnem obliczem?
Kto bratnie rozerwał ogniwa?
Kto kraj śmiał zubożyć o siłę bez czynu?
O myśl tę zmąconą, niejasną?
Czyż nie tem, co marnie przepada wśród gminu,
Wymierzać nam niemoc swą własną?
Posłuchaj mnie, drogi! Czyż tyle już trudu
Czyż tyle mozołu potrzeba,
By światło nauki rozdmuchać dla ludu,
Łaknącym zdrowego dać chleba?“

Na wszystkie te pytania wymownej żony pan nie znajduje odpowiedzi — może zresztą ona ma słuszność, ale stąd jeszcze nic nie wynika, bo to przecież tylko piękna teorya, a między teoryą a jej praktycznem zastosowaniem jest cała przepaść! Więc nie wdając się w teoretyczną rozprawę, kładzie koniec rozmowie w ten sposób:

„Co?.. może ja pierwszy mam zbijać wiatraki
Z poczciwym Kiszotem w zawody
I, brudnych pastuszków zmieniwszy na żaki,
Sam gęsi zaganiać od szkody?
A może wziąć książkę i, siadłszy na trawie,
Nauczać z niej ludek, jak klecha?
Stąd widzę sąsiadów, jak patrzą ciekawie,
Jak każdy się skrycie uśmiecha...
Być może, że trudy się takie opłacą,
Gdzie wille, gdzie fermy, szalety;
Lecz chłopu naszemu? jak, po co i na co?
Daj pokój!.. czytajmy gazety!...“

Jeżeli wierszykowi temu przypatrzymy się uważnie, zobaczymy, że Konopnicka porusza w nim trzy sprawy: 1) materyalnego bytu ludu wiejskiego, 2) jego oświaty, 3) stosunku dworu do gminy. Reform żąda jako wyniku sprawiedliwości i rozsądku, bo ten lud zaniedbany jest „siłą bez czynu“, czynnikiem potężnym, który, rozumnie wyzyskany, może wpłynąć niemało na korzystną zmianę całego bytu narodowego. Zapamiętajmy to sobie, a zobaczymy, że jest to program, do którego poetka niewiele dodała w dalszej swej działalności.

Satyryczny ten wiersz przypomina bardzo wyraźnie znakomity utwór Syrokomli „Lalkę“. Mała dziewczynka opowiada tam swej laleczce zdarzenie, którego była świadkiem, jak lud zgłodniały cisnął się do ich

domu, wołając „chleba!“, i jak ojciec jej „słusznie“ wypędził ich kijem za tak niegrzeczne zachowanie. Ale myśl o obrazku, przedstawiającym Pana Jezusa, rozdającego chleb łaknącym rzeszom ludu, wywołuje pewne wątpliwości co do sprawiedliwości tego czynu w umyśle dziecka, które wreszcie postanawia pomodlić się o chleb i o szczęście dla rodziców i dla — „chłopów“. Satyra ta Syrokomli posiada o wiele większą wartość artystyczną, niż „Jaskółka“ Konopnickiej. ideę zaś zawiera zupełnie tę samą; istnieje naturalnie także różnica, mianowicie ta, jaką czas i okoliczności musiały wywołać: Syrokomla pisał przed zniesieniem poddaństwa, uderzał więc przedewszystkiem na nieludzkie obchodzenie się z poddanymi, Konopnicka, żyjąc w naszych stosunkach, musi wychodzić ze stanowiska równouprawnienia, stara się więc wykazać tylko, że i ono pociąga za sobą obowiązki, przedewszystkiem zaś obowiązek zastosowania go w praktyce, pod każdym względem.

(D. c. n.)

Tadeusz Pini.



Jan Ruskin.

(Dokończenie.)

Majątek osobisty Ruskina wynosił tyle iż można go było uważać za bogacza. Ojciec bowiem zostawił mu 157.000 funt. szterl., nieruchomości w domach i ziemi, oraz bardzo cenny zbiór obrazów. Ale to nie zapewniło synowi szczęścia. Owszem pieniądze zaciężyły mu brzemieniem wyrzutu, gdy widział tysiące biedaków z jednej strony, a z drugiej doszedł drogą myślenia do wniosku, że ten tylko ma prawo do spożywania chleba lub używania rozkoszy, kto na nie zapracował sobie własnemi rękoma i mózgiem. Pozbył się więc swego majątku w ten sposób, że wiele tysięcy rozdał krewnym, wiele zapisał zakładom wychowawczym oksfordzkiemu i w Sheffieldzie, a ostatnie 3.000 f. szt. obrócił na podróże po Europie, tak pożyteczne dla jego własnego rozwoju umysłowego. Takie postępowanie jednak zmusiło go do zarabiania sobie na życie nauczaniem i pisaniem. Jakoż przyjął w r. 1867. katedrę profesorską na wszechnicy oksfordzkiej, która nietylko zapewniała utrzymanie wystarczające, lecz także pozwoliła rozszerzać poglądy reformatorskie słowem żywem i — czynem. Oh, bo Ruskin nie zamykał się z wychowankami swymi, latoroślami najwyższych rodów angielskich, w sali wykładowej, ale pomny maksymy rzymskiej: „*Verba monent, exempla trahunt*“, w godzinach wolnych od nauki brał np. do rąk kij z ołowianym młotem i — dosłownie — tłukł na gościńcu kamienie, a dostojni uczniowie szli za jego przykładem. Śmiano się z tego dziwactwa, a jednak tkwiło w niem jądro zdrowej myśli: oduczął lekceważenia choćby najdrobniejszej pracy przez to, że doświadczeniem przekonywał młodych paniczów, którzy zamiast naprawienia psuli raczej tylko drogi okoliczne swem współpracownictwem, iż „minął wiek złoty“ — wszystkiego trzeba się uczyć. Eksperymenty więc podobny Ruskina miały tylko cel wychowawczy, były środkiem do celu wyższego, który zakreślił sobie pod wpływem — jak wspomniałem — Carlyle'a: reformy społecznej. Odłożywszy na bok swe studya artystyczne i estetyczne, zabrał się do odnowienia zasad rządu, handlu, społeczeństwa na podstawach głębszych i prostszych, etycznych. Zdaniem jego przyczyną przeważnej części złego było niezrozumienie prawdziwego znaczenia pojęć takich, jak: bogactwo, wartość, ekonomia polityczna. Starał się więc wytłumaczyć je po swojemu, tj. według jego mniemania jedynie trafnie. Pierwsza próba, którą uczynił w r. 1860. w czasopiśmie *Cornhill Magazine*, spotkała się jednak z tak powszechnem oburzeniem czytelników, że wydawca musiał rzecz urwać po 2 rozdziałach. Ale to nie zraziło Ruskina; po pierwszym ataku na podstawy współczesnej ekonomii politycznej*) nastąpiły inne, widocznie nie

*) W szkicu o Ruskinie nie mogę — rozumie się — szeroko rozwodzić się nad ekonomią polityczną. jej zasadami, celem, zadaniem i nad teoryami, panującemi w dziedzinie tej nauki. Wspomnę tylko, że jest to „nauka o gospodarowaniu w ogóle, a w szczególności o gospodarstwie społecznem, przez które rozumiemy ogół gospodarstw i działań gospodarczych w obrębie społeczeństwa ludzkiego, rozpatruje więc sprawę, jak w społeczeństwie zaspokajają potrzeby ludzkie, jak się tworzą dobra (tzn. to, co służy do użytku), jak wymieniają, zużytkowują i jak oraz dlaczego

bezskuteczne, skoro dzisiejszemu czytelnikowi nie chce się wierzyć, by o prawdy, głoszone przez profesora oksfordzkiego, trzeba było staczać długotrwałą walkę. Co więcej, dziś praktyczne wnioski wywodów Ruskina śladem mistrza szereg ludzi wprowadza w życie w Anglii, a nawet w Ameryce, wszystkie zaś dążą do podniesienia dobrobytu materyalnego i poziomu umysłowego warstw pracujących, a przez to i całego społeczeństwa. W tej zaś pracy nad uszlachetnieniem ludzkości wyznaczył ważne miejsce sztuce, która według niego powinna być tłumaczem wymownym przyrody, zbyt wielkiej i zbyt cudownej dla mnóstwa ludzi, ażeby mogli ją zrozumieć, odczuć i pokochać bez tej pośredniczki. Szczęśliwy, kto mógł się obyć bez tego pośrednictwa! Do tych należał Ruskin.

Uznawszy swe posłannictwo w ludzkości za skończone, wycofał się w r. 1884. z katedry profesorskiej i odtąd żył tylko na łonie przyrody w okolicy jeziora konistońskiego, w rezydencyi swej Brantwoodzie (czyt. Brentuud), niby J. J. Rousseau z końca XIX. w. A idee jego tymczasem wcielały się i przyjmowały jedna po drugiej i żyć będą, aż starzejącym się wstrzyknie nowe soki nowy Ruskin wieku przyszłego. W każdym jednak razie imię Jana Ruskina zapisało się złotemi głoskami w księdze dziejów umysłowości ludzkiej, jako znaczące doniosły etap w ciągłym pochodzie ludzkości ku Wiecznej Prawdzie. *Fr. Krczek.*

Z Litwy.

(*Korespondencya oryg. „Przyjaciela młodz.“*).

Kazaliście mi pisać, więc siadam do stolika, by się podzielić z wami tem, co widziałem. Kiedyś może pocztowy Merkury przyniesie wam coś znowu, na razie musi wystarczyć, co daję. Musi — bo nic mi nie zrobicie, oddalonemu o mil... czy wiem ile? Ze sto może. Jestem w Birżach.

Po 4-godzinnej podróży z Wilna przybywa się do Dźwińska, przechrzczonego z Dynaburga, tu przesiada się na inną linię kolejową, prowadzącą do Rygi, i staje po kilku godzinach w Römershofie. Mieścina malutka, zamieszkała przez Niemców i Łotyszów. Łotysza poznasz odrazu. Wygolony jak pastor, sam też protestant, a nienawidzi Niemca. Mieszkają ze sobą od lat przeszło 600, a nienawiść plemienna mimo jedności wyznania staje się coraz silniejszą. Na sklepach też, gdzie tylko Łotysz mieszka, napisy łotewskie. Litery gotyckie, wyrazy zupełnie obce dla przybysza który zaledwie słyszał coś o tym narodzie. Tymczasem naród ten rozwija się, posiada swoje piśmiennictwo, dzienniki i czasopisma, które wychodzą w Rydze. Ponieważ Łotysze mieszkają przeważnie w Kurlandyi, która ma do pewnego stopnia samorząd, więc rząd rosyjski pozwala na druk książek łotewskich.

Z Römershofu przejeżdża się przez Dźwinę — w lecie promem parowym, w zimie po lodzie. Rzeka, szeroka na sto kilkadziesiąt metrów, oddziela to miasteczko od Frydrychsztadu, który, zwany też Nową Rygą (po ros. Nowaja Riga, Nowariżki, po łot. Jaun Jelga t. zn. Nowa Mitawa), jest ostatnią miejscowością kurlandzką. Niedaleko niej bowiem wjeżdża się w Litwę właściwą. Mianowicie poza puszczą rządową taurokalską pokazują się lasy birżańskie, już na Litwie. Rzeka Kłajpeda (Memel) oddziela Kurlandyę od Litwy. Bardzo dowcipnie tłumaczą Litwini powstanie nazwy ziemi sąsiedniej. Za dawnych, bardzo dawnych czasów zdarzyło się — opowiadają —, że Łotysze rozmnożyli się nader. Brakło im miejsca we własnym kraju, więc postanowili przejść Kłajpedę i osiedlić się na Litwie. Dano znać o tem Litwinom. Pod wodzą swego kunigajsztisa (księcia) zebrali się nad rzeką i czekali przybycia najeźdźców. Wkrótce Łotysze się pokazali i poczęli przechodzić rzekę. Oburzeni ich zuchwałością Litwini krzyknęli: „Kur landi (dokąd leziesz)?“, a głos ich miał w sobie tyle siły i groźby, że nieprzyjaciele się cofnęli. Odtąd kraj ten nazywa się Kurlandyą, a mieszkańcy Kurlandczykami. Lecz zostawmy słoworód na boku i jedźmy dalej!

---

w pewien sposób rozdzielają się między poszczególnych członków społeczeństwa. Na podstawie zaś zbadania przyczyn tych zjawisk dąży do wskazania środków, którymi możnaby podnieść ogólny dobrobyt‘. Obszerniej można się o tem pouczyć w „Siedmiu wieczorach“ J. Supińskiego i „Zasadach ekonomii polit.“ E. Laveleya (Warsz. 1883).

Zaczynają pokazywać się Litwini. Na malutkich sankach, w czapkach, podobnych do galicyjskich lisiur żydowskich, wiozą do miasta drzewo, len, rzadko zboże. Na przybysza patrzą nieufnie, rzadko który pozdrowi cię: Łabryt" (skróc. z łabas rytas, t.zn. dobry dzień). Do Birż wiorst blizko 70, więc mniejwięcej w połowie drogi popasaliśmy u starego leśnika. Staruszek prawie 80-letni, żwawy jeszcze i energiczny, przypatruje się ciekawie przybyszowi, ja na odwrót oglądam jego izbę. Dom stary, drewniany, jak wszystkie w okolicy. Na ścianach obrazy dawne: panowie w perukach z XVIII. w., panie tożsamo. „Macie może jakie stare książki, ojcze?" pytam. — „Nie, nie mam żadnych". — „A może jakie litewskie?" dodaję, pamiętając o przyrzeczeniu, danem na odjezdnem, iż przyślę do Lwowa trochę litewszczyzny. — „Mam jedną, pokażę ją Panu. A na co to Panu?" mówi, wynosząc z drugiej izby jakąś broszurkę. Tłumaczę mu, jak mogę, o co mi chodzi, i staram się nadać głosowi jak najwięcej szczerości: „Potrzeba mi dla pewnego pana ze Lwowa, który zajmuje się sprawami litewskiemi". — „Czy to urzędnik?" pyta. — „Nie, nie" — zapewniam go wiedząc, czego się boi. „A co jest w tej książce?" dodaję, sylabizując napis. — „To o chorobach koni," mówi uśmiechając się. — „A innych tu niema?" — „Niema, bo zakazano drukować". — „Kiedy?" — „A w 64-tym roku". — „Czemu właśnie wtedy?" — „Nie wiem, taki ukaz wyszedł". — „Zdaje mi się, że wtedy nie zakazano drukować książek litewskich, tylko zakazano drukowania ich czcionkami łacińskiemi, a pozwolono russkiemi". — „A tak, ale coś drukarze nie drukują i już teraz niema u nas książek litewskich. Ja także zaraz wszystkie popaliłem". Przy tych słowach niebieskie oczy starca (wszyscy albo prawie wszyscy Litwini mają oczy niebieskie) świdrują się w moje, a na twarzy pojawia się lekkie drganie. Nie chcę męczyć go dłużej i proszę tylko o adres wydawcy książek litewskich. „Ja go nie znam całkiem, ale niech Pan sobie wypisze ot z tej karteczki. On wszystko powie, jak się do niego napisze". Odpisuję i dziękuję staremu, że powiedział mi to przynajmniej. (Dok. nast.)



Gawęda o cieple.

Życie jest do pewnego stopnia, jak Lavoisier (1743—94.) powiedział, zjawiskiem chemicznem. Każda istota żyjąca musi ciągle oddychać i dostarczać ciału świeżych materyałów palnych, ażeby siły i ciepło mogły się z nich rozwinąć Wszystkie procesy chemiczne zależą jednak w wielkiej mierze od ciepła zewnętrznego. Można im kres położyć przy pomocy wielkiego zimna. Zatem istoty żyjące, rozpatrywane li jako automechanizmy chemiczno-fizykalne, musiały też w swym rozwoju dziejowym ulegać silnie wpływowi zmianie ciepłoty, widocznej w rozwoju ziemi naszej. Oto pochód myśli, które uczony francuski, M. Quinton, wysnuł z szeregu zajmujących rozważań i doświadczeń, które przed paru laty przedłożył paryskiej Akademii umiejętności. Sprawa to tak ciekawa i ważna, że warto przypatrzyć się jej bliżej.

Przy rozpatrywaniu zmian stanu ciepłoty, wywoływanych w ciele żyjącem przez działania chemiczne, należy rozróżniać dwa odrębne czynniki, które mogą działać jużto wspólnie, jużteż przeciw sobie wzajem: zewnętrzny stan ciepłoty miejsca pobytu i otaczającego środowiska (powietrza lub wody) obok zdolności samej istoty żyjącej do wytwarzania ciepła. Stan ciepłoty zewnętrznego środowiska jest przytem tak ważnym, że izokrymy czyli linie równych wyższych stopni zimna oznaczają zarazem granice rozkładu gatunków na kuli ziemskiej. Ponieważ zaś badanie kopalnego świata roślinnego i zwierzęcego pokazuje nam, że stan ciepłoty ziemi, pominąwszy drobniejsze i ograniczone wyjątki, był najwyższym w czasach najdawniejszych i obniżał się odtąd dość prawidłowo, musimy tedy zadać sobie pytanie, o ile chemiczne procesy życiowe i zmiany ustrojów, pozostające z nimi w związku najściślejszym, ulegały wpływowi zmiany ciepłoty ziemskiej.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa pierwsze objawy życia musiały się zaznaczyć przy stosunkowo wysokich stanach ciepłoty ziemskiej. O tem świadczą nietylko rośliny niższego rzędu, które często rozwijają się przy bardzo wysokich stanach ciepłoty (wodorosty i wymoczki w źródłach) dosięgających niemal punktu wrzenia), lecz także ta okoliczność, że tak zwierzęta bezkręgowe, jakoteż

**

najniższego rzędu kręgowce posiadają tylko bardzo małą lub nawet niedostrzegaluą zdolność wytwarzania ciepła. To bowiem można — jak się zdaje — wytłumaczyć przypuszczeniem, że stan ciepłoty zewnętrznej, który umożliwił ukształtowanie się starej doskonałości ich ustroju, był wyższym. Brakło im za to zupełnie zdolności do podwyższania własnej ciepłoty ponad otoczenie, bo też niebyło tego wcale potrzeba. Liczne cyfry tłumaczą nam dziś jeszcze życie zwierząt, przyzwyczajonych do przypływu ciepła z zewnątrz; hodowla jedwabników udaje się dobrze jeszcze przy 40°, niektóre żółwie lubią wodę o takiej samej ciepłocie, niektóre ryby wylęgają się dopiero przy 40 do 44°, gimnoty rozwijają się przy 41°, a jaja pewnego węża olbrzymiego w Valenciennes dojrzały dopiero przy 41·5° ciepła. Są to stany ciepłoty, dla ciała ludzkiego zabójcze.

Kręgowce i bezkręgowe, przyzwyczajone do podobnie wysokich stanów ciepłoty, prowadzą dziś z wyjątkiem okolic podzwrotnikowych życie tylko letnie, wiele z nich nie przeżywa pierwszych przymrozków jesiennych, lub zasklepiają się szczelnie; wtedy chemiczne zjawiska życiowe ograniczają się w śnie zimowym do minimum, krew tętnic (arteryi) i żył (wen) u płazów mieszają się wzajem. Ich dalsze życie i przezwyciężanie okresów zimowych naszej strefy tłumaczy się częścią przystosowaniem do warunków, częścią też pierwotną różnorodnością składników ich ciała. Podczas gdy w laboratoryum pepsyna (tj. ferment, zawarty w soku żołądkowym w ilości 0·3% i zmieniający białko w pepton) ssącego zwierzęcia rozpuszcza środki spożywcze dopiero przy 38°, pepsyna płazu oddziaływa podobnie nawet przy nieznacznej ciepłocie ponad 0°.

Skoro tedy zwierzęta najdawniejsze żyły przy wysokiej temperaturze zewnętrznej, nasuwa się pytanie, co stało się z życiem, gdy ten stan ciepłoty się obniżył Dwie możliwości były. Albo chemiczne reakcye musiały się zmienić i przystosować do chłodniejszej temperatury, (tu prawdopodobnie należy to, co powiedziano wyżej o pepsynie płazów) — albotеż w ciele zwierząt musiało się zbierać własne ciepło, pojawiły się więc s t a r s z e zwierzęta o zmiennym stanie ciepłoty, tzw. zimnokrwiste, których ciepłota ciała tylko nieznacznie podnosi się ponad stan ciepłoty zewnętrznej, lub nawet nie przewyższa jej wcale, oraz m ł o d s z e zwierzęta ciepłokrwiste, które dążą do własnego ciepła s t a ł e g o, coraz mniej zależnego od świata zewnętrznego i dlatego też potrzebowały urządzeń, obniżających stan ciepłoty. Zrazu może przyrodzonym biegiem rzeczy pojawiły się zwierzęta o małej zdolności do gromadzenia w sobie ciepła, jaką dziobaki, szczerbaki, rękoskrzydłe itp., wykazują dziś jeszcze, a ciepłota ich ciała musiała stopniowo się podnosić u ich potomków po ich zjawieniu się na ziemi. Już dawniej uczeni stwierdzili bardzo nizką i niestałą ciepłotę krwi u dziobaków; u innych pomiarów dokonał Quinton. (Dok. nast.)

Z całej Polski.

O obchodach rocznicy powstania styczniowego w Galicyi była mowa w ostatniej „Pogadance". Pomijamy więc tę sprawę. O obchodach zaś w Poznańskiem i Królestwie nie możemy nic powiedzieć, bo tu dozór policyjny tępi wszelką myśl narodową i nie dopuszcza żadnych zebrań, a tam walka ciężka nie pozostawia czasu do oglądania się w przeszłość.

Z Królestwa zresztą inne dzielnice Polski otrzymują wiadomości późne i niedokładne Dlatego późno dowiedzieliśmy się, że w okresie świąt Bożego Narodzenia grono uczni gimnazyów w Królestwie dostało się do więzienia za urządzenie zebrania, którego celem miało być zastanowienie się nad sposobami uczenia się pozaszkolnego dziejów Polski i piśmiennictwa polskiego.

Nauka dziejów polskich w gimnazyach rosyjskich w Polsce prawie nie istnieje, a języka i piśmiennictwa polskiego uczą tam w języku wykładowym rosyjskim. Mam przed sobą Wypisy polskie, używane w gimnazyach rosyjskich, a ułożone przez jednego z profesorów wszechnicy warszawskiej. Ustępy z autorów polskich: Kochanowskiego, Krasickiego i innych podano w języku polskim, a wszelkie objaśnienia, życiorysy pisarzy, napisy ich dzieł wydrukowano po rosyjsku, nadto zaś wybrano tylko takie ustępy, które mają jak najmniej charakteru narodowego, jak najmniej mogą dać wyobrażenia o kierunku pracy autorów i rozwoju piśmiennictwa. Nie można zatem dziwić się, że młodzież ucząca się sama sobie szuka dróg zaznajomienia się z piśmiennictwem polskiem, że jakąkolwiek drogą stara się zdobyć n. p. „Przedświt" Krasińskiego, lub część III. „Dziadów" Mickiewicza, utwory zabronione surowo w Królestwie, i że gromadzi się, aby obmyślić środki uczenia się dziejów i literatury ojczystej, lepszego, niż to, którego ofiarą pada w szkole rosyjskiej. Kilkunastoletnich uczniów gimnazyalnych przetrzymano przez jakiś czas w więzieniu, poczem ich uwolniono, gdyż winę

całą wziął na siebie jeden z uczniów wszechnicy, twierdząc, że on sam był jedynym aranżerem zebrania.

Od wypadków smutnych w Królestwie przechodzimy do jednego weselszego — mamy na myśli jubileusz literacki Henryka Sienkiewicza. Trzydziestolecie działalności piśmienniczej autora Potopu przypadło wprawdzie na r 1898, ale Sienkiewicz, który wtedy stał na czele komitetu pomnika mickiewiczowskiego w Warszawie wymówił się od wszelkich uroczystości, dopóki komitet nie ukończy prac swoich. Dlatego dopiero teraz zawiązano komitet, któremu przewodniczy ks. bisk. sufragan warsz. Ruszkiewicz, a który postanowił zebrać w drodze składek fundusz odpowiedni i przeznaczyć go na kupienie Ojcowa, jako daru narodowego dla Sienkiewicza. O piękności słynnego Ojcowa może dać wyobrażenie czytelnikom naszym widok t. zw. Maczugi Herkulesa na s. 41.

W Księstwie Poznańskiem, jak wiadomo, rozwija gorliwą działalność pruska komisya kolonizacyjna, której celem jest przeciwdziałanie we wszelki możliwy sposób pomyślnej gospodarce rolnej Polaków przez stwarzanie im groźnych współzawodników (konkurentów) niemieckich. Komisyę kolonizacyjną stworzył Bismarck, który uczynił był sobie zadaniem życia zgniecenie Polaków — zniemczenie ich szybkie i zupełne. Ponieważ „większy Pan Bóg, niż pan Rymsza“, jakoś się tej komisyi kolonizacyjnej nie wiedzie. Dlatego też hakatyści podają w pismach swoich plan przymusowego wykupywania ziemi od Polaków. Jest to ciekawy objaw zaciekłości „narodu myślicieli“, którzy szczycą się obłudnie swoją wolnomyślnością, a nie umieją uszanować zasadniczych praw narodowych naszych i ustaw konstytucyjnych.

Nawet i w dziedzinę prawa wdarło się bezprawie. Istnieje bowiem w sądownictwie pruskiem prawo, pozwalające Polakom na dawanie odpowiedzi przed sądem w języku ojczystym. Ale i to prawo, jak donosi *Dziennik poznański*, zawieszono teraz. Wobec tego wymiar sprawiedliwości stał się iluzorycznym.

Galicya zyskała nowego ministra „bez teki“, który w austr. radzie gabinetowej (tzn. radzie ministrów) broni jej potrzeb i interesów — został nim b. profesor prawa rzymskiego na wszechnicy lwowskiej, dr. Leonard Piętak, znany ze swej działalności w wiedeńskiej Izbie posłów, gdzie zasiada jako wysłaniec wyborców m. Lwowa, oraz ze swego udziału w pracach lwowskiej Rady miejskiej, której członkiem jest od lat kilkunastu, a prezydentem omal nie został przed 4 laty. W tej chwili jest wolnym mandat do Sejmu z m. Lwowa, który spoczywał w ręku ś. p. Smolki. Wybór nowego posła naznaczono na dzień 8. marca b. r., a grono wyborców postanowiło powierzyć mandat poselski min. Piętakowi.

K. L. W.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 71. Które utwory literatury (nietylko polskiej) przypominają motyw „Nurka“, drukowanego na s. 41 ?

Nr. 72. Gdzie i jakie są najsłynniejsze zbiory dzieł sztuki w Europie?

Nr. 73. Który poeta litewski jest najsłynniejszym i dzięki czemu?

Nr. 74. Skąd pochodzi nazwa Kurlandyi?

Nr. 75. Co to jest termodynamika?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: F. Konecznego „Życie i zasługi A. Mickiewicza“, ks Wacława Kapucyna „Częstochowa w obrazach hist.“ i Kramsztyka „Ostatni z nieważników“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 25. b. m. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 66—70.

Nr. 66. Artur Grottger (1837—67.) uwiecznił wypadki 1861 r. w cyklu 7 obrazów kredkowych p. n. Warszawa, które przedstawiają kolejno: grupę Żydów z pogrzebu arcybisk. Fijałkowskiego, włościanina i 2 szlachciców z tegoż pogrzebu, księdza z Przenajśw. Sakramentem, pierwszą ofiarę wypadków lutowych (młodzieńca, ugodzonego kulą w piersi), modlitwę wdowy, nieszpory i zamknięcie kościołów; Wojciech Kossak we „Wspomnieniu z lat dziecinnych“.

Nr. 67. Najdawniejszym znanym utworem dramatycznym polskim jest „Sąd Parysa, królewicza trojańskiego“, przeróbka sztuki łacińskiej *Iudicium Paridis* humanisty szwabskiego, J. Lochera, drukowana w Krakowie 1542. r.; jedyny egzemplarz odszukał H. Łopaciński, prof. gimn. lubelskiego, i wydał ponownie w t. V. Prac filologicznych i w odbitce 1897 r.

Nr. 68. Grono młodych malarzy, którym przodowali D. G. Rossetti (1828—82.), J. E. Millais (1829—96.) i H Hunt (ur. 1827.), wystąpiło w Anglii 1848. r. z dziełami swemi, w których cofnęli się do wzorów malarstwa z czasów przed Rafaelem Santim z Urbina (1483—1520.) Stąd nazwę prerafaelitów złączono z tem gronem i z osobami zwolenników jego poglądów w sztuce, którym J. Ruskin wywalczył uznanie swemi krytykami.

Nr. 69. Pierwszą wystawę światową urządzono w Londynie w r. 1851.

Nr. 70 Pianka morska jest to minerał z gatunku mydleńców, będący połączeniem krzemionki, magnezyi i wody. Z pianą morską nie ma nic wspólnego. Nazwa sama jest wynikiem tzw. słoworodu ludowego. Oto z końcem w. XVIII. niejaki Kummer na Węgrzech począł pierwszy wyrabiać piękne fajeczki z tego minerału, które przyjęły się w Paryżu pod na

zwą *le Kummer*. Lud francuski, nieświadom pochodzenia nazwy, a zwiedziony lekkością materyału, upodobnił nazwę tę do znanych sobie wyrazów *l' écume de mer*, co znaczy: piana morska. Niemcy, my i inne narody, przyjęły następnie z Francyi owe fajeczki jako artykuł mody wraz z nazwą przekręconą, którą przełożyły na swe języki odpowiednio.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 12. lutego b. r.:

(66 i 68—70) Bednarowski, Masiuk, Tomaszewski; (66 i 69—70) Badura, Bloch, Solski; (67 i 69—70) Domański; (66 i 68—9) Chwistek; (68—70) Kędzierski; (66 i 69) Biegelmeyer, Machalski; (68—9) Dubienski, Stamm; (68—70) Malowany, Moszoro, Prajer; (69—70) Hecht, Smolka, Starkiewicz, Wiktor; (67) Horodyski; (68) Dziurzyński, Michalewicz, Pordes, Reinhold; (69) *Avήρ*, Bator (znakomicie), Cetnarski, Kienzler, Mann, Oberhard, Prajerówna, Śliwiński, Wechsler; (70) Sokalski.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Starkiewicz (Vrchlickiego) i Heyderer (Zaborowskiego).

Rozwiązanie logogryfu z nru 3.

Lipsk, Dembowski, Eugeniusz, Dembiński, Pułaski, Bautzen, Dąbrowski, Wawel, Massena, Sierakowski, Kniaziewicz, = Poniatowski.

Trafne rozwiązania nadesłali do 12. b. m.: Agopsowicz, Badura, Bednarowski, Bieniecki, Bloch, Chmielnicki, Chwistek, Dubieński, Horodyski, Kienzler. Mann, Malowany, Masiuk, Moszoro, Oberhard, Pordes, Sokalski, Sołtowski, Stamm, Starkiewicz, Śliwiński, Tomaszewski, Zawirski.

Łamigłówka filologiczna.

Rzymianin pewien przesłał swemu przyjacielowi, który wrócił właśnie z podróży, list w brzmieniu następującem: „Mitto tibi navem, prora pupique carentem". Cóż mu więc przesłał?

W. Prajer.

Wymiana kart z widokami.

W tym dziale będziemy podawać adresy tych czytelników i czytelniczek „Przyjaciela", którzy pragną wymieniać z sobą karty z widokami. Używamy skróceń: u. = uczeń. k. = klasa, g. = gimnazyum, r. = szkoła realna, s. = seminaryum naucz. (m. względnie ż), L. = Lwów, K. = Kraków. Dotychczas zgłosili się: 1. R. W. Witoszyński u. VII. k. II. g. L., 2. A. Bednarowski u. VIII. k. g. Brzeżany, 3. L. Wechsler u. IV. k. g. Buczacz, 4. J. Mann u. VII. k. II. g. L., 5. N. Michalewicz u. V. g. L., 6. S. Bloch u III. k. g. św. Anny K., 7. F. Gieruszyński u. g. L. ul. Żulińskiego l. 3

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Do wszystkich czytelników. Na pytania, uwagi, zażalenia itp. o charakterze zbyt osobistym odpowiadamy odtąd listem lub kartką, jakto już liczni korespondenci nasi mogli się przekonać. Skrzynkę zachowamy jedynie dla spraw ogólniejszych, mogących zająć większe koło czytelników.

Bator. „Lud" jest kwartalnikiem, dla uczni zniża cenę. — *Cyprowski.* Gdyby każdy opisał w sposób podobny swój kątek rodzinny, mielibyśmy wnet olbrzymi materyał krajoznawczy. Rękopis drugi idzie do „Ludu". Tylko tak dalej; proszę korzystać ze wskazówek p. Młynka, wybornego znawcy ludu polskiego. — *Dom.* Najlepszy przekład Odysei jest L. Siemieńskiego; dosłowny znamy tylko niemiecki. — *Dz.* „Z najnowszej poezyi" będzie nadal pojawiać się od czasu do czasu. — *Emanus.* List i rpis wysłano. — *Jugora.* 10. kwietnia to nie calendae Graecae. Pracę otrzymaliśmy, ucieszyła nas. „Korsarza" z „Wallenrodem" zestawił Kallenbach w dziele o A. Mickiewiczu, osobno nikt. — *Niezapominajka.* Podręczniki z działu przyrodn. i matem. tesame, co w szkole. — *L Pr* Liczba przedpłacicielek rośnie stale. — *Sfinks.* „Oko proroka" 1 *k*; niemożna przewidzieć wyniku wojny obecnej, zresztą zajmujmy się lepiej sprawami ojczystemi! „5 koron" nie znamy. Tylko o wartościowych sztukach piszemy w Przyj. — *Wł. Sm.* Za uwagi, tchnące szczerą życzliwością, dzięki, ale nie możemy zadość uczynić żądaniu. Obszerniej kartką. — *Szczupak.* Pośredniczymy chętnie w nabywaniu książek. Orzeszkowej „Wybór pism" 4 t opr. 6 *k.* 40 *h.* Nr. 3. z. r. wysyłamy. — *Sokół.* Nr. 2. albumu będzie stanowił „Ukrzyżowany" Van Dycka. Pragniemy dać też Matejkę. Kartkę otrzymaliśmy. — *Sol.* Co niezrozumiałe, proszę napisać; zastosujemy się do życzenia. — *Wietor.* „Krewni" Korzeniowskiego wyjdą wkrótce w tanieh wyd., „Ben Hur", Wallace'a 5 *k.* 20 *h.*, reszta kartką. — *Zaw.* Zarządziliśmy.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Dr. Franciszek Krczek.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia). Redaktor przyjmuje w każdą sobotę (z wyjątkiem świąt) w godz. 5—6 wieczorem.

Treść nru 4.: *Fr. Coppée*, Nona (powiastka). — Nurek, piosnka ludowa franc. w przekł. *E. Porębowicza*. — *T. Pini*, Lud w poezyach M. Konopnickiej II. — *Fr Krczek*, Jan Ruskin (dok.) — (*m r.*), Z L twy, korespondencya oryginalna. — Gawęda o cieple (z niem.) — *K. L W.*, Z całej Polski. — Zagadnienia, łamigłówka, wymiana kart z widokami, skrzynka pocztowa redakcyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 1. marca 1900.



Rok II.

Nr. 5.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Służba, nie wyssana z miłości ojczyzny i nie obrócona na jej pożytek, stera imię człowieka i cześć jego w nic obróci. *M. Czajkowski.*

Henryk Sienkiewicz.

Na Olimpie.

Legenda [1]).

Noc wiosenna, cicha, srebrna, pachnąca jaśminem, rosista!

Nad Olimpem płynie księżyc w pełni. W blasku jego śnieżny szczyt świeci smutnem, jasno zielonem światłem.

Poniżej nad doliną Tempe czernieją gąszcze świdwy, rozkołysane od pieśni słowiczych, od próśb, jęków, wołań, zaklęć, westchnień, omdlewań. Płyną one, jak głosy fujarek i fletni, przepełniają noc, padają i kapią nakształt wielkich kropel gęstego dżdżu, leją się, jak strumień.

Chwilami milkną i wówczas nastaje taka cisza, że słychać niemal śniegi topniejące na wysokościach, pod ciepłem tchnieniem Maja.

Cudna noc! ambrozyjska! wiosenna!...

W taką to noc przyszli Piotr i Paweł i zasiedli na upłazie, aby złożyć sąd nad starymi bogami. Na głowach mieli świetliste obrączki, które rozświecały ich siwe włosy, zmarszczone brwi i surowe oczy. Poniżej, w cieniu głębokim buków bielił się tłum bogów opuszczonych, zapomnianych, trwożnych i czekających na wyrok zatraty.

Piotr skinął ręką. Na ów znak z tłumu wystąpił pierwszy Dzeus Chmurozbiórca i szedł ku Apostołom potężny jeszcze i ogromny, jakby z marmuru przez Fidyasa wykuty, ale zgrzybiały już i posępny. Stary orzeł ze złamanym skrzydłem wlókł się u jego nóg, a siny, miejscami zrudziały od rdzy i przygasły grom wysuwał się z drętwiejącej prawicy dawnego ojca bogów i ludzi.

[1]) Legendę tę podała właśnie książka zbiorowa warszawskich pisarzy p. n. „Sami sobie“ (cena 1 rs. 50 kop.); dla zaznajomienia czytelników naszych z najnowszym utworem Sienkiewicza, przedrukowaliśmy ją powyżej. (*P.R.*)

Lecz gdy stanął przed Apostołami, poczucie prastarej wszechmocy napełniło mu pierś olbrzymią.

I podniósłszy z dumą głowę, utkwił w obliczu starego rybaka z Galilei swe boskie świecące oczy, pełne pychy, gniewne, podobne do błyskawic, straszne. Zadrżał na to w posadach przywykły do strachu przed władcą Olimp. Zakolebały się przerażone buki, ucichły pieśni słowików, a księżyc, płynący nad śniegami, zbielał, jak płótno Arachny. Po raz ostatni zakrakał krzywym dziobem orzeł, a grom, jakby ożywion dawną siłą, rozbłysnął, począł się wić groźnie u nóg Pana i podniósł sycząc i zgrzytając trójkątny, płomienny łeb, jak wąż gotowy żgnąć żądłem jadowitem.

Lecz Piotr przycisnął stopą ogniste zygzaki i wgniótł je do ziemi — poczem, zwróciwszy się do Chmurozbiórcy, rzekł:

„Przeklętyś jest i potępiony na wieki!“

Dzeus zaś przygasł w mgnieniu oka, pobladł i, szepnąwszy poczerwieniałemi wargami: „Ananke!“, zapadł się w ziemię.

Drugi stanął przed Apostołami Czarnokędzierny Posejdon, z nocą w źrenicach i poszczerbionym trójzębem w ręku

Temu atoli rzekł Piotr:

„Nie ty będziesz wzburzał i uciszał odmęty i nie ty będziesz wiódł do cichych ostoi zbłąkane na roztoczy łodzie, jeno Gwiazda Morza“

Co usłyszawszy ów, krzyknął, jakby bólem nagłym przeszyty, i rozwiał się we mgłę znikomą.

A potem wstał Srebrnołuki z zdrążoną formingą w dłoni i szedł ku świętym mężom, a za nim szło zwolna dziewięć Muz, do dziewięciu białych kolumn podobnych. Przelękłe Muzy stanęły przed sądem jak skamieniałe, bez tchu w piersi i bez nadziei w sercach, lecz Promienisty zwrócił się do Pawła i począł mówić głosem, do cudnej muzyki podobnym:

„Nie zabijaj mnie Panie i obroń, albowiem wskrzesićbyś mnie musiał! Jam kwiat duszy ludzkiej, jam jej radość, jam światło i jam tęsknota ku bogu. Ty wiesz najlepiej, Panie, że nie doleci pieśń ziemi ku niebu, jeśli połamiecie jej skrzydła, — więc was zaklinam, o Święci, — nie zabijajcie Pieśni!“

I nastała chwila milczenia. — Piotr wzniósł oczy ku gwiazdom, Paweł położył dłonie na rękojeści miecza, wsparł na nich czoło i zadumał się głęboko.

Wreszcie podniósł się: spokojnie uczynił znak krzyża nad promienną głową bożka i rzekł:

„Żyj, Pieśni!“

Wówczas Apolo siadł z formingą u nóg Apostoła: Noc uczyniła się jaśniejsza, zapachniały mocniej jaśminy, zadzwoniły weselej źródła, Muzy skupiły się nakształt stada białych łabędzi i drżącymi jeszcze z trwogi głosami poczęły śpiewać z cicha dziwne, niezasłyszane dotąd nigdy na wysokościach Olimpu słowa:

„Pod Twoją obronę uciekamy się, Święta Boża Rodzicielko..

„Naszemi prośbami racz nie gardzić...

„Ale od wszelakich złych przygód racz nas zawsze zachować,

„O Pani nasza!. “

I tak śpiewały na wrzosach, podnosząc w górę oczy, jako białogłowe mniszki pobożne.

. . . . . .

Przeszli i inni bogowie. Przeleciał korowód Bakcha, dziki, wyuzdany, uwieńczon w bluszcz i winograd, zbrojny w cytry i tyrsy. Przeleciał z okrzykami szału, rozpaczy — i zapadł się w otchłań bezdenną.

Wtem przed Apostołami stanęło inne bóstwo: wyniosłe, harde, gorzkie — i nie czekając ni pytań, ni wyroku, pierwsze przemówiło ze wzgardliwym na ustach uśmiechem:

„Jam jest Palas-Atene. Nie proszę was o życie, gdyż jestem tylko złudzeniem. Słuchał mnie i czcił Odys, wówczas, gdy się postarzał, słuchał Telemak, póki włos nie okrył mu brody. Nieśmiertelności nawet wy nie zdołacie mi odjąć, ale natomiast mówię wam, że cieniem marnym byłam, cieniem jestem i cieniem pozostanę na wieki.“

Aż wreszcie przyszła kolej i na Nią — najpiękniejszą, najwięcej czczoną.

Zbliżyła się słodka, cudna, rozpłakana. Serce biło w niej pod śnieżną piersią, jak u ptaka, a usta drgały, jak u dziecka, które lęka się kary okrutnej. Więc, przypadłszy im do nóg i wyciągnąwszy swe boskie ramiona, poczęła wołać z pokorą i bojaźnią:

„Jam grzeszna, jam winna! ale, o Panie, jam szczęście ludzkie! Zmiłuj się! Przebacz! Jam szczęście ludzkie jedyne!“

Poczem lęk i łkanie odjęły jej głos. Lecz Piotr spojrzał na nią litośnie i położył sędziwą dłoń na jej złotych włosach, a Paweł pochylił się ku kępie polnych lilii, uszczknął jeden kielich i, dotknąwszy jej nim, rzekł:

„Bądź odtąd jako i ten kwiat, — ale żyj, Szczęście ludzkie!“

A wtem rozedniało. Różowa jutrzenka wyjrzała zza przełęczy. Słowiki umilkły, a natomiast szczygły, makolągwy, zięby i piegże jęły wydobywać z pod zroszonych skrzydeł senne główki, strzepywać z piór rosę i powtarzać cichymi głosami: „Świt! świt!“ Ziemia budziła się uśmiechnięta i radosna, bo nie odjęto jej Pieśni i Szczęścia.

Dwa sonety.

Na falach.

Muska łódź moja modre jeziora głębiny,
Gasną zorze w różanym potoku płomieni
I, po smaragdowej sitowia spłynąwszy zieleni,
Giną, kędy na lasy upada mrok siny.

Zda mi się, że świat cały w barw orgii się mieni ..
Cisza po falach — białych mkną lilii drużyny,
Tajemne szmery niesie z sitowia gęstwiny
Duch wieczoru, co buja samotny w przestrzeni.

Rzucam wiosła .. łódź niosą igrające fale.
Słońce zaszło, od brzegów rój mglisty się zbliża.
Nademną gwiazd kraina — wkół obłoczne cienie

A w tej ciszy bez końca milknie radość, żale;
Wśród obłoków duch wolny, jak jaskółka chyża,
W bezmiaru nieskończone ulata przestrzenie.

Viator sum.

Wije się droga głucha, opuszczona,
Wśród pól ściernistych — zda się, że bez końca,
Ginie, gdzie tarcza rubinowa słońca
Na niebios kręgu już w ciemnościach kona.

Wije się droga i zda się bez końca...
Przy niej krzyż czarny rozciąga ramiona,
A na nim głowę zwiesił Bóg i kona
Samotny... w blaskach rubinowych słońca.

A drogą idzie znużony, samotny
Pielgrzym... tęsknota go wiedzie do słońca
Samotną drogą, głuchą i bez końca...

Stoi wieczoru rosą krzyż wilgotny,
Skroń się do niego tuli pałająca —
Klęczy przy krzyżu wędrowiec samotny. *wg.*



O sejmach w Polsce.

I.

Od zamierzchłej przeszłości aż do śmierci Kazimi rza Wielkiego

Rozpoczniemy od czasów bardzo dawnych, bo od powstania państwa polskiego. Początkowo żyli mieszkańcy kraju naszego, nazwanego później Polską, rozdrobnieni na liczne plemiona cz. ludy. Plemię stanowiło kilkadziesiąt do kilkuset rodów. Rodem nazywano wielką rodzinę, złożoną zazwyczaj z kilkudziesięciu osób, która wywodziła swe pochodzenie od jakiegoś wspólnego praojca. Rody gospodarowały razem, na wspólnym gruncie, pod naczelną władzą najstarszego lub też najdzielniejszego członka, który nosił nazwę, starosty lub żupana. Na czele kilkunastu lub kilkudziesięciu rodów stał ksiądz*) głowa najmożniejszego rodu i naczelnik plemienia Plemiona nosiły osobne nazwy np Polan, Wiśliczan, Łęczycan, Ślązan itp. Książę plemienia nie miał wielkiej władzy i spraw swego plemienia nie rozstrzygał sam, ale powoływał do rady wspomnianych starostw lub żupanów, którzy schodzili się na zgromadzenie (wiece, później wiec) i rozstrzygali o wszystkiem tak dalece, że nieraz nawet pozbawiali księcia władzy i ustanawiali innego w miejsce jego. Każde plemię miało zazwyczaj przynajmniej jedno miejsce obronne i warowne, zwane grodem (grodziskiem), zwykle siedzibę księcia. Nic nie wiązało plemion między sobą i chwilowo tylko łączyły się dla wspólnej obrony w razie napadu nieprzyjacielskiego.

W tych czasach niemożna jeszcze mówić o państwie polskiem. Powstało ono dopiero wtedy, gdy owe plemiona wraz ze swymi książętami dostały się pod władzę i panowanie jednego księcia z plemienia Polan, od którego inne plemiona otrzymały ogólną nazwę Polaków. Kiedy się to stało i jakim sposobem, czy drogą pokojową, czyteż — co prawdopodobniejsza — wskutek podboju in-

---

*) Tak nazywano pierwotnie księcia. Później dopiero słowo „ksiądz“ poczęło oznaczać duchownego, nazywanego pierwotnie popem, a książę (zdrobniałe „ksiądz“) począł oznaczać panującego.

nych plemion przez Polan, tego nie wiemy. Przypuszczać jednak możemy, że ciągłe niebezpieczeństwo, które groziło plemionom polskim od strony Niemców, kazało się im ściśle złączyć dla odparcia groźnego nieprzyjaciela. To pewna, że pierwszy książę polski, o którym mamy już niewątpliwe wiadomości, t.j. Mieszko (według prof. A. Brücknera imię zdrobniałe od Niedźwiedzia) panował nad wielkim krajem i nad wielu plemionami. Mieszko, a zwłaszcza syn jego, Bolesław Chrobry, i dalsi jego następcy z rodu Piastów, nie byli w niczem podobni do dawnych książąt, którzy niegdyś stali na czele plemion. Rządzili w całem tego wyrazu znaczeniu samowładnie, byli właścicielami całej ziemi, którą władali, i panami życia i śmierci wszystkich jej mieszkańców. Utrzymywali po grodach zbrojne drużyny rycerstwa, sami zaopatrywali je w oręż i żywność i przedsiębrali z niem wyprawy wojenne. Sami rozstrzygali o woinie i pokoju, byli najwyższymi w kraju sędziami, mianowali i usuwali urzędników i nakładali na ludność ciężary i daniny, jakie uważali za potrzebne. Jednem słowem cała władza spoczywała w rękach księcia (króla).

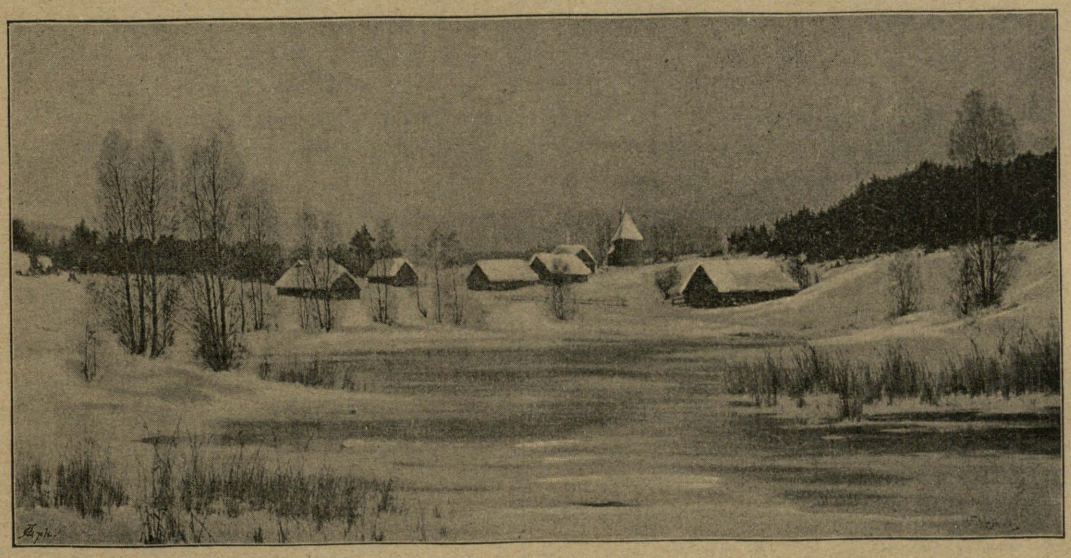
Oczywista rzecz, że książę nie mógł wszystkiego sam rozstrzygać, ale musiał się posługiwać czyjąś radą. Rada księcia, złożona z najznakomitszych w państwie osób, mogła wywierać na panującego wpływ mniejszy lub większy. Książę powoływał do niej najwyższych swych urzędników, jak wojewodów, nazywanych tak dlatego, że podczas wojny dowodzili znaczniejszymi zastępami rycerstwa, - kasztelanów, którym znów powierzoną była piecza nad grodami, utrzymywanie ich w stanie obronnym i pilnowanie, ażeby ludność okoliczna dostarczała grodowi wszystkich



St. Kaczor-Batowski, Wieczornica.

rzeczy potrzebnych, dalej najwyższych dygnitarzy kościelnych, jak arcybiskupa, biskupów, prałatów, wreszcie urzędników dworskich, do których należeli: marszałek, kanclerz, podkomorzy i podskarbi. Ta rada, dokoła panującego zebrana, zwała się po staremu wiecem mimo składu zmienionego. Panujący pytał zebranych o zdanie, ale nie musiał krępować się niem wcale. Taki Bolesław Chrobry lub Krzywousty mieli niezawodnie tę swobodę. Zmieniło się to jednak, gdy po śmierci Krzywoustego (1144.) Polska, przedtem jednolita, rozpadła się na dzielnice, a z biegiem czasu

rozdrobniła jeszcze więcej. Potomstwo Krzywoustego, panując na coraz to mniejszych dzielnicach, stawało się coraz to bardziej zawisłem od własnych poddanych. Książęta dzielnicowi musieli się liczyć z możnowładcami duchownymi i świeckimi swej dzielnicy. Toteż nietylko słuchali ich rad, ale też hojnie obdarzali ziemią i przywilejami biskupów i klasztory, urzędników swych i rycerstwo. A przecież mimoto nieraz tracili trony, które możnowładztwo dzielnicowe obsadzało książętami innymi, jeszcze powolniejszymi jego wpływom. Rozdrobnienie Polski na dzielnice dogadzało bardzo najmożniejszym dygnitarzom i urzędnikom dzielnicowym, którzy tem więcej wzrastali w potęgę, znaczenie i majątki, im bardziej słabła władza książęca. zjednoczenia Polski dokonał dopiero Włodzisław Łokietek (1320.) Stało się to jednak zbyt późno, bo dzielnice nawykły już do odrębności i, choć wreszcie musiały uznać nowego króla, to przecież zatraciły poczucie wspólności i jedności z resztą Polski. Gdy zabrakło książąt dzielnicowych, wojewodowie i kasztelanowie stali się najznaczniejszemi po dzielnicach osobami; sam król musiał liczyć się z nimi, gdyż mieli wpływ największy i dlatego powoływał wojewodów i kasztelanów do swej rady. Inni niżsi urzędnicy, którzy dawniej byli urzędnikami dworskimi u swych książąt dzielnicowych, częściowo zatrzymali nadal swe tytuły i sprawowali nadal swoje urzędy, jak np. podkomorzy, sędzia, podsędek i pisarz, reszta jednak urzędników zachowała je-



St. Dąbrowska, Krajobraz zimowy.

Polska rozdrobniła się na kilkanaście dzielnic. Byli osobni książęta krakowscy, sandomierscy, poznańscy, kaliscy, kujawscy, łęczyccy, dobrzyńscy, liczni mazowieccy i jeszcze liczniejsi śląscy. Księstwa ich były osobnemi państewkami. Każdy książę miał własnych dygnitarzy i urzędników dworskich, do których liczyli się: wojewoda, kasztelan, podkomorzy, chorąży, sędzia, stolnik, podczaszy, podsędek, podstoli, cześnik, łowczy, wojski, pisarz i miecznik. Na urzędy te książę powoływał najwybitniejszych ze szlachty swej dzielnicy. Niektórym z książąt udało się złączyć pod swem panowaniem kilka dzielnic, jak np. Kazimierzowi Sprawiedliwemu, Mieszkowi III., Przemysławowi II., ale trwałego dynie tytuły. Nie uważano ich już za urzędników dworskich, ale tylko za ziemskich, gdyż dawne dzielnice nazwano ziemiami.

Po zjednoczeniu Polski królowie Włodzisław Łokietek i Kazimerz Wielki musieli także zasięgać czyjejś rady, zwłaszcza w sprawach ważnych, które obchodziły całe państwo. W takich razach używali do rady najwyższych dygnitarzy wszystkich ziem swoich (niegdyś odrębnych dzielnic), a więc wojewodów i kasztelanów, a z duchowieństwa biskupów. Była ta rada znowu wiecem, zjazdem urzędników, a zwała się wiecem wielkim. Na takich wiecach Kazimierz W. wydawał np. swoje sławne statuty. Były jednak sprawy, które dotyczyły tylko ziem poszczególnych.

Te załatwiano znów na wiecach dzielnicowych, w których król zazwyczaj nie brał udziału, tylko wojewoda, kasztelan i urzędnicy tej ziemi. Wiece te zajmowały się przeważnie sprawami sądowemi i wymiarem sprawiedliwości. Szlachta niższa, która nie miała ani urzędów, ani tytułów, nie miała głosu na tych zebraniach.

W lepszem położeniu od szlachty było ówczesne mieszczaństwo. Pierwotnie niemieckie, spolszczyło się z biegiem czasu, miało po miastach swój odrębny rząd z burmistrzami, wójtami, rajcami i ławnikami i załatwiało swe sprawy na ratuszu, nie troszcząc się o to, co się działo w kraju, poza murami ich miast. Duchowieństwo niższe miało swych zastępców (biskupów) w radzie królewskiej i na wiecach, a dla swoich spraw duchownych zbierało się na synody. Tylko szlachta nie miała się gdzie zbierać i o czem obradować, ponieważ nikt nie pytał jej o radę

Czasy panowania Piastów nie były więc dla szlachty czasami złotemi. Ciężył na niej obowiązek służby wojskowej, musiała się sama uzbrajać na wojnę i żywić podczas wojny, płacić dziesięciny Kościołowi i składać opłaty, daniny, podatki, które król z radą swą nakładał na nią. Gdy dwór królewski przeciągał przez kraj, wówczas szlachta musiała dostarczać dworowi żywności i podwód. W ogóle nie była szlachta ówczesna zamożną, owszem np. na Mazowszu lub w Łęczyckiem była wprost tak biedną, że sama chodziła za pługiem, a nierzadko kmieć bywał zamożniejszym od szlachcica. Toteż szlachta patrzyła zazdrosnem okiem na panów czyli dygnitarzy, na duchowieństwo i mieszczaństwo, które cieszyło się zamożnością, anawet na dostatniejszych kmieci.

Alojzy Winiarz.

SZKICE
z dziejów piśmiennictwa francuskiego.

I.

W epoce, której dotąd oznaczyć nie zdołano, Galię zalały plemiona keltyckie (Gaêls, Galls, Gaulois), wyparłszy z niej Iberów i Basków (Vascons, Basques). Mało wiemy o ich życiu; na widownię dziejów występują dopiero wtedy, gdy Rzym, rozszerzając się na wsze strony, rozpoczął z nimi długą walkę. W r. 50 po Chr. Rzymianie zdołali nakoniec kraj opanować i, jak zwykle, wprowadzili do Galii wraz z legionami swe urządzenia (cités) swe prawa, zwyczaje i obyczaje, swe szkoły, teatry i cyrki. Prześladowana przez nich religia druidyczna ustępuje powoli, a już od II w. chrześcijaństwo przenika coraz głębiej, a skutki jego działania są olbrzymie.

Najście Germanów, które zaczęło się w 24. r., a trwało do 48. r., pogrąża Galię w nieopisany zamęt. Wszelki ślad wprowadzonej przez Rzym cywilizacyi zdaje się znikać zupełnie pod gruzami, które nagromadzają barbarzyńcy. Wszelki ruch umysłowy ustaje. Jeden tylko Kościół przechowywa tradycyę kultury i Kościół tylko nie przestaje krzątać się około podniesienia poziomu moralnego i intelektualnego.

Karol Wielki (771—814.) daje podstawy nowego porządku rzeczy, popiera prace Kościoła i opiekuje się naukami, lecz pod jego następcami państwo się rozpada, zamęt powstaje na nowo i walki wewnętrzne powstrzymują rozwój. Rozzuchwaleni tym stanem rzeczy Northmanowie coraz częściej napadają Galię i nakoniec opanowują (911) całą prowincyę, która do dzisiaj zwie się ich imieniem.

Oto są pierwiastki, które złożyły się na wytworzenie w Galii tego, co nazywamy dzisiaj narodowością I istotnie, tak w dziejach, jak i w piśmiennictwie, przez ciąg wieków występują na jaw znamiona każdego z ludów, które zmieszały się, by wytworzyć narodowość francuską: rozum Rzymianina, trzeźwość i jasność jego umysłu i realny pogląd na rzeczy; rycerskość i karność Franków; niespokojna i burzliwa wyobraźnia Normanda i awanturnicze jego usposobienie; nakoniec żywość, przenikliwa bystrość, szlachetność, wesołość i dowcip, porywczość i zmienność Gala, — oto główniejsze, często sprzeczne nawet cechy Francuza.

Proces przetwarzania się tak różnych żywiołów trwa wieki całe; pojęcie jedności kraju, ojczyzny, solidarności różnych prowincyi pojawia się później, niżby można było przypuszczać, wyrabia się powolnie i z trudem niejako

Najrozmaitsze wpływy, czynniki wewnętrzne i zewnętrzne wypadki dziejowe i nie-

zwykłe okoliczności to przyśpieszają, to opóźniają powstanie tej Francyi, która miała przodować ludom i wycisnąć na nich swoje cywilizacyjne piętno.

Z wejściem Rzymian do Galii weszła tam ich mowa i to dwoma prądami. Przez administracyę, prawa i piśmiennictwo, przez Kościół później, wkroczyła łacina klasyczna, łacina klas wykształconych (*latinitas*). Lecz język ten w Rzymie samym w pierwszych dwu wiekach po Chrystusie, gdy arystokracya i bogate mieszczaństwo znikać zaczęły, rozwielmożniał się potężnie. Mowa, której używały ludy italskie (*rusticitas*), ogarnęła wkrótce wszystko, stała się językiem niższego chrześcijańskiego kleru tak że w V. w. zajęła wszystkie prowincye, a z rozpadnięciem się państwa rzymskiego w każdym z krajów, gdzie dawniej panowała *lingua romana*, wytwarzają się odrębne gwary z ludowej łaciny, zmienionej w ustach rozlicznych plemion.

Wszędzie tłum szary stanowi powstający naród; nowe pojęcia tego tłumu, sprowadzają nowe formy, nowe wyrazy, nowe konstrukcye. Powstają liczne narzecza miejscowe (*patois*). Tak było w Italii, w Hiszpanii, tak się stało i w Galii. Obaczymy niezadługo, jak z tego zamętu wykwitł język, który miał świat opanować. *J. Amborski.*



Szkice z zakresu estetyki.*)

V.

O rozwoju w sztuce.

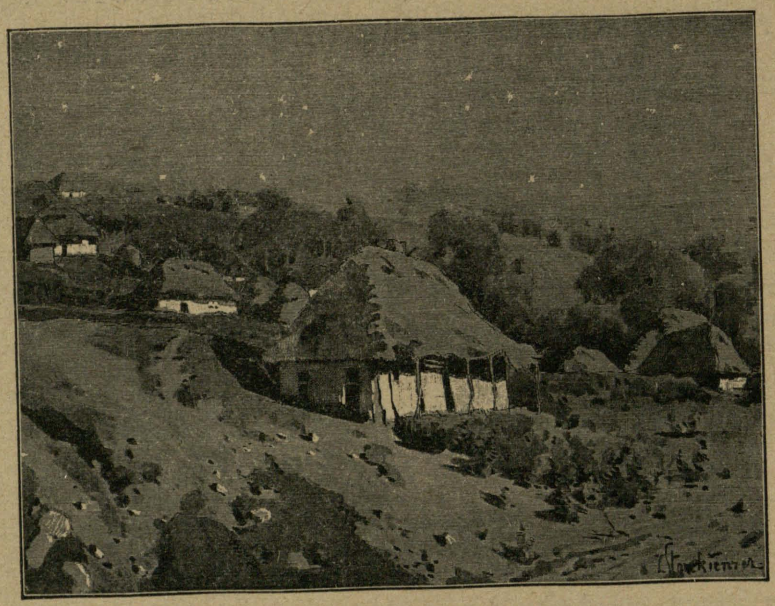
Myśl że rozwój organiczny jest widocznym w dziejach sztuk plastycznych, jest tak starą, jak historya tych sztuk. Przechodzi też z jednego podręcznika do drugiego, ale rzadko który podręcznik z dziedziny rzeźby i malarstwa odróżnia należycie to, co rozwinęło się trwale, od tego, co znów zamarło ze zmianą mody. A przecie ogólny rozwój sztuki europejskiej przedstawia obraz ciągłego wzmagania się i opadania twórczej siły artystycznej. Niemożna też zaprzeczyć, że sztuka późniejsza w chwilach swego najwyższego rozwoju prześcignęła sztukę wieków poprzednich w jej największym rozkwicie co do zdolności oddziaływania na umysły ludzkie. Także ideały zmieniały się ciągle, a wraz z nimi usiłowania techniczne, przynajmniej tam, gdzie palma pierwszeństwa w sztuce przechodziła od jednego narodu do drugiego. Mimoto u duchów przodujących zdolności artystyczne nigdy nie obniżyły się do poziomu okresów poprzednich, a nawet u mniejszych talentów niebyło tego Istnieje w sztuce kapitał żelazny, który wzrastał ciągle bez ubytku od czasów Karolingów aż do rokoka, a który, w małej zaledwie części zlekceważony przez Corneliusa i jego szkołę, doznał przyrostu ponownego za naszych czasów. Bystrość spostrzegania objawów życia duszy i zdolność wyrażania ich potęgowała się ciągle. Głowy gotyckie posiadają życia więcej od romańskich, a renesans (Odrodzenie) okazywał zrozumienie życia jednostki, obce wcale czasom poprzednim; ale także wiek XVII. lubiał przedstawiać objawy uczucia, pomijane przez wielkich mistrzów XVI. w., a sztuka dzisiejsza — zdaniem mojem — odczuła drgania życia duchowego, nieznane dawniej, i znalazła dla nich wyraz odpowiedni, taksamo jak piśmiennictwo naszych czasów pozostawiło w tyle za sobą literaturę dawniejszą pod względem analizy nastrojów ludzkich.

Dążność do utrwalania życia w dziele sztuki jest wspólną malarstwu i rzeźbie wszystkich czasów i ludów. Również wspólna wszystkim malarzom jest chęć wywołania złudzenia bryłowatości i przestrzeni na płaszczyźnie. I rzeczywiście środki do uzyskania tego złudzenia pomnażają się z każdem stuleciem poprzez wszelkie wahania się smaku Wszyscy wielcy mistrzowie, tak północni, jak południowi, od Giotta (czyt. Dżiotto, 1266-1357.) aż po dzień dzisiejszy, czynili epokowe odkrycia nowych środów w tym zakresie. Wszystkie dzieła o sztuce, pisane przez artystów, omawiają te środki. Ta okoliczność musi być dla nas miarodajną w sprawie omawianej.

Naturalnie już bardzo pierwotny rysunek konturowy, spotykamy na wykopaliskach przeddziejowych, może obudzić w nas wyobrażenie krajobrazu z renami. Ale było potrzeba

*) Zaczynamy dalszy szereg szkiców tych, których I. IV. o pięknie typie, stylu i kompozycyi ukazały się w roczniku poprzednim „Przyjaciela". (*P.R.*)

długiego rozwoju ludzkości i pracy wielu pokoleń sztukmistrzów, bardzo uzdolnionych, zanim sztuka doszła do zdolności przedstawiania plastycznego przedmiotów najprostszych tak, jak uczeń uczy się tego dzisiaj w oddziale gipsów szkoły rysunkowej. Celem wywołania wrażenia perspektywy w przestrzeni artysta musi przedstawiać rzeczy tak, jak się przedstawiają nam jako poszczególne części w całokształcie swego otoczenia, w oświetleniu przypadkowem, w oddaleniu przypadkowem, a nie tak, jak bez cienia, pozbawione wszelkiej przypadkowości, tkwią w umyśle naszym; musi więc cieniować przedmioty, modelować zapomocą światłocienia, musi przedstawiać je tem mniejszymi i wogóle tem bledszymi i bardziej niebieskimi, im dalszymi powinny się wydawać. Dziś to wszystko rozumie się samo przez się, ale tak nie było dawniej. Sztuka najdawniejsza zadowalała się zarysem (konturami) i barwami. Tak Egipcyanie, jak artyści dawnego okresu cesarzy niemieckich przedstawiali ludzi większymi lub mniejszymi stosownie do ich godności. Nawet potężny Giotto nie oddawał jeszcze cieni zupełnie tak, jak mogą wypadać przy pewnem oświetleniu, i prawdopodobnie dopiero potrzeba krajobrazów i dalekich przestrzeni doprowadziła do naturalnego przedstawiania perspektywicznego.



Zofia Stankiewiczówna, Noc.

(Dok. nast.)

Z Litwy.

(*Korespondencya oryg. „Przyjaciela młodź.“*)

(Dokończenie.)

Jedziemy dalej w lasy. Gdzieniegdzie obszerne polany, a na nich kilka plam czarnych. To chaty litewskie. I znowu lasy aż do samych Birż (po litew. Birżai t. zn. brzezina *dop. red.*) Ciekawy-m zobaczenia miasta, znanego po imieniu z dzieł Sienkiewicza. przypatrzenia się zamkowi, gdzie władał dumny książę na Birżach i Dubienkach, gdzie chciano rozstrzelać poczciwego filuta Zagłobę, Wołodyjowskiego i innych. Przejeżdżamy przez jezioro Szyrweny (z litew. szirwas — szary), mające 600 dziesięcin obszaru, z kilku wyspami w pośrodku, i wpadamy w miasteczko. Tuż u wejścia wita nas zbór kalwiński, zbudowany z cegły czerwonej niebardzo dawno, bo stary fundacyi Radziwiłłów, gorliwych popleczników kalwinizmu spalił się w r. 1704. Po tej samej stronie nieco dalej kościół katolicki z 2 wieżami, cały pobielony, fundacyi Tyszkiewiczów, naprzeciw zaś malutki kościółek luterański z cegły czerwonej, a za nim cerkiew prawosławna z banią zieloną. Tuż obok kościoła zwaliska zamku. Naokoło rów zamkowy, głęboki na kilkanaście metrów, otacza w czworobok obszerne miejsce obwałowane, z szczątkami muru Na dziedzińcu dziś sad owocowy. Zza drzew widać zwaliska. Ściana południowa rezydencyi dochowała się jeszcze tak, że pozostały 2 piętra.

Ze ścian bocznych są szczątki, a z frontowych ślady zaledwie. Ze wschodniej strony widać tylko odłam ściany na 2 piętra wysoki, a najwyżej 3 metry szeroki; stoi jeszcze dość silnie i opiera się podmuchom wiatru, wiejącego od strony jeziora. Wygląda to na słup odosobniony. U ludu słup ten nazywa się „marcz stułpis“ (słup nowożeńców). Podanie ludowe głosi, że któryś z Radziwiłłów, widząc, że jakaś moc nieczysta ciągle się sprzeciwia budowie zamku, za poradą astrologów

kazał wmurować w ten słup parę nowożeńców. Za to został przeklętym i zmarł nagle jako ostatni Radziwiłł birżański.

Dzieje zamku, jak i całych Birż, związane są ściśle z rodziną Radziwiłłów. Przy końcu XV. w. Birże dostały się drogą spadku Jerzemu, hetmanowi litewskiemu, którego córka, Barbara, znana nam z historyi jako nieszczęśliwa żona Zygmunta Augusta. Otrzymawszy tutuł książęcy, Radziwiłłowie pisali się: Mikołaj Czarny księciem na Ołyce i Nieświeżu, Rudy zaś na Birżach i Dubienkach. Jako przeciwnicy unii z Polską, dla zupełnego z nią zerwania przyjęli kalwinizm, w którym linia birżańska wytrwała do końca. Syn Mikołaja Rudego, Krzysztof, zbudował w Birżach zamek obronny, w którym przebywał przez czas pewien Karol Chodkiewicz, zbierając wojsko na wyprawę kirchholmską. Wkrótce potem Gustaw Adolf, wyruszywszy z pod Radziwilliszek, poblizkiego miasteczka opanował zamek birżański i zburzył go, a działa i zapasy wojenne wysłał do Rygi. Zamek, odbudowany przez Krzysztofa II., obsadziło wojsko szwedzkie za czasów wojny z Karolem Gustawem, Po śmierci Janusza odziedziczył go Bogusław, ostatni Radziwiłł birżański, pan niesłychanie dumny, który pisał się *D. (ei) G. (ratia) Dux* i zawierał w imieniu „państwa“ birżańskiego „traktaty“ majątkowe lub rodzinne. Związany ze Szwedami, dostał się do niewoli polskiej pod Prostkami i wpadł w ręce hetmana Gosiewskiego. Znaną jest ta scena z przepysznego opowiadania Sienkiewicza. Gnoiński, który ofiarował się z pójściem w niewolę tatarską, otrzymał jurgielt dożywotni, rocznie złp. 600. Umknąwszy z niewoli polskiej, Bogusław wrócił napowrót doSzwedów, ale nie otrzymawszy zaszczytów spodziewanych, stał się pośrednikiem między kurfirsztem a Janem Kazimierzem. Po wojnie przystąpił do odbudowy zamku zniszczonego, aby urządzić sobie rezydencyę odpowiednio do majątku i dumy. W r. 1669. ukończono budowę. W czasie wojny północnej zjechali się tu dwaj monarchowie, Piotr W. i August II. W r. 1701. dnia 17. lutego st. st. Piotr przybył w tajemnicy do Birż, gdzie August już go oczekiwał, i zobowiązał się dać mu 200.000 rubli i wojska do 20.000. W r. 1704. jenerał szwedzki Löwenhaupt zdobył Birże i wysadził zamek w powietrze. Odtąd pozostały tylko zwaliska, które z biegiem lat rozsypywały się w proch coraz bardziej, pokrywając się ziemią i trawą. Rząd rosyjski nie pozwolił na odbudowanie zamku, ani na wykopanie armat, które pozostały w rowach; tak więc resztki te czekają zagłady zupełnej. Ze wzniesienia zamkowego widać po drugiej stronie stawu Ostrów, obecną rezydencyę ordynatów. Za czasów Karola Radziwiłła Panie Kochanku mieszkał tu w drewnianym pałacu Leon Borowski znany z opowiadań H. Rzewuskiego. Dziś jest tu pałac z wieżą i zegarem, pełen starych pamiątek. Księgozbiór ordynacki z ciekawymi rękopisami i rzadkiemi wydaniami dzieł polskich i obcych przewieziono do pałacu wileńskiego ordynacyi tyszkiewiczowskiej.

Oglądnąwszy zwaliska zamkowe, udałem się na rynek, gdzie targ odbywał się właśnie. Naokoło drewniane domy żydowskie, czarne i brudne, gdzieniegdzie równie brudne domy murowane. Żydzi tu znacznie spokojniejsi, niż w Galicyi. Przyciśnięci silną ręką rządu rosyjskiego, mogą mieszkać tylko w miasteczkach. Rozporządzenie, chociaż na pierwszy rzut oka nieludzkie, jest jednak koniecznem wobec przewagi umysłowej i sprytu handlarskiego Żydów nad ludnością miejscową. Nie mogą handlować wódką, bo zniesiono szynki, a zamiast nich wprowadzono sprzedaż rządową wódki w flaszkach (*winnaja ławka*). Obok Żydów, kręcących się po rynku, a nie różniących się ubiorem od reszty mieszkańców, widać tu Łotyszów i Litwinów. Czasem przemknie polski szlachcic zaściankowy, a miejski policyant z niezwykle długą szablą porządkuje sanki, zaprzężone zawsze w jednego konia między 2 dyszle z duhą u góry. Duha jest to kabłąk drewniany, spajający oba dyszle, a przyczepiony rzemieniem do grzbietu końskiego. — Co do mowy to prawdziwa wieża Babel. Chcąc porozumieć się ze wszystkimi w ich języku, musiałbyś znać 5 języków: niemiecki, łotewski, litewski, rosyjski i polski. Polaków w ogóle bardzo mało, a i ci muszą przeważnie mówić po litewsku, bo Litwini z ludu często zupełnie nie znają języka polskiego, a z Łotyszami po łotewsku, bo ci nie chcą mówić po niemiecku. Jako pośrednika używa się mowy rosyjskiej, którą wszyscy kaleczą mniej lub więcej. Napisy na

sklepach tylko rosyjskie, bo Birże należą już do Litwy, a więc do tzw. prowincyi zabranych, gdzie język polski nie śmie pojawiać się publicznie w napisach. Zresztą jednak wszędzie — z wyjątkiem budynków rządowych — można porozumiewać się po polsku.

„Ważok!“ rzekłem do Litwina, który, siedząc na ławeczce w sankach, dziwił się, że oglądam stare mury. „Ważók (jedź)!“ A gdy zabrzękły dzwonki, okutany w futro, niesiony lekko po lodzie, zwróciłem myśl swą w przeszłość. Ci dumni panowie, którzy żyli w tym zamku, gdzie są? Ciało w proch się obróciło, ich dzieła w gruzach. A myśli ich czy godne, żebyśmy je pamiętali?

(*m. r.*)



Pogadanka.

Gdyby ktoś w zaraniu stulecia naszego zabawił się był w proroka, byłby się z pewnością pomylił i nie odgadł, że koniec jego będzie taki na jaki patrzymy. Rozpoczął życie przy odgłosie wielkich haseł rewolucyi francuskiej: wolności i równości, otrzymał chrzest krwawy w wojnach napoleońskich, które straszną pożogą przeszły przez Europę. Z pod gruzów i popiołu zakwitło jednak wnet życie bujniejsze i piękniejsze, niż kiedykolwiek przedtem. Państwa poniosły klęski, narody zaś tryumfowały, bo się okazało, że są silniejszymi i trwalszymi od państw; przyszłość opromieniła nadzieja, że to już ostatni despota, który się odważył poniewierać i deptać godność ludzką i przelewać całe rzeki krwi dla dogodzenia swej żądzy panowania. Olbrzymem był, a runął, bo narody zbudziły się i poczuły w swej sile „Przemoc, niewola znikną z powierzchni ziemi, pozostawiając po sobie najwyżej odstraszające wspomnienia barbarzyńskiej przeszłości, jak przechowywane w murach narzędzia tortur i inkwizycyi! Wolność i braterstwo ludów, wprowadzone w życie, zamienią w raj dotychczasowy ziemski padół płaczu!“ Tak śnili dziadkowie nasi, jako młodzieńcy, takie pieśni śpiewały matki ojcom naszym w kolebce. Nie obeszło się bez walk ciężkich i długich (1815—48.), ale wszystkim rosło serce na ten widok, jak dla tych samych ideałów przelewał krew lub cierpiał prześladowanie: Francuz i Niemiec, Włoch i Grek, Polak i Czech, Serb i Moskal. Cieszyli się razem powodzeniem, płakali wszyscy nad klęską jednego, nikomu nie zazdroszczono powodzenia; niebyło chwili w dziejach świata, w którejby idea zbratania ludów była bliższą urzeczywistnienia, niż w pierwszej połowie naszego stulecia. — A koniec?

Koniec wieku oddala nas znowu o wielki kawał od wymarzonego raju na ziemi, powodzenie niektórych zatarło w nich zmysł sprawiedliwości. Ci, którym się udało wywalczyć sobie prawo, uzurpują je wyłącznie dla siebie. „Narody mają prawo do samodzielności i do rozporządzenia swoim losem!“ tak mówiono w pierwszej połowie stulecia, a dzisiaj dodają: „ale tylko Niemcy, Prusacy, Madziarzy“. Narody mają prawo do używania swego języka, ale znowu tylko Prusacy, Niemcy, Madziarzy. I tak we wszystkiem — prawa są, ale tylko dla niektórych. Zamiast oczekiwanego braterstwa ludów widzimy pod koniec wieku taką smutną walkę, narodów i szczepów, taką prawie dziecinną zazdrość: „żeby przypadkiem i drugi nie dostał tego, co ja już mam“, że ze zdziwieniem się pytamy: „Gdzież się podziały te ideały, które jeszcze niedawno tak jasnym blaskiem przyświecały ludzkości? Czy może okazały się zwodniczymi i nie potrafiły spełnić przyrzeczeń, które przynosiły z sobą?“ Nie, tylko ludzkość zeszła znowu na bezdroże w poszukiwaniu prawdy, jak to ciągle widzimy w dziejach naszego rodu; każdą prawdę zdobytą okupywano zawsze całym szeregiem bolesnych i ciężkich błędów. Najtrudniej zrozumieć człowiekowi tę wielką prawdę, która od razu rozwiązała by wszystkie trudności życia, że tylko miłością można stworzyć raj na ziemi, a nie nienawiścią, choćby ona kryła się nie wiem pod jak wielkie hasła. Do tego dojdziemy niewątpliwie, choć idziemy niestety bardzo powoli, bo człowiek z nazwy tylko należy do gatunku „homo sapiens“, z natury zaś ciągle jeszcze do gatunku „człowieka-żwierzęcia“. Z chwilą, w której dokona się przemiana, ustaną wszystkie spory o język w szkole, czy sądzie, — o „zde“ lub „hier“, wszystkie obstrukcye i opozycye; społeczeństwa i narody obrócą całą swoją energię na mnożenie dóbr materyalnych i moralnych, jako warunków szczęśliwości świata. Dążyć do tego z całą świadomością — oto wdzięczne pole pracy dla młodego pokolenia!

Uwaga całego świata cywilizowanego zwróco na w tych czasach na bohaterskie zapasy garstki dzielnych Boerów z całą potęgą W. Brytanii. Już sam fakt zerwania się tych wolnych osadników do obrony przeciw pierwszemu mocarstwu ziemi jest czemś niezwykłem w dzisiejszym świecie, w którym mierzy się siły liczbą armat i bagnetów. Można śmiało powiedzieć, że sympatye wszystkich ludzi uczciwych są po stronie bohaterskich Boerów. Mimo to walka trwa już cztery miesiące, a nie słychać o żadnej akcyi innych państw, aby zakończyć raz już ten przelew krwi i sprowadzić załagodzenie sporu na inne drogi. I to wszystko w kilka miesięcy po zjeździe w Hadze, na którym tyle pięknych rzeczy powiedziano o pokoju świata! Tak wielki jest kult potęgi materyalnej, tyle pogaństwa zostało jeszcze w sercach narodów, nawet tych, które uważają się za najbardziej chrześcijańskie, że trudno im się zdobyć na bezstronność lub sprawiedliwość tam, gdzie chodzi o ich własne interesy! Jaki będzie koniec tej wojny, trudno powiedzieć, bo często rozstrzygają w takich razach czynniki, których z góry niepodobna było przewidzieć;

jeżelibyśmy jednak liczyli się tylko z danymi, znanymi nam warunkami, to trudno spodziewać się czego innego, jak tylko tego, że spór musi się zakończyć na korzyść Anglii, choć to będzie ją kosztowało jeszcze wiele ludzi i pieniędzy, może więcej nawet, aniżeli wart przedmiot sporu. Ale stanie się zadość podrażnionej dumie narodowej, a wiek nasz zobaczy jeszcze raz zwycięstwo siły nad prawem.

A szkoda! Bo przecież ludzie mają tyle pożyteczniejszych rzeczy do zrobienia na świecie. Ot, właśnie teraz zbierają w Paryżu świadectwa tej niestrudzonej mrówczej pracy ludzkości, pracy naprawdę cywilizacyjnej, aby zrobić obrachunek dorobku naszego stulecia. Paryż to mistrz nieprzewyższony w urządzeniu takich wystaw światowych, a tym razem wszystkie czynniki państwowe i wszystkie warstwy społeczeństwa jednoczą się w tem usiłowaniu, aby stworzyć coś jeszcze niebywałego. W niedzielę wielkanocną otworzą tę wielką wystawę, na której wyznaczają sobie miejsce schadzki obywatele całej ziemi. Dobrzeby było pomyśleć o tem, czybyście i wy nie mogli zebrać pomiędzy sobą jakiegoś większego grona wycieczkowców; wiem, że w wielu wypadkach nietyle przeszkadza brak środków pieniężnych, ile brak sposobności i towarzystwa; temu zaradzają zbiorowe wycieczki. A warto będzie pojechać, choćby dlatego, aby ucieszyć duszę widokiem błogosławieństw pracy pokojowej *). *Kropka.*

Nowe książki.

Dugas: *Nieśmiałość*, Warsz. 1900, st. 136. Wychowanie samego siebie należy do zadań równoległych z wykształceniem i zmierza do usunięcia wad charakteru, które w sobie dostrzegamy. Jedną z takich wad, często stawiających niespodziewane i przykre przeszkody na drodze życiowej, a właściwą przeważnie jednostkom wrażliwszym i inteligentniejszym, jest wrodzona nieśmiałość. Książka niniejsza ułatwi walkę z tą wadą, przez jej dokładne opisanie, wytknięcie jej psychologicznych źródeł, wreszcie wskazanie środków do zapanowania nad nieśmiałością. Jest więc pożyteczna, choć obejmuje tylko część zadania, które w szerszym zakresie spełnia dzieło Payota p. n. *Kształcenie woli.* (*Oświata*).

Zagadnienia naukowe.

Nr. 76. Kto, kiedy i w których utworach wprowadził formę sonetu do poezyi polskiej?

Nr. 77. Jaki jest słoworód (etymologia) wyrazu „sejm“ i z jakimi wyrazami innymi pozostaje w związku znaczeniowym?

Nr. 78. Które utwory Sienkiewicza (lub ustępy) ma na myśli autor korespondencyi „Z Litwy“?

Nr. 79. Co to jest rokoko i skąd nazwa?

Nr. 80. Kto wynalazł telegraf literowy i mikrofon?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: T. T. Jeża „Hryhor Serdeczny“, E. Foy „Polowanie na grubego zwierza w Afryce południowej“ (2 t.) i A. Daudeta „Nowele z czasów oblężenia Paryża“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 12. marca. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 71—75.

Nr. 71. „Nurek“ (Taucher), ballada J. Kr. Fryd. Schillera (1759 1805.), poety niem.

Nr. 72 Najsłynniejsze zbiory dzieł sztuki w Europie: Paryż (Luwr, muzeum luksemburskie), Drezno (król. galerya), Rzym, (Watykan, Kapitol i t. d.), Berlin (król. muzea i galerye), Londyn (gal. narodowa, muz. brytyjskie i t p.), Madryt (muz. del Prado), Petersburg (Ermitaż), Wiedeń (ces. galerya), Amsterdam, Bruksela, Florencya, Neapol, Ateny i t. d. Ze zbiorów polskich najważniejsze: muzeum ks. Czartoryskich i Muz. narodowe w Krakowie, zbiory hr. Tarnowskich w Dzikowie, a Branickich w Wilanowie, galerye Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu i Ossolineum we Lwowie.

Nr. 73. Najznakomitszym poetą litewskim jest Krystyn Donalejtys (po łać. Donalitius), ur. 1. I. 1714., zm. 18. II. 1780, autor poematu o „Czteru porach roku“, wspomnianego w „Grażynie“, a wydanego po raz pierwszy z przekładem niem. w r. 1818. Przekład polski pieśni I. o „Wiośnie“ J. Ossowskiego ze wstępem o poecie w t. 67. *Przeglądu polskiego* (1883).

Nr. 74. Kurlandya (z niem. Kur-land) = kraj Kurów cz. Kuronów, głównego szczepu tamtejszego.

Nr. 75. Termodynamiką nazywa się z grecka teorya fizykalna, która stara się wyjaśnić wszystkie zjawiska ciepła jako objawy ruchu cząsteczkowego (atomów).

Trafne odpowiedzi nadesłali do 25. lutego b. r

(wszystkie) Tomaszewski (wybornie); (71—4) Prajer; (71—3 i 75) Krzysztoń, Mann, Młynek, Stamm; (71—2 i 74—5) Machalski, Prajerówna; (71—3) Otfinowski (b. dobrze); (71—2 i 75) Bednarowski; (72—3 i 75) Sfinks: (71, 73) Wechsler; (72—3) Moszoro; (71) Hecht, Oberhard, Pordes; (72) Studiosus; (73) Solski; (75) *Ἀνήρ*, Masiuk, Wiktor.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Hecht (Konecznego), Młynek (ks. Wacława) i Tomaszewski (Kramsztyka).

Rozwiązanie łamigłówki z nru 4.

Rzymianin ów przesłał przyjacielowi swemu zwykłe powitanie łacińskie: Ave! (navem, okręt

*) Pisząc się zupełnie na uwagę szan. autora, musimy zaznaczyć, że mamy przyrzeczone oryginalne korespondencye o wystawie paryskiej i że chętnie służymy wskazówkami co do urządzenia wycieczki. (*P. R.*)

bez przodu i tyłu t. zn. bez początkowej i końcowej głoski).

Trafne rozwiązania nadesłali do 25. b. m.: Grotowski, Krzysztoń, Otfinowski, Pordes, Sołtowski, Tomaszewski.

Wymiana kart z widokami.

Przedewszystkiem musimy — pod wpływem zażaleń nadesłanych — zwrócić uwagę wszystkich, którzy przystępują do tej wymiany, że chodzi o widoki miejscowości w pierwszym rzędzie swojskich, tych, z których się wysyła kartę, a nie bezmyślne i płaskie często dowcipy rysowników. Należy też o ile możności posyłać karty z widokiem pewnej całości, nie byle jakiego zakątka. A już bezwarunkowo jest o b o w i ą z k i e m każdego, po otrzymaniu karty odwzajemnić się w ten sam sposób jak najrychlej. Odtąd też będziemy umieszczali przypomnienia do tych, którzy nie czynią zadość temu obowiązkowi, a nawet wykreślali ich z listy, gdy środek pierwszy nie poskutkuje. Po wyjaśnienie tego działu i skróceń odsyłamy do str. 48. Adresy nowych ochotników: 8. J. Salpeter u. IV. k. g. Buczacz, 9 Wilh. Krzysztoń u. VI. k. g. Tarnów, 10. R. Woroszyński u. III. k. g. Buczacz.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Młyn. I mybyśmy pragnęli, żeby pismo wychodziło jak najczęściej, ale liczba przedpłacicieli nie jest jeszcze wystarczającą; wzrasta wprawdzie, zle zbyt powoli. *Poraj.* Wysłano obraz; „Nauka stenografii“ R. Polińskiego 2 *k.* *Laczyka.* „Lud“ wychodzi we Lwowie (adres red.: ul. Zimorowicza l. 7.) Nr. 3. wysłano ponownie. „Gramatyki ruskiej“ Konarskiego — Kokorudza jeszcze niema w księg. lwowskich. Na resztę zgoda. *Sfinks.* Cieszy nas, że „Oko proroka‘, się podobało; „Filadelfia“ wyr. grecki = bratnia miłość; nazwę tę symboliczną miało kilka miast w starożytności i stąd ją zapewne przejął Wilh. Penn, gdy zakładał w r. 1682. w stanie, nazwanym odeń Pensylwanią, miasto na pr. brzegu Delaware'u. Zresztą prw. odp. *Młyn. Sokół.* Odbitki „Synów mistrza“ Rubensa odstępujemy obecnie czytelnikom po 40 *h.* w admin., poza Lwów o cenę poleconej przesyłki 15 *h.* drożej. „Pana Tadeusza“ przełożył na niem. wybornie Z. Lipiner. — *Sol.* O wojnie chocimskiej pisali poeci: W. Potocki i J. Krasicki; warto poznać rozpr. J. Tretiaka „Historya wojny choć.“ „Quo vadis“ w wyd. dla młodź. opr. 5 *k.* 20 *h.* „Legenda o św. Prokopie“ w księg. 2 *k*, w admin. naszej $1^1/_2$ *k.* Trzeba przeczytać w domu kilka najważniejszych dzieł Schillera (np. Dziewicę orleańską, Wallensteina, Ballady), Goethego (np. Ifigenię, Tassa, Fausta cz. I.) i Lessinga (Emilię Galottiównę, Minnę Barnhelmównę). — *E. St.* Zbieranie monet rzecz to b. pożyteczna. Nie możemy ocenić zbiorku, nie znając go szczegółowo; w każdym razie 314 sztuk to już początek poważny. Istnieje w Krakowie pismo „Wiadomości numizmatyczno archeologiczne“; do niego odsyłamy po wskazówki szczegółowe. — *Szczupak.* „Terapeutyczny“ z gr. *Θεραπεύω* pielęgnuję, leczę, = leczniczy. „Uczni“ jest postać prawidłowa rzeczowników, zakończ. na spłgł. miękką (prw. koni); dziś używamy częściej innej na -ów, ale wzgląd na na dźwięczność zwrotu radzi nieraz wracać do postaci dawnej (np. uczni gimnazyów.) — *Wietor.* Zażalenie w sprawie kart uwzględniono. Jakto! „Krewnych“ niema w księgozbiorze szkolnym dla uczni? — *Kaź. Zacz.* „Z teatru wojny“ opiera się na geografii Sieversa i Marchlewskiego rozprawie „Sprawa transwalska“ w zesz. 11—12. *Ateneum* z r. z. Książki te musi mieć książnica Jagiellońska, przystępna dla każdego; Wójcika „Über den Krieg in Südafrika“ jeszcze niema we Lwowie.

Od administracyi.

Prosimy uprzejmie o przesłanie zaległej przedpłaty.

S. B. Kr. Za 1. półr. wyrównane.

R. W. w Bud. należy się jeszcze 25 hal. do przedpłaty za 1. kwartał.

Wł. Hor. Przem. Otrzymaną 1 kor. zapisaliśmy na styczeń i luty.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Dr. Franciszek Krczek.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia). Redaktor przyjmuje w każdą sobotę (z wyjątkiem świąt) w godz. 5—6 wieczorem.

Treść nru 5.: *H. Sienkiewicz*, Sąd na Olimpie. — *wg.*, Dwa sonety. — *A. Winiarz*, O sejmach w Polsce I. — *J. Amborski*, Szkice z dziejów piśmiennictwa francuskiego I. — *H A. Schmid*, O rozwoju w sztuce. — *(m. r.)*, Z Litwy, korespondencya oryginalna. (dok.) — *Kropka*, Pogadanka. — Nowe książki. — Zagadnienia naukowe, wymiana kart z widokami, skrzynka pocztowa redakcyi. — Od Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 16. marca 1900.



Rok II.

Nr. 6.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Przeznaczeniem człowieka jest, nabywszy naukę, wypłacić się nią ziemi, co go wychowała.
J. I. Kraszewski.

ZŁOTY TOPOREK.

Baśń łotewska.

W izbie folwarcznej siedziała młoda dziewucha późną nocą przy łuczywie i przędła. Gospodyni i jej córka — gospodarz nie żył już od 3 lat — spały oddawna; były to bowiem wielkie wygodnisie, lubiły bawić się w „wielkie państwo“ i spychały wszystką pracę w domu na dziewuchę, tak że musiała zwijać się porządnie od świtu do północka, a jednak nie mogła zadowolić swych chlebodawczyń w zupełności. Gdy wykonała coś dobrze i należycie, powiadały tylko: „No, ujdzie to, ujdzie; ale teraz śpiesz się, żebyś uporała się z resztą!“ Natomiast w razie najmniejszej pomyłki sypały się na nią przezwiska i razy.

Ale cóż począć? Elżusia — bo tak nazywało się dziewczę — była sierotą i ubogą Musiała więc chcąc nie chcąc wytrwać na stanowisku. A to nie było łatwą rzeczą jeszcze z innego powodu: Syn sąsiada, dzielny, ładny chłopak, byłby rad pojął ją za żonę, gdyby rodzice jego nie byli się temu sprzeciwili. W ich oczach ożenek dziedzica folwarku z biedną dziewuchą był rzeczą niestosowną; powinien wprowadzić w dom swój tylko córkę gospodarską, a tę już mu wyszukano. Żadna inna nie mogła nią być, jeno córka owej gospodyni. Całą tę sprawę przed 3 dniami właśnie omówiono i załatwiono, wesele miało się odbyć na Wielkanoc.

Elżusia kochała poczciwego Jasia z całej duszy, ale musiała ukrywać uczucie swe w głębi serca przed oczami i uszami całego świata. Wszak była tylko biedną, osieroconą dziewuchą! Któżby tam pytał o to, co ją cieszy, a co boli! Siedziała więc sobie w zadumie przy kołowrotku, podczas gdy mroźny wiatr północny wył wkoło chaty i hulał, a płatki śniegu w szalonym wirze kręciły się w powietrzu na dworze. Niejedna łza gorzka upadła na przędziwo, niejedno westchnienie ciężkie uleciało z piersi dziewczęcia pod nizki, okopcony pułap izby, aż wreszcie we-

stchnienia i łzy złożyły się na piosnkę żałosną:

Rączo w dal pomknęło słońce,
W cieniu zostawiło mię;
Biada mi! mateczki nie mam,
By na słońce wiodła mię.

Toż poczekaj, rącze słonko,
Co ci rzeknę, słuchać chciej:
Na dobranoc ślę przez ciebie
Sto całusów matce swej!

Nizko płynie słońce, nizko,
Precz zniknęła matuś, precz!
Gonić znikające słońce,
Wołać matki — marna rzecz!

Wtem z przyległej izby zaskrzeczał chrapliwy głos gospodyni: „Tam do licha — z tem śpiewaniem! Swojem krakaniem mogłabyś wystraszyć zmarłych z grobu". A córka gospodyni łżyła ją słowami: „Jeśli chcesz zawodzić żale, to wynoś się na dwór i wyj z wiatrem w zawody!" Elżusia zamilkła i próbowała prząść dalej, ale oczy i ręce odmówiły posłuszeństwa. Ze znużenia oparła jasnowłosą główkę o twardą ścianę i przymknęła oczy. Łuczywo zagasło i ciemność zajęła izbę. A na dworze wiatr północny wył i szalał...

Około szóstej godziny rano pukanie do okienka obudziło dziewczynę ze snu, który zresztą pokrzepił ją niewiele. Wyszła na dwór, ale nie mogła dojrzeć nikogo w mroku poranka zimowego. Tylko drżący głos, jakby starego żebraka, doleciał do jej uszu: „Zlituj się, moja kochana, nad starcem zbłąkanym zgłodniałym i przemarzniętym!"

Elżusia zamyśliła się na chwilę. Wiedziała wprawdzie, że gospodyni nigdy nie daje nic żebrakowi, owszem wygania każdego z podwórza, łając i drwiąc z biedaka, ale o becnie ona i córka spały jeszcze i nie wstaną z pewnością przed siódmą. „Chodźcie ze mną staruszku, do stajni!" rzekła ze współczuciem „tam zagrzejecie się z godzinkę, a ja przyniosę wam mleka i chleba!"

Zaprowadziła skostniałego starca do stajni, posadziła na na przewróconem wiadrze, nadoiła mleka do skopca i przyniosła z chaty kawałek chleba, którego nie mogła przełknąć poprzedniego wieczoru z wielkiej żałości. Żebrak najadł się, napił i zagrzał, o ile mógł, a następnie przemówił do Elżusi, ale już nie drżącym, owszem jasnym, dźwięcznym głosem: „Dziękuję ci za współczucie i uczynność! Nie jestem tem, za co mię uważasz, - ale co zacz jestem, nie potrzebujesz wiedzieć. Powiem ci to tylko: znam ciebie i wiem wszystko, co twoja główka myśli i twe serduszko czuje, i chcę, abyś była szczęśliwą. Zapamiętaj więc sobie słowa moje! Czyś nigdy nie słyszała nic o Łauskisie i jego złotym toporku?" Elżusia odpowiedziała przeczące. „To posłuchaj! Rzecz ma się tak: Łauskis jest to duch zimna i zwykł w czasie silnego mrozu rąbać ziemię złotym toporkiem. Jeżeli jednak młode, niewinne dziewczę obiegnie trzykrotnie dom dokoła o północy, między pierwszem a dwunastem uderzeniem godziny, w takim razie Łauskis zgubi swój toporek. A toporek to szczerozłoty i, kto znajdzie, może zań dostać tysiące, tysiące rubli. Ale potrzeba do tego niewinności, odwagi i pośpiechu!" Tak mówił starzec. Elżusia spojrzała nań zdziwiona — ale co to? gdzie znikł? Wiadro, na którem siedział do tej pory, opustoszało, a światło dzienne, które poczęło słabo zaglądać do wnętrza, zatarło wszelki ślad po nim. Ciarki przebiegły młodą dziewuchę; pomodliła się ze strachu i wróciła w zamyśleniu do chałupy. Tu już gospodyni wstała i codzienne utrapienie rozpoczęło się ponownie. Tak mijały tygodnie.

Po styczniu burzliwym nastąpił luty ostry, ale pogodny. Nocami mróz bywał często tak silnym, że ziemia pękała, a lód trzaskał na stawie. Dnia pewnego matka i córka wyjechały do miasta, ażeby zakupić jeszcze to i owo z rzeczy, potrzebnych do wyprawy, i zamierzały wrócić dopiero nazajutrz popołudniu. Elżusia pozostała sama jedna na folwarku. Wieczorem przy kołowrotku przyszło jej na myśl opowiadanie owego niezwykłego starca o którem zapomniała już była prawie. Im dłużej zaś rozmyślała nad jego słowami, tem silniejsza budziła się w jej sercu chęć doświadczenia sztuki z Łauskisem. Godziny które dzieliły ją od północy, upłynęły jej jak w śnie. Gdy stary zegar ścienny w sypialni gospodyni, której drzwi stały obecnie otworem, zapowiedział pierwsze uderzenie, dziewczę wybiegło na dwór i obiegło z szybkością dom trzykrotnie. Straszny trzask nastąpił, tak że dom, stajnia i lamus zadrżały i poczęły chwiać się w posadach: Elżusia sama ledwie

zdołała utrzymać się na nogach, chwyciwszy się odrzwi.

Ale tymczasem wszystko już przeszło. Księżyc rzucał światło jasne, a wyraziste, jak może tylko na północy w nocy zimowe, na wspaniały złoty typorek, który leżał tuż u nóg dziewczęcia.

Na wielkanoc odbyło się wesele Jasia sąsiadów, lecz nie z córką gospodyni, tylko z jej służącą, tak długo lekceważoną, niegdyś biedną sierotą, a obecnie najbogatszem dziewczęciem okolicy. W szczęściu i zadowoleniu lata upływały dobranej parze — i, jeżeli nie pomarli, to żyją dziś jeszcze *).

Trzy krzesła białe.

Piosnka ludowa prowansalska.

(Prw. D. Arbauda „*Chants populaires de la Provence*“ t. I., s. 14).

W raju stoją trzy krzesła białe.
Siedzą na nich święty Piotr, święty Jan,
Jezus pośrodku.
Spostrzega dobrą Matkę Maryę,
Która idąc tylko wzdycha,
Tylko płacze.

„Co ci to, dobra Mateczko?
Czemu płaczesz, czemu wzdychasz?“

— „O, moje dziecię, moje słodkie dziecię,
Jakże nie płakać, nie wzdychać?
Do raju nikt nie wchodzi,
A brama piekieł ciągle się odmyka,
Ciągle zamyka!“

„Pociesz się, dobra Matko!
To wszystko odszczepieńcy,
Mnie i Ciebie się wyrzekli.
Jeżeli się nie poprawią,
Poślemy im burze,
Spalimy winnice,
Wytłuczemy zboża,
Spuścimy wielką wojnę,
Cały świat w niej zginie.“

— „O, moje dziecię, moje słodkie dziecię,
Spuść im winnice kwitnące,
Spuść im zboża bujne,
Niebo jasne, wody czyste,
A pewnie się poprawią:
W poście suszyć będą,
A w czas wielkanocny komunię przyjmować!“

Przełożył *E. Porębowicz.*

*) List „Z Litwy“ w nrze 4. zwrócił uwagę czytelników naszych na Łotyszów, szczep wraz z Litwinami i dawnymi Prusakami, wytępionymi przez Niemców, najbliższy szczepowi polskiemu i wogóle słowiańskim. Obecnie więc podaliśmy próbkę z twórczości ludowej tego narodu, w której dawne wierzenia pogańskie przezierają jeszcze wyraźnie, ale zarazem bije nuta, nam pokrewna, dobrze znana z baśni i klechd swojskich. Dziwna poezya wionie z tego prostego opowiadania. Nie prawdaż?

SZKICE
z dziejów piśmiennictwa francuskiego.

II.

Powiedzieliśmy, że łacina ludowa opanowała Galię; różne narzecza tej łaciny, wymawiane rozmaicie przez liczne plemiona galijskie, wytworzyły niezmierne mnóstwo *patois* (czyt. patua) czyli gwar miejscowych, mających pewne cechy wspólne, mieszających się i przenikających wzajem, odróżniających się wszakże tak wyraźnie, że do dzisiaj zachowały swą odrębność.

Gwary owe można ułożyć w sześć wielkich gromad, których granice, rzecz jasna, nie były nigdy oznaczone. Powyżej od Loire'y znajdziemy narzecza następujące: Na północnym wschodzie mówiono gwarami, którym można nadać miano wspólne: *patois picards* (pikar). Na zachód od pierwszego leżące prowincye objęły gwary *normands*, wschodni pas Galii *bourguignons* (burginią), na zachód zaś *poitevins*; nakoniec w środku: *patois de l' Ile de France*, cz. właściwe francuskie narzecze. Wszystkie te dyalekty noszą nazwę języka *d'oïl*, jak narzecza italskie przybrały nazwę *langue de si* od przysłówka twierdzącego (*ille, oil, sic*).

Poniżej Loire'y, gdzie pozostało więcej żywiołu iberyjskiego, wytworzyły się gwary romańskie, zwane prowansalskiemi lub *langue d'oc* (od przysł. twierdzącego *hoc*). Zajęły one przestrzeń na południu od linii, którąby można przeprowadzić od ujść Garonny przez miasta Limoges, Clermont-Ferrand i Grenoble. W dzielnicach tych Rzym pozostawił silniejsze piętno; jarzmo barbarzyńców krócej i nie tak silnie ciężyło tutaj; tradycye rzymskie i organizacya przechowały się w więk-

szej czystości. Po upadku cesarstwa Karola Wielkiego południe było prawie niezależne i żyło życiem odrębnem. Długi pokój przyczynił się do rozwoju miast, które, wzbogacone przez handel, stawały się ogniskami życia towarzyskiego. Łagodny klimat, przecudne wybrzeża, błękitne morze, roślinność południowa, żyzność ziemi i obfitość wszelkich owoców i zbóż, a stąd łatwość życia, wszystko to wpływało na żywość wyobraźni, wesołość ducha i wywoływało potrzebę wymiany uczuć i myśli. Nic dziwnego, że w takich warunkach, wśród ludności, łaknącej towarzyskiego życia i uciech, poezya musiała dostąpić wielkiego znaczenia. Poeci, otaczani życzliwością, przyjmowani radośnie, ukazują się wszędzie: po miastach na dworach magnatów, na turniejach i na wszelkich zebraniach. Wielcy panowie i władcy z upodobaniem układają pieśni, wymyślają nowe ich postaci, szczycą się mianem *troubadour'ów* [1]).



T. Barącz, Kościuszko.

Uciechy życia, piękność kobiet, miłość, urok sławy, oto przedmioty ich pieśni *cansos, pastourelles*), ich poetyckich dyalogów (*tensos*), ich *sirventes*, które z czasem zmieniły się w satyry, zwrócone przeciw osobom poszczególnym.

Zdawałoby się, że harmonia, wdzięk, lekkość formy, subtelność myśli i wyobrażeń, ogień i żywość uczuć prowansalskiej poezyi, zapewnią jej długowieczność. Niestety, nie znalazła człowieka, którego serce poczęłoby jakąś wielką ideę lub uczucie, sięgające poza granice osobistego szczęścia ludzkiego Zamknięta w kole codziennego życia, drobnych smutków i radości, nie wyszła na zewnątrz prowincyi, nie przyczyniła się niczem prawie do dobra ogółu i znikła na długie wieki.

Bo piśmiennictwo wogóle, choćby odznaczało się najwykwintniejszą formą, nie będzie „trwalszem od spiżu“, jeżeli nie zawiera w swem łonie przewodnich myśli, jeżeli nie dąży do rozwiązania wielkich zagadnień, które miotają duszą całej ludzkości.

Z wojną przeciw Albigensom (1208—13.) utonęła w krwi potokach poezya prowansalska. Lenna zajmują Francuzi, oni obsiadają miasta, władza króla francuskiego rozszerza się poza Loarę, a z nią i język francuski. *La langue d'oc* zachowywa się tylko w ustach ludu. W wieku bieżącym od lat 50 Prowansalczycy usiłują powołać na nowo do życia zapomniane narzecze, odezwało się nawet kilka znakomitych poetów (Jasmin, Roumanille, Mistral, którego poemat „Mirejo“ wyszedł w przekładzie polskim, i kilku innych), istnieją nawet stowarzyszenia prowansalskich poetów (*félibres*), urządzają zjazdy, konkursy, przedstawienia dramatyczne, dotąd jednak Prowansya nie wydała geniusza, któryby nadał temu piśmiennictwu znaczenie światowe.

J. Amborski.

---

[1]) Prowans. *trobador* jestto biernik, odpowiadający łać. nieistniejącemu *trovatorem*, mianownik jest *trobaire*. Wyraz ten pochodzi od *trobar* znaleźć, wynaleźć, franc. *trouver*. Poezye trubadurów zaczął przekładać u nas już Każ. Brodziński. Obecnie posiadamy piękny wybór pieśni truwerów prowans. w przekładzie E. Porębowicza.

LUD

w poezyach M. Konopnickiej.

III.

„Jaskółka“ ułatwiła nam bardzo nasze zadanie; według motywów, w niej zawartych, możemy teraz podzielić sobie inne utwory Konopnickiej na trzy grupy, a w ten sposób łatwiej nam będzie rozpatrzyć się w bogatym

dorobku literackim poetki. Ponieważ jednak w każdym razie musielibyśmy przejść kolejno kilkadziesiąt mniejszych lub większych jej utworów — bo tyle ich odnosi się do sprawy, nas obchodzącej, — więc pójdziemy jeszcze dalej: wybierzmy z każdego działu jeden utwór najbardziej charakterystyczny i ten tylko omówmy dokładniej, nie zatrzymując się już zbyt długo nad całym szeregiem innych, pokrewnych mu treścią lub dążnością!

Jeżeli chodzi o obraz materyalnej nędzy ludu wiejskiego, to najdokładniej i z największą siłą skreśliła go Konopnicka w wierszu p. n. „Wolny najmita". Wiersz ten ma wybitny nastrój liryczny, jak wszystkie prawie utwory, należące do tej grupy, więc faktów dowiadujemy się z niego niewiele. Oto „blady, nędzną ubrany siermięgą" wieśniak idzie wązką ścieżką „między pólkami jęczmienia i żyta" z wyrazem „głuchej boleści" i rozpaczy w twarzy wynędzniałej. Posłuchajmy, skąd ta rozpacz pochodzi:

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy
I ziemia we łzach zaledwo wydała
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wygnany nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

Pozornie nie zajmuje się Konopnicka tą przeszłością „nędzarza, wygnanego z chaty za zaległe podatki", kładąc główny nacisk na jego położenie obecne. Z gorzką, gryzącą ironią nazywa go „wolnym najmitą", pijąc do owego pozornego polepszenia bytu wieśniaków przez zniesienie „pańszczyzny":

Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy,



Leon XIII. na przechadzce.

Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy.

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,
Gdy się podoba...

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje..
Pies nawet stary pozostał u wrota
I cicho wyje.

Ale cóż się stanie z tym biedakiem? To nikogo nie obchodzi. Mały zagonik roli

zabrano mu wprawdzie, bo nie zapłacił podatków, a

...opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosy
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...

ale wolności osobistej nikt mu przecież nie odebrał, może więc uczynić, co mu się tylko spodoba:

Wolny! — wszak może iść, albo spoczywać,
Albo kląć z zgrzytem tłumionej rozpaczy;
Może oszaleć i płakać i śpiewać —
Bóg mu przebaczy!

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni...
Od wschodu słońca do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Bo i cóż ma się zmienić? Co może kogo obchodzić los tego nędzarza? Ogół dał mu swobodę osobistą i za tę łaskę nałożył na niego obowiązki. Nie spełnił ich, więc musi ustąpić miejsca drugiemu, sam zaś ma zupełną swobodę działania!

Czegoż on stoi? wszak wolny, jak ptacy!
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera;
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera.

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...
Wolny najmita!

W żadnym może wierszu Konopnickiej nie występuje ironia tak jaskrawo i w tak wysokim stopniu, jak w tym właśnie obrazku. Mamy tu doprowadzone *ad absurdum* przekonanie, że wolność osobista jednostki uwalnia ogół od zajmowania się jej losem i pomagania w potrzebie — pomieszanie zaś pojęć swobody nędzarza i obojętności społeczeństwa jest tak zręczne, uczucia wyrażone są z taką siłą i szczerością, że utwór ten trzeba zaliczyć do najlepszych, jakie z pod pióra Konopnickiej wyszły. Do tej samej grupy należą pomiędzy innemi: „Bez dachu“, „Dwie wiosny“, „Co pocznie?“ i niektóre wiersze z cyklów: „Na fujarce“ i „Z łąk i pól“.

Za przykład, jak Konopnicka zapatruje się na sprawę oświaty ludu, niech nam posłuży obrazek p. n. „Przed sądem“.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach, spuszczonych do ziemi:
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się i wołać: „matko!“,
Gdyby miał matkę, i mógł stroić psoty
I pocałunków żądać i pieszczoty
I spać na piersiach ojca, a tak drżący,
Jak ptak, wyjęty z gniazda i już mrący, —
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

Taki chłopczyna miał odpowiadać za jakieś przestępstwo w sali sądowej, tak chłodnej i ponurej, że „Chrystus biały“, co stał na krucyfiksie, „zdawał się cierpieć i drżeć na swym krzyżu“.

W śledztwie pokazuje się, że oskarżony jest sierotą i że rodziców swych nawet nie pamięta. Wówczas sędzia, zamyśliwszy się nieco, zapytał pisarza, czy w wiosce jest szkoła. „Nie“ — odpowiedział krótko zapytany, nie uważając za stosowne tego niezwykłego i dziwnego pytania zapisać w protokole.

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu, zmącony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy, —
Na drobną główkę, gdzie myśl, głucho śpiąca,
Nie znała światła innego prócz słońca
I innych wrażeń ożywczych prócz rosy.

Pod wrażeniem tego widoku pogrąża się sędzia w głęboką zadumę. Zdaje mu się, że widzi przed sobą „przyszłość z czołem zachmurzonem“, zasiadającą w tej samej sali, na jego miejscu, i powołującą przed swój straszliwy sąd całe pokolenia ludzkości. Wówczas zjawiły się przed nim ogromne, ciemne tłumy, tamujące ruch milionów i zasłaniające, jak wielka, czarna chmura, słońce postępu i prawdy tak, że powstawał zmierzch, trwający dziesiątki wieków. Wtedy zrozumiał, że ów ciemny, nieoświecony tłum to nietylko zapora dla drugich, ale równocześnie olbrzymia siła, stracona „dla wielkich celów i dążeń ludzkości“, że siła ta, stosownie użyta, nietylko nie zaćmiewałaby światła, ale owszem pomogłaby ludzkości zbliżyć się do niego bardziej jeszcze. A przyszłość wydawała ze swego sędziowskiego tronu groźny wyrok na owe ciemne tłumy i na społeczeństwo, które było powodem tej ciemnoty i za którego winy owi wydziedziczeni nędzarze cierpieli. Wtedy zdało się sędziemu, że słyszy brzmiący w powietrzu sąd nad sprawą stojącego przed kratkami chłopczyny:

„Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy.
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi,
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą.
Niechże was Chrystus sądzi!“

Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze..
A sędzia powstał i szedł, gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy
I rzekł: „Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę.“

(D. n.)

Tadeusz Pini.

Szkice z zakresu estetyki.

V.

O rozwoju w sztuce.

(Dokończenie.)

Dalszy środek wywoływania wrażenia głębi w obrazie stanowi przedstawianie kilku przedmiotów kolejno jednego za drugim tak, ażeby przednie zakrywały tylne częściowo, czyli mówiąc technicznie „przecinały“. I to nie jest pierwotne. Indyanin bowiem rysuje stado krów zawsze w ten sposób, że każda następna sztuka bydła stoi ponad przednią. Dopiero po Fejdyasie (ok. 500—432. prz. Chr.), a ponownie dopiero malarze XV. w. kusili się poważnie o przedstawianie przedmiotów w przestrzeni. Jest rzeczą znaną, że szereg wybitnych artystów włoskich robił dokładne studya umiejętne celem zgłębienia zasad perspektywy liniowej, t. zn. praw, których znajomość umożliwia przedstawianie każdego szczegółu w obrazie tak, iżby z pewnego punktu widzenia zarówno blizki, jak daleki, występował w wielkości przyrodzonej. Jest także rzeczą znaną, że dla Europy północnej ołtarz w Gandawie Huberta i Jana van Eycków, ukończony w r. 1431., stanowił w tym względzie nowość epokową.

Ale znajomość sama tych praw nie wystarcza do wywołania w płaszczyźnie wrażenia rzeczywistej przestrzeni. Ustąpienie przedmiotów na plan dalszy trzeba zawsze podkreślać silnie. Jeżeli fotografia oddaje cokolwiek tak plastycznie, jak dobre dzieło sztuki, to polega albo na przypadku, albotež na obliczeniu, dokonanem przez fotografa na podstawie praw malarskich. albo wreszcie na tem, że przedmioty fotografowane są już same dziełami sztuki, t. zn. posągami lub budowlami. W podkreślaniu bryłowatości i przestrzeni pomysłowość wszystkich mistrzów wszystkich czasów ma ręce zupełnie swobodne. Mimoto porównanie mistrzów późniejszych z dawniejszymi wykazuje i w tym względzie postęp ogromny. Im później, tem donioślejszem w tym kierunku staje się znaczenie barwy. Lada dyletant uczy się dziś przy malowaniu barwami wodnemi, że maluje się cień na tle żółtem barwą uzupełniającą, t. j. niebieską, że miesza się żółte z niebieskiem, jeżeli chcemy tej barwie odebrać siłę światła. O prawach, na których praktyka ta się opiera, wielcy koloryści w. XV. mieli zaledwie przeczucie niejasne. Wiek XVII. posługiwał się tą zdobyczą już jako uznaną zasadą artystyczną. Z natury rzeczy poczęto równocześnie odczuwać lepiej pośrednie tony i półtony. Zaczęto zwracać uwagę na zmiany, których barwa przedmiotów doznaje od barwy powietrza, znajdującego się przed nimi, powietrza, wywołującego niezrównane wrażenie odległości.

W drugiej połowie wieku bieżącego malarstwo posunęło się jeszcze dalej poza te zdobycze wieku XVII. Zasadę Leonarda da Vinci (czyt. Winczi, 1452—1519.), iż należy malować pewietrze przed przedmiotami, poczęto teraz brać poważnie, ale w rozumieniu całkiem odmiennem od Leonardowego. Przedmioty same budzą coraz mniej zajęcia na korzyść tonów powietrza, które występują przed owymi. Teraz dopiero pojawiają się obrazy, do których pierwszą pobudkę dał urok barwny warstw powietrznych przy atmosferze zamglonej. Drganie powietrza stało się dzisiaj hasłem. To, na co Velazquez lub Rembrandt porywali się w swych najdorzajlszych utworach, dochodzi teraz do znaczenia zasady.

Ostre granice między światłem a cieniem, które Jan van Eyck (ok. 1390—1440.) przeprowadzał jeszcze, a których Jan Vermeer z Delftu (1632—75.) nie unikał bezwzględnie, rozpływają się wreszcie. Linia, która służyła przez tysiące lat na to, ażeby wywoływać wrażenie bryłowatości i przestrzeni, traci swoje znaczenie w tym kierunku i odżywa na nowo

dopiero w zdobnictwie (ornamentyce). Impresyonizm liczy się tylko z barwnemi wrażeniami światła; plamami barwnemi uzyskujemy obecnie złudzenie przestrzeni. Każda reprodukcya obrazu nowoczesnego wykazuje, jak pociąg pędzla się rozluźnił. Dziś wrażenie polega na kolorycie bardziej, niż u Tycyana (1477[?]—1576.) lub u Böcklina (urodz. 1827.), niekiedy nawet na nim prawie wyłącznie. Wobec ostatnich zdobyczy wielkiego ruchu, który zaczął się w czasach zamierzchłych, niemożna już dziś przedstawiać tego, co jest najistotniejszem w obrazie, zapomocą reprodukcyi bezbarwnych.

Obok odczuwania tego wszystkiego, co wywołuje wrażenie przestrzeni, wydoskonala się z każdym wiekiem wrażliwość na co to, budzi wrażenie życia, na przejawy życia duchowego. Także sposób przedstawiania tych przejawów wydoskonala się z czasem. I tu również sztuka późniejsza zadowala się często zaznaczeniem lekkiem pewnego przejawu życia duchowego, niejako przebłysku światła, podczas gdy dawniejsza używa mowy lapidarnej, wyrazistej.

(*Z H. A. Schmida.*)



Antoni Durski.

Finlandya i Finowie[1]).

I.

Kraj, mieszkańcy i ich dzieje.

Niema chyba kraju tak niezwykłego co do swych warunków przyrodzonych, jak Finlandya. Wysunięta najdalej na północ, bo sięga zaledwie do 60° sz. płn, posiada w lecie dzień trzymiesięczny, a w zimie noce od 19 godzin do 2 miesięcy w swej części podbiegunowej i cudne zjawiska atmosferyczne. Gdyby nie długa zima z śniegiem i lodem, roślinność musiałaby zmarznąć doszczętnie, ponieważ stan ciepłoty wynosi w pewnych okolicach tego kraju do —48°; dzięki jednak tej okoliczności, oraz dzięki łagodniejszemu klimatowi na wybrzeżach znajdujemy tam w lasach świerki, sosny, brzozy, olsze, tu i ówdzie nawet osiki, wierzby i dęby. Nie brak jagód, a aż do 63° sz. płn. pielęgnują drzewa owocowe; żyto na południu, a jęczmień i owies dalej na północ udają się dobrze. Lecz główne pożywienie stanowią ziemniaki, buraki i groch. Latem kobierce ziół i kwiatów pokrywają łąki, nawet bardzo na północ wysunięte.

Charakterystyczne są wybrzeża morskie, zwłaszcza na południu, gdzie przed granitowemi ścianami sterczą liczne nagie skały i wyspy zalesione, tworząc t. zw. „Schäre“. Wnętrze kraju, falisto pagórkowate przeważnie i jedynie w Laponii przechodzące w grupy wzgórz potężnych, posiada bez liku dolin, przerzniętych potokami i rzekami, lub wypełnionych takiem mnóstwem jezior, że aż poeta Runeberg nazwał Finlandyę krajem 1000 jezior. I nie przesadził! Owszem obliczył za skromnie, bo jest ich 4 5000. O ile jeziora te dodają krajobrazowi uroku, o tyle przy licznych wodospadach rzek, łączących je, i niedogodnym terenie nie ułatwiają żeglugi, a więc i połączenia. Toteż główne ogniska ruchu skupiły się na wybrzeżach, mianowicie Helsingfors (70.000 m.) z wszechnicą i techniką, Abo, Wiborg itp. Zresztą ludność jest stosunkowo nieliczną. Choć bowiem kraj to 5 razy większy od Galicyi (373.536 *km*²), ma prawie 3 razy mniej ludności (2,569.000 w r. 1896.)

Lud tamtejszy, znany już Tacytusowi (ok. 54—117. po Chr.), a przez sąsiadów germańskich nazwany Finami (od fen = bagno, a więc mieszkańcy bagien), sam nadaje sobie nazwę, Suomalajsetów tzn. mieszkańców Suomi (Finlandyi). Liczy dziś przeszło 2

[1]) Na podstawie najnowszego dzieła p. n. „Finnland im Bilde seiner Dichtung und seine Dichter“ J. E Brausewettera. Prw. też St. Bełzy „W kraju tysiąca jezior“, B. Koskowskiego „Finlandyę“, oraz obszerny artykuł „Finlandya“ w t. 22. Wielkiej Encyklopedyi ilustr.

mil. głów, a należy do rodziny języków i szczepów fińsko-ugryjskich, a więc tejsamej, do której liczą Madziarów (Węgrów) i mieszkające w Rosyi szczepy: Ostyaków i Wogułów na Uralu, Karelów, Estów i Liwów nad Bałtykiem, a w dalszym rzędzie Wotyaków, Syryenów, Czeremisów i Mordwinów. Pierwsi, którzy po Finach przybyli do ich kraju, a według niektórych nawet właściwi krajowcy, których dopiero Finowie wyparli na północ, byli Lapończycy, lud mówiący również po fińsku, ale odmiennego szczepu, dziś jeszcze przeważnie koczowniczy, ale uzdolniony niezwykle w kierunku poetycznym i śpiewackim. Po nich przyszli Tawastowie (po fińsku Hemelejnowie), stanowiący pień ludu miejscowego, dzielni i wytrwali, następnie Karelowie (Karyalajnowie), szczep ruchliwy, zręczny i zdolny, z którego wyszło najwięcej poetów ludowych, wreszcie Szwedzi.

O najdawniejszych czasach Finów można powiedzieć na podstawie ich poematów ludowych i bohaterskich, odkrytych w wieku bieżącym, co następuje. Czcili słońce i ogień, przypisywali ogromne znaczenie czarom. Potem wysunęli na czoło swej religii Ducha (haltia), który rzekomo objawia się w ludziach słowem. Dlatego też stawiali mądrość wyżej od odwagi i męstwa, a ich bohater narodowy Wejnemejnen jest wieszczkiem i poetą, niezwykle mądrym, a nie wojownikiem. Ludziom panował duch piorunowładcy Ukka (Starca), nadto czcili ducha leśnego Tapia, morskiego Ahtiego, podziemi Tuomiego. Nie znali ofiar krwawych, ani bałwanów, którymby oddawali cześć boską. Chrześcijaństwo przyjmowało się u nich bardzo powoli, ale zakorzeniło ostatecznie tak, że dziś należą do najbardziej religijnych i pobożnych ludów na całym świecie. Religię Chrystusową przynieśli tu wraz z cywilizacyą zachodnio-europejską Szwedzi podczas trzech wypraw krzyżowych w te strony (1157. 1249. i 1293.), których wynikiem było podbicie Finlandyi i zamiana jej w księstwo szwedzkie (1362). Stąd początek panowania języka i cywilizacyi szwedzkiej w kraju tym, a zarazem źródło waśni i wojen z Rosyą. Dopiero r. 1809. położył im kres, gdy Szwecya odstąpiła Finlandyę Rosyi stanowczo, a car Aleksander I. zapewnił nowo nabytemu krajowi samoistność polityczną i narodową. Odtąd Finlandya zażywała pokoju cichego i rozwijała się wszechstronnie. Oświata, zaszczepiona przez Szwedów, stanęła wysoko, szkolnictwo przedstawia się świetnie. Rolnictwo i hodowla bydła zrobiły ogromne postępy. A są to główne zajęcia Finów, ponieważ przemysł, polegający głównie na zużytkowaniu wielkich lasów i produktów hodowli, handel i żegluga, stoją dopiero na drugim planie.

Ale cóż! Równocześnie z tym rozwojem potężniała idea wszechrosyjska i moloch, który jeszcze nie zdołał strawić Polski, ani prowincyi nadbałtyckich, zapragnął nowej ofiary. W r. z. dokonano zamachu na prawa Finlandyi i rząd cara Mikołaja II. wszedł na drogę rusyfikacyi spokojnych Finów. To wstrząsło Europą, a nawet całym światem, ale skończyło się na ogniu papierowym. Do wybuchu nie przyszło — Finlandya to nie Polska. Zresztą czasy i warunki wkładają ludziom inną broń do ręki. W każdym razie w Finach, dotąd spokojnych, wyrasta Rosyi nowy wróg, a temsamem nam nowy sprzymierzeniec w walce o prawa nieprzedawnione, sprzymierzeniec tem cenniejszy, że stojący na wysokości cywilizacyi zachodnio-europejskiej.

Fr. Krczek.

Gawęda o cieple.

(Dokończenie. Prw nr. 4.)

Następująca skala wynikła z pomiarów Quintona: 1) stekowce: dzióbak 25° przy 25° temperatury zewn., kolczatka cz. dziebielatka 30° przy 20° ciepłoty powietrza; 2) workowce (dydelf) 33° przy 20°; 3) szczerbaki: pancernik 34° przy 16°; 4) starsze kopytkowe i gryzonie: hipopotam 35·3° przy 11°; bóbr (*Myopotamus*) 35·5° przy 20°; 5) rękoskrzydłe: wampir 35·5° przy 18°; 6) średnie ssące: słoń 35·9° przy 11°; 7) zasypiające na zimę: świstaki 37·3° przy 20°; wreszcie z kopytkowych średniego okresu: lama 37·6°, osieł 37·7°, wielbłąd 37·9, koń 38°.

U grupy zwierząt, które pojawiły się później już w okresie rozwoju ziemi chłodniejszym, ciepłota podnosi się do wysokości, która odtąd utrzymuje się na wyżynie niezmiennej, jakgdyby ustrój (organizm) dążył do osiągnięcia dawniejszej temperatury zewnętrznej. U nich — jak niektórzy sądzą — potem znów

**

ciepłota krwi obniżyła się stopniowo, może dlatego, że po okresie lodowym w ojczyznach ich znów pocieplało nieco. Niech za dowód starczą cyfry następujące ciepła własnego: u ptaków 42°, wołu 40°, zająca i świni 39·7°, królika 39·6°, barana i łosia 39·4°, kozy i psa 39·3°, kota i pantery 38·9°, wiewiórki 38·8°, szczura i małpy 38·1°, człowieka 37·5°.

Cyfry obu szeregów, wyżej podanych, rosną — jak widzimy — w odwrotnem rozumieniu. W pierwszym temperatura podnosi się wraz z przyrostem siły, wytwarzającej ciepło, w drugim opada wskutek przystosowania się do warunków zewnętrznych.

Z uwag powyższych wynika, że: 1) życie ziemskie w swym rozwoju dalszym szło za ubytkiem ciepłoty, choć musimy jego powstania dopatrywać się w okresie wyższej temperatury, i że początkowo jego chemicznym środkiem była tylko temperatura zewnętrzna; 2) wraz z opadaniem temperatury zewnętrznej zdolność do wytwarzania ciepła lub jego gromadzenia rośnie, ale nie u wszystkich ssących i ptaków, ponieważ nawet pomiędzy płazami, które zwykle nazywamy ogólnikowo zimnokrwistymi lub zmiennociepłymi, istnieją już takie, których ciało wykazuje ciepłotę, przewyższającą znacznie — a nawet o wiele więcej, niż u dzióbaków — temperaturę zewnętrzną, mianowicie jaszczurki i węże. Jaszczurki bowiem i żmije wykazują często 6° ciepła ponad temperaturę powietrza, podczas gdy u dzióbaków nieraz spotykano nadwyżkę zaledwie 5°. U niektórych płazów stan ciepłoty nawet od czasu do czasu jest wyższym od podanej przeciętnej, a u węży pytonów (niejadowitych, dł. 10 m., żyjących w Azyi i Afryce), wylęgających jaja, stwierdzono przez przeciąg 2 miesięcy nadwyżkę 11—14° ponad temperaturę zewnętrzną. Zresztą te wyjątki odpowiadają bardzo dobrze danym paleontologicznym, gdyż dzióbaki — i workowate pojawiły się już z początkiem okresu drugorzędnego, natomiast węże dopiero ku końcowi.

Z faktem stwierdzonym o podniesieniu się ciepłoty krwi wraz z rozwojem ziemi łączy się pytanie, czy nie należałoby z nim połączyć także wyższej zdolności ustroju np. w kierunku umysłowym. Wiemy, że zwierzęta „zimnokrwiste“ czyli o niestałej ciepłocie są dość tępe w tym względzie; ani ból fizyczny ani też wrażenia przyjemne nie wzruszają ich żywiej, a przynajmniej nie objawiają one tych wzruszeń na zewnątrz. Dlatego też nazywamy ludźmi o „rybiej krwi“ flegmatyków, którym wszystko jest obojętne, natomiast przypisujemy krew gorącą sangwinikom. Z doświadczeń, zebranych na ludziach, których odcucono po zmarznięciu, wiemy, że gdy ustrojowi nie starczy wreszcie środków do zastąpienia ciepła brakującego, uczucia zrazu nieprzyjemne znikają stopniowo, z początku ciało staje się nieczułem, następnie zaś znika świadomość i marzniejący człowiek zasypia lekko na wieki. Psycha może więc spełniać swe zadania jedynie przy odpowiedniej ciepłocie krwi.

(*Z Ernesta Krausego.*)

Z całej Polski.

Niedawno umarł kurator (naczelnik) okręgu naukowego warszawskiego, Ligin. Był następcą osławionego Apuchtina. Ponieważ był wyrozumialszym od poprzednika swojego dla Polaków i nie gnębił ich tak namiętnie, jak tamten, przeto pozostawił po sobie pamięć dość dobrą. Obecnie władze rosyjskie wyszukały już następcę na stanowisko nieboszczyka w osobie G. Zengera Zenger, Czech z pochodzenia, ale zmoskwicony, jest profesorem dziejów powszechnych na wszechnicy warszawskiej, a w czerwcu r. 1897., kiedy usunięto rektora wszechn. Kowalewskiego za sprzeniewierzenie kilkudziesięciu tysięcy rubli z pieniędzy, przeznaczonych na cele naukowe zakładu, zamianowano Zengera rektorem; na wszechnicach bowiem rosyjskich rząd mianuje rektora, podczas gdy zresztą na całym świecie wybierają go profesorowie sami. Na stanowisku rektora Zenger był dla młodzieży polskiej mniej ciężkim, niż jego poprzednicy: wspomniany Kowalewski, Jan Szczełkow, Ławrowski i inni. Ludzie, pochopni do obiecywania sobie i drugim zmian korzystnych dla nas w szkolnictwie zaboru rosyjskiego, przywiązują pewne nadzieje do faktu, że p. Zenger zostaje kierownikiem oświaty publicznej w okręgu warszawskim. W ostatnich czasach mieliśmy sposobność widzenia wielu tego rodzaju marzeń rozwianych i nadziei niezisziczonych. Ludzie, którym rząd rosyjski w Polsce powierzał wysokie urzędy, kłamali z początku bardzo przychylne usposobienie dla narodu polskiego, aby wkrótce wystąpić w roli najgorliwszych rusyfikatorów. Czy p. Zenger będzie innym?!...

Zagranicą w Niemczech i Francyi istnieją stowarzyszenia, mające na celu rozpowszechnianie idei powszechnego pokoju. Gorliwą jej propagatorką jest między innymi Berta bar. Suttnerowa, autorka wielu prac i rozpraw, w których krzewi myśl powyższą, n. p. „Precz z orężem“, wydanego w przekładzie polskim jako t. 35—6. *Biblioteki dzieł wybo-*

rowych. Wydając teraz odezwę do ludu angielskiego w obronie Boerów i z żądaniem „pokojowego zakończenia krwawych walk", bar. Suttnerowa zwróciła się do wielu wybitnych ludzi w Europie z prośbą o podpis na tej odezwie. H. Sienkiewicz, rozsławiony po całym świecie dzięki powieści „Quo vadis", otrzymał również takie wezwanie i odpowiedział na nie z godnością listem, w którym uznał, że Anglicy robią krzywdę Boerom, dybiąc na ich wolność, przyznał potrzebę rozpowszechniania idei pokoju powszechnego, ale dodał: „Odezwy podpisać nie mogę. Nie mogę, albowiem wydaje mi się jakąś niesłychaną ironią, czyteż jakimś potwornem bałamuctwem taki kierunek idei humanitarnych i taki stan najszlachetniejszych nawet umysłów, w którym potępia się tak gorąco objawy przemocy pod biegunem południowym i odczuwa się całem sercem nieszczęścia tak odległe, a nie widzi się, nie słyszy i milczy o najbliższych i głębszych...

I Pani i (autor odezwy) p. Foerster z Berlina należycie do narodowości niemieckiej, niechże więc wasze zacne dusze odpowiedzą sobie same, czy los Boerów nie byłby stokroć bardziej bolesnym i opłakanym, gdyby walczyły z nimi i miały ich zwyciężyć wojska tego państwa, które nie uważa się za mniej kulturalne od Anglii, a które jednakże wydało hakatyzm?... Oczy wasze błąkają się po przestworzach Oceanu i wzrok leci na krańce ziemi, a przecie Poznańskie, Śląsk i Prusy zachodnie leżą tuż obok was... Więc Pani! Zanim zaczniecie się zajmować Afryką, zajmijcie Europą! Olbrzymie zadania humanitarne leżą tuż obok was. Pracujcie nad tem, aby ogólna dusza niemiecka uszlachetniała tę hakatystyczno-państwową i brońcie, aby sama nie została przez nią znieprawiona!"

Słowa Sienkiewicza nie potrzebują objaśnień. Nie wolno mówić o uczciwości temu, kto nie ma sam rąk czystych — nie wolno bronić wolności innych członkom narodu gnębicieli, nie wolno tak długo, póki nie zdołają z dusz rodaków własnych wyplenić chwastów zbrodniczego pożądania wolności sąsiadów. Wielki przedstawiciel piśmiennictwa polskiego gromkim głosem przypomniał tę prawdę tym Niemcom, którym z jednej strony czułostkowość niemiecka każe protestować przeciw rozlewowi krwi w Transwalu, a z drugiej wrodzone samolubstwo rasy germańskiej dobywa z piersi okrzyki radości z powodu niesłychanego ucisku Polaków.

Towarzystwa sokole w całej Polsce, gdzie tylko istnieją (a istnieją jawnie w Poznańskiem i Galicyi) obchodzą w bieżącym miesiącu 25-letni jubileusz pracy na polu sokolstwa Antoniego Durskiego, naczelnika Sokoła lwowskiego. Zawiązkiem sokolich stowarzyszeń gimnastycznych było gniazdo lwowskie, założone w d. 25. marca r. 1867., które ze skromnych początków i samo rozwinęło się wspaniale i stało się macierzą kilkudziesięciu gniazd bratnich w kraju. Dziś „Sokół" jest potężną organizacyą narodową i nie ustaje w usiłowaniach, aby

Ospały i gnuśny, zgrzybiały ten świat
Na nowe pchnąć życia koleje,

przypominając przedewszystkiem młodzieży, że

Tam tylko potężnym i twórczym jest ruch,
Gdzie wola silne ma ramię.

Antoni Durski należał od lat 25 i, da Bóg, będzie jeszcze długo należał do tych, którzy ideę sokolą zrozumieli najlepiej i służyli jej najpoczciwiej i najwierniej. Niestrudzony organizator stowarzyszeń, założył ich wiele, dbał o zapewnienie im trwałości; niezmordowany nauczyciel, wychował zastępy młodzieży, krzepkiej fizycznie i moralnie, niosącej hasła sokole w najdalsze zakątki kraju; wytrawny znawca zasad gimnastyki, wykładał je piórem swojem i wyjaśniał innym w licznych broszurach i artykułach; z pomiędzy wielu członków „Sokoła" był jednym z najwytrwalszych i najgorliwszych. Toteż nie dziw, że wszystkie stowarzyszenia sokole złożyły ukochanemu naczelnikowi hołd należny za jego pracę, a i młodzież szkolna nie pozostała w tyle, wyrażając mu cześć dla jego zasług i wdzięczność za długoletnią pracę nauczycielską. Do życzeń, które składano „druhowi" Durskiemu, niechaj będzie wolno i nam przyłączyć się w imieniu redakcyi i czytelników pisma: oby zasłużony jubilat doczekał szczęśliwie, złotych z „Sokołem" godów!

„Sokół" jako wierny piastun idei wielkiego naczelnika Kościuszki, przypomina nam rocznicę powstania, przypadającą na 24. b. m. W tymto dniu 1794. r. Tadeusz Kościuszko

przysięgał na stopniach ołtarzów,
Że mieczem wypędzi z Polski trzech mocarzów,
Albo sam na nich padnie.

Przed starym ratuszem w Krakowie, z którego wieża tylko pozostała dzisiaj, bataliony polskie stały wyciągnięte pod sznur. Nadszedł Kościuszko, zatrzymał się przed frontem batalionów, rogatywkę zdjął z głowy i z mieczem w dłoni przysięgał narodowi, iż władzy naczelnika sił zbrojnych nie użyje na niczyj ucisk, ale dołoży starań, by wszystkim mieszkańcom Polski wywalczyć wolność równość Tłumy ludu słuchały w milczeniu przysięgi.. *K. L. W.*

Zagadnienia naukowe.

Nr. 81. Które poematy polskie czerpią treść swą z dziejów Litwy?
Nr. 82. Skąd pochodzi nazwa Prowansyi?
Nr. 83. Co nazywamy *pleinairem* (czyt. plener) w malarstwie?
Nr. 84. Który wodospad w Europie jest najwspanialszym i najobfitszym?
Nr. 85. Co to jest łolometr i kto go wynalazł?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: Kraszewskiego „Dziecię starego miasta", Sewera „Szkice z Anglii" i Chodźki „Pamiętniki kwestarza".

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 28 marca. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 76—80.

Nr. 76. Jan Kochanowski (1530—84) pierwszy z poetów polskich użył postaci sonetu w p. XXII. i XXXII. księdzi IV. swych „Pieśni".

Nr. 77. Wyr. „sejm" (dawniej mianownik: sjem, dopełniacz: sejmu) składa się z przyimka *s* (dziś *z*) = łać. *cum* i rzeczownika *jem*, który należy do słów „jąć, imać itd." Znaczenie więc pierwotne: zjęcie, zebranie, zgromadzenie.

Nr. 78. Autor listu „Z Litwy" ma na myśli „Potop" Sienkiewicza.

Nr. 79. Styl rokokowy w budownictwie jest wybujałością stylu Odrodzenia (renesansu); cechują go: przewaga swawolnych kształtów krętych i hojność ozdób, złożonych głównie z muszel i przedstawicieli innych królestw przyrody, odznaczających się dziwacznością kształtów (np. palm, powojów itp.) W ojczyźnie tego stylu, Francyi, gdzie zapanował za Ludwika XV., wysadzanie wzoru kamyczkami i muszlami zwie się *rocaile*; stąd nazwa „rokoko".

Nr. 80. Prof. Dawid Edw. Hughes (czyt. Hjus), urodz. 1831. w Londynie, zm. 22. stycznia b. r., wynalazł telegraf literowy i mikrofon.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 12. b. m (wszystkie) Bednarowski (znakomicie), Bloch, Machalski (wybornie), Salpeter; (76, 78—80) Michalewicz, Reinhold, Sośnicki, Stamm; (77—80), Grotowski, Oberhard, Prajer; (76, 78, 80), *Avήρ*, Badura, Chrzanowski, Mann, (77, 79—80) Saphier; (77—8, 80) K. Wysocki; (78—80) Nartowski Otfinowski, Pordes, Reis; (77, 80) Dziomba; (78—9) Chmielnicki, Krzysztoń, Malowany, Moszoro; (78, 80) Lipiński, Młynek, Ossoliński, Solski, Woroszyński; (79—80) Masiuk, Podobiński; (79) Chruszczewski, Wiktor; (80) Cetnarski, Górka, St. Leopold, Zaorski.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Salpeter (Jeża), Pordes (Foę) i Masiuk (Daudeta).

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Jugora. Nie możemy orzekać na podstawie próbki nadesłanej, grzeszącej i przeciw gramatyce i rytmice, a wcale nie oryginalnej. — *Leop. S.* Dzięki za kartą z widokiem, ale szkoda 5 *h.* nadpłaconych, bo na kartkach nalepia się tylko 5 *h* w obrębie Austryi i Niemiec, a nawet można przesyłać karty z widokami za opłatą 3 *h*, jeżeli na adresie wypisze się wyr. *druk*, a na odwrocie najwyżej 5 wyrazów. — *Mas. W.* Zagadka geogr. błędna (*n* zam. *ń*), liczbowa zbyt znana; może inne w zapasie. Przyjmiemy chętnie. — *Mizgóś.* Odbitkę wysłano, chyba nie doręczono? — *Niem. J.* Odpisano kartką. — *Otfin.* Nie otrzymaliśmy żadnego przekazu. — *Piotr. K.* Wyjaśnienia dano w dziale „Wymiany kart". — *Poraj.* Domysł trafny. Życzeniu co do przesyłki uczyni zadość administracya. — *Praj. L.* Otrzymaliśmy „Melsztyn"; rozstrzygnięcie nastąpi po 10. kwietnia, ogłosimy wynik w nrze 8. Niema „podręcznika" o powstaniu 1863. r., są tylko większe dzieła, nieraz b. stronnicze, jak S. Koźmiana, Rzecz o r. 1863." 3 t. (6 *k*), Z. L. S. „Historya 2 lat" 5 t. (1892-6. ok. 40 *k*.) B. Limanowskiego „Hist. ruchu narod. 1861—4." 2 t. (10 *k*) i urzędowe „Zapiski M. Berga" 3 t. (1898—99.). Za życzenia dziękujemy. — *Praj. W.* Autor chory, więc wyjaśnimy później sprawę. — *Prawda.* Otrzymaliśmy; ocenę prześlemy po rozstrzygnięciu (prw. odpowiedź *Praj. L.*) — *Sfinks.* „Herr Thaddäus" w przekł. Lipinera (Lipsk 1882.) 7 *k.* 20 *h.* „Pisma" K. Junoszy można nabywać tomami. Zagadka zbyt znana, o łamigłówki prosimy. „Rozmaitości" okazują się, o ile starczy miejsca. Obrazki bywają różne, nie mogą być wszystkie wesołemi. Termin odpowiedzi na kartę z widokiem wynosi 3 miesiące. Wywód nazwy Filadelfii, przesłany listownie, bardzo możliwy, nie możemy go jednak sprawdzić. — *Sol.* Ułatwiamy przedpłatę Przyj. wszelkimi sposobami, jak komu wygodniej. Tomiki klasyków niem. Graesara nie mają ceny jednakowej. Co do reszty prw. „Od administracyi" na końcu. *Szczupak* „Wybór" Orzeszkowej wyślemy, skoro księgarnia dostarczy. *Vietor.* W sprawie wycieczki do Paryża podamy wkrótce wskazówki potrzebne w osobnym artykule. „Krewni" nie wyjdą przed lipcem. Proszę więc wybrać sobie inną powieść Korzeniowskingo, np. „Kolokacyę" (96 *h*), „Spekulanta" (96 *h*) lub „Emeryta" (1 *k* 44 *h*). — *Wys. K.* Zmieniono adres według życzenia.

Od administracyi.

Prosimy uprzejmie o przesłanie zaległej przedpłaty.

Nr. niniejszy jest ostatnim w kwartale I. Kto więc pragnie otrzymać następny i dalsze, a uiścił przedpłatę tylko za kwartał I. (I *k.* 50 *h.*), zechce przesłać należytość za kwartał II. najdalej do końca marca b. r. Ci, którzy nie odnowią przedpłaty w czas, lub zalegają z nią, nie otrzymają nru 7. pisma, ani też odbitki obrazu van Dycka „Ukrzyżowany", przeznaczonej na dodatek bezpłatny do nru 7. dla przedpłacicieli naszych.

Z Gw. Kr. Brak 50 *h* do półrocznej przedpłaty. Karol Józef Fab. Ciesz. Należy się za I-szy kwartał jeszcze 50 *h.*

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 6.: Złoty toporek, baśń łotewska. — Trzy krzesła białe, piosnka prowansalska w przekł. *E. Porębowicza.* — *J. Amborski*, Szkice z dziejów piśmiennictwa francuskiego. II. — *T. Pini*, Lud w poezyach M. Konopnickiej. III. — *H. A. Schmid*, O rozwoju w sztuce (dok.) — *F. Krczek*, Finlandya i Finowie I. — *E. Krause*, Gawęda o cieple (dok.) — *K. L. W.*, Z całej Polski. — Zagadnienia naukowe, skrzynka pocztowa redakcyi i administracyi. — Ryciny: *T. Barącz*, Kościuszko. — Leon XIII. na przechadzce. — Antoni Durski

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 1. kwietnia 1900.



Rok II.

Nr. 7.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Praca i wytrwałość — w tych dwu słowach zamyka się cała tajemnica zostania wielkim człowiekiem, a gdzie rzeczywiste zdolności są, tam chociażby wszystko zawiodło, to te dwa słowa, zamienione w czyn, nigdy zawieść nie mogą. *Z. Kaczkowski.*

Do młodzieży polskiej.

(Na nutę „Z dymem pożarów".)

Przedruk dozwolony tylko z podaniem źródła.

Do góry serca, polska młodzieży!
Czas oto nowy zaznacza bieg —
Wielka godzina wkrótce uderzy,
Dla was dwudziesty zaświta wiek.

Wiek dziewiętnasty w otchłań grobową
Za krótką chwilę stoczy się już,
Nad nim przekleństwa pobrzmiewa słowo,
Obiega Polskę i wszerz i wzdłuż.

Bądź sprawiedliwą, zacna młodzieży,
Niech cię nie porwie ogólny szał!
Zanim przekleństwo z ust twych wybieży,
Oblicz te plony, jakie on dał!

On pieśń wyśpiewał w dni swych przedświcie,
Co pasmo nowych wskazało dróg:
„Polska nie zginie, póki w nas życie!"
Na dźwięk tej pieśni drży jeszcze wróg.

Ta pieśń zbudziła w sercach hart męzki,
Kiedy ojczysty zachwiał się duch;
Ona przetrwała stuletnie klęski,
Nie dała tonąć w bezmyślnych łzach.

Ona rzeźwiła w skwarnej posusze
Naród zbolały wśród ciężkich dni,
W niej zaczerpnęły moc geniusze:
Wielki Mickiewicz brał dźwięki z niej.

My błogosławmy wiek dziewiętnasty!
Wiele nam chwały przyczynił on —
Na polach naszych rosły w nim chwasty,
Ale i złoty wybujał plon.

Niewczesne żale, daremne gniewy,
Na krew stoczoną, na nieszczęść stek!
Biedny ty wieku, twoje posiewy
Rozrodzi bujnie dwudziesty wiek!

Twojem zadaniem, polska młodzieży,
Z tych kłosów wieniec bogaty spleść.
Niechaj zawoła, kto w Boga wierzy:
„Ubiegły wieku, cześć tobie, cześć!“

W Paryżu 3. marca 1900. _____ *Seweryna Duchińska.*

Henryk Sienkiewicz.

Po zgonie największych naszych mistrzów słowa: Mickiewicza (1855.), Słowackiego (1849.) i Krasińskiego (1859.), przyćmił się nieco blask poezyi polskiej i władztwo w krainie piękna z rąk jej przeszło do powieści. Wraz z berłem królewskiem wzięła powieść na swe barki również obowiązki panującego i spełniła je sumiennie i należycie: jak jej wielka poprzedniczka — natchniona poezya romantyczna — tak i ona dawała swym poddanym poważną karm duchową, stawiała im przed oczy najszczytniejsze ideały, polecała wzory, najgodniejsze naśladowania, uczyła ich miłości ziemi rodzinnej i szanowania języka ojczystego, tego najdroższego klejnotu i najcenniejszej spuścizny po przodkach. Naród cały rozmiłował się w młodej władczyni, pokochał ją szczerze; przekonał się bowiem, że zawsze w niej znajdzie w bolach i smutkach — pocieszycielkę, w strapieniach - doradczynię, w chwilach wesela — dobrą towarzyszkę... I na całej ziemi naszej, gdziekolwiek doszła książka polska, wszędzie obok „Pana Tadeusza“ zdobyła sobie miejsce powieść. Lecz nie odrazu doszła do takiego znaczenia; garść jej żołnierzy musiała długie boje staczać, zanim wywalczyła swej królowej tak potężną władzę i tak silne państwo. W hufcu tym jednak byli ludzie energii niespożytej, wielkiego talentu, nieugiętej wytrwałości; dość wspomnieć nazwiska Józefa Ignacego Kraszewskiego, Józefa Korzeniowskiego, Zygmunta Kaczkowskiego. A kiedy tych nie stało, ciężki trud wzięli na swe barki młodsi i z takim samym zapałem, z taką samą wiarą w swe siły i przyszłość pracę, przez poprzedników poczętą, prowadzili dalej. I oto wśród tego zastępu młodszych na czoło jego pracą twardą i zdolnościami niepospolitemi wybił się pisarz, którego imię głośnem jest dzisiaj w całym świecie, twórca „Ogniem i mieczem“ i „*Quo vadis*“, Henryk Sienkiewicz.

W Woli Okrzejskiej, położonej niedaleko Łukowa (w Siedleckiem, w Królestwie Polskiem), w r. 1846. przyszedł na świat nasz powieściopisarz. Rodzina jego przechowywała pewne tradycye wojskowe, których jednak nikt nie opisywał, nie wydała bowiem żadnego pisarza; matka jedynie pochodziła z rodziny literackiej, jako spokrewniona z Lelewelami i Łuszczewskimi. W dzieciństwie swem niemało nasłuchał się o Antonim Sienkiewiczu, bracie dziadka, znanym żołnierzu z czasów Stanisława Poniatowskiego, a następnie Napoleona. Największy atoli wpływ wywarło na niego to, iż lata swe dziecinne spędził na wsi; poznał bowiem dobrze lud nasz i jego język. Oprócz tego znaleziony gdzieś na strychu kufer z książkami, wśród których było wiele dzieł z XVI. i XVII. wieku, przyczynił się wielce do rozwoju umysłowego młodego chłopaka; dorwawszy się jako dziecko tych książek, uczył się niemal czytać na Reju, Kochanowskim, Górnickim, Skardze, Birkowskim, Orzechowskim. Od tego czasu datuje się jego znajomość języka staropolskiego, którym tak przedziwnie włada. Studya średnie odbywał w Warszawie, naprzód w szkole realnej, a następnie w gimnazyum Wielopolskiego; w tym znów czasie z największym zapałem i zamiłowaniem rozczytywał się w Homerze i Szekspirze, ten ostatni jednak nie podobał mu się podówczas i dopiero później, gdy go zaczął czytać w tłumaczeniu Jana Komierowskiego, z komentarzami Gervinusa, znakomitego uczonego niemie-

ckiego, poznał i odczuł piękności dramatów szekspirowskich. Po ukończeniu gimnazyum zapisał się na wszechnicę czyli t. zw. Szkołę główną, gdzie oddawał się studyom literackim i filozoficznym. Z tych lat pochodzą jego rozprawki krytyczne: o Kasprze Miaskowskim i Sępie Szarzyńskim, drukowane w *Tygodniku ilustrowanym* (1869. i 1870.), nie posiadające jednak większej wartości naukowej.

Dla pracy na chleb codzienny zaprzągł się Sienkiewicz do taczki dziennikarskiej, lecz artykuły jego nie wyróżniały się niczem nadzwyczajnem; również pierwsze utwory literackie — a były niemi ogłoszone w r. 1872. „Humoreski z teki Worszyłły“, — nie zapowiadały wcale pisarza, który po latach miał olśnić i zadziwić świat cały *). Lwi pazur okazał się dopiero w drobnych obrazkach, nowelach, ogłaszanych pod przybranem imieniem Litwosa; w nich język i styl nabrał większej poprawności i piękności, a siła wyobraźni, żywość charakteru i uczucie poetyczne chwyciły czytelników za serce. Zupełnego podboju dokonały „Listy z Ameryki“ (t. II.—III.), dokąd młody autor wybrał się w tym czasie; pełne poezyi opisy lasów i rzecznych wybrzeży, ranków i zachodów słońca, rzewne obrazki z życia biednych wychodźców naszych w tej drugiej połowie świata, obudziły u szerokiej publiczności zrazu ciekawość, potem zajęcie, wreszcie zachwyt niekłamany — przybrana maska Litwosa spadła, a imię Henryka Sienkiewicza stało się znanem i głośnem.

Z rozmaitych sfer i z różnorodnych dziedzin zbierał Sienkiewicz materyał do swych pierwszych opowiadań, ale najpiękniejsze obrazki stworzył ze świata szlacheckiego i ludowego, bo te najlepiej mu były znane. Biedny „Janko muzykant“ (t. I.), co życiem przypłacił swą miłość dla muzyki, — nieszczęśliwa Rzepowa, bohaterka „Szkiców węglem“ (t. I.), która zginęła, a nie wyprosiła sprawiedliwości dla swego męża, — głupi, lecz pełen męstwa, prześladowany chłop polski w Poznańskiem „Bartek zwycięzca“ (t. V.): oto najważniejsze postaci, odmalowane pięknie przez młodego nowelistę w obrazkach ze świata ludowego. Uderza w nich wielki smutek i pesymizm, jakby dla tych ludzi słońce nigdy pogodniej nie świeciło, co nie jest w rzeczywistości prawdą. Widocznie było potrzebą wrażliwego i szlachetnego serca pisarza głośno poskarżyć się przed światem na nędzę maluczkich, a skarga ta była tak rzewną, tak odczutą, że do każdego czytelnika musiała silnie przemówić.

Jeszcze smutniejsza, wprost grozą tragiczną przejmująca jest historya dziecka, opowiedziana przez „Poznańskiego nauczyciela“ (t. IV.); ten biedny Michaś, co to w szkołach pruskich nie mógł dać sobie rady z wyuczeniem się lekcyi w obcym języku i z natężenia i zmartwień sasłabł na zapalenie mózgu — i oto nieprzytomnemu mieszają się w głowie konjugacye łacińskie i różne lekcye i te nieszczęsne wyrazy, które z dobrym akcentem należy wymawiać, i ustęp z ministrantury: „*Quare me repulisti et quare tristis incedo, dum affligit me inimicus*“.. to konające dziecko — to najsilniejszy protest naszych krzywd, wołających o pomstę do nieba. Rzewnem także jest opowiadanie o losach biednego „Latarnika“ (t. V.), który w młodości bił się za wolność Ojczyzny, następnie walczył przez lat szeregi pod rozmaitymi sztandarami, aż znalazł na starość przytułek, jako strażnik latarni morskiej; niedługo jednak wypoczywał, otrzymawszy bowiem książki polskie, których od lat kilkudziesięciu nie widział — wśród nich „Pana Tadeusza“, — tak się zaczytał, iż nie zapalił na czas latarni i stracił miejsce. W dalszą tułaczkę szedł jednak z otuchą, bo miał na sercu skarb, dlań najdroższy — książkę polską.

Na tle pogodniejszem rysują się obrazki ze świata szlacheckiego: „Stary sługa“ i „Hania“ (t. V.); opowiedział w nich Sienkiewicz dzieje dwu młodych chłopaków, Henryka i Selima, i córki starego sługi, Hani. Treść opowieści zwyczajna; ale sposób opowiadania tak żywy, tak zajmujący i plastyczny, iż doznaje się wrażenia, jakby się słuchało relacyi o zdarzeniach rzeczywistych, o osobach, które znamy doskonale, o których istnieniu nie wątpimy ani na chwilkę; nie dziw więc, iż utworzyła się legenda, jakoby to były wspomnienia z młodości autora; zaprzeczył temu

*) Sam autor ocenił te pierwsze płody swego pióra surowo, aż za surowo, bo nie pozwolił na przedruk ich w wydaniu zbiorowem „Pism“ (Warsz., u Gebethnera i Wolffa tom po 1 rs.), według którego cytujemy w pracy niniejszej inne jego dzieła.

(*P. R*)

jednak Sienkiewicz. Opisał również dalsze dzieje jednego z bohaterów w powieści p. n. „Selim Mirża“; utwór ten na życzenie autora nie wszedł atoli do wydania zbiorowego „Pism“.

Nie uzyskał natomiast wielkiego powodzenia 5-aktowy dramat Sienkiewicza p. n. „Na jedną kartę“, (t. V.), wystawiony w r. 1881. na scenie warszawskiej; dzieje dra Józwowicza, syna kowala, nie przypadły do smaku publiczności, ogólny za to poklask otrzymała drobna opowieść dziejowa „Niewola tatarska“ (t. V.), pierwsza próba pisarza naszego w tym rodzaju, przedsłanniczka niezrównanej trylogii.

(C. d. n.)

Bron. Gubrynowicz.

Czarnoksiężnik.

(*Baśń, wyjęta z kronik XVII. wieku.*)

Mądry, acz złośliwy czarnoksiężnik żył długo, bardzo długo. W ciągu niecnego żywota tyle krzywd wyrządził, że gdyby łzy, z jego przyczyny wylane, nie wysychały, cała ziemia stałaby się grzązką, jak Polesie; gdyby przekleństwa wciąż posiadały tę moc, z jaką je wyrzucają bolem wykrzywione usta, płaneta nasza drżałaby w posadach.

Na szczęście piekło, jako siła podrzędna, chociaż posiada tajemnicę śmierci, zagadki życia wiecznego rozstrzygnąć nie zdoła; czarnoksiężnik tedy pomimo używania w samem piekle warzonych leków doszedł do wniosku, że kres jego się zbliża. A ponieważ kiedyś czytał w księdze mądrości, że łza otarta, że uśmiech, na oblicze bliźniego wywołany, mogą zbawić człowieka, postanowił tedy uszczęśliwić choć kilka istot. Jużci środki i siłę, którymi rozporządzał, posiadał od Belzebuba, mniemał atoli, że na gruncie dobrych zamiarów nawet podłe siemię może wydać szlachetną roślinę.

Tak rozmyślając, czarnoksiężnik postanowił nawarzyć lek, posiadający cudowną moc obdarzania szczęściem tych, którzy go w jakiejś określonej formie zapragną. Tym sposobem zamierzał przemienić łzy — w uśmiech, niedolę — w radość.

Zamiar czarnoksiężnika był bezwątpienia wobec Belzebuba zdradzieckim, możemy mu to jednak przebaczyć ze względu na to, że złemu panu nikt wiernie nie służy: podły zwolennik łacno go zdradzi, szlachetny — służyć mu nie zechce.

Jak sobie radził czarnoksiężnik, nie trudno odgadnąć. Kto słyszał opowiadania o działalności czarownic, wilkołaków, upiorów, ten się łatwo domyśli, że napoju szczęścia z byle jakiego ziela nawarzyć nie podobna, trzeba tu użyć silniejszych środków...

Tak też się stało. Przemieniony w zmorę czarnoksiężnik spływał po promieniach księżyca nad łoża młodzieży, czyhał na ich sny złote o szczęściu, chwale, i zagarniał je, niby pajęczynę, do worka, utkanego z zawiedzionych nadziei. Potem błądząc po cmentarzach, zbierał jak grzyby mózgi zmarłych przed ślubem dziewcząt-narzeczonych i składał je do kobiałki, plecionej z giętkiego łuczywa marzeń. Wreszcie zakradał się do kolebki pierworodnych dzieci, porywał piosenki, płynące z ust rozmarzonych matek, i składał je do sakwy, uszytej ze skóry wisielca.

Gdy zgromadził nareszcie sporo materyału, gdy zmieszał go, rozmiażdżył i włożył do kotła, jął błądzić po świecie, szukając łez radości. Uciążliwa ta praca zabrała mu wiele czasu, albowiem łez zupełnie słodkich nie mógł jakoś znaleźć, w każdej łzie radości znajdował domieszki żółci, żalu lub goryczy. Uporał się jednak i z tem. Wprawdzie łzy niezupełnie były słodkie, ale je przecedził przez sito, utkane z nerwów matek, którym zabito dzieci, gorycz pozostała na dnie i łzy oczyściły się do niepoznania. Płynem tym zalał mieszaninę w kotle i jął ją warzyć. Warzył całe lata, aż pozostało zaledwo kilkanaście kropel, czystych jak łza, lekkich jak sny, słodkich jak śpiewki rodzinne, wonnych jak marzenia. Wlał owe krople do do kielicha i zadowolony wyruszył ze swojej jaskini w świat z zamiarem poczęstowania kroplą płynu pierwszego spotkanego człowieka. A tak postanowił sobie, że, nim krople się skończą, co trzy lata będzie wychodził z kryjówki, aby kogoś uszczęśliwić.

Zaledwo wyruszył w drogę, w głuchym lesie spotkał ubogiego pustelnika.

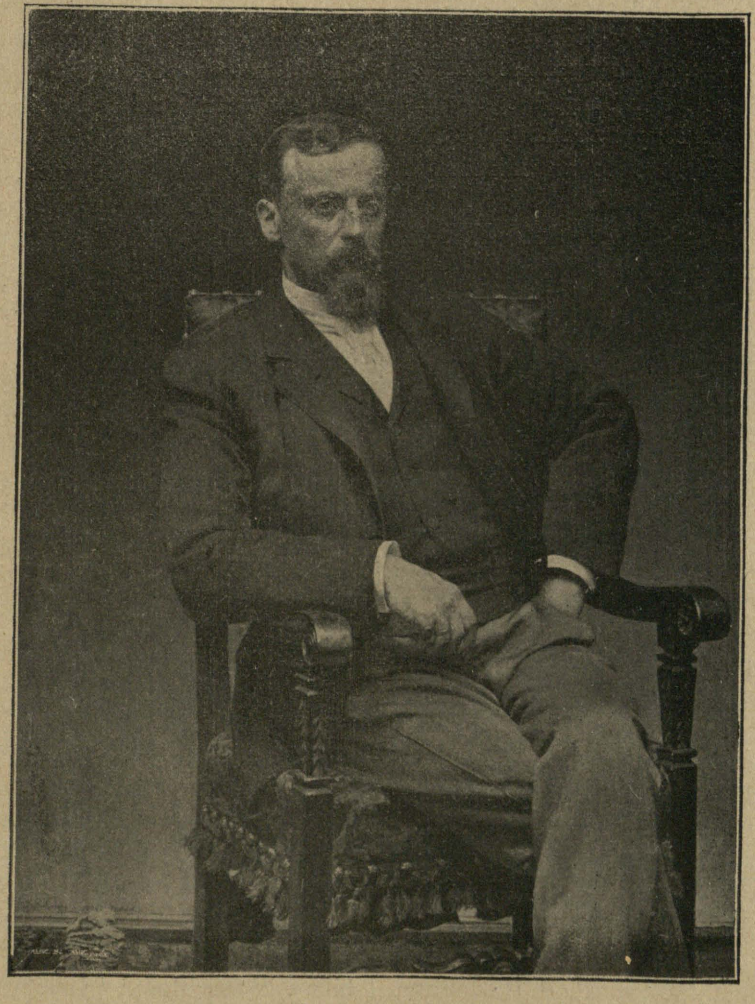
„Bracie“, rzekł doń, „pomyśl, czegobyś pożądał i wypij z mego kielicha kroplę płynu a wszystko się, jak chcesz, stanie!“

Pustelnik spojrzał na mówiącego surowo i odparł: „Żyjąc w świecie, piłem szczęście

z rozmaitych kielichów i wszystkie mię zawiodły. Niemasz szczęścia krom wyrzeczenia się świata — odejdź!“

Zasmucony czarnoksiężnik ruszył dalej. Wyszedłszy z puszczy, spotkał rycerza, który okaleczony, pobity, wracał z nieszczęśliwej walki. Gdy mu czarnoksiężnik ofiarował kroplę płynu, ożywił się i rzekł: „Jestem zniesławiony, żądam sławy“ — i wypił kroplę. Zaledwo to uczynił, rany mu się zagoiły, miecz wyszczerbiony zaostrzył, rumak zarżał, wspiął się; rycerz pomknął znowu na pole walki.

Czarnoksiężnik wrócił do swojej jaskini i zadowolony z dobrego uczynku, usnął snem sprawiedliwego; a że oddawna nie znał spokoju, więc spał całe dwa lata i jednaście miesięcy; możeby i dłużej był spoczywał, ale go rozbudził posłaniec Belzebuba — demon Azazel. Był to na piekielnym dworze wielce zasłużony urzędnik: w prawem ręku jako godło władzy trzymał trójząb z zawieszoną chorągwią. Krótkie, mocne rogi upiększały jego dużą, kosmatą głowę i męzkie, z bujnym porostem oblicze. Uparty, a dumny kozieł służył mu za towarzysza [1]). „Wstawaj“, rzekł, „panie profesorze, książę ciemności oczekuje cię!“



K. Pochwalski, H. Sienkiewicz.

Czarnoksiężnik przypomniał sobie swój dobry uczynek i pomyślał: „Szatan już podobno o tem się dowiedział i da mi dobrą nauczkę.“

Z trwogą tedy wyruszył do piekła. Ale zaledwo zbliżył się do bram jego, wielce się zdziwił: straż, jak za dawnych, dobrych czasów, składała mu honory, dobosze uderzali w bębny, działa strzelały na wiwat; Belzebub, ustrojony w szatę świąteczną, uszytą ze skóry grzechotników, spotkał go uroczyście temi słowy „Ostatniemi laty niezbyt żarliwie waszeć nam służyłeś, powiadano nawet, że knujesz zdradę; przekonałem się atoli, że były to plotki: nawarzyłeś ludziom dzielnego piwa!.. No, cóż tak skromnie spoglądasz, jak gdybyś nie wiedział o niczem?“

Mefistofeles, stojąc za panem, zauważył: „Wielkie czyny zwykle łączą się ze skromnością.“

„To słuszne“, odparł Belzebub, „ale światła naszego nie należy ukrywać pod korcem. Otwórz, Mefistofelesie, na świat okienko, a pokaż nam, jak się gracko sprawia wojak, którego profesor upoił płynem własnego wynalazku!“

Mefistofeles otworzył okno.

I oto czarnoksiężnik zoczył rycerza, któremu dał szczęście, sławnym i wielkim. Nie było bohatera, któryby mógł mu sprostać. Zwycięzki pochód jego poprzedzały trwoga

[1]) Opis — podług starożytnych wizerunków demonów. (Por. też uw. 1 na str. 67. rocznika I. „Przyjaciela“ o Azazelu. *P.R.*)

popłoch, zamykały zaś — śmierć i niewola. Trwożliwi kryli się do jaskiń, śmielsi ginęli, nikczemni składali mu hołdy, śpiewali hymny i, dążąc za nim, jak szakale za lwem, pożerali wszystko, co spotkali na drodze. Jęki sióstr, przekleństwa matek, łzy dziatwy towarzyszyły sławnemu pochodowi...

Belzebub, patrząc na to, skakał z radości, wreszcie zawołał:

„Tak, to rozumiem! Głupi sługa, gdy ów rycerz ginął, wlałby mu w usta złorzeczenia i przywiódł do mojej chwały. Mądry zaś uczynił inaczej — i oto zamiast jednej rany widzimy tysiące, zamiast jednego bluźnierstwa słyszymy miliony, zamiast jednej śmierci — giną tłumy... Oto co znaczy służyć chętnie i mądrze!“

To rzekłszy, władca piekieł uścisnął mistrza i z tryumfem przeprowadził go aż poza bramy dziedzictwa swojego.

Czarnoksiężnik wrócił do swej kryjówki wielce zasmuconym.

„Głupio zrobiłem“, pomyślał, „obdarzając szczęściem człowieka, bawiącego się orężem; odtąd będę mędrszy.“

(C. d. n.)

Brolis.



O sejmach w Polsce.

II.

Od Ludwika Węgierskiego] do Aleksandra (1370. do 1506.)

Śmierć Kazimierza Wielkiego (1370.) pociągnęła za sobą zmiany bardzo doniosłe. Kazimierz W. nie miał, jak wiadomo, syna, na któregoby korona przejść mogła. Starodawny zwyczaj jednak pozwalał mu przekazać tron temu z krewnych, komu zechce go ofiarować. Na Śląsku i Mazowszu panowali wprawdzie Piastowie, spokrewnieni z Kazimierzem po mieczu, ale byli to krewni dalsi. Toteż Kazimierz W. wybrał sobie następcą swego siostrzeńca, Ludwika, króla węgierskiego. Chodziło jednak teraz o to, czy naród cały przyjmie go i uzna. Nie było to całkiem pewnem. Naród bowiem zżył się z dynastyą Piastów, w której, jeżeli nie zawsze syn następował po ojcu, to przynajmniej brat po bracie lub bratanek po stryju; w tym rodzie przywykł widzieć swoich władców i panów, których należało słuchać. Inaczej jednak było teraz, gdy panem miał zostać książę obcego rodu, wprawdzie siostrzeniec króla, ale zawsze obcy. Nie był to już dziedzic, u r o d z o n y do tronu, ale tylko p o w o ł a n y. Takiego trzeba było dopiero uznać panem.

Rozumiał to dobrze król Ludwik i jeszcze za życia Kazimierza W. wydał w r. 1355. w B u d z i e, swem mieście stołecznem, akt (przywilej), którym przyrzekł, że: 1) gdyby został królem polskim, to od duchowieństwa, szlachty i mieszczan pobierać będzie tylko te podatki, które płacili od dawien dawna, a nie będzie pobierał tych, które Władysław Łokietek i Kazimierz W. ponakładali; 2) że, ilekroć będzie jeździł po Polsce, nie będzie stawał w dobrach duchownych i szlacheckich i nie będzie pobierał żadnych danin na popasach; 5) że w razie wyprawy wojennej poza granice kraju zwracać będzie wydatki wszystkim, którzy wezmą w niej udział.

Takiem przyrzeczeniem Ludwik ujął sobie nietylko duchowieństwo, ale przedewszystkiem szlachtę, w której ożyła nadzieja, że płacić będzie małe podatki, nie będzie miała obowiązków dostarczania podwód i żywności w razie popasu dworu królewskiego i że mniej ciężkim będzie jej teraz obowiązek służby wojskowej.

Król Ludwik nie doczekał się jednak męzkiego potomstwa, więc chciał tron polski zapewnić jednej z córek. Aby to uzyskać, należało znowu zjednać sobie czemś szlachtę. W r. 1374. tedy król wydał w K o s z y c a c h nowy przywilej. Zniósł wszystkie dawne opłaty, podatki i ciężary, a pozostawił jedynie podatek 2 groszy z łana (poradlne, królestwo), który należało płacić corocznie na św. Marcin. Ponowił przyrzeczenie, że w razie wyprawy wojennej poza granice kraju powetuje uczestnikom wszelkie szkody i że nie będzie stawał w dobrach szlacheckich popasem Możnowładcom zaś przyrzekł, że nikogo obcego (Węgra) nie zamianuje wojewodą, kasztelanem, sędzią, podkomorzym, starostą lub innym urzędnikiem. Tym przywilejem ujął sobie przedewszystkiem szlachtę. Zjednanie sobie szlachty było jednak koniecznem w obec tego, że bez zezwolenia jej córka Ludwika, Jadwiga, nie mogła osiągnąć korony. Cho-

dziło tu o rzeczy pierwszorzędnej wagi, a tych szlachta nie byłaby pozwoliła rozstrzygać samym tylko możnowładcom na wiecach, jak dawniej bywało za poprzednich królów. Toteż teraz szlachta zjeżdża się i bierze udział w obradach panów duchownych i świeckich, czyto aby popierać prawa Jadwigi do tronu, czyteż ażeby żądać powołania ks. Ziemowita mazowieckiego. Możnowładcy chętnie przypuszczają szlachtę do obrad, aby się tylko módz na szlachcie oprzeć i cele swe osięgnąć. Stało się podług życzeń możnowładców. Królowa Jadwiga zasiadła na tronie i dano jej za męża Władysława Jagiełłę, założyciela nowej dynastyi w Polsce — Jagiellonów. Nowy król również musiał sobie zjednać czemś możnowładstwo i szlachtę. Możnowładcom więc, t.j. tym, którzy po województwach i ziemiach piastowali najwyższe godności i urzędy, przyrzekł, że nadawać będzie godności te i urzędy tylko tym, którzy w ziemi tej są osiedleni. Była więc odtąd pewność, że urzędy te zostaną przy rodzinach. Szlachcie zaś poczynił te same przyrzeczenia, co król Ludwik, a więc: że w razie wyprawy poza granice kraju zwracać będzie szlachcie koszty, że powetuje im szkody poniesione i że będzie wybierał tylko dwa grosze z łana podatku.

Wkrótce jednak okazało się, że państwo polskie ma takie potrzeby, na których pokrycie nie wystarczają dochody dóbr królewskich i podatek łanowy; trzeba było podatek znacznie powiększyć. Na takie powiększenie musiała się jednak teraz szlachta zgodzić, gdyż w myśl owych przywilejów nie była obowiązaną do płacenia więcej, niż 2 gr. Aby zaś na szlachcie ustępstwo takie wywalczyć, należało ją zwołać, przedstawić jej potrzebę nowego podatku i uzyskać jej zgodę. Niepodobieństwem było dla takiej sprawy zwoływać całą szlachtę polską na jedno miejsce. Wygodniej było zwoływać szlachtę każdej ziemi osobno. Te zjazdy ziemskie nazywały się sejmikami. Brali w nich udział dygnitarze ziemscy, ale obok nich zjeżdżała się także szlachta, od której zgody wszystko zależało. Gdy się sejmiki odbyły wszędzie, wówczas dopiero dygnitarze zjeżdżali się na miejsce oznaczone przez króla. (D. c. nast.)

Alojzy Winiarz.

SZKICE
z dziejów piśmiennictwa francuskiego.
III.

Długi i ciężki był proces zjednoczenia się politycznego ludów we Francyi; równie mozolnie postępowało zjednoczenie intelektualne. Żywioły rasowe, wpływy zewnętrzne, znikanie jednych urządzeń, pojawianie się innych, wojny zewnętrzne i wewnętrzne, klęski różnego rodzaju, walki pojęć różnorodnych, prace Kościoła, barbarzyństwo i okrucieństwo, wszystko to się miesza i mąci, przedstawiając chwilami obraz niezwykle ponury. Z tego zamętu wydobywa się jednak pieśń i spełnia swe zadanie kulturalne, społeczne. Bo pieśń jest potrzebą duszy, jest modlitwą, spowiedzią, pociechą, rosą wśród skwaru życia, światłem w pomroce smutków, ciepłem śród chłodów mrożącej rzeczywistości.

Opanowawszy Galię, Germanowie wprowadzili do niej urządzenia feudalne; wsiąknęli w nią narodowo, przyjęli język zwyciężonych, ale stworzyli organizacyę, która, acz zmieniana z biegiem wieków, dotrwała do wielkiej Rewolucyi 1793 r. Niezmierna liczba większych i mniejszych państewek, względnie mało zależnych od suzerenów, w czasach ogólnej ciemnoty i barbarzyństwa musiała sprowadzać zatargi i walki między dzikimi i butnymi pankami.

Walki te stały się nieustającemi (przypomnijmy potrzebę *treuga Dei, trève de Dieu*), więc też ideałem tej warstwy musiał być rycerz, odznaczający się odwagą, siłą, umiejętnością w robieniu bronią i toczeniu koniem. Życie było rycerskie, pieśń musiała być rycerską i epopeiczną.

Napady, rozboje, wojny były stanem normalnym i trudno przewidzieć, dokądby było zaszło takie społeczeństwo, gdyby nie Kościół. Z jednej strony Kościół gromił złe, groził i karał, z drugiej nauczał i szczepił cnoty chrześcijańskie, szerzył powoli światło zapomocą szkół, zakładanych przy katedrach. Działał dalej zapomocą zakonów, które obok pracy ewangelicznej szerzyło znajomość uprawy wszystkich owoców ziemi. Niedość na tem. Korzystając z każdej okoliczności, Kościół ujął w ręce instytucyę, zwaną *chevalerie* (szewaleri), a nadając jej cechę religijną, z ide-

ału rozbójniczego barona wytworzył ideał chrześcijańskiego rycerza, obrońcę wdowy i sieroty, uciśnionej niewinności, istot słabych i bezbronnych, szermierza za prawdę i cnotę, nakoniec ofiarnego i oddającego życie i mienie bojownika za wiarę. A za cel bojów zamiast rozbójniczych zatargów wewnętrznych wskazał Kościoł wrogów wiary, pogan.

Jeszcze jedną okoliczność wspomnieć tu należy. Chrześcijaństwo postawiło na równi z mężczyzną — kobietę, a temsamem zapewnił jej olbrzymi wpływ na stosunki społeczne. Jako matka, żona, narzeczona, darami swego umysłu, zaletami serca, wrodzonym wdziękiem, kobieta mogła potężnie wspomagać Kościół w jego pracy nad przemianą dzikich i okrutnych dusz, nad powściąganiem rozpasanych namiętności, łagodzeniem obyczajów i praw.



T. Rygier, Chrystus.

W takich warunkach pieśń rycerska musiała oddychać religijnym zapałem, wielbić cnoty chrześcijańskie, a z czasem wytworzyć z kobiety pełen uroku ideał niewieści, przedmiot czci rycerskiej, podnietę do szlachetnych czynów i życia zacnego i cel najwznioślejszych marzeń.

Co więc krępowało dzikie natury feudalnych panków? Bóg, władca duszy; cesarz, przedstawiciel najwyższej władzy, rycerski honor, zasada szewaleryi, ideał kobiety; wieńczącej zasługi szlachetnego rycerza.

Rycerska poezya północnych *trouvères* (truwerów) była zatem z natury rzeczy opisową, czarowała wyobraźnię obrazami bojów z poganami lub gwałcicielami prawa, podnosiła ducha religijnem uniesieniem, wielbiła wierność dla suzerena, pobudzała do cnoty, otaczała blaskiem chwały męstwo i wpajała cześć dla kobiety.

Zbyteczną rzeczą byłoby mówić, jak silnym poezya rycerska była czynnikiem w procesie cywilizacyjnym. (Dok. nast.)

J. Amborski.

O wieku ziemi.

II.

Poznaliśmy w rozdziale poprzedniim (p. nry 2—3.), że ziemia i jej postać ulega ciągłym, acz bardzo powolnym przeobrażeniom, że suma ich jest ogromną i powoduje w wyniku najzupełniejszy przewrót fizyognomii ziemi, wreszcie, że według zasadniczych, zmiennych rysów powierzchni ziemi w różnych okresach jej dziejów możemy podzielić ją na 10 głównych epok. Zagadnieniem, które nauka starała się rozwiązać już od połowy stulecia ubiegającego, był czas geologiczny. Od czasów Lyella nie schodziło z porządku dziennego pytanie, jak długo trwa geologiczna chwilka, doba, wiek, okres, jak długo trwa ziemia cała. I to ostatnie pytanie stawiano nie bez podstawy; wszak ziemia wraz z innemi płanetami oderwała się od wirującego prasłońca, którego pierwotna średnica musiała być tak wielką, jak odległość od Neptuna, potem Urana, Jowisza, Saturna, Marsa, Ziemi, Wenery, Merkura, zanim zmalała przez zagęszczenie się mgławicy prasłonecznej do teraźniejszych skromnych rozmiarów. Początkowo dążono do rozwiązania ciekawego zagadnienia metodą, wskazaną przez Lyella: obliczenie wieku chwilki geologiczne i ocenienie ilości takich chwilek daje prawdopodobny wiek ziemi w latach. Była to wszakże metoda błędna, bo błąd popełniano przy

określaniu granic danej chwilki, niedostatecznie scharakteryzowanej, przy obliczaniu wieku danej chwilki, wreszczcie przy obliczaniu faz historyi ziemi, odpowiadających wiekiem danej chwilce. Dlatego to próby, wykonane przez Lyella na Niagarze, zupełnie nie rozwiązały problemu. Lyell sądził, że znalazł w Niagarze czasomierz (chronometr) ziemi, w istocie jednak nie znalazł nawet klepsydry. Mimo to badania jego, jako pierwsze w tym kierunku, mają zapewnioną sławę wieczną.

50 lat pracy wszechstronnej, niestrudzonej, zbliżyło umiejętność znacznie do rozwiązania trudnego zagadnienia. W badaniach tych możemy rozróżnić dwa kierunki: matematyczno-fizyczny i geograficzny. Przedstawicielem pierwszego był sławny fizyk angielski, Wilhelm Thomson, dzisiejszy lord Kelvin, który, oparłszy się na kilku fizycznych właściwościach ziemi, a to: jej spłaszczeniu na biegunach, przypływie i odpływie morza i cieple wewnątrz ziemi, doszedł drogą spekulacyi czysto matematycznej, że ziemia była jeszcze ognisto-płynną kulą bezwarunkowo przed 5000 milionów lat, a prawdopodobnie nawet przed 1000 milionów lat. Tym sposobem zakreślił wiekowi ziemi najwyższą granicę około miliarda lat, przed którym to czasem życie organiczne (ustrojowe) na ziemi musiało być wykluczonem; wiele okoliczności przemawia też za tem, że długo jeszcze po ostygnięciu wierzchniej pokrywy ziemi zwierzęta i rośliny nie mogły zamieszkiwać ziemi z powodu zbytniego gorąca na niej. Dalsze jednak dociekania Thomsona w tym kierunku doprowadziły go do wyników, na które ani geograf, ani geolog, ani też biolog nie może się zgodzić. W ostatniej pracy, ogłoszonej w roku zeszłym, podał Thomson 20 milionów lat jako granicę wieku ziemi od chwili, gdy ustroje roślinne i zwierzęce pojawiły się na niej. Tak młodą matka ziemia być nie może, wszystko przemawia za daleko poważniejszym jej wiekiem. Więc pominiemy tu metody i drogi, któremi Thomson doszedł do tego wyniku, nietylko dlatego, że obrał drogę trudną, ale też wadliwą.

Kierunek badań geograficznych był wprawdzie żmudniejszym, droga dłuższą, ale wyniki badań, jako następstwo poznania zjawisk różnorodnych, mogących wydać świadectwo o wieku ziemi, i więcej przemawiają do przekonania i, co też ważne, powszechnie są przystępnymi.

Oto etapy badania geograficznego metryki ziemi:

Wspomniałem w rozdziale pierwszym, że warstwy ziemi dzielą się na: 1) masowe krystaliczne, więc skały, pochodzące z pierwotnego stężenia powierzchni ognistej praziemi (granity), jakoteż stare i młodsze skały wulkaniczne (porfiry, trachity, bazalty itd.), pochodzące z wnętrza ziemi, teraz jeszcze ognisto płynnego; 2) krystaliczne łupki (gnejsy i liczne odmiany łupków), pochodzące może z osadów przegrzanych wód ziemskiej kuli tuż po jej stężeniu; wreszcie 3) skały osadowe, osadzone w ochłodzonych już morzach i jeziorach ziemi, o tyle już do teraźniejszej podobnej, że zamieszkiwały ją już rośliny i zwierzęta. Nie góry, owe ciągle niszczone i nowo powstające zmarszczki ziemi, lecz grubość warstw skał osadowych świadczy o wieku ziemi, jako siedlisku świata ustrojowego. Grubość poszczególnych warstw tu znaleziono mniej, tam więcej znaczną, a l e w e d ł u g d o t y c h c z a s o w y c h d o ś w i a d c z e ń o b l i c z a s i ę n a j w i ę k s z ą (m a k s y m a l n ą) g r u b o ś ć w s z y s t k i c h w a r s t w o s a d o w y c h z i e m i n a 36 d o 50 *km.*

(Dok. nast.)

Eugeniusz Romer.

Pogadanka.

Ach, jak przeraźliwie kraczą te wrony! Nie wiem dlaczego właśnie tego głosu nie mogę nigdy słuchać spokojnie i bez smutku; a nie wiem także, dlaczego zawsze przypomina mi się to krakanie, ile razy słyszę narzekania i skargi na upadek i zepsucie świata, które jakoby miały być widocznymi dla wszystkich. Całą siłą wrodzonego mi optymizmu broniąc się takiemu czarnemu na świat poglądowi, zwracam myśl swoją ku powolnej, a prawdziwie cywilizacyjnej, wytwórczej pracy ludzkości i znajduję tam zawsze uspokojenie i pocieszenie. Podobnie jak chata jakiegoś osadnika dziewiczych lasów Ameryki północnej, z nieociosanych bierzwion niezgrabnie sklecona, przeobraża się powoli pracą pokoleń w wygodną i ciepłą siedzibę rodzinną, odpowiadającą nietylko wszystkim wymaganiom bezpieczeństwa i zdrowia, ale także potrzebom wyższego życia: u m y s ł u i u c z u c i a, tak i ziemia, ten wielki dom mieszkalny ludzkości, staje się niepoliczonych wieków i pokoleń gniazdkiem rodzinnem, w którem nam coraz lepiej i we-

selej; że wśród tych lepszych warunków i człowiek powoli musi stawać się coraz lepszym, to dla mnie przynajmniej nie ulega żadnej wątpliwości.

Nie wiem, czyście się kiedy zastanawiali nad tem, jak rozmaite pomysły, zrodzone w głowach ludzi, których okrzyczano fantastami, lub pojawiające się tylko w bajkach, powoli w oczach naszych bystry umysł ludzki zamienia w rzeczywistość. I rzecz to dziwna, jak mało kto spostrzega związek między wynalazkami a tymi pomysłami! Podróżowanie pociągami pośpiesznymi należy dzisiaj do rzeczy zupełnie zwyczajnych, a jednak, gdyby ktoś o możebności takiej podróży opowiadał był obywatelowi XVIII. w., ten byłby stawiał pomysł taki na równi z bajką o butach siedmiomilowych. Z dzieciństwa przypominam sobie cały cykl baśni, w których ludzie posiadają różne cudowne rzeczy; są tam więc i organy samograje i kije-samobije, dywan-samolot i stół-samokryj i wreszcie czapka-niewidka. Słuchając gry fortepianu automatycznego, czyż nie pomyślicie o owych organach? Czyż nie pożałujecie, że umysł ludzki tak prędko wysilił się na wynalezienie kijów-samobijów w postaci różnych dział, strzelających automatycznie? Prace nad zbudowaniem przyrządu do latania postąpiły tak daleko, że lada dzień możemy się spodziewać ukazania się cudownego dywanu-samolotu. Gdyby ktoś przepowiadał mi, że przyszłość wynajdzie jeszcze i stół samokryj i czapkę-niewidkę, nie śmiałbym przeczyć wobec owych faktów. A czy pamiętacie z opowiadań bar. Münchhausena ową trąbkę pocztową, która wygrywała pieśni, wdmuchane w nią przed kilku godzinami? Czy ona nie przychodzi wam na myśl, gdy słuchacie produkcyi fonografu lub grafofonu, choć te przyrządy nie są jeszcze dostatecznie wydoskonalonymi? Albo jeszcze rzecz nowsza: W jakiejś tam bajce życzliwa wróżka darowała samotnemu sierocie żwierciadełko, któremu pozwalało widzieć w każdej chwili, co porabiają jego ukochani, gdziekolwiekbądź by się znajdowali. I ten pomysł najbliższa przyszłość przyrzeka urzeczywistnić w wynalezionym przez Szczepanika Jana telektroskopie, przyrządzie, który przenosi obrazy na odległość, a pojawi się na tegorocznej wystawie paryskiej. Zapomocą przyrządu tego będziemy mogli odbierać fotografie listów, albo widzieć w barwach przyrodzonych żywe obrazy osób i zdarzeń, które przesuną się przed przyrządem na stacyi początkowej. Nie będzież to czarodziejskie żwierciadło z bajki?

O Szczepaniku pewnie już słyszeliście; zna go już dzisiaj świat cały, który zajmuje się pracą wytwórczą i zna go pewnie więcej, aniżeli my. Przed kilkoma laty jeszcze nieznany nauczyciel ludowy w Galicyi, własną pracą wszedł na drogę odkryć i wynalazków, wzbogacił już ludzkość kilku ważnemi nowościami, które w zakresie tkactwa sprowadziły podobno zupełny przewrót w sposobie produkcyi. Te wynalazki, spieniężone zagranicą, dały mu finansową podstawę do dalszych kosztownych prób i doświadczeń, które mu już obecnie przyniosły sławę polskiego Edisona. I dzisiaj szczycimy się nim i cieszymy, gdy zagranica pisze o „naszym Szczepaniku“, ale przed kilkoma laty nie było w kraju kilkudziesięciu tysięcy złotych, któreby umożliwiły dokończenie i rozwinięcie pierwszego wynalazku w kraju!

O czem to świadczy? Czy może o tem, że kraj nasz naprawdę jest już tak biednym, iżby nie rozporządzał taką marną sumą? Kraj nasz jest istotnie biedny, bo są w nim miliony ludzi, które nie mają nawet tyle, ile potrzeba dziennie do należytego odżywiania się, ale do tych Szczepanik się nie zwracał, przeto nie tu leży przyczyna tego. Kapitałów wolnych jest dosyć w kraju, wystarczyły nawet na przedsiębiorstwa znacznie większe od tych, które zamierzano z początku, ale brak u nas znajomości rzeczy i chęci do pracy, brak szczególniej tej ostatniej. Każdy posiadacz pewnych zapasów gotówki umieszcza ją najchętniej w kasie oszczędności, lub zakupywa papiery, aby żyć bezczynnie z odsetek, a gdyby to nie wystarczyło, stara się uwiesić gdzie przy urzędzie, aby tę potrzebną resztę równie spokojnie dorobić. Przy przedsiębiorstwie mógłby przecież stracić, bo nie rozumie się na rzeczy!

A — prawda, jeśli się nie rozumie, to straciłby z pewnością. Lecz zapytam was, młodzi czytelnicy, czy jest jaka rzecz na świecie, którejby człowiek inteligentny nie mógł zrozumieć, jeżeli chce tego?.. Ale trzeba pracować, a jemu nie chce się tego; tę odrobinę pisana i rachunków, których nauczył się w szkole, chce wyzyskać już na całe życie. Czy myślicie, że Anglik, Niemiec, Szwed lub inny, rozumie się odrazu na wszystkiem, do czego się bierze? Rzecz jasna, że nie, bo to przecież niemożebne, ale on wie, że przy wytrwałości i pilności nauczy się wszystkiego, i ma wolę nauczenia się tego i zdobycia pracą warunków bytu, obywatelskiej niezawisłości dla siebie, a dla kraju dobrobytu.

A my? My wolimy żebrać o „adjutum“, zaprządz się w jarzmo biurokracyi na całe życie, wyprzeć się swobody obywatelskiej, tego najcenniejszego dobra, które daje nowożytny ustrój państwowy, aby tylko przez lat czterdzieści z flegmą i spokojem — a kosztem kraju — pisać protokoły! Tymczasem świat idzie naprzód i naprzód idzie robota cywilizacyjna; każdy przyrząd, nowo wynaleziony, rozszerza pole pracy na obszary, na które słaby człowiek nie mógł porwać się pracą rąk swoich. Pozornie maszyna odbiera chleb stu robotnikom, ale daje w zamian chleb lepszy, łatwiejszy, dziesięciu tysiącom. Nie pracy brak dzisiaj na świecie, ale rąk do pracy, do spełnienia wielkich zadań, które czekają na nas, — i to rąk, coraz inteligentniejszych, bo wszystkie roboty prostsze oddajemy coraz więcej maszynom. W tym ruchu my tylko jedni i to wyłącznie tu, w Galicyi (nie w Królestwie, ani w Poznańskiem), nie chcemy brać udziału. Biada nam, jeśli nie ockniemy się dość wcześnie!

Kropka.

Konkurs II.

W nrze 1. ogłosiliśmy zawody (konkurs) o nagrody na temat krajoznawczy. Obecnie pragnąc zachęcić młodych Czytelników „Przyjaciela“ do głębszego zastanawiania się nad piśmiennictwem ojczystem, ogłaszamy konkurs, drugi z rzędu, — tym razem na temat: „Dlaczego uważamy Adama Mickiewicza za największego poetę polskiego?“ Należy nadsyłać odpowiedzi, uzasadnione obszerniej, a świadczące o znajomości utworów wieszcza z własnego czytania, najdalej do dnia 15. maja b. r. pod adresem redakcyi.

Nagrody: 1) Wybór pism E. Orzeszkowej w 4 t.; 2) Pisma pośmiertne J. B. Zaleskiego w 2 t.; 3) Wybór poezyi A. Asnyka (z podob.); 4) M. Konopnickiej „Adam Mickiewicz, jego życie i duch“.

Rozmaitości.

Seweryna Duchińska (z domu Żochowska, po pierwszym mężu Pruszakowa), która zaszczyciła pismo nasze wierszem, umieszczonym na czele nrn niniejszego, nie od dziś poświęca swe wysoce uzdolnione pióro młodzieży. Wszak ona to wydała w połowie bieżącego wieku 15 tomów „Rozrywek dla młodocianego wieku“, ona napisała „Powieści dla młodzieży“. Ale nietylko w tem jej zasługa. Urodzona w r. 1825., jest dziś z pewnością najstarszą autorką polską pomiędzy żyjącemi, jedną z najzdolniejszych i najwszechstronniejszych Przepiękne są jej „Powieści naszych czasów“ (4 t. 1853. pod nazw. Pruszakowej, bo dopiero w r. 1864 wyszła za mąż powtórnie, a to za znanego dziejopisa Franć. Duchińskiego, ur. 1817. zm. 1893.), pełne powabu „Powieści poetyczne“ (Warsz. 1855.), pięknie maluje wiek XVIII. poemat „Elżbieta Drużbacka“ wierszem gładkim i potoczystym I na polu dramatycznem próbowała sił swoich, choć z powodzeniem mniejszem. Natomiast jako tłumaczka dzieł obcych (z franc., hiszp., węgier.) tak prozaicznych (Eichhoffa „Obrazu literatury średniowiekowych ludów, a mianowicie Słowian i Niemców“, Boldyiego „Dziejów Węgier“), jakoteż poetycznych („Cyda“, „Pieśni o Rolandzie“, „Antologii poetów franc. XIX. w.“), i stała od lat około 30 korespondentka „Biblioteki warsz.“ z Paryża, mianowicie głównie z działu ruchu umysłowego i artystycznego we Francyi, przyczyniła się niezwykle do podtrzymania związków naszych z Zachodem na polu piśmiennictwa i sztuki. Podniosłe uczucie, dążność szlachetna i głęboka miłość Ojczyzny, oto wybitne cechy zasłużonej autorki, o których może dać wyobrażenie tom „Pism“, wydany w r. 1894. we Lwowie.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 86. Którzy członkowie rodziny Łuszczewskich zapisali się chlubnie w dziejach piśmiennictwa polskiego (prw. art. o „Sienkiewiczu“ na str. 74.)?

Nr. 87. Który z pisarzy polskich napisał pierwszą powieść dziejową i pod jakim napisem?

Nr. 88. Co przedstawiają obrazy o napisie „Pietà“ — skąd nazwa — i którym mistrzom zawdzięczamy najpiękniejsze z nich?

Nr. 89 Czyje działo i jakie ma na myśli Kropka w „Pogadance“ (s 82), gdy mówi o opowiadaniach bar. Münchhausena?

Nr. 90. Kto to jest Edison i czem się odznaczył?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: Beniowskiego „Dziennik podróży po Afryce i Azyi“ (4 tomy), Lenartowicza „Rytmy narodowe“ i Zaborowskiego „Światy zaginione“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 11. b. m. (z powodu świąt). Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 81—85.

Nr. 81. Najwybitniejsze: Mickiewicza „Pan Tadeusz“, „Konrad Wallenrod“ i „Grażyna“, J. I. Kraszewskiego „Witolorauda“, „Mindowe“ i „Witołdowe boje“, Wł. Syrokomli „Margier“.

Nr. 82. Nazwa Prowansyi pochodzi z łać. Provincia.

Nr. 83. *En plein air* (łać. plenus aër) znaczy po franc. na dworze, pod gołem niebem. Jestto w malarstwie kierunek nowożytny, starający się przedstawiać dany przedmiot na wolnem powietrzu pod wrażeniem światła i zabarwienia słońca i otoczenia.

Nr. 84. Wodospad Imatry w Finlandyi.

Nr. 85. Bolometr, cz. waga cieplikowa, przyrząd, zbudowany przez fizyka amerykańskiego, Langleya w r. 1880., służy do mierzenia ciepła promienistego. Zaleca się czułością nadzwyczajną, a opiera na zasadzie, że opór elektryczny drutu kruszcowego zależy od stanu ciepłoty, mianowicie wzrasta, gdy drut się ogrzewa, zmiana więc stanu ciepłoty drutu ujawnia się natychmiast zmianą w natężeniu prądu, przebiegającego przezeń.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 28. b. m

(81—3, 85) Bednarowski (znakomicie), Biegelmeyer Jabłonowski, Machniewicz, Nartowski, Nemo, Oberhard, W. Prajer, L. Prajerówna, Reck, Stamm, Zaorski; (81—2, 85) Fabiańczyk, Mann, Reis; (81—3) Dziurzyński, Gerstmann, A. Gołuchowski, Witkowska; (82, 83, 85) Krzysztoń; (81—2) *Avíq*, Bloch, Chrzanowski, Gawlas, Gieruszyński, Leśniański, Masiuk, Pordes, Reinhold, Sokalski; (82, 85) Wiktor (81) Michalewicz; (82) Sośnicki; (85) St. Leopold.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Nartowski (Kraszewskiego „Dziecię starego miasta“), Oberhard (Sewera „Szkice z Anglii“) i Chrzanowski (Chodźki „Pamiętniki kwestarza“).

Wymiana kart z widokami.

Przypominamy uwagi, podane na czele tego działu w nrach 4—5. Po wyjaśnienie skróceń odsyłamy do str. 48 Adresy nowych ochotników: 11. K. Piotrowski, u. g. III. Kr. ul. Jabłonowskich 8.; 12. Karol Józef Fabiańczyk, u. g. polsk. Cieszyn.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

☞ **Do wszystkich Czytelników.** Prosimy o jak najgorętsze rozpowszechnianie pisma naszego między znajomymi, gdyż od tego zawisł rozwój „Przyjaciela“, nad którym Redakcya pracuje ze swej strony jak najusilniej. Jeśli bowiem zastęp przedpłacicieli powiększy się odpowiednio, będzie można pismo rozszerzyć, pomnożyć rysunki i częściej dołączać osobne odbitki arcydzieł wszechświatowej sztuki, których nr. 2. otrzymują Szan Przedpłaciciele nasi wraz z nrem niniejszym „Przyjaciela“. Ażeby zaś można łatwiej zadość uczynić prośbie naszej, wyrażonej na czele, przesyłamy każdemu dotychczasowemu przedpłacicielowi „Przyjaciela“ wraz z jego egzemplarzem pisma jeszcze drugi, który zechce wręczyć ciekawemu, a żądnemu pożytecznej lektury koledze lub znajomemu. Prosimy też o wskazywanie nam osób, którymby warto przesłać nry okazowe „Przyjaciela“. Gdyby w ten sposób każdy zjednał przynajmniej jednego przedpłaciciela nowego, moglibyśmy przystąpić do zmian wspomnianych już z drugiem półroczem. ☜

J. A. „Dzieje literatury“ Chmielowskiego dopiero zaczęte, całość w 5 t. będzie kosztowała ok. 26 *k.* „Zarys najnowszej liter. pol.“ (1864—97) 8 *k.* — *Dom.* Odpisano kartką. Nr. wysłano ponownie. *Ἡρακλῆς.* „Pamiętniki kwestarza“ Chodźki w Bibliotece powszechnej (t. 271—3.) 72 *h.* Polaków na świecie jest około 20 mil Obliczenie szczegółowe p. „Słowo polskie“ 1897. nr. 233. poranny w art. „Ilu nas jest“. — *Laczyka z Gór.* „Gramatyka ruska“ Konarskiego i Kokorudza 2 *k* 50 *h.* Możemy pośredniczyć, ale potrzeba dodać na przesyłkę poleconą. — *Leop.* Dzięki za obie karty, ale nie zbieramy kart. Może wpisać na listę w dziale „Wymiany kart“? — *Otf.* Nieporozumienie wyjaśnione; wysłano, należy się za wysyłkę 25 *h.* — *Praj.* Rok 1144 na str. 52. to omyłka druku zam. 1138. — *Poraj.* „Pamiątki Soplicy“ Rzewuskiego 2 *k* 60 *h*, „Listopad“ 3½ *k.* — *Przyszły oswobodziciel wolności.* Odpowiadamy pod tym pseudonimem, choć jest błędem myślowym, bo niemożna oswobadzać wolności. Co do „Pism“ Sienkiewicza p. uw. na st. 75: nadto wydanie tanie trylogii opr. 7 *k* 80 *h.* Co do nabycia prw. odp., daną *Laczyce.* Dzięki za kartę. — *Sfinks.* Łamigłówka II. zmieniona w nrze 8.; inne zawierają za wiele rzeczy obcych, chybiają więc celu. J. Kraszewski i Sienkiewicz piszą dobrze, ale każdy inaczej; klasyfikacya pisarzy nie na miejscu. Reszta na kartce. — *Szreniawa.* Co do Sienkiewicza prw. odpow. przedpoprzednią. Prusa „Wybór pism“ jubil. wyd. tanie 4. t. opr 6 *k* i „Lalka“ 2 t. 4 *k*; zbiorowego niema. — *Wiktor.* O nagrodach los rozstrzyga, a Fortuna ślepa; ale cierpliwości! — *Zacz.* Wójcika „Üb. d. Krieg in Südafrika“ 1. zesz. 3 *k*

Od administracyi.

☞ **Ci, którzy nie uiścili dotychczas przedpłaty, nie otrzymają nru niniejszego wcale; przedpłaciciele zaś ćwierćroczni zechcą odnowić przedpłatę na II. kwartał (1 *k* 50 *h*), jeśli pragną otrzymać bezpłatny dodatek drugi, który rozsyłamy z nrem 7. przedpłacicielom nie zalegającym.**

Nr. 8. wyjdzie dla Lwowa 14. b. m., poza Lwów jednak roześlemy go z powodu świąt rz. kat. dopiero 17. b. m. ☜

K. J. Fab. Ciesz. Ogłoszenie „Kalendarzyka“ dotyczyło tylko roku 1899. Z przesłanej kwoty wpisano 2½ *k* na I. półr., 50 *h* na II. półr.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia). Redaktor przyjmuje w każdą sobotę (z wyjątkiem świąt) w godz. 5—6 wieczorem.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 7.: *S. Duchińska*, Do młodzieży polskiej (wiersz). — *B. Gubrynowicz*, Henryk Sienkiewicz (z podobizną K. Pochwalskiego). — *Brolis*, Czarnoksiężnik (baśń z XVII. w.) *A. Winiarz*, O sejmach w Polsce II. — *J. Amborski*, Szkice z dziejów piśmiennictwa francuskiego III. — *E. Romer*, O wieku ziemi II. — *Kropka*, Pogadanka. — Konkurs II. — Rozmaitości. — Zagadnienia naukowe, wymiana kart z widokami, skrzynka pocztowa redakcyi i administracyi.

Do tego numeru dołącza się dla przedpłacicieli odbitkę obrazu van Dycka „Ukrzyżowany“.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 16. kwietnia 1900.



Rok II.

Nr. 8.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Oderwij się sercem od ogółu, a od wieczności oderwanym będziesz i zostaniesz owadem na listku, co się urodził i zniknął i wschodu ani zachodu słońca nie widział. *K. Brodziński.*

Czarnoksiężnik.

(*Baśń, wyjęta z kronik XVII wieku.*)

(Ciąg dalszy).

I gdy się wypełniły trzy lata, wyruszył znowu w świat. Dążąc borem, spotkał ubogiego pustelnika i rzekł doń: „Bracie, może zmieniłeś zdanie i napijesz się z mego kielicha?“

Pustelnik potrząsnął głową i odparł: „Istotnie zmieniłem zdanie; mniemałem przedtem, że samo wyrzeczenie się świata może przynieść szczęście — omyliłem się: zależy ono od spokoju ducha, spokój zaś ów darmo się nie daje; trzeba go wywalczyć w utarczkach z sobą i kusicielem, co lichą kroplą obiecuje przeistoczyć duszę — odejdź!“

Czarnoksiężnik odszedł. U bram pewnewnego miasta dostrzegł człowieka nawpół nagiego, drżącego, a chudego jak szkielet. Zatrzymał się przeto i ofiarował mu kroplę płynu.

„Jestem biedny, zgnębiony, chcę bogactw“, odparł biedak i wypił kroplę z kielicha, a wnet mu oczy zabłysły dumnem zadowoleniem, nędzna odzież przeistoczyła się w przepyszne szaty, zajechał powóz... Pan wsiadł, ukłonił się dumnie czarnoksiężnikowi i ruszył ku miastu.

„Tym razem“, pomyślał mistrz, „chyba dobrze się stanie!“ I, powróciwszy do swej jaskini, usnął spokojnie.

Ale zaledwo minęły dwa lata i jednaście miesięcy, zapukał doń demon Gaborim. Był to nader dziwny jegomość, posiadał bowiem aż trzy głowy: człowieka, kota i węża, co dowodziło, że był złym, drapieżnym i chytrym; zresztą ludzka głowa, jako dostojniejsza, urosła najwięcej i tkwiła najwyżej, toteż złośliwość była najwybitniejszą cechą tego szlachetnego wysłańca piekieł. Oblicze miał chude, ściągłe, uszy duże, wspaniałe, brwi w kształcie strzały; przytem lubił nosić śpiczastą bródkę i duże szlacheckie wąsy. Rogów nie

używał wcale, za to na wzór artystów długie włosy spływały mu do ramion. W ręku, jako oznakę władzy, trzymał pochodnię piekielną, a że nogi miał wątłe, przeto jeździł okrakiem na wężu, unoszącym się w powietrzu.

„Mistrzu“, zawołał demon ukazując się w celi czarnoksiężnika, „przybyłem do ciebie z orszakiem, by ci służyć w pochodzie!... Władca cię przyzywa.“

— „Rozumiem“, pomyślał czarnoksiężnik, „pan szatan lęka się zapewne, żebym nie umknął, więc pod nazwą honorowego orszaku przysłał straż po mnie Gotów jestem na wszystko“. Lecz gdy dotarł do bram piekła, odgadł, że nie hańba go czeka.. W otwarte wrota wyszła na jego spotkanie procesya; duszyczki porzuconych i zmarłych bez chrztu, ustrojone odświętnie, bo w występki własnych rodziców, sypały pod nogi mistrza kwiaty, uszczknięte z grobów najsłynniejszych morderców i czarownic. Belzebub oczekiwał go u progu tronowej sali, a dostrzegłszy zawołał: „Sługo wierny i mądry, usiądź u podnóża tronu mego i bądź jednym z moich wybranych!“

Gdy czarnoksiężnik zajął wskazane miejsce, władca rzekł do Mefistofelesa: „Otwórz okienko i cieszmy się działalnością obywatela, którego nasz mistrz uczynił najbogatszym na ziemi!“

Mefistofeles pochopnie wypełnił rozkaz. Czarnoksiężnik patrzył na swe dzieło zafrasowany, zdumiony, szatan zaś, zacierając łapy, zawołał radośnie: „Biedaka, któregoś spotkał za miastem, jakiś Chochlik uczyniłby opryszkiem i, przywiódłszy do nas, mniemałby, że się zasłużył. Waszeć poradziłeś sobie mądrzej. Patrz, jak to pięknie! Ilu opryszków stworzyło jego bogactwo, jak się oni uwijają, jak padają przed cielcem na kolana! Wszystko, co się u nich nazywa szlachetnem, jak łatwo sprzedaje się za pieniądze — i honor młodzieńców i sumienie filozofów i niezależność poetów! Dokąd się bogacz twój zwróci, gdzie sypnie deszczem złota — sprawiedliwość znika, cześć tarza się w błocie... To mi widok godny oka mojego, to mi żniwo!“ Belzebub powstał, zarzucił na szyję mistrza łańcuch drogi, z języków oszczerczych spleciony, ucałował go i odprowadził z tryumfem aż poza bramy piekła.

Czarnoksiężnik powrócił do swej jaskini zupełnie zbitym z tropu. Więc, gdy minęły wreszcie trzy lata, postanowił wyszukać człowieka z żądzą, najbardziej umiarkowaną. Już się bowiem przekonał, że nadmiar szczęścia jednostki sprawia radość piekłu, czego sobie wcale nie życzył. Przechodząc puszczą, ujrzał pustelnika, siedzącego w zamyśleniu pod dębem.

„Bracie“, zawołał, „o czem rozmyślasz? Może wypijesz z mego kielicha?“

— „Doszedłem do przekonania“, odparł pustelnik, „że spokój ducha można zdobyć tylko uświadomieniem sobie zamiarów Wszechmocy; a że świadomość zdobywa się rozpamiętywaniem, pracuję tedy nad tem... Leki twoje tutaj nie pomogą — ruszaj!“

Czarnoksiężnik odszedł. Tym razem długo błądził po świecie, poszukując ludzi prostych, niezepsutych... Pewnego poranku ujrzał w polu parobczaka, który borykając się z trawiącą go febrą, pracował bez wytchnienia. „Ten musi mieć skromne pragnienia!“ pomyślał i ofiarował mu kroplę płynu.

— „Nacierpiałem się nędzy, pracując u obcych, straciłem zdrowie, chciałbym mieć kawał gruntu i własnych parobków“. To rzekłszy wypił kroplę. Naraz zdrowiem zakwitło mu oblicze, wyprostowały się członki. Ukłonił się czarnoksiężnikowi i poszedł do wioski. „Ten nie na radość Belzebubowi szczęśliwym będzie“, pomyslał mistrz i zadowolony usnął na długo.

Gdy zaś minęły dwa lata i jedenaście miesięcy, rozległ się u jego kryjówki głos Asmodeusza. Był to w hierarchii piekielnej nader wysoki urzędnik; również, jak mistrz Gaborim, posiadał trzy głowy, mianowicie ludzką, byczą i baranią, więc i odpowiednie im zalety: pychę, upór i głupotę. W dowód pychy na ludzkiej głowie nosił książęcą koronę, oddychając zaś lubił buchać z potężnej gardzieli iskrami. Wysoki ten urzędnik miał nogi niepoczesne, ptasie, więc żeby nie utrudzać swojej mości skokami, jeździł zwykle na potężnym smoku. „Mistrzu“, zawołał, „Belzebub żąda oglądać twoje oblicze! Wstań, oto oczekuje cię pojazd piekielny!“

Gdy się czarnoksiężnik ukazał, wnet hajducy usadowili go w powozie, kohorta halabardników, poprzedzanych przez Asmodeusza, który trzymał proporzec, dążyła przed powozem i poza nim. Laufer jadąc na czele

orszaku głośnem trąbieniem obwieszczał wiedźmom, czarownikom, gnomom i upiorom pochód wielkiego mistrza. Wstawali tedy z mogił zbóje, oszczercy, hipokryci i inni godni zwolennicy szatana i przyłączali się do świetnego orszaku. Czarownice na miotłach wylatywały z kominów i pędziły w powietrzu tuż nad pojazdem piekielnym. Od huku, wrzawy, pisku, zgrzytania, od tętentu smoków i koni szatańskich podniosła się wspaniała burza, która na cześć mistrza druzgotała miasta, wsi, niwy i wszystko, co żyło. Przed bramami piekła przyłączyła się procesya potępieńców, której godnie przewodniczył Mefistofeles, Belzebub zaś spotkał mistrza u samej bramy, uściskał go, wprowadził do sali tronowej i usadowił tuż obok siebie, na wspaniałem krześle.

„Zasługi twe mnożą się“, rzekł władca piekieł tonem uroczystym, „Mefistofelesie, otwórz okno na świat!“ Gdy rozkaz spełniono, czarnoksiężnik spojrzał, lecz nie dostrzegł nic szczególnego. Belzebub natomiast chichotał, stukał kopytami, targał się za rogi, słowem wyrażał niezmierną radość.

„Jak to pięknie, jak mądrze!“ — wołał. „Nędzny ów parobek nawet szemrać nie mógł. Żaden Chochlik choćby do lichej kradzieży skusić go nie potrafił; a waszmość zrobiłeś zeń użyteczne nam narzędzie, sługę piekła. W okolicy tej było około dwu setek gospodarzy, wcale zamożnych, lubiących pracę, niwę, kościół; dziś wszystko to wydziedziczone. Twój szczęśliwy protegowany w nienasyconej żądzy posiadania gruntu wszystkim zabrał ziemię, mienie, przeistoczył sąsiadów w najemników, których uciska, niszczy, więc wywoływa szemrania, klątwy. Z tego pomocnika rad jestem więcej, niż z poprzednich, bo zaszczepia zło tam, gdzie go przedtem niebyło i skąd, raz zaszczepione, nieprędko można wykorzenić“. Wreszcie szatan, na znak szczególnej łaski, podarował mistrzowi cały tuzin wyborowych dusz hipokrytów. Był to dar, którego mu pozazdrościli najstarsi urzędnicy piekielnego dworu. Nie dziw tedy, że czarnoksiężnik powrócił do domu zrozpaczony. Wkrótce atoli znowu wyruszył w świat, a ponieważ przyszło mu na myśl, że pustelnik posiada jakiś urok, który niweczy wzniosłe zamiary tworzenia szczęścia, więc tym razem skrycie go ominął. (Dok. nast.) *Brolis.*

EKSTAZA.

Z Wiktora Huga).*

Błądziłem nad brzegami morza w noc gwiaździstą.
Morze ciche, jak niebo, na niem jasno, czysto.
Nieśmiały wzrok mój płynie przez nadmorskie cie-
[mnie.
Góry, drzewa, spowite w mgły, szemrzą tajemnie,
Jakby pytały morza czy tych swiateł w górze.
Z milionów gwiazd, co iskry sypią po lazurze.
Co się łączą migocąc, płyną głosy korne
I te błękitne fale, wolne i niesforne,
Co butnie lekką pianą bryzgają na morze,
Szemrzą w górę: „Tyś Stwórcą, Panem, wielki
[Boże!“

Przełożył *Julian B.*

LUD

w poezyach M. Konopnickiej.

IV.

(Dokończenie.)

Jeżeli będziemy chcieli osądzać „Przed sądem“ jako zwykłe tylko opowiadanie, to dostrzeżemy w niem bez trudności w sposobie rozwikłania sytuacyi rażące rozminięcie się z prawdą życiową. Żaden sędzia nie mógłby w rzeczywistości postąpić tak, jak to nam przedstawia Konopnicka — bo w sali sądowej nie jest już humanitarnym człowiekiem, lecz tylko wykonawcą tej martwej, zimnej litery prawa, na którą poetka narzeka tak bardzo; musiałby więc przedewszystkiem ukarać chłopca, któremu dowiedziono występku, a potem dopiero mógłby myśleć o daniu mu wykształcenia, któreby skazanego powstrzymało od dalszych wykroczeń. Ale też nie w ten sposób trzeba się zapatrywać na ten utwór; Konopnicka chciała w nim powiedzieć, że to, co czyni ów sędzia, powinno czynić całe społeczeństwo, że oświata jest najlepszym hamulcem zbrodni i występków wszelkiego rodzaju i że karać można tylko tego, komu

---

*) W. M. Hugo (czyt. Igó), głowa szkoły romantycznej poetów francuskich (ur. 1802. w Besançonie, um. 1885. w Paryżu), niezrównany liryk (prw. jego „Liście jesienne“), stworzył słynny epiczny poemat „Legendę wieków“, dramaty: Hernani, Cromwell, Król się bawi, Lukrecya Borgia itd., mnóstwo powieści, z których najlepszą i najgłówniejszą są przystępni też w przekładzie „Nędznicy“ (10 t.) Jest to w ogóle największy poeta franc. XIX. w. i jeden z pierwszorzędnych poetów całego świata.

pokazano już przedtem drogę postępowania prawego i prawnego, a kto mimo to zboczył z niej świadomie. W obec takiego zamiaru poetki musi odpaść zarzut, że odstąpiła od prawdy i przedstawiła rzecz niemożliwą.

Z tego samego powodu niemożna też uczynić podobnego zarzutu innemu utworowi p. n. „Z szopką“. Czworo dzieci chłopskich stoi późno w wieczór wigilijny przed drzwiami dworu, „główki na mrozie odkrywszy z pokorą“ i trzymając na żerdzi jaskrawą, z ró-



M. Konopnicka.

żnobarwnych skrawków papieru sklejoną „gwiazdę“. Wierne dawnemu zwyczajowi przyszły przed ganek dziedzica, aby dziecięcymi głosami oddać cześć Panu nad pany i zwiastować rocznicę przyjścia Jego na świat. We dworze jednak nie zważano nawet na małych, marznących na dworze śpiewaków, więc najmłodsze z dzieci, „odziane w łachman, z stopami bosemi“ umilkło i, zapatrzywszy się w gwieździste niebo, zaczęło rozmyślać:

Czemu to, mój Boże,
Choć Chrystus przyszedł, tak źle jest na świecie?
I czarnej mąki garść tylko w komorze?
I niema ciepłej sukmanki ne grzbiecie?
I tatuś, taki pijany z wieczora,
Matulę bije, choć płacze i chora!...
Czemu to ludzie w przednówek tak bladną
I jakby cienie po drogach się włóczą?
A dzieci we wsi z maleńka już kradną?
A jego dotąd na książce nie uczą,
Choć radby wiedzieć, co jest tam daleko,
Het, het, za lasem, za młynem, za rzeką?
Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może?
Wszakże, choć co rok do dworu chłopięta
Idą z kolendą i szopką w tej porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworu do chaty przychodził
I mówił: „Bracia, Chrystus się narodził!“
Czemu?...

Opowiadanie swe kończy Konopnicka przepowiednią, że nastanie kiedyś dzień, który odpowie na zapytania chłopięcia — i przestrzega społeczeństwo, że dzień ten może być dniem sądu i może owo „czemu?“ powtórzyć gromem zemsty za zaniedbywanie najważniejszych obowiązków, ciążących na ludzkości.

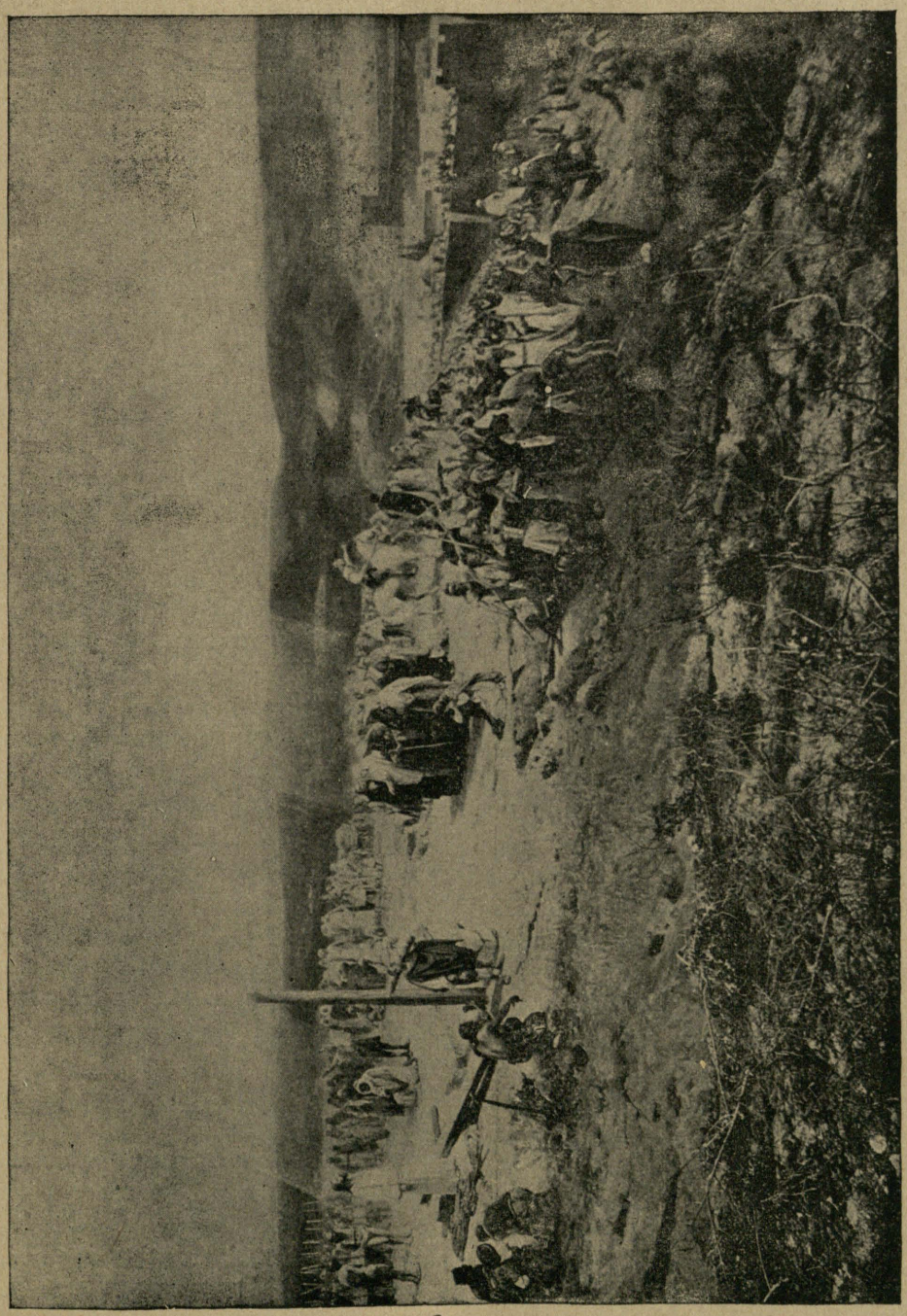
Żaden z utworów Konopnickiej nie sprowadził na jej głowę tylu gromów krytyki i nie wywołał tylu głosów oburzenia, co „Z szopką“. Wyśmiewano autorkę, że małemu dziecku wiejskiemu każe wyrażać myśli, jakie mogły powstać tylko w głowie człowieka, znającego na wylot życie i stosunki społeczne, oburzano się na nią za żądanie, aby dwór wyręczał dzieci wiejskie i aby, na odwrót obecnych stosunków, dziedzic na czele swej rodziny chodził z „gwiazdą“ między chaty wieśniacze, — w ostatniej wreszcie przepowiedni dopatrywano się nawet podżegania ludu do zemsty za niesprawiedliwość, z jaką „panowie“ z nim się obchodzą. Nie trzeba jednak być wielkim wielbicielem Konopnickiej i powyższego jej utworu aby zobaczyć, że te wszystkie zarzuty nie mają żadnej podstawy. Poetce chodziło tu o wyrażenie pewnej społecznej myśli, a chłopczyk ów jest tylko manekinem, mającym ją wygłosić: ze stanowiska więc Konopnickiej sądząc, powinniśmy pytać raczej o to, czy dziecko wiejskie miałoby prawo przemawiania w taki sposób, niż o to, czy umiałoby swoje myśli w ten sposób wyrazić i czy wogóle takie myśli mogłyby przyjść mu do głowy; na to zaś niema dwu odpowiedzi.

A cóż ma być ową przewodnią myślą całego opowiadania?

Oto spostrzeżenie — niewątpliwie w znacznej części słuszne — że nasze chrześcijaństwo jest niezupełnem, że polega tylko na słowach, a nie na czynach, że nie chcemy wprowadzić w życie pierwszej zasady naszej religii, ró-

wności wszystkich ludzi, lecz zaniedbujemy i lekceważymy biedniejszych dlatego tylko, że są biedniejszymi. Przykładem jest dwór i jego stosunek do chaty wiejskiej: nikt z panów nie pouczy chłopków, „jak kochać ponie podniesie duchowo, ale często się zdarza, że dzieci „uczy się batogiem odkrywać głowę przed pańskim tym progiem".

Możnaby na to odpowiedzieć, że zarzut to może w zasadzie słuszny, ale przez to, że



J. Styka, Fragment z „Golgoty".

trzeba zagon ojczysty, co daje kęs chleba", nikt nie wstąpi do nich, by z nimi „zasiąść do wielkiej lat dawnych powieści", nikt ich jest zbyt wyspecyalizowanym, że obejmuje tylko właścicieli ziemskich i włościan, staje się niesprawiedliwym — bo przecież tak jest

na całym prawie świecie i u wszystkich warstw wszystkich prawie społeczeństw, że niema zapewne narodu, w którymby już wprowadzono w życie zasadę bezwzględnej równości. Konopnicka wie to jednak równie dobrze, jak my; w jednym z drobnych wierszyków mówi, poruszając ten sam temat:

Czemu ta przepaść, która braci dzieli
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli
Tak jest bezbrzeżną, jako oceany,
A taką straszną, jak otwarte rany?
W przepaść tę szermierz rzuca hasło boju,
Cichy myśliciel — ustawę pokoju,
Mędrzec — pęk światła słonecznego z nieba,
Nędzarz — pot krwawy i czarny kęs chleba,
Bohater — sławę, geniusz — swoje trudy,
Życie — swe prawa i swoje zjawiska,
Duch — swą tęsknotę, dzieje — całe ludy;
Bóg nawet wstaje i grom swój w nią ciska..
A przecież dotąd, pragnieniem ziejąca,
Plamą jest ziemi i przeczeniem słońca!

Jeżeli zatem Konopnicka widzi „tę przepaść“ we wszystkich społeczeństwach i wszystkich jego warstwach, to dlaczego zwraca swe skargi i ciska swe gromy tylko w stronę naszej szlachty za to, że i ona w stosunku swym do ludu ulega powszechnemu prawidłu i nie wznosi się ponad wszystkich?

Przedewszystkiem zapewne dlatego, że poetkę lud nasz obchodzi najwięcej i boli ją jego położenie bez względu na to, iż także indziej lud nie znajduje się w lepszem — a powtóre: dlaczego poeci nasi żądali od nas niegdyś „nadeuropejskiej cnoty“? dlaczego chcieli, abyśmy byli przykładem i wzorem dla innych narodów? Oto dlatego, że według ich pojęcia samo wzniesienie się nasze na wyższe stanowisko moralne jest już rękojmią naszej przyszłej niepodległości, jest nieomylną do niej drogą. To samo można powiedzieć o Konopnickiej. Ona widzi odrodzenie się Ojczyzny w uświadomieniu ludu, uczynieniu z tej wielkiej, a ciemnej masy dobrych Polaków. Chciałaby wszystkie warstwy narodu zjednoczyć tą szczytną ideą. Cóż więc dziwnego, że ją rażą i bolą stosunki, może powszechne gdzieindziej i wytłumaczone, ale u nas tem przykrzejsze i zgubniejsze, że przeszkadzają wielkiej pracy narodowej, a nawet ją uniemożliwiają zupełnie! Ten wzniosły cel, ta głęboka wiara, że „tylko światło zwycięża otchłanie“ niewoli, powinny zamknąć nam oczy na wady kompozycyi utworów, bądź co bądź nie pospolitych, nie codziennych, powinny zwrócić naszą uwagę na myśli, natchnione gorącą miłością Ojczyzny, i zjednać naszą sympatyę autorce, która w ten sposób określa swoje uczucia i pragnienia:

Wiem! niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli,
Bom ja też rodem z wielkiego cmentarza
I z krwawej roli..
I ja też lecę, jak ptak obłąkany
I wichrem gnany.

Przecież, o zmierzchy skrzydłami bijąca
I piekieł naszych ogarniona sferą,
Oczyma szukam dnia blasków i słońca,
Contra spem spero...
I w głębi mogił czuję życia dreszcze
I ufam jeszcze..

* * *

W tym drobnym szkicu niemożna było naturalnie omówić wszystkich utworów znakomitej poetki naszej, mających jakikolwiek związek z ludem; aby się usprawiedliwić, wystarczy może powiedzieć, że pod tę rubrykę należałoby wciągnąć więcej, niż połowę całego dorobku piśmienniczego Konopnickiej. Poprzestałem zatem na najbardziej charakterystycznych utworach w nadziei, że i to potrafi zachęcić czytelników do dokładniejszego zapoznania się z działalnością autorki „Przed sądem“. Tu trzeba tylko dodać, że w „Poezyach“ jej można znaleść cały cykl obrazków z życia już nie ludu wiejskiego, ale najuboższych warstw ludności miejskiej („Jaś nie doczekał“, „W sobotni wieczór“, „W piwnicznej izbie“, „Bez dachu“ itd.), obrazków, malujących z całą przerażającą, nagą prawdą te smutne stosunki, a pod względem artystycznym wyższych i lepiej wykończonych, niż te, które omówiłem wyżej. W jednej i drugiej grupie utworów okazała Konopnicka, że umie podpatrzyć życie najbiedniejszych i najbardziej upośledzonych warstw naszego narodu, zrozumieć ich myśli i uczucia i wypowiedzieć je, jeżeli nie z prostotą, bo właśnie największą wadą jej poematów jest pewna przesada i pozowanie, to przecież z niezaprzeczalną siłą i zapałem, jaki może dać tylko głęboka wiara w doniosłość sprawy i jej ostateczne zwycięstwo.

Tadeusz Pini.

O sejmach w Polsce.

II.

(Ciąg dalszy).

Za panowania Jagiełły zjeżdżała się szlachta w spobób następujący: ziemie łęczycka, kujawska i sieradzka zgromadzały się na trzech sejmikach osobnych, województwa poznańskie i kaliskie sejmikowały razem, województwa krakowskie, sandomierskie i lubelskie razem, województwo wreszcie ruskie w Sądowej Wiszni odrębnie. Na sejmiki tejednak szlachta zjeżdżała się nietylko wtedy, gdy trzeba było obrać kandydata na urząd ziemski i przedstawić go królowi do mianowania, omówić sprawy pewne między sobą, np. o wydawanie zbiegłych kmieci, o dziesięciny itp. Zwłaszcza sprawy o dziesięciny dawały szlachcie powód do częstych zjazdów i rokowań z duchowieństwem. Szlachta zaczęła tym sposobem coraz częściej skupiać się razem celem narady nad wspólnemi sprawami, ale tem nie polepszyła sobie jeszcze swego bytu. Jagiełłę otaczała rada, złożona z samych możnowładców (magnatów), którzy na niego wywierali wpływ bardzo znaczny i skutkiem tego przeprowadzali u króla, co sami chcieli. Duchowieństwo miało najwyższych swych dostojników w radzie króla, samo było bardzo dostatnio uposażone i wolne od podatków, mieszczanie opływali w dostatkach, a nawet włościanie, wolni od służby wojskowej, byli nieraz dość zamożnymi, tak, że wielu wysyłało synów swoich na naukę do Krakowa. Szlachta natomiast musiała chodzić na wojny, płacić podatki, na które się sama na sejmikach zgodziła, i dawać dziesięciny. Wobec duchowieństwa występowała szlachta nieraz ostro, gdy znajdowała poparcie możnowładztwa, ale wobec panów była bezsilną; ponieważ sądy były w ich ręku, trudno było doczekać się sprawiedliwości. Rosła też niechęć szlachty ku możnowładcom, aż doszło do wybuchu. W r. 1422. powołano szlachtę znowu pod broń na wyprawę przeciw Krzyżakom. Na polach koło Czerwieńska zgromadziła się szlachta całej Polski, utworzyła wielkie koło obozowe, przedłożyła królowi swe skargi i oświadczyła, że kroku dalej nie ruszy przeciw nieprzyjacielowi, dopóki nie uwzględni jej żądań. Król zgodził się na to i wydał przywilej, w którym między innemi przyrzekł, że bez wyroku nie skonfiskuje dóbr żadnemu szlachcicowi i że w całem państwie sądzić będzie jednem prawem. Rzeczywiście też wkrótce potem poprawiono i ustalono prawne przepisy w sprawach sądownictwa.

Tylko ten raz jedyny zajęli się magnaci losem szlachty. Zresztą myśl ich była zajętą czem innem. Powstawały w tym czasie olbrzymie majątki, powiększone jeszcze hojnemi darowiznami Jagiełły. Tęczyńscy, Tarnowscy, Melsztyńscy, Kurozwęccy, Kmitowie, Oleśniccy, Rytwiańscy i inni gromadzą wielkie fortuny. Równocześnie też dochodzi Kościół w Polsce do niebywałej przedtem potęgi. Możnowładztwo duchowne i świeckie rządzi w rzeczywistości całem państwem i doprowadza do skutku największe dzieło polityczne w dziejach Polski — unię z Litwą. W obec takich magnatów szlachta znaczy w ogóle bardzo mało. Wprawdzie ją w tym czasie dopuszczają po części do obrad, w których magnaci i dygnitarze duchowni biorą udział, i nawet sama zbiera się na sejmikach, ale znaczenie jej w państwie jest jeszcze niewielkie.

Drugi syn Jagiełły, Kazimierz Jagiellończyk nie miał miękkiego usposobienia ojca i postanowił sobie przy wstąpieniu na tron panować samowładnie. Było zwyczajem, że panujący, wstępując na tron, potwierdzał prawa i przywileje, przez poprzedników jego nadane, a nawet zwykle dodawał nowe. Kazimierz Jagiellończyk nietylko nie uczynił tego przez pierwszych siedm lat swego panowania, ale nadto, nie zważając na dawne przywileje duchowieństwa i magnatów, zmusił oba te najpotężniejsze w państwie stany do tego, że na równi ze stanami niższymi płaciły podatki. Szlachta patrzyła z radością, jak król nałożył podatki na magnatów i na duchowieństwo, ale równocześnie sama widząc, że król także jej przywilejów nie potwierdza, przestraszyła się widma samowładzy, podbechtana może też przez magnatów. Toteż gdy w r. 1454. król wyprawił się przeciw Krzyżakom i musiał zwołać pospolite ruszenie z ziem wielkopolskich, szlachta poznańska, kaliska i kujawska, zebrana we wsi Cerekwicy, postanowiła zrobić to, co w r. 1422. zrobiła w Czerwieńsku. Spisała swoje skargi i życzenia i podała je królowi

z żądaniem, aby je zatwierdził. Przed namiotem królewskim wszczął się rozruch i odzywały się głosy, że przed udzieleniem przywilejów nikt nie ruszy do boju i nie usłucha rozkazów. Król musiał się zgodzić. W trzy dni po wydaniu tego przywileju wojsko polskie poniosło klęskę pod Chojnicami. Klęska ta zniewoliła Kazimierza Jag. do tego, że jeszcze tego samego roku w październiku wyprawił się powtórnie na Krzyżaków i powołał pospolite ruszenie pod Opoki, wieś w pobliżu zamku królewskiego Nieszawy. Przez 15 dni zbierało się rycerstwo z całej Polski i porozumiewało ze sobą, poczem powtórzył się wybuch taki sam, jak pod Cerekwicą. Szlachta obozowała w ten sposób, że każde województwo tworzyło obóz dla siebie. Województwa porozumiały się tedy wzajemnie i wszystkie oświadczyły królowi, że się rozejdą do domów, jeżeli król nie przyrzeknie zadośćuczynienia ich żądaniom.

(C. d. n.)

Alojzy Winiarz.

SZKICE
z dziejów piśmiennictwa francuskiego.

III.

(Ciąg dalszy).

Epopeje średniowieczne, niespisywane przez lat wiele, a następnie spisywane przez liczną rzeszę autorów, cieszyły się powodzeniem i niesłychanem. Świat feudalny, mało myślący i niewykształcony, równie jak mieszczaństwo, lubował się w opowieściach rycerskich, które odpowiadały usposobieniu ogólnemu. Śpiewali je lub wygłaszali truwerowie po zamkach, na zebraniach i uroczystościach, a nawet na wojnie wobec zgromadzonych rycerzy i wiele czasu upłynęło, zanim zaczęto spisywać te opowieści, które zwano *chansons de geste* (szansą de żest), t. zn. pieśni o czynach (z łac. *gerere*), — początkowo bowiem opierały się na zdarzeniach rzeczywistych — lub też *romans de chevalerie*, ponieważ układano je *en roman* cz. w jednej z gwar romańskich.

Zwyczajnie dzielą te epopeje na 3 okresy (*cycles* czyt. sikl), choć to podział błędny. Pierwszy okres nosi nazwę *cycle de Charlemagne* (Szarlmań), drugi *c. breton* lub *de la Table ronde* (bretą, de la tabl rąd), wreszcie *c. antique* (antik), starożytny..

Najstarszym pomnikiem epopei rycerskiej jest *Chanson de Roland*, pieśń o Rolandzie (przekł. polski S. Duchińskiej), spisana prawdopodobnie w początkach XI. w. Oto treść: Zwyciężywszy Saracenów i zawarłszy pokój, Karol Wielki wraca do kraju. Na czele tylnej straży 20.000 rycerzy pozostawia siostrzeńca swego Rolanda i 12 parów. Zdrajca Ganelon z niewiadomego powodu namawia Marsile'a, króla saraceńskiego, ażeby uderzył na Rolanda w Pirenejach. Walka zawrzała w dolinie Roncevaux (Rąsewo). Poganie padają tysiącami, lecz nieprzyjaciel, silniejszy 20-krotnie, 4 razy odparty, za piątym razem zwycięża. Z 20.000 rycerzy pozostaje tylko 60. Roland ma wprawdzie róg z kości słoniowej, Olifant (z łać. *elephas*, kość słoniowa), ale ufny w swą odwagę, pomimo próśb nie chce weń zadąć, ażeby przywołać cesarza na pomoc. Dopiero gdy widzi, że musi umrzeć, trąbi w róg, układa wkoło siebie zwłoki parów, a arcybiskup Turpin (Tyrpę, postać śrwiecznego księcia Kościoła i rycerza zarazem) błogosławi konających. Roland, okryty ranami, nie chce, aby jego miecz Durandal wpadł w ręce wroga; uderza więc nim o skały, ale te pękają, a brzeszczotu nie zdołał strzaskać. Wtedy kładzie się na mieczu, twarzą zwrócony do Hiszpanii i wrogów, którzy pierzchają za zbliżeniem się cesarza. Tak więc utrzymawszy się na placu boju, bohater umiera i aniołowie zstępują z nieba po jego duszę. Karol W. przybywa po to tylko, aby pochować rycerzy swoich, pomścić ich śmierć na Marsile'u i ukarać Ganelona. Narzeczona Rolanda ginie na wieść o śmierci jego. Naiwność, prostota, brak literackiego opracowania, stanowią niezwykłą wartość tego poematu, a wątek sam i akcya, nakreślone rysami najprostszymi, nadają mu cechy prawdziwej wielkości.

Bohaterem epopei okresu pierwszego jest Karol W., którego geniusz wycisnął na umysłach średniowiecznych długo niezatarte znamię. Później potrzeba schlebiania panom feudalnym, którzy dążyli do osłabienia władzy swego zwierzchnika (suzerena) i niezawisłości od niego, sprawiła, że truwerowie poczęli opiewać wielkie czyny potężnych lenników, a Karola W. przedstawiać jako tyrana

i gwałciciela, pełnego wad wszelakich. Z kolei przedmiotem poematów rycerskich stały się wyprawy krzyżowe, a w nich rzeczywistość, ustne podania i dziwaczne przygody mieszały się aż do zamącenia. Bohaterem ich był Godefroy de Bouillon.

(D. n.)

J. Amborski.

Czy musimy spać?

....Spać....spać — mówi w nas coś codziennie, bez względu na to, jak przepędziliśmy dzień: na pracy, czy nie, i niema rzeczy bardziej codziennej, lepiej znanej wszystkim żyjącym od bogacza do najnędzniejszego nędzarza i bardziej przez wszystkich pożądanej, niż sen.

Czy istnieje stan drugi, któryby objawiał się u wszystkich od mędrca do małego dziecięcia w tak jednakowej formie? Czy istnieje coś, coby owładało człowieka z bardziej nieubłaganą systematycznością, niż głód, pragnienie i sen? Czy jest lub był od początku ludzkości ktoś, coby bunt podniósł przeciw potrzebie snu i nie uległ prędzej, nim potrafił pozorne choćby odnieść zwycięstwo?

Istnieją pewne stany chorobowe, w których sen ucieka gdzieś daleko z powiek chorego, lub staje się dziwnie nużącym i nie daje takiego pokrzepienia, jakiego spodziewamy się po nim. I żaden człowiek spragniony na bezwodnej pustyni nie wygląda wody tak chciwie, ani żaden głodny jedzenia, jak ci nieszczęśliwi wyglądają snu, ale snu pokrzepiającego, dającego nowe siły do dalszej pracy. Można umrzeć z głodu, z pragnienia, i dla nikogo z pewnością nie będzie to dziwnem, lecz mieć podostatkiem napoju i jadła, a nie módz usunąć zbliżającego się widma śmierci dlatego tylko, że się spać nie może, to przecież coś straszniejszego, niźli śmierć sama....

Sen więc jest tak codziennym, tak dobrze znanym gościem, jak słońce, wschodzące co rana, jak cienie zapadającej nocy, lecz mimo tego wszystkiego do dnia dzisiejszego nie mamy dostatecznie zadowalającej odpowiedzi na pytanie: czem jest właściwie sen w swej istocie? Znamy co najwyżej ów stan psychiczny, tę bezpośrednią przyczynę snu, określamy ją jako znużenie, którego istoty również nie znamy, chociaż odczuwamy je dokładnie.

Liczni uczeni podawali różne tłumaczenia zjawiska snu, lecz były to hipotezy często o jednodniowem istnieniu i, dziś postawione, jutro okazywały się niedostatecznemi i tak wciąż stoimy wobec tego wielkiego słowa: „nie wiem".

Nie będę też starał się dokładnie roztrząsnąć omawianej kwestyi, nie nadają się bowiem do tego ramy pisma; podam tylko w krótkim zarysie te z tłumaczeń snu, które ze względów naukowych zasługują na większą uwagę.

Fizyolog Reynolds uważa sen jako stan, w którym usunięto, zahamowano działanie organu duszy, t. zn. iż podczas snu usuniętą jest wszelka wiadomość, a jakkolwiek wykonywamy pewne ruchy, nawet celowe, to dzieją się one drogą odruchów. Gdy n. p. drażnimy kogoś słomką podczas snu, to on wykonuje ruchy, dążące do usunięcia tego nieprzyjemnego podrażnienia, lecz czyni to nieświadomie, czyli w jego ruchach mózg nie bierze żadnego udziału czynnego. Jak żaba, której usuniemy mózg, (zwierzęta po wycięciu półkul mózgowych nie przestają żyć, tracą tylko całą świadomość i to, co nazywamy inteligencyą) podrażniona ostrym kwasem, ociera go łapką, położona zaś w jakiejkolwiek pozycyi, leży zupełnie bez ruchu: podobnie zachowywa się człowiek, w śnie pogrążony. — W podobny sposób określa sen fizyolog Hermann jako zawieszanie na pewien czas funkcyj psychicznych w pewnych stałych odstępach (interwałach). (D. n.) *Bolesław Błażek.*

Z całej Polski.

Przedewszystkiem musimy sprostować na podstawie listu wiarogodnego, ogłoszonego w pewnem czasopiśmie czeskiem, wiadomość, którąśmy podali w nrze 4. „Przyjaciela" o skutkach schadzki studenckiej w Warszawie. Oto uwolniono wprawdzie owych 31 uczni z aresztu, ale wykluczono ich równocześnie ze szkół rosyjskich! Nie pierwszy to raz i niestety zapewne nie ostatni.

D. 26. marca b. r. sejm krajowy galicyjski zebrał się na dalszy ciąg sesyi, rozpoczętej w grudniu r. z., i odbył do dnia 11. kwietnia posiedzeń

**

ośm. Sesya bieżąca sejmu jest piątą w kadencyi czyli okresie sześcioletnim, który kończy się za rok, poczem, jak wiadomo, nastąpią nowe wybory. Zakres działania sejmu jest stosunkowo niewielki. Wedle ustaw konstytucyjnych z r. 1867. bardzo wiele spraw krajowych należy do zakresu działania przedlitawskiej rady państwa, sejm zaś zajmuje się takiemi sprawami, jak szkolnictwo ludowe i przemysłowe (szkolnictwo średnie i wyższe, t. s. gimnazya i wszechnice podlegają Radzie państwa), drogi krajowe, fundacye stypendyjne i t. p. Bardzo wielką ilość spraw, nad któremi sejm się zastanawia, rozpatruje najpierw wybrany przez sejm Wydział krajowy, urzędujący stale i przedstawiający sejmowi sprawozdania z prac swoich i usiłowań. Kierownikiem czynności Wydziału krajowego, a zarazem przewodniczącym sejmowych obrad jest marszałek krajowy, obecnie Stanisław hr. Badeni. Na jednem z wspomnianych posiedzeń marszałek poświęcił kilka słów gorącego wspomnienia Floryanowi Ziemiałkowskiemu, który zmarł w Wiedniu w ostatnich dniach marca b. r. Była to osobistość wybitna, związana ściśle z dziejami Galicyi w ciągu drugiej połowy w. XIX. poczynając od r. 1848., człowiek ze wszech miar zasłużony w tej walce, którą toczono w Galicyi o swobody polityczne i narodowe. W r. 1848. był posłem do sejmu wiedeńskiego, którego zadaniem było ułożenie projektu konstytucyi dla państwa rakuskiego*). Później w r. 1861. miasto Lwów wysłało Ziemiałkowskiego do sejmu krajowego, który w kwietniu t. r. pod laską Leona ks. Sapiehy zebrał się po raz pierwszy. Następnie był posłem do Rady państwa, jednym z tych, którzy przyczynili się najbardziej do odniemczenia Galicyi. Starał się wraz z wielu towarzyszami o język polski w szkole i urzędzie, przyczynił się do zaprowadzenia języka polskiego na wszechnicy lwowskiej, a działalnością swoją zyskał sobie powszechne uznanie. Kiedy w r. 1871. nadano stolicy Galicyi nowy statut, na mocy którego Rada miasta otrzymała prawo wolnego wybierania sobie prezydenta, został pierwszym z wyboru prezydentem Lwowa i był nim do r. 1873, w którym powołano go na stanowisko ministra dla Galicyi w austryackiej Radzie korony. Ministrem był do 1888. O zasługach jego na tem stanowisku poucza dokładnie książka znanego pisarza-publicysty z Krakowa, K. Bartoszewicza p. n. „F. Ziemiałkowski jako minister dla Galicyi“.

Wspomnienie o Ziemiałkowskim przypomina nam innego człowieka, który równocześnie z nim położył wielkie zasługi w pracy nad wyzwoleniem Galicyi z pod przemożnego wpływu biurokracyi austryackiej, złożonej przeważnie z Niemców, lub zniemczonych Czechów, którzy gospodarowali w Galicyi niemal do r. 1870 Człowiekiem tym był Agenor hr. Gołuchowski († 1875.), przez krótką chwilę austryacki minister spraw wewnętrznych, a przez lat wiele gubernator i namiestnik kraju. Wspominamy tu o nim z powodu, że właśnie dr. Bron. Łoziński rozpoczął w miesięczniku *Przewodniku naukowym i literackim* druk cennej monografii o życiu i działalności Gołuchowskiego. Będzie to pomnik literacki dla wielkiego męża stanu. Inny, lecz z kamienia, staraniem Rady miasta Lwowa i rodziny Gołuchowskich stanie niedługo we Lwowie w ogrodzie miejskim pojezuickim; wyjdzie z pod dłuta rzeźbiarskiego C. Godebskiego, tego samego, którego pomnik Mickiewicza zdobi jeden z najpiękniejszych placów Warszawy.

Wiadomo, jak ważną rolę w życiu narodowem odgrywa teatr, zwany słusznie świątynią sztuki narodowej, w której szeroka publiczność kształci swój smak estetyczny, poznaje arcydzieła poezyi i muzyki narodowej i znajduje chwile szlachetnej rozrywki. Miasto Lwów wzniosło „Sztuce narodowej“ wspaniały przybytek wedle planów architekty Gorgolewskiego, a ponieważ otwarcie nowego teatru nastąpi pod koniec b. r., więc Rada Lwowa już teraz rozstrzygnęła sprawę kierownictwa artystycznego nowego teatru i postanowiła powołać na to stanowisko b. dyrektora teatru krakowskiego, p. Tadeusza Pawlikowskiego, który uchodzi za znakomitego znawcę sztuki teatralnej. Pawlikowski jest synem Mieczysława Pawlikowskiego, znanego w piśmiennictwie z powieści, wydawanych pod pseudonimem Marka Polnicza, oraz pow. „Baczmahy“, a wnukiem Gwalberta Pawlikowskiego. założyciela księgozbioru Pawlikowskich, mieszczącego się dziś we Lwowie przy ul. Trzeciego maja (dawniej w Medyce), obfitującego zaś w rzadkie, a cenne rękopisy, sztychy i obrazy.

Rząd pruski używa wszelkich możliwych i niemożliwych sposobów, aby zgnieść ruch narodowy w ziemiach polskich. Ponieważ dziennikarstwo, zwłaszcza ludowe, jest jedną z najsilniejszych dźwigni tego ruchu, przeto rząd z wielką zawziętością prześladuje redaktorów pism polskich, nakładając na nich grzywny, wytaczając im procesy prasowe z powodów nieraz bardzo błahych, wtrącając ich przy lada sposobności do więzienia itd. Niedawno skazano w procesie politycznym redaktora *Gońca wielkopolskiego* w Poznaniu, St. Szyperskiego, na 4 miesiące więzienia, a z. m. aresztowano redaktora *Gazety ostrowskiej*, W. Leitgebra, za napisanie broszury o Muzeum narodowem polskiem w Raperswylu. Rząd pruski zarzuca tym redaktorom i wogóle wszystkim działaczom narodowym w Poznańskiem i na Śląsku t. zw. *grosspolnische Agitation* (agitacyę wszechpolską). Jedno z pism bawarskich, niezbyt przychylnych Prusakom, rzuca trafną, a cierpką dla Niemców uwagę, że gdyby tak n. p. w Austryi chciano zamykać t. zw. wszechniemców, to trzebaby chyba zarządzać uwięzienia hurtowne.

Do śląskiej Rady szkolnej grono Polaków wniosło prośbę, aby założyła w Cieszynie szkołę ludową z językiem polskim, jako wykładowym. Rada nie uczyniła zadość prośbie, a odmowę swą uzasadniła

*) Co do wypadków przed r. 1848. prw. rzecz o F Smolce w nrach 1—2 „Przyjaciela“. (*P. R.*)

w sposób taki, że do szkół ludowych w Cieszynie w ciągu lat 1893/4. do 1897/8. zgłaszało się corocznie po 31 dzieci narodowości polskiej, do otwarcia zaś szkoły potrzeba wedle ustaw obowiązujących 40 dzieci. Rozumie się, że statystyka Rady szkolnej jest kłamliwa: układają ją Niemcy na niekorzyść narodowości słowiańskich, a więc i wnioski, wysuwane stąd, są mylne i, co ważniejsza, krzywdzą ludność polską w Cieszynie. Niektóre pisma polskie radzą, aby społeczeństwo samo, podobnie jak założyło w Cieszynie gimnazyum polskie z ofiar publicznych, teraz postarało się o szkołę ludową polską, którąby nietylko dostarczyła owemu gimnazyum uczniów, odpowiednio przygotowanych, ale także uchroniła od zniemczenia lud polski na Śląsku.

W Sztokholmie zmarł Henryk Bukowski, członek Rady zawiadowczej Muzeum narodowego polskiego w Szwajcaryi, znakomity znawca i zbieracz starożytności, który w Szwecyi zamieszkał po r. 1863. jako wychodźca polityczny i zjednał sobie u Szwedów szacunek powszechny jako człowiek i jako uczony.

K. L. W.

Rozmaitości.

„Ukrzyżowany" A. van Dycka. Wielka tajemnica odkupienia ludzkości przez Zbawiciela, który na Golgocie sam się ofiarował, stanowi oddawna ulubiony motyw u sztukmistrzów wszystkich chrześcijańskich narodów i wieków. Ale mało który z nich wywiązał się z trudnego zadania tego tak świetnie co do pogłębienia myślowego i doskonałości przedstawienia artystycznego, jak głośny malarz flamandzki, Antoni van Dyck (czyt. fan Dajk, nar. 22. marca 1599. w Antwerpii, zm. 9. grudnia 1641. r. w Londynie), w obrazie, którego odbitkę dołączyliśmy do nru 7-go jako dodatek bezpłatny dla przedpłacicieli naszych. „...A było jakoby o szóstej godzinie: I stały się ciemności po wszystkiej ziemi aż do dziewiątej godziny. I zaćmiło się słońce: a zasłona kościelna rozdarła się w poły. A Jezus, zawoławszy głosem wielkim, rzekł: Ojcze, w ręce Twe polecam ducha mojego! I to rzekłszy, skonał.." Oto straszne zakończenie wielkiej tragedyi Odkupienia, której wieczną pamięć świat chrześcijański obchodził przed kilkoma dniami Oto słowa ewangelii św. Łukasza (r. 23, w. 44 do 46.), które natchnęły mistrza van Dycka do obrazu omawianego. Artysta przystąpił do wykonania jego widocznie z przeświadczeniem głębokiem i wiarą, a więc chyba wkrótce po powrocie z Rzymu, gdzie rzekomo bawił u kardynała Bentivoglia, przedtem nuncyusza papieskiego w Brukseli. Pobyt w Rzymie oddziałał na malarza naszego wprost przełomowo. Podczas gdy w pierwszych swych obrazach naśladował, a nawet wprost kopiował wielkiego mistrza swego, P. P. Rubensa (1577—1640), poznał w Rzymie i nauczył się cenić dzieła wybitnych malarzy włoskich (Giorgionego, Veronesego, Rafaela, Tiziana), które też wywołały przewrót zupełny w jego twórczości. Równocześnie z „Ukrzyżowanym" wyszedł też z pod pędzla van Dycka szereg płócien, przedstawiających poszczególne chwile z męki Pańskiej jakoto parę innych „Ukrzyżowań" (w Dendermondzie, Gandawie i indziej), „Chrystusów na krzyżu" (w Antwerpii, Wiedniu, Mnichowie), a przedewszystkiem niezrównane „Pietà" (dwie w Antwerpii, po jednej w Berlinie i Mnichowie). W roku 1626. wrócił na północ. Po śmierci Rubensa wyjechał w styczniu 1641. do Paryża, licząc na to, że oddadzą mu tam malowanie galeryi luwrskiej (Louvre). Ale zazdrośni mistrzowie francuscy nie dopuścili do tego. Powrócił więc, już bardzo chorym, do Londynu, gdzie z końcem roku umarł przedwcześnie. Zwłoki jego złożono tamże w chórze kościoła św. Piotra

Nowe książki.

Kramsztyk St. Komety i gwiazdy spadające. Warsz. 1899. 50 kop. Zebrano tu wszystko, co wiedza współczesna wie o tych ciałaeh niebieskich i czego się domyśla; wykład tak przystępny, że nawet czytelnik, zgoła nieprzygotowany, przeczyta je z korzyścią i zajęciem. A że dziełko pisane oryginalnie po polsku, więc znajdują się w niem niektóre rzeczy, dotyczące bliżej naszego kraju, jak n. p. dzieje aerolitu pułtuskiego. Połączone są dwa przedmioty w jednej książce, bo nowsze poglądy naukowe łączą oba zjawiska, widząc w aerolitach ułamki komet zatraconych.

Zaborowski A., Światy zaginione. Warsz. 1899. 50 kop. Przystępny wykład paleontologii zaginionych postaci roślinnych i zwierzęcych dawnych okresów). Autor usiłuje dać obraz dziejów życia na ziemi i oświetlić wszystko ze stanowiska współczesnych teoryi i hipotez naukowych; wciąga w zakres dzieła także najnowsze zdobycze na tem polu, zwłaszcza zaś odkrycia Cope'a, dokonane w Ameryce północnej, Lunda w Patagonii i inne. Wadą dzieła jest to, że zawiera zbyt wiele treści w małej objętości, a wskutek tego bywa niekiedy pobieżnem.

Oświata

Zagadnienia naukowe.

91. Słoworód i pierwotnie znaczenie zazwy i postaci Belzebuba?

92. Co to jest śmigus, skąd nazwa i jaki jego związek z Wielkąnocą?

93. Którzy członkowie rodu Łozińskich odznaczyli się w piśmiennictwie naszem i czem?

94. Co to jest minister dla Galicyi, kto pierwszy piastował tę godność, a kto ją piastuje obecnie?

95. Co to jest fizyologia i skąd nazwa?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: Roguskiego „Wilcze gardła“ (nowele), ks. A. Brykczyńskiego „Listy z Włoch o sztuce kościelnej“ i Kramsztyka „Wzrok“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 28. b. m. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 86—90.

Nr. 86. Jan Paweł Łuszczewski (1764—1812.), poseł na sejm 4-letni, minister spraw wewn. i relig. za czasów Ks. Warszawskiego, członek warsz. Tow. przyjaciół nauk, wydał „Dyaryusz sejmu ordynaryjnego.... rozpoczętego 1788.“ i kilka mów sejmowych; jego syn Wacław (1806—67.), radca stanu, współpracownik *Bibl. warsz.* z działu ekonomii polit., córką Wacława i Niny, znanej z prac filozoficzno-moralnych, jest Jadwiga, dziś jeszcze żyjąca najgłośniejsza improwizatorka polska, autorka „Polski w pieśni“, „Branek w jasyrze“, „Panienki z okienka“ itd.

Nr. 87. J. U. Niemcewicza „Dwaj panowie Sieciechowie“ (1825). są pierwszą powieścią dziejową polską, choć głośniejszym jest tego autora „Jan z Tęczyna“ (1825.) Prw. T. Jeske-Choińskiego książkę „Historyczna powieść polska“.

Nr. 88. *Pietà* (wyr. włoski z łać. *pietas* = litość, żal) są to dzieła sztuki, przedstawiające żal N. P. Maryi nad zwłokami Chrystusa. Najgłośniejsze stworzyli: Fra Bartolommeo della Porta (1475—1517.), Michał Anioł Buonarotti (1475—1564.), Andrea del Sarto(1486—1531.), Ant. v. Dyck (1599—1641.), ze współczesnych Arnold Böcklin (ur. 1827.)

Nr. 89. „Frhr. v. Münchhausens Reisen“ według ang. wydania Raspe'a przerobił na niem. Bürger (Universal-Bibliothek t. 121.)

Nr. 90. Tomasz Alwa Edison (ur. 1847. w Milanie, St. Zjedn.), zrazu roznosiciel gazet, następnie telegrafista, dziś najgłośniejszy wynalazca w świecie. Z wynalazków jego najważniejsze: elektryczna lampa żarowa, fonograf, mikrofon, przyrząd telegraficzny poczwórny (Quadruplex), kinematoskop.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 11. b. m.:

(wszystkie) W. Prajer, L. Prajerówna, (wybornie); (86 87, 89—90) Gąsiorowski; (86—8, 90) Auditor (znakomicie), Mann (b. dobrze), Stamm, Starkel, Witkowska; (86—7, 90) Badura, Bednarowski, Biegelmeyer, Domański, Krzysztoń, Michalewicz, Pordes; (86, 90) Chrzanowski, Otfinowski; (87 90) Galvani, Kędzierski, Kuhn; (88, 90) Fabiańczyk, Stasiaczek; (89) Lisowski; (90) Cetnarski, Loewel, Masiuk, Wiktor.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Starkel (Beniowskiego 4 t.), Witkowska (Lenartowicza) i Domański (Zaborowskiego).

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Wszystkim Czytelnikom naszym dziękujemy za życzenia świąteczne i wzajem życzymy prawdziwej uciechy i pożytku z wielkanocnych wczasów. Zarazem donosimy, że otrzymaliśmy na konkurs I., którego termin upłynął 10. b. m., tyle prac, iż komisya nie mogła ich jeszcze ocenić; wynik więc ogłosimy dopiero w nrze 9. Ze względu zaś na szczupłość miejsca i zajęcia przedświąteczne poprzestajemy w „skrzynce“ bieżącej na stwierdzeniu, iż otrzymaliśmy zapytania, względnie pisma, wymagające odpowiedzi, od: Adasta, B. Bat., K. Blaj., W. Dom., Galvaniego, Jugory, M. Loew, Otf., E. St. z Tarn.; odpowiemy na nie jużto w najbliższym czasie listownie, jużteż w nrze 9.

Od administracyi.

Wszystkich Przedpłacicieli, którzy pragną za naszem pośrednictwem nabywać książki, z powodu że niema księgarni w miejscu ich pobytu, upraszamy o dołączanie do ceny dzieła 45 *h* na koszt przesyłki opłaconej; jest to koniecznem dla uproszczenia czynności administracyjnej.

P. Os. R. w Tarn. Nr. 5. z 1899. już wyczerpany zupełnie, służyć przeto nim nie możemy. Co zrobić z kwotą 30 *h*?

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia). Redaktor przyjmuje w każdą sobotę (z wyjątkiem świąt) w godz. 5—6 wieczorem.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 8: *Brolis*, Czarnoksiężnik (baśń z XVII. w. c. d.) — *W. Hugo*, Ekstaza (wiersz) w przekł. Juliana B. *T. Pini*, Lud w poezyach M. Konopnickiej, z podobizną poetki (dok.). — *A. Winiarz*, O sejmach w Polsce II. — *J. Amborski*, Szkice z dziejów piśmiennictwa franc. III. — *B. Błażek*, Czy musimy spać? — *K. L. W.*, Z całej Polski. — *J. Styka*, Fragment z „Golgoty“ (ryć.) — Rozmaitości. — Nowe książki. Zagadnienia naukowe, skrzynka pocztowa redakcyi i administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 1. maja 1900.



Rok II.

Nr. 9.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Młodość i wesołość, ograniczona skromnością, to najpewniejsze dwa klucze do wszystkich serc ludzkich.
Z. Kaczkowski.

W MAJU.

Obrazek wiejski W. Mrsztika.

Minęły chłody — zeszło ciepło na pola. Było słoneczno na dworze, był maj.

Zboże rosło prawie w oczach; łąki zieleniały swą pierwszę zielenią majową, przesyconą sokami i słońcem; kwitła wyka, goździeniec biały, pięciornik, złocień pospolity, jakby posiany iskrami, iskrzył się w słońcu białymi punktami. Wszystko, jakby zdziwione nagłą zmianą ciepłoty, rozwijało się i rosło pod gorącymi pocałunkami wiosny.

Kasztany zakwitły niemal przez noc, nad wodą zamodrzały niezapominajki, w ogrodach zawoniał bez. Cały dzień wyglądał jak ozłocony, świat jak nowo narodzony — i ptaki i ludzie i owady i to bydło nieme, co się pasło za gajem wierzbowym, podzielało nastrój ogólny dnia uroczystego, opuszczało swe miejsca cieniste, przechadzało się z zadowoleniem i wygrzewało na słońcu swe pstre boki.

Czasem zdawało się, że nogi tracą władzę, jak pijane już się plącą, to jedna, to druga, zwyciężone silnymi wyparami powietrza. Ale zawionął wietrzyk chłodzący i miękki jaki wieje tylko pod wiosnę, i wszystko ożyło znów, wszystko się ruszyło, nogi znów suwają się dalej, z miejsca na miejsce przenoszą swój ciężar, a ciału wydaje się przytem, że nie idzie, ale przechadza się po rzadziutkiej kąpieli fal przyjemnych, wskrzeszających do życia to, co przed chwilą słońce zabijało. Znowu wróble kłóciły się w koronach drzew ogrodowych, dzieci śpiewały pod gajem wierzbowym, gęsi poważnie białe, jakby malowane, wałęsały się po darniach zielonych, okolone żółtym wieńcem gąsek. Kto się nie uśmiechał w takiej chwili, kiedy niebo i ziemia się śmiały, ten musiał chyba wielki ciężar dźwigać na piersiach — tak jednozgodną, tak wesołą i bujną była radość wszystkich, począwszy od jaskółek, świegocących w locie, aż do ciężko, ale ochoczo posuwających się podków koni, które deptały w pochodzie twardą ziemię

Dusza i ciało wiecznieby tak chciały przebywać na dworze, na ziemi, pokrytej zielenią, na rozgrzanem powietrzu, pośród drzew i łąk kwitnących, pod wielkiem, przestronnem sklepieniem, tem niebieskiem, dosięgającem niezmiernych wyżyn, gdzie obłoki wałęsają się jak białe stada kondorów ze skrzydły rozpostartemi.

Na polu pracowali ludzie. A i ci, jak gdyby nie pracowali, nie czuli nawet znoju pracy, tylko tak sobie niby dla zabawy grzebali w ziemi, jak dzieci, igrające na piasku. Leciuchny wietrzyk powiewał sukniami i chustkami, zapuszczonemi na czoła, ochładzał obnażone nogi klęczących na ziemi i kładł się razem z nimi na niej.

O kilka kroków dalej wspierał się na lasce i w czyste powietrze puszczał kłęby dymu osmagły, wąsaty ekonom. Na sąsiedniem polu zaś pług się przewalał, pomiędzy gałęziami drzew zabłysnął na chwilę bicz, a na grudzie zalśniła podkowa zwolna kroczącego konia. A o dwa pola dalej znowu na małym skrawku ziemi czarny rydel wznosił się w górę i opadał poza schyloną głowę staruszki, która obrabiała ostatni kawałek dożywocia I tak każdy orał na swojem, pełł na swojem — tylko „na pańskiem“ tam przy ekonomie cudzą glebę zraszał cudzy pot. A jednak zdawało się, że nawet tu niema różnicy. Czyto na pańskiem, czy na swojem, każdy taksamo zginał się ku ziemi, takąsamą miłością ogarniał ją i pochylał się nad nią, jak w modlitwie.

Gdyby nie ekonom, zdawałoby się, że ci ludzie błogosławią glebę i całują ziemię

Przeł. z czeskiego Fr. Kr.



Z „Pieśni o Rolandzie“.

W nrze 8. podano w „Szkicach z dziejów piśmiennictwa franc.“ treść *Pieśni o Rolandzie.* Obecnie chcąc dać choć słabe wyobrażenie o tym utworze, przytaczamy w przekładzie S. Duchińskiej pieśń XXVII. (całość, 39 pieśni, wraz ze wstępem podała *Bibl. warsz.* 1866. w t. I.)

Jako Roland usiłuje złamać swoją szpadę.

Waleczny Roland czuje śmierć blizką,
Już mózg przez uszy spływa mu z czaszki,
Za wiernych druhów modli się Bogu,
Sam Gabryela wzywa opieki;
W lewą cę bierze róg szczerozłoty,
A Durandalę dzierży prawicą.
Dalej, niż wystrzał z kuszy dosięgnie,
W ziemię Hiszpanów zapuszcza stopy,
Wchodzi na wzgórek; pod sosny cieniem
Piętrzą się szare granitu złomy,
Tam składa głowę na miękką darnię,
Wie, że cień śmierci wnet go ogarnie.
Wysoko sterczą olbrzymie skały,
W drzew cieniu twardy granit połyska;
Roland na darni leży zielonej,
Z dala Saracen śledzi go wzrokiem.
Wśród stosu trupów legł przyczajony
Z twarzą, ohydnie we krwi starzaną,
Powstał na nogi, bieży poskokiem;
Piękny on, dzielny, postawy krzepkiej,
Czuje zniewagę w duszy śmiertelną,
Chwyta Rolanda, chwyta szablicę.
„Zwyciężon“, woła, „siostrzan królewski,
Wezmę do Syryi tę szablę twardą!“
Widzi to Roland, spojrzał z pogardą.
Gdy Maur po szablę rękę wyciąga,
Roland w milczeniu rozwarł powieki.
„Wiem, żeś mi wrogiem“, ostro wyrzecze,
W krzepką prawicę ujmie róg złoty.
Nim Saracena po hełmie grzmotnie;
Z hełmem na dwoje rozpękła czaszka:
Obie źrenice wytrysły z głowy
I wróg na ziemię stoczył się trupem
„Łotrze!“, zawoła, „śmiałeś zuchwale
Na mnie się targnąć — na mnie Rolanda!
Róg o twą głowę strzaskałem złoty,
Na ziemi drogie świecą klejnoty“.
Oczy mu bladym zaszły pomrokiem,
Wstaje na nogi, krzepi się dzielnie,
Ale z oblicza zbiegła już krasa.
Przed nim się piętrzy bryła granitu:
Dziesięćkroć szablą w granit uderzy,
Skrzypie stal twarda, przecież nie pęka.
„Wesprzyj mnie Maryo!“ zawoła Roland,
„O Durandalo, szablico wierna!
Któż cię obroni, gdy śmierć mnie zmoże?
Z tobą walczyłem zwycięzko w boju,
Z tobą zdobyłem ziemie i grody,
Które dziś trzyma król siwobrody.
Gdy znojną głowę położę w grobie,
W niegodne ręce nie wpaść już tobie!
Dzierżył cię rycerz ręką niezłomną —
Na wieczne czasy Franki go wspomną.“
Uderza znowu o granit twardy,
Stal zaskrzypnęła, lecz pęknąć nie chce;
Wie że hartownej nie skruszy stali,
Tak więc nad szablą Roland się żali:
„O Durandalo, jasnaś ty, biała!
Cudnie blask słońca w ostrzu twem pała
Karol w dolinie był Muryany.
Kiedy z niebiosów anioł zesłany
Imieniem Pana, co włada w niebie,
W niezłomne ręce zdać kazał ciebie;
Mnie drogi zakład Karol powierza

Jam mu normandzkie zdobył płaszczyzny,
Jam mu bretońskie zdobył wybrzeża
I kraj Burgundów zdobyłem żyzny
I Prowansalów urocze brzegi,
Lombardów kraje, romańskie wzgórza,
Ziemię Bawarów, Pulię bogatą,
Kraje flamandzkie zbiegłem jak burza,
Niemce mnogimi zasłałem trupy.
Jam kraj Saksonów wywalczył krwawo
I z Carogrodu zdobyłem łupy
I śmiałom dążył przez morskie wały
W góry hebrydzkie, w islandzkie skały;
Mnogiem ja zdobył ziemie i grody.
Które odzierżył król siwobrody.
O tę szablicę ciężko się trwożę.
Od rąk pogańskich ustrzeż ją, Boże!
Twa moc przed sromem niech ją ocali!"
Znów w twardy kamień tnie ostrzem stali
Pod silnem cięciem kruszy się skała,
Stal ciężko skrzypie, lecz szabla cała.
Żadna na ziemi moc jej nie skruszy!
I uczuł Roland ból w głębi duszy
I nad jej losem głucho się żali:
„O Durandalo z hartownej stali!
Tyś piękna, święta, — w twej główni złotej
Są skarby droższe nad czcze klejnoty,
Co serc rycerskich wśród boju strzegą:
Jest tam kość Piotra, krew Bazylego,
Włosy pierwszego Franków patrona
I cząstka szaty Maryi Dziewicy.
Niechże cię nie tknie ręka zbrudzona!
Z tobą jam zdobył ziemie i grody,
Które w potężnej trzyma prawicy
Wielki Karloman, król siwobrody '.
Już Roland czuje, że śmierć go chwyta,
Kościstą ręką chwyta mu łono,
Pod wielką sosnę śpieszy co siły,
Układa głowę na darń zieloną
I ku poganom zwraca oblicze;
Pragnie by Karol, gdy tu przybieży
Z walecznym hufcem wiernych rycerzy,
Widział w poległym pogromcę wroga,
I pierś rycerską uderza w skrusze,
Serdeczne modły wznosi do Boga
I panu grzeszną poleca duszę.



Czarnoksiężnik.

(*Baśń, wyjęta z kronik XVII. wieku.*)

(Dokończenie).

Potem długo błądził po świecie, albowiem każdy, zagadnięty o cel upragniony, wzdychał do sławy, bogactw, władzy, — a z takimi mistrz nie chciał już mieć sprawy. Wreszcie pewnego razu spotkał nad brzegiem rzeki wielce stroskanego młodzieńca, który, zapytany o powód smutku, odparł z goryczą: „Smucę się, że nie mogę znaleźć dość głębokiego nurtu, któryby mię pochłonął; jeżeliś dobry, pomóż mi w tem!"

— „Twemi usty", zauważył mistrz, „rozpacz przemawia Jaki jest powód twej boleści?"

„Napróżnobym mówił. Nic mi nie pozostaje krom śmierci."

— „Mów otwarcie, a uczynię cię szczęśliwym".

„Starcze", zawołał młodzieniec, „jątrzysz rany serca mojego, ale ponieważ mądrze patrzy ci z oczu, wyznam ci wszystko. Słuchaj: pokochałem dziewicę taką miłością, jakiej niebyło jeszcze na świecie. Napróżno jednak ubiegałem się o jej względy, ma zostać żoną innego .. Czyż mogę żyć po tem?"

Czarnoksiężnik uśmiechnął się i rzekł: — „Oto jest płyn mego własnego wynalazku, wypij jedną kroplę, a wszystko ci się podług woli stanie." Młodzieniec drżącemi rękami porwał kielich i łakomie podniósł go do ust. W tejże chwili otucha wstąpiła mu do łona; zwracając kielich czarnoksiężnikowi, zawołał: „Patrz! za skrętem rzeki ścieżyną kroczy ona... moja królowa". Podszedł pośpiesznie.

Czarnoksiężnik, zadowolony, że mu się wreszcie udało stworzyć szczęście, które nikomu złego nie przyczyni, z otuchą wracał do jaskini. Dążąc borem, spotał pustelnika, który, ujrzawszy go, zerwał się z miejsca i radośnie zawołał: „Uświadomiłem sobie nareszcie, jak można posiąść spokój ducha... jestem szczęśliwym... A waszmość czyś wiele stworzył szczęścia na ziemi?"

Czarnoksiężnik odparł:

— „Dotąd mi się nie udawało. Obdarzyłem niem naprzód żądnego sławy rycerza, innym razem marzącego o bogactwach obywatela, wreszcie parobczaka, pragnącego ziemi, — i wszystko na nic się nie zdało: szczęście każdego z nich stało się źródłem niedoii innych. Zamiast dobra siałem zło. Teraz atoli udało mi się nadspodziewanie: przyczyniłem się do wzajemnej miłości."

Pustelnik żywo podniósł głowę: „Stworzyłeś miłość?" zapytał.

— „Tak. Młodzieniec zrozpaczony chciał umrzeć, dałem mu kroplę płynu, wnet ukazała się dziewica, wyznała mu wzajemność i obecnie szczęśliwi wracają od ołtarza.."

Pustelnik spuścił głowę i szepnął: „Nie o tem myślałem...“

Czarnoksiężnik zdumiony zapytał: „Czyżem niedobrze uczynił?“

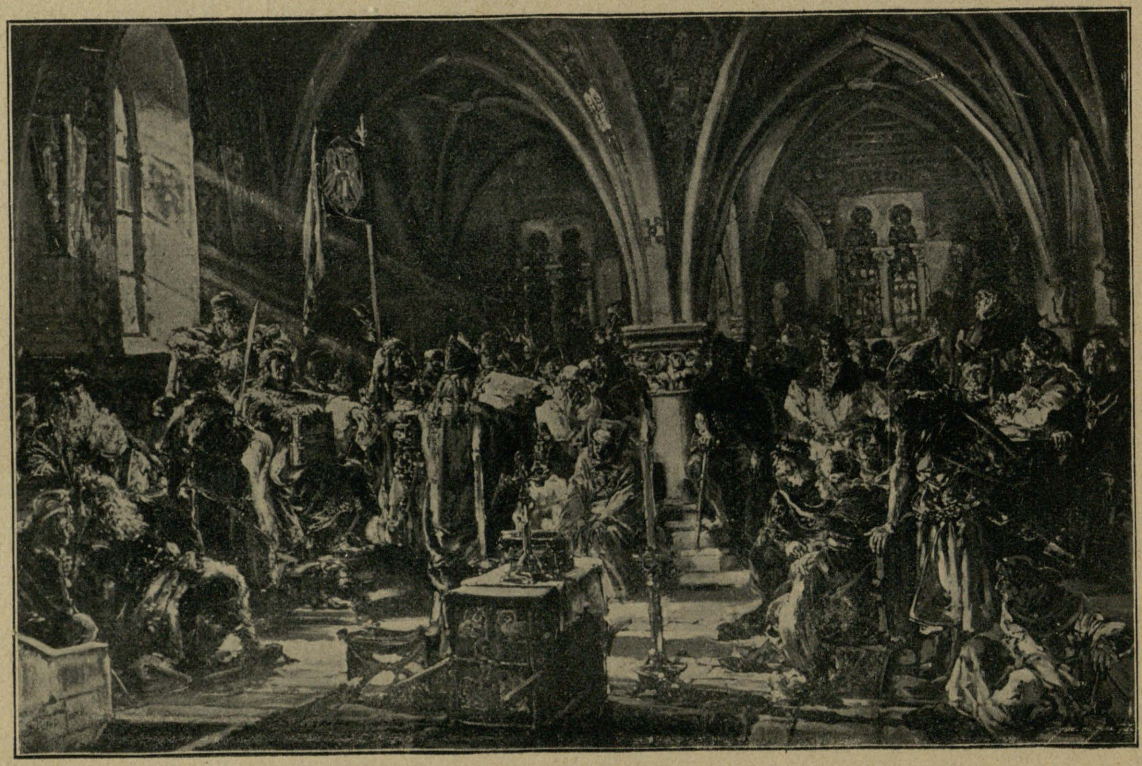
— „Nie wiem.. Myślałem o innej miłości... ogólnej, braterskiej, która łączy ludzi i ludy. Świadomość mam takiej miłości Twoja jakaś inna... odrębna, samolubna, zazdrosna, nieświadoma. Oderwała od ludzkości dwoje ludzi, a co z nich uczyni, — nie wiesz. Może wzajemne uwielbienie zastąpi im żądzę doskonalenia się, poszukiwania prawdy, niesienia pomocy bliźnim. Taką miłość, jak twoja, widziałem nawet u tygrysów. Ja marzę o ludzkiej...“

Czarnoksiężnik smutno spuścił głowę. Lecz niebawem podniósł ją i zawołał: „Bracie, pożądaj dla ludzkości tego wielkiego braterstwa, o jakiem marzysz, i wypij kroplę tego płynu!“

Pustelnik zawahał się chwilę, wreszcie rzekł: „W imię ludzkości spełniam twą prośbę, daj mi puhar!“

Czarnoksiężnik podał skwapliwie. Pustelnik ujął w dłoń naczynie i szepnął: „Niech się tedy krzewi na ziemi miłość bratnia!“... Potem przybliżył kielich do ust... Nachylał go coraz więcej, obrócił wreszcie dnem do góry .. smutnie się uśmiechnął i rzekł: „Twój kielich pusty!‘ Okazało się, że zrozpaczony młodzieniec w zapędzie samolubnej żądzy posiadania wypił wszystko co zawierał kielich, do ostatka.

A gdy pustelnik rozczarowany smutnie opuścił rękę z puharem, ukazał się we własnej osobie Beluebub i, wybuchnąwszy śmiechem piekielnym, zwracając się do mistrza, zawołał: „Wiwat! A toś dzielnie zadrwił z marzyciela!“ Potem ująwszy go pod rękę, dodał: „Pójdźmy, bracie, do piekła! Uczynię cię prezesem ministrów, mój stary Mefistofeles niezdolny jest do tak potężnych sztuczek“..



J. Matejko, Pierwszy sejm w Łęczycy.

Harcując i śmiejąc się wracał szatan do piekła... Naraz, w przysionku sali, uczuł dotkliwy ból w nodze. Zawezwany wnet chirurg obejrzał ją i rzekł: „Wasza Szatańska Mość zraniłeś sobie kopyto o mocne postanowienie pustelnika. Zamierza on opuścić las i, wróciwszy na świat, krzewić tę miłość, którą sobie wymyślił gwoli spokojowi ducha.. Rana Waszej Mości tymczasem lekka, jednak radziłbym pojechać do smolnych wód i użyć

gojącej maści, utartej z mózgu dumnego głupca; bo jeśli zaraza pusteluika rozszerzy się, Waszej Szatańskiej Mości grozi nieuleczalnie gangrena".

Belzebub drgnął. *Brolis.*

Henryk Sienkiewicz.

(Ciąg dalszy).

ImćP. Aleksy Zdanoborski, bohater „Niewoli tatarskiej", potrafił zdobyć dla siebie serce nietylko panny Maryanny, córki senatorskiej, ale również wszystkich czytelników, którzy poznali jego pamiętnik; nadto udało mu się rozbudzić fantazyę u swego twórcy, w którym krew przodków żywiej zagrała, że poczuł niesmak do bohaterów liliputów, do rozczulania się na kwincie, za cienko brzmiącej, do swo ich i cudzych utworów tego rodzaju i powiedział sobie: iam satis! trzeba spróbować na inną nutę! I oto zaklął młody pisarz omszałe kurhany, by mu wyszeptały swe tajemnice, poszedł po rady do starych ksiąg, co homerowe boje, krwawe rzezie i mściwe okrucieństwa zanotowały -- i wysnuł z nich wspaniałą i pełną grozy opowieść dziejową, co nosi nazwę „Ogniem i mieczem".



St. Witkiewicz, Mgła wiosenna.

Krótką, a prostą jej treść stanowią dzieje rycerza polskiego, Jana Skrzetuskiego, który żył za czasów panowania Jana Kazimierza, brał udział w bohaterskich walkach współczesnych, odznaczał się męstwem niezłomnem, sercem hartownem, a umiał zgnieść swe uczucia i ofiarować wszystko dla ojczyzny. Postać to rzeczywista. W księdze pamiętniczej Jakuba Michałowskiego jest wzmianka, że wiadomość z oblężonego Zbaraża przyniósł królowi do Toporowa Skrzetuski, towarzysz, ktłóry rzekę wśród obozu oblegających przebył i w borze leżał dzień cały; wspomina również o tym bohaterskim czynie S Twardowski w swej „Wojnie domowej", — przechowała się nawet obszerna relacya nuncyusza papiezkiego o tej śmiałej przeprawie. Pozatem prawie nic więcej nie przekazała nam historya o Skrzetuskim, inne czyny jego bohaterskie, przedstawione w powieści, jak np. zajście z Chmielnickim, stosunek, łączący go z Jeremim Wiśniowieckim wysnuła sobie fantazya powieściopisarza, który ze swego bohatera pragnął stworzyć narodowy typ rycerza polskiego, na wzór Bayarda lub Księcia niezłomnego. Zupełnie odmienny, jak Skrzetuski, jest współzawodnik jego o względy i miłość Heleny Kurcewiczównej, półdziki Zaporożec, Bohun Również o nim pozostały ślady w relacyach historycznych z owych lat krwawych, wspominają o jego męstwie pamiętniki współczesne, mówią o jego dzikości, okrucieństwie i zdradach — w powieści jednak przedstawia się on bardziej poetycznie; mowa jego jest śpiewna, rytmiczna, obrazowa, czynów zaś jego kierownikiem uczucie gorące i namiętność nieokiełzana. Słusznie zauważono, że w osobie zuchwałego atamana złożył autor daninę geniuszowi poetyckiemu tęsknej Ukrainy.

Jeżeli Skrzetuski miał być u Sienkiewicza typem rycerza z lat dawnych, to postać księcia Jeremiego Wiśniowieckiego przedstawia wzór możnowładcy. Jest to jeden z tych panów „u których w sercu cnót na króla stanie", wrodzona mu „lwia śmiałość i senatorska wspaniałość"; kniaź Jarema wyrasta na posągową postać. W odmiennem nieco świetle historya przedstawia nam dzielnego hetmana; nie był bez win ten oligarcha na wschodnich krańcach Rzeczypospolitej i powinien był częściej kajać się u stóp krzyża, jak w ową słynną noc rozpamiętywania, powinien był częściej swą butę poskramiać.

Bardziej zgodnie z prawdą historyczną ukazuje się w „Ogniem i mieczem“, w krwawem świetle łun pożarnych, wśród strug łez ludzkich, Bohdan Chmielnicki; niepohamowana ambicya i potworna pycha, kierujące jego krokami, przebiegłość i chytrość węża, cechujące jego czyny, nakreślone są wiernie, jak w rzeczywistości. Obok tych dwu postaci historycznych występuje w powieści cały szereg osób, otaczających je, wśród których one działają i poruszają się; towarzysze pancerni polscy, wojska kozackie, Tatarzy, odmalowani są z przedziwną maestryą, z nadzwyczajnem zrozumieniem i odczuciem duszy i myśli tych ludzi XVII wieku. A sposób przedstawienia tego całego tłumu nadzwyczaj prosty, oparty jedynie na doskonałem poznaniu tej epoki w jej dziełach, w jej literaturze, obyczajach sposobie myślenia i mówienia.

Z innych osób, występujących w powieści, słabiej nakreśloną jest Helena Kurcewiczówna, zbyt bowiem bierną jest jej rola w rozgrywających się wypadkach. I inne postaci niewieście nie dorównują bohaterom powieści wśród których dominujące miejsce należy się jeszcze Janowi Onufremu herbu Wczele Zagłobie i Longinusowi herbu Zerwikaptur z Myszykiszek Podbipięcie. Zagłobę nazwano polskim Falstaffem i jest rzeczywiście pewne podobieństwo z tą przepyszną postacią Szekspirowską; obaj hulacy, filuci, kłamcy. szczwane lisy. Ale w postaci Sienkiewiczowskiej tyle jest rysów rdzennie polskich, że pokrewieństwo z Falstaffem staje się jedynie dalekiem powinowactwem; kiedy po poznaniu się ze Skrzetuskim, następuje jego przemiana, kiedy pod dobroczynnym tegoż wpływem wady jego się zacierają, kiedy poważnieje, uszlachetnia się i w końcu staje obywatelem, powszechnie w Rzeczypospolitej szanowanym, to wówczas z Falstaffem, do końca życia niecnotą, nie ma już żadnych rysów wspólnych. Na kreacyę tej postaci złożyły się rozmaite drobne rysy znamienne całej ówczesnej szlachty polskiej, zwolenniczki złotej wolności i anarchii obrończyni paktów i liberum veto, ceniącej wysoko klejnot szlachecki, a gardzącej ludem .. w istocie jednak szlachetnej poczciwej i dobroczynnej. Ostatni ten rys występuje znamiennie w postaci pana Podbipięty. Nakreslona nader żywo i plastycznie — na dowód dość wspomnieć o fakcie rzeczywistym, iż jeden z czytelników pod wrażeniem opisu śmierci Podbipięty mówił pacierz za duszę jego i aż w połowie spostrzegł się sam, że to wymyślona śmierć i wymyślona dusza — postać pana Longina należy do najoryginalniejszych w naszej literaturze; poezya puszcz litewskich z niej przemawia i naszą wyobraźnią i sercem owłada.

Lecz nietylko w kreśleniu figur bohaterów okazał się Sienkiewicz mistrzem, również obrazy natury, opisy walk, bojów i szturmów wychodzą z pod pióra jego wspaniale; dla przykładu wystarczy wspomnieć pełen nastroju poetyckiego obraz stepów ukraińskich lub epicki opis obrony Zbaraża i bitwy pod Beresteczkiem. W miejscach tych występuje wielki artyzm pisarza który umie uchwycić najbardziej malownicze szczegóły i nagą, realistyczną prawdę opromienić brylantowem światłem swej fantazyi. Wielki ten kunszt plastycznego odtwarzania momentów historycznych w oświetleniu poetycznem ujawnił nasz powieściopisarz nietylko w „Ogniem i mieczem“. (C. d. n.)

Bron. Gubrynowicz.

SZKICE
z dziejów piśmiennictwa francuskiego

III.

(Dokończenie.)

W okresie romansów „Stołu okrągłego“ wybija się na pierwszy plan pierwiastek keltycki Bretonów. Legendy ludowe o królu Arturze, który rzekomo walczył przeciw Saksonom w obronie niezawisłości Bretonów, stały się niewyczerpanem źródłem pieśni. Król ten gromadził u siebie kwiat rycerzy, nieskalanie cnotliwych, na prawach zupełnej równości i sadzał ich podczas biesiady przy okrągłym stole, aby zaznaczyć tę ich równość. Stąd nazwa owych romansów. Pierwotny charakter ludowych pieśni zaginął wprawdzie zupełnie w opracowaniu późniejszem pod formą poematu opisowego; została jednak cała cudowność pogańska z czarownicami, czarodziejami i całym przyborem istot, wytworzonych przez bujną wyobraźnię keltycką, a całość przenikło tchnienie chrześcijaństwa i jego mistycyzm religijny. Bohate-

rem był zrazu król Artur i jego rycerze, idealnie szlachetni i waleczni. Następnie legenda o św. Gralu staje się osnową romansu. *Le Saint Graal* jest to naczynie, z którego Chrystus pił, gdy mówił podczas ostatniej wieczerzy: „Oto jest krew moja". W nie potem św. Józef z Arymatei zebrał krew, która spływała z boku Zbawiciela. Długo przechowywano na Wschodzie naczynie to, zanim potomkowie św. Józefa przenieśli je do Bretanii i powierzyli straży z rodu królewskiego. Widok św. Grala zapewniał szczęście wieczne, ale, ażeby go zobaczyć, potrzeba było przebyć szereg prób, zasługiwać się przez długie lata życiem czystem i czynami szlachetnymi. Bohaterowie romansu szli więc w świat, szukając przygód i ćwicząc się w cnocie, i dokonywali wielkich dzieł w nadziei ujrzenia św. Grala po latach takiej rycerskiej pielgrzymki.

Obok tego wątku wplatano zwolna nowy żywioł — miłość. W *chansons de geste* okresu Karola W. przeważały obrazy życia wojennego, pełnego cech barbarzyńskich, w romansach bretońskich górują uczucia i wierzenia religijne, oraz cześć dla kobiety. Słynne są: królowa Ginewra (*Genièvre*) i Izolda (*Yseult*) o płowych włosach i tyle innych, słynnymi też: *Lancelot du Lac*, *Parseval le Gallois*, *Tristan*, jako wzory idealnych kobiet i rycerzy, którzy dziesiątki lat walczą i znoszą przygody najdziwaczniejsze, byle zasłużyć sobie na nagrodę z rąk ukochanej.

Les romans anciens, tak nazywane, ponieważ bohaterami ich są głośni wojownicy starożytni, jak Hektor, Eneas, Cezar i Aleksander W., wyszły widocznie z pod pióra ludzi o pewnem wykształceniu, ale nie budzą wcale zajęcia. Oprócz nazwy bowiem niema w nich nic prawdziwego. Fantastyczne wojny i przygody, mało urozmaicone i bez talentu kreślone, oto nudna, a długa nieraz treść tych bezwartościowych robót.

Dziś — rzecz jasna — wszystkie owe *romans de chevalerie* nie czynią na nas takiego wrażenia, jakie wywierały na współczesnych. Wtedy pochłaniano je chciwie — nas razi w nich barbarzyństwo, brak prawdy psychologicznej i dziejowej, naiwność osnowy, nieprawdopodobieństwa sytuacyi itd. Mimo to rodzaj ten przyczynił się niepospolicie do podniesienia stopnia cywilizacyi. Malując wzory rycerzy, wpajał uczucia podniosłe w twarde jeszcze i barbarzyńskie tłumy i uszlachetniał je, a przez kreślenie ideałów niewieścich podnosił znaczenie i wzmacniał wpływ kobiety, uzacniał uczucie miłości, krzewił cnotę, a budził odrazę do zdrady i czynów przemocy, do kłamstwa, chytrości i podstępu wprowadzał przepisy obyczajności, w czasach pełnych gwałtu i nadużyć łagodził zwyczaje i w stosunki ludzkie wlewał sporo litości.

Po wyprawach krzyżowych osłabła wiara gorąca, która parła tysiące ludzi na Wschód; wzmocnienie się monarchii podkopało znaczenie panów feudalnych, a mnóstwo innych czynników, o których pomówimy w miejscu stosownem, zwątliło ducha rycerskiego. Wraz z tem zamiłowanie do powieści rycerskich gasło tak, że w XV w. znikły prawie zupełnie Powiadamy: prawie zupełnie, albowiem rodzaj ten wraca na widownię — w postaci, zmienionej znacznie, — w XVII. w., a i później nawet wydobywa się z pod powłoki zapomnienia i nietylko we Francyi, lecz i w innych krajach Europy przypomina ludziom, pogrążonym w prozie życia powszedniego, hasła rycerskie: honor chrześcijaństwa, opiekę nad słabymi, wstręt do przemocy, cześć dla kobiety, szlachetność w życiu piękność czynów. I do dziś dnia nakłania nas do takiego życia, ażebyśmy stali się godnymi ujrzenia św. Grala. *J. Amborski.*



O wieku ziemi.

II.

(Dokończenie.)

Rzeki żłobią w swych górnych i średnich częściach doliny, a unoszą głaz i żwir, porzecza w średnim i dolnym biegu ścierają żwir i głazy na muł, deszcze i roztopy śniegów spłukują stoki całej rzeki, a cały ten transport mineralny z lądów unoszą rzeki do jezior i mórz — tam go osadzają. Tak powstają teraz i powstawały zawsze warstwy osadowe. Wiele już rzek badano przy ujściu do morza; badano, ile mułu i piasku unoszą, a ile grzebią w czeluściach morza Wnosząc ze zbadanych najlepiej 16 rzek najróżniejszych klimatów i lądów, otrzymujemy przy uwzględnieniu okoliczności, że bałwany morskie stale burzą brzegi morza, cyfry następujące: rok rocznie

osadza się na dnie morza $10^1/_2$ *km.*^{3} mułu piasku, żwiru i głazów, a to kosztem lądów, ciągle niwelowanych przez rzeki, deszcz, śnieg lód i fale morskie. Zważywszy, że powierzchnia lądów wynosi 135 milionów *km*^{2}, średnia wysokość 739 *m*, więc ich objętość $98^1/_2$ miliona *km.*^{3}, przeto, przypuściwszy ową proporcyonalność rocznego niszczenia lądów przez wody płynące, dochodzimy do wniosku, że lądy doznałyby zupełnego zrównania do poziomu morza w przeciągu 9,380.000 lat.

* * *

Badania zaś dna morskiego pouczyły nas, że osady z rzek, więc warstwy lądowego pochodzenia, powstają tylko w przybrzeżnym pasie morza, stosunkowo nieszerokim. Ogromną resztę (prawie $^3/_1$) dna morskiego pokrywa wprawdzie także warstwa namuliku, tzw. czerwona glinka głębinowa, ale ta pochodzi z osadzania się drobnych skorupek żyjątek głębokomorskich z pyłu wulkanicznego itd., więc w każdym razie nie jest pochodzenia lądowego. Ponieważ więc powierzchnia mórz, na których dnie tworzą się osady lądowe, wynosi 80 milionów *km*^{2}, więc z zupełnego zrównania lądów powstaje na dnie tych mórz warstwa o grubości średniej 1250 *m*. Budowa tej warstwy trwa naturalnie 9,380.000 lat.

Fakt ten, że liczne kompleksy utworów osadowych znajdują się na lądach powszechnie, dowodzi, iż obszary teraźniejszych lądów nie raz, lecz wielokrotnie były dnem mórz i lądem naprzemian, a przebieg niszczenia lądów przez wody płynące powtarzał się nie raz, lecz wielokrotnie. Przyczyna zmiany lądów i mórz spoczywa w ruchach górotwórczych skorupy ziemi, które bądźto przez jej fałdowanie, bądź pękanie i obsuwanie się wzdłuż pęknięć, ciągle tworzą nowe lądy i morza; innną przyczynę zmiany lądów poznano w ruchach poziomu morza: obniżenie wyłania nowe lądy z wód, podwyższenie zalewa stare lądy. I proces górotwórczy i ruchy poziomu morza są stałą właściwością ziemi stygnącej.

O tych niezwykle powolnych przewrotach lica ziemskiego wiedziano już oddawna, ale ostatni dziesiątek lat badań wprowadził tu nową i ważną zmianę w ów pogląd. Oto zmienne są morza i zmienne lądy, ale te przeobrażenia nie przekraczają pewnej granicy; głębie oceaniczne niżej pewnej głębokości, wynoszącej około 2500 *m* nigdy nie były lądami! Od czasu bowiem, gdy poznano właściwości dna mórz i oceanów, przekonano się, że na lądach brak tych warstw, które odpowiadają głębinowej, glince czerwonej, zatem wszystkie warstwy lądowe pochodzą z tego pasa przybrzeżnego mórz, w którym wody płynące składają swe osady.

Teraz wynik, do którego dążymy, jest już blizkim. Rzeki, wody deszczów i śniegu, niszczą lądy i grzebią gruzy lądów w głębiach mórz przybrzeżnych, dna tych mórz stają się lądem, a morze pokrywa dawne lądy. Jest to ciągłe koło, którego obrót dokonywa się na określonej ściśle przestrzeni lądów teraźniejszych i płaszczyźnie mórz przyległych, a znając grubość warstw osadowych, już wytworzonych, wiedząc, że w głębinach oceanów nie mogą się kryć nieznane na powierzchni ziemi warstwy, wiemy też, ile razy lądy uległy zniszczeniu, więc znamy wiek ziemi.

* * *

Grubość warstw osadowych określono na 36—50 *km*, przyczem liczono wystąpienia warstw w tych miejscach, w których są najgrubsze. Warstwy osadowe, powstające w morzu, nie są jednostajnie grube, grubsze są przy brzegach, czem raz cieńsze w głąb morza; nasyp, w ten sposób powstający, jest pochylony pod kątem mniej więcej 30°, więc największa grubość jest dwa razy większą od średniej. Średnią tedy grubość wszystkich warstw osadowych możemy przyjąć na 18—25 *km.*; gdy zaś jednorazowe zniszczenie lądów dostarcza 1250 *m*, średnio grubej warstwy, więc ilość dotychczasowych zupełnych przeobrażeń lądów i mórz wynosi 14·4 do 20 razy; ziemia, zamieszkana przez świat roślin i zwierząt, trwa już 135 do 187 milionów lat (= 14·4 wzgl. 20×9,380.000 lat). Oto wiek ziemi!

Eugeniusz Romer.

Rozmaite typy światopoglądu etycznego.

II.

Światopogląd człowieka pierwotnego i dzikiego nie jest bynajmniej wysokim. Taki sam też (co prawda z niektóremi zmianami) jest stan umysłowo-moralny małych dzieci i niestety wielu, bardzo wielu członków niższych warstw, sztucznie dziczejących w cywilizowanej Europie, — tych, którzy według słów Niekrasowa [1]) „kroczą po drodze życiowej w nieprzejrzanej, głębokiej nocy, bez pojęcia o prawie, o Bogu — niby w podziemnej ciemnicy bez światła“. Można określić ten światopogląd jako czysto gnozeologiczny i etyczny senzualizm [2]). Jest to dążenie do uciech zmysłowych, unikanie bolów fizycznych, skłonność do bezczynności i lenistwa w razie zaspokojenia potrzeb powszednich, niechęć do trudów dobrowolnych. Zmysły występują tu jako przewodniki w poznaniu i prawodawcy życia. Jeśli wszystko idzie po myśli, to i osobnik ma się dobrze, co wyraża się po większej części w zdrowiu cielesnem; jeśli los nie sprzyja, to i ciało osobnika niknie. Ciało panuje i przewłada nad duchem. Ale i w tych warunkach twórczy duch człowieka może dobić się pewnej wzniosłości, wirtuozostwa, piękna. Senzualizm etyczny wyraził się najklasyczniej w Grecyi starożytnej. Ona uwielbiała ciało człowiecze nieśmiertelnymi wierszami swych pieśniarzy i rzeźbiła dłutem swych rzeźbiarzy trwałe marmurowe panegiryki i dityramby pięknu cielesnemu. Na tym stopniu cywilizacyi przyjmuje się świat i życie takimi, jakimi są, bez ogródek, bez dalszych rozmyślań i długiej oceny, jako proste fakty. Ananke (przeznaczenie) — ślepe, niezbadane i niezmienne przeznaczenie rządzi i kieruje światem, nieobliczalne *fatum* — jako wyższe prawo tak fizycznego, jak moralnego świata. I dobro i zło nie są współrzędnemi z samem życiem, nie stanowią w tej lub owej postaci ani podstawy, ani celu świata. Przyjmuje się życie i wszystko, co ono przynosi z sobą, jako dar lub przekleństwo, bez szemrania i bez oporu. Urodził się — trzeba żyć; nieszczęście go spotyka — trzeba cierpieć; umrzeć — to i umrzeć! Pytania: „skąd, po co, dlaczego“? niedozwolone i nie powstają. Życie jednostki jest szeregiem przypadków, niezawisłych od własnej woli osobnika. Ludzie ze swoimi smutki i radościami wedle słów Homera rodzą się i giną, jak liście w lesie. Człowiek jest li wytworem przyrody, jak każda inna istota. Ten światopogląd pierwotny różniczkuje się bardzo rozmaicie i panuje dotychczas nad umysłami ludzi, niezdolnych z przyrodzenia już do niczego wyższego. „Przytem walka o byt, uciechy i zgryzoty chwilowe, ambicya, gwałtowny nacisk potrzeb praktycznych - to wszystko wciąga człowieka w bystry prąd życia i pogrąża go w fale jego jako ofiarę zmysłów.“

(C. d. n.)

[1]) Mikołaj N., wybitny liryk rosyjski, urodz. 22. XI. 1821. na Podolu, zmarł 27. XII. 1877. w Petersburgu. Wiersze jego przełożono też po części na nasz język.

[2]) Nazwa „gnozelogiczny“ mieści w sobie wyr. grecki gnozys = poznanie; „senzualizm“ z łać. *sensus* (zmysł).

Pogadanka.

Wiosna! Ile czarodziejskiej siły w tem słowie leży, zrozumie tylko ten, kto sam już wiele wiosen przeżył; ale odczuwają ją wszyscy i ci, którzy na progu życia stojąc, każdą miłą zmianę z radosną witają nadzieją, i ci, którzy już niejedną z wiosną poczętą nadzieję musieli pogrzebać wśród skwarnego lata lub słotnej jesieni życia. Niczem wszystkie zawody wobec tej żywiołowej siły radosnego uczucia, która się budzi w człowieku na widok wracającego nam słońca. Choć ciepłomierz wskazuje jeszcze nizki stan ciepłoty i radzi ostrożność, choć niebo zlewa nas zimnym deszczem i śniegiem, a słońce kryje się wstydliwie za ciężkie chmury, — nic to, wiosnę czuć przecież w powietrzu, a tak potężne drgają siły żywotne w przyrodzie że z zupełnym spokojem czekamy, pewni, iż przecież zwycięży — słońce.

A ten maj! miesiąc słowików i fiołków, poetów i zakochany. W ciągu dość długiego już żywota nie przypominam sobie żadnego roku, w którymby maj był naprawdę taki, jakim go wymarzyły i wymalowały w wyobraźni naszej legendy wieków całych i pokoleń, a jednak i we mnie w tym czasie budzą się, jak za młodu, nadzieje - inne co do przedmiotu, jednakie co do skutku: wzmacniają tętno serca i sprawiają, że się kocha mocniej i z większą wiarą kroczy do urzeczywistnienia celów ukochanych. Że w chwili tak podnieconego uczucia z nieprzepartą siłą myśl moja wraca do owego wielkiego polskiego maja, kiedy to wołano: „Wiwat król, wiwat sejm, wiwat wszystkie stany!“, to chyba może nie zdziwi nikogo;

wszak w tem wspaniałem haśle zawarty cały testament upadającej Rzeczypospolitej, którego wykonawcami my jesteśmy. 109 lat minęło od czasu, kiedy w szczęśliwej chwili niekłamanego natchnienia rozszedł się ten okrzyk po całym obszarze ziem państwa polskiego; czwarte już pokolenie pracuje w myśl tego hasła, każde po swojemu, w dobrej wierze, ale niestety także prawie wszystkie raczej samorzutnie, aniżeli z jasnym planem, z góry obmyślonym. I dlatego tak mało widać jeszcze skutków; stwierdza się tutaj raz jeszcze, co zawsze widać w dziejach ludzkości, że zarówno myśl, poczęta w wielkiej głowie, jak i uczucie w wielkiem zrodzone sercu, tylko powoli toruje sobie drogę do szerokich mas i wiele potrzebuje czasu, zanim się stanie ogólną własnością i przestanie mieszkać tylko na języku, a przejdzie w żywą krew narodu, aby się przemienić w czyn. Ale bądźmy cierpliwi i dobrej myśli! Hasło to mimo wszystkich trudności drogę sobie toruje i coraz słabiej słychać ten syk węża, ten dźwięk fałszywy „przeciw ogólnej zgodzie tonów skonfederowany".

Opowiem wam zdarzenie ze swego życia. Było to w r. 1891.; w prześliczny dzień majowy obchodziliśmy we Lwowie setną rocznicę Konstytucyi trzeciego maja. Nie pamiętam w życiu wspanialszego obchodu. Przystrojonemi ulicami miasta posuwał się wśród uroczystej ciszy i ze wspaniałą powagą pochód przy udziale kilkunastu tysiecy ludzi; niebyło króla, ale był sejm, były wszystkie stany. Kto nie brał udziału w pochodzie, stał po bokach drogi, tworząc szpaler, niby ramy do podniosłego obrazu, a była w tym szpalerze pewnie połowa ludności miasta Lwowa. Ulicą Karola Ludwika ciągnął pochód przed gmach sejmowy i oto, kiedy się już kończył, straż honorowa zamknęła prędko drogę, aby powstrzymać nacisk szpaleru, ruszającego się tłumnie, a bez porządku, za pochodem i odparła zwycięzko nacisk kilkuset, a może i kilku tysięcy ludzi. Wtem zjawia się garstka wieśniaków w odświętnych strojach, którzy czy się spóźnili na pochód, czyteż zapatrzyli się na coś i, w tyle pozostawszy, oderwali się od pochodu. Żal mi ścisnął serce; teraz ich nie puszczą — pomyślałem, wszak odparli już tyle set ludzi; ale oni idą dalej, wśród odpieranych i cofających się tłumów płyną, jak woda płynie, która nie zna przeszkody i, zanim myśl mą skończyłem, złamały się prze nimi wszystkie zapory, jak się łamie potężny wał pod naporem wody, a ona płynie dalej i nie poznasz po niej, żeby potrzebowała do tego jakiegoś wysiłku. I wtedy miałem chwilę jasnego widzenia: tak Bartosz Głowacki brał armaty, tak lud swoją żywiołową siłą zdobędzie nam przyszłość. Tak! ale trzeba go naprzód wcielić w naród; ot, młodzi przyjaciele, znowu poważne zadanie, któremu warto poświęcić życie! A można dla tego zadania pracować na każdem stanowisku.

Z powodu zbliżającego się końca roku szkolnego przychodzi dla niejednego z was, mili czytelnicy, potrzeba bardzo energicznej pracy, zdwojonej pilności; szczególnie znajdą się w takiem położeniu ci, którzy są w przededniu rozstrzygającej w życiu chwili, w przededniu matury. Napatrzyłem się w życiu dość na te wysiłki ostatnich miesięcy czy tygodni: gorączkowa robota, często prowadząca aż do chorobliwego zdenerwowania, a rezultat zawsze mały, a przynajmniej bardzo niepewny. Czy tego niemożna uniknąć? Owszem, nietylko można, ale i trzeba i to właśnie teraz pókiście jeszcze młodzi, bo kto się do tego raz przyzwyczai, całe życie cierpieć będzie na tę chorobę: nie mam czusu.

A jednak lekarstwo na tę chorobę jest proste i bardzo znane; nazywa się porządek. Ludzie porządku mogą mieć zajęcia nie wiedzieć ile, znajdą przecież na wszystko potrzebny czas; potrafią rozumnie podzielić pracę, według jej nagłości i ważności, tak że na wszystko przyjdzie kolej. Tak jak w porządnem gospodarstwie układa się zawsze budżet wydatków według dochodów, taki w pracy budżet taki jest potrzebny według czasu; cała sztuka polega na tem, aby budżetu ściśle się trzymać, dla błahej przyczyny go nie zmieniać, chyba jeżeli tego wymagają koniecznie okoliczności ważne, a nieprzewidziane przy układaniu planu. Jeżeli się natomiast pracuje bez takiego planu, bez rachunku a tylko podług kaprysu, miesza się wszystko; dziś wykona człowiek pracę, którąby bardzo dobrze mógł zrobić także jutro lub pojutrze, natomiast jutro musi zrobić z pośpiechem i bez należytego namysłu rzecz, która wymaga dłuższego czasu i głębszego zastanowienia. Wyborem pracy kieruje u takiego człowieka tylko chwilowy humor; robi to, co mu się w danej chwili podoba, inne rzeczy odkłada do nieoznaczonego czasu; im dłużej trwa to odkładanie, tem większy budzi się w nim wstręt do tej odkładanej roboty, a stąd płynie niezadowolenie ze siebie samego. Z tych właśnie powodów, gdy zmuszony okolicznościami pracę tę nareszcie będzie musiał wykonać, zabraknie mu właśnie najważniejszych warunków pomyślnego jej skutku: pogody duszy, spokoju wewnętrznego i przyjemności w pracy. Czegoż potrzeba więc, aby w pracy zachować porządek? Są dwa sposoby: albo rozkaz zzewnątrz (na tem polega porządek pracy w szkole), albo panowanie nad samym sobą, które może być jedynym regulatorem wolnej pracy domowej. Więc tym wszystkim, którzy zapytywali, jak pracować, mogę dać tylko tę radę: ułóż rozumny plan; panuj nad sobą przy jego wykonaniu; nie zrażaj się początkowemi trudnościami, ale strzeż się pierwszego odstępstwa!

Kropka.

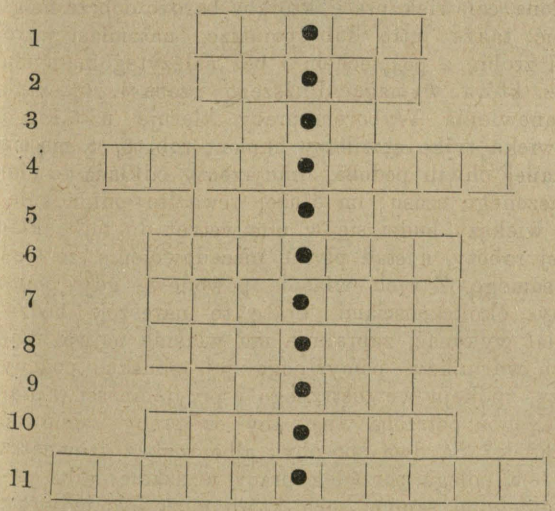
Rozmaitości.

Pierwszy sejm w Łęczycy stanowi 4 ty z 12 szkiców, przedstawiających dzieje cywilizacyi w Polsce, a rzuconych na płótno przez mistrza Matejkę z niezwykłą brawurą. Przedstawiono tu chwilę (r. 1182.) tę, gdy legat papiezki po wręczeniu Kazimierzowi Sprawiedliwemu zatwierdzenia przez Lucyusa III. uchwał, powziętych na zjeździe

łęczyckim, spoczywa strudzony i przysłuchiwa się słowom buli, którą czyta na głos bp. krakow. Gedeon. Rody wielmożów zajęły najbliższe tronu stanowiska: Jaksa Gryfze sztandarem, wojewoda krak. Mikołaj Lis z buzdyganem, rycerski Sambor Żyra, opasany mieczem i tarczą herbowego Gryfa Książęta krwi zajmują pierwsze miejsca w improwizowanym sejmie: Otto Wielkopolski, Bolesław Wysoki, Bogusław stołpieński, nie brak nawet Mścisława ruskiego. Wyżej zasiedli ławę przyścienną dostojnicy kościelni, poza którymi tłum świeckich zapełnia połowę romańskiego kapitularza, przedzielonego słupem o głowicy ozdobnej. O słup oparł się rycerz-rozbójnik, którego stanowisko zachwiały właśnie ustawy sejmu, wymierzone przeciw jemu podobnym gwałtownikom. Po prawej od widza stronie w samym kącie Cysters jędrzejowski, jakby wyprzedzając swego brata zakonnego, Wincentego Kadłubka, zbiera materyał do kroniki.

Łamigłówka

ułożył Sfinks.



Znaczenie wyrazów: 1. głośny pamiętnikarz polski, 2. dzieło J. Słowackiego, 3. żwierzę, 4. dziejopisarz polski, 5. twórca filozofii nowoczesnej, 6. poeta łacińsko-polski, 7. kwiat piękny, choć bez woni, 8. szczyt tatrzański, 9. kraj w Afryce, 10. krytyk polski o sławie europejskiej, 11. poeta polski. — Głoski środkowe wyrazów, odczytane od góry do dołu, dają nazwisko sławnego powieściopisarza polskiego. Należy nadsyłać rozwiązania całości do 14. b. m.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 96. Kto to był Bayard (prw. str. 101.)?

Nr. 97. Kogo oznacza nazwa „Księcia niezłomnego“ (s. 101.) i skąd pochodzi?

Nr. 98. Czy posiadamy w piśmiennictwie polskiem utwory, odpowiadające średniowiecznym romansom francuskim, i które?

Nr. 99. Które utwory pióra i pędzla polskiego nawiązują do wypadków dnia 3. maja 1791. r.?

Nr. 100. Oznaczyć botanicznie rośliny, wspomniane w szkicu „W maju“ na czele nru.

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: Dygasińskiego „Wilk, psy i ludzie“, Cunninga „Życie w Chinach“ i Biernackiego „Nowe dziedziny widma“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 14. b. m. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 91—95.

Nr. 91. Belzebub (właśc. Baal-Zebub), t. zn. pan much, bożek fenicki; Żydzi, upatrzywszy w czci, jemu oddawanej, kult dyabła, nazwali księcia złych duchów B. em, przekształcając nieraz tę nazwę na Beelzebul, t. zn. pan przybytków (podziemnych).

Nr. 92. Śmigus l. śmigurst (z niem. Schmeckostern), zwany też dyngusem (z niem. Dünguss), dawny zwyczaj, znany w Polsce, oblewania się wzajemnie wodą w poniedziałek wielkanocny. Nazwa wskazuje pochodzenie niemieckie, choć np. Gloger w swej „Księdze rzeczy polskich“, gdzie szeroko omawia ten zwyczaj s. 420—2., przeczy temu i odnosi rzecz całą do czasów wspólności indoeuropejskiej.

Nr. 93. Trzej bracia Łozińscy: Walery (1838—61.), powieściopisarz b. zdolny, autor pięknych powieści p. n. „Szlachcic chodaczkowy“, „Szaraczek i karmazyn“, „Czarny Matwij“, „Zaklęty dwór“ i in.; Władysław (ur. 1843.), b. redaktor „Gazety lwowskiej“, autor powieści „Pierwsi Galicyanie“, „Czarna godzina“, świetnych „Opowiadań Imci P. Wita Narwoya“ i „Oka proroka“, szkiców „Z estetyki i życia“, wreszcie wspaniałego dzieła 2-tom. o „Lwowie starożytnym“ i „Sztuki lwowskiej w XVI. i XVII w.“, wytworny stylista i pierwszorzędny znawca sztuki polskiej. Bronisław, em. radca namiestnictwa, autor poważnych studyów z zakresu prawa i nauk społecznych i politycznych, jak „O wojnie“, „Infamia“ itp.

Nr. 94. Minister dla Galicyi jest członkiem rządu austryackiego cz. gabinetu, jako minister bez teki, t. zn. bez określonego wydziału spraw, albowiem jego zadaniem jest zastępstwo i obrona spraw tego kraju w rządzie centralnym. Pierwszy piastował tę godność w 1871. r. Kazimierz Grocholski, obecnie dzierży ją dr. Leonard Piętak (prw. o nim nr. 4. Przyjaciela).

Nr. 95. Fizyologia (z gr. fyzis = przyroda, logos = słowo. nauka) cz. żywotoznawstwo, jestto nauka, zajmująca się wyłacznie czynnościami prawidłowemi, odbywającemi się w ustrojach żywych, tak roślinnych, jak żwierzęcych; zadaniem jej jest badanie tych objawów i wykrywanie praw przyrodniczych, które rządzą nimi.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 28. b. m.

(wszystkie) Auditor (znakomicie), Kędzierski, Kobierzycki (wybornie), Mann, Michalewicz, Studiosus; (91—3, 95) Stamm; (91, 93—5), Garstmann, Vietor; (91, 93, 95) Bloch, Otfinowski, Traunfeller; (92—3, 95) Prajer, Prajerówna; (93—5) Bykowski, Cetnarski, Gimnazyalistka, Wiktor; (91, 95) Masiuk; (93, 95) Chrzanowski, Pordes; (94—5) Biegelmeyer, Galvani, Wysocki; (95) Jabłonowski.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Cetnarski (Roguskiego), Wiktor (ks. Brykczyńskiego) i Biegelmeyer (Kramsztyka).

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Do wszystkich Czytelników. Prosimy o podpisywanie wszelkich pism do Redakcyi pełnem imieniem i nazwiskiem; obok tego można podać pseudonim, pod którym piszący pragnie wymienienia go w razie trafnego rozwiązania zagadnień naukowych, odpowiedzi w skrzynce naszej i t p. Nie uwzględniamy i nie będziemy nadal uwzględniali pism bezimiennych lub podpisanych tylko pseudonimami. — Wobec licznych zapytań o rozmiary prac na konkurs II., ogłoszony w nrze 7., oświadczamy, że nie zakreślamy żadnych granic; chodzi nam jedynie o wyczerpującą odpowiedź na pytanie postawione. Wyrok sądu konkursowego I. i nazwiska odznaczonych ogłosimy dopiero w numerze 10. z powodu braku miejsca i czasu.

ab. Najlepszy poradnik o czytaniu Kozłowskiego „Co i jak czytać?“ (3 *k* 90 *h*) O program Akademii wojskowej należy zwrócić się wprost do niej, jeśli nie ma go dyrekcya gimn. *Adast.* Prw. uwagę na czele skrzynki. — *W. Dom* Dzięki za popieranie pisma. — *Emanus.* Po ogłoszeniu wyroku napiszemy osobno listownie. Pism swych młodych przyjaciół nie uważamy za „napaść“, owszem cieszymy się, gdy „napadają“ nas jak najczęściej, a smucimy, gdy nie możemy odpowiadać równie często i obszernie. — *Gimnazyalistka* (nie Gymnazyalistka). Cieszy nas wstąpienie w szereg rozwiązujących nasze zagadnienia, zwłaszcza że odpowiedzi były b. dobre. *J. Głow. Nil desperandum!* Prw. odpowiedź, daną *ab.*, nadto co do estetyki i krytyki, część II. „Poradnika dla samouków“ (2 *k* 10 *h*). Esteja — hr. Skórzewska. O najnowszych kierunkach w dziejach umysłowości ludzkiej Struvego „Anarchizm ducha“, ale bardzo stronniczo; reszta później — *Jugora.* Kallenbacha „Mickiewicz“, około 10 *k*, Matuszewskiego „Dyabeł w poezy“ 3 *k* 20 *h*; z Małeckim radzimy się wstrzymać, bo z końcem roku wyjdzie nowe wydanie uzupełnione — *Sfinks.* Z *ego* powstało franc *je* drogą następującą: eo, ieo, jeo, jo, je. Potwierdzenie w łać. wyraża się rozmaicie stosownie do myśli pytania. Sprawa *multum tempus* jest obojętną. Adres poprawiono. *Brolis* = M. Szołkowski, nowelista warsz. Prosimy o poparcie, od tego zależy rozszerzenie pisma. — *Widy.* Umieścimy przy sposobności najbliższej. — *A. Wikt.* Prw. odp. na początku skrzynki. Szczęście sprzyjało tym razem (nie: tą razą). — *Φίλος.* Zadania szachowe następczają pewne trudności drukarskie, a miłośników pomiędzy czytelnikami nie znalazły dotychczas. Reszta później.



Od Administracyi.

J. St. w Samb. Należy się jeszcze 1 kor. 26 h.

Sprostowanie.

W nrze 8. s. 91. w rzeczy „O Sejmach w Polsce“ w szpalcie pierwszej w wierszu 10. z góry po słowach „gdy trzeba było“ należy dodać: „zgodzić się na nowy podatek, ale także w wypadkach innych, np. gdy trzeba było“.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia). Redaktor przyjmuje w każdą sobotę (z wyjątkiem świąt) w godz. 5—6 wieczorem.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:

Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 9[: *W. Mrsztik*, W maju. — Rozdział XXVII z „Pieśni o Rolandzie“. — *Brolis*, Czarnoksiężnik (baśń z XVII. w. dok.) — *B. Gubrynowicz*, Henryk Sienkiewicz (c. d.) — *J. Amborski*, Szkice z dziejów piśmiennictwa franc. III (dok.) — *E. Romer*, O wieku ziemi (dok.) — *E. Bobrów*. Rozmaite typy światopoglądu etycznego II. — *Kropka*, Pogadanka. — Rozmaitości. — *Sfinks*, Łamigłówka. — Zagadnienia naukowe, skrzynka pocztowa redakcyi i administracyi. — Ryciny: *J Matejki* Pierwszy sejm w Łęczycy, *St. Witkiewicza* Mgła wiosenna.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 16. maja 1900.



Rok II.

Nr. 10.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Idea nie może stanąć, nie może się zatrzymać ani chwili. Gdy staje — umiera! Ta troska o jej życie, o jej rozwój jest naszą Golgotą i naszym rajem, naszem szczęściem i męczarnią — *Sewer-Maciejowski.*

Świat cały przycisnąć do piersi...

Powiastka rosyjska J. M. Potapienki.

Miałem lat 18 i nikt nie rozumiał mej choroby. Miałem lat 18 i nikt nie domyślał się, że to właśnie jest mą chorobą. A tak! młodość to — choroba, to gorączka, rozpalająca krew aż do szaleństwa.

Miałem lat 18, gdy mię spotkało nieszczęście. Charakter mój zmienił się bardzo. Dotychczas byłem wesół, nie znałem troski, gotów byłem całemi godzinami w towarzystwie przyjaciół pleść wszelkie możliwe nonsensy, jak dziecko dokazywać i śmiać się, mimo żem był wielki i na górnej wardze podwaliny przyszłych wąsów zaczęły mi się zarysowywać, — nagle popadłem w chmurną melancholię. Zacząłem szukać samotności, unikać towarzystwa, zamykać się sam na sam w swoim pokoju, w zamyśleniu przechadzać się z kąta w kąt, nie mogąc uwolnić się od jednej myśli natarczywej. Po jakim tygodniu zmieniłem się do niepoznania. Z lic moich znikły rumieńce, oczy stały się wielkiemi i głębokiemi, na czole pojawiły się zmarszczki, a na twarzy jakiś wyraz przykrego doświadczenia. Nic nie zdołało już wywołać mego dawniejszego wesołego uśmiechu, w którym było tyle dziecinnej ufności.

Rzuciłem w kąt wszystkie książki, spoglądałem bezmyślnie na profesorów, gdy zadawali mi pytania, ja — jeden z najlepszych uczni w klasie VIII., którego zamierzano odznaczyć i którym chlubili się tak wychowawcy, jak rodzice! Wreszcie doszło do tego, żem wywołał zdumienie nietylko między kolegami, dyrekcyi i rodziców, ale nawet pośród mieszkańców miasta. Wszyscy dowiedzieli się, że kupiłem sobie rewolwier, pisałem listy pożegnalne i już chciałem przyłożyć zimną lufę do skroni . . . ale w tej chwili, jak prawie zawsze bywa w takich razach, ktoś wpadł do mego pokoju i przeszkodził mi w tem.

Wtedy postanowiono zwrócić na mnie szczególniejszą uwagę. Ze wsi przyjechał ojciec, przyszli lekarze, oglądnęli mię, wybadali i skazali na wypoczynek. Ale nikt nie rozumiał mojej choroby, nikt, nikt! Nie miałem po czem wypoczywać. Uczyłem się z wielką łatwością, tak żem się nie męczył wcale. Ale miałem lat 18, a o tem nikt nie chciał pamiętać.

Stało się to w okresie wielkiego postu, na dwa tygodnie przed Wielkanocą. Pocieszano się, że podczas świąt wypocznę sobie dostatecznie i tym sposobem nie stracę czasu, a po Wielkanocy wrócę do swych studyów. Ojciec zawiózł mię na wieś. Ach, co za tryb życia mi tam wymyślili! Otoczony czułą opieką ojca, matki i swej 16-letniej siostry Nadzi, która opuściła wcześniej pensyonat ze względu na mnie, ażebym nie czuł się osamotnionym, miałem ręce i nogi związane temi pętami, narzuconemi mi przez miłość drogich sercu osób. Nie miano nawet wyobrażenia, ile mąk mi sprawiał każdy objaw czułej pielęgnacyi, a te objawy powtarzały się co chwila! Ale cóż! Stosowano się tylko do rady lekarza, który przyjeżdżał przynajmniej 3 razy tygodniowo z miasta i powtarzał: „Spokój, spokój, spokój, bezwzględny spokój! O ile możności jak najmniej wrażeń. Jego mózg, jego nerwy muszą spać; muszą się wyspać, aby potem odzyskać dawną siłę". Wskutek tego też nikt nie przyjeżdżał do nas, jakby zapomniano o domu naszym, który zawsze wabił ku sobie sąsiadów swą gościnnością niewymuszoną. Nie puszczano mnie nigdzie, gdziekolwiek zebrało się więcej osób, niż trzy, cztery. Pozwalano mi tylko przechadzać się po naszym ogrodzie, który przylegał do dworu.

A trzy pary oczu, z których żarzyła gorąca miłość ku mnie, śledziły mię co godziny, co minuty, wiecznie! Najprzykrzejszemi były dla mnie spojrzenia siostry. Kochaliśmy się wzajem bezgranicznie i zwierzali się sobie wespół z najskrytszych myśli i uczuć. Wyrośliśmy razem i nauczyli się myśleć i czuć głośno. Niebyło tajemnicy między nami. Ale teraz nagle siostra uczuła, że ściana jakaś wyrosła między nami. Przyjechała gwoli mnie z miasta, ale nie starała się nawet przeniknąć w głąb mej duszy. Po pierwszym już spojrzeniu, którem ją powitałem, zrozumiała, że jej tam nie puszczę, żem już inny, całkiem inny. I jej wielkie piękne oczy, pełne miłości i współczucia, z głębokiem smutkiem spoglądały na mnie i widziałem w nich cichy, milczący wyrzut. Ale byłem wtedy dzikim sobkiem i myślałem li o sobie. Jej oczy nie robiły na mnie wrażenia. Niekiedy jednak zdawało mi się, że tylko jedna siostra mię rozumie. W pewnych chwilach zatwardziałego milczenia zdawało mi się, że ma już na ustach wyrazy, którymiby mogła okazać, iż rozumie moją tęsknotę. Ale wtedy odpowiadałem jej chłodnem spojrzeniem i słowa zamierały jej na ustach. Tym sposobem nie wyspowiadaliśmy się przed sobą ze swych myśli.

Ale naraz wszystko wyjaśniło mi się zupełnie. Nadeszła ostatnia niedziela postu. Zaczęły się już przygotowania wielkanocne. Siedzieliśmy u stołu przy obiedzie — ojciec, matka, siostra. Wtem przywieziono list z miasta. Spojrzałem tylko z ukosa na pismo adresu i w jednej chwili odwróciłem oczy. Zdawało mi się, że wszystko już wypisano w mych oczach i wszyscy to wyczytają. Poznałem, że to list od naszej kuzynki Maryi Aleksandrównej (nazywano ją u nas Manoną). Była wtedy zarazem przyjaciółką mojej siostry Nadzi.

Manon nie miała blizkich krewnych. Żyła w pensyonacie, gdzie i Nadzia pobierała nauki, natomiast święta spędzała u opiekuna, którego niebardzo kochała. Pisała, że pragnie przyjechać do nas na całe święta, i prosiła, ażebyśmy na nią czekali jutro. Rodzice przyjęli tę wiadomość ze spokojnem zadowoleniem. Lubili Manonę. Ładniutka, fertyczna, żywa, wesoła, zalotna dziewczyna ożywiała dom cały.

Ale właśnie przy tej sposobności zrozumiałem, że Nadzia dawno już wyczytała z mych oczu prawdę.

„Manon?" zawołała, gdy list odczytano. „Manon!" Nie powiedziała nic nadto, ale w jej spojrzeniu, w tonie, w całej twarzy widniał przestrach. Tak jest, widziałem to dobrze!

Nazajutrz Manon przyjechała. Było to dziwne spotkanie. Na jej pozdrowienie, dość naturalne, odpowiedziałem chłodnem kiwnięciem głowy i ledwiem dotknął jej dłoni. Ale ona, jakby nawet nie domyślała się mej „choroby", poczęła paplać, śmiać się, opowiadać jakąś niezwykle śmieszną przygodę w podró-

ży, a przytem manewrowała swemi przecudnemi, niebieskiemi oczkami tak dziwnie, że serce mi skakało w piersi. Rodzice śmiali się, natomiast siostra siliła się na uśmiech i wciąż spoglądała na mnie z głębokiem współczuciem, na nią zaś z wyrzutem. Tak, bo ona mię rozumiała! A Manon? Czyż ta mnie nie rozumiała? O, lepiej niż ktokolwiek inny... A przecież tak bezbożnie kokietowała mnie, bezlitośnie ciskając w me serce strzałę po strzale swemi uroczemi, jasnemi oczkami. Ot, poprostu stroiła sobie żarty z mego gługiego 18-letniego serca. Wobec tego zamknąłem się w sobie zupełnie. Jeżelim dotychczas okazywał uległość wobec pieczołowitości rodziców i starał się im odpowiadać na pytania, to teraz zamilkłem całkiem. I widziałem, że to nie boli nikogo tak, że nikt nie cierpi wskutek tego tak, jak siostra moja Nadzia. W ciągu kilku dni ostatnich zmieniła się też tak, jak ja, jakgdyby przeżywała mój dramat razem ze mną. (D. n.)



Kochaj!

Patrz! stulistne kwitną róże,
W cichym kwitną śnie:
Kochaj wichry, kochaj burze, —
Róż nie kochaj, nie!

Chór słowików piosnkę śpiewa,
Rozkochany chór,
Księżyc lekko srebrzy drzewa,
Srebrzy rąbki chmur.

Zostaw piosnki o miłości
Tym, co żyją w śnie!
Wejdź do kraju, gdzie ból gości, —
Róż nie kochaj, nie!

A natomiast kochaj burze
Co wciąż płyną w dal,
Kochaj grom, co drzemie w chmurze,
Ryki morskich fal!

Kochaj walkę straszną, długą,
Kochaj mężnych zgon,
Kochaj krew, co płynie strugą
Z poszarpanych łon!

Kochaj wielki jęk boleści,
Co się w niebo wzbił,
Kochaj głos, co tryumf wieści
Wiecznych ducha sił!

Jan Nitowski.

Henryk Sienkiewicz.

(Ciąg dalszy).

Również wspaniale odtworzył Sienkiewicz wielkie sceny dziejowe w „Potopie". Powieść ta stanowi dalszy ciąg opowiadania o smutnych wypadkach z okresu Jana Kazimierza; ton, nastrój i koloryt są w niej tak samo podniosłe i barwne, jak w „Ogniem i mieczem", zmieniają się jedynie częściowo bohaterowie i miejsca, na których odgrywa się wielki dramat dziejowy: najazd szwedzki na Polskę.

U wstępu opowiadania jesteśmy na Żmudzi w domu Oleńki Billewiczównej, sieroty, której zmarły dziadek testamentem na męża przeznaczył nieznanego jej Andrzeja Kmicica; wkrótce poznajemy i jego, a odrazu odczuwamy, że będzie to innego pokroju bohater, jak Skrzetuski: wesoły i gwarny, obcesowy i porywczy, despotyczny i gwałtowny, junak nieokiełzany i namiętny, przytem jednak szlachetny, w dobrej kompanii dobry, w złej zaś występny, jednem słowem — natura szczeropolska i szlachecka. Szlachetnej Oleńce podoba się zrazu, gdy jednak niecne sprawki jego wychodzą na jaw, gdy nie umie swych wybryków zaprzestać i z towarzyszami hula bez opamiętania, w sercu jej wybucha walka między miłością a oburzeniem: „Musisz wybierać między mną a tymi rozbójnikami, — nigdy nie pójdę za takiego, na którym ciążą łzy ludzkie i krew, którego banitą i rozbójnikiem zowią"... A kiedy słowa te nie wywarły skutku, powiedziała mu dziewczyna: „Precz — na wieki!"

Prolog ukończony i z tą chwilą rozpoczynają się przygody Kmicica, które zrazu wtrącają go coraz głębiej w przepaścistą otchłań występków, następnie jednak po przejrzeniu podnoszą, uszlachetniaja i czynią coraz bardziej godnym ręki dzielnej i szlachetnej Oleńki.

W tej pierwszej epoce upadku widzimy naszego bohatera oplątanym siecią zdradnych słówek Radziwiłłowskich, stronnikiem partyi szwedzkiej, dążącej do zdetronizowania Jana Kazimierza i pragnącej oddać władzę królewską w ręce króla szwedzkiego, Karola Gustawa. Janusz Radziwiłł, hetman litewski, zuchwały magnat, którego pycha popchnęła w objęcia zbrodni, był tym złym duchem

Kmicica; niedoświadczony rycerz zaufał mu tak dalece, iż przysiągł mu na krucyfiks wierność dozgonną. Kiedy jednak dostał do rąk dowody perfidyi ks. Janusza, kiedy odkrył, jakie to niecne plany knuje brat tegoż, ks. Bogusław, kiedy poznał nakoniec, iż dotrzymując im obu wierności, sam staje się zdrajcą kraju i zaprzedawczykiem bez czci, w tej chwili postanowił unicestwić zamiary Radziwiłłów i zemścić się na nich. Porwał więc ks. Bogusława z pośród jego własnego dworu i wojska; nie dopilnował się jednak — książę chwycił w szczęśliwej chwili pistolet, wypalił mu w sam łeb i umknął, a Kmicic padł bez ducha na drodze.



St. Lentz, Podobizna J. A. Święcickiego.

Moment to przełomowy; z nim bohater nasz rozpoczyna ekspiacyę swych win. Przyszedłszy do zdrowia, idzie wiernie służyć ojczyźnie nieszczęśliwej pod przybranem nazwiskiem Babinicza. Do Częstochowy przynosi pierwszy wiadomość o zamiarze szwedzkim oblężenia jej, bierze następnie udział w jej obronie, męstwem swem i odwagą szaloną oswobadza klasztor jasnogórski, a wydostawszy się z rąk szwedzkich, rzuca się dalej w wir wojenny, ocala życie królowi walczy z zaciekłością przeciw wrogom i czeka tylko niecierpliwie chwili, kiedy los pozwoli mu stanąć oko w oko z ks. Bogusławem do walki śmiertelnej. Imię Babinicza słynie po całej Polsce, jest synonimem bohaterstwa — tak jak imię Kmicica było synonimem swawoli i niecnót. W bitwie pod Prostkami spotkał się wreszcie ze swym wrogiem. Walczą — Bogusław ranny pada na ziemię, Kmicic stawia mu nogę na piersiach, a koniec szabli na gardle, darowuje mu jednak życie, bo z ust jego dowiaduje się, iż w razie jego śmierci zgładzą Oleńkę, przebywającą w Tanrogach. Było to kłamstwo, Kmicic jednak uwierzył i jakby za pokutę, że swej prywatnej sprawie dobro ojczyzny poświęcił i zdrajcy nie zabił, idzie dalej walczyć. Teraz polem jego bohaterskich czynów Żmudź, gdzie niesie uciśnionym pomoc nagłą i niespodziewaną i już zamierza pośpieszyć do swej ukochanej do Wodoktów, upaść jej do nóg i prosić o przebaczenie — już niedaleka przestrzeń dzieli go od miejsca, w którem przebywa Oleńka, gdy przychodzi wezwanie do udziału w nowej wojnie z Rakoczym. Chwila wahania, niepewności, a wreszcie zwycięstwa nad sobą. Poszedł: „a w rejestrze niebieskim, w którym zapisują złe i dobre uczynki ludzkie, przemazano mu w tej chwili wszystkie, bo to był człowiek zupełnie poprawiony". Że Kmicic wrócił, że został rehabilitowanym, że otrzymał swą Oleńkę, o tem opowiadać nie trzeba, bo takim jest zwykle koniec bohaterów w powieści.

Ciekawe przygody Kmicica tak zajmują nietylko czytelnika, ale i krytyka, iż o innych postaciach w „Potopie“ wprost zapomina. A jak przepyszne są tam kreacye! Dwaj Radziwiłłowie wymodelowani arcymisternie, jak postaci z portretów Van Dycka lub Velasqueza. Król Jan Kazimierz, ksiądz Kordecki, Jan Zamojski, Sobiepan, Stefan Czarniecki i inni współaktorowie historyczni, ze strony szwedzkiej Karol Gustaw, Müller — każdy nakreślony wyraziście, z wiernością dziejową i podziwiać tu należy talent wielki powieściopisarza, który umiał każdą z tych postaci przedstawić bądźto zajmującą, bądźteż w pięknym i potężnym obrazie. Należy dodać, że nie uchybił w niczem prawdzie dziejowej

Z postaci nierzeczywistych kilka znamy już z „Ogniem i mieczem“, do charakterystyki Zagłoby nie przybywa żaden rys nowy, natomiast wypełnia się postać Rzędziana, dawnego pachołka Skrzetuskiego. Polski Sancho-Pansa teraz staje się nam zrozumiałym, możemy przejrzeć duszę jego, w której łakomstwo na dobro doczesne góruje nad wszystkiem. Obok niego w jak innem świetle przedstawia się Roch Kowalski, przepyszny dowód bogatych zasobów humoru Sienkiewiczowskiego!

Krajobrazy w „Potopie“ mniej wielkie i mniej pyszne, niż w „Ogniem i mieczem“, lecz — jak to Klaczko podniósł — Litwa i Mazowsze to nie Ukraina, a opis Karpat może i pod tym względem wytrzymać porównanie. Podobny sąd należałoby również wydać o odmalowaniu potyczek i bitew ze Szwedami. (C. d. n.)

Bron. Gubrynowicz.



J. Stanisławski, Wieczór.

O sejmach w Polsce.

II.

(Dokończenie.)

Król znów musiał się poddać i każdemu województwu (ziemi) dał statut. Najważniejszem było to przyrzeczenie, że odtąd król nie będzie ani nowych praw stanowić, ani szlachty na pospolite ruszenie wołać bez zezwolenia sejmików ziemskich. Odtąd zatem sejmik ziemski, na który zjeżdżała się wszystka szlachta, rozstrzygał o tem, czy należy powo-

łać pospolite ruszenie i czy, oraz jakie podatki powinno się płacić. Tak więc doszło do tego, że o potrzebie całego państwa radziło kilka sejmików — każdy osobno! Kazimierz Jagiellończyk, który ustawicznie walczył z możnowładztwem, zwłaszcza duchownem, uchylającem się od płacenia podatków, rad był bardzo sejmikom, bo wspierały go w tej walce, możnowładztwo zaś także rade im było, bo miało znów sposoby wywierania wpływu na sejmiki. W czasie panowania tego króla trzeba było co roku zwoływać sejmiki, gdyż trzynastoletnia wojna z Zakonem pochłaniała wielkie sumy. Postępowano przytem w sposób następujący. Król z radą dostojników duchownych i świeckich układał wniosek na nowy podatek i projektował jego wysokość. Wniosek ten odchodził na sejmiki. Aby na nich wywołać uchwałę taką, jakiej sam pragnął, król niejednokrotnie sam objeżdżał sejmiki. Z czasem okazało się to jednak niewygodnem, powstał więc nowy zwyczaj. Szlachta kilku ziem sąsiednich obierała na swoich sejmikach posłów, którym dawała instrukcye (wskazówki), co mają mówić i z czem się oświadczyć, i wysyłała ich na sejmiki dzielnicowe, gdzie ci posłowie schodzili się z innymi. Zwykle małopolskie sejmiki posyłały swych posłów do Nowego Miasta Korczyną, wielkopolskie do Koła, ruskie zaś do Sądowej Wiszni. Zamiast tedy jeździć po wszystkich sejmikach, miał król w trzech miejscach zebranych pełnomocników szlachty; nadto wiele szlachty przybywało tam dobrowolnie. Wreszcie i ten sposób okazał się niewygodnym i od czasów Jana Olbrachta król zwoływał posłów, których sejmiki wybrały, w jedno miejsce, zazwyczaj do Piotrkowa, dokąd zjeżdżał wraz ze swoją radą. Tym sposobem w jednem miejscu utworzyły się dwie izby: senat, złożony z rady królewskiej, i izba poselska, złożona z pełnomocników, wybranych przez sejmiki

Tu jednak zaraz należy zaznaczyć, że posłowie, wybrani na sejmikach, wyobrażali tylko sejmik swojej ziemi i byli związani instrukcyą, daną im przez sejmik. Na sejmie wypowiadali nie swoje własne zdanie, ale zdanie sejmiku. Jeżeli więc jeden sejmik nie godził się na podatek, proponowany przez króla, to posłowie tego sejmiku, przybywszy na sejm do Piotrkowa z instrukcyą, aby na podatek nie przystawać, musieli się trzymać instrukcyi i nie pozwalać na podatek, choćby wszyscy inni posłowie (wszystkie inne sejmiki) na to się godzili. Dla uzyskania zatem uchwały jednomyślnej trzeba było posyłać kogoś na ów oporny sejmik i nakłaniać szlachtę, aby zgodziła się na podatek żądany. W samych już początkach istnienia sejmu mógł więc głos jednego posła udaremnić uchwałę. Izba poselska bowiem była tylko kongresem (zebraniem) przedstawicieli sejmików. Każda ziemia uważała się za osobne niejako państwo, które nie czuło się obowiązanem do poddawania się uchwale państw (ziem) innych. Ta właśnie odrębność ziem była smutnem następstwem tyloletniego rozbicia Polski na dzielnice.

Sejmik wysyłał tylu posłów, ilu chciał, zwykle 2, czasem 3 lub 4. Liczba posłów nic nie stanowiła, bo na sejmie nie było głosowania, ale na wszystko musiała być jednomyślność. Posłowie dostawali od sejmiku instrukcye i tych musieli się trzymać. Królowie starali się wprawdzie, aby nie krępowano posłów instrukcyami, niekiedy też to się udawało, ale zwyczaj dawania instrukcyi przeważył. Posłami wybierały sejmiki zwykle dygnitarzy ziemskich: podkomorzych, sędziów, podsędków, chorążych. Posłowie pobierali dyety z powodu, że drożyzna panowała w czasie zjazdu sejmowego.

Jak więc wyglądał Sejm walny? Składali go: król, senat i przedstawiciele sejmików. Senat składał się z biskupów, wojewodów, kasztelanów i urzędników dworskich: kanclerza, podkanclerzego, marszałka i obu podskarbich (koronnego i nadwornego); stanowił radę przyboczną króla, zbierał się na każde jego zawołanie, bez względu na to, czy był Sejm, czy też nie, obradował pod jego osobistem przewodnictwem, zastanawiał się nad tem, w czem król pragnął jego zdania zasięgnąć, czyto nad ustawodawstwem, czy nad rządem kraju, czy nad prowadzeniem wojny i rokowań dyplomatycznych. Naród-szlachtę reprezentowali (zastępowali) w Sejmie posłowie, wybrani na sejmikach; obradowali w osobnej Izbie poselskiej pod przewodnictwem marszałka poselskiego, którego sami sobie obierali. Uchwały Izby poselskiej stawały się prawem, jeżeli senat i król

zezwolili na nie poprzednio. W ważnych sprawach Izba poselska przychodziła do króla, otoczonego senatem. Kanclerz (podkanclerzy), a czasem król sam osobiście, przedstawiał sprawę, którą należało rozstrzygnąć. Marszałek Izby poselskiej lub inny poseł mowca oświadczał królowi zdanie, jakie o tej sprawie ma Izba poselska. Następnie na rozkaz króla senatorowie wypowiadali swe zdanie porządkiem starszeństwa (wotowali). W senacie zasada jednomyślności nie miała żadnego znaczenia i król nie kierował się zazwyczaj względem na ilość głosów, za jakiemś zdaniem przemawiających, ale raczej względem na to, jakie zdanie o sprawie mają senatorowie najwybitniejsi. Do zadań Sejmu należało uchwalanie podatków nadzwyczajnych i zmiana praw istniejących. Ponieważ podatki uchwalano zawsze tylko na rok jeden, a potrzeba pieniędzy nie ustawała, dlatego też początkowo zwoływano Sejm co rok, zazwyczaj porą zimową.

Trzeba przyznać, że szlachta była powolną życzeniom królów: Kazimierza Jagiellończyka i synów jego, Jana Olbrachta i Aleksandra, i na wezwanie królewskie stawiała się pod broń, uchwalała i płaciła podatki, zwłaszcza zaś, gdy widziała, że także duchowieństwo, możnowładztwo, a nawet i sam król, nie uchylają się od obowiązku płacenia podatków. W zamian za to zyskała sobie szlachta bardzo daleko idące przywileje i to kosztem włościan i mieszczaństwa.

Alojzy Winiarz.

Finlandya i Finowie.

II.

Język, poezya ludowa: Kalewala i Kanteletar.

Język fiński, znany przez Finów suomi należy do grupy czudzkiej (l. fińskiej) wielkiej rodziny językowej, znanej pod nazwą uralsko ałtajskiej l. fińsko-tatarskiej; jestto więc, jak cała ta rodzina, język przyczepkowy (aglutynacyjny). Obfitość samogłosek (9), nadaje mu dziwną miękkość, iloczas zaś rytmiczność (smgł. podwojona = długiej); dwugłosek właściwych nie posiada, bo każdą z 2 samogłosek, stykających się bezpośrednio wymawiać należy osobno. Uderza ubóstwo spólgłosek, mianowicie brak mu *b*, *c*, *f*, *z*, oraz zmiękczonych ((*sz*, *ż*, *cz*, *ń*, *ć* i t. d.) Zbieg 2 spółgłosek dopuszczalny li w środku wyrazu; na końcu znajdujemy albo samogłoskę, albo tylko pojedyńcze *n*, *s*, rzadziej *r*, *l*, *t*. Przycisk pada zawsze na zgłoskę początkową. Wyrazy i ich odmiana tworzą się przez przyczepianie pewnych przyrostków do pni (osnów), przyczem obowiązuje tzw. harmonia samogłosek, tzn. po pniach z smgł. twardemi muszą następować przyrostki z smgł. twardą, po miękkich miękkie. Przyrostków jest ogromna ilość (w odmianie rzeczowników np. 15). Znamię liczby mnogiej stanowi *i* lub *t*. Odmiana słowa jest jeszcze zawilszą. Słownik wykazuje mnóstwo wyrazów pochodzenia germańskiego i słowiańskiego [1]).

Póki Finlandya pozostawała pod wpływem cywilizacyjnym Szwecyi nieograniczonym, tzn. po rok 1809., język fiński lekceważyły warstwy oświecone, jako język „gminu". Dopiero przyłączenie do Rosyi, która starała się usunąć wpływy szwedzkie, z jednej strony, a z drugiej prąd romantyczny, który przebiegł całą Europę, wszędzie wynosząc na piedestał poezyę ludową, przywróciły językowi temu prawa należne. Gdy u nas wzorem Kołłątaja i Chodakowskiego Wójcicki, Gołębiowski, W. Zaleski (Wacław z Oleska), Ż. Pauli i in. rzucili się do zbierania pieśni ludowych, w Finlandyi językoznawca Eliasz Lönnrot wędrował od wsi do wsi, gromadząc skwapliwie wszelkie pieśni (*runo-t*), przysłowia, zaklinania itp. Uporządkowawszy materyał swój, doszedł do przekonania, że cały szereg pieśni można uważać za ogniwa wielkiego cyklu epickiego; złączył je więc razem i wydał w r. 1835. w 32 runach, a 12.000 wierszach ośmiozgłoskowych, jako *Kalewalę* (tzn. kraj bohaterów cz. Finlandya). Drugie wydanie z r. 1849. objęło już run 50, a wierszy 22.785 i stało się miarodajem dla dalszych, oraz dla tłumaczeń (niem. Schiefnera 1852., franc. Léouzona le Duca z r. 1868. [2]). Drobne

[1]) Gramatyki praktyczne, a krótkie i tanie, tylko niemieckie: Wellewilla w zbiorze Hartlebena (Die Kunst der Polyglottie t. 30, 2 *k* 20 *h*) i Kockströma „Kurze Gramm. d finn. Spr. Helsingfors 1876 (1 *k* 90 *h*).

[2]) My posiadamy tylko urywki przekładu S. Duchińskiej (Bibl. warsz. 1869. III.), F. Jezierskiego (tamże 1880. I.), oraz obszerne studyum J. Tretiaka (Przewodnik nauk. i liter. 1882.)

piosenki, przeważnie liryczne (w liczbie 24.000 wierszy) zjął Lönnrot w tom, który nazwał „Kanteletar“ (Córką kanteli, tj. 5-strunowej cytry fińskiej) i ogłosił po raz pierwszy w r. 1840.

Kalewala wywołała entuzyazm wśród Finów i stała się punktem wyjścia dla nowoczesnego piśmiennictwa fińskiego, zagranica poznała z niej duszę ludu, przedtem mało jej znanego. Boteż, jeśli Lönnrota zwą słusznie Homerem fińskim, to ów epos jest rodzonym bratem poematów homerowych. W nim lud północny złożył „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“, a w jego głównych bohaterach uwieńczył swe ideały szczepów, które zamieszkują Finlandyę. Taki starzec Wejnemejnen, wieszcz i pieśniarz (runoja), mądry, poważny, uzdolniony poeta i guślarz wszechpotężny · to typ Fina; jego brat, kowal Ilmarynen, praktyczny, pracowity, wytrwały, ale prozaiczny, posiada wszystkie cechy chłopa tawastyjskiego; wesoły zaś i lekkomyślny Don Juan, pochopny do zwady i bitki Leminkejnen, to typ dzisiejszego Karela. Wypadki rozgrywają się na tle mitycznem, zrazu brniemy w ciemnej kosmogonii, ale im dalej, tem więcej rzecz cała się uczłowiecza, choć nie pozbywa się nigdy cudowności, przewyższającej najśmielszą naszą wyobraźnię, a pieśń ostatnia wprowadza nas już nawet w wypadki z życia N. P. Maryi i „Boga-Przychodnia“ (Chrystusa), powtórzone za jakimiś apokryfami z całą domieszką wymysłów, nieopartych na Ewangelii. Tym sposobem Kalewala stanowi pomnik Finlandyi pogańskiej w chwili, kiedy pierwotny światopogląd religijny Finów chylił się ku upadkowi, by ustąpić miejsca nowemu, opartemu na wierzeniach chrześcijańskich.

Niepodobna w ramach artykułu niniejszego podawać obszernie bardzo zawiłej treści eposu, w którą wplatują się liczne epizody, nieraz kilka run obejmujące, a zawsze luźnie tylko związane z jądrem opowieści. Toteż podam tylko szkielet opowiadania; ale i to — sądzę — wystarczy, by zachęcić do poznania całości choćby w streszczeniu prof. Tretiaka. Tło dziejowe, które i w innych epopejach ludowych (np. Mahabharacie, Ramajanie, Iliadzie) stanowią zwykle walki dwu szczepów wrogich, stanowi tu nieprzejednany antagonizm między Kalewalą (Finlandyą) a Pohiolą (tzn. krajem północnym, dziś Laponią). (Dok. nast.)

Fr. Krczek.

Czy musimy spać?

(Dokończenie.)

I to nie ulega wątpliwości, że podczas snu działanie mózgu, a mianowicie jego wielkich półkul, jest zawieszone, chociaż niezupełnie, jak dowodzą marzenia senne. Skutkiem tego jest mniejszy dopływ krwi do mózgu, a rosyjski uczony, Tarchanów, przekonał się, że psy nie zasypiają, gdy je trzymamy głową na dół, przez co umożliwiamy większy napływ krwi do mózgu. O tem zjawisku przekonano się także u ludzi w pracowni fizyologicznej Mossa [1]) w Turynie. — Gdy mianowicie położono badanego człowieka na bardzo czułej poziomej wadze i zrównoważono ją dokładnie, wówczas w chwili, gdy ów człowiek zasypiał, ta część wagi, w której spoczywała głowa, podchodziła ku górze, co jest znakiem, że w naczyniach krwionośnych mózgu nie krąży już tyle krwi, ile poprzednio, i dlatego głowa staje się lżejszą. Ten sam uczony miał do rozporządzalności mularza Bertina, który wskutek upadku miał kość czaszkową załamaną i mózg nieco odsłonięty. Otóż, używając bardzo czułych ciepłomierzy, przekonał się, że ciepłota mózgu obniża się w chwili zasypiania, a podnosi przy przebudzeniu.

Fizyologowie Wilhelm Preyer (ur. 1841.) i Errera postawili t. zw. toksyczną teoryę snu, którą przez długi czas uważano za rozwiązanie zagadki snu, a która i dziś jeszcze liczy bardzo wielu zwolenników, jakkolwiek przeciwnicy, a między nimi i prof. Hermann, nazywają ją wprost niedorzecznością. Według tej teoryi powstają w czasie braku snu pewne trucizny (toksyny) w ustroju i zatruwają nasz organizm, a objawem tego zatrucia jest sen,

[1]) Mosso, znakomity fizyolog włoski współczesny, jest autorem dzieł, których poznanie polecamy czytelnikom naszym: „Strach“, „Znużenie“ i „Fizyczne wychowanie młodzieży“. *R. P.*

który usuwa działanie owych toksyn. Gdyby ich nie usunięto, a raczej nie zniszczono, musiałoby nastąpić zupełne zatrucie ustroju czyli śmierć. Przekonano się też, że młode psy, którym przeszkadzano w śnie, ginęły już po kilku dniach wśród objawów znacznego obniżenia się ciepłoty i zmniejszenia ciężaru. I ta teorya, która zdawała się rozwiązywać ciemną dla nas zagadkę snu, zbankrutowała, lub jest bardzo już blizką losu swych poprzedniczek, a nauka znowu staje w obec zagadnienia nierozwiązanego.

Jednak wszystkie, jakiekolwiek były, teorye snu, poparte doświadczeniem na źwierzętach, wykazały, że brak snu wpływa na ustrój niekorzystnie, wyniszcza go (u ludzi w pewnych chorobach nerwowych), a jeżeli stan taki trwa dłużej, może sprowadzić śmierć z wycieńczenia. Tak tedy wiemy na pewne tylko to, że spać musimy koniecznie, zmusza nas do tego zresztą sama przyroda, lecz dlaczego to się dzieje i jakie w nas zachodzą zmiany, gdy w sen zapadamy, nie wiemy, jak nie wiedzieliśmy dawniej.

B. Błażek.



Z całej Polski.

Sejm krajowy w Galicyi obradował do dnia 5. maja, poczem jego sesyę zamknięto z powodu tego, że wielu posłów, zasiadających także w Radzie państwa, musiało wyjechać do Wiednia na zapowiedziane tam posiedzenia. Skarżono się tedy w Sejmie, że to krajowe, a dziś jedyne polskie ciało ustawodawcze tak krótko tylko mogło obradować nad sprawami publicznemi, że mu nie dano (zależy to od rządu centralnego w Wiedniu) dość czasu na załatwienie tych wszystkich spraw, których załatwienie było w programie tegorocznej sesyi sejmowej.

W mowie, wypowiedzianej na zakończenie Sejmu, marszałek St. hr Badeni wspomniał o jubileuszu, jaki w r. b. święci prastara Akademia Jagiellońska w Krakowie, i wyraził na-dzieję, że wielu posłów weźmie udział w uroczystościach krakowskich.

Wszechnica Jagiellońska sposobi się do nader uroczystego obchodu pięćsetnej rocznicy odnowienia jej przez króla Władysława Jagiełłę. Do udziału w jubileuszu zaproszono kilkadziesiąt uniwersytetów zagranicznych, które obiecały nadesłać delegatów, wielu uczonych polskich i obcych, szkoły i instytucye naukowe i t. d. Rada szkolna krajowa postanowiła dzień 7. czerwca, w którym odbędzie się obchód główny, uczynić wolnym od nauki w szkołach całego kraju i upamiętnić go obchodami, urządzonymi w każdej szkole, aby młodzież miała sposobność do zastanowienia się nad doniosłością tej pracy cywilizacyjnej, jaką szkoła Jagiellońska, a z nią cała Polska, wypełniała na wschodzie Europy, będąc przez pięć wieków przedmurzem oświaty i cywilizacyi Zachodu.

Na kilka dni przed zamknięciem obrad Sejmu święciliśmy w całym kraju pamiątkę owych chwil uroczystych, gdy

przy tańcu śpiewano: Wiwat król kochany,
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie stany! —

gdy wytężono wszelkie siły, aby zapomocą mądrej ustawy z dnia 3 maja r. 1791. uratować chylącą się do upadku Rzeczpospolitą, aby przyszłość oprzeć na nowych podstawach, obowiązek chronienia jej włożyć na barki nowych obywateli, którym w tej ustawie nadano prawa.

Usiłowania takie nie zostały uwieńczone skutkiem pomyślnym — zepsuła je Targowica, pragnąca bronić tego złego, które zgubiło Polskę. Ale idee i hasła Konstytucyi 3. maja stały się drogą spuścizną dla wszystkich pokoleń Polski porozbiorowej — cały nasz rozwój w ostatnich 109 latach odbywał się w myśl tych haseł, które sprawiły, że w narodzie naszym sprawdziła się myśl słów Staszica: „Upaść może i naród wielki, zniszczeć tylko nikczemny“. Myśmy upadli — nie zniszczeli.

Śmierć święci swoje tryumfy smutne, zabierając Galicyi jednego po drugim książąt Kościoła. Przed kilku miesiącami zmarł w Przemyślu biskup łaciński ks. Łukasz Solecki, w dzień Wielkiejnocy padł nagle biskup tarnowski ks. Łobos, a w pierwszych dniach maja zeszli do grobu: arcybiskup łaciński lwowski ks. Seweryn Dąbrowa Morawski i arcybiskup grecko-katolicki ks. Julian Sas Kuiłowski. Dwaj ostatni mężowie, bardzo sędziwi, byli ludźmi r. 1848. Ks. Morawski był, zanim przywdział sukienkę duchowną, członkiem gwardyi narodowej w r. 1848. we Lwowie, a ks. Kuiłowski służył w tych szeregach polskich, które pod Dembińskim i Bemem walczyły o niepodległość Węgier.

Przez czas od śmierci arcybiskupa do zamianowania jego zastępcy rządy dyecezyi spoczywają w rękach osób, którym kapituła, t. j. zgromadzenie kanoników przy kościele katedralnym, stanowiące senat biskupi, owe rządy powierzy.

Mianowanie biskupa zależy w pierwszym rzędzie od papieża, dalej od cesarza, któremu rząd przedstawia opinie swoje i wnioski, wreszcie w pewnej mierze od kapituły. Pierwszeństwo w otrzymaniu stolicy arcybiskupiej mają zazwyczaj biskupi dyecezyi, wchodzących w skład archidyecezyi oraz sufragani.

Zmarł także w ciągu ubiegłego miesiąca ceniony powieściopisarz-humorysta Albert Wilczyński (ur. 1829). Jego „Kłopoty starego komendanta“

były kiedyś ulubioną książką, a i dziś czyta się je z wielkiem zajęciem dla zdrowego humoru i szlachetności dążeń, jakie je przenikają.

Bawił we Lwowie przez dni kilka Henryk Sienkiewicz, zaproszony przez Towarzystwo dziennikarzy polskich do wygłoszenia odczytu. Przyjmowano go we Lwowie w kołach literackich i artystycznych owacyjnie. W wyrażeniu czci znakomitemu pisarzowi wzięła także udział młodzież szkolna Powodowani czcią dla autora „Ogniem i mieczem“ uczniowie gimnazyów i szkoły realnej zgromadzili się na dworcu kolei żelaznej raz dla powitania, a drugi dla pożegnania Sienkiewicza, którego wzruszyły serdeczne i szczere okrzyki: „Niech żyje“, płynące z piersi młodzieńczej. Towarzystwo dziennikarzy wręczyło Sienkiewiczowi w darze pióro złote, symboi jego zasług dla piśmiennictwa polskiego. Ze Lwowa Sienkiewicz wrócił na Kraków do Warszawy. Dowiedziawszy się o godzinie jego przyjazdu przez Tarnów, uczniowie tamtejszych szkół średnich zebrali się licznie na dworcu i wśród owacyjnych okrzyków wręczyli Sienkiewiczowi piękny bukiet z wstęgami o barwach narodowych. Nie możemy się powstrzymać od uwagi, że cieszy nas ta cześć młodzieży, okazywana człowiekowi znakomitemu w narodzie —, czcząc go młodzież bierze na siabie zobowiązanie niezmarnowania tego dobra, które ludzie znakomici przynoszą ojozyźnie, a zarazem daje wyraz zrozumieniu prawdy, wypowiedzianej, nie pamiętam dziś przez kogo, że „wielkość się narodów z wielkich ludzi rodzi“.

K. L. W.



Nowe książki.

Kramsztyk Z., Wzrok. Warsz. 1899, str. 58. Omawia wprawdzie tylko jeden zmysł, ale najważniejszy, bo ten, na którym przeważnie spoczywa poznanie, w którego formach układa się cała wiedza o świecie fizycznym. Cała sprawa widzenia przedstawiona jest z taką prostotą i wdziękiem zaczynając od anatomicznej budowy oka, a kończąc na głębokich zagadnieniach filozoficznych, połączonych z eksteryoryzacyą czyli wyniesieniem nazewnątrz i rozmieszczeniem w przestrzeni obrazów wzrokowych: wykład potrąca o tyle nieznanych szerszemu ogółowi szczegółów, a jest jednocześnie tak barwny i plastyczny, że przeczyta go każdy zajęciem i z niemałą korzyścią.

Umiński W., Ocean i jego tajemnice. Warsz. 1899. 50 kop. Autor opisuje metody badania morza; ukształtowanie dna morskiego, które unaocznia mapką; osady nagromadzone tam; własności wody morskiej, jej ciepłotę i lody podbiegunowe; wreszcie ruchy wody morskiej; fale, przypływy i prądy morskie. Sposób opowiadania zajmujący i przystępny; liczne rysunki ułatwiają korzystanie z tej książki, uwzględniającej zresztą najnowsze nawet wyniki, zdobyte w podróżach lat ostatnich.

Oświata

Rozmaitości.

J. A. Święcicki, którego podobiznę podaliśmy na str. 112. z powodu niedawnego wyboru jego na przewodniczącego Tow. muzycznego w Warszawie, należy do umysłów, u nas niepospolitych. Miłośnik piękna (esteta, Schöngeist) każdym nerwem, umiejący odczuć je w każdem środowisku (prw. jego studya o ang poecie „A. Tennysonie“ i szwedzkich „G. Geyerze i J. Tegnérze“). szczególnie pokochał świat wschodni muzułmański i ze swych gruntownych wiadomości w tym kierunku podaje od czasu do czasu to i owo szerszemu ogółowi (np. rozprawę „Poeci arabscy przed Mahometem“). przedewszystkiem piękne przekłady z poezyi arabskiej i perskiej (np. w Obrazie literatury powsz. Chmielowskiego i Grabowskiego). Z tej sfery przeszedł z łatwością do Hiszpanii, na której cywilizacyę złożyły się w sporej mierze pierwiastki wschodnie, i dał nam wzorowe przekłady „Komedyi“ F. Lopeza de Vega (Warsz. 1881. 2·60 *k*) i 3 serye szkiców o „Najznakomitszych komedyopisarzach hiszpańskich“ (I. odb. z *Ateneum* 1879. t. II. i III.; II. i III. odb. z *Bibl. warsz.* 1881. i 1887.) Prowadzi też dział piśmiennictw wschodnich i romańskich w wielkiem wydawnictwie „Dziejów literatury powszechnej“, wychodzącem w Warszawie. Oryginalne utwory jego, jak sztuka „U wrót szczęścia“, mimo całej poetyczności, nie cieszyły się wielkiem powodzeniem; ale i je cechuje język śpiewny i poprawny, a wysoce poetyczny, właściwy wszystkim pracom tego wytwornego stylisty naszego.

Temperatura w wysokich warstwach atmosfery. Liczne podróże balonem pozwoliły zaledwie dowiedzieć się w przybliżeniu, jaka może być ciepłota w wysokich warstwach atmosfery. Dopiero wynalazek baloników, zwanych b a l l o n s - s o n d e s, dokonany przez uczonych francuskich, i systematyczne ich zastosowanie doprowadziło do tego, iż p. Fisserenc de Bort mógł przedstawić paryskiej Akademii nauk wyniki pewniejsze. Dotąd puszczono około stu tych b a l l o n s - s o n d e s, z których jeden przekroczył 14.000 metrów; 34 dosięgły 13.000 m., a 53 9.000 metr. Wykazały one, że ciepłota wysokich warstw bardzo się zmienia stosownie do pory roku. I tak —25° Cel. zapisuje balon w zimie już na wysokości 3.000 metr. podczas gdy w lecie tę temperaturę spotyka się przy 8.000 metr. Temperaturę —40° Cel. stwierdzono już przy 6000 m., gdy w końcu lata napotyka się dopiero przy 9000. Co się tyczy — 50° C., to nie spotkano jej niżej 8000, a najwyżej sprawdzono ją we wrznśniu 1898. i w lipcu 1899 r. na wysokości 12.000 metrów.

Największy dom na świecie. W liczbie olbrzymich domów, które wznoszą w swych miastach Amerykanie, odznacza się nowy budynek spółki Park-Row w Nowym Jorku. Mieszczą się w niem rozliczne biura bankowe i handlowe, korzystające z tego, że gmach wznosi się w środku miasta obok głównego pocztowego urzędu. Całkowita jego wysokość wynosi 128 metrów; piątr liczy 26;

dodając lokale pod poziomem i piętra wież, dochodzimy do 34 piątr.

Ciężar materyału, użytego na budowę, przedstawia cyfrę 65.000 ton (tona = 1000 kilogr.)

Gmach mieści w sobie 1000 biur, w których pracują 4000 osób. Jest to więc małe miasteczko, którego wszystkie części są ogrzewane parą, oświecone elektrycznością, zaopatrzone w podwójną kanalizacyę wody ciepłej i zimnej i windami osobowemi i ciężarowemi. System drutów telefonicznych, przeprowadzonych do wszystkich biur, połączony jest z główną stacyą, mieszczącą się przy wejściu do budynku. Para, potrzebna do ogrzewania, jakoteż jako siła, poruszająca maszyny elektryczne, wytwarza się w kotłach o sile 900 koni.

Szkodliwość palenia tytoniu. Lekarz petersburski, dr. Mendelsohn, zestawił statystykę bardzo pouczającą w sprawie palenia tytoniu przez młodzież. Oto rozesłał pomiędzy słuchaczy akademii wojskowo-lekarskiej i zakładu technologicznego w Petersburgu pytania (kwestyonaryusze) następujące: 1) ile lat ma zapytany i od kiedy pali; 2) ile cygar lub papierosów wypala dziennie; 3) jak często choroby narządów oddychania i trawienia pojawiają się u niego. Pokazało się, że wogóle 47·18% medyków, a 54·66% technologów używało tytoniu. Prawie $^1/_3$ z nich zaczęła palić przed 16. rokiem życia, reszta dopiero po tym roku Z odpowiedzi na 3 pytanie wynikło, że pomiędzy palącymi aż 16·09%, między niepalącymi tylko 10·69% ulegało chorobom narządów oddychania, podobnie z pierwszych 11·88%, a z drugich 9 92% chorobom narządów trawienia. Inne choroby nawiedzały 45·83% palących, a tylko 32·71% niepalących. Liczby aż nadto wymowne.



Rozstrzygnięcie konkursu I.

Na konkurs krajoznawczy, ogłoszony w nrze 1. b. r. pisma naszego, nadesłano do dnia 15. kwietnia prac 13. Komisya sędziów po zbadaniu rękopisów zebrała się 13. b. m. i orzekła:

1) forma zewnętrzna i język przeważnej części prac konkursowych pozostawia bardzo wiele do życzenia;

2) żadna z prac nadesłanych nie nadaje się w postaci dzisiejszej do druku:

3) jako względnie najlepsze przedstawiają się prace:

I. Opis wioski rodzinnej (Władysława Sikorskiego, ucznia VI, kl. gimn. III. we Lwowie),

II. Melsztyn (Leonardy Prajerównej z Przybysławic),

III. Zniesienie (Eleazara Byka z gimn. lwowskiego),

tym też pracom przypadną w udziele nagrody, wyznaczone w ogłoszeniu z nru 1., mianowicie:

I. *Glogera* Geografia historyczna ziem polskich,

II. *F. hr. Skarbka* Dzieje Księstwa Warszawskiego,

III. *St. Schnür-Pepłowskiego* Studya historyczne;

4) nadto należy przyznać dodatkowo nagrodę

IV. pracy bez napisu, podpisaną godłem *Vietor*; jako nagrodę wybrano *Kochanowskiego* „Kazimierza Wielkiego“;

5) wzmianka pochlebna należy się pracom: Siedliska (J. M. Cyprowskiego z gimn. tarnowskiego), Gródek (A. Späta we Lwowie), Skrzyszów (Bol. Bojarowicza z gimn. tarnowskiego), Widok z wieży pałacu w P.. (godło: Morti ereptus);

6) szczegóły ludoznawcze, jak podania, legendy, wywody ludowe nazw miejscowości itp., zawarte w pracach tak nagrodzonych, jakoteż we wszystkich innych, odstępuje się czasopismu ludoznawczemu *Ludowi*, gdzie ogłosi się je w formie stosownej wraz z podaniem nazwisk tych, którzy dostarczyli tych szczegółów.

Redakcya.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 101. Kto to jest Sancho-Pansa (czyt. Sanczopansa, prw. str. 113.)?

Nr. 102. Po co zbieramy pieśni, przysłowia, zabawy, obrzędy itp. rzeczy ludowe?

Nr. 103. Co to jest „apokryf“ w znaczeniu szerszem i ściślejszem?

Nr. 104. Co to jest kosmogonia?

Nr. 105. Co to jest teorya?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: Bąkowskiego „Historya Krakowa w zarysie“ (z rycinami) i Stelli-Sawickiego „Poznaj siebie samego“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 12. czerwca b. r., ponieważ nr. 11., poświęcony wyłącznie jubileuszowi wszechnicy krakowskiej, nie będzie zawierał ani rozwiązań zagadnień i zagadek, ani skrzynki pocztowej. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 96—100.

Nr. 96. Piotr du Terrail Bayard, wódz franc. (* 1476. um. 1524), z powodu niezwykłej odwagi i cnót swych zwany „rycerzem bez trwogi i zmazy“, odznaczył się w wielu bitwach za czasów Ludwika XII. i Franciszka I. (pod Medyolanem, nad Gariglianem, pod Marignanem). Nazwisko jego stało się synonimem męstwa niepospolitego.

Nr. 97. „Księciem niezłomnym“ nazwał P. Calderon de la Barca bohatera swej tragedyi (zna-

nej z przekładu J. Słowackiego pod tymże napisem) infanta portugalskiego, Fernanda, który wolał zginąć w niewoli u władcy Fezu, niż narazić ojczyznę na utratę twierdzy Ceuty.

Nr. 98. Romanse średniowieczne u nas upowszechniły się z chwilą wynalezienia druku i odtąd stały się ulubioną lekturą warstw niższych. Są to przedewszystkiem powieści z cyklu starożytnego, mianowicie: Historya trojańska, H. o Aleksandrze W., H. o 7 mędrcach, z rycerskich najpopularniejsze są: Meluzyna, Magelona, Genowefa.

Nr. 99. H. Kołłątaja „O ustanowieniu i upadku Konstytucyi 3. maja 1891.“; J. Niemcewicza „Powrót posła“, J I. Kraszewskiego „Trzeci maja“; obrazy C. Norblina (prw. *Przyjaciela* r. I. nr. 5.) i J. Matejki.

Nr. 100. Wyka (*vicia* z rodz. Motylkowatych); goździeniec (*illecebrum*); pięciornik (*potentilla* z rodz. Różowatych, rz. wolnopłatkowych); złocień posp. l. jastrun (*chryzanthemum*); niezapominajka (*myosotis palustris* r Szorstkolistnych, rz. zrosłopłatkowych); bez (*syringa vulg.*)

Trafne odpowiedzi nadesłali do 14. b. m.:

(96—7 i 99—100) Nartowski, Starklówna; (96 7 i 99) Jaromir, Stamm; (96—7 i 100) Lipiński; (96 i 99—100) Bloch, Prajer, Prajerówna; (96—7) Samborzanin, Wiktor; (96) Cetnarski, Galvani, Hoszard, Masiuk, Młynek. Pordes.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Jaromir (Dygasińskiego), Hoszard (Cunninga) i Lipiński (Biernackiego).

Zagadka głoskowa.

Przez **a** - znana dobrze rzeka,
Przez **e**— miły dla człowieka,
Przez **y** zaś dla ojca, matki,
Ot i koniec już zagadki.

Rozwiązanie łamigłówki z nru 9.

Znaczenie wyrazów: 1. Pasek, 2. Żmija, 3. Jeż, 4. Szajnocha, 5. Bakon, 6. Janicki, 7. Kamelia, 8. Giewont, 9. Egipt, 10 Klaczko, 11, Goszczyński. Głoski środkowe: **Sienkiewicz.**

Trafne rozwiązania do dnia 14. b. m. nadesłali: Jaromir, Masiuk, Nartowski, Samborzanin, Stamm, Starklówna, Pordes, Prajerówna.

Wymiana kart z widokami.

Przypominamy uwagi, podane na czele tego działu w nrach 4—5. Po wyjaśnienia skróceń odsyłamy do str 48. Adresy nowe: 13. J. Widy, u V. B szk. r. Lw. — Należy skreślić adresy: 1.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Do wszystkich Czytelników. Na życzenie wielu Czytelników przedłużamy termin nadsyłania prac na konkurs II., ogłoszony na str. 83 b. r., o miesiąc t. zn. do 15. czerwca 1900. r. Przypominamy też prośbę, wyrażoną na str. 84., a zarazem prosimy o prawidłowe uiszczanie przedpłaty, bo tylko wtedy może też pismo stać o własnych siłach, gdy ma dostateczną i stałą liczbę odbiorców, zabezpieczających mu byt materyalny.

Galvani. Z działu chemii: Roscoe, Chemia 80 *h* (popularne) Zeisla Chemia 16 *k* (naukowe); o elektryczności: Umiński, Co każdy człowiek wykształcony o el. wiedzieć powinieu 1 30 *k* (popul.), Thompsona Elektryczność i magnetyzm 6·40 *k* i Jamiesona Zasady magnetyzmu i el. 2 t à 3 *k* (nauk.) — *Jaromir.* Pracę konkursową otrzymaliśmy. — *Z. Mły.* Szarada słaba, prosimy o lepszą; z przedpłatą poczekamy. — *Samborzanin.* Nagrody wysyłamy kosztem własnym za poleceniem poczt.; niestety Kramsztyka niema w księgarniach lwow, zamówiliśmy z Warszawy. Cierpliwości! — *A. Wikt* Nagroda leży w administracyi. — *B. Por.* Logogryf nadesłany umieścimy. — *J. Petr.* Pracę konkursową otrzymaliśmy.

Od administracyi.

Pp. przedpłaciciele, którzy do 25 b. m. nie uiszczą przedpłaty za II kwartał, nie otrzymają już następujących numerów.

Prof. St. Bucz. 2 num pozostałe prosimy rozdać według uznania. — Grz. Piotr., Rzep., nie dopłacono do I-go półrocza 50 *h*

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia). Redaktor przyjmuje w każdą sobotę (z wyjątkiem świąt) w godz. 5—6 wieczorem.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 10.: *J. Potapienko*, Świat cały przycisnąć do piersi. Powiastka, — *J. Nitowski*, Kochaj! (wiersz). — *B Gubrynowicz*, H. Sienkiewicz (c. d.) — *A. Winiarz*, O sejmach w Polsce II. (dok.) — *F. Krczek*, Finlandya i Finowie II. — *B. Błażek*, Czy musimy spać (dok.) — *K. L. W* Z całej Polski — Nowe książki. — Rozmaitości. — Rozstrzygnięcie konkursu I. — Zagadnienia naukowe, zagadka, wymiana kart z widokami skrzynka pocztowa redakcyi i administracyi. Ryciny: Podobizna J. A. Święcickiego p. *St. Lentza*, — Wieczór p. *J. Stanisławskiego.*

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 1. czerwca 1900.



Rok II.

Nr. II.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Sitque ibi scientiarum praevalentium margarita, ut viros producat consilii maturitate conspicuos, virtutum ornatibus redimitos, ac diversarum facultatum eruditos; fiatque ibi fons doctrinarum irriguus, de cuius plenitudine hauriunt universi literalibus cupientes imbui documentis.

Ustęp z aktu fundacyjnego wszechnicy krakowskiej Kazimierza W. z dnia 12. maja 1364, powtórzony przez Władysława Jagiełłę w dokumencie odnowienia studyum tego z dnia 26. lipca 1400. (Przekład na str. 123).

PRZESŁAWNEJ SZKOLE JAGIELLOŃSKIEJ

w pięćsetną rocznicę wznowienia

za niespożyte zasługi około rozwoju oświaty i cywilizacyi w Polsce

i za rozsławienie imienia polskiego w świecie

składają wyrazy głębokiego hołdu i czci

wydawcy i współpracownicy pisma:

Jan Amborski *Dr. Wilhelm Bruchnalski* *Ks. Dr. Jan Fijałek*

Dr. Bronisław Gubrynowicz *Henryk Kopia* *Dr. Franciszek Krczek*

Maryan Lomnicki *Tadeusz Pini* *Witołd Schreiber* *Józef Szafran*

Leopold Wajgel *Dr. Mieczysław Warmski* *Kazimierz Wróblewski*

Wiek pierwszy, wiek złoty...

Była w wiekach średnich przepowiednia niemiecka, dotycząca Polski, że dopiero wtenczas nastanie pokój na ziemi, kiedy głowa świata umrze, ale orzeł z dziećmi pozostanie. Orłem tym to król polski, dziećmi — jego naród. Jak wszystkie ludzkie proroctwa, tak i niniejsze z XIV—XV. w., jeśli mają w sobie zawierać jaką prawdę, to chyba tylko jej połowę. Losy świata i głowy królestwa polskiego poszły wcale inną drogą, nie tak, jak głosiła owa przepowiednia, wypadły raczej po myśli jeszcze dawniejszych proroctw niemieckich z XIII. w., że Polska upadnie. Tak się stało. Już całe stulecie bez królów polskich minęło, ale naród pozostał, nie zginął dotąd i nie da się już nigdy wyplenić. Nie wszystkie też dzieła królów naszych przepadły. Ocalały szczęśliwie wśród wielkich wstrząśnień dziejowych dwa z nich największe, które się tak nierozdzielnie zrosły z całą naszą przeszłością, tak weszły w życie narodu, że własne ich koleje przedstawiają dokładny obraz duchowego jego życia, były i są wyrazem stanu jego religijno-umysłowego. Królewskiemi temi w Polsce dziełami: Kościół i Uniwersytet krakowski.

Poświęcimy słów kilka tej drugiej instytucyi, bo to jej niezwykła uroczystość przypada w przyszłym tygodniu, wśród oktawy najpiękniejszych u nas świąt w roku. Nie sama przecież dawna Polski stolica obchodzi radośnie półtysiączną rocznicę istnienia jednego z największych swoich pomników: uniwersytetu Jagiellońskiego, obchodzimy ją z czcią i wdzięcznością najgłębszą wszyscy swoi, bo to naszej nauki polskiej święto; przybywają na nie nawet obcy z wyrazami hołdu i uznania dla najstarszej i najwyższej naszej szkoły. I dobrze czynią! Dowiedzmy się, dlaczego.

Uniwersytet krakowski ma wiele tytułów do wielkiej sławy i rzetelnej chwały w dziejach, przedewszystkiem w pierwszem stuleciu swego istnienia. Można je nazwać okresem jego „złotym“. Na te wyżyny rozgłosu i poważania, które wtedy zyskał w Kościele i w świecie nauki, już się nie wzniósł nigdy potem, czasy jego odrodzenia nastały dopiero w bieżącym wieku. Według swego założenia Uniwersytet krakowski należy do najstarszych w Europie z tej strony Alp, czyli jak — zwyczajem włoskim — mówiono w wiekach średnich *ultra montes*. Wiekiem zaledwie lat sześnastu wyprzedza go tutaj jedynie Praga, która uniwersytet swój, aż po czasy Husa i Żyzki znamienity, otrzymała za zezwoleniem papieża Klemensa VI. w r. 1347. z łaski swego, a zarazem rzymskiego króla, Karola IV., w roku następnym. Uniwersytet wiedeński stanął już wprawdzie 1365. r. za sprawą Rudolfa austryackiego, ale rozkwit jego zaczyna się dopiero z ponowną fundacyą ks. Albrechta III. w 1384. r. Później powstały uniwersytety niemieckie: hajdelberski (1285), kolońskí (1388) i erfurcki (1379/89). Poza granicami cesarstwa uniwersytet krakowski był pierwszym i przez długie wieki jedynym w całej Słowiańszczyźnie. Pierwszym jego założycielem był król Kazimierz W. (dyplom fundacyjny wyd. 12 maja w dzień Zielonych Świątek 1364. i jego zatwierdzenie przez papieża Urbana V. dnia 13. września t. r.), ponownymi jego fundatorami i właściwymi twórcami istniejącego dotąd uniwersytetu „Jagiellońskiego“ królowa Jadwiga i jej mąż, Władysław Jagiełło (założenie wydziału teologicznego bullą papieża Bonifacego IX. dnia 11. stycznia 1397.; założenie głównego czyli królewskiego uniwersytetu we czwartek d. 22. lipca 1400. roku, w dwa dni później rozpoczęły się wpisy, pierwszy zaś wykład biskupa-kanclerza Piotra Wysza z Radoliny odbył się w poniedziałek d. 26. lipca i tęto datę nosi przywilej fundacyjny króla Władysława Jagiełły).

Różne było urządzenie wewnętrzne obu uniwersytetów: Kazimierzowskiego i Jagiellońskiego, lecz cel ich był jednaki, ta sama potrzeba cywilizacyjna i ta sama konieczność państwowo-kościelna powołała je do życia. Nierówne jednak były ich losy.

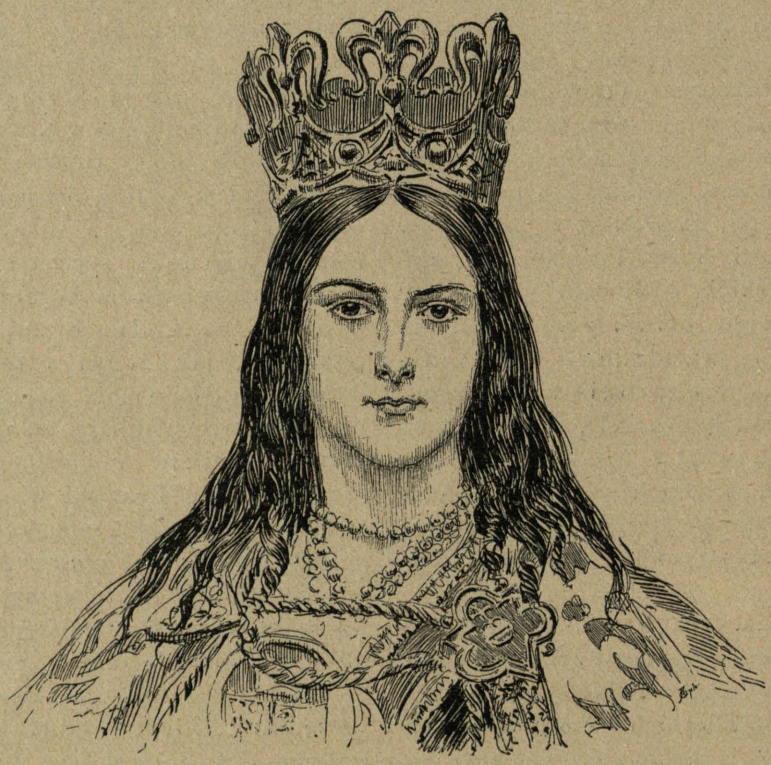
Wcześnie i dość powszechnie objawiła się dążność Polaków do wykształcenia uniwersyteckiego, do nabycia nauk we wszelkich gałęziach umiejętności, szczególniej prawa i medycyny, wykładanych w szkołach najwyższych, które tworzyły osobną, samoistnie urządzoną i rządzoną korporacyę (*universitas*) uczniów (scholarów = szkolarzy) i profesorów (mistrzów, doktorów cz. nauczających), a uprzywilejowane były przez najwyższą władzę ko-

ścielną (papieża) i świecką miejscową (miasta, książąt i królów). Tylko w takich szkołach, pospolicie zwanych wówczas studyami powszechnemi (*studia generalia*), można było po złożeniu egzaminów i dopełnieniu przepisanych warunków uzyskać stopnie akademickie, które dawały prawo nauczania, a nadto dla duchownych pierwszeństwo w otrzymywaniu urzędów i godności kościelnych. Dwa były główne rodzaje tych stopni na każdym z czteru wydziałów (fakultetów): niższy „bakałarza“ i najwyższy „mistrza“ albo „doktora“; udzielali ich w sposób uroczysty profesorowie, drugi jedynie za zezwoleniem kanclerza uniwersytetu, którym bywał zazwyczaj biskup. Pośredni stopień „licencyata“ przysługiwał ukończonemu bakałarzowi, który już otrzymał pozwolenie na osiągnięcie stopnia doktorskiego czyli na promocyę doktorską; była ona prywatną, t. j. mniej okazałą, lub publiczną, kiedy to doręczenie kandydatowi insygniów doktorskich: książki, biretu i pierścienia, jako oznak nauczycielskich, odbywało się wobec zgromadzenia całego uniwersytetu z wielką pompą w kościele katedralnym lub akademickim, jak u nas w Krakowie u św. Anny. Takie szkoły już od końca XII. w. posiadały narody romańskie wraz z Anglią, u których kultura w wiekach średnich rozwinęła się najwcześniej na podstawie bezpośredniej tradycyi cywilizacyi starożytnej i działania Kościoła.

I Polska nasza, religijnie i politycznie najściślej od swoich początków związana z Zachodem, wysyła wcześnie najlepszych, bo żądnych światła synów swoich do zagranicznych ognisk nauki, mimo iż sama najcięższe w owym czasie (XII—XIV. w.) przechodzi koleje; już jej własne, a dość liczne nie wystarczają szkoły: katedralne z kollegiackiemi i miejsko-parafialne, chociaż w niektórych z nich udzielano stale nauk wyższych (Kraków, Sandomierz, Gniezno, Wrocław). Wielu tedy naszych rodaków, oczywiście zamożniejszych i przeważnie (ale nie wyłącznie) duchownych, zarówno stanu szlacheckiego, jak i mieszczańskiego, kształci się w uniwersytetach zagranicznych. Na najznamienitszych z nich, n. p. w Bolonii i Padwie, przebywają oddawna w tak pokaźnej liczbie, że już od połowy XIII. w. według ówczesnego ustroju tworzą własną „nacyę“, która między ultramontańskiemi (zagórskiemi) narodowościami po niemieckiej bywała nieraz najpokaźniejszą i częściej, aniżeli się to najbliższym i potężniejszym sąsiadom (Węgrom i Czechom) zdarzało, osiągała tam dla siebie, nie bez walk zwycięzkich z Niemcami, urzędy i zaszczyty (rektora i syndyków uniwersytetu). Ale droga z Krakowa do klasycznej wtedy ziemi studyów powszechnych prawa we Włoszech - Lombardyi, a medycyny i teologii we Francyi (Montpellier, Paryż, gdzie Polacy wraz z Niemcami należeli do nacyi angielskiej), była zbyt odległą, podróż uciążliwą i niebezpieczną. Nasi czuli się w obcych szkołach jakby na wygnaniu, wielu z nich dostawało się do niewoli i tam ginęli. Zaznaczył to wyraźnie król Kazimierz W., uzasadniając swoją prośbę o założenie studyum powszechnego w Krakowie, którą wniósł do papieża błog. Urbana V. Pragnął mieć ten zakład w stolicy państwa, które odziedziczył po ojcu swym, Władysławie Łokietku, żelazną jego ręką złączone w całość i obdarzone dostojeństwem korony królewskiej przez papieża Jana XXII. Ostatni z Piastów, władca pokojowy, jak żaden z tego rodu, wiedział dobrze, że oświecenie naukowe jest obok dobrobytu materyalnego jednym z najważniejszych czynników pomyślnego rozwoju i znaczenia narodu. Pragnął więc gorąco posiąść w swem państwie „umiejętności przemożnych perłę“ (*scientiarum praevalentium margaritam*), jak się wyraził o uniwersytecie, powtarzając wzniosłe słowa dawniejszych bull papiezkich, głównie nieśmiertelnej pamięci Bonifacego VIII. Pamiętne przytem nasz król wyraził życzenie: „Oby ta szkoła krakowska wydawała mężów, dojrzałością rady znamienitych, cnót ozdobą jaśniejących i w różnych gałęziach wiedzy wykształconych! Niechże tam będzie nauk źródło obfite, z któregoby mogli czerpać wszyscy, pragnący się oświecić“. I tak mówił dalej: „Do Krakowa niech przybywają chętnie wszyscy, którzy chcą dotrzeć do wiedzy tej perły wspaniałej, wszyscy, duchowni i świeccy, nietylko królestwa naszego i ziem okolicznych mieszkańcy, lecz także inni z różnych, nawet dalekich stron świata“. Tak to życzenie, jak i poprzednie, które przy wskrzeszeniu uniwersytetu powtórzył Władysław Jagiełło, spełniły się wkrótce ku chwale imienia polskiego. Już w XV. w. uniwersytet krakowski wyrósł tem także po-

nad niemieckie, że ściągał w swe mury niezmiernie liczne rzesze scholarów zza mórz (ze Skandynawii) i gór (z Węgier, Siedmiogrodu i Szwajcaryi), z odległej północy i z dalekich Niemiec (przedewszystkiem z okolic nadreńskich).

Okazuje się dalej, że jeszcze inna myśl — potężna i wspaniała — przyświecała królewskim twórcom uniwersytetu krakowskiego. Była nią powszechnodziejowa idea, by wszechnica polska stała się źródłem, krzewicielką, czujną strażnicą i nieustraszoną obrończynią skarbów nauki i katolickiej cywilizacyi Zachodu, nietylko w tem królestwie, lecz także na całym północnym wschodzie Europy. Zarówno więc Kazimierz W., jak nieco później Jadwiga i Jagiełło, tudzież doradcy korony, którzy stali za nimi, i organizatorowie uniwersytetu tworzyli studyum w pełnem znaczeniu tego wyrazu powszechne, nie dla samej tylko Polski. Ich wzrok sięgał dalej, bo tak daleko, jak daleko rozciągały się ich związki i wpływy polityczno-handlowe. Do zapalonego u siebie w Krakowie ogniska nauki powoływali zagranicę, która jeszcze nie miała takiego światła, a więc sąsiednie kraje katolickie północnozachodnie. Wiadomo nadto dobrze, iż szkoła krakowska po połączeniu się Polski z Litwą, na pół pogańską, a na pół schyzmatycką, miała też na celu wychowywanie światłych kapłanów-apostołów, pracowników na nowej dziedzinie, pozyskanej dla chrześcijaństwa i dla wiary katolickiej. Że już Kazimierz W. miał myśl rzeczoną, świadczą mieszczanie krakowscy w samym roku założenia Uniwersytetu (1364.), świadczy także utworzenie w tym samym czasie biskupstwa łacińskiego we Lwowie przez tegoż króla.



Królowa Jadwiga.

Bezpośrednio miał uniwersytet Kazimierzowski spełnić cel inny, a bliższy, i temu król-założyciel dał wyraz, mówiąc po myśli pap. Klemensa V. o mężach dojrzałych radą i nauką, a cnotą ozdobnych, których jego szkoła miała wychowywać; w ręku bowiem takich mężów powinno spoczywać kierownictwo spraw publicznych i tacy powinni piastować wszelkie urzędy w Kościele i państwie. Sprawować rządy dobrze można tylko przy znajomości dokładnej prawa. Tej szczególnej potrzebie, która była wówczas w Polsce wielką, miało zaradzić nowe studyum krakowskie. Kazimierz W. utworzył też je i urządził na wzór największych szkół włoskich w Bolonii i Padwie, — raz dla tego, że w nich najlepiej kwitła nauka obojga prawa: świeckiego (t. j. rzymskiego) i kościelnego cz. kanonicznego (od kanonów = ustaw, wydawanych przez władze kościelne, a zwanych też dekretami, skąd tytuł dra dekretów oznaczał dra prawa kanonicznego), powtóre zaś także z tej przyczyny, że założył uniwersytet krakowski za radą i przy pomocy najbliższych swoich doradców i kanclerzy, którzy wykształcili się w owych szkołach włoskich. A byli nimi — że wspomnę niektórych tylko sławniejszych — Janusz Grzymalita Suchywilk, kanclerz podtenczas Polski, a poprzednio Rusi, późniejszy arcybiskup gnieźnieński; Floryan Jelito Mokrski, kanclerz łęczycki, a potem bp.

krakowski; Dobrogost Nałęcz Łążyński z Mazowsza, późniejszy bp. poznański i arcybp. gnieźnieński.

Uniwersytet piastowski o charakterze prawniczo-włoskim nie miał jeszcze wydziału teologicznego, ale tylko dlatego, że Stolica rzymska nie pozwalała wtedy na nauczanie teologii na nowych uniwersytetach przez wzgląd na największą wszechnicę ówczesną, paryską, która — jak już wspomniano — słynęła z teologii i ściągała na nią uczniów z całego świata. Wyjątkowo otrzymała wydział teologiczny od samego początku Praga za szkoły, która na modłę włoską mieściła się w różnych częściach miasta Krakowa (*hospitia*); niebyło bowiem komu wznieść gmachu uniwersyteckiego „Casimirei“ na fundamentach, które już położył był ostatni Piastowic we wsi kapitulnej, Bawole, na Kazimierzu pod Krakowem (ruiny tej budowli dotrwały jeszcze do czasów Długosza, zmarłego w r. 1480). Możnaby nawet twierdzić, że studyum Kazimierzowskie przeniosio się na owe czasy do Pragi; tutaj bowiem obok Niemców i Czechów uczą się wonczas w niezwykle wielkiej liczbie i nauczają nasi rodacy, tworząc samo-

JAN MATEJKO:



Wpływ wszechnicy na kraj w XV. wieku.

sprawą Karola IV., jako „króla rzymskiego“. Niemożna więc utrzymywać, że nasz Kazimierz nie chciał u siebie teologii, lub że jego uniwersytet nie był zupełnym. Wszak pierwsza w świecie szkoła prawa, bolońska, otrzymała teologię dopiero w l. 1365/7. Prawniczo-włoskiem było tedy pierwsze generalne studyum krakowskie, *universitas* scholarów, którzy sami wybierali sobie profesorów i obierali sami z pośród siebie jednego rektorem.

Rychła śmierć króla (1376). i burzliwe, nieszczęne dla Polski rządy Ludwika węgierskiego zatamowały dalszy rozwój nowej istną nacyę polską, a znajdują się między nimi też bakałarze, promowani już w Krakowię, wielu wreszcie Polaków bądź wprost z kraju, bądź też po kilkoletnim pobycie nad Wełtawą udaje się na dalsze studya do Włoch i Francyi. O uniwersytecie krakowskim wtedy nic nie słychać; jak gdyby nie istniał wcale, tak podupadł, podczas gdy naokół w Niemczech dźwigały się coraz to nowe uniwersytety, już teraz wszystkie uposażone wydziałem teologicznym, ponieważ już się tymczasem zerwały dawniejsze stosunki polityczno-kościelne papieztwa z Francyą.

I Polska nie mogła pozostać bez własnej szkoły wyższej. Wszak z r. 1386. wstąpiła w szereg państw najpotężniejszych w Europie, a na tronie swym miała królowę, która z uczuć swego serca uczyniła ofiarę dla dobra ludu. Jadwiga wynagrodziła stokrotnie wielkie zaniedbanie swego ojca — wskrzesiła, do nowego powołała życia uniwersytet krakowski.

Ale oddajmy, co się komu należy, — *suum cuique!* Sławiąc narodziny wiekopomnego dzieła Jadwigi i Jagiełły, t. j. uniwersytetu Jagiellońskiego (1397—1400 r.), nie zapominajmy także o tych, za których staraniem ono się dokonało, których prośby w tej sprawie, a może nawet inicyatywy królowa wysłuchała łaskawie, popierając ich usiłowania szczodrym klejnotów swoich zapisem. Współwskrzesiciele ci i obok obojga królestwa wraz z kilku możnowładcami (n. p. Jaśkiem z Tenczyna, kasztelanem krakowskim, i rodziną Szafrańców) główni dobroczyńcy uniwersytetu to: możne, a żądne światła mieszczaństwo stolicy i jej biskup, a kanclerz wszechnicy, Piotr Wysz z Radoliny, ze swą kapitułą i klerem dyecezyalnym. Z kół więc kościelnych i mieszczańskich pochodziły pierwsze i najważniejsze fundacye na rzecz odrodzonej szkoły. Pomnażały je później w ciągu XV. w. same sfery uniwersyteckie, bo ofiary zamożniejszych profesorów.

Nowy uniwersytet otrzymał już inne urządzenie: profesorsko-kolegialne według wzoru studyum teologicznego paryskiego, które było drugim głównym typem wyższych szkół średniowiecznych; tę samą organizacyę posiadały już wtedy wszystkie sąsiednie wszechnice niemieckie. Dzieła reformy dokonał przesławnej pamięci teolog — zrazu w Pradze, później w Paryżu — podówczas rektor hajdelberski, mistrz Mateusz z Krakowa, późniejszy biskup wormacki i kardynał († 1410), niezawodnie obok St. Hozyusza największa mieszczaństwa krakowskiego chwała i pierwsza imienia polskiego w nauce gwiazda o blasku europejskim. Reforma polegała na tem, że założono i urządzono przy ul. św. Anny, wtedy zwanej Żydowską, tam, gdzie dziś się mieści książnica Jagiellońska, takie samo kolegium królewskie (*collegium Jagellonicum*), dla takiej samej liczby doktorów i bakałarzy, a zarazem mistrzów „nauk wyzwolonych“, czyli *artium* (stąd nazwa druga: *collegium artistarum*), jak na krótki czas przedtem na wzór paryski w Pradze (*Carolinum* od Karola IV.), w Wiedniu (*Rudolfinum* od Rudolfa) i t. d. Tutaj wykładali i mieszkali profesorowie teologii i nauk wyzwolonych, prawie wszyscy duchowni, żyjąc wspólnie po zakonnemu, — najpiękniejszym tego życia przykładem św. Jan Kanty, — uposażeni z łaski biskupa i króla kilku kanoniami w katedrze, a niemal wszystkiemi przy kolegiacie świętofloryańskiej na Kleparzu. Tych kolegiatów Jagiellońskich, najstarszych profesorów, zwano kolegami starszymi (*collegae maiores*) od chwili, gdy ze wzrostem szkoły w połowie XV. w. stanęło dla młodszych mistrzów nauk wyzwolonych osobne kolegium (*collegium minus*) przy ulicy Gołębiej. Prawie równocześnie z pierwotną fundacyą kolegium Jagiellońskiego wzniosło się drugie, prawnicze (*collegium iuristarum*), przy ulicy Grodzkiej. Założył je w r. 1403. Jan Rzeszowski, wówczas kanonik krakowski, a wkrótce potem arcybiskup lwowski, jeden z pierwszych rektorów uniwersytetu Jagiellońskiego, wybieranych teraz już wyłącznie z grona mistrzów-doktorów wszystkich wydziałów, głównie dwu ich najwyższych: teologicznego i kanonistycznego. Najmłodsze kolegium dla medyków, którzy szli po teologach i kanonistach, powstało przed r. 1428.

Z wyjątkiem też medyków, którzy początkowo byli przeważnie pochodzenia niemieckiego lub włoskiego, prawie całe ciało nauczycielskie było już w pierwszej chwili odnowienia szkoły naszem, rodzimem, a wykształconem w cywilizacyjnych ogniskach Zachodu, przedewszystkiem w Pradze, Bolonii i Padwie. Za sprawą tych właśnie mistrzów, oraz bezpośrednich ich następców, a już uczniów krakowskich, uniwersytet Jagielloński stanął odrazu na wyżynie swego zadania i nie pozwolił się w niczem wyprzedzić żadnemu z niemieckich, w nauce i w Kościele zajaśniał własnem światłem, tak że rychło bo już podczas najbliższych wielkich soborów (kostnickiego i bazylejskiego) poczuł się na siłach rzucania swego głosu na szalę wypadków dziejowych, wreszcie — co trzeba podnieść z naciskiem — nietylko pielęgnował w pierwszym swym okresie teologię i kanony z podziwianą przez obcych uczonych wprawą, lecz i umiejętności świeckie w nim też zakwitły. Uniwersy-

tet nasz bowiem przejął bezpośrednio z klasycznej ziemi włoskiej przeniesione do Polski ożywcze tchnienie odrodzenia humanistycznego. Musiał mu oddać pochwałę nawet niechętny Polakom Enea Silvio Piccolomini w pierwszej poł. XV. w. Mistrzowie nasi byli świadomi swej sławy i swego znaczenia. Nie były też czczą przechwałką ich słowa (dotąd niedrukowane jeszcze): *„Quam igitur per hos annos civitatem in maiore parte Germaniae doctorum vel auctoritate, vel scientia, vel multitudine ac copia hac, quam colimus, famosissima Cracovia clariorem aut illustriorem esse putatis? Quae mater studiorum et veluti alumna virtutum totius Germaniae.. quae civitas vel sapientia vel humanitate est cum Cracovia comparanda? Aut quem locum existimatis, in quo tanta scholarium multitudo inveniri possit? Videte itaque et animadvertite, quos doctores quave doctrina et scientia preditos habemus!* (Któreż więc w czasach dzisiejszych miasto w większej części Niemiec słynniejsze jest i świetniejsze przez swych doktorów czyto powagę, czy wiedzę, czyteż mnóstwo i liczbę, od przesławnego Krakowa? Którąż macierz studyów i jakoby wychowawczynię cnót w całych Niemczech... któreż miasto czyto co do mądrości, czy wykształcenia, można porównać z Krakowem? Gdzież — sądzicie — takie mnóstwo żaków możnaby znaleźć? Patrzcie więc i baczcie, co za doktorów, jaką uczonością i wiedzą zdobnych, posiadamy!). *Ks. Jan Fijałek.*



Dzieje wszechnicy Jagiellońskiej

od wieku XVI. do chwili obecnej.

Dzieje krakowskiej *Almae Matris* Kazimierzowskiej i Jagiellońskiej od czasów najdawniejszych do wieku XVI. są znane po części z nauki szkolnej, po części mówi o nich artykuł, pomieszczony w niniejszym numerze „Przyjaciela“ na czele.

Wiek piętnasty był dobą najświetniejszego rozwoju wszechnicy, w tym czasie była ona jednem z najpoważniejszych ognisk oświaty w Europie. W murach jej gościli jako słuchacze studenci i uczeni, przybyli z zagranicy, Czesi, Węgrzy, Niemcy, Włosi, Francuzi. Duńczycy i Szwedzi. Wszechnica nasza dorównywała w owych czasach najznakomitszym włoskim, a przewyższała niemieckie. Ale walka z humanizmem i uroczyste wyklęcie niemiłego gościa wstrząsło odrazu akademią aż do podstaw, oddzieliło zakład ów od wykształconego społeczeństwa i poprowadziło wszechnicę po równi pochyłej do upadku, z którego nie dźwignie się — aż w wieku XVIII.

Ale na upadek jej złożyły się także inne przyczyny — finansowej natury. Wyposażona przez rząd i dobroczyńców wprost świetnie (majątek jej wynosił sześć milionów złotych) poczęła akademia już w XVI. w. chorować na niedostatek. Jakże to być mogło? Oto majątek jej był znacznym, ale źle nim zarządzano. Dzierżawcy dóbr i probostw nie zaniedbali żadnej sposobności, byle tylko uzyskać dla siebie jak największy dochód, toteż nie robili koniecznych wkładów, pustoszyli nierzadko rolę i w ten sposób obniżali z roku na rok wartość majątku. Z czasem, rzecz jasna, musiały się zacząć zmniejszać również i dochody.

Co gorsza, majątek akademii nietylko tracił na wartości, ale nawet topnieć zaczął wskutek karygodnej chciwości niektórych jednostek. Używały one najrozmaitszych niegodziwych sposobów, ażeby część własności fundacyjnej akademii sobie przywłaszczyć. Krzywdzona akademia udała się z prośbą o pomoc aż do papieża Jana XXIII., który, chcąc zapobiedz jawnej grabieży, ustanowił trzech „konserwatorów“, ażeby bronili majątku uniwersytetu. Ale konserwatorowie niezawsze potrafili podołać trudnemu zadaniu.

Niemało też kosztowało wysyłanie przez akademię licznych posłów na sejmiki i sejmy, do Warszawy, do Rzymu, na sobory biskupie — na koszt szkoły.

Nic dziwnego, że wobec nieświetnej gospodarki, rozdrapywania majątku akademii i znacznych wydatków, poczęła ona podupadać materyalnie, co odbijało się niekorzystnie i na płacach profesorów i na działalności burs. Toteż gdy w XV. wieku garnęli się na wszechnicę co najznakomitsi uczeni, w w. XVI. nie myślą oni trudzić się za marne wynagrodzenie. Wykładają więc ludzie o nieznanych zdolnościach i zyskują coraz to mniej słuchaczy. Nie pomogły upomnienia Kochanowskiego, wypowiedziane bez ogródek w „Satyrze“, nie pomogły wołania znakomitego filo-

zofa, profesora wszechnicy, Szymona Maryckiego, autora cennego dzieła „O szkołach czyli akademiach“, w którem, wyraziwszy życzenie, ażeby sam rząd zaopiekował się wychowaniem i wogóle całem szkolnictwem, rozpatrywał urządzenie szkół w Polsce, wykazywał ich niedostatki, a w szczególności wady w ustroju wszechnicy Jagiellońskiej. Ale te słuszne uwagi nie wydały skutku żadnego.

W dodatku zyskała wszechnica Jagiellońska w drugiej połowie wieku XVI. dwie współzawodniczki: akademię wileńską i akademię zamojską. Nie stanęły wprawdzie i te zakłady na wysokości swego zadania, ale w każdym razie odciągały przez czas jakiś pewną część młodzieży z wszechnicy krakowskiej, która i tak nie mogła się poszczycić zbyt wielką ilością słuchaczy.

Rozstrój zaś, zwłaszcza od XVII. w. począwszy, panował tam coraz wiąkszy. Na wydziale medycznym niebyło żadnego profesora, czyli innemi słowy wydział ten przestał zupełnie istnieć. Na wydziale filozoficznym wykłady odbywały się wprawdzie, ale nie znano tam zupełnie odkryć znakomitego włoskiego uczonego, Galileusza (który pierwszy zbudował lunetę), nie znano odkryć astronomicznych Jana Keplera. Akademia zajmowała się przeważnie tylko sprawami teologicznemi, wiodła procesy kanoniczne i utrzymywała w swych wychowankach ducha pobożności przesadnej. Życie umysłowe zanikło na wszechnicy zupełnie.

Jednej tylko sprawie oddawała się wszechnica z podziwu godną, trudną do pojęcia dziś dla nas namiętnością, t. j. sporom z Jezuitami o przywilej nauczania. Protestuje przeciw zakładaniu przez Jezuitów szkół średnich, a tem goręcej przeciw otwieraniu wszechnic jezuickich, lub też pewnych tylko wydziałów we Lwowie, w Poznaniu i innych miejscowościach. Toczą się zażarte, gorszące spory. Gdy Jezuici otwierają jakąś szkołę, zjawia się na uroczystości otwarcia poseł akademii i zakłada uroczysty sprzeciw. Powstaje zamieszanie, lada chwila grozi starcie na ostre. A dopiero potem spór wkracza na inną drogę. Obie strony wojujące odwołują się do sejmu, do króla, do papieża, mnożą się pliki skarg sądowych, zacietrzewienie przybiera niebywałe rozmiary. Co gorsza, uczniowie jednej i drugiej szkoły, jezuickiej i akademickiej, widząc, że profesorowie tych szkół waśnią się, staczają również ze sobą bójki, nieraz krwawe, nieraz niebezpieczne. Ostatecznie wygrywała proces najczęściej akademia, ale czy z korzyścią dla nauki, to pytanie; szkoły jezuickie bowiem, choć nieświetne, były w owych czasach przecież lepsze od szkół, zarządzanych przez uniwersytet.



Wojciech Blar z Brudzewa.

Ale niebawem i szkoły jezuickie poczną psuć się coraz bardziej i istniejące od połowy XVII. wieku szkoły pijarskie i nastaną czasy zupełnego upadku oświaty.

* * *

Ciężkich prób i ciężkich doświadczeń trzeba było, ażeby społeczeństwo obudziło się z letargu. Nie wystarczyły przestrogi znakomitych publicystów, nie otworzyły oczu ówczesnej szlachcie coraz częstsze napady sąsiadów na osłabione państwo, trzeba było dopiero straszliwej katastrofy, pierwszego rozbioru (1772), aby społeczeństwo zastanowiło się nad własnym upadkiem i rozpoczęło gorączkową pracę około naprawy stosunków w Rzeczypospolitej.

Teraz też dopiero zabrano się do dzieła reformy wszechnicy Jagiellońskiej, rozumiejąc, że na gruncie nieoświetlonym jasnymi promieniami oświaty, nie może nic innego wyrosnąć, tylko chwasty. Komisya eduka-

cyjna, która zajęła się naprawą całego szkolnictwa, pomyślała również o reformie akademii i wysłała w tym celu do Krakowa księdza Hugona Kołłątaja.

Zjechał więc w maju 1777. roku do podwawelskiego grodu ksiądz Kołłątaj i oświadczył przełożonej władzy wszechnicy, że jest delegatem Komisyi edukacyjnej, a przybywa do Krakowa, by stosunki w akademii poprawić. Dodał jednakowoż zaraz, że nie naruszy przywilejów akademii, że szanować będzie jej samorząd, a tylko pracować nad polepszeniem jej stanu. Dzieło swe rozpoczął Kołłątaj od zbadania stanu funduszów wszechnicy i przekonał się, że roczny dochód wynosi przecież więcej, niż twierdzono, bo przeszło 30.000 złotych. Ale przekonał się także, że akademia nie wie zupełnie o wielu zapisach, polecił więc sporządzić dokładny wykaz wszelkich fundacyi, odnaleźć dokumenty fundacyjne i umieścić je w osobnem archiwum. Ściąganiem dochodów i kasą akademii zajął się osobny urzędnik, ustanowiony przez Kołłątaja, tak zwany prokurator. Niebawem okazały się korzystne skutki tych zarządzeń. Gdy uporządkowano archiwum, przekonała się akademia, że istotnie posiada zapisy, o których zapomniano, że więc dochody jej mogą być znacznie wyższymi. Kołłątaj wysłał teraz uproszonego delegata wraz z delegatem akademii do wszystkich dóbr wszechnicy, by dobra te dokładnie obejrzeli, oglądnęli inwentarze i orzekli, ile powinny nieść dochodu. Gdy delegaci odbyli taki przegląd, wypuszczono wówczas dobra akademii na trzy lata w dzierżawę pod warunkami korzystnymi i zapewniono w ten sposób wszechnicy dochód o wiele znaczniejszy od dotychczasowego.

Teraz zajął się Kołłątaj książnicą akademii. Polecił połączyć wszystkie księgozbiory, porozmieszczane po rozmaitych domach akademickich, w jeden zbiór wielki i poruczył opiekę nad nim akademii. Kazał też sporządzić dokładny spis książek i rękopisów, nad którymi mieli czuwać osobni bibliotekarze.

Były to zarządzenia ważne, bo ubezpieczające majątek i byt wszechnicy, ale nie dotykały jeszcze samego nauczania. Trzeba było zmienić plan nauk, wystarać się o nowych profesorów. Jakże się jednak pozbyć dawniejszych, mało pożytecznych, a pobierających, jak n. p. na teologii, znaczne płace? Otóż udało się Kołłątajowi wysłać ich na emeryturę, przyczem po przeprowadzeniu układów z nimi akademia zyskała 16 tysięcy złotych rocznie na rzecz profesorów nowych, zdolniejszych. Następnie zniósł Kołłątaj dawne wykłady, prowadzone w duchu scholastycznym, przestarzałym, zabronił wydawania kalendarza astrologicznego, a natomiast pomyślał o wprowadzeniu nauk, każdemu potrzebnych. Ustanowił więc katedrę logiki, fizyki, historyi naturalnej, matematyki, ekonomii politycznej, katedrę prawa natury itd. Ustanowił też osobnego profesora, który miał ze studentami tłumaczyć najznakomitszych pisarzy łacińskich, ażeby wprawiać w ten sposób młodzież we władanie łaciną wzorową. Profesorom tym polecił Kołłątaj, podobnie jak to uczynił Konarski, ażeby przy wykładach rozpoczynali od rzeczy łatwiejszych, a stopniowo dopiero dochodzili do trudniejszych, ażeby starali się nietylko uczyć młodzież, ale także wychowywać ją i wpajać w nią przekonanie, że uczciwość więcej, niż wiedza, stanowi o prawdziwej wartości człowieka.

Uniwersytet pozbywał się w ten sposób szat średniowiecznych i przeoblekał się powoli w suknię nowożytną. Miejsce błędnej astrologii zajęła teraz astronomia, uprawiana niegdyś w akademii ze znakomitymi wynikami. Zbudowano w Krakowie obserwatoryum astronomiczne i zaopatrzono je w odpowiednie przyrządy, co już było zasługą znakomitego naszego astronoma, Jana Śniadeckiego, który do r. 1803. był profesorem we wszechnicy Jagiellońskiej. Prócz obserwatoryum astronomicznego powstało teraz przy wszechnicy laboratoryum chemiczne i szkoła chirurgiczna, w której przy wykładzie o budowie ciała ludzkiego używano zwłok ludzkich.

W przeciągu lat kilku odżyła akademia i podniosła się w sposób niebywały. Katedry profesorskie zajęli ludzie młodzi i zdolni, których też teraz w odpowiedni sposób wynagradzano. Gdyby nie drugi i trzeci rozbiór Polski, może doczekałaby się była wszechnica Jagiellońska takiego rozkwitu, jak w wieku piętnastym.

Komisya edukacyjna zajęła się jednak nietylko uniwersytetem krakowskim, ale, jak nam wiadomo, całem wogóle szkolnictwem.

Ustanowiła ścisłą łączność pomiędzy zakładami naukowymi, na których czele postawiła dwie wszechnice: wileńską i krakowską. Akademii krakowskiej powierzyła komisya dozór wszystkich szkół w Królestwie, nadto zaś poruczyła opatrzenie zdatnymi nauczycielami szkół w Poznańskiem, Lubelskiem i Sandomierskiem. Ażeby takich nauczycieli uzyskać, założył Kdłłątaj w imieniu komisyi przy uniwersytecie tak zwane „Seminaryum kandydatów do stanu nauczycielskiego“, w którem właśnie mieli się kształcić studenci na profesorów szkół średnich.

W r. 1783. ukończono reformę wszechnicy krakowskiej.

* * *

Pod zaborem austryackim panowały wtedy smutne stosunki. Austrya nasyłała do Galicyi urzędników, jużto urodzonych Niemców, jużteż Czechów i innych Słowian zniemczonych, którzy nietylko pracowali nad zgermanizowaniem kraju, lecz także — co gorsza — siali nienawiść społeczną między szlachtą a ludem wiejskim. Język niemiecki zaprowadzono w szkołach jako wykładowy i rozszerzono jego panowanie niebawem — bo w r. 1801. — na wszechnicę krakowską, która wraz z dawną stolicą piastowską dostała się w r. 1795. pod berło Habsburgów. Ale niedługo rozbrzmiewała mowa obca z katedr *Almae Matris*, bo zwycięstwo Napoleona pod Wagramem zmusiło wojska austryackie do śpiesznego opuszczenia Galicyi zachodniej i Krakowa, a oboje wcielono w r. 1809. do Księstwa Warszawskiego, utworzonego 2 lata przedtem.

Wnet po wkroczeniu do Galicyi ks. Józef Poniatowski przywrócił rozporządzeniem z 2. grudnia t. r. język ojczysty na wszechnicy, którą kazał urządzić znów według zasad Kołłątaja — naturalnie z pewnemi zmianami, koniecznemi wobec zmienionych potrzeb i warunków. Na czele uniwersytetu stanęła teraz Rada akademicka, złożona z 4 dziekanów, tyluż dyrektorów wydziałów, kierownika gimnazyów i kierownika szkół początkowych, prokuratora i sekretarza — pod przewodnictwem rektora, któremu odjęto jednak dawniejszą władzę sądowniczą nad uczniami. Zakresu działania dziekanów nie uszczuplono, ale dodano im do boku owych dyrektorów wydziałów, mianowanych przez rząd; ich zadaniem było czuwanie „nad dopełnieniem przepisanych nauczycielom i uczniom powinności“, cenzura wszelkich dzieł i druków, oraz nadzorowanie egzaminów państwowych. Wszystkie szkoły średnie i niższe powróciły znów pod zwierzchnictwo uniwersytetu. On mianował dla tych szkół dyrektorów i nauczycieli, a inspektorami szkół średnich i niższych byli wymienieni już: dyrektor gimnazyów i dyrektor szkół początkowych. Do prokuratorów należał — jak dawniej — zarząd kasy uniwersyteckiej.

Rok szkolny otwarto wspaniałą uroczystością dnia 2. stycznia 1810. r. i zdawało się, że pod troskliwą opieką rządu Księstwa Warszawskiego zaświtała dla wszechnicy krakowskiej era nowa świetnego rozwoju. Nawet zawiązano przy niej 18. grudnia 1809. towarzystwo naukowe „Instytut akademicki“, które po różnych przekształceniach wyrosło ostatecznie na Akademię umiejętności, najwyższą polską instytucyę naukową. Ale wypadki polityczne wstrząsnęły całą Europą, ich smutne następstwa dotknęły przedewszystkiem odradzającą się Polskę. Łatwo się dorozumieć, że mówimy o pochodzie „wielkiej armii“ na północ i o jej strasznym pogromie nad Berezyną. Zniszczenie armii napoleońskiej było też wyrokiem śmierci dla Księstwa Warszawskiego; zajęły je wojska rosyjskie.

Kongres wiedeński 1815. r. utworzył z Krakowa i jego okręgu (przeszło 1.000 mil²) rzeczpospolitą „niezawisłą, pod opieką“ mocarstw rozbiorowych, których przedstawiciele (rezydenci) przesiadywali pod Wawelem. Choć nowe państewko rozwijało się pomyślnie dzięki roztropnym rządom prezydenta Wodzickiego, dla wszechnicy nastały czasy ciężkie, ponieważ dochody jej zmalały wskutek tego, że przepadły fundusze, umieszczone w Królestwie. Ruch naukowy jednak nie ustawał, owszem wskrzeszono nawet w lipcu 1815. r. ów „Instytut“ pod nazwą „Towarzystwa naukowego“. Przez lat 30 cieszył się Kraków jakim takim pokojem. Dopiero wypadki r. 1846. położyły koniec istnieniu Rzeczypospolitej krakowskiej, wcielonej 16. listopada t. r. do Galicyi pod nazwą W. Ks. Krakowskiego, a tem samem zatamowały swobodny rozwój wszechnicy aż do r. 1860.

System germanizacyjny znów się rozpoczął. Już w r. 1847. wprowadzono na uniwer-

sytecie, a mianowicie na wydziale prawniczym, pierwsze wykłady niemieckie i praca krecia apostołów niemczyzny byłaby szybko podminowała całą akademię, gdyby rewolucya 1848. r. i konstytucya, przez nią wywalczona, nie były skrępowały rąk germanizatorom. Dopiero zawieszenie konstytucyi i przywrócenie absolutyzmu (1851.) dodało im nowego bodźca. Toteż wnet (1853.) zaprowadzono na wszechnicy język niemiecki jako urzędowy i wykładowy, a w parę lat później usunięto język polski prawie całkowicie z obrębu *Almae Matris*. Wszelki opór, — a nie brakło go, nie brakło dzielnych obrońców sprawy polskiej w gronie profesorskiem, — okazał się bezskutecznym. Język ojczysty, jak Kopciuszka, znoszono tylko częściowo na wydziale lekarskim, jako skromny dodatek na teologicznym, a na filozoficznym dopuszczono tylko na katedrze literatury polskiej. Obfite niegdyś źródło wiedzy wysychało zupełnie, a ognisko cywilizacyi polskiej przygasło.

Na szczęście system germanizacyjny siał spustoszenie na wszechnicy Jagiellońskiej tylko lat 10, a ustał, przynajmniej częściowo, wnet po ogłoszeniu konstytucyi ponownie w r. 1860. Konstytucya ta orzekła, że tylko taki ustrój państwa austryackiego może przyczynić się do jego rozkwitu, który zważać będzie na części składowe monarchii, a więc na poszczególne kraje i liczyć się z ich przeszłością dziejową. Stosownie do tej zasady przywrócono 4. lutego 1861. r. język polski jako urzędowy na wszechnicy krakowskiej, a równocześnie stał się znów wykładowym dla znacznej większości przedmiotów (najmniej na wydziale prawniczym). Ostatecznie z rokiem 1869., kiedy osobnem rozporządzeniem zaprowadzono język polski w urzędach i szkołach całej Galicyi, musiała niemczyzna ustąpić i z wszechnicy. Jakoż od r. 1870. spotykamy się z nią tylko w wykładach o piśmiennictwie niemieckiem.

Od tej też pory uniwersytet Jagielloński dźwiga się trwale i podnosi. Z każdym rokiem mnożą się katedry, wzrasta liczba profesorów i docentów. Jak zaś korzystnie oddziałało na prastary zakład przywrócenie w nim języka ojczystego, dowodzi najlepiej porównanie cyfr słuchaczy z lat 1851., 1853. i 1870. Kiedy bowiem w pierwszym roku (wraz z pojawieniem się wykładów niemieckich) było uczniów 229 a w roku zupełnego zniemczenia tylko 175, to z chwilą spolszczenia wszechnicy liczba ich podskoczyła do 621! Odtąd też cyfra ta rośnie stopniowo i stale.

Do nadania wszechnicy charakteru narodowego zakładu naukowego przyczyniło się też znacznie utworzenie w r. 1868. katedry dziejów polskich, na której w rok później rozpoczął wykłady głośny historyk nasz, Józef Szujski. Wreszcie i brakowi miejsca, który tamował swobodny rozrost akademii, zapobieżono w r. 1887., kiedy to wszechnica objęła w posiadanie swe nowy gmach gotycki, wspaniałe *Collegium novum*.

* * *

Ustrój wszechnicy zmienił się pod rządami austryackimi, ale nie zasadniczo. I teraz cieszy się ona samorządem dość rozległym. Na czele stoi senat, złożony z profesorów zwyczajnych. Przewodniczy mu obieralny na rok jeden rektor *magnificus* (t. zn. wielmożny, zwykle stąd tytułowany Magnificencyą), któremu przysługiwa prawo zasiadania w Sejmie galicyjskim w czasie piastowania owej godności. Na wszechnicy czuwa rektor nad należytem wykonywaniem ustaw i uchwał uniwersyteckich, zastępuje ją też wobec ogółu, władzy, i dlatego podczas różnych uroczystości zabiera głos jej imieniem. Przy otwarciu (inauguracyi) roku szkolnego występuje w stroju wspaniałym, którego kształt dzisiejszy pochodzi z roku 1851. Składają się na ten strój: pąsowy żupanik z pasem, pąsowa toga o szerokich rękawach z obszyciem aksamitnem, złoty łańcuch, pierścień, pąsowe rękawiczki i biret. — Prócz rektora wchodzą w skład senatu: prorektor (t. j. rektor z roku poprzedniego), dziekani i prodziekani (t. s. dziekani z roku ubiegłego), delegaci wszystkich (4) wydziałów i sekretarz wszechnicy. Senat jest naczelną władzą uniwersytetu całego, a tylko w pewnych wypadkach podlega ministerstwu oświaty we Wiedniu. Grono profesorskie dzieli się na: profesorów zwyczajnych, nadzwyczajnych i docentów (t. j. kandydatów na katedry profesorskie). Ażeby zostać docentem, trzeba złożyć najpierw doktorat, a potem habilitować się, t. zn. przedłożyć pracę drukowaną i zdać egzamin ustny wobec profesorów odpowiedniego wydziału,

Gdy ministerstwo zatwierdzi uchwałę grona, dopuszczającą kandydata do docentury t. zw. prywatnej, może tenże wykładać i w miarę opróżnienia się katedry odpowiedniej ubiegać się o nią. Profesorowie są z prawidła urzędnikami państwowymi, wyjątkowo tylko rząd umawia się z nimi o wynagrodzenie, odbiegające od stałej normy. Za pensyę, stosowną do rangi, obowiązani są nietylko do wykładania pewnych przedmiotów, lecz także do prowadzenia t. zw. seminaryów, t. j. ćwiczeń praktycznych w różnych gałęziach wiedzy.

Wszechnica krakowska wraz z młodszą znacznie siostrzycą swoją, wszechnicą lwowską, to dziś jedyne ogniska nauki polskiej, jedyne jej placówki. Księstwo Poznańskie nie posiada uniwersytetu, bo rząd pruski nie chce założyć w Poznaniu wszechnicy, młodzież więc polska z Prus, Wielkopolski i Śląska musi dziś słuchać wykładów uniwersyteckich w języku niemieckim w Berlinie lub na innych wszechnicach niemieckich; młodzież, żyjąca w Królestwie Polskiem, dowiaduje się o dziejach swej ojczyzny (najczęściej fałszowanych) z ust Moskali, wykładających w Warszawie po rosyjsku. Jedynie więc w Galicyi możemy dziś czerpać naukę, podawaną nam z ust Polaków po polsku. Odpowiedzialność wielka przeto spoczywa na barkach naszych i źle czyni ten, kto bez ważnych powodów jedzie zaraz po egzaminie dojrzałości szukać obcych bogów poza krajem, zamiast kształcenia się dalej w języku ojczystym i w duchu narodowym.

Konstanty Wojciechowski.



Przyrodnicy na uniwersytecie krakowskim.

Stoimy w przededniu wielkiej narodowej uroczystości! Ona to jest przyczyną, że dziś z pod mogiły pięciu wieków odgrzebujemy dzieje wszechnicy Jagiellońskiej, która przez pół tysiąca lat stała na straży nietylko umysłowego ruchu w Polsce, ale nawet i z dalekiej zagranicy ściągała uczonych, zapisując ich w poczet swoich uczniów.

Toteż nie dziw, że każda niemal gałąź wiedzy znajdzie w dziejach tej niestrudzonej orędowniczki nauk swoją kartę, znajdzie i wielkich bohaterów myśli, którzy okryli się sławą, a temsamem imię narodu polskiego nieśli poza kresy ziemi ojczystej, a nawet przerzucili je przez rozległe morza, że się oparło aż o lądy drugiej półkuli.

Dość przypomnieć Kopernika, który przecież był przez trzy lata (1491—1494.) uczniem Akademii krakowskiej, a nawet, jak się zdaje, w Krakowie za powtórnym powrotem rozpoczął pisać nieśmiertelne swoje dzieło „De revolutionibus orbium caelestium libri VI“ (1543).

Młodą była jeszcze Akademia, a już wówczas zasiadali na jej katedrach znakomici przyrodnicy, jak między innymi Wojciech Blar z Brudzewa, wychowanek tej akademii i nauczyciel Kopernika, matematyk i astronom, Jan z Głogowa, Michał z Bystrzykowa i inni.

Czas ten, mniejwięcej do połowy szesnastego wieku, był okresem najżywszego rozkwitu nauk przyrodniczych (głównie astronomii i matematyki), ale zarazem wstępem do długiego, bo przeszło dwuwiekowego zastoju, któremu kres kładzie dopiero reforma wszechnicy krakowskiej, przeprowadzona z ramienia Komisyi edukacyjnej przez Kołłątaja. Wówczas to powstaje katedra fizyki i chemii, nadto katedra historyi naturalnej, t. j. zoologii, botaniki i mineralogii, — a wraz z tem rozwija się literatura przyrodnicza, której z każdym rokiem przybywają cenne prace i nowe odkrycia, zawdzięczające w znacznej mierze powstanie swoje krakowskim uczonym. Można to w pierwszym rzędzie powiedzieć o Janie Śniadeckim, znakomitym astronomie, matematyku i filozofie, który niegdyś uczeń, później profesor wszechnicy krakowskiej i autor licznych cennych rozpraw naukowych, tak niepospolite położył zasługi około rozwoju nauk przyrodniczych, medycyny i matematyki w naszym kraju.

Również uczeń akademii krakowskiej, profesor chemii i farmacyi na uniwersytecie w Wilnie, a brat poprzedniego, Jędrzej, stworzył dziełem swojem „Początkami chemii“ polskie wyrazownictwo chemiczne, a swoją „Teoryą jestestw organicznych“ położył podwaliny pod dzisiejszą naukę biologii. Dzieło to rozwija teoryę stopniowej przemiany materyi, wracającej z czasem napowrót do stanu,

z którego wyszła, — przemiany, warunkującej prawa życia, a podlegającej wpływowi sił ustrojowych; krótko scharakteryzował je słynny fizyolog berliński, Jan Müller, nazywając je „pierwszą fizyologiczną podstawą całego naukowego systemu medycyny".

W siedmdziesiąt sześć lat potem, bo w r. 1883. ważne odkrycie, dokonane w pracowni fizyki uniwersytetu krakowskiego, obiegało koła uczonych. Oto profesorowi Z. Wróblewskiemu i St. Olszewskiemu powiodło się skroplić niektóre t.zw. gazy trwałe, nazwane tak dlatego, że przez długi czas opierały się wszelkim w tej mierze przedsiębranym usiłowaniom. Do tych gazów należało powietrze, wodór, tlen, tlenek węgla i kilka innych.

Znaczenie tego odkrycia, wyjaśniającego wzajemny związek gazów, par i cieczy, było niepośledniej wagi. Wprawdzie niektóre gazy trwałe, jak tlen i azot, skroplili na sześć lat przed Wróblewskim Cailletet w Paryżu i Pictet w Genewie, pozostało jednak powietrze oprócz innych jeszcze gazów, które, nie ulegając nawet wpływowi ciśnienia 3000 atmosfer, jakie stosował Natterer, zdawały się urągać wypowiedzianemu jeszcze przez Faraday'a twierdzeniu, że gazy są to mniej lub więcej przegrzane pary odpowiednich cieczy. Przyczyna tych nieudatnych prób leżała w braku znajomości odpowiednich sposobów oziębiania wspomnianych gazów poniżej ich t. zw. ciepłoty krytycznej*) i dopiero wspomniani powyżej uczeni krakowscy rozwiązali ostatecznie sprawę skraplania gazów, przeprowadzając równocześnie wyczerpujące badania w celu zapoznania się z własnościami tychże.

Współcześnie z Zygmuntem Wróblewskim był profesorem wszechnicy w Krakowie Maksymilian Nowicki, gorący miłośnik przyrody i niezrównany badacz krajowej fauny i flory. Zajmował katedrę zoologii. Niezmordowany ten pracownik w dziedzinie krajowego przyrodoznawstwa nietylko zapoznał świat naukowy z krajowymi gatunkami chrząszczy, motyli, ryb i t. d., ale sam starał się o rozwój nauk przyrodniczych w kraju, gotów zawsze nieść radę lub pomoc materyalną tam, gdzie tego potrzeba wymagała. Wielki jako badacz, skromny i cichy jako człowiek, zapisał Nowicki żywot swój złotemi głoskami na kartach ojczystego piśmiennictwa naukowego.

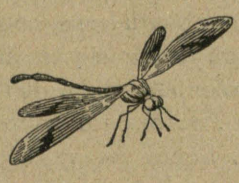
Z dziś żyjących zoologów zasiada na katedrze wszechnicy krakowskiej prof. Wierzejski, znany z licznych prac nad skorupiakami, gąbkami, wrotkami i t. d., tudzież Kulczyński, pracujacy w dziale pajęczaków. Jako fizyolog odznaczył się prof. Napoleon Cybulski, jako anatom zaś zmarły przed kilku laty prof. Ludwik Teichmann, który zbadał naczynia limfatyczne i ulepszył metodę robienia preparatów zapomocą nastrzykiwania tychże odpowiednią, z czasem tężejącą masą.

Liczby wymienionych powyżej zasłużonych około nauki uczonych, dopełniają botanicy i geologowie. Do pierwszych należy prof. Józef Rostafiński i J. Czerwiakowski, zasłużeni wielce około botanicznego słownictwa polskiego, do drugich syn przedwcześnie zmarłego dziejopisarza polskiego, Władysław Szajnocha i Alojzy Alth, któremu oprócz licznych cennych prac naukowych z zakresu geologii krajowej, zawdzięcza polska literatura pierwszy obszerny podręcznik mineralogii.

Ten szereg pracowników, który przesunął się przed naszemi oczyma, pracowników, którzy z hasłem Ojczyzny nieśli i niosą pochodnię wiedzy przed narodem, niech będzie dla nas godnym naśladowania przykładem a w sercach rozpali lepszych dni nadzieję, ale nadzieję

. . . „nie tę chciwą złudzeń,
Ślepego szczęścia płochą zalotnicę,
Lecz tę, co w grobach czeka dnia przebudzeń
I przechowuje oręż i przyłbicę".

Witold Schreiber.



*) Ciepłotą krytyczną nazywamy taką ciepłotę, w której ciecz ogrzewana i poddana ciśnieniu wzrastającemu ciągle tak, aby nie nastąpiło wrzenie, rozszerza się do tego stopnia, para zaś jej tak się zgęszcza, że gęstości cieczy i pary wyrównują się całkiem.

Z życia żaków krakowskich
w dawnych czasach [1]).

Czego się tkniesz w średniowieczu, to cech, kogo weźmie na cel twoje oko, to cechowy: mistrz, czeladnik, uczeń, — rycerz, giermek, ciura, — szlachcic, mieszczuch, chłop. Cóż dziwnego, że i wszechnica, również dziecię czasów owych, nosi na sobie też wszelkie znamiona cechu? Stopnie nawet te same, choć nazwy odmienne: profesor, bakałarz, żak. Ba, nawet strona zewnętrzna, formalności, obrzędy, zwyczaje, przypominają cechy. Jak przyjęcie do cechu pouczało dotkliwie nowego członka jego, że spotkało go niebyle jakie szczęście, że powinien sobie uważać za zaszczyt dopuszczenie do tak zacnego grona, tak i młody adept „sztuk wyzwolonych“ musiał opłacać porządną frycówkę, przebyć t. zw. otrzęsiny. Póki nie uczynił tego, był tylko *beanus*, t. zn. żółtodzióbem, którego nazwę tłumaczono szyderskim akrostychem: *b*estia (a)*e*qualis *a*sino *n*ihil *u*ere *s*ciens“ (żwierzę równe osłu, nic nie wiedzące). Same otrzęsiny (*depositio beani*) była to próba cierpliwości wobec okrutnych nieraz udręczeń, którym musiał się nowy słuchacz wszechnicy poddawać, jeżeli chciał stanąć na równi z innymi, starszymi. Zwyczaj ten, znany w całej Europie, przynieśli do Krakowa prawdopodobnie Czesi, którzy zwłaszcza po odnowieniu studyum wyższego licznie napływali nad Wisłę. W każdym razie w księgach urzędowych wszechnicy krakowskiej spotykamy wzmiankę o beanii już pod rokiem 1489. Ale nie przyjął się ten zwyczaj u nas; ciągle z nim walczą ustawy uniwersyteckie i ostatecznie w r. 1511. zniesiono go tu stanowczo, podczas gdy zagranica otrząsła się z dzikości swej w tym kierunku dopiero w XVII. w. Bo jak dzikim był ten obrzęd, niech poświadczy opis jego wedle badań dra Cz. Zibrta; wprawdzie uczony ten miał na oku stosunki czeskie, ale wobec tego, że brak nam odpowiednich danych co do przebiegu ceremonii tej u nas, a zasadniczo odbywała się mniejwięcej tak samo, można przenieść ten opis i na Kraków.

Ogłoszeniem, na bramie wszechnicy przybitem, wzywano beana na godzinę 12. w południe do jawienia się i poddania „depozycyi“. Gdy się stawił, witano go szyderstwami i śmiechem i prowadzono z urąganiem na miejsce obrzędu, n. p. podawano mu widelce i figi, strzygąc mu niemi pod nosem, biegano do koła niego i szarpano jak sowę, wreszcie drżący cały musiał położyć się na wznak, wyciągnąć się jak struna, albo raczej położyć jak kłoda, a towarzysze w przebraniu karnawałowem zabierali się do niego jak do prawdziwej kłody, którą należało ociosać. Depozytorowie odmierzyli go sznurem, oberznęli piłą, ociosali toporem i siekierą symbolicznie, „aby wszystko, co grube, obłupać z niego, a co szorstkie, wygładzić“. Przytem nie szczędzili mu szturchańców i innych przykrości, nawet dzieci bezkarnie dawały mu szczutki w nos. Zwykle też strącali mu z głowy rogi, umyślnie przedtem przyprawione. Następnie golili ofiarę, choć nie miała ni wąsów, ni brody, obmywali brudną wodą zimną, którą bean musiał sobie sam przynieść w miednicy nieczystej, czesali grzebieniem grabiastym i obcierali mu twarz i głowę szorstką, grubą ścierką. Wreszcie przynoszono pióro, papier i kałamarz, zrobiony z drzewa tak, że się nie otwierał, i kazano mu pisać. Gdy naturalnie bean nie mógł kałamarza tego otworzyć, śmiano się z jego głupoty, a wesołość dosięgała szczytu, gdy wydobyto mu z kieszeni list niby od matki, bolejącej nad swym gołąbkiem, poniewieranym przez nieludzkich kolegów. Za to wszystko musiał jeszcze dręczony nowicyusz podziękować depozytorom jako za łaskę i dobrodziejstwo i sprawić ucztę swym kosztem tak profesorom, jakoteż swym depozytorom.

Rozumie się, że taki obrzęd nastręczał dość sposobności do przesady i wybryków. Słusznie więc rektorowie krakowscy wypleniili ten chwast z korzeniem, zwłaszcza, że i tak miał sąd rektorski dość do czynienia z burdami, wywoływanemi przez studentów, czyto pomiędzy sobą, czyteż z mieszczaństwem. Krewka młodzież nie liczyła się ze słowami, obrzucała się wzajem obelgami, szczególnie dostawało się obcokrajowcom, jak Niemcom i Węgrom, choć nie oszczędzano i swoich, zwłaszcza Mazurów. A od słów żacy przechodzili rychło do czynu; od czegoż nóż za pasem lub kord przy boku, choć rektorat zabronił noszenia wszelkiej broni? Wyzywa-

[1]) Prw. J. Ptaśnika „Obrazki z życia żaków krakowskich w XV. i XVI. w.“. W Krakowie 1900.

jąca zaś mina i buta „panów studentów“ wobec wszystkich, którzy nie posiadali studyów akademickich, była częstym powodem niesnasek, a nawet krwawych bójek z mieszczaństwem. Najgłośniejszą z tych burd była ta, która w r. 1549. wywołała tłumne wychodźtwo żaków z Krakowa, a którą barwnie opisał Kraszewski w swych „Żakach krakowskich“.

Mimo jednak tych i innych ciemnych plam na kartach życia studenckiego można się zgodzić na zdanie, że „młodzież na samym uniwersytecie w XV—XVI. w. zachowywała się jeszcze bardzo uczciwie i moralnie“ i stosunkowo lepiej, niż na innych wszechnicach bywało. Przyczyniały się do tego poniekąd bursy, założone wprawdzie w innych celach, bo dla ułatwienia studyów ubogim, ale siłą wypadków zmienione jakby w internaty.

Nakoniec parę jeszcze słów o „mundurkach“. Jakto? Czyżby już wówczas były w użyciu na wszechnicy? Owszem — były, choć nie znano nazwy dzisiejszej. Ponieważ uniwersytet średniowieczny wyrósł na gruncie pojęć i potrzeb kościelnych, długo zachował charakter odpowiadający temu, nawet pod względem zewnętrznym. Odbiło się to też na ubiorze tak nauczycieli, jak żaków, który zupełnie odpowiadał sukni duchownej. „W pierwszych czasach istniania uniwersytetu i przez cały wiek XV. — powtarzam słowa J. Ptaśnika — jako nakrycie głowy służyła ówczesnemu studentowi zwykła kapuca, zupełnie złączona z suknią. Używano jednak równocześnie i czapek, zwanych myckami, ze zwykłego sukna lubteż z kitajki czy czamletu. W XVI. w. kapuce wychodzą z użycia, czapki jednak, owe mycki (*mitra*), zostają i nadal. Na odzienie żaka składała się koszula (*interula*), obcisłe spodnie, serdak cz. kaftan z rękawami, barwy czarnej lub czerwonej; na to wszystko wdziewał tunikę, którą przewiązywał w pasie, podobnie jak to czynią dziś Żydzi. Tuniki zaś były rozmaite... Najtańsze jednak były tuniki czarne z sukna czeskiego. One też były przepisowemi. Tunika to strój księży, o charakterze rewerendy, często też i to miano służyło na jej oznaczenie. Gdy dołączymy do tego trepki, które student w domu zwykle zdejmował, będziemy mieli żaka przed przed oczyma tak, jak wyglądał w XV. i XVI. w.“ Dopiero z czasem studenci starali się strój ten uczynić więcej świeckim. W początkach XVI. w. skrócono tunikę, ponieważ tamowała swobodę ruchów; odtąd nazywano ją jermakiem lub topieniakiem. Zamiast mycek duchownych poczęto używać świeckich czapek wełnianych lub barankowych i t. p. Wtedy też przyzwyczajono się do lekceważenia zakazu noszenia broni, wydanego już przy założeniu wszechnicy i często ponawianego. Zarząd uniwersytetu opierał się podobnym nowinkom, ale duch czasu był silniejszym, a skoro nawet kanclerz wszechnicy, biskup krakowski Filip Padniewski, stanął po stronie studentów (1566), ustał rygor ubiorowy, niebawem i szata żaków zeświecczała zupełnie. Równolegle z tem zjawiskiem szło inne zeświecczenie całej wszechnicy, które dokonać się musiało pod wpływem zagranicznych prądów nowych.

Fr. Krczek.



Pogadanka.

Pod wrażeniem przygotowań do krakowskich uroczystości dla uczczenia 500. rocznicy Jagiellońskiej „*Almae Matris*“ biegnie i moja myśl w te strony. Zjadą się uczeni z całego świata, by złożyć hołd starej szkole za jej cywilizacyjną pracę przez tyle wieków, a przytem i życzenie dalszego rozwoju i nowego rozkwitu; zgromadzenie delegatów obcych wszechnic i przedstawicieli naukowych instytucyi, mimo wszystkich różnic językowych zgodne w pracy dla wspólnego celu, stwierdzi przed światem piękną łączność i solidarność w wielkiej rzeczypospolitej nauki i da tak potrzebny dzisiaj światu przykład przyjaznego pożycia narodów.

Od pięciuset lat ta Macierz garnie naszą młodzież w swoje ramiona i prowadzi ją ku światłu nauki i prawdy. Ileż to pokoleń związało się węzły nierozerwalnymi, ustępując sobie miejsca: starsi młodszym! I dzieliła ta szkoła wiernie losy kraju i narodu: kwitnąca i sławna w czasach świetności politycznej, chyliła się do upadku w smutnym okresie rozstroju i rozbiorów. A gdy naród, oprzytomniawszy po pierwszym rozbiorze, zerwał się do pracy odrodzenia, uwieńczonej Konstytucyą 3. maja, dźwignęła się i ona reformą Kołłątajową, gotowa zaraz do brania żywego udziału i przodowania w tej pracy. Wypadki, które nastąpiły wnet potem, przerwały tę jej działalność. W ciężkim okresie porozbiorowym, wśród zmiennych i niepomyślnych warunków działając wielką zdobyła zasługę już przez to tylko, że przechowała wiernie tradycyę przekazaną i tą siłą utajoną odżyła jak feniks z popiołów już prawie w naszych oczach.

I z tej przyczyny to święto, które obchodzić będziemy za dni kilka, jest czemś więcej, niż świę-

tem uczonych. Takiemby ono było z pewnością u innych narodów, żyjących w normalnych warunkach; zamknęłoby sią w sferach międzynarodowej rzeczypospolitej uczonych. Każdy to czuje, że u nas tak nie jest i być nie może. Posłuchajcie tylko cichych drgań serca swego, a przekonacie się, że nawet nieświadomie coś się tam rusza i dźwięczą jakieś struny serdeczne na wspomnienie losów tej starej Macierzy!

Ale jest inny jeszcze powód, dla którego powinniśmy uroczystość tę świadomie i z rozmysłem podnieść do wysokości święta narodowego i ten powód trzeba sobie jasno i wyraźnie uświadomić. Żyjemy w czasach silnie rozbudzonego życia narodowego i połączonych z niem antagonizmów narodowych. Wysoko piętrzą się fale rozhukanego często aż do szowinizmu żywiołu, a prym wiodą ludy szczęśliwe, które w ramach organizacyi politycznych znalazły silną podporę swego rozwoju i spełnienie swych pragnień i życzeń. Duma rozpiera ich piersi — ale nie owa szlachetna, sprawiedliwa, otaczająca aureolą oblicze człowieka, który w ciężkim znoju wielkiego dokonał dzieła, jeno ta brutalna, zarozumiała, błotem pogardy obrzucająca drugich, którym się jeszcze nie udało dojść do tego celu, a równocześnie gotowa do przeszkadzania im w tej pracy wszelkiemi siłami. Na mocy zasady: „*Vae victis!*“ rzuca im się w twarz obelgę, że są *minderwerte Nationen*.

Otóż w takiej chwili jest rzeczą rozumną i polityczną podnieść tę uroczystość Jagiellońskiej wszechnicy do wysokości narodowego święta. Możemy im powiedzieć: „Patrzcie zaślepieni, ta *minderwerte Nation* ma taki stary klejnot, spuścizną przez przodków przekazany, z przed 500 laty, ba starszy — bo nie godzi się zapominać, że to bądź co bądź dziedzictwo Piastowskiego ducha i serca — i ten klejnot umie cenić i czcić, co jeszcze więcej znaczy! Pokażcie mi taką pamiątkę na przestrzeni od Renu do Odry, wskażcie mi co równie czcigodnego w Berlinie! Więc w czasie, gdyście wy jeszcze drżeli przed *Ritterburgami* albo budowali ratusze i *Kaufhallen*, nasi książęta zapalali tu na Wschodzie pochodnię nauki, która jasnem światłem oświecała szerokie obszary, a długi czas była najdalszą placówką oświaty na Wschodzie“. Tak im możemy powiedzieć. „Naród mędrców“ zrozumiałby to zaraz, nie chce rozumieć naród w pikelhaubach; ale to nic nie szkodzi, my mimo to mamy prawo do pokazania światu tego starego kiejnotu, bo to nasz herb i nasza legitymacya, na której podstawie żądamy miejsca w rzędzie narodów o starej cywilizacyi.

Żądamy tego i nie damy się wyrzucić z tego pocztu! Ta uwaga wyrywa myśl moją z przeszłości, a zwraca ku przyszłości — taka już natura mego umysłu. Czczę i kocham przeszłość, czuję się jej wytworem, jej dzieckiem, w każdem drgnieniu nerwu w każdym ruchu myśli, — ale im więcej to czuję, im więcej powodów do wdzięczności dla wieków minionych i pokoleń zmarłych znajduję w dziejach, tem silniej czuję swe zobowiązanie wobec przyszłości. „*Noblesse oblige*“ — zaszczyty nakładają obowiązki. Czasami aż drżę z trwogi, czy wypłacę się z długu wobec potomności, wiję się w zwątpieniach w poczuciu bezsilności.

Jest jednak dziwna, a potężna siła w tem poczuciu związku i solidarności pokoleń; dopiero, gdy człowiek poczuje się dzieckiem długiego szeregu przodków, wytworem długich wieków, a nasieniem i twórcą przyszłości, dopiero wtedy zdoła odnaleźć swoje właściwe miejsce w tym nieskończonym łańcuchu życia, a zarazem zrozumieć swoją rolę i obowiązki w teraźniejszości. Takie refleksye opanowują mię najsilniej właśnie w chwilach, kiedy mam jakieś szczególne powody do odczuwania żywej wdzięczności dla wieków przeszłych, jak teraz — wdzięczności dla Kazimierza, właściwego założyciela, i wnuczki jego Jadwigi, która naprawiła tylko zaniedbanie ojca Ludwika. Może jeszcze żadne pokolenie nie odczuło tak silnie błogosławieństwa tego ich czynu, jak my, obchodząc tę uroczystość w chwili, gdy nam odmawiają prawa przynależności do świata cywilizowanego.

To jest tedy może jeszcze ważniejsza przyczyna, abyśmy wszyscy, naród cały wziął udział w tej uroczystości, bodaj sercem i myślą. A ty, młodzieży, która stoisz na progu przyszłości, a z natury już niechętnie zwracasz się w przeszłość, z tego święta, które z konieczności przywoła ci przeszłość na pamięć weź naukę na życie i pamiętaj, że tyle człowiek wart, ile zrobił dla przyszłości! Choćby to było bardzo mało, wszystko będzie policzonem. Bo w wszechświecie nic nie ginie; każdy ruch muskułu drga nierozerwalnym szeregiem skutków w nieskończoność, każdy ruch myśli rozwija się również nieskończonym wątkiem myśli pochodnych.

Gdyby ludzie pamiętali o tej prawdzie, byłoby zapewne mniej sławnych już za życia, ale z pewnością także mniej pomyłek w działaniu, to znaczy mniej czynów, które dopiero za sto lub dwieście lat będą uznane jako pomyłki; pomyłka leżała w tem, że obliczane były na teraźniejszość. Można przebaczyć, jeżeli była bezwiedna, nie wolno darować, gdy była wynikiem ambicyi osobistej i chęci szybkiej sławy.

I to chciałbym przy sposobności tego święta narodowego wyrzeźbić w pamięci i sumieniu waszem, jako drogowskaz na życie trudów i czynów; za jego przewodem dojdziecie do celu. Q. F. F. F. Q. S.! *Kropka.*

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nr. 11. (jubileuszowego): *Ks. J. Fijałek*, Wiek pierwszy, wiek złoty... — *K. Wojciechowski*, Dzieje wszechnicy Jagiellońskiej od w. XVI. do chwili obecnej. — *W. Schreiber*, Przyrodnicy na uniwersytecie krakowskim. — *F. Krczek*, Z życia żaków krakowskich w dawnych czasach. — *Kropka*, Pogadanka jubileuszowa.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie 16. czerwca 1900.



Rok II.

Nr. 12.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Siła i praca są jedynymi przywilejami na tym świecie... nie tytuł i nie urodzenie.

B. Prus (A. Głowacki).

Świat cały przycisnąć do piersi...

Powiastka rosyjska J. M. Potapienki.

(Dokończenie).

Nadeszła Wielkanoc. Było to w wielką sobotę. Dom cały był tak zajęty przygotowaniami świątecznemi, że mniej już zwracał uwagę na moją osobę. Ale gdyby mi się byli baczniej przypatrywali, byliby zauważyli, że nie jestem tak zupełnie obojętnym na wszystko, co się działo dokoła mnie. Nawet sam się zdziwiłem, gdym przyłapał siebie na tem. Jakto? Ja ze swym wielkim ciężarem na sercu mogę się interesować powodzeniem lub niepowodzeniem czyjemś przy pieczeniu placków i barwieniu pisanek, lub zagadnieniami takiemi, jak: kiedy należy jutro zaprządz konie, kto z kim pojedzie do kościoła, kogo zaproszą na obiad?!

A jednak tak było. A co było w tem dziwnego, to ta okoliczność, że nie przychodziło to zzewnątrz, lecz jakby z mego wnętrza, z głębi mej duszy. Obudziły się w niej wspomnienia dzieciństwa, kiedy to w ową wielką noc Zmartwychwstania promieniałem cały radością i spływałem w jedno z rozweselonym ludem, który zapełniał cerkiew wśród jasnego blasku kilkuset świec woskowych, wśród uroczystego śpiewania pieśni kościelnych... Serce moje, które ostatnimi tygodniami zamarło na pozór, nagle zaczęło bić tętnem przyśpieszonem, uczułem jego bicie i odniosłem wrażenie, żem znów zaczynał odnajdywać siebie...

Noc zapadła. Do uszu mych dolatywały urywki rozmów. Dowiedziałem się, że ojciec pojedzie do cerkwi z Nadzią i Manoną, natomiast matka zostanie w domu, ponieważ niemożna zostawiać mnie samotnym.

Nadzia rzuciła uwagę, że przecież i ja mógłbym pojechać z niemi, że toby rozprószyło moje myśli chmurne, ale ojciec rzekł: „Boże uchowaj! Szkodzi mu tłum ludzi, hałas, ścisk. Lekarz nakazał mu spokój bezwzględny!..“

Widziałem przez drzwi napół otwarte Nadzię, ustrojoną w białą suknię. Kilka razy przemknęła mi przed oczyma także smukła postać Manony, cała różowa. I zdawało mi się, że nie przemknęła przypadkowo. Chciała, żebym ją widział. Następnie zadudnił powóz przed domem. Wyszli i odjechali.

Minęło z jakie pół godziny. Do mego pokoju weszła matka. „Powinienbyś się położyć, mój kochany, za długie siedzenie może ci zaszkodzić!“ rzekła z tkliwością.

— „Nie, ja dziś nie położę się wcale!“

Ta odpowiedź była dla niej nowością. Dawniej nie odmawiałem żadnej prośbie matki, ponieważ wszystko było mi równie obojętnem. Może być, że w głosie moim nie znalazla też dawniejszego chłodu. Zauważyłem bowiem, że w jej oczach, ostatnimi czasy bardzo smutnych, jakby zabłysnął jasny promyk.

„Niech i tak będzie, jak chcesz, tylko, że to nie dobrze... Ale niech będzie, mój gołąbku!“ Wyszła.

Minęła jeszcze może godzina. Podchodziłem często do okna i nasłuchiwałem. Do uszu moich dolatywały dźwięki dzwonów i jak gdyby daleka wrzawa.

Cerkiew była oddalona od nas na jakie pół wiorsty. Tymczasem w domu już się zaczął ruch tłumiony. Zaczęto rozciągać stół w wielkiej sali, znoszono półmiski i rozstawiano je. Widziałem, jak zrobiło się tam jaśniej, i przystąpiwszy do drzwi, zajrzałem do wnętrza. Wszystko było tam tak piękne, świeże, pełne smaku! Przyniesiono doniczki i poczułem silny zapach hiacyntów.

Ale nagle któreś z wrażeń dawnych, zapomnianych, lecz zarazem przyjemnych, ozwało się w mej duszy. Dziwnego doznałem uczucia, jak gdyby mi z serca spadł jakiś ciężar. Przywykłem już był do niego i niemile mię dotknęła ta zmiana. Stanąłem znów u okna. Otworzyłem je szybkim ruchem ręki. Świeży chłód wczesnej wiosny wionął mi w twarz i poczułem najdelikatniejszą woń młodziutkich liści. Nad ziemią rozpięte gwiaździste sklepienie niebios odbijało się w ciemnostalowem źwierciedle rzeki. Wyjrzałem przez okno. W dali płonęły jasne ognie. To cerkiew oświetlona. Szerokie języki ogniste strzelały ku niebu z zapalonych beczek smolnych. Wystrzał — i drugi i trzeci. Tak każe zwyczaj. Krew żywszym prądem rozlała się po mych żyłach. Coś mię wabiło gwałtownie z pokoju na dwór. Pod wpływem niepojętego natchnienia chwyciłem czapkę i wyskoczyłem pszez okno.

Coś zawiodło mię do ogródka, który przylegał do domu naszego. Oto i furtka, a dalej droga... Rozpędziłem się zaraz w kierunku ku cerkwi. Wzruszenie ogarniało mię coraz silniej. Śpieszyłem się jakby z obawy, że stracę coś, jakieś wyrazy, koniecznie mi potrzebne.

Otóż i ogrodzenie cerkwi, a w niem ciśnie się lud; na wszystkich twarzach radość świąteczna. Dwa rzędy kobiet stoją nad plackami i różnemi wielkanocnemi pieczywami, trzymając w ręku świece woskowe, chronione od wiatru papierem różnobarwnym, i czekając na popa, który ma poświęcić to wszystko. Z cerkwi dolatywa śpiew chóru wiejskiego. Zbliża się ciągle i wreszcie — zjawia się pop w jasnej kapie, a zanim garnie się lud z cerkwi. To procesya dokoła cerkwi. — Zacząłem przeciskać się do rzędów pierwszych. Znano mię i ustępowano mi z drogi. Z sercem, bijącem mocno, i oczyma płonącemi szukałem siostry Nadzi. Tak gwałtownie pragnąłem ją zobaczyć i powiedzieć jej... O, sam nie wiedziałem, co jej powiedzieć! Chwytałem łapczywie słowa śpiewu, a w duszy mej ozywały się wyrazy: „Jeden drugiego obejmijmy! I powiedzmy zobie wzajem: Bracie! A nienawidzącym nas przebaczmy w imię Zmartwychwstałego i zawołajmy: Chrystus zmartwychwstał!“

„Jeden drugiego obejmijmy... obejmijmy!“ szeptały me usta i szukałem siostry, ażeby ją uścisnąć jak najrychlej i powiedzieć jej: „Przebacz!“, ponieważ czułem się bardzo winnym wobec niej. Ale oto i ona! Mimowoli odłączyła się od reszty towarzystwa. Ojciec i Mónon szli daleko za nią. Chwyciłem ją za rękaw.

„Nadzio!“

— „Ty? Ty tutaj?!“

„Nadzio! Chrystus zmartwychwstał!“ *) Rzuciliśmy się sobie wzajem w objęcia.

„Nadzio, przebacz mi, przebacz!“

---

*) Rusini i Rosyanie na Wielkanoc pozdrawiają każdego wyrazami temi (Chrystos woskriese); odpowiedź brzmi: „Zaiste zmartwychwstał“. (Wo istinu woskriese). Następuje trzykrotny pocałunek, co nazywają „christosowacca“.

— „Co ci znowu? Co ci mam przebaczyć? Nie mam ci nic do przebaczenia.“

„Owszem, masz . . . masz zaiste! Zawiniłem bardzo wobec ciebie! Ale to już przeszło. O, widziałem oddawna, że pojmujesz wszystko. Ach, jakże serdecznie śmieję się sam z siebie... i z niej...! Słyszysz, Nadzio?: „Jeden drugiego obejmijmy“...? O, gdybyś wiedziała, Nadzio, jak chętnie przycisnąłbym do piersi świat cały, caluteńki! A ona, ta kochana Manon, była bez litości. Kokietowała mnie, a ja byłem głupim, jak dziecko pięcioletnie. Nadziu, czyż to taka miłość, dla której wartoby się strzelać? A co najważniejsza — czy to taka miłość, dla której wartoby obrażać tak głęboko ciebie, moją najlepszą przyjaciółkę? Bynajmniej. Teraz dopiero poznałem miłość prawdziwą — kocham ludzi wszystkich, ten lud prosty i wszystkich innych, wszystkich, ilu jest na świecie... Taka miłość wypełnia obecnie pierś moją. O, Nadzio, teraz jestem zdrów zupełnie!“

I nie wiedząc dlaczego, całowałem się trzykrotnie z każdym, kto stał koło mnie. Rozgorzałem jakąś nową, pochłaniającą mię całego miłością ku ludziom.

W domu spotkałem się z Manoną. „Chrystus zmartwychwstał!“ przywitała mię, spoglądając przytem na mnie zalotnie.

— „Zaiste zmartwychwstał, Manono!“ odpowiedziałem tak naturalnym głosem, że nie zrozumiała nawet, co chcę powiedzieć. „Tylko“, dodałem z uśmiechem — „nie mruż już, kuzynko, tak uroczo swych pięknych oczu, bo to nie zda się na nic. Jestem już zdrów, zdrów zupełnie, „Manono!“

„Tem lepiej!“ odrzekła Manon i zaśmiała się wesoło. Bo w gruncie rzeczy miała serce poczciwe, tylko spłacała daninę swej piękności, uznawanej powszechnie, i swym rzeczywiście uroczym oczętom.

Co za radość zapanowała tego dnia w domu naszym! Przy stole opowiedziałem na głos wszystkie szczegóły swego małego romansu. Manon czerwieniała lekko, wszyscy się śmiali, ona też — i wszyscy byli bardzo weseli.

Pozostaliśmy z nią przyjaciółmi na zawsze. Za tydzień wyjechałem do miasta, szczęśliwie dopędziłem swych kolegów i całkowicie odpowiedziałem nadziejom, jakie przełożeni i rodzice pokładali we mnie: złożyłem egzamin dojrzałości z odznaczeniem.

Gal-Anonim, pierwszy kronikarz polski.

Około r. 1113., za panowania Bolesława III., zwanego Krzywoustym, napisał zakonnik, nieznany nam z imienia, pierwszą polską kronikę. Dzieło to, znakomite zródło do czasów owego księcia, napisał po łacinie, tym bowiem językiem posługiwali się w owym czasie uczeni europejscy, — krajowy, narodowy język był zapomnianym i używano go jedynie na wschodzie Europy, tak n. p. w Bizancyum pisano po grecku, a w poblizkiej nam Rusi w niewiele lat po naszej pierwszej kronice pisze mnich kijowski, Nestor, pierwszą kronikę ruską w języku ojczystym.

Autor naszej kroniki pochodził, jak się zdaje, z południowej Francyi; dlatego zwą go zwykle Galem (Gallus, mieszkaniec Galii cz. Francyi). Że zaś nie znamy imienia jego, powiadamy o nim, iż jest Anonimem, t. zn. Bezimiennym; przezywanie go Marcinem (dawniej) lub Baldwinem (M. Gumplowicz) nie ma podstawy naukowej. Kto go posłał lub powołał z dalekiej Francyi do Polski, niewiadomo, to tylko pewna, że w chwili, gdy pisał swą kronikę, nie był związany silnymi węzłami z Polską, bo, jak sam przyznaje, pragnął owoc swej pracy, kronikę, zawieźć do swej ojczyzny i klasztoru, gdy będzie wracał. Gdy będzie wracał — pisze, spodziewał się jednak, jak to poznać można z niejednego zdania, że książę wynagrodzi go za napisanie dzieła, które sławiło jego czyny rycerskie, tak hojnie, iż będzie mógł spokojnie i bez kłopotów zajmować się dalej pracą i historyą. Nadzieja zawiodła go jednak; na dworze książęcym znajdowało się wielu zawistnych i zazdrosnych, którzy odwrócili łaskę księcia od nieznanego i biednego zakonnika.

Na tem kończą się nieliczne wiadomości nasze o kronikarzu Galu-Anonimie. Lecz prócz wspomnienia potomnych pozostała po nim pamiątka wiecznotrwała, wspaniała, która bezimiennemu autorowi zapewniła sławę nieprzemijającą. Jest to jego kronika. Z niej dziejopisarze czerpią natchnienie do opisywania dziejów ojczystych, z niej poznają Polskę taką, jaką była przed 800 laty. Z niej wreszcie czerpią wiadomości o jej autorze, o jego zdolnościach, uczoności i charakterze. Z dziełem tem wypada się nam bliżej zapoznać.

*

Napisane około r. 1113., jak wspomiałem, składa się z trzech ksiąg. Opowiadanie pierwszej zaczyna się bajecznym Popielem i niemniej bajecznym Piastem, prędko jednak dochodzi do Mieszka I., szeroko dość opowiada dzieje Bolesława Wielkiego, krócej zaś jego następców. Kończy się narodzeniem Bolesława III., syna Włodzisława Hermana, w r. 1086. Księga II. opowiada przedewszystkiem młodość Bolesława, jego walkę z Sieciechem, doradcą Władysława I., i Zbigniewem, bratem przyrodnim, który rościł sobie prawa do tronu, następnie część panowania Bolesława III. do r. 1109. Księga III. zawiera dzieje lat 1109—1113., opis wyprawy cesarza Henryka V. na Polskę, walki z Morawianami, Czechami i Pomorzanami.



Zasłona (z groty Postojny).

Znakomitem źródłem do dziejów Polski jest ta kronika. Nie udało się dotąd wykazać nikomu, żeby autor fałszywie przedstawiał zdarzenia i z rozmysłu je przekręcał. Opisuje wprawdzie głównie wojny, wyprawy, oblężenia, ale przytem znajdujemy niejeden szczegół, odnoszący się i do wewnętrznej historyi owych czasów; dlatego też tak wysoką jest wartość tej kroniki dla naszych dziejów.

Nietylko prawdomowność, otwartość i prawość kronikarza przebijają się na kartach naszej kroniki — widzimy z niej również i wielką naukę i wykształcenie wysokie autora. Oczytanym był bardzo, znał doskonale pisarzy, tak kościelnych, jak klasycznych łacińskich. Przejął się jednak najbardziej Salustyusem, a wpływ „Wojny z Jugurtą“ niejednokrotnie widoczny, tam zwłaszcza, gdzie uderza podobieństwo Bolesława i Zbigniewa do Adherbala i Jugurty. Znał nadto poetów łacińskich: Wergiliusa „Eneidę“ i Lukanusa „Farsalię“. — Rozumiał nieco po polsku, znał zasady malarstwa; razem to zebrawszy, trzeba przyznać, iż na owe czasy był to człowiek, niepospolicie wykształcony. Łacina jego jednak jest całkiem różną od łaciny Cezara, Liwiusa, Salustyusa, Tacytusa. Jest to łacina średniowieczna, obfitująca w nowe, nieznane klasycznemu okresowi słowa i zwroty, napuszysta, zwykle niezgrabna, u Gala jednak dość łatwa. Dzieło Gala-Anonima przepełnione jest wierszami rymowanymi, gdyż takie zamiast dawnych heksametrów, zwrotek i t. d. były wówczas w użyciu. Oto n. p. piękny wiersz, opiewający przybycie Bolesława Śmiałego do św. Władysława., króla węgierskiego, gdy go wypędzono z Polski za zabicie św. Stanisława (1079.):

Cum audisset Wladislaus Boleslavum advenire,
Partim gaudet ex amico, partim restat locus irae,
Partim ex recepto quidem fratre gaudet et amico,
Sed de terrae Boleslavi lato dolet inimico.

Piękne dzieło cudzoziemca każdemu Polakowi winno być znanem, jeżeli nie w całości (w oryginale łacińskim wydane jako *Galli Anonymi Chronicon*, we Lwowie 1899., w przekładzie Z. Komarnickiego p. n. Kronika Marcina Galla, Warszawa 1873.), to przynajmniej w wyjątkach, n. p. opis panowania Bolesława I. (ks. I.) lub wojny Bolesława III. z Henrykiem V. w ks. III. (prw. obecnie P. Chmielowskiego „Obraz literatury polskiej w streszczeniu i celniejszych wyjątkach". Warszawa 1898. t. I.).

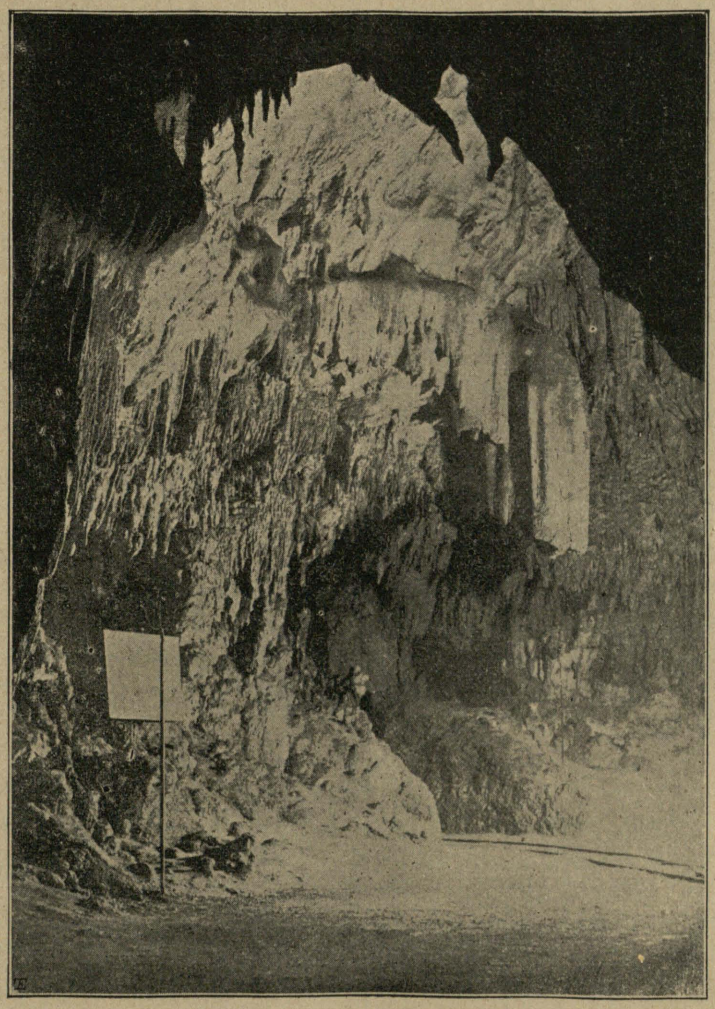
St. Kętrzyński.

Finlandya i Finowie.

II.

(Dokończenie).

Po wstępie, uprzedzającym, iż opowieść dalsza Kalewali to spuścizna po przodkach, śpiewa runoja pieśń o stworzeniu świata i narodzinach Wejnemejnena, syna dziewicy powietrznej, Luonotary. Morze mu było kolebką, nie był nigdy dzieckiem, odrazu jest „prawym, starym" i to w 2 pierwszych runach boskim twórcą kultury rolnej, dopiero w III. p. nabiera charakteru więcej osobistego. Zasłynął mądrością i śpiewem, co obudziło zazdrość niepoczesnego młodzika lapońskiego Joukahajnena do tego stopnia, że stanął z nim do walki. Niestety srodze pobił W. śmiałka i wczarował go za karę w bagno, po uszy. Dopiero obietnica otrzymania ręki Ainy, siostry pobitego, uśmierzyła gniew pieśniarza.



Kazalnica (z groty Postojny).

Ale dziewczę nie chciało wyjść za starca i z radością powitało śmierć przypadkową, którą znalazło w falach morza. Przemienione w rybkę, wpadło wprawdzie w ręce W...a, ale mądrość nie dopisała tym razem czarodziejowi, rybka wymknęła mu się, szydząc z jego nieprzezorności. Udał się więc w zaloty do Pohioli, ale mściwy J. zranił konia jego, wskutek czego starzec, wpadłszy w morze, ledwo uszedł z życiem. Ostatecznie dostał się do celu podróży i otrzymuje przyrzeczenie od matrony Louhi, że mu wskaże drogę do ojczyzny i odda swą córkę, jeżeli ukuje jej cudowne *sampo* [1]). Udaje się więc W. do Hefajstosa fińskiego, Ilmarynena, i po trudach niezwykłych, których powodem była miłość ku spostrzeżonej w drodze przecudnej dziewicy, gwałtem przerzuca opornego kowala do Pohioli. Ilmarynen, zakochawszy się w córce Louhi, wykonywa sampo, które fałszywa Laponka ukrywa w skale miedzianej, nie myśląc o oddaniu mu swej córki, choć była mu ją przyrzekła. Tymczasem W. udaje się ponownie w zaloty na północ, tym razem okrętem, ale spostrzeżony przez Anikię, siostrę Ilmarynena, musi

[1]) Jestto nieokreślone bliżej narzędzie cudowne, na które się składają ostrza piór łabędzich, mleko jałówki, ziarnka jęczmienia, kosmyk wełny owczej, — jakby symbol orki, siejby, hodowli bydła i przędzenia; znaczenie jego podobne, jak św. Grala w epopei bretońskiej.

się zgodzić na jego towarzystwo i nawet układ z nim zawiera, iż ten zostanie mężem dziewicy pohiolskiej, kogo ona wybierze.

Tym sposobem zwycięża młodszy i przystojniejszy I., zwłaszcza gdy trudności, stawiane mu przez matkę dziewczęcia, pokonywa przy pomocy tegoż, niby drugiej Medei. Sześć pieśni zajmuje opis wesela, w wielu punktach przypominający nasze zwyczaje ludowe. Pomiędzy gośćmi weselnymi brakło kochliwego wietrznika, mściwego Leminkejnena, którego przygody awanturnicze wypełniają p. XI. do XV.; obrażony z powodu pominięcia go, mści się na gospodarzu, bo zabija go, co prowadzi do zaciętej walki między nim a Pohiolą. Ostatecznie tylko dzięki przezorności swej matki uchodzi z życiem z różnych zasadzek i niebezpieczeństw. Tymczasem żona Ilmarynena, zła i nieznośna dla czeladzi, staje się pastwą własnego bydła, zamienionego w wilki i niedźwiedzie przez mściwego, a nieszczęśliwego pastucha, Kulerwę (dzieje życia K. stanowią osobny epizod p. XXX. do XXXVII.) Zrozpaczony wdowiec kuje sobie żonę z kruszcu, a gdy ta nie może zastąpić mu żywej, porywa drugą córkę Louhi; lecz i tą się nie nacieszył, bo musiał niewierną zakląć za karę w mewę. Wtedy następuje przełom w duszy jego, jak wiele wieków później w „Dziadach“ w duszy Gustawa-Konrada. Nie o szczęściu osobistem należy myśleć, lecz szczęściu ogółu, ojczyzny, a to zawisło od posiadania sampa. Ten wzniosły cel łączy Wejnemejnena, Ilmarynena i Lemikejnena; wyprawiają się okrętem do Pohioli po sampo, jak ongiś Argonauci po złote runo, i zdobywają je podstępem. Ale przez nieostrożność Leminkejnena tracą zdobycz — cudowne narzędzie się rozbija. Jedynie cząstki niektóre zawiał wiatr na brzegi Kalewali; tu odtąd stanowią źródło pomyślności, którą mściwa Louhi napróżno stara się zniweczyć przez uwięzienie słońca i księżyca. Niewola ta ustaje wreszcie — Kalewala tryumfuje na każdem polu nad Pohiolą. Tak z pieśnią 49. kończy się właściwy wątek opowieści, bo 50-ta, w której Bóg-Przychodzeń odbiera hołd jako król Karelii i zmusza Wejnemejnena do opuszczenia kraju na zawsze to wyraźny dolepek późniejszy.

To, co na wielką skalę cechuje epos streszczone, mianowicie fantastyczność skrajna i „głęboki liryzm, o barwach przeważnie posępnych“, przenikający nietylko stosunki ludzkie, ale i pojmowanie całej przyrody, jest też właściwe pieśniom, zebranym w Kanteletarze, choć w mniejszych naturalnie rozmiarach. Toteż nie będę charakteryzować ich osobno; poprzestanę na próbce jednej, mianowicie runie I. Kanteletary:

Mylnie twierdzą ci bezsprzecznie
I w zupełnym toną błędzie,
Którzy sądzą, że kantelę,
Piękną cytrę pięciostrunną,
Wejnemejnen pierwszy złożył,
Ze szczupaczej złożył szczęki
I że struny do niej uwił
Sam z włosienia konia Hizi.
Tylko bieda ją złożyła,
Troska zjęła części w całość,
Gorzkie łzy tęsknoty, cierpień,
Wyprężyły strun pięcioro.
Toteż rzadko dziś kantele
Dźwięczy życiem i weselem;
Tylko jęczy i boleje
Cichym głosem smutku, żalu.

Fr. Krczek.



Z „Kalewali“.

Żal Ainy.

„Oj, mateńko moja miła,
Coś mnie piersią wykarmiła!
Jak nie płakać mnie niebodze
W ciężkim żalu, w serca trwodze?
Mamże rąbkiem nakryć głowę,
Nakryć rąbkiem włoski płowe,
Gdym dzieweczka jeszcze mała,
Kiedym jeszcze nie dojrzała?!
O, mateńko moja złota!
Ja przepłaczę dni żywota
Za słoneczkiem, co tak jasno
Moją strzechę złoci jasną,
Za miesiącem, co się toczy
Srebrną kulą wpośród nieba.
Mnież to wszystko rzucić trzeba!
Więc zalewam łzami oczy,
Szkoda gwiazdek, słonka szkoda,
A jam jeszcze taka młoda!“
— „Nie płacz, nie płacz mi, nieboże,
Czarny smutek zegnaj z czoła!
Wszędzie świeci słonko boże!
Jak szeroki świat dokoła,
Jasny księżyc wszędzie płonie!
Próżno łamiesz białe dłonie —
Wszędzie zioła kwitną wiosną
I jagódki wszędzie rosną“.

S. Duchińska.

Smutny powrót.

I znów biegnie syn Kalerwy —
Tam, do chaty biegł bez przerwy,
Do izby ojca swojego,
Smugów pola matczynego.
Pustką leży polne staje,
Pustką izbę pustka chłodzi.
Nikt mu ręki nie podaje,
Nikt z uściskiem nie wychodzi.
Chciał uścisnąć węgli stosy:
Zimny — siwy pył je kryje.
„Ha!“ zawołał w niebogłosy,
„Więc mateczka już nie żyje!“
Do pieca rękę przykłada:
Zimny — szary szron go kryje:
„Biada mnie nędznemu, biada,
Więc i ojciec już nie żyje!“
Spojrzał w ziemię, a tam świeci
Pasmo kurzu, płachta śmieci;
Ciężka boleść dech mu sparła:
„Ha, więc siostra już umarła!“
Ani śpichrza, ani płota -
Pustka, słup za słupem gnije;
Zrozumiał, jęknał sierota:
„Więc i brat mój już nie żyje!
Nikt a nikt...“ i szemrał gorzko
Nad mateczką, nad niebożką:
„O prześliczna, moja miła!
Cóżeś ty mnie po żywocie —
Co, mateczko, mnie sierocie
Na tym świecie zostawiła?
Oj! nie słyszy pierś rodzima,
Choćbym przemówił oczyma,
Użalał się ócz rzęsami,
Nawoływał powiekami“. —
Otóż nie! — na podziw ludzi,
Acz ją zimna więzi bryła,
Słyszy i w grobie się budzi
I odpowiedź mu zasyła:
„Synu, wszakem zostawiła
Psa czarnego, niech on radzi,
Niech cię borem zaprowadzi
Na dwór modrej Katajatar,
Księżny lasów, gdzie granica
Jest światłości, wieczne cienie,
Gdzie jest borów wszechstolica!
Tam u modrej Katajatar
Wyproś sobie opatrzenie!“

F. Jezierski



Postojna - jezioro cyrknickie - odmieniec.

(Z 3 rycinami).

Jadąc koleją z Lublany ku Adryatykowi, przeprawiamy się przez pasmo górzyste, a właściwie przez płaskowzgórze wapienne, ciągnące się w kierunku południowowschodnim do rzeki Isoncy (Isonzo) do zatoki kwarnerskiej (Quarnero). Pasmo to, 900 km. długie, a 500 m. wysokie, dzieli się na Karst tryesteński i Czyczeryę.

Cały Karst składa się z wapienia, który, wielokrotnie poszarpany i obfitujący w rozmaite jaskinie, spoczywa na pokładzie piaskowym i przedstawia się jako płaskowzgórze, najczęściej nagie, suche, bezleśne i nieurodzajne, zawalone tu i ówdzie gruzami kamiennymi, pełne mniejszych i większych jaskiń i rzek podziemnych. Gdzieniegdzie tylko udaje się uprawa kukurudzy, drzew owocowych i winnej macicy. Gwałtownie występujący tu często wiatr północnowschodni (bora), pustoszy okolicę i wysusza roślinność, a zarazem czyni przejście przez Karst nawet niebezpiecznem. Z licznych jaskiń miejscowych najsławniejszą jest grota adelsberska czyli Postojny; w pobliżu tejże, nieco na wschód, znajduje się jezioro cyrknickie.

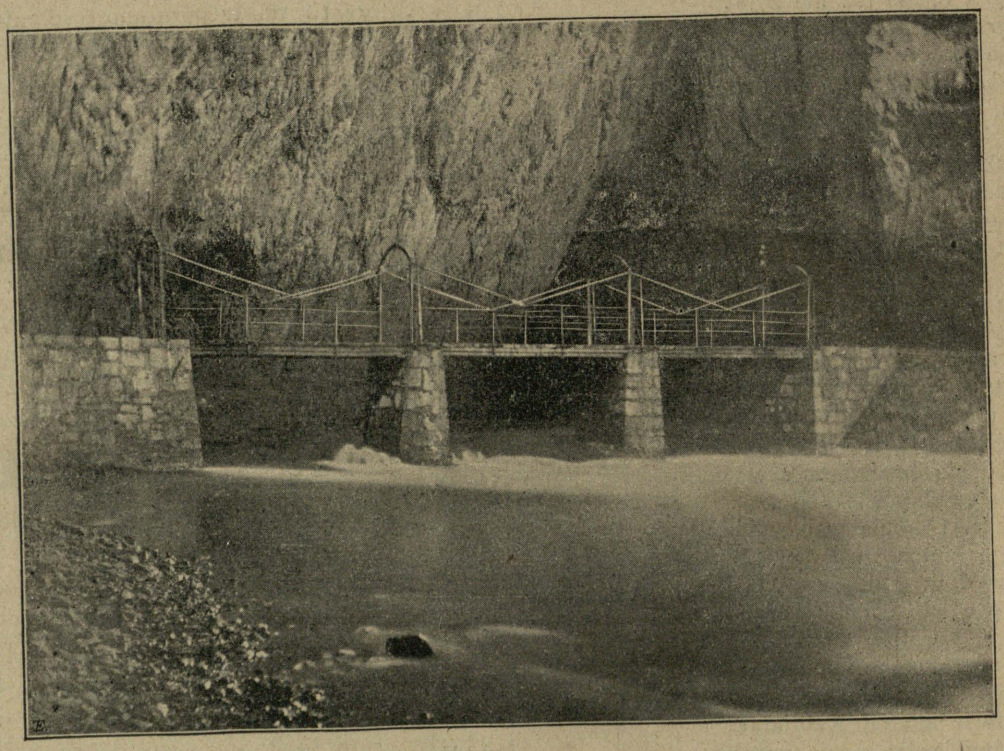
Ponieważ miejscowości te są właściwym celem naszej podróży, więc poznajmy je bliżej!

Zaczniemy od jeziora cyrknickiego, zwanego także cudownem. Jest oddalone na pół godziny drogi od miasteczka tegoż imienia. Ma przeszło 8 km. długości, a 4 szerokości. Wysokie, bezpłodne skały otaczają je ze wszystkich stron, jakby dla zakrycia tych cudownych miejsc przed ciekawymi, a jednak niezmordowany przemysł ludzki wyciągnął korzyści i z tajemnic tego jeziora. Niedaleko od brzegu można zauważyć dwa ciemne punkty w skale, leżącej tuż pod powierzchnią wody. Są to otwory, przez które odbywa się zwykły odpływ wód. W chwili, gdy to ma nastąpić, głuchy szum, podobny do oddalonego grzmotu, można słyszeć w głębi tych otworów. Woda zaczyna uciekać przez nie z taką szybkością, jakby ją przyciągała jakaś tajemnicza siła. Ogromna ilość wody, napełniająca ten olbrzymi zbiornik, zaczyna burzyć się i gotować i ze strasznym szumem leci w przepaść i ginie w niej w przeciągu 48 godzin. Czasami jednak wody jeziora znikają przez 18 szczelin, otwartych w różnych miejscach dna jeziora. Powstają wówczas nad temi szczelinami wiry szalone, a cała powierzchnia jeziora drży i pokrywa się pianą, z otworów przybrzeżnych grot wydobywa się huk, podobny do ryku lwa, i ogromny basen opróżnia się w ciągu godziny.

Skoro tylko pojawią się pierwsze zwiastuny przyszłego odpływu, ptactwo wodne, przerażone hukiem podziemnym, podnosi się, łączy w stada i z krzykiem trwogi odlatuje z miejsca, na którem znikł żywioł, potrzebny dla ich istnienia. Dokąd odpływa woda? [1]) Co za cudowna siła ją odciąga i zatrzymuje pod ziemią aż do chwili, gdy inna siła, niemniej cudowna, zmusi wodę do ponownego wystąpienia na powierzchnię?...

Gdy woda zniknie, natychmiast zbiegają się ludzie z okolicy i zbierają w błocie ryby, które wywożą do najbliższych miast i wsi na sprzedaż, resztę zaś solą, wędzą i marynują. i przewracając ziemię tam, gdzie jeszcze przed 2 miesiącami posuwała się lekka łódź rybaka.

Rolę, tak przygotowaną, zasiewają prosem lub jęczmieniem, które dają co najmniej 30 ziarn. Wprawdzie rolnik opłaca ten zbiór bogaty strachem i obawą nieustanną, gdyż woda, wszechwładna pani tej miejscowości, pojawia się czasem, zanim kłosy dojrzeją. Lecz najczęściej pozwala dojrzeć ziarnom i dokonać zbioru. Rolnicy wiążą snopy z szybkością nadzwyczajną, nawet noc nie przerywa tej pracy, a plon zebrany z pośpiechem i w tryumfie, po wydarciu go ziemi, prawie ciągle zalanej wodą, odwożą do stodół.



Most (w grocie Postojny).

Do sześciu tygodni najdalej dno jeziora pokrywa się bujną trawą. A gdy kosa przejdzie przez tę łąkę improwizowaną, gdy słońce majowe zmieni tę trawę, pełną kwiatów, na siano pachnące, przechodzą po tej przestrzeni miarowym i spokojnym krokiem woły, ciągnąc pługi

Pierwszy wiatr, który przewieje po ścier nisku, zamienia się w burzę; obłoki gęste zaciemniają powietrze, huczy grzmot, pioruny biją i szerokie błyskawice przecinają chmury, oświetlając jeden z najwspanialszych obrazów przyrody. Wody, pochłonięte przez ziemię, wydobywają się z niej znowu z zastraszającą gwałtownością dwoma otworami przybrzeżnymi i 18 szczelinami na dnie jeziora. Olbrzymie wodotryski wznoszą się snopami, słupami przeźroczystymi, górami piany, w tysiącach form fantastycznych, które światło błyskawic oświetla w sposób dziwnie piękny, chociaż

[1]) Jezioro cyrknickie jest w połączeniu z jeziorem górnem, znajdującem się jaskini, i wogóle z wodami, wpadającemi do grot. Jeziora te przedstawiają nam naczynia połączone i, skoro z gór (n. p. wiosną i jesienią) wody nadpłyną, wypełniają je, skoro zaś przypływ ustaje, uchodzi woda podziemnem łożyskiem dalej.

ponury. Z niezwykłej wysokości, na którą tajemne siły podziemne wyrzucają fontany, woda spada na swe łoże, rycząc, kłębiąc się i pieniąc; potem wszystko ucicha i w kilka godzin tworzy się zupełnie spokojne jezioro. Nie mam pióra dość wymownego, aby opisać grozę i piękność tego obrazu. Żeby mieć o nim należyte pojęcie, potrzeba go widzieć.

Ptactwo wodne, jakby uwiadomione telegraficznie, zaczyna wracać całemi stadami. Krzykiem radosnym samo wita powrót wód na dawne miejsce, bo nikt z mieszkańców nie ośmiela się być świadkiem tego imponującego obrazu, który udało mi się widzieć przypadkiem w podróży. Dopytywałem się na miejscu, jakie są podania ludowe, z tem zjawiskiem związane! Otoż opowiedziano mi, że powrót wód w dawne łożysko, przedstawiający taki straszny, a zarazem piękny obraz, jest dziełem duchów piekielnych. Do znikania zaś wód, odbywającego się bez szumu i daleko spokojniej, niema przywiązanego żadnego podania.

Co się tyczy grot, to najwspanialszą jest adelsberska, w pobliżu wsi Adelsbergu, liczącej do 2000 mieszk. Znaną była już w XVIII. w. ze słynnych stalaktytów wapiennych. Szeroki strumyk, zw. Poik (Pinka), oddziela przednią czyli starą grotę, 144 *m.* długą, od nowej, bo w r. 1816. odkrytej, mającej 2434 *m.* długości. W tej ostatniej znajdują się nadzwyczaj zajmujące formy stalaktytowe, z których t. zw. „zasłona“ (Vorhang) biała, na pół przeźroczysta ściana z pomarańczową obwódką, z gliny żelazistej, na szczególniejszą zasługuje uwagę. W pobliżu niej znajduje się też słynna ze stalaktytów grota Magdaleny, klajnhajzlerska i in. Piękny łukowy otwór zaprasza do wnętrza chciwych wrażeń widzów. Gdy się tam dostaniemy, woda, spadająca kaskadami z głuchym łoskotem, panująca dokoła ciemność i migające się światła pochodni przewodników, odbite wielokrotnie w źwierciadłach wód podziemnych, — to wszystko przejmuje pewnym strachem, lecz zarazem wprowadza w podziw i zadumę, a skoro zbliżymy się do strumyka i przewodnik zaprosi nas na czółno, wsiadamy chętnie, chociaż z trwogą. Przesunąwszy się na niem popod kilka wiszących nad nami skał, wjeżdżamy na ciemne jezioro, do 100 *m.* szerokie, a 120 *m.* długie; nad niem wznosi się wysokie sklepienie skaliste, złożone ze śmiałych łuków.

Zdaje nam się że jesteśmy w jakimś zaczarowanym gmachu gotyckim, zamieszkanym pzzez duchy podziemne. Sterczące skały, wiszące stalaktyty i wznoszące się do góry stalagmity przedstawiają w oświetleniu pochodni rozmaite kształty fantastyczne, które czarują nas prawdziwie widokiem swoim.

Wśród martwej, zimnej przyrody szukamy mimowoli jakiej żywej istoty, któraby krom nas, zwiedzających, zamieszkiwała te podziemia. I oto właśnie dobijając łodzią do brzegu, przewodnik nasz wyciąga odmieńca, który jedynie króluje w tych wodach. Przypatrzmy się teraz bliżej przy wejściu na światło dzienne tej zdobyczy!

Odmieniec przypomina kształtem młodego węgorza lub większego piskorza, jest na palec gruby, a do 30 *cm.* długi, blado czerwonawy. Po bokach szyi ma zewnętrzne skrzele, oczy pod skórą ukryte, a skóra tak prześwietla, że serce i wnętrzności przeglądają. Krótkie nóżki przednie mają po 3, a tylne po 2 palce, ogon spłaszczony jak u traszek (*Tritones*). Kolega mój i towarzysz podróży, z zawodu przyrodnik, opowiadał mi dalej, że źwierzę to, wystawione na działanie światła, ciemnieje, że posiada prócz zewnętrznych skrzel, któremi w wodzie oddycha, jeszcze płuca, umożliwiające mu pobyt na lądzie, a złożone z oddziałów, które są z sobą połączone, a przypominają pęcherz rybi. Dla możności życia w wodzie i na lądzie jest ono prawdziwym płazem czyli *amphibium*. Odmieniec żywi się mięczakami i robakami, rodzi żywe młode, ale rozwój jego życia mimo badań, jakie nad nim przyrodnicy czynili, bardzo mało jest nam znany. Dotąd bowiem ani młodych noworodków nie widziano, ani też ze złożonych przez samicę jaj (skrzeku) w niewoli wcale się nie wylęgły młode. Odmieniec, trzymany w naczyniu z wodą, może 3—5 lat żyć, a u prof. dra Nowickiego w Krakowie żył odmieniec, trzymany w wilgotnym mchu, przeszło rok bez pokarmu. Przewodnik nasz dodał do opowiadania mego kolegi, że prócz kilku gatunków ślepych chrabąszczy, kilku gatunków ślimaczków, raczków i robaków, jest to jedyny większy gatunek zwierzęcia, zamieszkującego te podziemne wody, i że dawniej podczas przypływu wód, wychodzących

*

na wiosnę z jaskini, kiedy na górach śniegi topnieją, odmieńce okazywały się w tak wielkiej ilości, iż setkami łowiono je i zwiedzającym te okolice podróżnym jako osobliwość sprzedawano; dziś jednak liczba ich zmniejszyła się znacznie. *Leopold W.*

Uroczystości krakowskie.

Dzień 7. czerwca należy już do przeszłości, ale pamięć jego nie wygaśnie w sercach tych, którzy byli świadkami naocznymi obchodu wiekopomnej rocznicy odnowienia wszechnicy Jagiellońskiej przed 5 wiekami. Jako jeden z tych szczęśliwców, naszkicuję wam, kochani czytelnicy, przebieg tej podniosłej uroczystości. Już od Zielonych Świątek przypływ gości do Krakowa był widocznym, ale przyczyną tego były przedewszystkiem dwa zjazdy: Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych, które stara się o podniesienie poziomu wykształcenia wyższego w kraju naszym, oraz zjazd historyków polskich, na którym badacze naszych dziejów politycznych piśmiennictwa, cywilizacyi i kultury i ludoznawcy omawiali sprawy z zakresu nauk historycznych przez 3 dni w 4 oddzielnych sekcyach na podstawie 60 kilku referatów (sprawozdań). Oba zjazdy odbywały się już pod egidą wielkiej rocznicy, ale dopiero w wigilię tejże zaroił się gród podwawelski tłumem wielotysięcznym i to nietylko ze wszech stron Polski, lecz także pobratymcy Czesi zjechali w okazałym poczcie 100 głów, a prawie wszystkie narody cywilizowane Europy, ba! nawet Stany Zjednoczone, przysłały jako swych zastępców rektorów, dziekanów i profesorów swoich najwybitniejszych wszechnic.

Zaświtał wreszcie dzień upragniony — pogodny, jak rzadko, choć skwar przedwczesny niedobry wróżył koniec. Z wieży Maryackiej popłynął hejnał z roztęsknionej trąbki — czas wstawać! Pędzisz ku *Collegium novum*, gdzie już wsród dwu szeregów młodzieży szkół średnich szykuje się pochód uroczysty do kościoła N. P. Maryi na Rynku (katedra na Wawelu z powodu restauracyi niedostępna). Godzina 8-ma, pochód rusza — bez wrzawy, wśród ciszy, ul. św. Anny i Rynkiem. Drogę zdobią choinki i chorągwie o barwach narodowych, gęsto zasiane; na przesadne ozdoby, które się widzi w takich razach zagranicą, nas nie stać. Ale co podnosi całą uroczystość, to jakaś spójnia duchowa, tajemnicza, zmieniająca owe tysiące jednostek w naród jeden, świadomy swych pragnień, ideałów i dążności, a uroczystość uniwersytecką w święto zbratania dusz.

Czoło orszaku stanowi młódź uniwersytecka z Galicyi i innych stron Polski (z wyjątkiem warszawskiej, którą żandarmerya rosyjska przytrzymała na granicy). Za nią idą przedstawiciele naszego szkolnictwa wszech odcieni, następnie doktorowie-wychowankowie *Almae Matris Jagellonicae*, wysłannicy towarzystw uczonych, czasopism naukowych i wydawnictw, które uczciły jubileusz jakimkolwiek darem; prezydent miasta Krakowa z Radą miejską przedziela ową grupę od grup dalszych, które stanowią doktorowie honorowi wszechnicy-jubilatki, przedstawiciele wszechnic innych, nie wyłączając lwowskich szkół wyższych, wreszcie grona profesorskie obu wszechnic krajowych w togach i biretach. Wreszcie za berłami rektorskiemi w otoczeniu dwu mieczników kroczy w purpurowej todze o gronostajowym kołnierzu Jego Magnificencya rektor obecny wszechnicy krakowskiej, Stanisław hr. Tarnowski.

Przewinąwszy się pomiędzy szpalerami młodzieży i witany muzyką kilku kapel (nawet 2 szkolnych), staje pochód cały w kościele Maryackim, by wysłuchać mszy cichej, którą odprawi ks. biskup Puzyna. Po mszy ks. biskup przemawia od ołtarza, a kanonik odczytuje *breve*, nadesłane przez papieża. I znów ruszamy na Rynek, tym razem ku trybunie koło ratusza, skąd będziemy podziwiać wspaniały, wielobarwny pochód obywatelski. Oto ludność miasta Krakowa i sąsiednich wsi śpieszy na Wawel, by tam u grobów wielkiej trójcy założycieli wszechnicy złożyć hołd ich cieniom. Doprawdy rozrzewniający to widok równocześnie i krzepiący — ta dzielna banderya konna Krakusów, te setki sukmanek białych i czerwonych krakusek z pawiemi pióry na lnianych główkach wyrostków szkolnych obok miczczańskich czamar i żupaników i odznak cechowych, te pstre chusty zażywnych kobiet wiejskich z pod Krakowa i ukwiecione główki dziewcząt ek obok lśniącej od złotych ozdób Ślązaczki w gorsecie lub zastępu uczenic miejskich kursów dla kobiet im. Baranieckiego... i któżby zliczył te wszystkie grupy, deputacye, delegacye, towarzystwa, związki! Witają z zapałem przedstawicieli wszechnicy-jubilatki, sami witani entuzyastycznie przez nich i tłumy mnogotysięczne, składają dary w ręce rektora i odpływają w stronę Wawelu.

Przeszli. I nam czas w drogę — niedaleką co prawda, bo do kościoła św. Anny. Kościoła? Ależ ani śladu w nim ołtarzy! Co za zmiana! Toż to wykapana średniowieczna sala posiedzeń czy dysput uniwersyteckich Ołtarze zakryte historycznymi gobelinami, przedstawiającymi dzieje Jakuba i jego rodziny, ściany znikły pod osłoną makat i sukien drogich, podłoga pod wspaniałymi dywany. Olbrzymi baldachim z Wawelu przeniósł się do prezbyteryum, którego tło wypełniła zieleń, okalając białe gipsowe biusty Kazimierza W., Jadwigi i Jagiełły. Herby, emblematy, zwłaszcza herb uniwersytecki (2 berła rektorskie na krzyż) dopełniają reszty ozdób.

Wszedł orszak. Grono profesorskie lwowskie i krakowskie zasiadły na podwyższeniu w prezbyteryum, zwrócone twarzą ku gościom, których czoło stanowili wysłańcy wszechnic, towarzystw, korporacyi itd., boki zaś inni ciekawi widzowie, głównie dygnitarze, młodzież i płeć piękna. Po odśpiewaniu „Bogarodzicy“ przez chór akademicki przemówił rektor St. Tarnowski naprzód po polsku do swoich, następnie po łacinie do gości obcych. Mowę tę podały wszystkie dzienniki, równie jak prześliczne ła-

cińskie odezwanie się austryackiego ministra oświaty dra W. Hartla.

Teraz kolej przyszła na deputacye hołdownicze. Sekretarz uniwersytetu, dr. Cyfrowicz, wygłosił po łacinie i po polsku wyrazy: Ameryka, wszechnice w Baltimorze, Buffalu, Chicagu i Waszyngtonie. I odtąd kraj za krajem, wszechnica za wszechnicą, pojawiały się na estradzie, odzywały się mowy w językach obcych, lub łacińskie, odczytywano dyplomy, adresy, składano je wreszcie z powodu mnóstwa ogromnego ich w milczeniu. Jedynie Bałkanu, półwyspu iberyjskiego i Żuław brakło w tym jednozgodnym chórze europejskim. Publiczność witała delegatów oklaskami, stosownie do gorącości ich wystąpienia mniej lub więcej gorąco, a najwięcej oklaskiwała przedstawicieli czeskiej wszechnicy praskiej. Ale i to niczem było wobec entuzyastycznego przyjęcia, jakie zgotowali wszyscy od rektora począwszy delegatom z Królewstwa z Sienkiewiczem na czele i z pod zaboru pruskiego. Okrzykom i oklaskom niebyło końca, wszyscy powiewali klakami, kapeluszami, biretami, setki rąk wyciągały się ku nim, łzy perliły się w oczach, dreszcz wzruszenia przebiegał wszystkie członki i wszystkich, boć to przecież byli członkowie tego samego społeczeństwa, tego samego narodu! Co nastąpiło potem, nie dorównało owej chwili, ani mowa Andrzeja hr. Potockiego imieniem b. wychowanków *Almae Matris*, ani promocye doktorów honorowych, z wyjątkiem chwili, gdy H. Sienkiewiczowi wręczono dyplom dr. filozofii. Wtedy bowiem znów wszyscy powstali i zerwała się burza oklasków i okrzyków, której już wtórowała z dworu inna burza w przyrodzie z całym akompaniamentem grzmotów i błyskawic. A tymczasem powstał rektor i podziękował obecnym za udział w uroczystości i hojne dary i pamiątki. Zaśpiewał chór i wreszcie o $^1/_2$3-ciej opróżniał kościół uniwersytecki.

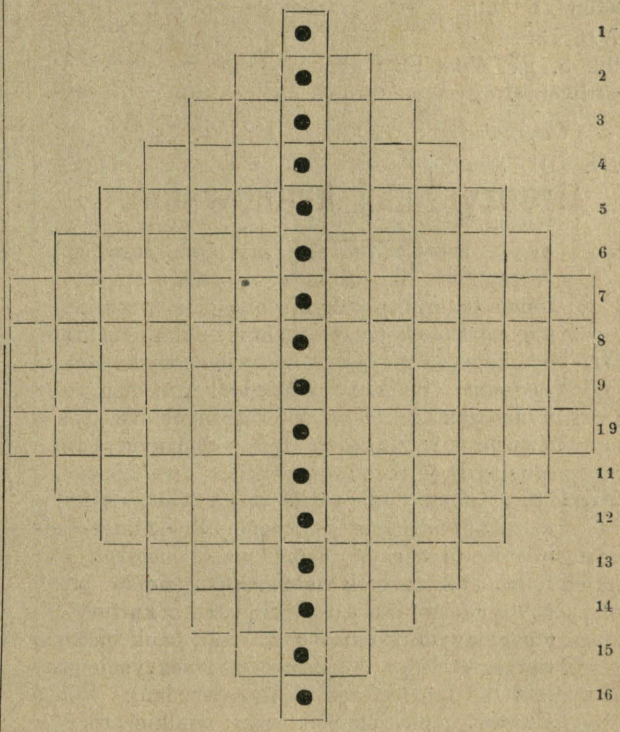
Gościom obcym dano następnie możność bliższego poznania starożytnej stolicy naszej i pięknych okolic, a jak dodatnie odnieśli stąd wrażenia, świadczyły wszelkie ich przemówienia. Przekonał się świat, że żyjemy i mamy nietylko prawo do życia własnem życiem, ale i wszelkie po temu warunki. A każdy z nas, świadków i uczestników pięknego obchodu, unosił z pod Wawelu w zanadrzu zarzewie, zapalone u ogniska ojczystego Znicza, które go grzać będzie zawsze w mroźną zimę smutnych czasów obecnych i przyświecać mu w przyszłość narodu — miejmy tę nadzieję i wiarę — płomienną, promienną, radosną! *Świadek.*

Rozwiązanie zagadki z nru. 10.

San — sen — syn.

Trafne rozwiązania nadesłali do dnia 12. bm.: Agopsowicz, Auditor, Cetnarski, Jaromir, Masiuk, Oberhard, Pordes, Salpeter, Sokalski, Woroszyński.

Łamigłówka jubileuszowa.



Znaczenie wyrazów: 1) spółgłoska; 2) przyjaciel Mickiewicza; 3) miasto, słynne zawiązaniem konfederacyi; 4) głośny ród szlachecki herbu Abdank; 5) poeta polski XVIII. w.; 6) łacińska nazwa namiestnika mazowskiego w XVI. w.; 7) powieść Kraszewskiego; 8) imię i nazwisko tłumacza „Przemian“ Owidyusa; 9) Dzieło W. Pola; 10) powieść Korzeniowskiego; 11) poemat Szujskiego; 12) wieszcz polski; 13) dziejopisarz polski; 14) dzielnica Polski; 15) miejscowość w Galicyi; 16) samogłoska.

Głoski środkowe, czytane z góry na dół, tworzą napis dzieła historycznego K. Szajnochy.

Ułożył *J. Mann.*

Wymiana kart z widokami.

Przypominamy uwagi, podane na czele tego działu w nrach 4—5. Po wyjaśnienia skróceń odsyłamy do str. 48. Adresy nowe: 14. A. Cetnarski, u. VI. kl. g. III. Lw.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 106. Co to jest kronika i skąd nazwa?
Nr. 107. Którzy kronikarze wyprzedzili historyę polską Długosza?
Nr. 108. Którzy są najznakomitsi dziejopisowie wszech czasów i narodów?
Nr. 109. Pochodzenie i pierwotne znaczenie wyrazu „akademia“.
Nr. 110. Co to jest speleologia?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: Bąkowskiego „Dzieje wszechnicy krakowskiej“ i Cohna „Świat drobnoustrojów“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 28. b. m. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 101—105.

Nr. 101. Sancho Pansa jest to giermek błędnego rycerza Don Quijota, bohatera słynnej powieści Michała Cervantesa; stanowi typ wiernego, poczciwego sługi, który stosuje się wprawdzie do dziwactw swego pana, ale mimo to bierze wszystko ze strony praktycznej i posiada zdrowy, t. zw. chłopski rozum.

Nr. 102. Zbieranie rzeczy ludowych cz. t. zw. etnografia (ludoznawstwo opisowe) dostarcza naukowego materyału do wyszukania prawidłowości w duchowym życiu ludów (t. zw. etnologii).

Nr. 103. Apokryfy (z greck. *apókryfos* = ukryty, tajemny) są to, w znaczeniu ogólniejszem, utwory piśmienne, dokonane nie przez tych ludzi, pod których nazwiskiem krążą wśród czytelników, a zazwyczaj w pewnym celu obmyślanym puszczone w obieg. Ściślej biorąc są to w St. i N. Zakonie pisma, nie przyjęte do kanonu biblijnego, jak n. p. księga Enocha, Apokalipsa Barucha, około 60 różnych ewangelii, jak n. p. Tomasza. Nikodema itd.

N. 104. Kosmogonia (z greck. *kósmos* = świat *gígnomaj* = powstaję) jest to nauka o powstaniu świata.

Nr. 105. Teorya (z greck. *theoría* = pogląd) jest to wszelki naukowo uzasadniony pogląd na całość zjawisk pewnego rodzaju, zwłaszcza jeżeli objaśnia przyczyny ich, oraz pozwala zrozumieć ich związek wzajemny.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 12. b. m

(wszystkie) Auditor i Dorszyński (znakomicie), Masiuk, Stamm; (101—4) Bator (wybornie); Jaromir, (101, 103—5) Cetnarski, Galvani, Salpeter, Starklówna (wybornie), Wiktor; (101—3) Nartowski, (101, 103—4) Stasiaczek; (101, 104—5) Sokalski; (101—2) Oberhard; (101, 105) Studiosus; (105) Bloch.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Friedmann (Bąkowskiego) i Bator (Stellę-Sawickiego).

Skrzynka pocztowa edakcyi.

Bator. Praca nadeszła w czas; adres wakacyjny zapisano (nb. należy pisać i mówić: w Mesznej l. Mesznie, a nie: w Meszny). Dzięki za uznanie. — *D. Pelplin.* Wiele uwag listu trafnych; skorzystamy. Na II półrocze przygotowujemy dłuższą powieść. Nie możemy jednak powiększyć objętości pisma, póki się liczba przedpłacicieli (i to sumiennych) nie powiększy odpowiednio. O dziale „błędów językowych“ myśleliśmy już i wprowadzimy go. Z łamigłówek skorzystamy. Jedynie od „wart“ mówi się „warto“ w orzeczeniu i to coraz rzadziej, — „rado, kontento“ dziś nieużywane. „Zyskuje“ (lepiej: zyskiwa) oznacza czynność częstotliwą l trwającą, „zyska“ — jednorazową dokonaną; obie są dobre w swym zakresie. Najlepsza „gramatyka jęz. polsk“. A. A. Kryńskiego (Warsz. 1897. 2 *k* 60 *h*), chwilowo wyczerpana; obszerna „Składnia jęz. pol“. A. Krasnowolskiego (Warsz. 2·60 *k*), krótsza tegoż autora 1.30 k. — *W. Nart.* W łamigłówce z nru 9. w rzędzie 5-tym w druku nie wyszedł kwadracik piąty, ale być powinien. — *Polonus.* Dwa są czasopisma przyrodnicze polskie: „Kosmos“ (miesięcznik lwowski, tylko dla zawodowych uczonych) i „Wszechświat“ (wyborny tygodnik warszawski, przystępny dla każdego czytelnika inteligentnego, z rycinami, polecamy go usilnie). Każdy nowy przedpłaciciel może nabywać nry pisma naszego, dotychczas wydane w r. b., wraz z dodatkami po cenie przedpłaty (t. zn. I. półr. 2·20 *k*). — *Stach Rola.* Praca doszła. — *Sfinks.* Gryf = pseudonim W. Jabłonowskiego. — *Ste Sta.* Pracę otrzymaliśmy. — *Vietor.* Gratulujemy wyniku egzaminu. Gdzie posłać nagrodę?

Od administracyi.

Prosimy uprzejmie o przesłanie zaległej przedpłaty za II. kwartał

Nr. niniejszy jest ostatnim w kwartale II. półroczu I. Kto więc pragnie otrzymać następny i dalsze, a uiścił przedpłatę tylko za kwartał I. (1. *k* 50 *h*), lub za I. półrocze (2 *k* 50 *h*), zechce przesłać należytość za kwartał III. względnie półrocze II. najdalej do końca czerwca b. r. Ci, którzy nie odnowią przedpłaty w czas lub zalegają z nią, nie otrzymają bezwarunkowo podwójnego nru 13—14. pisma, który wyjdzie z początkiem lipca, ani też 3-go dodatku bezpłatnego, który roześlemy przedpłacicielom naszym wraz z nrem wrześniowym.

Galvani. Kwartał II. zapłacony, III. jeszcze nie.

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 12.: *J. P. Potapienko*, Świat cały przycisnąć do piersi. Powiasta (dok.) — *St. Kętrzyński*, Gal-Anonim, pierwszy kronikarz polski. — *F. Krczek*, Finlandya i Finowie II. (dok.) — Wyjątki z „Kalewali“. — *Leopold W.*, Postojna, jezioro cyrknickie, odmieniec (z 3 ryć.) — *Swiadek*, Uroczystości krakowskie. — Zagadnienia naukowe, łamigłówka jubileuszowa, wymiana kart z widokami, skrzynka pocztowa redakcyi i administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie pod zarządem Stanisława Baylego.

We Lwowie w lipcu 1900.



Rok II.

Nr. 13. i 14.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Cena numeru niniejszego 80 h.

Tylko zupełna wiara w siebie, poczucie samodzielności i niezależności zostawia swobodę umysłu, konieczną do wybierania drogi, do umiejętnego stąpania, do walczenia z górą. *St. Witkiewicz.*

DO CZYTELNIKÓW.

Wakacye nastają. Niejeden z Was, kochani czytelnicy, już używa ich w całej pełni. Wybaczcie więc, że i my pragnęlibyśmy po trudach miesięcy ubiegłych wytchnąć do jesieni. Dlatego też wydajemy zamiast dwu numerów lipcowych obecnie jeden, podwójny, — że tak powiemy — wakacyjny, a następnie podejmiemy wydawnictwo na nowo aż z wrześniem. Mianowicie 1. września roześlemy znów numer podwójny (15. i 16.) za sierpień, a 16. września numer podwójny (17. i 18.), poświęcony pamięci wielkiego reformatora szkolnictwa naszego, ks. Stanisława Konarskiego. Nie potrzebujemy dodawać z nowem półroczem, że będziemy się starali i treść i formę pisma swego nietylko utrzymać na wyżynie dotychczasowej, lecz owszem zbliżać je do możliwej doskonałości. Dowodem tych szczerych usiłowań choćby numer niniejszy, w którym szczególnie zwracamy uwagę na „Listy z podróży na Wschód daleki“, pisane przez Polaka w r. z. i b., a doprowadzone do ostatnich dni i wypadków w Chinach; zdobią je liczne zysunki i fotografie, jak wogóle cały ten numer.

Dodatek bezpłatny dla przedpłacicieli naszych, mianowicie karton trzeci „Albumu arcydzieł sztuki“ dołączymy do jednego z nrów wrześniowych, z powodu, że trudności drukarsko-techniczne opóźniły jego wykonanie.

Oby nasze usiłowania znalazły równie silne poparcie wśród naszych czytelników!

Redakcya.

Przyjaciele aż do grobu.

Oryginalna powiastka chińska.

W okresie jesiennym i wiosennym[1]), kiedy Juenwan, władca królewstwa Cu, miał w wielkiem poważaniu następców Koncego i Laucego[1]) i przyzywał na swój dwór oświecone i doświadczone mędrce, wiadomość o tem wabiła tam wszystkich, którzy nie chcieli omieszkać sposobności pozyskania jego przyjaźni.

Żył wtedy w okręgu górzystym Cejszym pod Sykianem znakomity uczony, imieniem Co, a przezwiskiem Pitau. W bardzo młodym wieku stracił ojca i matkę. Dlatego oddał się całą duszą nauce, poświęciwszy się głównie polityce, jako umiejętności, która umożliwia jak najlepsze urządzenie spraw państwa na wiek cały i wskazywa środki, prowadzące do zadowolenia ludu. Wiek jego dobiegał obecnie czwartej dziesiątki. W tymże czasie właśnie wasale Państwa Środka pożerali się wzajem; ci, którzy rządzili wedle prawa i sprawiedliwości, byli nieliczni, a niezliczonymi byli uzurpatorzy, którzy ufali swej przemocy. Copitau nie myślał dotychczas o ubieganiu się o urząd. Wtem usłyszał, że Juenwan, król cuski, przyjaciel cnót i wielbiciel sprawiedliwości, wezwał na swój dwór mędrce doświadczone. Włożył przeto tłumok z książkami na plecy, pożegnał sąsiady i przyjacioły w miasteczku i pośpieszył ścieżkami do państwa Cu. Aż do Juntiego szedł drogami dobremi. Lecz nastała pora zimowa, pora wiatrów i dżdży. W księdze Sykiauji czytamy o porze zimowej i o przyjemności dżdży wiersze następujące:

Wiatr ciągle jęczy i błądząc wkoło śmiga po twarzy,
Miarowy deszcz padając zrasza szaty;
Natrętny szron i sypki śnieg są świadki skrzydla-
[tymi tęgiej zimy.
Niezrównanie melodyjnem jest oddychanie w tej
[porze.
Barwy pagórka nie można poznać;
Światło słoneczne wciąż jest ciemnem, bo mgła po-
[wrotna zaciemnia okrąg nieba;
Podróżnika dusza w czas powrotu jest znużoną,
A kto jest jeszcze w drodze, klnie, że wyszedł
[z domu.

Copitau szedł dalej drogą, walcząc z wiatrem i dżdżami. Pewnego dnia — było już późno, słońce zagasło, a szaty jego przemokły — spostrzegł wioskę, do której zmierzał, ażeby sobie wyprosić tam nocleg. Zdala zauważył w ścianie bambusowej rozbite okienko, za którem migotało światło. Pośpieszył więc w tym kierunku i zobaczył wreszcie nizkie krzaki, które wiły się dokoła chatki, pokrytej słomą. Przedarłszy się przez gąszcze, zapukał do wrót. Z wnętrza ktoś otwarł drzwi i wyszedł. Copitau, stojąc pod okapem domu, złożył zaraz ukłon i rzekł: „Najniższy twój sługa jest rodem z Sykianu, zwie się Copitau, w drodze do królestwa cuskiego zaskoczony deszczem, prosi więc o nocleg, ponieważ nie znalazł żadnej gospody; jutro pójdzie dalej — ale na razie nie wie jeszcze, czy jest twoim zamiarem uczynić zadość jego prośbie, czyteż nie.“ Na te słowa mieszkaniec chatki, odpłaciwszy mu skwapliwie ukłon ukłonem, zaprosił go do wnętrza. Copitau wszedł i rozglądając się zobaczył tylko łóżko, a nad niem stos książek — nic więcej. Z tego wniósł, że właściciel chaty jest mężem uczonym, i chciał mu oddać pokłon przepisany. Ten jednak odrzekł: „Nie zabawiaj się ukłonami, wolisz osuszyć sobie szaty!“ — a, chcąc po słowach dać dobry przykład czynem, przystawił parę prętów bambusowych do ogniska i Copitau osuszył swe szaty. Potem gospodarz podał mu wino i wieczerzę, prosząc go, ażeby jadł i pił z apetytem, wogóle okazywał mu jak największe względy.

Copitau zapytał, jak go zowią. Ów odpowiedział, że zwie się Jankioge, stracił rodziców i teraz sam mieszka; z przyrodzenia bardzo lubi naukę i dlatego porzucił zajęcia rolnicze; widocznie dobry los sprzyja mu nadspodziewanie, skoro go zapoznał z uczonym doktorem, który tu zawitał zdaleka; tego tylko żałuje, że chata jego tak pusta, i prosi o wybaczenie mu tego.

„W porze tak mrocznej i dżdżystej“ — wtrącił Copitau — „zaszczycony przyjaźnią twej strzechy, a nadto posilony pokarmem

---

[1]) Konce (Konfucyus), 550—480. prz. Chr. napisał dzieło p. n. Czyncyeu, t. zn Wiosna i jesień, które zawierało kronikę państewska luskiego za l. 772—481., ojczyzny tego mędrca. Za jego przykładem poszły inne królewstwa państwa chińskiego i postarały się o podobne kroniki. Stąd wyrażenie „w okresie wiosennym i jesiennym“ oznacza czasy owego mędrca i jemu najbliższe.

[2]) Lauce (Lao-tse), mędrzec chiński z VI. w. prz. Chr.

i napojem, jakżeż mógłbym kiedykolwiek zapomnieć o wdzięczności, za to zależnej?“

Pod noc położyli się obaj na łóżku, ale nie zasypiali do późnej nocy, zajęci zagadnieniami naukowemi, i usnęli dopiero, gdy na dworze dzień następny szarzał.

Tymczasem deszcz nie ustawał i Jankioge gościł Copitaua w swej chacie, znosił wszystko, co miał, pielęgnował go jak najtroskliwiej, wreszcie ślubowali sobie być starszym i młodszym bratem[1]). Copitau był o 5 lat starszym od Jankiogego, ten więc okazywał jemu cześć, należną bratu starszemu.

Gdy Copitau pobył tak 3 dni deszcz ustał i drogi wyschły. „Szlachetny mój brat młodszy“, ozwał się Copitau, „posiadający wszelkie warunki na ministra królewskiego i żywiący sprawiedliwe myśli w swem sercu, godzien jest politowania, że nie używa darów ducha swego“.

— „Nie powiem“, odparł tamten, „żebym nie pragnął sprawować urzędu, ale dotychczas brakło mi środków, potrzebnych ku temu“.

„Otóż teraz“, mówił Copitau dalej, „król cuski życzy sobie szczerze mieć dokoła siebie uczonych. Ponieważ młodszy brat mój podziela zupełnie moje zapatrywania, dlaczegóż nie mielibyśmy pójść tam społem?“

— „Jest mem najgorętszem pragnieniem“, rzecze tamten, „spełnić rozkaz swego starszego brata“.

Po tej rozmowie Jankioge postarał się o zapasy na drogę, o jadło, o ryż i, opuściwszy chatkę, obaj wyruszyli w drogę na południe. Zaledwie dwa dni byli w drodze, gdy nastały ulewy i musieli zatrzymać się w gospodzie, gdzie spożyli wielką część swych zapasów. Wreszcie pozostał im tylko węzełek z potrawami, podzielili jego zawartość na dwie połowy i poszli dalej, nie zważając na niepogodę. Deszcz padał bez przerwy i wiał wiatr ostry. Pewnego dnia zamiast deszczu począł padać śnieg gęsty. Oto, co nastąpiło: Wiatry były gwałtowne, śnieg zimny. Śnieżyca następowała po silnym wietrze. Jedwabnemi iwami miotał wiatr tak wściekle, że wyglądały jak plecionka. Płatek śniegu za płatkiem unosił się bezładnie w powietrzu. Całe niebo wyglądało jak płachta śniegowa i zmieniło swe barwy błękitną i żółtą w czerwień i czarną. Łagodne uczucia budzą się w duszy poetycznego podróżnika, gdy zobaczy drzewo morelowe; podróżny pragnie tylko ocalić swe życie.

Obaj zdążali na południe, wybrali więc drogę wzdłuż wzgórz slańskich. Od drwali dowiedzieli się, że w tej stronie na 100 li[1]) wkoło ani znaku ludzkiego mieszkania, że droga prowadzi tylko przez bezpłodne torfowiska i samotne wzgórza, w których przebywają wilki i tygrysy, że więc lepiej nie puszczać się tą drogą.

Copitau zapytał: „Co szlachetny brat mój myśli o tem?“

Jankioge odrzekł: „Prastary mędrzec powiada, że życie i śmierć z góry są przeznaczone; ponieważ więc doszliśmy tak daleko, powinniśmy tylko o tem myśleć, ażeby iść naprzód, pod żadnym warunkiem zaś nie o powrocie“.

Szli zatem dalej, uszli dzień drogi i przepędzili noc w jakichś starych grobach. Szaty ich były cienkie, toteż wiatr przenikał przez nie aż do skóry. Nazajutrz padał śnieg jeszcze gęstszy, a na górach leżało go łokciami. Copitau, nie mogąc znieść już zimna, rzekł: „Na 100 li dokoła niema mieszkań ludzkich, zapasy nasze kończą się, szaty nasze za cienkie, jadła i napitku już nie starczy. Gdyby jeden z nas poszedł dalej, dostałby się do Cu, ale jeżeli obaj pójdziemy, to albo nas śmierć zaskoczy wkrótce, albotež w drodze zagłodzimy się powoli żywcem. A cóż za cel miałoby umierać tak, jak drzewa i zioła? Pozwól więc, że zrzucę swe ubranie i przyodzieję niem swego szlachetnego brata: niech potem sam spożywa zapasy nasze i nabierze sił na dalszą drogę. Wyprawiwszy go w dalszą podróż, nie ruszę się z miejsca, wolę tu umrzeć i poczekam, aż dostanie się na dwór króla cuskiego, zajmie tam wybitne stanowisko, a potem wróci tu i mnie pogrzebie — nie będzie to za późno!“

— „Jakże można chcieć taki zamiar w czyn zamienić?!“ odpowiedział Jankioge. „Wprawdzie nie jesteśmy dziećmi jednej matki, ale

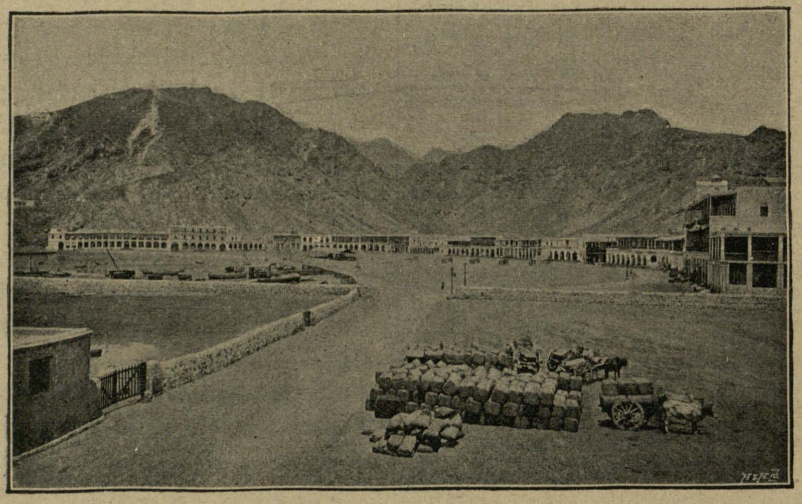
[1]) Księga Czytu mówi: „Przyjaźń wynika z pięciorakich węzłów krewieństwa w życiu ludzkiem“. Te węzły tak określa: mąż i żona, rodzice i dzieci, brat i brat, władca i urzędnik, przyjaciel i przyjaciel.

[1]) Li, mila chińska = 556·5 *m*.

dochowanie sobie ślubowanej wiary to rzecz ważniejsza, niż zachowanie krwi i ciała Jakżebym mógł iść dalej i żądać godności dla siebie?!“ Odtąd podtrzymywał Copitaua, który opadał ze sił w pochodzie.

Gdy uszli znów 10 li, Copitau odezwał się: „Wiatr i śnieg hulają jeszcze gwałtowniej; jakżeż mi iść dalej?“ Wobec tego obejrzeli się za miejscem, gdzieby mogli odpocząć, i znaleźli wydrążoną morwę, która ich nieco ochroniła od śniegu. Mógł się tam skryć jednak tylko jeden człowiek. Jankioge pomógł tam wleźć Copitauowi. Ten usiadłszy poprosił towarzysza, ażeby tarciem kamienia o kamień wykrzesał iskrę i zapalił opadłe gałązki dla ochrony przed zimnem. Jankioge wziął się gorąco do rozniecenia małego ogniska dla swego przyjaciela. Ale gdy następnie obrócił się ku niemu, zobaczył, że Copitau jest nagi, bo zdjął z siebie całe ubranie i złożył je na kupę. Zawołał więc zdziwiony:

„Dlaczego to zrobił mój brat?“



Przystań w Adenie (Steamer Point) (p. str. 155).

— „Przyszedłem do przekonania, że niema dla mnie ratunku“, rzekł Copitau. „Niech brat mój nie łudzi się ani chwili, ale natychmiast ubierze się w te szaty, weźmie zapasy na plecy i rusza dalej! Ja tu umrę“.

Jankioge, ściskając go, zaczął płakać. „Ponieważ obaj“, rzekł, „ślubowaliśmy sobie przyjaźń, będziemy tu żyć i umrzemy społem. Jakżebyśmy mogli się rozstać?“

Copitau odparł: „A któż pogrzebie zbielałe kości nasze, jeśli obaj umrzemy społem z głodu?“ Jankioge rzekł: „Wobec tego ja pragnę zrzucić z siebie ubranie i dać je swemu starszemu bratu, ażeby wziął z sobą zapasy i poszedł dalej, a mnie pozwolił tu zginąć“.

— „Przez całe życie“, bronił się Copitau, „byłem słabego zdrowia, mój młodszy brat natomiast jest silniejszym, a nawet w porównaniu ze mną bardzo silnym; także więcej jest oczytanym i wykształconym odemnie. Gdy król cuski go ujrzy, wyznaczy mu wybitne miejsce w ministerstwie. Czyż więc warto mówić o mej śmierci? Brat mój niech nie zwleka dłużej, niech rusza w drogę zaraz!“

„W chwili“, rzekł Jankioge, „kiedy brat mój czeka w morwie śmierci głodowej, iść samemu dalej i ubiegać się o godność nie byłoby rzeczą człeka sprawiedliwego. Tego nie zrobię“.

— „Z własnego popędu“, odparł Copitau, „opuściłem wzgórza czejszyckie i przyszedłem w dom brata swego. Zobaczywszy go, poznałem, że wiedza brata mego jest niepospolitą, i dlatego zachęciłem go do ubiegania się o urząd. Nieszczęsny traf postawił nam w drodze zaporę: wiatr i deszcz. Widocznie takie moje przeznaczenie i powinienem przed niem uchylić czoła. Gdybym jednak stał się przyczyną zagłady bratu swemu, wina byłaby po mojej stronie“. To rzekłszy, zerwał się, ażeby rzucić się do poblizkiej rzeki i tam utonąć. Jankioge zatrzymał go przemocą i wśród płaczu nieustannego ubrał go w jego szaty i odprowadził napowrót do drzewa morwowego. Ale Copitau znów odrzucił szaty na bok. Jankioge począł mu znowu dodawać otuchy. Gdy jeszcze mu wykładał rzecz swoją, zauważył, że dech i barwa ciała Copitauowego zmieniają się i mróz już dosięgnął siedziby życia. Umierający nie mógł już mówić i tylko kiwał na przyjaciela, ażeby szedł dalej. Gdy zaś ten znów wkładał nań ubranie, spostrzegł, że Copitau już zamarzł. Ręce stężały, nogi zdrewniały. Jankioge pomyślał więc sobie: „Jeśli zostanę tu dalej, aby go opłakiwać, zmarznę także. A jeśli zemrę, któż pogrzebie brata mego?“ Ukląkłszy następnie w śniegu, ażeby

oddać cześć bratu swemu, tak do niego się odezwał: „Nieszczęśliwy twój brat młodszy oddala się stąd, ale liczy na pomoc twego cienia; jeżeli dobije się choć najskromniejszej posady, wyprawi ci na pewne wspaniały pogrzeb".

Copitau skinął głową, ale gdy chciał właśnie na pół odpowiedzieć, dech w nim zamarł. Jankiogemu nie pozostało nic innego, jak zabrać zapasy i szaty, a gdy oddalał się, wciąż jeszcze zwracał twarz ku przyjacielowi. Poszedł, płacząc i narzekając.

Copitau leżał nieżywy. Potomni ułożyli ku jego czci wiersz, w którym powiedziano:

Była zima, śniegu padło na trzy łokcie:
Mąż ten drogą szedł tysiącmilową;
Długa podróż przykrą była, mroźny śnieg,
Ryżu zaś w kieszeni ani krzty.
Choć zapasów na jednego było dość, ale dwom gro-
[ziła śmierć;
Jakaż korzyść zaś z przyjaciół obu śmierci?
Obowiązek kazał się poświęcić za drugiego!
Cnoty tej dokazał Copitau; śmiercią swą dowiódł
[pięknej duszy!

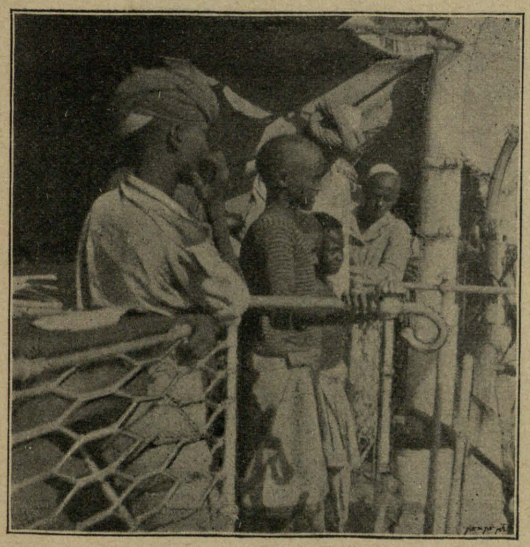
(Dok. nast).



LISTY
z podróży na Wschód daleki*).

Listopad. Dzień piękny jesienny. Przy wspaniałej pogodzie płyniemy wzdłuż dalmatyńskich wybrzeży. Około północy mijamy wyspę Wis (po włosku: Lissa) i zwracamy się ku włoskim wybrzeżom.

Nazajutrz po południu przepłynęliśmy na odległość kilku mil morskich koło Brindisiego i skierowaliśmy się prosto ku południowschodowi. W nocy przesuwamy się koło Korfu, a nad rankiem wynurza się z fal Kefalonia, ojczyzna znakomitego wina, zakrywająca swem cielskiem maleńką Itakę, do której — ponoś



Chłopcy somalijscy z Adenu
(p. str. 156).



Nurek somalijski
(p str. 156).

nowsi filologowie mają jakieś wątpliwości — tęsknił lat dziesięć biedny tułacz Odyseus.

Przy ślicznym dniu i jasnem oświetleniu przedstawiły się wyspy heleńskie piękniejszemi, aniżeli są w rzeczywistości... Płyniemy

*) Piśmiennictwo polskie podróżnicze jest tak ubogiem, że każdy przyrost w tym kierunku należy powitać z radością. Z takiem też uczuciem przystępujemy do druku listów, pisanych z podróży dotychczas nieukończonej przez pewnego Polaka do osoby, której wyrażamy prawdziwą wdzięczność za udzielenie ich pismu naszemu. Zaprowadzą one nas aż do Chin, które zajmują obecnie świat cały. Wypadki najświeższe znajdą też uwzględnienie w tych listach. Wszystko zaś objaśniać będziemy podobiznami scen, miejsc i ludzi, przeważnie przez autora listów zdjętemi na miejscu. (*P. R.*).

koło Zantego*). W oddaleniu szarzeje wybrzeże Peloponezu i potężny Tajget, którego wierzchołki giną w obłokach. Około dziesiętej w nocy znika ostatni błysk Europy — latarnia morska na przylądku Matapanie.

Odtąd już prawie w prostej linii dążymy ku wybrzeżom Afryki i ujściom prastarego Nilu, płynąc dzień cały wzdłuż wybrzeży Krety. Wspaniała, ale dzika panorama; poszarpane, nagie skały; szczyty śniegiem pokryte; kraina równie dzika jak lud, który ją zamieszkiwa. Nareszcie i ten szmat lądu znikł na widnokręgu. Gdzie spojrzeć, woda i niebo, nawet chmurki dymu nie widać na niebie przedewszystkiem pyszna pogoda i gładka, jak zwierciadło, toń morza przyczynia się do uprzyjemnienia kilkudniowej podróży przez morze Śródziemne.

Port Said. Wychodzę na ląd. Po raz pierwszy mam sposobność obserwowania, jaki ruch wre w wielkiem handlowem ognisku, po raz pierwszy otacza mnie Wschód swem barwnem, pełnem zgiełku życiem. Coś podobnie malowniczego trudno sobie wyobrazić.

W porcie zastaliśmy oprócz kupieckich także okręty wojenne angielskie, francuskie, amerykańskie, włoskie i duńskip ancernik *Walkyrien* pod dowództwem księcia Waldemara.



Parsowie (p. str. 156).

boskłonie. Rzecz dziwna, jak mały ruch panuje na tych wodach!

Dotychczas w całej podróży spotkaliśmy zaledwie pięć czy sześć okrętów. Płyniemy dalej. Maszyna pracuje jednostajnie, woda szumi po bokach okrętu. Życie na pokładzie śród przyjemnego towarzystwa upływa miło. Muzyka okrętowa przygrywa podczas wieczerzy,

Nazajutrz opuściliśmy około dziesiątej rano Port Said i wpłynęliśmy do kanału Suezkiego, dzieła „wielkiego Francuza," którego pomnik*) uroczyście odsłonięto przed kilkoma dniami. Kanał długości 150 mil morskich ciągnie się wśród żółtoszarej pustyni lub przerzyna słone jeziora Mensaleh, Balah i Timsah, przepełnione wodnem i błotnem ptactwem. Stada pelikanów zrywają się przed okrętem; gęsi przeciągaja całymi kluczami; tu zlatuje piękna kaczka, tam znowu stoi na jednej no-

*) Wszystko to wyspy jońskie: staroż Kerkyra, nowogr. Korfi, słow. Krf, włos. Corfù, obszar 588 km^2, 80.000 mieszk.; staroż. Kefalonia, nowogr. Kiefalinia, naprzeciw zatoki patraskiej, 810 km^2, 80.500 mieszk.; star. Ithake, nowogr. Icaki, 165 km^2, 12.000 mieszk.; star. Dzakynthos, nowogr. Zakincos, 438 km^2, 44.500 mieszk. (*P. R.*)

*) Dnia 17. listopada 1899. r. odsłonięto w obecności około 5.000 osób pomnik Ferdynanda Lessepsa, twórcy kanału. (*P. R.*)

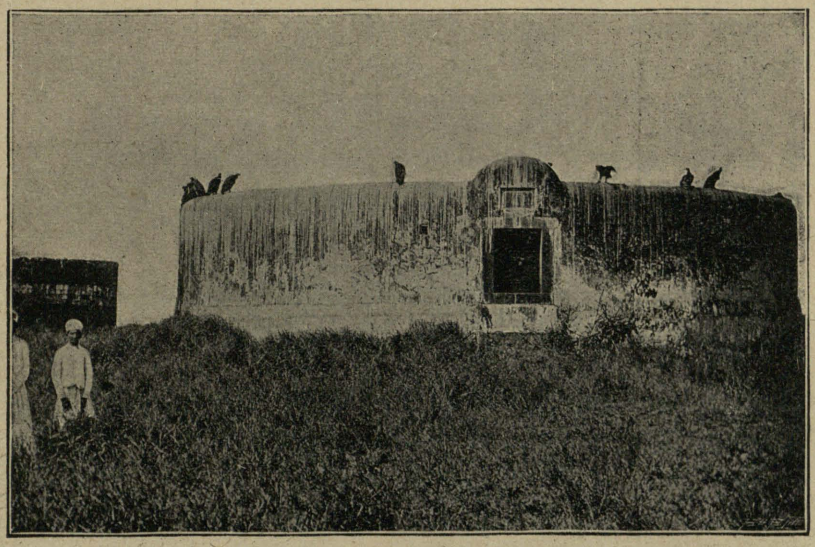
dze poważny i zamyślony marabut. Z trudem przychodzi zwalczać pasyjkę myśliwską, bo okoliczności chwilowo nie pozwalają mi tych skarbów naruszać.

Podróż przez kanał trwała 15 godzin. Spotkaliśmy karawanę, złożoną z około 30 wielbłądów, a w połowie drogi przepłynął koło nas statek z królem Egiptu, Abbasem, na pokładzie i statek wojennny, którego załoga gromkim okrzykiem aklamowała płynącego chedywa. Płynąc przez kanał, widziałem górę, na której Pan Bóg dał Mojżeszowi 10 przykazań. Jestto raczej pasmo górskie, ciągnące się od południa do przylądku Ras Muhameda; wznosi się przez szczyt, zwany Dżebel Kathrin, t. zn. góra św. Katarzyny, barwa jego różni się od koloru Adryatyku chyba tylko tem, że ma silniejszy odcień zielony.

Żegluga tu nie łatwa, albowiem tak w zatoce suezkiej, jak i w cieśninie Bab-el-Mandebie*), pełno raf koralowych i wulkanicznych wysepek. W cieśninie Dżubalu, łączącej zatokę suezką z właściwem morzem Czerwonem, sterczało jakby dla przestrogi po obu stronach wązkiej cieśniny kilka rozbitych okrętów.

Widziałem także część pustyni arabskiej. Niewiele można o niej powiedzieć. Równina złocista, falista, bez końca i bez rozmaitości, słowem widok smutniejszy od cmentarza...

Siedmiudniowa podróż przez morze Czerwone przeszła zupełnie spokojnie, tylko gorąco piekielne dokuczało straszliwie. Mimo



Cmentarzysko parskie (Wieża wiecznego milczenia) (p. str. 156).

do wysokości 2.600 *m.*, a opadając ku północy, przechodzi zwolna w płaskowyż syryjski. Wspaniale przedstawia się ta grupa gór formacyi archaicznej, dziko poszarpanych i poprzerywanych głębokimi jarami. Roślinności niema tu prawie żadnej. Góra Kathrin ma być właśnie tą, na której Mojżesz otrzymał dekalog.

Nareszcie stanęliśmy o trzeciej po północy u końca kanału w Port-Ibrahimie. Tu opuścił nas pilot*), który nasz statek przeprowadzał przez kanał, a o trzeciej rano rozpoczęliśmy pruć fale morza Czerwonego. Teraz, kiedy je całe wzdłuż zmierzyłem, zastanawiam się, dlaczego się właściwie tak nazywa, gdyż silnego wiatru północnego w północnej, a południowego w południowej części morza, temperatura wynosiła w cieniu 30 — 34° *C*, a w nocy najniższa 27° *C*. Leżąc w hamaku prawie nagi, przykryty najlżejszem prześcieradłem, kąpałem się we własnym pocie. O takim upale nie miałem przedtem wyobrażenia, a najmniej, że może istnieć z końcem listopada.

Wczoraj, t. j. 21. listopada, popołudniu przepłynęliśmy koło Mokki, ojczyzny znakomitej kawy, a dziś o ósmej rano zawinęliśmy do Adenu, raczej do *Steamer point'u*—do przystani parowców. Jest to silna twierdza angielska, broniąca obfitych składów węgla. Całe

*) Pilot, doświadczony żeglarz, który przeprowadza okręty przez nieznane im wody. (*P. R.*).

*) Nazwa ta znaczy: wrota niebezpieczeństwa l. smutku. (*P. R.*)

miasto leży w kraterze wygasłego wulkanu, którego jedna strona zapadła się niegdyś w morze i utworzyła w ten sposób obszerną zatokę. Naokoło sterczą skały ciemne, fantastyczne i pozbawione wszelkiej roślinności. Niema tu też wcale wody słodkiej z wyjątkiem nieco deszczówki, którą Anglicy łapią w olbrzymie zbiorniki, wykute w skale. Samo miasto arabskie brudne i o nizkich domach, przypominałoby żywo Duklę lub Sanok, gdyby tam pomalowano mieszkańców na ciemnoczekoladowo.

W Adenie stoi załogą angielski pułk jazdy na wielbłądach. Starałem się dostać do klubu angielskiego i zaprowadzono mię razu pewnego na rodzaj turnieju. Podziwiałem zręczność pań i panów w jeździe konnej; *ladies* składały się wcale dobrze dzirytem do pierścienia.

Zrobiłem wycieczkę do Szeik-Osamanu, letniej siedziby gubernatora z bardzo pięknym parkiem palmowym i ciekawą osadą arabską, której sułtan pod tym względem zasługuje na uwagę, że każdy męzki potomek jego rodu



J. Matejko: Elekcya (p. str. 158).

Ludność składa się z Arabów, Somaliów i Żydów, którzy tylko mową i strojem różnią się od naszych galicyjskich, zresztą te same charakterystyczne cechy, nawet pejsów nie braknie. Także zajęcie i rzetelność identyczne.

Ciekawi są murzyni, Somaliowie, najpiękniejszy szczep afrykański, żywi i zwinni. Chłopcy przychodzą często na okręt, nurkują jak wydry, wyławiają wrzucone do wody pieniądze lub sprzedają strusie pióra i jaja, rogi antylop i muszle. Prześliczne bywają boy ze strusich piór, które tu można dostać za niecały funt szterlingów (20½ *k.*), a ma się pewność, że są prawdziwe.

od najdawniejszych czasów przychodzi na świat z sześcioma palcami u rąk i nóg.

Po drodze spotykałem ogromne stada dużych sępów, które wcale nie boją się ludzi, ponieważ nie wolno tępić pod surową karą tych „świętych“ grabarzy. Mieszka bowiem w Adenie spora liczba Parsów, którzy swoich umarłych nie chowają, lecz wrzucają ich zwłoki do otwartej wieży sępom na pastwę. Na lagunach spotkałem całe stada białych czapli, których jednak strzelać nie mogłem, chociaż mnie wielka do tego brała ochota.

(*Ciąg dalszy nastąpi.*)

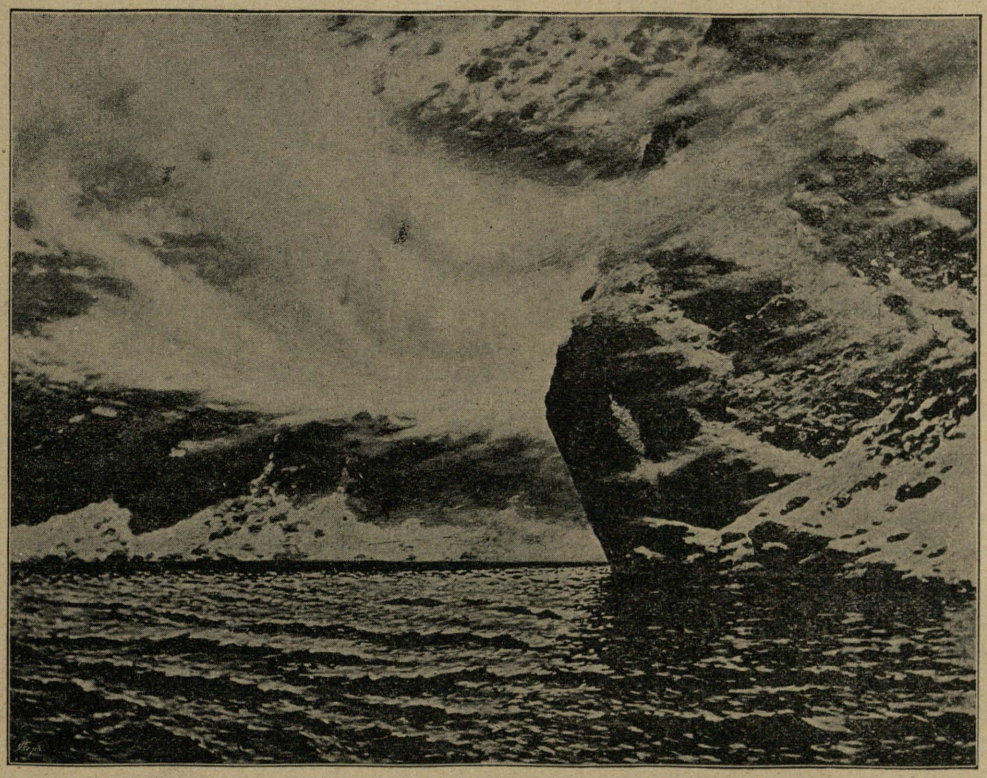
* * *

Z podróżnej teki.

Każdy to sławi, w czem sam ma nadzieję,
Każdy to kocha, przez co sam boleje.
Każdy to uczci, w co sam raz uwierzył,
Każdy to tylko pojmuje, co przeżył.

Każdy z nas światem jest innym w wszechświecie
I na rzuconej w przestwory płanecie
Widać, jak rankiem między gwiazd miryady
Wschodzi maleńka ziemia, rubin blady.

K. M. Górski.



St. Witkiewicz: Kurniawa (p. str. 160).

O sejmach w Polsce.

III.

Sejmiki ziemskie od Zygmunta St. (1506.) aż do rozbiorów (1795.).

Obok króla i możnowładców tylko szlachta uzyskała prawo stanowienia o sprawach państwa, mieszczaństwo zaś i włościaństwo zupełnie od tego były usunięte. Ustawa radomska z r. 1505., rozpoczynająca się od słów „*Nihil novi*“, wyraźnie uznała to prawo szlachty, postanawiając, że król odtąd żadnej nowej ustawy wydawać nie będzie bez wspólnego przyzwolenia senatu i posłów ziemskich. Odtąd też szlachta bierze już stale udział w sprawach publicznych, a to w sposób następujący. Każde województwo, a niekiedy nawet każda ziemia, ma swój osobny sejmik. Biorą w nim udział dygnitarze koronni, a więc: wojewodowie i kasztelani, dalej biskup, w ziemi tej rezydujący, starostowie jako urzędnicy królewscy, a podkomorzowie, chorążowie, sędziowie, stolnicy itd. jako urzędnicy ziemscy, wreszcie cała szlachta danej ziemi lub województwa i to zarówno ta, która posiada własność ziemską, jakoteż ta, która jej niema (gołota).

Skutkiem tego sejmik jest zgromadzeniem bardzo licznem, liczącem kilkaset głów lub nawet więcej. Miejscem jego było zazwyczaj któreś miasto lub miasteczko województwa czy ziemi, obradowano zaś w kościele, w refektarzu klasztornym lub na ratuszu miejskim. Gdy szlachta, zwołana na pospolite ruszenie, przedtem chciała obradować, wówczas sejmik odbywał się pod gołem niebem. Prawo zwoływania sejmików posiadał w zasadzie tylko król, a zwoływał je w celach różnych. Przed

Sejmem zwoływał król sejmiki, aby obrały posłów na Sejm, i takie sejmiki nazywały się przedsejmowymi. Po skończeniu Sejmu składali posłowie braciom szlachcie sprawozdanie z prac sejmowych na sejmiku relacyjnym (sprawozdawczym). Po ustanowieniu Trybunału koronnego (1578.) wybierała szlachta deputatów na ten Trybunał na sejmiku, zwanym deputackim. Wreszcie zwoływano też sejmiki dla załatwiania spraw czysto wewnętrznych danej ziemi lub województwa i te zwały się gospodarskimi albo dobrego porządku. Obradom przewodniczył marszałek sejmikowy, zwany także dyrektorem Koła. Do ważności uchwał wystarczała zawsze taka liczba (choćby najmniejsza) uczestników sejmiku, jaka się stawiła; obecność dygnitarzy koronnych lub ziemskich również nie była konieczną. Uchwały sejmikowe zapadały jednomyślnością, to znaczy, że tylko taki wniosek stawał się uchwałą i tylko taki kandydat stawał się posłem lub deputatem na Trybunał, który uzyskał jednomyślne głosy wszystkich uczestników sejmiku. Usiłowano wprawdzie nieraz odebrać prawo głosowania szlachcie nieosiadłej i ustalić zasadę, iż większość głosów wystarcza, mimo to wracano zawsze do dawnego zwyczaju i dopiero przy końcu panowania Stanisława Augusta zasada większości poczęła zyskiwać sobie poszanowanie. Uchwały sejmików spisywali deputaci, do tej czynności wybrani; polecenia, dawane posłom na Sejm, zwano instrukcyami, inne uchwały laudami. Posłem na Sejm mógł zostać tylko szlachcic, który miał własne dobra ziemskie (posesyonat). Zazwyczaj obierano posłami ludzi, którzy piastowali jakieś urzędy lub godności ziemskie. Liczba posłów nie była stałą. Każdy sejmik obierał zwykle kilku posłów. Za funkcyę swą pobierali posłowie dyety ze skarbu wojewódzkiego. W instrukcyi poselskiej dawał im sejmik szczegółowe polecenia co do tego, czego mają się na Sejmie domagać, na co pozwalać, a do czego nie dopuszczać.

Trzy bezkrólewia, które od śmierci Zygmunta Augusta (1572.) nastąpiły po sobie w krótkich odstępach czasu, wzmocniły bardzo znaczenie sejmików. Szlachta, pozbawiona króla, musiała sama radzić o najważniejszych sprawach państwa: obronie kraju od zewnętrznego nieprzyjaciela, utrzymaniu bezpieczeństwa i porządku w kraju, wreszcie wyborze króla. W tym celu zjeżdżała się szlachta całego województwa na jedno miejsce i tworzyła związek, zwany konfederacyą albo kapturem. Wstępujący do wziązku przysięgali sobie wzajemnie, iż będą w zgodzie i jedności trwać i nawzajem sobie pomagać, a każdego, kto się ośmieli sprzeciwić ich uchwałom, uważać za nieprzyjaciela ojczyzny. W czasie trwania konfederacyi uchwały na sejmikach, a nawet na Sejmie, zapadały większością głosów, a „*Veto*" posła lub szlachcica nie miało znaczenia. Skonfederowane województwa porozumiewały się między sobą w przedmiocie programu działania i tworzyły następnie konfederacyę generalną. Skonfederowane sejmiki wybierały posłów na Sejm, który się zbierał „pod węzłem konfederacyi". W czasie konfederacyi ogłaszały województwa gotowość stawania w razie potrzeby do pospolitego ruszenia przeciw nieprzyjacielowi zewnętrznemu lub wewnętrznemu, obierały własne sądy, zwane kapturowymi, które też przez cały czas trwania konfederacyi zastępowały sądy królewskie, wreszcie udawały się tłumnie na miejsce elekcyi (wyboru) króla, gdzie każdy szlachcic miał prawo osobistego stawienia się i oddania swego głosu.

W okresie trzech pierwszych elekcyi sejmiki zdobyły sobie przedewszystkiem wpływ znaczniejszy na sprawy zarządu pieniądzmi podatkowymi. Pierwotnie miały sejmiki jedynie prawo godzenia się lub niegodzenia na proponowany przez króla podatek i przedstawiania Sejmowi poborców, których obowiązkiem było podatek ten ściągać i składać do skrzyni podskarbiego koronnego. Później zmienia się to zasadniczo. Sejmiki same rozstrzygają o tem, jakie podatki i na kogo nakładać; posłowie sejmowi zgłaszają (deklarują) na Sejmie tylko ryczałtową sumę, którą ich ziemia złoży tytułem n. p. podatku łanowego, podymnego itd., rozkład zaś podatku i ściąganie go staje się wyłącznie rzeczą sejmiku. Skutek tego był ten, że szlachta zwalała ciężar podatków przedewszystkiem na stany niższe, a więc na mieszczan, włościan, żydów, oszczędzając siebie. Pieniądze jednak, tą drogą ściągane, nie wpływały do skarbu koronnego, jakby się to na pozór mogło zdawać. Choć uchwalano pieniądze podatkowe przeważnie na wojsko, mimo to nie szły one do żadnej głównej kasy wojskowej, lecz

pozostawały w kasach wojewódzkich, gdyż sejmiki same utrzymywały z nich roty najemne czyli t. zw. żołnierza powiatowego, któremu wybierały rotmistrza. Stało się więc, że Polska była rozbitą na kilkadziesiąt państewek, z których każde miało własny Sejm (sejmik), własną skarbowość, a nawet własne wojsko. Niedość na tem. Także sądownictwo spoczywało w rękach sejmików. Na każdy urząd sędziowski (podkomorzego, sędziego, podsędka, pisarza) wybierały sejmiki czteru kandydatów, z których król mianował jednego. Przy wyborze obowiązywała zasada jednomyślności i urząd dopóty wakował, dopóki sejmik nie wybrał czteru kandydatów jednogłośnie. Od czasu ustanowienia Trybunału koronnego wybierają też sejmiki deputatów na Trybunał, a od czasu, gdy weszły w życie konfederacye (1572.), także sędziów konfederackich, t. zw kapturowych, których z początku było tylko kilku, później kilkunastu, kilkudziesięciu, a nawet przeszło stu.

Tak więc poszczególne sejmiki zajmowały się sprawami zarządu skarbowego, wojskowego i sprawiedliwości w swej ziemi czy województwie, nie oglądając się ani na ziemie sąsiednie, ani na państwo jako całość. Skutki tego rozbicia były nader smutne. Skarby wojewódzkie świeciły pustkami, bo przy niedbałej gospodarce poborów, opodatkowani zalegali ustawicznie z podatkami. Skutkiem braku pieniędzy żołnierz powiatowy, niekarny, źle odziany i źle żywiony, rzucał się na wsi i miasteczka, łupił je i grabił. Wymiar sprawiedliwości stał nader nizko, bo sędziowie, z pośród szlachty wybierani, znali tylko co najwyżej prawo zwyczajowe, ale nie posiadali głębszego wykształcenia. Zajmując się zarządem spraw, którym nie mogły sprostać, sejmiki zaniedbywały zupełnie sprawy miejscowe, któremi właśnie najlepiej mogły zarządzać. Nie troszczyły się o budowę lub naprawę dróg i mostów we własnej ziemi, nie opiekowały szpitalami, ubogimi, nie myślały o szkołach.

W wieku XVIII. przyszło opamiętanie, że niemożna tak dalej gospodarować. W r. 1717. utworzono nieliczne wprawdzie, ale stałe wojsko koronne, odebrano sejmikom zarząd wojskowy, a po części i skarbowy, gdyż zaprowadzono stały podatek (pogłówne). W latach 1766–68. zniesiono zupełnie skarby wojewódzkie, a w roku 1768. sądy kapturowe. Sejm czteroletni (1788–91.) skierował też działalność sejmików na pole zarządu sprawami miejscowemi. Od roku 1789. komisye cywilno-wojskowe, wybrane przez sejmiki, zarządzają drogami, wykonują dozór nad szkołami parafialnemi, zakładami dobroczynnymi, szpitalami, miarami i wagami, sporządzają spis ludności itd. Dzięki tym reformom ścieśniała się władza sejmików, rosła powaga Sejmu walnego, a myśl zjednoczenia państwa zdobywała sobie coraz to więcej podstaw. Reformy te przyszły jednak niestety za późno.

Poznawszy ustrój i działalność sejmików zwróćmy się teraz do Sejmu walnego! (C. d. n.).

Alojzy Winiarz.



Z „Sonetów samotnika".

O! gdzie pieśń taka, co burzą szaloną
Nad tą wyziębłą kulaby przegrzmiała,
Od której ludzkość zadrgnęłaby cała,
Któraby w każde ugodziła łono?!

Czy jest pieśń taka? i czy skamieniała
Ludzkość jest zdolna przyjąć w pierś uspioną
Coś, co nie będzie lalką wystrojoną.
Lub złotym kruszcem?... Oby myśl kłamała,

Która tak twierdzi! — Płonęła mi głowa,
Złożyłem skronie na wilgotnej ziemi
I zwolna w ucho szmerami dziwnemi

Spłynęła sosen pieśń tęskna, surowa,
I ciche szepty wonnych ziół kobierca,
A pieśń ta brzmiała: „Z serca śpiewaj, z serca!"

Miriam



Czarnohora — Zakopane.

(Z 7 rycinami.)

„Jeździmy dzisiaj po całym świecie... Skrzydła nam się rozrosły; przybyło nam ochoty do lotu. Pod jednym tylko względem pozostaliśmy ci sami. Rzeczy cudze znamy lepiej od własnych, Chillon lepiej od Czerska, Norymbergę lepiej od Sandomierza; Wrocław zamieniliśmy na Paryż, znajomość stron najbliższych nie zyskała na tem wcale". Taką skargą gorzką, ale usprawiedliwioną niestety,

zaczyna pewien turysta sprawozdanie swe z „Wycieczki do kraju Huculów“. Prawda to święta: cudze widzimy pod lasem, swego nie patrzymy pod nosem. Tęsknimy do Alp i Bóg wie jakich gór, a Karpat, a Beskidu, a Tatr nie znamy i nie staramy się poznać. A przecież to i pożyteczna i konieczna, a wreszcie i wstyd przyznać — obcy lepiej znają powaby górzystych okolic naszych od nas, krajowców!

Toż czas ocucić się z tej gnuśności i posłuchać głosu poety, który tak słusznie nawoływał rodaków:

Niby lecieć chce skrzydlata,
Obudzona, jak z zaklęcia...
I tę całą piękność świata
Chce uchwycić w swe objęcia.

(Asnyk.)

Hej za mną w ziemię czarów
Na strome szczyty gór,
Okiem rozbijem dal obszarów,
Czołami sięgniem chmur!

(Anczyc.)

A ten wiatr halny, tak świetnie opisany przez Witkiewicza! A ta „kurniawa“ [1]), którą ten sam mistrz pędzlem uwiecznił (p. str. 157.)!



W. Szermer: Huculki w drodze na wesele (p. str. 161).

W góry, w góry — miły bracie —
Tam swoboda czeka na cię!

I nie on tylko to powiedział, mówią to wszyscy poeci, którzy kiedykolwiek zajrzeli w góry nasze. Czytajcie Goszczyńskiego, Pola, Asnyka, Kasprowicza....! Czytajcie najcudniejszy poemat o Tatrach, choć w szacie prozaicznej, wspaniałe dzieło St. Witkiewicza „Na przełęczy“! Wszędzie ta sama nuta.

Pierś się wznosi, pierś się wzdyma
I powietrze chciwie chwyta —
Dusza wybiedz chce oczyma
Upojona, a nie syta:

A owe hałaśliwe wodospady Prutu i Żinki (jeden podajemy na str. 162.)! A te dzikie szczyty, turnie, iglice, bory i lasy, nietknięte stopą ludzką, ni siekierą!

A jaka przyroda, tacy i ludzie. Ten góral z Podhala, który nigdy nie był niczyim poddanym... „rósł wolny i dziki i przy wszystkich formach uniżoności zachowywał godność osobistą i hardość ducha. Szanował się i kazał siebie szanować, śpiewając tym, którzy mu chcieli imponować pańszczyźnianymi narowami:

---

[1]) Zamieć śnieżna w gwarze podhalskiej, której słownik obszerny wydał B. Dembowski.

„Panowie, panowie, będziecie panami,
Ale nie będziecie przewodzić nad nami".

A czyż można lepiej scharakteryzować umiłowanie swobody przez Hucuła, niż to uczynił J. Korzeniowski w „Karpackich góralach"? Lecz pocóż sięgać do poezyi sztucznej, kiedy sam lud w swojej wcielił swe ideały niezależności w postaciach owych Janosików i Dowboszów, o których dziś jeszcze nucą sobie po chałupach pieśni (p. obraz Zubra poniżej)[1]. Pewnie, że ze stanowiska etycznego wiele musimy zarzucić tym ideałom ludowym, ale bo też zawiniliśmy wiele o Szkryblaku lub o sporze, niedawno wszczętym o styl zakopiański[1]?

Doprawdy, gdy się to wszystko zważy, przychodzi się dziwić, że Zakopane „odkryto" przed ćwiercią wieku zaledwie, a Czarnohora i wogóle Nadprucie do dziś dnia stanowi obszar, mało dostępny, miejscami nawet prawdziwy las dziewiczy. Nic tu nie pomogą żadne tłumaczenia. Poeci nasi wołali na puszczy, uczeni wzywali do badań umiejętnych napróżno i musieli sami przechodzić Karpaty wszerz i wzdłuż (jak to uczynił prof. A. Rehmann, autor przyrodniczej monografii Tatr), Tow. tatrzańskie od dwudziestu kilku lat, pracując



J. Zuber: Pieśń o opryszkach (p. str. 161).

wobec tych bujnych natur, nie wnosząc między nie światła nauki i prawd wiary z należytą gorliwością i z poświęceniem. Ile przez to straciliśmy, któż to obliczy?

I cud prawdziwy, że lud ten górski, tak polski, jak ruski, nie zmarniał, nie zagrzebał talentu, który otrzymał od Pana, lecz samorzutnie tworzył i tworzy dzieła, świadczące o niepospolitych jego zdolnościach artystycznych. Któż nie widział owych kilimków i haftów, lub choćby pisanek, nie słyszał nad rozszerzeniem taternictwa, wykazywa obecnie ledwie coś setkę ponad 2000 członków! Poprawa tych stosunków na lepsze konieczna. Któż ją podjąć winien? Ty, młode pokolenie! Zakosztowawszy raz gór, będziesz tęskniło za niemi wiecznie, za tymi symbolami wszyst-

[1]) Prw. też rozprawę dra J. Celewicza „O Oleksie Dowbuszczuku" w Pamiętniku Tow. tatrzańskiego (t. XI).

[1]) Jako próbki charakterystycznych cech zdobnictwa i budownictwa góralskiego podajemy w tym numerze odbicia: 1) sosrąbu, t. j. najgrubszej belki u pułapu izby, podtrzymującej belki poprzeczne, 2) drzwi chaty zakopiańskiej o dziwnie powyginanych liniach wrębów i obitych kołkami, 3) typu zagrody góralskiej. Prw. piękną broszurę dra St. Eljasza Radzikowskiego, „Styl zakopiański" (Lwów 1900.)

kiego, co wzniosłe, strome, niedostępne na pozór, a przecież osiągalne, pokochasz je, a przez nie i to wszystko, co wyobrażają. A mają te góry w sobie coś z matki ziemi, co Anteusa krzepiła, ilekroć opadał z sił i pochylał się ku niej. Każda wycieczka na ich szczyty rozwirzy ci krew, doda sił i odwagi na łamanie tego, „czego rozum nie złamie“; ani spostrzeżesz, jak z karlich pożądań i chuci wyzwolisz się i wylecisz w sfery olbrzymich porywów i czystych myśli, wszechludzkich marzeń, gdzie króluje „Bóg i przyroda“. I pójdziesz wtedy przez życie nieskalanem, a gdyby nie starczyło ci skrzydeł do takiego lotu, przeżyjesz przynajmniej jedną chwilę tak „górnie“, jak twoi ojcowie niegdyś całe życie...

* * *

A teraz parę wskazówek i rad praktycznych. — jak się zabrać do wprowadzenia w czyn myśli o wycieczce w góry. Pierwsze kroki najlepiej zwrócić ku Czarnohorze, bo tu początkujący turysta spotyka najmniej trudności, choć nie znajdzie tu wygód, o które postarano się w Zakopanem. Przyczyną tego sam charakter Bieskidu wschodniego, do którego dostęp ułatwiają pociągi kolejowe, dochodzące przez Stanisławów aż do Worochty w letniej porze aż 3 razy na dobę. Z Worochty, gdzie najlepiej przenocować w „dworku“, utrzymywanym przez oddział czarnohorski Towarzystwa tatrzańskiego [1]) wyrusza się piechotą na Howerlę (2058 *m*), najwyższy szczyt pasma czarnohorskiego. Należy urządzić się tak, by mieć za sobą okres słotny, bo to zapewnia pogodę na czas dłuższy i czyste powietrze, bez którego traci się dalekie, a urocze widoki. Najmowanie koni i przewodnika jest rzeczą zbyteczną. Pierwszy bowiem nie może iść prędzej od Hucuła przewodnika, a zaopatrzenie tego również w konia nie przyśpiesza o wiele podróży. Bez przewodnika obejść się może każdy, kto umie czytać mapy geograficzne i oryentować się w stronach świata przy pomocy busoli. Zresztą, gdy o wycieczce w pojedynkę niemoże być mowy ze względu na przykrości, stąd wynikające, niewątpliwie w gronie wycieczkowców, wybierających się na Czarnohorę, zawsze znajdzie się ktoś, co był w górach, choćby nie na Howerli, i potrafi poprowadzić towarzystwo całe umiejętnie. Najprzyjemniejszem jest towarzystwo dobrane z 3—4 osób, a jego zaopatrzenie na drogę powinno być następujące: *a*) mapa szczegółowa c. k. Zakładu geograficznego w Wiedniu, dotycząca Czarnohory, arkusze: strefa (Zone) 12. kolumna XXXI. (Körösmezö - Mikuliczyn) i str. 13. kol. XXXI. (Bogdan), do nabycia po księgarniach i w dworku worochciańskim; *b*) busola z podziałką stopniową; *c*) lornetka dwuoczna, silna, a lekka; *d*) tłumoczek z żywnością i napojami na 3 dni [1]); *e*) maszynka spirytusowa z garnuszkiem blaszanym $^1/_2$-litrowym na herbatę; *f*) drobiazgi takie, jak płaska szklanka na herbatę, papierowa nieprzemakalna (6 *h*) na wodę źródlaną nóż składany z korkociągiem, nożyczki, świeca, zapałki, waselina do smarowania nóg, wata odtłuszczona i przybory do szycia. — Przedmioty, wymienione pod *a*), *b*), *c*) i *e*), wystarczą w jednym egzemplarzu na całe grono, *f*) można rozdzielić odpowiednio na wszystkich, tak samo żywność i napoje; dlatego też tłumoczek musi mieć każdy, o ile nie bierze się posługacza-Hucuła, który poniesie tłumoki za 2—3 *k* dziennie i utrzymanie. Zapasy stanowić mogą: na pierwszy dzień pieczeń (kurczęta itp.), ale na dalsze tylko

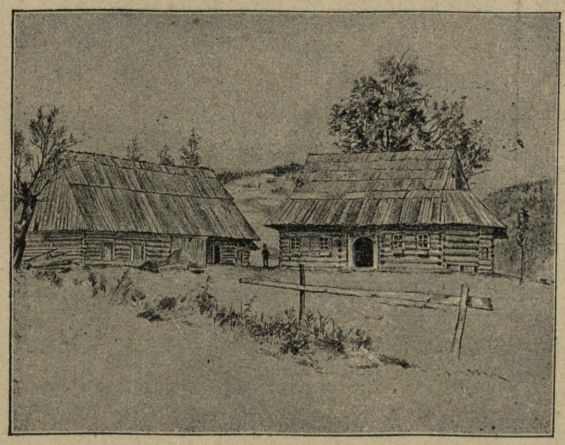


S. Obst: Wodospad Żinki
(p. str. 160).

[1]) Członkowie Tow., ich rodzina i młodzież płacą za nocleg cenę bardzo nizką.

[1]) Po 3 dniach trzeba wypocząć i wtedy czyni się nowe zakupy na dalszą drogę.

wędliny (zwłaszcza salami) i konserwy, chleb po $1^1/_2$ kilo na osobę (na 3 dni), sery, jaja i masło (należy pamiętać o soli i pieprzu); napój najzdrowszy: woda źródlana, najposilniejszy herbata, którą gotuje się na maszynce, lub robi na zimno we flaszce (4 godziny wystarczą, by naciągła należycie) — a cukier najlepszy w kostkach, krystaliczny. Można też mieć z sobą wino czerwone i koniak. Ubranie powinno się składać z 2 koszul t. zw. turystycznych, ciepłej wełnianej odzieży o wielkich kieszeniach, narzutki ciepłej, obuwia wygodnego o nizkich obcasach i grubych podeszwach, wyłojonego należycie — spodnie nad trzewikami należy spiąć gumową podwiązką lub sznurkiem — i kapelusza pilśniowego. Pochód i wdrapywanie się na pochyłości ułatwia laska jednolita, gruba i silna, lub toporek góralski. — Koszty podróży ogółem wynoszą z wliczeniem już zapasów jadła i napoi, wziętych z domu, a bez posługacza, 4—5 *k* dziennie; oszczędni i niewymagający opędzą je taniej nawet[1]).



St. Witkiewicz: Zagroda góralska (p str. 161).

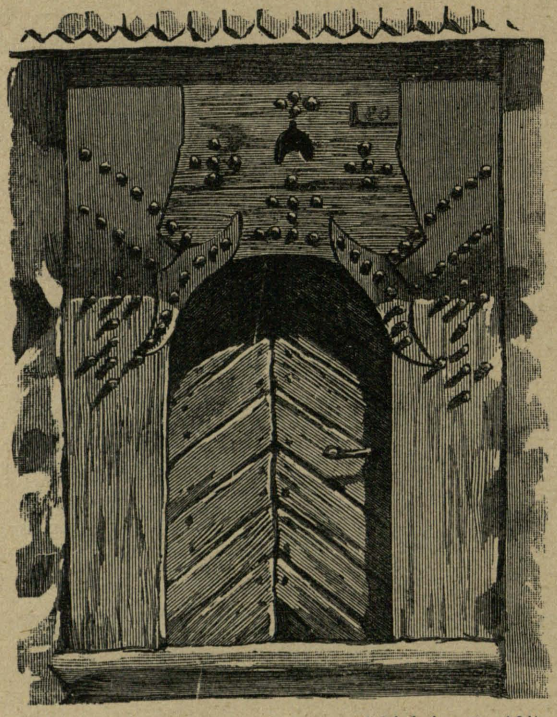
Wyrusza się w góry zawsze o świcie i kroczy powoli tak, by 1 *klm.* wypadał na $^1/_4$ g., przy wchodzeniu zaś na szczyt 300 *m.*, a przy schodzeniu w dół 500 na godzinę.

Na Howerlę prowadzą dwie drogi: 1) od dworku na Kiczerę (1201 *m*) 2 g., stąd na Kukul (1542 *m*) 2 g., na Kośmieską (1575) 3 g., przełęcz tamtejszą $^1/_2$ g. i wreszcie szczyt Howerli w $1^1/_2$ g., razem 9 godź.; 2) od dworku w górę rzeki Prutu do Ardzeluży z leśniczówką $2^1/_4$ godź., stąd na Zawoleję 1 godzinę, do schroniska czarnohorskiego na Zaroślaku $2^3/_4$ godziny, poczem przełęcz kośmieska 1 g. i na szczyt Howerli $1^1/_2$ g. — razem $8^1/_2$ godź. Pierwsza droga jest dalszą i trudniejszą, ale rozsnuwa przed turystą piękne widoki ze szczytów; druga prowadzi brzegiem Prutu w górę przez lasy świerkowe aż do Zaroślaka (22 *km.* — 6 godz.), pozbawiona wprawdzie rozmaitości, ale nastręcza sposobność do parokrotnej kąpieli, zwłaszcza u wodospadów Prutu, w dzień skwarny daje ochronę przed słońcem, a z Zaroślaka pozwala podziwiać w oddali Howerlę w cudnem oświetleniu wieczornem, jeżeli się odłoży pochód na sam szczyt do dnia następnego i przeleży niezwykle mroźną noc w schronisku lub przy ognisku na dworze. W takim razie nazajutrz o świcie wyrusza się przełęczą na szczyt tak, że między 8—9. rano można już rozkoszować się z Howerli niezrównanym widokiem, bo widnokrąg ze szczytu ma średnicę 24-milową i obejmuje wszystkie inne szczyty, Stanisławów, Kołomyję i Śniatyn po stronie galicyjskiej, a po węgierskiej dolinę Cisy aż po Mármaros-Sziget (czyt. Marmarosz-Syget). Charakter Czarnohory jest zupełnie odmienny od widoku Tatr i Alp. „Podobnie jak w Alpach rozległe lodowce, a w Tatrach ciemno-szare turnie (nagi skalisty mur) — pisze H. Hoffbauer w swym wybornym Przewodniku na Czarnohorę — tak na Czarnohorze zadziwi turystę nieskończona, bezgraniczna zieleń, która spaja się z horyzontem. Ponieważ wszystkie grzbiety i czuby są połoninami, na których widać koliby i pasące się bydło i owce, a dopiero niżej połonin, w głębi, rozciąga się obszerna dziedzina lasów, wyglądających jak ciemne smugi, zdaje się, że człowiek stoi na wyżynie wśród rozległego stepu". Na Howerli warto zabawić choćby z 2 godziny i zajrzeć też do uboczy, z której 6 niteczek srebrzystych wije się w dół, tworząc około 80-metrowy wodospad ku połoninie zaroślackiej — to źródła Prutu!

Z Howerli można zejść grzbietem węgierskim w dorzecze Cisy i świetnym gościńcem dojdzie się pod wieczór do Körösmezögo, połączonego koleją z Worochtą i wróci zwykłym szlakiem do domu. Dłuższe, bo 5—6-

[1]) Należy przy sobie mieć pieniądze drobne tylko, bo Huculi ich nie posiada i nie wyda z większego banknotu.

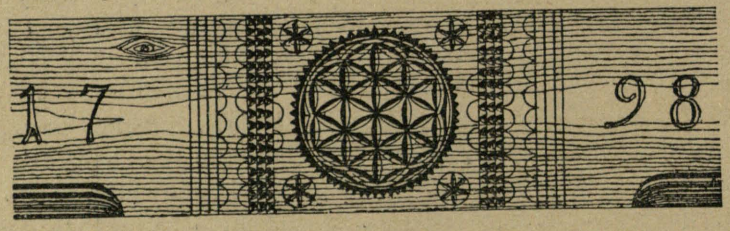
dniowe wycieczki prowadzą z Howerli na Dancyrz (1882 *m*), grzbietem Czarnohory przez Turkuł (1935 *m*) na popas koło Spyci (1866), dalej grzbietem przez Munczel (2002) na Popa Iwana (2026), zwanego też Czarnohorą, skąd schodzi się na nocleg do schroniska na Gropie. Ta droga wypełnia znów dzień cały tak, że w następnym przez Poliwny po popasie nad jeziorem Szybenem staje się na nocleg w Burkucie. Z Burkutu idzie się do Jawornika, a stąd spławami przez Żabie do Wyżnicy, połączonej z koleją lwowsko-suczawską.



St. Witkiewicz: Drzwi chaty góralskiej (p. str. 161).

Przechodzę do Zakopanego. Tu sprawię się krótko, bo nie mogę i nie myślę przepisywać niezrównanego „Ilustrowanego przewodnika do Tatr i Pienin“ Eljasza-Radzikowskiego, który należy przestudyować dokładnie, zanim się wyjedzie do Zakopanego — koleją lub kołem. Wycieczki w Tatry przedstawiają daleko więcej trudności, niż czarnohorskie; tylko w najbliższą okolicę Zakopanego można wybierać się samym bez przewodnika. Dalej jednak, a zwłaszcza przez Zawrat nad Morskie Oko potrzeba zaopatrzyć się w żywność i t. d. (choć w mniejszych rozmiarach, niż na Howerlę, bo taka wycieczka wymaga ledwie 2 dni i prowadzi przez doliny, gdzie można w schroniskach zawsze coś dostać) i w przewodnika, który udźwiga tłumoki 2 osób i kociołek na herbatę. To wszystko pociąga za sobą wprawdzie koszt większy, niż wycieczka na Czarnohorę, ale wynagradza turystę wrażeniami, widokami i cudami przyrody, jakich może nie zaznać już nigdy w życiu. Dość przeczytać wspomniane dzieło Witkiewicza „Na przełęczy“ lub choćby przejrzeć rysunki, tam podane, by zatęsknić do Tatr tak, że nawet jednorazowa bytność w nich nie ukoi tej tęsknoty, owszem obudzi tylko pragnienie ponawiania z niemi znajomości jak najczęściej i przesiadywania w nich jak najdłużej. Ta właśnie tęsknota za górami wytworzyła u nas już zastęp ludzi, zwanych taternikami, który pragnąłbym powiększyć artykułem niniejszym.

Fr. Krczek.



W. Matlakowski: Sosrąb w starej chacie góralskiej (p. str. 161).

Henryk Sienkiewicz.

(Ciąg dalszy).

Podczas druku ostatnich rozdziałów „Potopu“ rozeszła się wiadomość, iż Sienkiewicz obmyśla plan jeszcze jednej powieści historycznej, której bohaterem zostanie ImćP. Michał Wołodyjowski, towarzysz nieodstępny i przyjaciel serdeczny Skrzetuskiego, Żagłoby i Podbipięty. Nowina ta wywołała wielkie zajęcie, lecz równocześnie także obawę, czy autor stworzy rzecz, któraby wyrównała w wartości artystycznej utworom poprzedzającym, czy dopisze mu wyobraźnia, czy nie pocznie powtarzać swych pomysłów, jak to uczynił Dumas i jego naśladowcy. Już pierwsze jednak karty „Pana Wołodyjowskiego“ przekonały wszystkich, iż obawy te były płonnemi i nieuzasadnionemi; powieść nietylko zajęła czytelników, nietylko dorównała swym poprzedniczkom, lecz okazała również dowo-

dnie i niezbicie, jak wielkim i niewyczerpanym był talent jej twórcy.

Tom ten różni się nieco od poprzednich opowieści Sienkiewiczowskich; pierwiastek dziejowy usuwa się na plan drugi i służy poniekąd jedynie za tło, na którem romans tka swą przędzę złocistą. Romans ten tworzą dzieje dwu serc, z których jedno jest własnością nieustraszonego obrońcy Kamieńca, a drugie należy do dzielnej dziewczyny kresowej . . . .

Postać pana Wołodyjowskiego jest nawskróś oryginalną: w niepozornem ciele ukrywa się wielki duch rycerski. Szermierz z niego nieporównany, odwaga jego wprost szalona, wieczna walka z wrogiem to cel i treść jego życia. O ile jednak na polu bitew nasz mały rycerz odnosił świetne tryumfy, o tyle gorzej wiodło mu się w potyczkach z Amorem: obfite kosze od panien były jedynym plonem jego zabiegów miłosnych. Kochliwym będąc nad miarę, pocieszał się nasz pan Michał bardzo częstemi zmianami przedmiotu swych efektów — aż przyszedł czwarty krzyżyk żywota, a z nim tęsknota za lubą niewiastą, z którą mógłby stworzyć raz przecie ognisko rodzinne. I rzeczywiście za swe trudy bojowe, za krew, za rany, za czyny bohaterskie, otrzymał teraz „*praemium* z rąk Boga“ w postaci ślicznego, kochającego dziewczęcia. Gorącym afektem płonął ku innej — kochał się nasz żołnierzyk w romansowej Krzysi Drohojowskiej, lecz kiedy ta przeniosła nad niego poetycznego Szkota Ketlinga, wówczas jej przyjaciółka Basia wyznała p. Michałowi swą ku niemu miłość, którą dotychczas taiła. Z dziecięcą prawie naiwnością zawołała, tupiąc nóżkami z uniesienia: „Głupia Krzysia, jabym wolała jednego pana Michała, niż dziesięciu Ketlingów! Pan Michał taki poczciwy! Ja pana Michała kocham z całej siły... lepiej niż ciotkę, lepiej niż wujaszka... lepiej niż Krzysię...“ W panu Michale zmieniło się odrazu serce, pokochał Baśkę — i w jej miłości i przywiązaniu znalazł nagrodę za dotychczasową twardą dolę żołnierską.

O Baśkę spór wieść może krytyka z autorem; ta młoda dziewczyna z narowami starego wiarusa, przemawiająca w sposób żołnierski, pragnąca gorąco uchodzić za dzielnego szermierza, zabijająca z krwią zimną nieprzyjaciela, nie odpowiada wymarzonemu ideałowi polskiego dziewczęcia, razi nawet swem znalezieniem się, lecz w porównaniu z Heleną i Oleńką występuję z takiem życiem i siłą, iż jest bezsprzecznie najlepszą postacią kobiecą w całej trylogii. Słusznie podniósł jeden z krytyków, iż sam autor miał w tej kreacyi tak wielkie upodobanie, że wydaje się, jakby sam był w niej trochę zakochanym....

Po ślubie zamieszkało młode małżeństwo gdzieś daleko na Podolu. Szczęście pogodne świeciło nad nimi, tylko brak potomstwa był jedyną chmurką na czystem jak kryształ niebie ich wspólnego pożycia. List Sobieskiego do Wołodyjowskiego z wieścią o gotującej się wojnie z Portą i Tatarami z rozkazem strzeżenia Rzeczypospolitej na ostatnich jej kresach druzgoce ten spokój; sielanka zaczyna zmieniać się w epopeję. — Nasz pułkownik osiada w Chreptiowie, razem z nim żona jego, przy nich garstka Tatarów Lipków pod dowództwem młodego litewskiego Tatara, Azyi Mellechowicza. On to w tem życiu kresowem ma odegrać rolę tragiczną w chwili, gdy krew pocznie kipieć w żyłach jego. Uniesiony szałem namiętności, porywa Baśkę, zdradza Polskę i ponosi za to straszną karę; wykonawcą jej jest młody Nowowiejski.

Następuje epilog, najwspanialszy i najsilniejszy, jaki wyszedł z pod pióra Sienkiewicza: „Oblężenie Kamieńca“. Zdawałoby się, że po opisach oblężenia Zbaraża i Częstochowy niemożna już stworzyć rzeczy doskonalszej, — kłam temu zadaje Kamieniec. Niezrównane są piękności tego smutnego obrazu. „Te wahania się — powtarzam słowa prof. St. Tarnowskiego — i przejścia od nadziei i większej odwagi do strachu, od szemrania do układów o kapitulacyę, ten kolejny przypływ i odpływ tęższego ducha, to jest niezwykle i wielce dramatyczne. Na tem tle dopiero rysują się wybitniejsze sceny, wzniosłe i patetyczne, jak przysięga Wołodyjowskiego i Ketlinga; bohaterskie i doskonale epickie, jak pomoc posłana Żwańcowi naprzykład, albo pojedynek z Hamdim; rysują się figury, teraz wzruszające i przywiązujące do najwyższego stopnia, Wołodyjowskiego i Basi“.

W twierdzy kamienieckiej przy swym ukochanym Michale dzieliła ona trudy i niebezpieczeństwa; tu po raz pierwszy w życiu napoił ją mąż goryczą, kiedy przeczuciem wiedziony mówił jej o swej śmierci. Ta osta-

tnia ich rozmowa wzrusza do głębi, a swą prostotą i pełnią uczucia rozrzewnia i wyciska łzy z oczu. Z oddali dolatują do ich uszu słowa piosenki:

Nic mi po srebrze, nic mi po złocie,
Nic po chudobie;
Niech z głodu zamrę przy krzywym płocie,
Byle przy tobie!

Baśka powtarza: „Byle przy tobie!“, — a biedny pan Michał przygotowywa ją na swą śmierć w sposób żartobliwy, jak to ona tam do niego przyjdzie... „Ktoś puka do niebieskich podwoi. Święty Piotr otwiera, patrzę ja: Kto? moja Baśka! Rety! o! to dopiero skoczę, to dopiero zakrzyknę! Miły Boże! słów w gębie brak! I niebędzie płakania, jeno wieczne wesele, i niebędzie pogan, ni armat, ni min pod murami, jeno spokój i szczęśliwość! Ej, Baśka, pamiętaj: nic to!

— Michale, Michale! — powtarzała Basia

I znowu nastała cisza, przerywana tylko odległem, monotonnem dźwięczeniem kilofów. Wreszcie Wołodyjowski ozwał się: Baśka, zmówmy sobie teraz pacierz!

I te dwie dusze, czyste jak łzy, poczęły się modlić. W miarę jak odmawiali pacierze, spływał na oboje spokój, a potem zmorzył ich sen i usnęli aż do pierwszego brzasku“..

Powieść kończy się wysadzeniem zamku w powietrze i opisem pogrzebu Wołodyjowskiego i bitwy chocimskiej, lecz żaden z tych epizodów nie dorównywa pięknością tej chwili ostatniego rozstania.

Pierwszy cykl powieści historycznych Sienkiewicza kończy się na „Panu Wołodyjowskim“; na czas dłuższy miał autor pożegnać się z bohaterami naszych dziejów, by uderzyć w inną strunę, przedstawić odmienne obrazy z życia dzisiejszego. Na ostatniej karcie trylogii umieścił wyrazy następujące: „Na tem kończy się ten szereg książek, pisanych w ciągu kilku lat, w niemałym trudzie, dla pokrzepienia serc“. Słowa te tłumaczą nam jasno myśl przewodnią autora, która kierowała jego piórem przy pracy twórczej, która dodawała mu sił w zamierzonem przedsięwzięciu, która mu przynosiła natchnienie, gdy odtwarzał krwawe sceny minionej przeszłości. Pamiętając o tych słowach, zrozumiemy teraz, dlaczego autor w chwili, kiedy krytyka zaatakowała powieść historyczną, postanowił jej bronić i to słowem żywem. Wystąpił mianowicie z odczytem: „O powieści historycznej“ (druk. w t. 92. „Przeglądu polskiego“, 1889). Z dumą na czele zaznaczył, że stanowisko piszącego jest służbą publiczną, że, służąc literaturze, służy się przez nią społeczeństwu; gdy więc odzywają się zdania, że droga, którą piszący obrał, jest błędną i wiedzie na manowce, każdy ma prawo wystąpić w obronie. Zarzuty krytyków, odmawiających powieści historycznej słusznych podstaw, nazywających ją „prawdziwą kawą figową“, wykazujących, że powieść historyczna to *contradictio in adiecto*, odparł prelegent przekonująco; przytoczył pamiętniki Paska na dowód, jakie są dokumenty, dające nam możność poznania ludzi z odległej przeszłości, wystąpił na koniec ostro przeciw krytyce, ktora zamiast mówić o dziełach dokonanych, wydaje recepty, o czem należy, albo nie należy pisać. „Jest poprostu śmiesznem uroszczeniem żądać od samorodnej łąki, w którą nasiona rzuca wiatr Boży, by takimi, a nie innymi kwiatami zarastała. W literaturze kierunków i rodzajów nie wprowadzili krytycy, jeno twórcy. Jam jest pszczoła z Hymetu — mówi starożytny poeta — unoszę się nad wonnymi cząbrami gór, siadam na którym chcę kwiecie i zbieram miód mój, skąd chcę. Taką pszczołą jest twórczy duch ludzki. Nie da on sobie odjąć swej wolności, zamykać dróg, otoczyć zastrzeżeniami, wtłoczyć się w formułki i przepisy. Sam on zawsze wybierał i drogi i ideały i przy tych, które pokochał, będzie trwał zawsze“.

A jaką drogę wybrał teraz Siekiewicz, zobaczymy w dalszym ciągu. (C. d. n.).

Bronisław Gubrynowicz.

Szkice z zakresu estetyki.

VI.

Barwy w malarstwie.

Goethe szukał zrazu, jak sam wyznaje w swej „Nauce o barwach“ (Farbenlehre), praw, którym podlega nakładanie barw na obrazach. Ale podczas gdy mógł sobie dokładnie zdać sprawę ze wszystkich innych części malarstwa, zdawało się, że przy nada-

waniu barw przedmiotom wszystko jest dziełem przypadku, zawisłego od smaku, który znów jest wynikiem przyzwyczajenia, wypływającego z uprzedzeń pewnych, uwarunkowanych indywidualnościami sztukmistrza, znawcy, miłośnika. Od ludzi żywych niemożna się było niczego dowiedzieć, niewięcej od nieboszczyków, nie mówiły nic o tem podręczniki, nie wyjaśniały zagadki tej dzieła sztuki. Mógł więc tylko zauważyć Goethe, że współcześni mu malarze postępowali w tym względzie li według chwiejnych tradycyi i z pewnego rodzaju popędu, że światłocień, koloryt, harmonia barw, wciąż się obracały w jakiemś kole zaczarowanem. Co wprowadzano w czyn, to podawano jako sztuczkę techniczną, nie jako zasadę. Wobec tego starał się zbadać barwy najpierw z punktu widzenia przyrodniczego jako zjawiska fizyczne. Podczas swego pobytu we Włoszech nie omieszkał przyglądać się pilnie wspaniałości barw atmosferycznych, przyczem wyraźne ustopniowanie przeźrocza powietrznego (*Luftperspective*), niebieska barwa dalekiego tła i blizkich cieni rzucały mu się w oczy przedewszystkiem. Natomiast przy wietrze południowowschodnim (*scirocco*), przy purpurowym zachodzie słońca, widział przecudne cienie zielone, jak morze. W Wajmarze następnie do tych spostrzeżeń przyłączyły się badania, których wynikiem była „Nauka o barwach".

Taką samą drogą, jak wielki poeta niemiecki, musi każdy iść, kto chce sobie zdać sprawę o istocie zadań malarskich co do przyrody i o środkach, służących artyście do ich wykonania. W pierwszym więc rzędzie rozchodzi się o sposób powstawania barw, które zaznaczają się na powierzchni przedmiotów jako ich barwy miejscowe (lokalne), następnie o przemiany, których barwy te doznają, przesłonięte powietrzem i wskutek zmiany oświetlenia w dzień a w nocy.

Barwy miejscowe przedstawiają się bardzo rozmaicie, stosownie do tego, czy mamy do czynienia z przedmiotami przeźroczystymi, czyteż nieprzejrzystymi, gładkimi lub szorstkimi. Barwy załamania, dostrzegalne na wodzie, na bezbarwnych oszlifowanych kamieniach drogich, na szkle wreszcie, może malarz odtworzyć zaledwie w przybliżeniu. Taksamo rzecz ma się z t. zw. barwami mieniącemi się (*Interferenzfarben*), które powstają wskutek warstwowego układu cząstek, rozmaicie zabarwionych, jak n. p. na muszlach, kryształach, łusce rybiej, upierzeniu ptaków i skórze zwierząt. Natomiast największe znaczenie mają w malarstwie barwy, powstające przez wchłonięcie w siebie barwy uzupełniającej (*Absorption der Complementärfarbe*), a więc tej barwy, która, zmieszana z barwą widzialną, dałaby białą. Są to z jednej strony barwy z szeregu: czerwonych, pomarańczowych, żółtych, z drugiej: zielonych, niebieskich, fiołkowych. Stosownie do jakości powierzchni przedstawiają się odmiennie, n. p. na jedwabiu błyszczącym z jednej, a na kosmatej wełnie z drugiej strony; taksamo siła i kąt padania światła, które oświetla poszczególne przestrzenie, wywołując przez to wrażenie bryłowatości przedmiotu, wpływa na to. Refleksy otoczenia, do których należy też błękit nieba, powodują dalsze zmiany. Największą trudność nastręcza przedstawienie ciała ludzkiego wobec niezmiernej różnorodności kształtów jego powierzchni, rozmaitości podkładu poszczególnych części i wynikającej stąd gry tonów ciepłych i zimnych, które Goethe uważa za zneutralizowane przez ustrój.

Te barwy przedmiotów ulegają zmianom stosownie do oddalenia swego od oka wskutek tego, co zowiemy przeźroczem powietrznem, a co dawniej określano wyrażeniem niemieckiem „Haltung eines Gemäldes". Przez to należy rozumieć nietyle rozpływanie się barw przy wzrastajacej odległości, które odbywa się tem szybciej, im drobniejszemi są poszczególne płaty barwne, nieczystszemi ich barwy, a bliższemi sobie odpowiednie barwy uzupełniające, ile raczej przytłumienie barw wskutek tego, że oddziela je od widza atmosfera, czyto lekka, biaława para wodna, czyteż delikatny, szarawy kurz. Ta bezbarwna, a przejrzysta materya, utworzona przez luźne grupy mniej przeźroczystych cząstek, wywoływa barwy, które określamy jako wytworzone przez złe przewodniki (*trübende Medien*). Mianowicie jeżeli przedmiot, przed którym atmosfera się rozciąga, jest ciemnym, powstaje przy bardzo cienkiej warstwie powietrza bardzo silnie niebieska barwa, która jednak przy coraz większej gęstości tej warstwy zmienia się w niebieskoszarą, szarą, wreszcie białą; gdy przy tych samych warunkach tło jest jasne, powstają w pierwszym wypadku barwy: żółta, poma-

rańczowa i czerwona, w drugim: szara i biała. Już Leonard da Vinci (1452—1519.) poznał, że jestto zjawisko takie samo, jak to, które spostrzegamy przy wznoszeniu się dymu przed jakimś przedmiotem ciemnym lub jasnym. Takie efekty malarz może doskonale uzyskać, nakładając warstwy barw jedną na drugiej.

Zasadniczo odmiennem jest przeźrocze powietrzne na północy a na południu. Mętne powietrze północy przytłumia zarówno barwy, jak światła i cienie; niebieskawoszara zasłona, podobna do zwykłej mgły, zalega dalekie obszary, harmonizując wszystko i to tem silniej, im bardziej przesycone cząstkami wody jest powietrze (jak to bywa n. p. na wybrzeżach morskich). Natomiast przy czystem, przejrzystem powietrzu południa, gdzie cząstki, mącące czystość, są bardzo drobnemi, wszystkie przedmioty występują bardzo ostro, dalsze plany odpowiednio do pośredniej warstwy powietrza jako stanowczo niebieskie, a przedmioty, oświetlone mocno, przebłyskują tu nawet przez grube warstwy powietrza złotem lub czerwienią.

Z pomiędzy zjawisk, dostrzegalnych na niebie, zwraca przedewszystkiem uwagę niebieskość powietrza. Barwa ta powstaje wskutek tego, że cienkie i bardzo czyste wyższe warstwy powietrza lepiej odbijają (reflektują) te promienie słonecznego światła, które zmieszane dają barwę niebieską, a więc krótkofaliste, niż długofaliste. Ta barwa nieba, czyniąca cienie planów dalszych, zwłaszcza gór, tem bardziej niebieskimi, im ciemniejszymi są same, przechodzi w cieniu przy bardzo silnem świetle wskutek oddziaływania kontrastów aż w fiołkową, która przy pełnem oświetleniu w południe występuje też w cieniach przedmiotów blizkich. Zjawiska zorzy porannej i wieczornej powstają stąd, że z początkiem i u schyłku dnia atmosfera jest mętniejszą, siła zaś światła słonecznego mniejszą, niż w południe. W obu razach światło dochodzi do naszych oczu, choć nie widzimy samego słońca, czyto dlatego, że nie zeszło jeszcze, czyteż już znikło z widnokręgu. Ponieważ zaś atmosfera bywa z prawidła wieczorem mętniejszą, a rano czystszą, przeto zorza wieczorna bywa czerwieńszą, a poranna bardziej pomarańczową.

Do przedstawienia tych różnorodnych fenomenów służą malarzowi farby (barwiki), które dzielimy na przeźroczyste i nieprzeźroczyste, a których wrażenie bywa rozmaitem stosownie do sposobu przenoszenia ich na płótno, papier i t. d. i do ich połączenia. Mniejsza lub większa przejrzystość barw zależy od tego, czy poszczególne kawałki farb potrzebują przy rozcieraniu większej lub mniejszej ilości płynów kleistych, ażeby uzyskać potrzebną do malowania spoistość; *terra di Siena* (glinka syeniańska) n. p. potrzebuje 183, *blajwajs* (biel ołowiana) natomiast tylko 14 cząstek oleju lnianego. Stosownie do tego, czy odpowiednio do jakości przedmiotu malowanego trzeba więcej światła stłumić, czy też przepuścić, używa malarz barwików nieprzejrzystych względnie przeźroczystych. Jeżeli chodzi o nadanie pewnej barwie siły świetlnej, można uzyskać to najlepiej przez użycie tła białego; zastosowanie tła barwnego lub ciemnego może wywołać dalsze zróżniczkowanie efektów; cienkich warstw barwików nieprzejrzystych można używać jako złych przewodników.

Nakładanie barw jednej na drugiej tak, by były jużto przejrzyste, jużteż nieprzeźroczyste, stanowi sposób używania barwików najbardziej urozmaicony, jest rzeczą bardzo ważną i trudną; wymaga bardzo wielkiej wprawy, doświadczenia i głębokiej rozwagi i w czasach żywej tradycyi artystycznej stanowiło istotną treść tejże. Obok tego wchodzi w rachubę bezpośrednie mieszanie barw, stosowane w czasach dawniejszych bardzo wstrzemięźliwie, ale w ostatnich wiekach zamienione w prawidło powszechne, wreszcie układanie barw obok siebie, które przez mieszanie się wywoływanych przez nie wrażeń wytwarzają nową całość, a więc wywierają wrażenie, zamierzone przez rozkład barwy na jej poszczególne składniki. Ostatni sposób używania barwików, stosowany dawniej tylko wyjątkowo do przedstawiania pewnych efektów jaskrawego oświetlenia słonecznego, zyskał dopiero w najnowszych czasach szersze zastosowanie, dlatego mało nas tu obchodzi.

Wszystkie te środki otwierają działalności malarza pole szerokie, potrzeba tylko przytem baczyć, ażeby nietylko bryłowatość i przestrzeń wypadły należycie, lecz także obraz barwny nie ucierpiał nic na jasności i sile oświetlenia. Bo czyto sztukmistrz skłania się bardziej do naturalistycznego sposobu traktowania przedmiotów, czy do stylizującego, musi zatrzymać w oku barwę nietylko jako środek

do uplastycznienia przedmiotu, lecz także jako samoistną część składową obrazu, wywołującą taksamo, jak dźwięk w muzyce, jemu właściwie wrażenia. Barwy mówią własnym językiem, który zwykle nazywamy ich symboliką. O tem jeszcze parę słów, po części nawiązanych do „Nauki o barwach“ Goethego. (Dok. n.).

Z Woldemara Seidlitza.

Rozmaite typy światopoglądu etycznego..

III.

Jednak wyższy stopień światopoglądu istnieje. Nieuniknione „pytania przeklęte“ rodzą się, uwarunkowane już samą badawczą naturą ducha ludzkiego; krytyka i ocena wszystkiego, co istnieje, świata i życia osobistego, budzą się powoli. Rozum przychodzi do poznania znikomości i marności wszystkiego, co ludzkie, nietrwałości i zmienności dóbr ziemskich i odwraca się od nich, szukając pociech innych. Ideały powstają.

Syddharta, król hinduski, stara się zamknąć syna swego Gautamę (późniejszego Buddhę) w pałacu, ażeby nie widział biedy i smutków, ani nie dowiedział się niczego o tych towarzyszach życia ludzkiego, ażeby oddał się li rozkoszom życiowym i upoił się niemi. Tymczasem królewicz spostrzega razu pewnego na przechadzce pogrzeb i poznaje, że śmierć, stanowiąca kres nieunikniony życia fizycznego, istnieje na świecie. Zobaczywszy następnie starca, przekonywa się, że starość jest koniecznością. Chory i żebrak wzbogacają jego doświadczenie faktami o istnieniu chorób i biedy, odbierających urok powabom życia. To wszystko zachwiewa pewnością siebie człowieka. Mimowoli protest budzi się przeciw takim ograniczeniom niepożądanym, wątpliwości powstają co do ich istnienia fizycznego i metafizycznego. Poznanie istotnej konieczności i ograniczoności zaprawia napój i pokarm jadem i prowadzi do wyrzeczenia się uciech cielesnych, zwłaszcza że są chwilowemi tylko i przypadkowemi.

Ludzkość tedy zaczyna ostatecznie w swych lepszych i wyższych przedstawicielach rozglądać się dokoła i przekształcać, zaczyna porównywać ogół dóbr, przypadających jej w udziele, i ogół złego, które musi znosić, waży — co przeważa? Oto początek i źródło filozofii moralnej, jako oceny świata. Co ukrywa się poza istnieniem świata: dobro czy zło, czyteż oboje razem — dualistycznie? Co stanowi najwyższe prawo bytu człowieczego? Nagi obraz nieszczęść staje przed zaniepokojonym wzrokiem człowieka w całej ich dzikiej i niezwyciężonej wielkości. „Mnie, Biedzie, — powiada poeta — nie ujdziesz nigdzie. Nie smućże się w biedzie! W biedzie żyć — nie smucić się, smutnym w biedzie zginąć!“

Prawda — niekiedy także dążenia meliorystyczne (do ulepszenia) są możliwe i zdobywają sobie podstawy. Tak możnaby nazwać następujący typ światopoglądu etycznego: Osobnik myślący, dokonując oceny świata, poznaje obfitość zła w życiu i całą jego potęgę i postanawia walczyć z niem ze wszech sił, przyczem zwycięstwo zasady dobra nad złem powinnoby być koniecznym wynikiem takiej walki — w przyszłości mniej lub więcej dalekiej; tu wiara w możliwość przekształcenia życia społecznego według swoich ideałów i nawet w możliwość zmiany warunków istnienia przyrody organicznej i nieorganicznej odpowiednio do potrzeb ludzkich stanowi czynnik główny. Nastrój taki spotyka się szczególnie często w wieku młodym, kiedyto troski życiowe nie pochłonęły jeszcze zupełnie energii duchowej, kiedy uczucia są jeszcze szlachetne i niesamolubne, a wyobraźnia żywa pociąga za sobą myśl analityczną (rozbiórczą) i przeskakuje „błahe“ lub przynajmniej pozornie łatwe do usunięcia przesądy.

Ale energia wyczerpywa się i słabnie, zdrowie nadwereża, ciało znękane domaga się spokoju i ciszy, wyobraźnia jałowieje i analiza nielitościwa wstępuje w prawa swoje. Przeszkody odzyskują przynależne im miejsca i rozmiary, a wiara w możność dokonywania przewrotów i ulepszeń, chociażby tylko stopniowo i nieznacznie, chłodnie. Wszelki postęp, względnie wieloletni rozwój (ewolucya) powszechny, poczyna się wydawać beczką Danaid, skoro muszą zginąć doszczętnie, ażeby ostatecznie wydać z siebie jedno pokolenie szczęśliwe. Niewszyscy posiadają tak szczęśliwie nastrojoną duszę, żeby mogli zadawalać się zwodną i sentymentalną wiarą, iż „czas przyjdzie i Baal zginie i miłość wróci na zie-

mię!“ Jeszcze mniej ludzi potrafi oswoić się z myślą, iż za cenę niezadowolenia i biedy, doświadczanych teraz, zapewnia się szczęście jakichśtam pokoleń przyszłych: wszak nic nie nie daje nam rękojmi rzekomego ich szczęścia! Ludzie o trzeźwym, realistycznym sposobie myślenia, jeśli nie posiadają jakichkolwiek moralnych punktów oparcia poza „tym światem“ (n. p. w religii), bezwątpienia zgodzą się raczej ze zdaniem Bazarowa: „Jakto? dla nędznego chłopa Filipa czyteż Sydora powinienbym dać się obłupić ze skóry, a on mi nie powie nawet — Bóg zapłać! — a zresztą co mi po jego — Bóg zapłać? On będzie żył w białej izbie, a ze mnie łopuch będzie wyrastał — no i cóż dalej?“ *)

Okupienie szczęścia istot, żyjących t e r a z, a drogich i miłych sercu naszemu, kosztem mąk własnych byłoby już o wiele zrozumialszem. Ale choćby człowiek był nie wiedzieć jak gotów do poświęceń, choćby pracował na pożytek bliźnich z nie wiedzieć jakiem zapomnieniem o sobie, zawsze maleńki bodaj kącik pozostaje w jego sercu, w którym się jego własne żądania wobec życia i chęć własnego zadowolenia ukrywają.

I choćby kącik ten był jak najbardziej odosobnionym i oddalonym, choćby droga i wejście doń były jak najbardziej utrudnione, wrażenia życiowe przedostaną się i do niego i serce zażąda tego, co mu się należy, wcześniej czy poźniej. Życie zmusza człowieka, obdarzonego myślą i czuciem, do znoszenia mąk i bolów, a bezpośrednie doświadczenia nasuwają mu i wpajają weń mimowoli myśl, jakoby „życie, jak daleko naokół spojrzysz trzeźwem okiem, było czczym i głupim żartem!“

Nawet szczęśliwi na pozór ludzie i ci, którzy uchodzą powszechnie za ulubieńców losu, uważają się w głębi serca za męczenników i nie mogą naliczyć nawet dwu dni szczęśliwych w swem życiu.

Poznanie brzemienia życia wywołuje w człowieku przerażenie, odrazę. Nawet w Heladzie, którą życie cieszyło, odzywa się melancholijna skarga Sofoklesa:

Gdy się komu za mała
Średnia miara lat zdała,
Ale chciałby na świecie
Przeżyć jakie stulecie,
Tego rozum niewielki:
Bo im dłużej tu człeka,
Tem mu dłużej dopieka
Boleść, troska, trud wszelki.
Lecz on, chciwy od rodu,
Nie zna w chęciach swych miary;
Nawet wtenczas, gdy stary,
Czeka końca zawodu.
Ale próżne żądanie,
Gdy już nad nim śmierć stanie,
Która równy z wszystkiemi
Zrobi koniec na ziemi.
Bierze człeka jak swego:
Ni go lira, ni gody,
Ni taneczne zawody
Od jej objęć ustrzegą.

(Edyp w Kolonie staz. III. w przekł. Kaszewskiego.)

Refleksya rozstrzyga wtedy problem świata w myśl wyższości niebytu nad bytem:

„Wiedz, chcóbyś był kimkolwiek,
Że jest coś lepszego nad to — nie być!“ *)

To, co życie daje, nie zadowala potrzeb jednostki. Ponieważ tu jednostka nie wchodzi jeszcze w cały system świata, co jedynie mogłoby określić znaczenie jej życia, ale bierze się ją osobno, przeto także samo istnienie osobnika przedstawia się jako zjawisko przypadkowe, wola lub kaprys losu, obojętnie nielitosnego, lub nawet wprost wrogiego:

„Darze nieżądany, darze przypadkowy,
Żywocie, na coś ty mi dany?
Kto mię n i e p r z y j a z n ą siłą,
Z nicości do ciebie powołał,
Duszę mi napełnił bolem,
Rozum wątpliwościami wzburzył?“ **)

Co robić? Gdzie wyjście? Wnioski skrajne zalecają zupełnie uwolnienie się od nie-

*) Takie zdania głosi Bazarów, jedna z osób, występujących w znakomitej powieści p. n. „Ojcowie i dzieci“ pióra rosyjskiego poety i powieściopisarza, Jana Turgieniewa (1818—83.), przełożonej zresztą też na nasz język.

*) Wiersze Jerzego N. Gordona Byrona (czyt. Bajrona, 1788 — 1824.), twórcy poezyi światobolu (W e l t s c h m e r z); o nim i jego wpływie na wiek nasz poucza świetne dzieło 2-tomowe prof. M. Żdziechowskiego p. n. „Byron i jego wiek.“

**) Wiersze najznakomitszego poety rosyjskiego Aleksandra Puszkina (1799—1837.), znanego twórcy „Eugeniusza Oniegina“, „Borysa Godunowa i t. d.

uniknionego zła i brzemienia życia. Bardziej umiarkowane głoszą stopniowe oswobodzenie lub wyzwolenie się od rzekomych dóbr życiowych przez walki i asketyzm w tej lub owej postaci, nie wykluczając nawet oddalenia się od społeczeństwa i pustelniczego trybu życia. Królewicz Joasaf (czyli Siakia - Muni, t. j. Buddha) opuszcza dom ojcowski, wołając:

„Kochana matko moja,
Przecudna puszczo leśna,
Racz przyjąć mię, o puszczo,
Jak matka swoje dziecię!“

Trzeci punkt wyjścia stanowi apatyczne zachowanie się wobec życia rzeczywistego, bezczynność i „próżnowanie.“

Oto trzy praktyczne następstwa takiego światopoglądu. W dziejach takie pojmowanie świata znalazło najbardziej typowy wyraz swój u Hindusów, narodu mędrców *par excellence*. Ten punkt widzenia jest bardzo rozpowszechnionym nawet za naszych czasów. Nazywa się pesymizmem, (od łać. *pessimus* = najgorszy). (C. d. n.).

E. Bobrów.



Życie na wyżynach.

Napisał po żuławsku **Multatuli**.

I.

Motyl unosił się wysoko, wysoko w powietrzu. Używał swobody, cieszył się swą pięknością, a nadewszystko sprawiał mu rozkosz widok tego, co było pod nim.

„Chodźcie, chodźcie tu na górę“! zdawał się wołać ku swym braciom, którzy głęboko pod nim fruwali po kwiatach ziemi

— „Ssamy miód. Zostaniemy na dole“.

„O, bracia mili, co za rozkosz patrzyć na wszystko z góry! Chodźcie tu jeno!“

— „A czy są tam na górze także kwiaty, z którychbyśmy mogły ssać miód, potrzebny motylom do życia?“

„Widać stąd i kwiaty, a ta korzyść z nich...“

— „Ale czy jest tam na górze miód?“

Prawda miodu niebyło tam na górze. Biedny motyl, który nie chciał wrócić w dolinę, osłabł... Dobywał jednak resztek sił, ażeby się utrzymać na wyżynach. Było to bowiem niezmiernie pięknie patrzyć z góry na wszystko i obejmować wszystko jednem spojrzeniem Ale miód... miód?! Nie, miodu niebyło tam na górze! I osłabł biedny motyl! Trzepot skrzydeł jego odzywał się coraz słabiej. Spadał coraz niżej i niżej, mały jeden krąg, potem mniejszy, jeszcze mniejszy — a przecie chciał jeszcze... nie, nie mógł! Spadał.

„Aha, teraz przychodzisz!“ zawołały motyle. „A cośmy mówiły? Przychodzisz nareszcie pić miód, jak my tu na dole! Wiedziałyśmy, że tak będzie.“ Tak wołały motyle, uradowane, że miały słuszność, acz tylko z powodu braku potrzeby piękna wyżynowego „Chodź, pij miód, jak my!“

A motyl spadał coraz głębiej i głębiej... i chciał jeszcze... Zobaczył krzak okwieciony. Czy dosięgnie go jeszcze? Nie, padł! Padł obok krzaku, na drogę, w ślad koła wozowego. Tu go osieł jakiś rozdeptał.

II.

Motyl unosił się wysoko, wysoko w powietrzu. Używał swobody, cieszył się swą pięknością, a nadewszystko sprawiał mu rozkosz widok tego, co było pod nim.

Wołał na inne motyle, ażeby podleciały też w górę, ale one wzdragały się, nie chcąc porzucić miodu, którego było na dole podostatkiem. Na dolinę nie chciał wracać, bojąc się, ażeby go niezgrabny osieł nie rozdeptał. Czując zaś taksamo potrzebę miodu, jak inne motyle, poleciał na górę, porośniętą pięknem kwieciem, dla osła jednak za stromą, a więc niedostępną. Tam fruwał wesoło, zbierał miód i był wdzięcznym sokowi kwiatów, który mu oszczędził przykrego zlotu w dolinę. Spostrzegłszy zaś, że zbliża się jeden z jego braci, którzy polatywali tam w dole nad wydeptaną drogą, starał się zwrócić uwagę ich na siebie ruchem skrzydeł, jak tylko mógł. Ale nie zważano na jego znaki... Motyla na wyżynach nie widziały inne motyle, ponieważ były zajęte zbieraniem miodu w dole na nizinach i nie wiedziały, że także tam na górze rosną kwiaty!



Zadanie krwi w ustroju.

Nie znalazłbym chyba nikogo, ktoby był w kłopocie, gdyby wypadło mu odpowiedzieć na pytanie, czy widział kiedy w swojem życiu krew i jak ona wygląda. Powiedziałby najniezawodniej, że jest to płyn czerwony, czasem ciemnoczerwony, czasem jaśniejszy, nieco gęstszy od wody. A na pytanie, czy się już kiedy w swem życiu ukłuł lub skaleczył i dlaczego wówczas krew z ranki sączyła mu się tak krótko, albo nie znalazłby na to wcale odpowiedzi, alboby zapewniał, że ją wyssał i dlatego ranka mogła się zabliźnić. Pierwsza z odpowiedzi jest niezupełną, powierzchowną i niedokładną, a druga najzupełniej fałszywą.

Jakto? więc krew nie jest płynem takim, jak woda, mleko, atrament itp.? — Nie! K r e w n i e j e s t p ł y n e m w codziennem rozumieniu tego wyrazu, mimo, że się sączy, leje, że ma pozornie wszelkie własności i wygląd płynu.

Do roku 1658., tj. do czasu wynalezienia drobnowidza (mikroskopu), nikt nie wątpił, że krew jest taką, jaką przedstawia się dla oka, i nie podejrzywano nawet, iż mogłoby być inaczej. Dopiero gdy wynaleziono przyrządy, powiększające kilkaset razy przedmiot widziany, przekonano się, iż to, co dotychczas uważano za prawdę tak niezbitą, jak pewnik, że ogień piecze, nie jest nią wcale. Krew pod drobnowidzem wyglądała inaczej — zupełnie inaczej.

Oto w płynie, zupełnie przeźroczystym, prawie bezbarwnym, pływało całe mnóstwo grudek czerwonych, podłużnych, kształtu jaja, silnie spłaszczonego. Tak wyglądała krew żaby, którą zbadano najpierwej, bo w r. 1658. W trzy lata potem zbadał wielki anatom, Marceli Malpighi (czytaj: Malpigi, 1628—94.) krew ludzką i wogóle źwierząt ssących. Znalazł podobny jej wygląd, tylko owe grudki jajowate były tutaj okrągłe, bardzo silnie spłaszczone, i tworzyły długie, powyginane ruloniki, niby paciorki z drobniuchnego różańca. Tak pod drobnowidzem wyglądała krew, ta krew, którą każdy po tysiąc razy widział w swem życiu; nie podejrzywano nawet, iżby mogła być czemś innem, jak zwykłym czerwonym płynem.

Owe grudki, pływające w jasnym przeźroczystym płynie, nazwano ciałkami krwi, a płyn osoczem (plazmą). Później w miarę doskonalenia się drobnowidzów spostrzeżono inne jeszcze składniki krwi, które nazwano białemi ciałkami i płytkami czyli tabliczkami Bizzozera (czytaj: Bicocera) — od nazwiska ich odkrywcy, Juliusza B., prof. patologii ogólnej w Turynie, ur. 1846. Więc jakaż jest wielkość tych ciałek, skoro potrafiły tak długo ukryć się przed wzrokiem najbystrzejszych badaczy?

Wyobraźmy sobie wydrążoną główkę zwykłej czarnej szpilki. Otóż w niej zmieściłoby się tych ciałek około 7 milionów. Łatwiej wymówić i napisać tę liczbę, niż wyobrazić sobie tak wielką ilość ciałek, zebranych w tak małej przestrzeni. Ziarnko piasku jest wobec nich olbrzymem takim, jak Garłuch (Gerlach) wobec kretowiska.

A ileż może być tych ciałek w człowieku?

Jeżeli około 7 milionów jest ich w 1 mm^3, to gdy przyjmiemy przeciętną ilość krwi w człowieku dorosłym i zdrowym, będzie ich około 50 bilionów w jednym ustroju. Użyjmy znów porównania dla przedstawienia tej ilości. Otóż gdybyśmy mieli piasek, którego ziarnka równałyby się 1 mm^3, to wziąwszy tych ziarnek tyle, ile jest czerwonych ciałek krwi w ustroju, i usypawszy kopiec półkulisty, musielibyśmy do obejścia go zwykłym wolnym krokiem zużyć 3 k w a d r a n s ó w c z a s u.

Powierzchnia wszystkich czerwonych ciałek krwi przewyższa 24.000 razy powierzchnię całej masy krwi ustroju, zamkniętej w kulistem naczyniu, a 2.500 razy powierzchnię ciała człowieka. Powierzchnia ta, rozłożona na płaszczyźnie, zajęłaby 3.840 m^2; jest to zatem przestrzeń tak wielka, jak czwarta część lwowskiego rynku.

Cóż to wszystko znaczy? Czy to jest tylko jakiś kaprys przyrody, czyteż mają jakie przeznaczenie te czerwone ciałka krwi, których tyle bilionów krąży w naszym ustroju?

Są one wszędzie. We wielkich naczyniach krwionośnych: żyłach lub tętnicach, są w drobniutkich, włoskowatych przewodach pod skórą, w oku, języku, w naszych wnętrznościach... wszędzie.

Są tak potrzebnemi do utrzymania naszego życia, jak woda rybie, jak ziemia najniklejszej roślinie; bez nich niema życia, jak niema ciepła bez słońca.

Krew z czerwonemi ciałkami jest źródłem które dostarcza materyału odżywczego wszystkim składnikom ustroju naszego, pośredniczące w przyjmowaniu tlenu z powietrza i w oddawaniu bezwodnika kwasu węglowego. Cała czynność oddychania nie mogłaby bez nich istnieć, bo one wysysają niejako tlen z powietrza przy każdym naszym wdechu i roznoszą go w najodleglejsze zakątki naszego ciała, a oddają bezwodnik kwasu węglowego przy każdym wydechu. I to jest powód ich wielkiej ilości, a nadewszystko ich powierzchni, przenoszącej $\frac{1}{3}$ *ha*, na której odbywają

się te czynności, najniezbędniejsze dla naszego życia.

Lecz czy koniecznie potrzebną jest tak wielka masa krwi do podtrzymania naszego życia, czyteż istnieje w nas pewien jej nadmiar? Doświadczenia wykazały, że utrata $\frac{1}{3}$ całej ilości krwi jeszcze nie jest śmiertelną, ale wprowadza pewne zaburzenia, które ustają w miarę odtwarzania się (regeneracyi) jej ilości utraconej. Ustrój dąży do równowagi i odtwarza napowrót to, co stracił. Pobyt na świeżem powietrzu znacznie się przyczynia do ilości czerwonych ciałek krwi; dlatego mówimy, że na wsi nabieramy zdrowej cery. U wieśniaków ilość tych ciałek jest znacznie większą, niż u ludzi, mieszkających w mieście; dlatego pierwsi są zawsze zdrowsi od drugich i dlatego dla zdrowia wyjeżdżamy na wieś lub w góry.

Lecz to jeszcze nie wszystko, co musimy podziwiać w tym zwykłym czerwonym płynie. Są w nim inne jeszcze składniki, niemniej od pierwszych godne uwagi i podziwu. Czy widzieliście sieć pajeczą? Prawda, że tak? Prawda, że jest misterną nad wszelki wyraz, że zaledwie widocznemi są jej nitki, powiązane w tak artystyczną tkaninę? Ale to wszystko jest grubem i niezgrabnem belkowaniem wobec tego, co się znajduje w krwi. Oto cieniutkie nitki, tysiąc razy cieńsze od pajęczyny, biegną tu w różnych kierunkach, tworząc sieć większych lub mniejszych oczek, pomiędzy któremi przepływają miliony ciałek krwi w osoczu, prawie bezbarwnem. Nikłe to niteczki, widoczne tylko przy bardzo silnem powiększeniu, a mimo to tyle set razy uchroniły nas od śmierci niechybnej. Gdy się skaleczymy i krew sączy się z ranki, owe niteczki, zwane włóknikiem, ściągają się, ich sieć gęstnieje coraz bardziej, więżąc w swych oczkach ciałka krwi, wreszcie wszystko to zamienia się w masę stałą, galaretowatą, która zatyka otwór żyłki przeciętej i przeszkadza dalszemu wypływowi krwi. Mówimy wówczas, że utworzył się skrzep krwi. Gdyby nie on, krew z najmniejszej ranki sączyłaby się bez końca i nie byłoby możności zatamowania jej. No, a z krwią uciekłoby z nas życie, wszystko to zaś byłoby następstwem małej, nieznacznej ranki. Zwykła nieostrożność przy zacinaniu ołówka byłaby dla nas bezwarunkowo śmiertelną.

U różnych zwierząt krew krzepnie niejednakowo. Krew końska potrzebuje do tego 6—15 minut, krew żaby i wogóle zwierząt zimnokrwistych jeszcze dłuższego czasu, a u człowieka wystarcza 1—5 minut. W pewnych stanach chorobowych krew krzepnie bardzo powoli i wówczas wszelkie skaleczenie jest bardzo niebezpiecznem.

Oto, jak wygląda krew, ten wszystkim dobrze znany płyn, czerwony płyn, i jakie jej zadanie ustroju! *Bolesław Błażek.*

Główne metody astronomii fizycznej.

Lat temu z górą 70 tę gałąź astronomii, która zajmuje się badaniem ruchów ciał niebieskich pod wpływem siły wzajemnego przyciągania, nazywało wielu bez obawy nieporozumień „astronomią fizyczną“. Jeśli zaś dziś usłyszymy wyrażenie podobne, to przedewszystkiem przyjdzie nam na myśl inna dziedzina tej nauki, której przedmiotem jest nie oddziaływanie wzajemne ciał niebieskich, lecz przeciwnie sama przyroda ich; ta dziedzina zajmuje się ogólnym, zewnętrznym wyglądem ciała niebieskiego, budową jego powierzchni, rozmaitymi procesami, które odbywają się na niem, chemicznym składem atmosfery, warunkami obrotu jego i t. p. W tej dziedzinie posunęliśmy się o spory krok naprzód w ostatnich dziesięcioleciach, poczyniliśmy odkrycia za odkryciami, nagromadziliśmy mnóstwo faktów — jeden ciekawszy od drugiego — i tak nieznacznie dziedzina ta przekształciła się w osobną, samoistną gałąź z własnemi, oryginalnemi metodami, z zajmującymi i ważnymi wynikami.

Ażeby módz porównać z sobą i ocenić wedle słuszności te wyniki, należy poznać metody, przy których pomocy je uzyskano. A i tu trudno rozpatrywać wszystkie. Zresztą wystarczy zapoznać się z trzema głównemi: t. zw. wizualnemi (naocznemi) badaniami, t. j. badaniami dokonanemi zapomocą dalekowidzu (teleskopu), fotografią i badaniem widm (spektroskopią.)

Biorąc rzecz dziejowo, widzimy, że obie ostatnie metody rozwinęły się prawie wyłącznie w drugiej połowie wieku bieżącego, od

chwili zaś, kiedy poczęto stosować pierwszą, nie upłynęło nawet 300 lat, choć jest starszą o wiele od onych. Tak więc astronomia fizyczna nietylko w przeważnej części, nam współczesnej, lecz wogóle jest nauką świeżą. Zaledwie zaczątki jej wypadnie odnieść do początku wieku XVII., t. j. do chwili wynalezienia dalekowidzu astronomicznego. Póki człowiek spoglądał na niebo okiem nieuzbrojonem, póty mógł tylko wcale niedokładnie śledzić ruch ciał niebieskich, ale nie wiedział nic o ich fizycznych własnościach. Lecz kiedy Galileusowi (1564- 1642.) przyszła do głowy genialna myśl skierowania dalekowidzu, sporządzonego przezeń, na gwiazdy niebieskie, odrazu dokonał szeregu zajmujących badań i odkryć. Mianowicie oznajmił światu, że na słońcu są plamy, a na księżycu góry, na Wenerze spostrzegł fazy, jak u księżyca, dokoło Jowisza zobaczył satelity, które razem z tą płanetą przedstawiają jakby wzór układu słonecznego według nowych, żywych poglądów Kopernika.

A przecie dalekowidz, a raczej dalekowidze, którymi posługiwał się Galileus, były bardzo niedokładne i astronom ten widział bardzo mało w porównaniu z tem, co widzimy teraz; mimo to badania jego miały znaczenie ogromne, ponieważ wyjaśniły stosunki wzajemne części składowych układu słonecznego i odsłoniły przed światem uczonych pole do badań obszerne, do owej pory nieznane, a przecie zajmujące same przez się, a jeszcze ważniejsze dla filozofii wogóle.

Odkrycia Galileusa rysują się wypukło przed naszym wzrokiem także dlatego, że rozwój techniki dalekowidzowej postępuje bardzo żółwim krokiem, wskutek czego zdobycze astronomii fizycznej są stosunkowo niewielkie. Zaledwie z końcem w. XVIII. F. W. Herschel (1738 — 1822.) wprowadza ożywienie pewne w te badania. Zapomocą swych wielkich dalekowidzów — reflektorów odkrywa nieznaną płanetę, Uranusa, i dwa z jego satelitów, dowodzi jasno, że wiele z gwiazd podwójnych, odkrytych przezeń lub znanych już przedtem, to w istocie złożone systemy, w których składniki fizyczne złączone są razem. Herschel bada mgławice, gromady gwiazd i t. p. Przenika nawet głębie przestrzeni gwiaździstej i wzbogaca naukę wielkiemi ideami o budowie wszechświata.

Odkrycia Herschla wywołały wrażenie olbrzymie. U wielu obudziło się pragnienie samoistnego badania nieba przy pomocy większych reflektorów. Niektórzy bogacze nabywali je dla swych prywatnych obserwatoryów, ale znaczniejszych wyników nie osiągnięto tu wskutek niewygód, z jakiemi było połączone ustawienie tych narzędzi, i wskutek wielkiej niestałości źwierciadeł. Dlatego też uwaga astronomów skupiała się coraz bardziej na reflektorach, w których sporządzaniu ulepszenie znaczne rzeczy nastąpiło w drugiej połowie XVIII wieku.

Jak wiadomo, wada tego gatunku dalekowidzów polegała w zabarwianiu obrazów barwami widma, t. zw. aberacyi chromatycznej. Krystyan Huygens (czyt. Hojchens, 1629—95.), odkrywca księżyca saturnowego, kształtu Saturna, obrotu Marsa i t. d., musiał doprowadzić długość dalekowidzu do 30 stóp, ażeby otrzymać obraz możliwie czysty przy średnicy 3-calowej. Niebyło można nawet marzyć o powiększeniu siły dalekowidzu, tak zbudowanego, bo rozmiary jego nie byłyby pozwoliły na posługiwanie się nim. Dopiero angielskiemu optykowi, Janowi Dollondowi (1706—1761.) udało się uwolnić dalekowidz od zabarwiania. Zestawiając objektyw z 2 soczewek ze szkła różnogatunkowego: t. zw. flintglazu i kronglazu, sporządził kilka wybornych dalekowidzów, które przy małych rozmiarach dawały obrazy czyste. Ale powodzenie Dollonda polegało w wielkiej mierze na przypadku — udało mu się znaleźć jednolitą masę flintglazu w pewnej hucie szklanej. Gdy się jednak ten zapas szkła wyczerpał, Dollond nie potrafił wyszukać drugiej masy tak doskonałej i wszystkie następne jego dalekowidze wypadały gorzej. Tylko J. Fraunhofer (1787-1826.) rozwiązał to zadanie w zupełności przez wynalezienie pewnych sposobów odlewu i szlifowania szkieł. On też położył podwaliny szkoły, która, rozwinąwszy się i udoskonaliwszy, dała nam współczesne refraktory-olbrzymy. Znakomity refraktor dorpacki rozpoczął plejadę wybornych i dogodnych dalekowidzów, przy których pomocy wiadomości nasze o fizycznych własnościach ciał niebieskich mnożą się coraz bardziej.

Oto parę przykładów dla ilustracyi.

(C. d. n.)

K. Pakrowski.

Pogadanka.

Trudno zacząć dzisiejszą pogadankę czem innem, jak wyrazem: wakacye. Siedzi on w tej chwili na ustach wszystkich uczniów — zarówno na ustach „sztubaczka," który zaledwie wgryzł się w tajemnice obojga abecadła, jak i studenta akademickiego, sięgającego już po biret doktorski; wszyscy tęsknią już do wakacyi i oczekują ich z równą niecierpliwością, a w tym szeregu różnych stopni nauki jedni święcić będą swoje pierwsze, inni ostatnie wakacye.

„Ostatnie?" zapyta niejeden z was, przyjacieli młodzi. „Czy naprawdę w późniejszem życiu niema nigdy już wakacyi, t. zn. wypoczynku w postaci urlopów, przerwy w zajęciach urzędowych i t. p. Niewątpliwie są, ale ani tak długie, ani tak powszechne, iżby się każdemu należały już z urzędu i bez prośby; a powtóre te przerwy w pracy zawodowej to są naprawdę przeznaczone dla wypoczynku organizmów, wycieńczonych wytężającą pracą roczną, — wypoczynek zaś narzuca potrzebę pewnych ograniczeń, powiedzmy pewnej dyety, nawet wtedy, kiedy dotycząca osoba nie jest chorą, a więc „w kuracyi". Łatwo zrozumieć, że to już nie wakacye; to tylko przywilej młodości, że, znużona roczną pracą umysłową, potrafi na wakacyach wypocząć, naprawdę nie wypoczywając, wśród ruchu nawet forsownego od świtu do nocy całkiem bez dyety, jak Bóg da, choćby o chlebie i kwaśnem mleku, byleby tylko było słońce, powietrze i woda — i byleby tylko było to ciepło rodzinne, które spływa z ócz matki i ojca, z ócz rodzeństwa i dalszej rodziny, na tego syna i brata, który sobie w istocie zasłużył na wakacye. Tego uczucia już potem nie ma się nigdy na żadnych urlopach i dlatego wakacye to tylko wasz przywilej, młodzi przyjaciele!

Więc używajcie tych wolnych chwil z całą młodzieńczą zapamiętałością — o ile można — na trawie i słońcu! Bez wyrzutów sumienia zapomnijcie o aorystach i zdaniach warunkowych, o synusach i prawach agraryjnych! Gdy się wybiegacie i wzmocnicie ciało, wtedy umysł wypocząwszy sam zatęskni do dalszej nauki i wrócicie do waszych zakładów tak, jak przychodzi spragniony podróżny do ożywczej krynicy wśród oazy.

Chodzi tylko o to, czy bez szkody dla tego głównego celu wakacyi możnaby osiągnąć jeszcze jaki inny pożytek. Sądzę, że to byłoby możebne. Niektóre myśli swoje w tym kierunku wyraziłem już w zeszłorocznej pogadance powakacyjnej w której, witając was na początku nowego roku szkolnego, zapytywałem, czyście też przez wakacye myśleli o waszej macierzy duchowej, o waszej szkole, i z jakim gościńcem dla niej wróciliście. Nie chcę tu tych myśli powtarzać; kto ciekawy, niech je sobie wyszuka; zato inną rzecz chciałbym poruszyć dzisiaj i poddać myśl pożyteczną szczególnie dla tych z was, którzy będą musieli czas ten spędzić w murach miejskich.

Jest sposób podróżowania tani i dla wszystkich zdrowych dostępny, który jednak u nas poszedł już całkiem w zapomnienie, choć jeszcze w pierwszej połowie bieżącego wieku był dobrze znanym. Mam na myśli podróż pieszą; żywo sobie przypominam opowiadania o takich podróżach, które słyszałem od swego ojca i jego rówieśników. Kończyli zwyczajnie humorystycznym zwrotem: „z cwancygierem w kieszeni wyszliśmy, a przy końcu wakacyi wróciliśmy z trzema do szkoły." Jest w tem powiedzeniu z pewnością trochę przesady, a w każdym razie nie radziłbym w dzisiejszych czasach na takiej podstawie układać budżetu podróży, ale to jest rzeczą niewątpliwą, że i dzisiaj każde wrota gościnnie otworzą się przed uczniem, podróżującym pieszo, a nadewszystko, że niemasz lepszego sposobu poznania własnego kraju. Więc dla Lwowiaków i uczniów wschodniej części kraju wprasza się niemal podróż do Oleska i Podhorzec, do Tucholszczyzny lub Worochty, do Borysławia i Schodnicy; w zachodniej Galicyi zwróćcie się w Tatry i Pieniny, do Kalwaryi Zebrzydowskiej i Lanckorony, do Wieliczki i Wiśnicza, lub w nafciane obszary koło Gorlic i Krosna, w których sąsiedztwie leżą tak urocze uzdrowiska, jak Iwonicz i Rymanów! Gromadkami — po trzech, czterech najwięcej, rozejdźcie się po kraju, patrzcie i cieszcie się tem, co znajdziecie dobrego, a zapisujcie sobie w pamięci spostrzeżone braki, aby w przyszłości współpracować nad ich usunięciem, a nadewszystko nigdy w takiej podróży nie zapominajcie, żeście uczniami, bo każde uchybienie jednostki rzuca plamę na ogół!

Mieliśmy przy końcu czerwca w Galicyi gościa z dalszych stron, o którym mi nie wolno zapomnieć w dzisiejszej pogadance; był nim dr. Antoni Nyström, lekarz i słynny szwedzki uczony, historyk i ekonomista. Ale od innych uczonych świata różni się Nyström tem, że z głęboką nauką łączy wielkie serce, a żelazną siłą woli przemienia natychmiast swoje czucia i myśli w czyn. Mało jest ludzi na świecie tak szczęśliwych, którzyby już za życia mogli widzieć błogosławione skutki swej działalności; dla nas Polaków był on gościem miłym nietylko dla swej sławy i zasług, ale także dla tego serca, jakiem ukochał nasz naród i naszą historyę; gościliśmy więc nietylko wielkiego cudzoziemca, ale także wielkiego naszego przyjaciela.

Dr. Antoni Nyström jest przedewszystkiem filantropem, ale całkiem nowego stylu; znaliśmy dotąd filantropów, którzy całe, a wielkie majątki poświęcali dla dobra cierpiących bliźnich, dla otarcia bodaj jednej łzy ludzkiej; liczne instytucye i fundacye we wszystkich krajach świata cywilizowanego uwieczniają pamięć tych dobrodziejów. Nyström nie miał majątku, a jednak dał swym cierpiącym ziomkom więcej, niż wszystkie dobroczynne fundacye, bo nauczył ich przez fachowe organizacye robotnicze, oparte na odpowiednim podziale pracy i wzajemnem wspieraniu się, dążenia samodzielnego do poprawy warunków bytu; pokazał także swym ziomkom i wpoił w nich to przekonanie, że tylko drogą oświaty, coraz szerszej i głębszej, można zdo-

być polepszenie życia. Założony przez niego w r. 1880. w Sztokholmie pierwszy uniwersytet ludowy miał od razu takie powodzenie, że stał się wzorem dla wszystkich innych, które w przeciągu tych lat 20 powstały w Szwecyi i Danii; instytucya ta daje ludności, pracującej fizycznie, podwójną korzyść: oświeca ją, a przeto umożebnia znalezienie lepszego zarobku i umoralnia, bo odrywa od innych rozrywek mniej szlachetnych. Na tym wzorze oparte są także nasze uniwersytety ludowe, założone niedawno; w waszych rękach, młodzi przyjaciele, leży przyszłość tej dobroczynnej młodej instytucyi. Pracując w niej kiedyś w przyszłości, będziecie mieli sposobność, sami bez majątku, stania się dobrodziejami biedniejszych braci, bo tem różni się nowożytna dobroczynność od dawniejszej, że nie daje wprost chleba, ale wychowywa do zapracowania na chleb.

Za serdeczne i gościnne przyjęcie podziękował Nyström w czasie zebrania w Kole artystyczno-literackiem; z jego przemówienia zapiszę tu ustęp końcowy:

„Pełen jestem podziwu dla narodu polskiego, dla tego inteligentnego narodu, oddanego wiedzy i poezyi, dla tego pracowitego i stałego narodu, który ludom wolnym, a przecież nie znającym należycie rozkoszy wolności, ludom, zapominającym o tej prześladowanej Polsce, tyle dał dowodów bohaterstwa i wytrwałości. Narodowość polska nigdy nie zaginie — słynne to hasło więcej jest, niż prawdą! Polska zmartwychwstanie! Co mówię! ona już zmartwychwstała! Udowodniło to moralne jej zwycięstwo, któremu w świecie niema równego. Oby tej Polsce towarzyszyły czynne sympatye wszystkich uczciwych ludzi we wszystkich krajach! Hołd ci, o Polsko, ty szlachetna i droga Polsko, tak żądna chwalebnego wyzwolenia. Niech żyje Polska! niech żyje naród polski!“

Dzięki mu za te słowa, a cześć i chwała za czyny!

W bieżącym roku przypada 500. rocznica urodzin wynalazcy sztuki drukarskiej, Gutenberga; Niemiec z rodu stał się wynalazkiem swym także obywatelem całego świata. Brak miejsca nie pozwala mi w dzisiejszej pogadance rozszerzać się nad znaczeniem jego wynalazku, ale musiałem o nim choć wspomnieć w chwili, gdy we wszystkich krajach sposobią się do uroczystości obchodu tego święta nowożytnej cywilizacyi. *Kropka.*

Z całej Polski.

Nie każdemu wiadomo, że stolica państwa, prześladującego Polaków z barbarzyńską zaciekłością, Berlin, posiada trzydzieści stowarzyszeń polskich, liczących ogółem przeszło trzy tysiące członków. Towarzystwa te urządzają odczyty, wieczorki, przedstawienia amatorskie, wszystko zaś w tym celu, aby wychodźców polskich, rozprószonych po rozległych dzielnicach Berlina zbliżyć do siebie i chronić od wynarodowienia. Wszystkie te stowarzyszenia mają jeden wspólny komitet, który utrzymuje pomiędzy niemi łączność, a raz w rok urządza tak zwaną majówkę, w której niemal wszyscy Polacy, mieszkający w Berlinie, biorą udział. Od czasu do czasu odbywają się także nad Sprewą wiece polskie, które obradują nad sposobami walki z germanizacyą w zaborze pruskim. Przy każdych wyborach do sejmu pruskiego w Berlinie Polacy tamtejsi stawiają swojego kandydata na posła, a jest nim zawsze Polak. Wprawdzie za mało zawsze głosów pada na tego kandydata, ale nie chodzi tu tyle o wynik wyborów, ile o obliczenie sił swoich przy sposobności wyborów i o obronę zasady, że zastępcą Polaków może być tylko Polak. Do stowarzyszeń polskich w Berlinie należą przeważnie robotnicy polscy, wypierani przez Niemców z Poznańskiego. Rozumieją oni dobrze, że Polak, dorobiwszy się na obczyźnie, powinien powracać z dorobkiem do kraju, aby w nim przy pomocy doświadczenia, nabytego zagranicą, tem gorliwiej i pożyteczniej pracować.

W dniu 24. czerwca b. r. minęło lat sto od chwili, w której ujrzał światło dzienne w Poznaniu Karol Marcinkowski, jeden z najzasłużeńszych ludzi w Poznańskiem w pierwszej połowie w. XIX. Marcinkowskiemu Wielkopolska zawdzięcza, że fale germanizacyi nie zdołały jej pochłonąć; założone bowiem przezeń, a kwitnące do dziś dnia „Towarzystwo pomocy naukowej“ wychowało w ciągu długich lat swojego istnienia tysiące ludzi inteligentnych, pracowitych i wytrwałych, którzy ze skutkiem borykali się i borykają z hydrą pruskiej zawiści. Karol Marcinkowski był synem ubogiego mieszczanina poznańskiego i, wychowując się w warunkach bardzo ciężkich, zdołał zdobyć sobie wysokie stanowisko moralne w narodzie. Ukończywszy nauki w gimnazyum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu i uniwersytet w Berlinie, Marcinkowski osiadł jako lekarz w Poznaniu i rozpoczął odrazu swoją działalność filantropijną, bogatą w skutki. Od takiej pracy cichej oderwały go wypadki r. 1830. Był żołnierzem w wojsku narodowem, a przepędziwszy po

upadku powstania krótki czas zagranicą, powrócił do Poznania i podjął na nowo przerwaną działalność. Biednych leczył zawsze bezpłatnie, a znaczną część zarobku oddawał chorym ubogim, oraz na utrzymanie ubogiej uczącej się młodzieży. Przez wiele lat obsługiwał bezpłatnie szpital SS. Miłosierdzia. Nie zaniedbywał też dziedziny nauki i w r. 1833. otrzymał medal złoty w Paryżu za wskazówki o leczeniu cholery. Wspomniane „Towarzystwo pomocy naukowej“ Marcinkowski założył w r. 1834. Z funduszów, którymi je zaopatrzył, pobierało nauki wielu z młodzieży polskiej, którzy zawdzięczają wykształcenie swoje, niejednokrotnie wysokie, jedynie temu poparciu. Przemysł i handel w Poznaniu zawdzięcza także wiele Marcinkowskiemu. On to założył w Poznaniu bazar, których dziś jest punktem zbornym wszystkich Polaków, przyjeżdżających ze wsi do starej stolicy wielkopolskiej. Marcinkowski umarł w r. 1846. Pamięć jego żyje po dziś dzień wśród społeczeństwa.

Pewien lekarz w Krakowie chciał otrzymać prawo wykładania w uniwersytecie jagiellońskim czyli innemi słowy zostać docentem prywatnym na wszechnicy. W tym celu przedstawił wydziałowi lekarskiemu uniwersytetu pracę naukową, na podstawie której miał nadzieję otrzymania żądanego prawa. Tymczasem wydział lekarski nie przyjął tej pracy dlatego, że była pisaną w języku niemieckim. Wydział wyszedł ze słusznej zasady, że uczony polski, pragnący uczyć w uniwersytecie polskim, powinien pisać po polsku swe prace naukowe.

Jedna z najpoważniejszych instytucyi, mająca na oku dobro ludu wiejskiego, mianowicie Kółka rolnicze, wydała sprawozdanie ze swej całorocznej działalności. Kółka rolnicze zawiązują się po to, aby ludność rolnicza wiejska mogła w nich zastanawiać się nad sposobami lepszej, racyonalniejszej gospodarki na roli, dalej po to, aby członkowie Kółek mogli wspólnemi siłami zakupywać narzędzia rolnicze, takie, jakichby nie mógł nabyć każdy z osobna, wreszcie po to, aby tworzyć tak zwane sklepiki chrześcijańskie, broniące lud przed wyzyskiem i dostarczające ludowi niezbędnych towarów za cenę możliwie najniższą. Jest takich Kółek w Galicyji prawie 1300 tak, że stanowią dzisiaj potężną organizacyę, przynoszącą ludowi duże korzyści. Zarząd główny wszystkich we Lwowie, dbały o postęp rolnictwa, rozsyła po wsiach nauczycieli wędrownych, którzy wyjaśniają członkom Kółek sposoby lepszego gospodarowania. Tensam zarząd zakupuje i dostarcza Kółkom wyborowych nasion zarówno zbóż, jak i roślin pastewnych, albotéż ułatwia ich nabywanie. Nadto aby uchronić lud od lichwy, stanowiącej zmorę włościaństwa w Galicyi, zarząd zakłada przy Kółkach kasy pożyczkowe, dostarczające taniego kredytu. Usiłowania te Zarządu głównego znajdują poparcie Sejmu i Wydziału krajowego, oraz rządu, udzielającego Kółkom w razie potrzeby pomocy moralnej, a nawet materyalnej. O tę ostatnią mniej tu chodzi, jest bowiem zasadniczem zadaniem Kółek wytworzenie wśród ludu poczucia potrzeby samopomocy, t. j. liczenia na własne siły i łączenia się dla wzajemnego wspierania się i wspólnego zdobywania dobrobytu. Dbają też Kółka rolnicze niemało o oświatę ludu. Przy każdem niemal Kółku istnieje czytelnia, zasobna w książki i pisma, będące dźwignią oświaty. W trosce o czytelnie wspierają Zarząd główny Kółek rolniczych istniejące w kraju towarzystwa oświaty ludowej. Te ostatnie dostarczają Kółkom książek różnej treści, podczas gdy sam Zarząd główny stara się przedewszystkiem o książki rolnicze, uważając, że jego zadaniem jest popierać ten kierunek oświaty. Pismo miesięczne p. n. Przewodnik Kółek rolniczych przynosi Kółkom wiadomości o czynnościach Zarządu głównego, lub zarządów powiatowych, a zawiera także zajmujące artykuły fachowe i ważne informacye zawodowe.

Corocznie odbywa się zjazd delegatów wszystkich Kółek, który obraduje nad sprawami, obchodzącemi równo wszystkie Kółka. Tegoroczny zjazd odbył się w lipcu w Łańcucie. Przyjmuje on do wiadomości sprawozdanie Zarządu głównego, wybiera nowych jego członków i wskazuje mu, co w działalności swej ma poprawić, zmienić lub uzupełnić. W ostatnich czasach powstała myśl zakładania po wsiach pomocniczych urzędów pocztowych takich, którychby nie prowadził urzędnik, ale któryś z zaufanych mieszkańców wsi. Otóż pragną zajęcie to, nie wymagające zbyt wiele czasu, powierzyć kierownikom sklepików chrześcijańskich.

Sejm krajowy galicyjski ma się zebrać we Lwowie w ciągu września b. r. Przedmiotem obrad Sejmu będzie ustawa o podwyższeniu na rzecz wydatków krajowych podatku od spirytusu. Sprawa ta jest wielkiej doniosłości. Sejm ponosi ogromne wydatki na drogi i szpitale, przedewszystkiem zaś na szkoły ludowe i zawodowe w kraju, potrzeba mu więc na pokrycie tych wydatków coraz to nowych źródeł dochodów, aby nie dojść do t. zw. niedoboru budżetowego, t. j. niemożności czynienia tych koniecznych wydatków, które są niezbędne dla należytej gospodarki krajowej. Wspomniane podwyższenie podatku od spirytusu ma niedoborowi na ciąg lat kilku stanowczo zapobiedz.

Jest, wedle doniesienia dzienników, nadzieja, że w ciągu dwu latach najbliższych wojsko, któremu oddano w Krakowie na koszary zamek królewski, ustąpi z Wawelu do nowych koszar, które kraj wybuduje własnym kosztem, a zamek królewski zostanie urządzony tak, jak powinna wyglądać dawna rezydencya królów wielkiego narodu.

Rektorem wszechnicy lwowskiej na rok 1900/1 wybrano prof. wydziału teologicznego, ks. dra Józefa Bilczewskiego. Ks. Bilczewski jest autorem licznych studyów z zakresu starożytności chrześcijańskich. Rektorem uniwerzytetu ,agiellońskiego na r. 1900/1 został profesor wydziału lekarskiego, dr. Maryan Jakubowski. *K. L. W.*



Rozmaitości.

„Wpływ wszechnicy na kraj w wieku XV.“, którego odbitkę podaliśmy w nrze 11. na str. 125., stanowi 9-ty z Matejkowskich szkiców, przedstawiających „Dzieje cywilizacyi w Polsce“. Mury t. zw. *Collegium maius*, ostrołukowego gmachu wszechnicy krakowskiej, zapełnili uczeni na tle stall i wkoło pulpitów, dźwigających różne księgi. Dwie postaci przykuwają do siebie odrazu uwagę naszą. Z jednej strony kardynał Zbigniew Oleśnicki. z drugiej uczony Mikołaj Kopernik. Dostojnik Kościoła położył rękę na księdze (ma to być filozofia Arystotelesa), a przy nim stanął głośny kaznodzieja i pogromca heretyków, mnich Jan Kapistran; widocznie w obojgu szuka obrony przeciw nowinkarzom, nadciągającym z Zachodu pod wodzą husyty, mistrza Hieronima z Pragi. Kto wie, czem grożą te nowinki! Wszak jest między nimi i bakałarz Michał z Wielunia, który studyuje z zapałem Cycerona, Owidyusa — słowem klasyków i zwie siebie humanistą. A przy nim bawi się bryłą złota Jan Polak, o którym utrzymują, jako był za morzem w krajach, nieznanych starożytnym. A czyż to możliwe? Przecie Strabon, Ptolemajos i inni opisali świat cały — niema nic poza znanym ziemiokręgiem!

Z drugiej strony — jakby chciał poprzeć wieści, rozsiewane o Janie, — Kopernik w zapale wykłada swój układ wszechświata przeciwptolemajosowy. U stóp jego rozsiadł się przy globusie profesor jego, głośny Wojciech Blar z Brudzewa. Cuda, które prawi Kopernik, jakoś nie znajdują wiary wśród swoich — natomiast wsłuchani w nie śpieszą z obcych stron na dziedziniec wszechnicy mistrze, pionierowie nowych rządów, wyczuwając w polskim astronomie pokrewnego im ducha.

Przestrzeń między Oleśnickim a Kopernikiem zajęli profesorowie wszechnicy, oraz wybitni myśliciele ówcześni, jak n p. dziejopisarz Jan Długosz, usadowiony naprzeciw kardynała, jak mąż stanu Ostroróg, jak arcybiskup lwowski, Grzegorz z Sanoka i w. i. Z kąta wygląda ku nam rozmodlony św Jan Kanty na tle ołtarza Maryackiego, ukończonego właśnie przez Stwosza.

Całej tej różnorodnej masie ludzi uczonych wszech kierunków i artystów przyglądają się ze schodów ciekawie żacy. W nich nadzieja, że bój, który toczy się między dwoma kierunkami, rozstrzygnie się na rzecz nowego, na rzecz postępu.

Dom zdrowia dla młodzieży szkół średnich w Zakopanem. Pewien *Przyjaciel młodzieży* jak sam się nazywa, rzucił świeżo w krakowskim „Czasie“ (nr. 171.) myśl założenia domu, w którymby uczniowie szkół średnich mogli znajdywać odpoczynek i pokrzepiać siły, nadwątlone pracą szkolną. Że myśl to poczciwa i godna poparcia, ani słowa. Czy jednak wykonalna? Na to odpowiada wnioskodawca obliczeniem następującem. Ponieważ młodzież szkół średnich liczy u nas około 20.000 głów, więc gdyby tylko połowa jej (10.000) składała co tydzień po 2 *h*, zebrałoby się w ciągu 10 miesięcy (40 tygodni) 8.000 *K*. Za tę sumę może mieć utrzymanie co najmniej 150 uczni przez 50 dni w budynku, na którego wystawienie złożyć się powinno społeczeństwo całe. Powołanie uczniów do składek takich na rzecz chorych kolegów nie napotkałoby na trudności ze strony Rady szkolnej krajowej, która zapewne pozwoli na zbieranie składek ku temu celowi, ponieważ zasada samopomocy nietylko jest jedynie godną ludzkich stosunków, lecz zarazem musi podnieść młodzież etycznie. Witając myśl zacną radośnie, będziemy mieli jej wprowadzenie w życie na oku i sami ze swej strony będziemy się starali współdziałać w tym kierunku.

Obszar ziemi niezbadany. Znany geograf, A. Supan, dokonał niedawno obliczenia obszarów podbiegunowych, niezbadanych jeszcze. Wynika

z niego, że znajomość półkuli południowej z końcem w. XIX. odpowiada znajomości, jaką osiągnięto już z końcem XVI. w. dla północnej. Dzięki Nansenowi dotarliśmy na północy do 86° 14' szer. geogr. na południu Ross dotarł do 78° 10', obecnie wyprawa belgijska posunęła się aż do 81-go stopnia sz. geogr. Obszar zaś nieznany okolic podbiegunowych obejmuje na północy jeszcze 5 milionów km², na południu aż 21·4, t. zn. z jednej strony pozostaje do zbadania przestrzeń, odpowiadająca Rosyi europ., z drugiej przeszło dwa razy tyle, ile wynosi obszar całej Europy.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 111. W czem Chińczycy wyprzedzili Europę (zdobycze kulturalne i cywilizacyjne, wynalazki itd.)?

Nr. 112. Do jakiej kategoryi języków należy język chiński?

Nr. 113. Którzy Polacy odznaczyli się od czasów najdawniejszych jako podróżnicy?

Nr. 114. Skąd pochodzi nazwa: kaptur (sądy kapturowe itd.)?

Nr. 115. Kto pierwszy zwrócił uwagę na powaby i zalety klimatyczne Zakopanego?

Nr. 116. Skąd pochodzą wyrażenia turysta i turystyka, jakie cele i korzyści drugiej?

Nr. 117. Jakie mamy sposoby techniki malarskiej i na czem one polegają?

Nr. 118. Kto pierwszy robił w Krakowie systematyczne spostrzeżenia astronomiczne?

Nr. 119. Którzy Polacy pierwsi rozpowszechniali sztukę drukarską zagranicą i gdzie?

Nr. 120. Kto drukował pierwsze książki w Polsce, jakie i kiedy?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: Komorowskiego „Wspomnienia z czasów w. ks. Konstantego“, Ruskina „Krzak dzikiej oliwy“, Dyakowskiego „Wędrówki zwierząt i roślin“ i Muira „Świat zjawisk chemicznych“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 28. sierpnia b. r. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 106—110.

Nr. 106. Kronika (łac. *chronica-orum* z greckiego *chronikós*, *chrónos* = czasowy, czas) nazwa dzieł, w których podaje się pewne zdarzenia z życia jednostek, miast, państw lub narodów w porządku następstwa czasowego (czyli chronologicznym). W rozwoju dziejopisarstwa drugi stopień po rocznikach.

Nr. 107. Długosza wyprzedziły kroniki: Gala-Anonima (do r. 1113.), błog. Wincentego Kadłubka (do r. 1202.), Baszka (do r. 1272.), i Janka z Czarnkowa (od r. 1333. do 1384.).

Nr. 108. Najznakomitsi dziejopisarze: starożytni: Herodotos Tukidydes, Polibios, Sallustius, Tacytus; nowożytni: franc. Duruy, Fustel de Coulanges, Guizot, Mignet, Monod, Rambaud, Sorel, Taine, Thierry, Thiers, Tocqueville; ang. i amer. Bancroft, Buckle, Draper, Freeman, Gibbon, Grote, Lecky Macaulay; niem. Curtius, Duncker, Mommsen, Niebuhr Ranke, Schlosser, Sybel, Treitschke; ros. Karamzyn, Kariejew, Sołowiew; czes. Jireczek, Palacki, Tomek; pol. Naruszewicz, Lelewel, Bielowski, Szajnocha, Szujski, Kalinka, A. Pawiński (1840—96.), T. Korzon (ur. 1839.), T. Wojciechowski.

Nr. 109. Akademia było to pierwotnie miejsce ćwiczeń cielesnych (t. zw. gimnazyum) pod Atenami, założone na gruncie, czyto poświęconym półbogowi tamtejszemu Akademosowi, czyteż — jak inni twierdzą — darowanym miastu przez obywatela tegoż imienia. Mędrzec Platon obrał sobie to gimnazyum na miejsce wykładów swych i stąd zwolennicy jego filozofii zwali się akademikami. Z czasem nazwę akademii przybrały zakłady naukowe, zwłaszcza poświęcone pewnym działom, i stowarzyszenia naukowe (prw. akademia handlowa, Akademia umiejętności itd.).

Nr. 110. Speleologia (z gr. *spélajon* = jaskinia) jestto nauka o powstawaniu, kształtowaniu się itd. jaskiń.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 28. z. m

(wszystkie) Auditor (znakomicie), Bednarowski, Stamm, (106—9) Masiuk; (106—8, 110), Bloch; (106—8) Woroszyński; (107—9) Cetnarski, W. Prajer, L. Prajerówną; (106, 109) Sokalski; (106) Galvani; (109) Wiktor (wybornie).

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Woroszyński (Bąkowskiego „Dzieje wszechnicy krakowskiej“) i Prajer (Conna „Świat drobnoustrojów“).

Krzyż magiczny.

	A	A	A		
E	E	E	K	K	1.
K	K	N	P	P	2.
R	R	S	S	Y	3.
	Y	Z	Z		

Znaczenie wyrazów: 1. pamiętnikarz polski, 2. poeta polski, 3. poeta czeski.

Logogryf.

ai, ań, bud, ca, ec, er, fra, jam, je, la, le, le, ła, ng, ni, nkf, om, or, rok, ski, ski, sła, ssi, sy, urt, wa, wel, wi, za, zi. zis, zy, zyn, żwi.

Z tych głosek należy złożyć 10 wyrazów, których głoski środkowe dałyby nazwisko powieściopisarza polskiego.

Znaczenie wyrazów: 1) miasto nad Odrą, 2) naczelnik w powstaniu 1863. r., 3) wyspa na Atlantyku, 4) poeta niemiecki, 5) dzieło Reja, 6) poeta polski, 7) skarbiec pamiątek narodowych polskich, 8) rzeka, 9) poeta polski, 10) miasto pamiętne pokojem z Niemcami 1018 r.

Ułożył *B. Pordes.*

Rozwiązanie łamigłówki z nru 12.

Znaczenie wyrazów: 1. J, 2. Zan, 3. Radom, 4. Ankwicz, 5. Karpiński, 6. Vicesgerens, 7. Żacy krakowscy, 8. Bruno Kiciński, 9. Pieśni Janusza, 10. Wyprawa po żonę, 11. Sługa grobów, 12. Kraśiński, 13. Lelewel, 14. Wołyń, 15. Cło, 16. O — razem: Jadwiga i Jagiełło.

Trafne rozwiązania nadesłali do 28. z. m.:

Bednarowski, Masiuk, Woroszyński.

Skrzynka pocztowa redakcyi.

Wynik konkursu II. podamy do wiadomości dopiero w nrze 15., ponieważ komisya nie ukończyła oceny prac nadesłanych.

A. C. Książeczki Ptaśnika cena 50 hellerów. *Alf.* Według podania podział dnia na 12 godzin pochodzi od bajecznego mędrca Trismegistosa, w rzeczywistości jednak jest wynikiem dwunastkowego układu liczbowego, który niegdyś był bardzo rozpowszechnionym i dziś jeszcze zachował się w tuzinie, kopie (5×12), 12 miesiącach itd. — *Cef.* Trudno odpowiedzieć na pytanie, postawione tak ogólnikowo: który element najlepszy? Wszystko bowiem zależy od celu, do którego jest potrzebny. I tak w pracowniach naukowych do doświadczeń używa się zwykle elementów butelkowych (Bunsena, Leclanchégo, Daniella), do dzwonków elektr. elementów systemu Gassnera l. Lalande'a, do poruszania małych motorów elementów dwuchromianowych (Bunsena, Lalande'a), do przyrządów przenośnych nadają się najlepiej elementy suche Marié-Davyego. *Chciwy wiedzy.* Geografowie i astronomowie dlatego przemawiają za południkiem ferrońskim, że ta linia sferyczna oddziela obie półkule ziemskie najidealniej, t. zn. najmniej lądu przecina, bo najczęściej pada na morze To usuwa niedogodność, połączoną z południkami greenwich'skim (czyt. grynnicz) i paryskim, odróżniania w jednym kraju dwu długości: wschodniej i zachodniej. *Chinofil.* Taku = wielka zatoka, albowiem *ta taj* w chińskim znaczy: wielki (prw. nazwę stronnictwa politycznego Tajpin = wielki pokój); Tyencyn = bród niebieski. *Jehuda.* Wyr. Jerozolima jest przejęty z greckiego Hierosolyma, co jest przekręcenie hebr. Jeruszalajim, to znaczy przybytek pokoju. *K. L.* Odległość burzy oblicza się najprościej przez pomnożenie ilości sekund, które upłynęły od ukazania się błyskawicy aż do grzmotu (pokaże je wskazówka sekundowa na zegarku), liczbą 330 m. *Syr.* Ażeby kwiaty przy zasuszaniu nie straciły barwy, należy je wkładać między papier jedwabisty i klejoną watę i zasuszać szybko przy wysokiej ciepłocie. *Vietor.* Cieszą nas wyrazy prawdziwie przyjazne. Adres wskazano administracyi. *Waluś.* Dla braciszka młodszego odpowiedniemi są czasopisma: „Mały światek“, „Wiek młody“, wydawane we Lwowie, lub „Szkółka domowa“, tygodnik, wychodzący w Poznaniu (adres: Piekary, 7. cena ćwierćrocznie 2 *k.* 40 *h.*), w Galicyi za mało znany, choć zasługiwa na poparcie jak najgorętsze. *Zan.* Wskazówki co do wyboru dzieł poetycznych i prozaicznych, godnych poznania, znaleźć będzie można w „Kalendarzyku studenckim“ na r. szk. 1900|1., który wyjdzie niebawem.

OD ADMINISTRACYI.

Prosimy uprzejmie o przesłanie zaległej przedpłaty za III. kwartał.

☞ Upraszamy P. T. Przedpłacicieli o podanie dokładnych adresów, pod którymi nr. 15. i następne należy wysyłać. ☜

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nr. 13—14 (podwójnego): Do Czytelników. — Przyjaciele aż do grobu, powiastka chińska. — ***, Listy z podróży na Wschód daleki (z 5 ryć.). — *K. M. Górski*, Z teki podróżnej (wiersz). — *A. Winiarz*, O sejmach w Polsce, III. (z ryć. J. Matejki). *Miriam*, Z „Sonetów samotnika“ (wiersz). — *Fr. Krczek*, Czarnohora — Zakopane (z 7 ryć.). — *B. Gubrynowicz*, H. Sienkiewicz (C. d.). — *W. Seidlitz*, Barwy w malarstwie. — *E. Bobrów*, Rozmaite typy światopoglądu etycznego, III. — *Multatuli*, Życie na wyżynach. — *B. Błażek*, Zadanie krwi w ustroju. — *M. Pakrowski*, Główne metody astronomii fizycznej. — *Kropka*, Pogadanka. — *K. L. W.*, Z całej Polski. — Rozmaitości, zagadnienia naukowe, łamigłówki, skrzynka pocztowa Redakcyi i administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pl Bernardyński 7.

We Lwowie w sierpniu 1900.



Rok II.

Nr. 15. i 16.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Cena numeru niniejszego 60 h.

Ażeby mieć wolę, trzeba mieć jasny cel przed sobą.

J. I. Kraszewski.

Przyjaciele aż do grobu.

Oryginalna powiastka chińska.

(Dokończenie).

Jankioge znosił cierpliwie zimno i mróz i dobił wreszcie, napół wygłodzony, do królestwa cuskiego, gdzie przyjęto go uprzejmie w gospodzie. Nazajutrz wszedłszy do miasta, zapytał pewnego obywatela: „Książę cuskie wezwało na dwór swój ludzi uczonych, do kogóż trzeba udać się w tej sprawie?“ — „Obok pałacu“ — odrzekł zapytany — „urządzono salon dla gości, gdzie radca I. klasy, Peiczun, przyjmuje uczonych rodaków“.

Udał się więc do sali przyjęć i wstąpił w próg domu właśnie, gdy Peiczun wysiadał z powozu. Jankioge zbliżył się i złożył ukłon. Peiczun poznał zaraz, że Jankioge przewyższa wszystkich innych ludzi uczonością, aczkolwiek był przyodziany szatą grubą i potarganą. Toteż odpowiedział natychmiast na pozdrowienie ukłonem i rzekł: „Skąd przybywa znakomity uczony?“ — „Twój najniższy sługa“, brzmiała odpowiedź, „zwie się Jankioge, a urodził się w Junczauie. Na wieść o tem, że wysoki rząd królewski przyzywa uczonych, przyszedł z zamiarem ofiarowania swych usług.“

Peiczun, wprowadziwszy go do sali gościnnej, podał mu wina i jadeł. Noc spędził Jankioge tutaj, a nazajutrz Peiczun przyszedł i zadawał mu pytania, aby się przekonać o jego wiedzy. Jankioge odpowiedział na pytania, mówiąc płynnie jak rzeka. Peiczun był nadzwyczaj zadowolonym i zdał o wszystkiem sprawę władcy, który też udzielił posłuchania Jankiogemu, ażeby go zapytać, jakimi środkami możnaby podnieść dobrobyt kraju i pomnożyć jego potęgę. Jankioge przedłożył zaraz dziesięć wniosków, zupełnie odpowiednich do warunków i stanu kraju. Król ucieszył się niezmiernie i urządził na jego cześć

festyn królewski, zarazem zamianował go radcą II. klasy i darował mu 100 uncyi złota i tyleż łokci różnobarwnego jedwabiu. Jankioge złożył ponownie ukłon i łzy mu popłynęły z oczu. Juenwan zapytał bardzo zdziwiony: „Dlaczego Ekscelencya tak smutny?“ Jankioge na to odpowiedział królowi szczegółowo, jak Copitau pozbawił się ubrania i dał mu swe zasoby na drogę.

Usłyszawszy to król doznał wielkiego wzruszenia, a radcy I. klasy wyrazili swe głębokie współczucie. „Czego więc życzy sobie Ekscelencya?“ zapytała jego król. mość. — „Twój minister prosi o wczas“, — odrzecze Jankioge, „aby mógł się udać w drogę celem pogrzebania zwłok Copitaua; potem wróci, ażeby służyć wielkiemu królowi“.

Juenwan udzielił zmarłemu Copitauowi godności radcy II. klasy, zapłacił mu pogrzeb i wyprawił ludzi, ażeby towarzyszyli powozowi Jankiogego piechotą.

Jankioge pożegnał władcę i udał się szybko ku pagórkom liańskim, szukając wydrążonej morwy. Tu znalazł zwłoki Copitaua w stanie, w jakim je opuścił; twarz nieboszczyka wyglądała jak za życia. Jankioge ukłonił się i zapłakał, następnie zawołał towarzyszy i polecił im, ażeby zwołali starszych pomiędzy obywatelami miejscowymi, bo chce na grób wybrać miejsce odpowiednie przy źródle Putanu. Miejsce wybrane z przodu sterczało nad wielką rzeką, tyłem opierało się o wysoką ścianę góry, z prawa i z lewa otaczały je szczyty górskie. Położenie wspaniałe. Omyto zwłoki Copitaua wonną wodą, przywdziano w szatę i włożono na głowę nieboszczyka kapelusz radcy II. klasy. Następnie złożono ciało w podwójnej trumnie i pogrzebano w milczeniu. Z czteru stron wyżłobiono rowy, a całość otoczono ścianą z gliny palonej. Zasadzono też w pobliżu drzewa, a na 30 kroków od grobu zbudowano kapliczkę, w której postawiono posąg Copitaua z gliny palonej. Kaplicę uwieńczono kwiatami, a nad bramą przybito zwykłą tablicę z imieniem nieboszczyka. Na boku wystawiono też małą izdebkę z cegły i uproszono obywatelstwo miejscowe, ażeby ją utrzymywało w porządku i czuwało nad nią. Skoro tylko ukończono budowę, złożono przepisaną ofiarę. Smutek uczestników był niezmierny; wszyscy starsi gminy i ich towarzysze rozpływali się w łzach.

Jankioge spędził tę noc przy zapalonych lampach, nieustannie płacząc i wzdychając. Naraz zawiał wiatr, kręcąc się w wirze szalonym i wyjąc, a wszystkie lampy zgasły. Gdy je zapalono znowu, zobaczył w cieniu postać, widocznie wahającą się, czy powinna zbliżyć się, czy też oddalić, i wzdychającą głęboko. Jankioge zawołał: „Kto tu? Kto się waży tak gwałtownie i tak późno wpadać do tej komnaty?“ Nikt nie odpowiadał. Wtedy wstał, a gdy obejrzał się dokoła, poznał, że to był Copitau.

Jankioge zawołał bardzo zdziwiony: „W tem coś musi być, że cień brata mego nie udał się w strony dalekie, lecz przyszedł mię odwiedzić!“

Copitau odpowiedział: „Dziękuję bratu za troskliwą pamięć o mnie, za to, że zaraz na początku swego odznaczenia wystąpił z prośbą, aby mógł mię pogrzebać. Wydał wiele i ustroił mnię godnie. Piękność trumny i giezło śmiertelne są bez zarzutu. Szkoda tylko, że grób mój znajduje się bardzo blizko grobu Kinki. Człowiek ten za życia urządził powstanie przeciw królowi cyńskiemu i utracił w niem żywot. Kauc'hienli, litując się nad jego zwłokami, tu je pogrzebał. Nieboszczyk jednak postępuje sobie bardzo butnie i gwałtownie; co noc przychodzi z mieczem i obsypuje mię obelgami: „Żebraku zmarzły i wygłodzony, jak śmiesz tu się sprowadzać i leżeć na mych biodrach? Chcesz mię może wyprzeć z mego stanowiska? Jeżeli się nie zabierzesz stąd dobrowolnie, rozryję ci grób, zwłoki twe wydobędę i wyrzucę na torfowisko!“ Tak nagabywany przezeń przychodzę do młodszego brata z prośbą, ażeby mi usłał grób gdzie indziej i usunął grożące niebezpieczeństwo.“

Jankioge chciał zadać parę pytań, ale wicher zerwał się ponownie i cień znikł. Jankioge rozejrzał się zdziwiony wielce po komnacie; wszystko mu znów stanęło żywo przed oczyma, wprawdzie jakby we śnie, ale przecie zupełnie jasno.

Nazajutrz rano przywołał najstarszych w gminie i zapytał ich, czy tu gdzie w pobliżu znajduje się grób jaki. Odpowiedzieli mu, że jest tu w cieniu sosny grób Kinki, a przed nim stoi świątynia przodków. „Ten

człowiek", rzekł na to Jankioge, „poległ w nieudałem powstaniu, które wywołał przeciw władcy cyńskiemu; jakim sposobem przyszedł do takiego grobu?" — „Kau'chienli, obywatel tutejszy," odpowiedzieli starsi, „usłyszawszy o klęsce Kinki i porzuceniu jego ciała na torfowisku, wykradł zwłoki i pogrzebał je na tem miejscu, a ponieważ dusza jego należała do sławnych, okoliczni mieszkańcy wystawili mu świątynię i składają w niej ofiarę czteru pór roku, ażeby zapewnić mu mir i szczęście".

Usłyszawszy to, Jankioge uwierzył w swe widzenie, udał się na czele swego towarzystwa do świątyni Kinki i, stanąwszy przed jego posągiem, począł go lżyć: „Ty prostaku z państwa jeńskiego, utrzymanku pretendenta, który cię przywiązał do siebie głośną odaliską i hojnem wynagrodzeniem, a wykorzystawszy twą chytrość i knując złe plany, posłał do państwa cyńskiego, ażebyś tam wywołał bunt, tuś znalazł grób swój i wniwecz obróciły się twoje nadzieje owładnięcia tronem! Przyszedłeś tu i zwiodłeś dokoła lud, tak, że przychodzą tu i składają ci ofiary. Brat mój starszy, Copitau, należy do najsłynniejszych urzędników państwowych doby obecnej, bo był mędrcem dobrej myśli, sprawiedliwym, bez skazy. Jakże więc śmiesz mu grozić? Jeżeli mi się to powtórzy raz jeszcze, to zburzę twą świątynię, rozryję twój grobowiec, korzenie i latorośle potnę raz na zawsze." Skończywszy groźną przemowę, udał się do grobu Copitaua, pomodlił się i rzekł: „Jeżeliby Kinko powrócił tej nocy, uwiadom mnie o tem!"

W nocy nie kazał gasić świateł — i czuwał. I rzeczywiście ujrzał Copitaua, który odezwał się wzdychając: „Dziękuję bratu za to, co uczynił; ale Kinko ma wielu zwolenników i cały lud okoliczny składa mu ofiary; brat mój niech każe sporządzić żołnierzy wypchanych z tataraku i trzciny, ubrać ich w barwne szaty, włożyć im do rąk broń i spalić ich przed grobem! Oni nie dozwolą Kince ubliżać mi nadal." To rzekłszy, znikł.

Jankioge najął następnej nocy ludzi, którzy mu wypchali żołnierzy i ubrali ich w barwne szaty, a opatrzywszy każdego mieczem i łukiem, postawił kilkadziesiąt ich przed grobem i spalił. Następnie odmawiając modlitwę ofiarną, rzekł: „Gdyby i to nie skutkowało, proszę o uwiadomienie mnie o tem" i powrócił do świątyni.

Następnej nocy słychać było szum wichru i deszczu, jak gdyby wojsko walczyło. Jankioge udał się do kaplicy i ujrzał Copitaua, który przyszedłszy, doń, rzekł: „Wypchani ludzie, których brat mój spalił, nic nie pomogli; Kinko zapewnił sobie pomoc Kauc'hienlego i lada chwila wyrzucą moje zwłoki z grobu, jeżeli brat mój nie zabierze ich i nie pochowa gdzieingziej. Mam nadzieję, że uczyni to i uchroni zwłoki me od takiej hańby!"

— „Jak śmie ten nędznik," zawołał Jankioge, „ubliżać memu starszemu bratu? Pójdę ja do niego z mieczem!"

„Brat mój", brzmiała odpowiedź, „jest człowiekiem świata słonecznego, a myśmy cienie. Żywy człowiek może wprawdzie mieć dość odwagi i siły do zwycięstwa nad światem ziemskim, ale jak będzie walczył z cieniami? Wszak nawet fałszywi żołnierze nie zdołali owego mocarza pokonać, choć odpędzali go groźnymi okrzyki!"

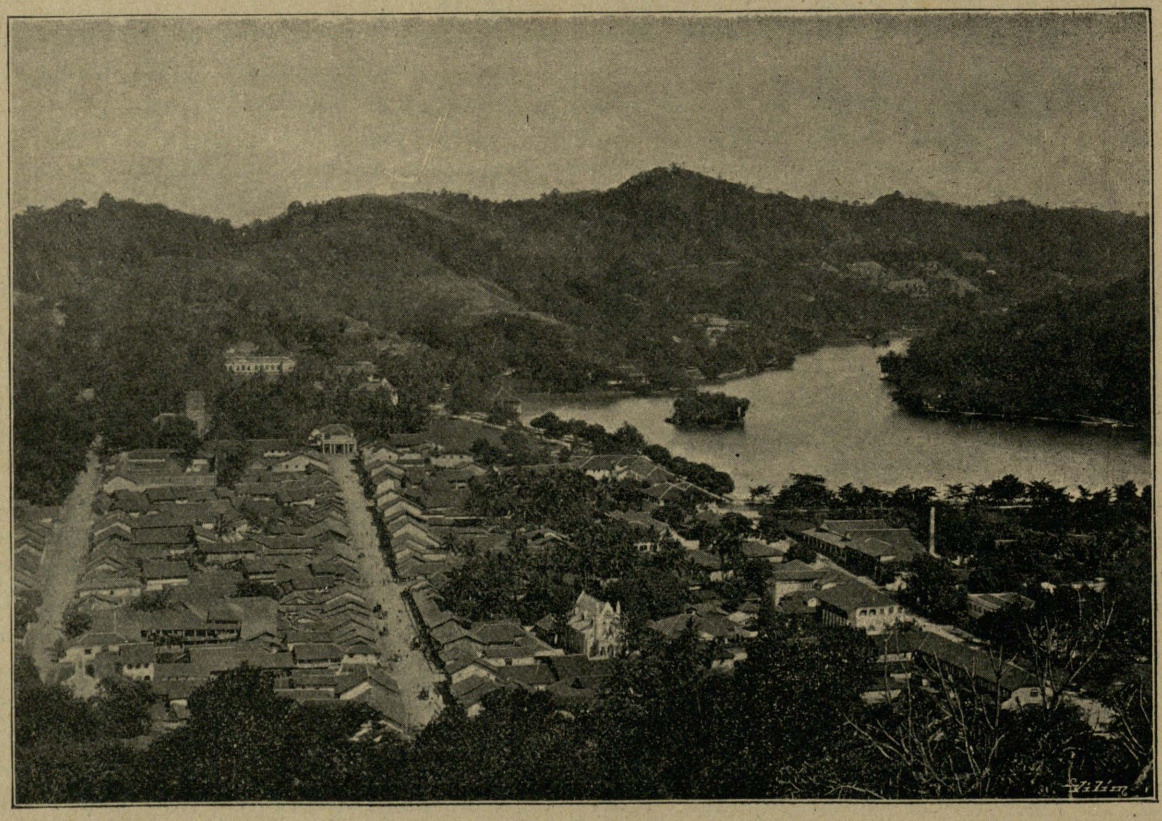
— „Idź już na spoczynek, bracie", rzekł Jankioge, „od jutra zaiste nikt cię nie będzie niepokoił."

Nazajutrz rano Jankioge udał się znów do świątyni Kinki i, nałżywszy go należycie, rozbił jego posąg i chciał podpalić świątynię, ale starsi z gminy prosili go bardzo, ażeby tego zaniechał, mówiąc: „Jest to ołtarz ofiarny całej gminy; gdybyś go zniszczył, boimy się że wielkie nieszczęście spotkałoby lud cały." Wkrótce też wszyscy mieszkańcy zbiegli się i poczęli mu czynić przedstawienia. Wskutek tego nie mógł upierać się przy swym zamiarze i wrócił do kaplicy. Następnie napisał list do króla cuskiego takiej treści: „Niegdyś Copitau oddał Twemu ministrowi zasoby swe i tak ocalił mu życie, dawszy mu sposobność zbliżenia się do swego świętego pana i mistrza, który raczył go wznieść ku sobie, nadawszy mu wysoką godność — to wystarczy na całe życie! Pozwól teraz Swemu ministrowi, ażeby spełnił swe obowiązki dopiero w późniejszym wieku i ofiarował swe serce na odpłacenie dobrego uczynku dobrym!"

Słowa to były bardzo stanowcze. List oddał swym towarzyszom, a potem, wstąpiwszy do grobowca Copitaua, przemówił śród łez:

„Brat mój nie może znaleźć pokoju, bo go prześladuje potężny duch Kinki. Tego nie mogę znieść. Chciałem spalić świątynię i grób rozburzyć, ale nie mogę odmawiać prośbie ludu okolicznego. Wolę więc umrzeć, ażebym, przemieniony w ducha dziewięciu źródeł, mógł pomódz bratu memu w walce z potężnymi duchy. Trupa mego pochowajcie po prawej stronie tego grobu, abyśmy, jak za życia, tak i po śmierci byli razem! Wszelkiemi siłami pragnę wynagrodzić nieboszczykowi przyjaźń, którą mię zaszczycił. roztrzaskany piorunem, i nagie kości rozprószyły się po torfowisku. Jodłę u grobu wyrwało z korzeniem, a ze świątyni buchnął naraz płomień. Najstarsi w gminie, zdziwieni niepomiernie, udali się do grobów Copitaua i Jankiogego, zapalili na nich kadzidła i złożyli przed oboma pokłon.

Drużyna wróciła do królestwa cuskiego i opowiedziała władcy wszystko. Juenwan w uznaniu zasług swego ministra posłał wysokiego urzędnika, ażeby wybudował przed grobem świątynię nieboszczyków. Jankiogego



Widok Kandy (p. str. 186.).

Wróciwszy do domu, oddajcie list mój władcy cuskiemu i powiedźcie mu, że go proszę, ażeby ciągle ulepszał pagórki i rzeki i przez to czcił bogi ziemskie i bogi płodów ziemskich.“ To rzekłszy, przebił się sztyletem. Drużyna pogrzebała go obok grobu Copitaua.

Następnej nocy lunął deszcz wielki i zerwał się wicher gwałtowny. Na wiele *li* dokoła było słychać wrzawę, jakoby wojenną, a gromy i błyskawice mnożyły się z każdą chwilą. Wierzchołek grobowca pękł, jakby mianował radcą I. klasy. Świątynię nazwano świątynią sprawiedliwości i wierności stosownie do dokumentu fundacyjnego. Nadto sporządzono tablicę, na której opisano całe zdarzenie. Podziśdzień nie wygasają tam ofiary wonne. Dusza zaś Kinki poszła drogą zatraceńców, aczkolwiek mieszkańcy tamtejszej gminy nie przestają składać ofiary czteru pór roku za jej zbawienie.

LISTY
z podróży na Wschód daleki.

(Ciąg dalszy).

Z Adenu płyniemy prostą drogą do Kolomba (Colombo) na Cejlonie. Czas pogodny; tylko w pobliżu wysp Lakedywskich doznawaliśmy przez dwa dni silniejszego poruszenia morza. Fale szły wysoko, a statek rzucał się jak opętany. Nareszcie zawijamy szczęśliwie do Kolomba, głównego portu, do którego zawija każdy okręt, płynący do Chin lub Japonii, ażeby uzupełnić zapas węgla i żywności. Zaraz na wstępie uderzył nas miło obraz długo niewidzianej zieloności, wspaniałych lasów palmowych, których podczas całej dotychczasowej podróży nie spotykaliśmy. Dotychczas patrzyliśmy głównie na pustynie, które wprawdzie imponują, ale nie dorównują cudom roślinności podzwrotnikowej. Pierwszego dnia nie były nieba na nas łaskawe, deszcz lał jak z cebra; tem piękniejsze były dni następne, szczególnie dzień wigilijny, który spędziłem tu wśród świeżej zieloności przy 30°C, przenosząc się na skrzydłach wyobraźni pod rodzinną strzechę do naszej kochanej, acz mroźnej Galicyi i marząc o barszczyku, którego tu nikt nie poda, a smakowałby i wśród upałów...



Palma talipotowa (p. str. 187.).

Rozejrzałem się w przystani. Między wielu innymi widzę także statki Lloyda z Tryestu, kilka statków wojennych, płynących do Chin, Japonii i Australii. Szczególnie zwrócił na siebe moją uwagę zgrabny

yacht*) żaglowy *Tolna*, własność hr. Festeticsa. Magnat ten węgierski podobnie, jak nasz wielce zasłużony K. hr. Lanckoroński, którego zbiory w pałacu rozdolskim żywo stanęły mi przed oczyma, zdobywa po świecie skarby dla swojej ojczyzny i właśnie w powrocie z Japonii zatrzymał się w Kolombie.

Nazajutrz w sam dzień Narodzenia Pańskiego pojechałem koleją do Kandy (czyt. Kendi), stolicy Cejlonu, położonej mniej więcej w centrum wyspy, przeszło 1000 *m* nad powierzchnią morza, wśród zachwycającej, prawdziwie podzwrotnikowej roślinności.

Droga z Kolomba do Kandy prowadzi najpierw przez rozległą równinę nadbrzeżną, wśród bagnistych pól ryżowych, na których uwija się mnóstwo srebrzystych czapli królewskich i innego ptactwa wodnego, wśród lasów palmowych, słowem wśród bujnej zieloności, o jakiej my mieszkańcy północy nie mamy pojęcia. Potem wspina się pociąg coraz bardziej w górę po serpentynie, przypominającej Semmering, przelatuje ponad przepaściami, w które spojrzawszy dostaje się prawie zawrotu głowy, omija plantacye kawy i herbaty, grupy bananów i palm kokosowych, wpadając ze świstem z tunelu w tunel. Nareszcie przyjeżdżamy do Kandy. Na dworcu oczekiwa nas służba hotelowa z *The Queen's Hotel*. Wsiadamy do powozu i po 2 minutach stajemy przed bramą ładnego hotelu, który ma gościć nas przez 2 dni pobytu. Właściciel hotelu, Wiedeńczyk, p. Kaden, przyjął nas z otwartemi rękami, ułatwił wszelkie wycieczki celem zwiedzenia rzeczy ciekawych, a przedewszystkiem policzył tak nie wiele, że na każdego z nas wypadło wraz z napiwkiem tylko po funcie szterlingów.



Oracze syngalscy (p. str. 188.).

Po *lunchu**) pojechaliśmy do botanicznego ogrodu w Paradeny, nader ciekawego, gdyż zawiera wszelkie rośliny podzwrotnikowe, umiejętnie i malowniczo ugrupowane. Podziwiałem tam piękne okazy drzewa chinowego (*Cinchona*), chlebowca (*Artocarpus*), bananu (*Musa*), kauczukowca (*Siphonia*); palm najrozmaitszych; przeniósłbym je, choćby wszystkie, do cieplarni krakowskiego ogrodu botanicznego, który jako studencik na spacerach po ogrodzie podziwiałem, a dzisiaj jako dzieło prawdziwie umiejętne niestrudzonego profe-

*) Po ang. yacht (czyt. jot) = lekki żaglowiec lub parowiec o 1. lub 2. masztach, z wysoką rufą. (*P. R.*)

*) Lunch (ang. czyt. lencz) odpowiada naszemu t. zw. drugiemu śniadaniu o 12. godz. (*P. R.*)

sora J. Rostafińskiego pojmuję i oceniam. Rosną też tam ogromne drzewiaste paprocie, trzciny cukrowe i bambusy obok mnóstwa innych roślin podzwrotnikowych; z pomiędzy nich wymienię jeszcze ogromne okazy gatunku czułka (*Mimosa pudica*), którego listki, zamykające się przy najlżejszem dotknięciu, przypomniały mi słowa ojca, że taką powinna być dusza człowieka, czułą na dotknięcia niewłaściwe i zamykającą się przed niemi. Nabyłem kilka fotografii różnych roślin ogrodu, nadto zdjąłem sam parę, gdyż są to bardzo ciekawe rzeczy. W drodze do Kandy widziałem palmę, zwaną *talipot* (*Corypha umbraculifera*), która tylko co 50 lat kwitnie*). Gdyśmy przejeżdżali, była właśnie w rozkwicie, co zaliczam do bardzo miłych wspomnień.

W powrocie z ogrodu botanicznego zwiedziliśmy świątynię Buddhy, wprawdzie niewielką, ale najsławniejszą w Indyach, gdyż kryje w sobie ząb Buddhy. Ciekawa budowa. Ładne rzeźby na drzewie i freski przypominają nieco malowidła bizantyńskie; straszne twarze, powykrzywiane członki, patrzą ze zczerniałych ścian na zwiedzajacego świątynię. W sanktuaryach są piękne majolikowe posadzki i odrzwia, wykładane wspaniałymi kamieniami i srebrem. Wszędzie posągi i posążki Buddhy i szafki z posążkami wotywnymi. Świątynia przesycona wonią kwiecia, gdyż tylko kwiaty składają w ofierze; kwiaty polewaja nadto wonnymi olejkami i klęcząc podają na małych talerzykach bonzom, którzy je po wielu ceremoniach składają na ołtarzu. Byłem świadkiem całego obrzędu w porze wieczornej. Fantastyczne oświetlenie łojówkami i kagankami, odurzający zapach kwiatów i ciemne twarze Syngalów niezwykłe na mnie przynajmniej wywarły wrażenie. Nabożeństwo rozpoczyna trzykrotne bicie w wielki gong i granie na piszczałkach. Skoro kapłani oznajmią, że Buddha przyjął ofiarę, zgromadzona gmina rozpoczyna dziki taniec i wydaje przeraźliwe okrzyki.



Chata syngalska (p. str. 188.).

Zwiedziłem także bibliotekę świątyni. Są tam święte księgi buddhystów, spisane na liściach pewnego gatunku palmy, bardzo pięknie oprawione w drewniane okładki, bogato rzeźbione i wysadzane. Pokazywano nam również przybory do pisania, t. j. żelazny rylec i czarny barwik, którym zapuszczają wyryte znaki. Oprócz tych ksiąg znajdują się także

*) Nazwa poch. z indyjsk. *talpat* = parasol, jakoż wachlarzowatych liści tego drzewa używają zamiast parasola, co spowodowało też romańskie jego nazwy *palmier*, *parasol*, *arbol de sombreiros* i łacińską przydawkę (cienista — *umbraculifera*). (*P. R.*)

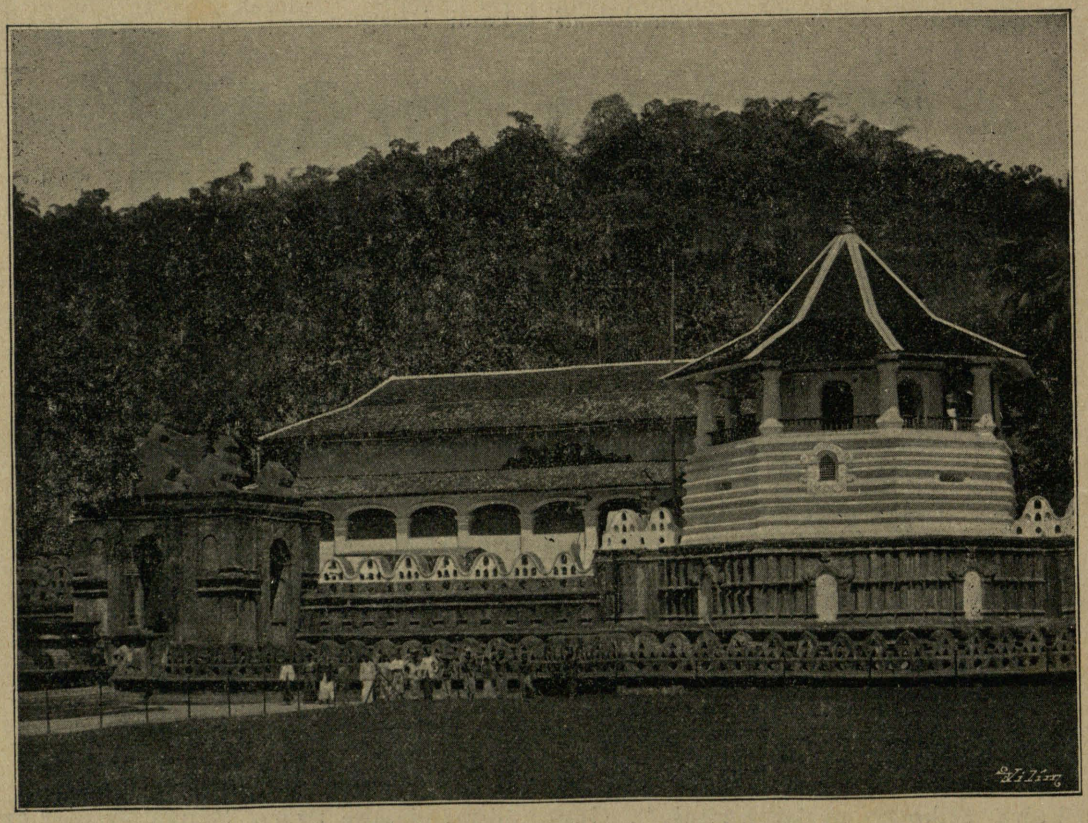
wszelkie ich tłumaczenia na języki europejskie. Bonzowie (kapłani) pilnują ich i przechowują księgi.

Obok świątyni pokazywano nam kaplicę indyjską, w której przechowują odcisk „stopy Adama". Jest to płyta jaspisowa, z prostokątnem zagłębieniem długości około 60 *cm.*, na którego jednym końcu 5 małych zagłębień przedstawia niby 5 palców.

Nazajutrz pojechaliśmy oglądać okolicę z wysokości gór, otaczających Kandyę. Zachwycony byłem tak samym rozległym widokiem, jak bujną i śliczną roślinnością, i dopiero zrozumiałem, dlaczego niektórzy widzą w Cejlonie ów raj, w którym przebywali pierwsi ludzie.

Ludność Kandy składa się z Syngalów i Tamilów; oba szczepy są bardzo inteligentne. Syngalowie są oddawna mieszkańcami Cejlonu*), Tamilowie zaś dopiero później przybyli tu z Indyi i podbili tamtych. Można tu dostać tak samo, jak w Kolombie, bardzo pięknych wyrobów krajowych z miedzi, mosiądzu, hebanu i kości słoniowej Zdarzyło mi się nabyć stary kindżał syngalski z rękojeścią, bardzo pięknie rzeźbioną, i dwie stare tacki mosiężne — na większej z nich płaskorzeźba w stylu indyjskim przedstawia procesyę buddhystyczną. Jako ładne cacka nabyłem także dwa małe słonie, rzeźbione w hebanie i kości słoniowej. (C. d. n.)

* * *



Maligawa, świątynia zębu Buddhy na Cejlonie (p. str. 187.).

*) Szan. autor widocznie nie miał sposobności poznania krajowców cejlońskich, Weddów, którzy w liczbie około 2000 głów żyją we wschodniej połaci wyspy między 7—9° szer. półn. i 81—82° dług. wsch. w stanie niemal zupełnie pierwotnym, unikając stosunków z innymi szczepami (*P. R.*)

Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego

(z mapą).

Wstęp.

Wielkopolska, kolebka państwa polskiego, jest obecnie prowincyą monarchii pruskiej pod nazwą W. Księstwa Poznańskiego

Nazwę tę otrzymała na kongresie wiedeńskim w r. 1815., a wraz z nią prawa, poręczone traktatami, pod którymi królowie pruscy dostali ją w swe posiadanie. Już dawniej przy pierwszym podziale Polski w r. 1772. zabrali Prusacy polskie Prusy Królewskie, teraz Zachodniemi zwane, prócz Gdańska i Torunia, które zostały wtedy jeszcze przy Polsce, zabrali fakże Warmię (Ermland) i północną część Wielkopolski, t. zw. obwód nadnotecki. Przy następnych rozbiorach w latach 1793. i 1795. zabrały Prusy resztę Wielkopolski i cały kraj polski aż po Bug i Niemen. W r. 1806. Napoleon I., pobiwszy Prusaków pod Jeną, utworzył W. Ks. Warszawskie, w którego skład wchodziła także cała Wielkopolska. Z upadkiem Napoleona przestało istnieć W. Ks. Warszawskie, a Wielkopolskę przyłączono znowu do Prus pod warunkami, w traktatach wiedeńskich zawartymi, obecnie jednak puszczonymi w niepamięć.

W. Ks. Poznańskie obejmuje $525^3/_4$ mil² (29.951 km²) i ma przeszło 1,800.000 mieszk. Największą rozciągłość ma z północy na południe (około 35 mil). Podzielone jest na 2 obwody rejencyjne cz. departamenty: poznański i bydgoski. Pierwszy dzieli się na 28, drugi na 14 powiatów. Obszar jego równa się $^1/_{11}$ obszaru królestwa pruskiego, a $^1/_{18}$ cesarstwa niemieckiego.

W. Ks. Poznańskie jest częścią wielkiej równiny sarmackiej, tylko w północnej jego części nad Notecią ciągną się od Koronowa i Bydgoszczy aż ku Czarnkowu niewielkie pagórki; podobnie nad śląską granicą. Przecięciowo leży 66 m ponad powierzchnią morza; niektóre tylko punkty dochodzą do 200 *m* i może nieco wyżej. Główne rzeki: Warta, Noteć, Obra i Wełna, płyną na zachód. Tylko Brda płynie z północy na południe, a Wisła, która płynie w przeciwnym kierunku, w małej tylko rozciągłości dotyka granic Poznańskiego. Mnóstwo jezior urozmaica ten kraik i czyni go bardzo powabnym. Największem jeziorem jest Gopło, które przechodzi do Królestwa Polskiego i ma 5 mil długości Nad niem stoi prastara stolica Piastów, Kruświca, z myszą wieżą.

W. Ks. Poznańskie było niegdyś dnem morskiem; o tem świadczą znajdujące się w ziemi skamieniałości morskich żwierząt, jakoteż bursztyn. Ziemia napływowa ubogą jest w kopaliny. Węgla kamiennego niema wcale, miejscami jest tylko brunatny. Soli dostarczają solanki inowrocławskie. Znachodzą się także wapno, kamień, zwany piaskowcem, kwarzec, łupek i błyszcz. Błota nadnoteckie zawierają wielkie pokłady torfu. Ziemia przeważnie zdatna pod uprawę zboża. Tylko na północy i południu ciągną się znaczne przestrzenie ziemi piaszczystej. Gdzieniegdzie znajdują się jeszcze bagna nad Wartą, Notecią, Obrą i Baryczą.

Klimat umiarkowany, a przecięciowa ciepłota w roku wynosi 7—8° C. Lato bywa gorące i suche; podczas zimy mroźnej pada wiele śniegu, który naprzemian to marznie, to taje. Przymrozki ranne trwają do połowy maja, a czasem zdarzają się jeszcze później. Klimat ten jednak służy uprawie zboża, mniej sprzyja sadom owocowym i winnicom. (C. d. n.)

Mikołaj Lenau*).

Niagara.

Jak młodości sen uroczy,
Jako blaski zórz pogodne,
Niagara prąd swój toczy
Między bory pierworodne.

Tak spokojnie cieką fale,
Że w źwierciedle czystych wód
Las odbija się wspaniale
I gwiaździstych nocy cud.

Tak spokojnie fale cieką,
Że wędrowiec śród tej ciszy
O mil wiele gdzieś daleko
Wodospadu szumy słyszy.

Lecz gdy bliżej się przysuwa
Do spiętrzonych progu skał,
Rzeka spad już swój przeczuwa,
Już ją dziki chwyta szał.

*) Dnia 22. b. m. minęło pół wieku od śmierci nieszczęśliwego poety niemieckiego, Mikołaja Lenaua (właść. M. Niembsch v. Strehlenau, ur. 13. sierpnia 1802. w Csadacie na Węgrzech). Wierszem powyższym chcieliśmy przypomnieć go czytelnikom polskim, którym zresztą mało jest znanym, bo prócz paru przekładow wierszy drobnych (p. Pajgerta, Ilnicką i Mirjama) nie posiadamy żadnego z większych jego dzieł w tłumaczeniu (Faust, Sawonarola, Albigenzi). Jedynie prof. M Zdziechowskiemu zawdzięczamy piękną, choć krótką monografię o Lenauie (w *Przeglądzie polskim* 1892/3 kw. III. s 513—550).

O wdzięk ziemi już nie pyta,
O blask niebios nie dba wcale,
Piękność kształtów ich rozbita
Już w stłuczonym wód krysztale.

Tak się rzeka rwie i miota,
Za fal kłębem goni kłąb
Jakby rwała ją tęsknota,
Prędzej w straszną runąć głąb.

Tak się dziko w bezdeń ciska,
Że z daleka wprzód słyszany
Szum jej prądów głuchnie z blizka,
Bo zbyt głośno grzmią bałwany.

Tak kto do upadku kroczy,
Słuch wytęża darmo już,
Ale z dala duch proroczy
Gromy przyszłych słyszał burz.

Tłum. *A. Pajgert.*

O języku chińskim.

(Z niemieckiego).

Język chiński jest językiem mongolskim; jako taki jest spokrewniony z tureckim i węgierskim i należy wraz z tybeckim, syamskim i birmańskim do rodziny języków indochińskich. Jest to jeden z najstarszych języków ziemi naszej, a piśmiennictwo jego sięga w zabytkach, zachowanych dodziśdnia, aż trzeciego tysiąclecia przed Chrystusem.

Zasadą języka tego jest jednozgłoskowość, każdy wyraz osnowny (tematowy) składa się ze spółgłoski początkowej, samogłoski i nosówki (*n, ng*). Wobec tego nie byłby doszedł ten język do większej liczby pierwiastków nad 500, co może wystarczyć ludowi, żyjącemu w stanie pierwotnej dzikości, ale nie narodowi, wysoce ucywilizowanemu, gdyby nie postarał się o pomnożenie jej innym sposobem. Chińczycy pomogli sobie przyciskiem (akcentem) i iloczasem. I tak w narzeczu, panującem powszechnie na północy, a zwanem (pek) kwán hwá, rozróżnia się czworaki sposób wymowy: wysokie i długie jā, nizkie i długie jâ, pytajne jà? i potwierdzające já! W narzeczu nân (kwān) hwá przybywa jeszcze piąty, mianowicie krótkie jă!!. Tem narzeczem mówią też urzędnicy (kwān) w całem państwie chińskiem i nosi ono zwykle mylną zresztą nazwę „narzecza mandaryńskiego“. Najpospoliciej autorowie gramatyk chińskich, przeznaczonych dla Europejczyków, biorą je za podstawę, ponieważ jest najbardziej przejrzystem w budowie i nastręcza najmniej trudności co do wymowy. Ale nietylko uczeni synologowie europejscy posługują się niem najchętniej, także każdy wykształcony Chińczyk włada niem zupełnie biegle.

Im dalej na południe Chin idziemy, tem więcej spotykamy różnorodności co do przycisku i iloczasu, tak że w narzeczu kantońskiem (Kwantun) znajdujemy aż 8 ich odcieni, mianowicie stopnie wysoki i nizki każdego z 4 sposobów wymowy, (równego, pytającego, potwierdzającego i krótkiego) — jā jâ jà j̆ā (?), já j̆á (!) j̆ă j̆ā (!!). Nadto narzecze to posiada większy zasób wyrazów i wskutek tego wymaga czulszego ucha i lepszej pamięci.

Powiedziano wyżej, że osnowy chińskich wyrazów są jednozgłoskowe; nie należy jednak wnosić z tego, żeby można wyrażać wszystkie pojęcia li jedną zgłoską. Pominąwszy bowiem tę okoliczność, że i ten język musi wyrażać wiele pojęć rzeczownikami złożonymi tak, jak europejskie języki, rozwinął się w codziennem użyciu tak, że nietylko może tworzyć formy gramatyczne zapomocą pewnych przedrostków i końcówek, lecz także posiada obfitość wyrażeń o dwu i więcej zgłoskach, które ułatwiają zrozumienie języka tego niepomiernie.

Budowa gramatyczna języka chińskiego jest prostą i jasną; toteż łatwo można przyswoić sobie pierwsze jego zasady. Najważniejszymi są należyty przycisk i szyk wyrazów w zdaniu. Od nich bowiem zawisło zrozumienie języka, a trudniej jest pochwycić odcienie, pod tym względem zachodzące w mowie osób innych, niż samemu używać należytego przycisku i szyku. Tu wielce przydadzą się zasady muzyki każdemu Europejczykowi.

O odmianach przycisku już była mowa. Wypada pomówić o szyku zdaniowym. Oto prawidła jego: 1) w zdaniu pojedyńczem — przymiotnik, podmiot, orzeczenie, przedmiot, 2) w zdaniu rozwiniętem — miejscownik, dopełniacz, podmiot, narzędnik lub odpowiedni przysłówek (wzgl. słowo posiłkowe), celownik, biernik (wzgl. słowo posiłkowe). A więc wszystkie te części mowy, kóre określają bliżej jakąkolwiek część zdania, stoją przed nią. Przymiotnik zawsze przed rzeczownikiem (np. haù žîn, dobry człowiek), dopełniacz przed mianownikiem, od którego zawisł (czūn kwok žîn, mieszkaniec Państwa Środka).

Ten sam wyraz przed przeczownikiem ma znaczenie przymiotnika, po nim przysłówka (haù žîn lâj, dobry człowiek przybywa, žîn haù sjè, człowiek pisze dobrze), a często ze zmianą przycisku stać się może słowem (žîn haú thā, człowiek kocha go). Przymiotnik może nadto otrzymać przyrostek tik. zwłaszcza przymiotnik dwuzgłoskowy, a nawet musi go mieć, jeśli jest orzeczeniem (jitkò haùtik žîn, dobry człowiek, jitkò žîn szí haùtik, człowiek jest dobrym). Liczebniki i partykuły, służące do określenia liczby (numerativa), poprzedzają również rzeczownik. Słowa natomiast następują zwykle po podmiocie i są w mowie codziennej najczęściej złożone. Najczęstszem jest złożenie ze słowem tà = bić, (tàhū = chrapać, tàtí kichać, tàhù przewracać koziołki czyli dosłownie: bić tygrysa).

Język chiński nie ma ani odmiany słowa, ani odmiany imion; obie zastępuje tak język potoczny, jakoteż piśmienny, mnóstwem przyczepek, n. p. oznacza przedrostek kó wraz z przedrostkiem cy itp. rzeczownikowe użycie danego wyrazu w narzeczu północnem (jitku njicý, dziewczę). Rodzajów gramatycznych i rodzajników Chińczyk nie rozróżnia. Czas teraźniejszy nie posiada cechy odrębnej, przeszły wyraża się przedrostkami kīn lub jeù, albo też przyrostkiem ljaù, przyszły przedewszystkiem jaù, rzadziej hwèj.

Przesądy o niepodobieństwie należytego wyuczenia się po chińsku, bajki o tem, jakoby potrzeba na to aż 10 lat itp., powstały z niezrozumienia okoliczności następujących: Co innego jest pismo, co innego język literacki, co innego wreszcie potoczna mowa chińska. Dwie są metody nauczenia się po chińsku: 1) umiejętna, a zarazem bynajmniej nietrudna i niedługa, wychodząca od języka literackiego (kùwên), przez piśmiennictwo współczesne (szíwên) prowadząca do mowy potocznej, albo 2) praktyczna i najpewniejsza, wychodząca od mowy codzienej pewnego narzecza — najlepiej nankińskiego, którego można się nauczyć za rok, a które stanowi pewną podstawę przy uczeniu się innych narzeczy, — uwieńczona zaś poznaniem języka literackiego, niezbędnego do należytego zrozumienia mowy ludowej. Że język literacki (piśmienny) nie jest identyczny z pismem chińskiem, dowodzi ta okoliczność, iż można wyrazić w piśmie znakiem osobnym każdy wyraz mowy potocznej, natomiast język literacki posiada wiele wyrażeń, zupełnie niezrozumiałych dla ludu pospolitego. więc nie wystarcza do porozumienia się z niewykształconym Chińczykiem. Rozmowa z obywatelem państwa chińskiego przedstawia nadto jeszcze jedną trudność. Trzeba poznać cały szereg zwrotów, które czynią, zdaniem Chińczyka, mowę wykwintną i świadczą o wykształceniu osoby, ich używającej, oraz przestrzegać w obcowaniu z Chińczykami pewnych form, t. zw. etykiety, jeśli nie chce się uchodzić za barbarzyńca. Że to są często w naszem pojęciu dziwactwa, rzecz wiadoma każdemu, kto czytał już nie znakomite „Szkice chińskie“ Gilesa (czyt. Dżajls), ale choćby jakikolwiek opis podróży po Chinach.

Na końcu wspominamy o podręcznikach najprzystępniejszych do poznania języka chińskiego. Są nimi: Jerzego Gabelentza „Chinesische Grammatik“ i „Anfangsgründe der chinesischen Grammatik“ (według metody umiejętnej) i C. Kainza „Praktische Grammatik der chinesischen Sprache für den Unterricht“ (w zbiorze Hartlebenowskim „Die Kunst der Polyglottie“ t. 29, cena 2·20 *k.*).



Główne metody astronomii fizycznej.

(Ciąg dalszy).

Gdy Galileus zwrócił swój dalekowidz na Saturna, nie zrozumiał jego kształtu i był skłonnym do przypuszczenia, że jest to złożony system trzech planet. Później zbiło go zupełnie z pantałyku zniknięcie jego obręczy, której rzeczywiście nie widzimy, gdy ziemia przechodzi przez jego płaszczyznę. Zupełnie inaczej wyglądają rysunki Saturna za naszych czasów, choćby n. p. astronoma Truvelowa w Waszyngtonie lub E. E. Barnarda z obserwatoryum Licka (na górze Hamiltonie w Kalifornii). Wprawdzie na kręgu Saturna nawet teraz nie widać nic szczególnego, prócz pasów matowych i oddzielnych plam niekiedy, jednak obręcze przedstawiają się oku naszemu w pełnym blasku, z niezwykłą jasnością ich budowy.

Dziś zbadano powierzchnię Marsa dzięki pracom J. W. Schiaparellego (ur. 1835., dyrektora obserwatoryum medyolańskiego) i in-

nych tak szczegółowo, że zestawiono nawet jej mapy. Widzimy na kręgu tej płanety plamy biegunowe, zmieniające swą wielkość w różnych porach roku, widzimy mniej lub więcej jasno ciemne i świetlane przestrzenie o kształcie określonym i w ogóle stałym — niby morza, zatoki, wyspy, kanały.

Bystre oko Schiaparellego zauważyło na powierzchni Merkurego plamy o kształtach określonych i domyślił się po ich położeniu, że ta płaneta obraca się dokoła swej osi w takim samym przeciągu czasu, jakiego potrzebuje do przebiegu swej kolei naokoło słońca, t. zn. 88 dni — fakt bardzo ważny i zajmujący.

Niemożna też pominąć milczeniem klasycznej pracy słynnego badacza księżyca (selenografa) Jana Fryd. Jul. Schmidta, (ur. 1815, dyr. obserwat. ateńsk.), która dotyczy powierzchni księżyca. Na jego mapie, obejmującej 33.000 kraterów, znajdujemy najdrobniejsze nawet szczegóły, pomiędzy którymi zachodzi nieraz odległość zaledwie 250—300 *m.* Wprawdzie mogą tu zachodzić pewne niedokładności, jak w każdem dziele rąk ludzkich, mimoto staranność pracy, która pochłonęła 34 lata badań, daje rękojmię wielkiej wartości tej mapy.

Wypada jeszcze wspomnieć o odkryciu piątego satelity Jowisza, dokonanem przez Barnarda 9. września r. 1892. przy pomocy 36-calowego refraktora obserwatoryum Licka...

Astronom posługiwa się dalekowidzem dlatego, ażeby zobaczyć kształt, budowę ciała niebieskiego i ubarwienie różnych części jego powierzchni. Ale nie zadowala się tylko patrzeniem. Ważną rzeczą jest sprowadzenie wszystkiego do pewnej miary, ściśle określonej. Dlatego zwykle dalekowidz astronomiczny zaopatrują podczas badań mikrometrem — przyrządem, zapomocą którego można wymierzyć przedmiot badany tak samo, jak jego położenie w stosunku do innego.

Zobaczmy teraz, co fotografia nam daje!

Oko nasze jest zewnątrz zupełnie takim samym przyrządem, jak ciemnia (*camera obscura*), ale jego siatkówka zachowywa się inaczej wobec światła, jak płyta fotograficzna. Dla oka napięcie światła ma największe znaczenie, podczas gdy płycie chodzi o jakość jego.

Oko widzi tylko przedmioty dość jasne, płyta zaś wydobywa na jaw nawet słabsze, byle je zdejmowano przez czas dłuższy. Jak kropla po kropli, padając na skałę, wydrąża w niej dołek, tak promienie światła, wychodzące nawet ze słabego źródła, pozostawiają ślad po sobie na płycie fotograficznej, jeśli padają na jeden i tensam punkt na niej.

Ta właściwość płyty — polegająca na skupianiu oddziaływań promieni świetlnych — ma dla nas znaczenie ogromne. Dzięki jej w r 1885. bracia Henryowie w Paryżu zauważyli, fotografując Plejady, dokoła jednej z jasnych gwiazd tej gromady słabą, spiralną mgławicę. O istnieniu tej mgławicy nie wiedziano przedtem wcale, może i dziś nie wiedzielibyśmy o niej również, gdyby fotografia nie była znalazła zastosowania w astronomii. Wprawdzie już w 3 miesiące po tem odkryciu ujrzano tę mgławicę przez olbrzymi refraktor pułkowiański *), następnie zaś zobaczono ją nawet przez słabsze dalekowidze, jednak co innego — zobaczyć przedmiot, już pokazany. Późniejsze fotografie wyprowadziły na jaśnię parę innych mgławic w Plejadach, pozostających w związku bezpośrednim z jasnemi gwiazdami tej gromady, a to rzecz istotnie ważna dla hipotez o powstawaniu światów.

Fotografia rozstrzygnęła sporną kwestyę o spiralnej budowie znanej mgławicy w konstelacyi, zapisanej w katalogu J. Herschla pod l. 3572. Teraz posiadamy przepiękne zdjęcia tej mgławicy, dokonane zapomocą wcale niepoczesnego przyrządu, ale zwoje spiralne występują na na nich jaśniej, dokładniej, niż w największych dalekowidzach. U niektórych mgławic stwierdzono ponownie podobną budowę spiralną. I tak n. p. na przecudnych fotografiach amatora Robertsa widać z uderzającą wyrazistością, że mgławica Andromedy składa się z szeregu obręczy współśrodkowych, okrążających jasny punkt środkowy — coś na wzór Saturna z jego obręczami —, a to odkrycie zupełnie zmieniło nasze zapatrywania na budowę dalekiego systemu gwiazd, który przedstawia nam mgławica Andromedy.

Większe jeszcze usługi wyświadcza fotografia astronomii obecnie w badaniu komet. Małe, t. zw. dalekowidzowe komety

*) Pułkowa — góra pod Petersburgiem; na niej główne obserwatoryum rosyjskie.

przedstawiają się w dalekowidzu zwykle jako drobne masy mgławiczne, rzadko kiedy tylko ze śladami ogona. Przeciwnie na zdjęciach fotograficznych bardzo często przekonywamy się, że taki ogon w rzeczywistości ciągnie się wcale pokaźnie. Tym sposobem fotografia umożliwia nam zebranie obfitego materyału o kierunkach ogonów komet, o szczegółach ich budowy, rozkładzie światła, a to posłuży do wyjaśnienia warunków ich tworzenia się, procesów rozkładu komet, oraz sił, wywołujących te procesy. (C. d. n.).

K. Pakrowski.

Z całej Polski.

Na wolnej ziemi Szwajcarów, gdzie cywilizacya, rzekomo wspólna wszystkim ludom Europy środkowej, najbardziej wsiąkła w dusze ludzkie, podnosząc je i uszlachetniając, istnieje zakątek, który bez przesady można nazwać polskim, zupełnie polskim, niezależnym od któregokolwiek z rządów zaborczych i niepotrzebującym liczyć się z żadnym z nich. Zakątkiem tym jest miasteczko Rapperswyl nad jeziorem zurychskiem, ściślej zaś mówiąc „Muzeum narodowe polskie“, znajdujące się w tem miasteczku. Mieści się ono w starym zamku Habsburgów, stanowiącym własność gminy miasta i przez nią wydzierżawionym Zarządowi Muzeum za skromną kwotę 200 franków (188 kor.) rocznie. Założył to Muzeum w dobrej myśli weteran z r. 1830/1 Władysław hr. Plater († 1889). Celem założyciela było zgromadzenie tego wszystkiego, co znajdowało się cennego do dziejów Polski na wychodźtwie, zarówno dawniejszem z r. 1831, jak i późniejszem z r. 1864., a więc archiwów towarzystw polskich emigracyjnych, spuścizny po znakomitych mężach polskich, którzy zmarli na wychodźtwie i t. p. — dalej zgromadzenie materyałów do porozbiorowych dziejów polskich, które w kraju, zwłaszcza w zaborze rosyjskim lub pruskim, nie mogłyby być dość bezpiecznymi — wreszcie stworzenie instytucyi, w której cudzoziemcy całego świata, tak często podróżujący po Szwajcaryi, mogliby zaczerpnąć jak najdokładniejszych wiadomości o Polsce, o jej teraźniejszości, przeszłości i nadziejach na przyszłość, wiadomości prawdziwych, prawdziwszych od tych, które szerzą o nas Niemcy i Moskale, tłumacząc tym sposobem barbarzyńskie postępowanie swoje wobec narodu naszego. Wystarczy n. p. wziąć w rękę w Lipsku wydaną niemiecką encyklopedyę Brockhausa. Tam pod wyrazem „Kopernik“ znajdujemy uwagę, że uczony niemiecki Prowe odparł już wszelkie nieuzasadnione roszczenia Polaków, jakoby ten, co „wstrzymał słońce, wzruszył ziemię“, był Polakiem. Muzeum narodowe polskie w Rapperswylu istnieje po to, aby takie i tym podobne fałsze prostować i przed oczyma obcych rozsnuwać dowody i objawy naszego życia cywilizacyjnego przed rozbiorem Polski i po nim. Muzeum spełnia swe zadanie od lat 30 (założone w r. 1870.), a zwiedziło je w ciągu tego czasu przeszło 30.000 osób, wśród tych przeszło 90% cudzoziemców z różnych części nietylko Europy, ale i całego świata.

Zarząd Muzeum do r. 1889. t. j. do śmierci założyciela, stanowili oprócz niego: dziejopis powstań naszych, Agaton Giller († 1886.); antykwaryusz, znakomity znawca starożytności, Henryk Bukowski ze Sztokholmu, Józef Ignacy Kraszewski († 1887.) i pułkownik z r. 1863. Józef Gałęzowski z Paryża.

Po śmierci hr. Platera Gałęzowski i Bukowski uzupełnili zarząd wedle postanowień aktu fundacyjnego do liczby 14 członków; przewodniczącym i dyrektorem Muzeum został pułkownik Gałęzowski. Zarząd zjeżdża się co roku w lecie do Rapperswylu, aby radzić nad sprawami Muzeum, równocześnie zaś zjeżdżają nad jezioro zurychskie członkowie korespondenci instytucyi, wybierani przez zarząd z grona ludzi, jużto zajmujących się żywo losami Muzeum, jużteż dobrodziejów instytucyi. Trzeba bowiem wiedzieć, że hr. Plater nie zostawił majątku, wystarczającego do utrzymania poważnego zakładu naukowego. Byt Muzeum zdawał się być zachwianym. Uratować je zdołała niestrudzona działalność zarządu, przedewszystkiem zaś prez. Gałęzowskiego, oraz ofiarność ogółu, który przyszedł instytucyi z pomocą, a i teraz jeszcze zawsze ją wspiera zarówno datkami pieniężnymi, jakoteż nadsyłaniem mnóstwa rzeczy do zbiorów, które z dnia na dzień rosną i wypełniają obszerne sale starożytnego zamku.

W roku bieżącym obrady zarządu odbywały się w dniach 5. i 7. b. m. Dnia 8. sierpnia odbył się w Rapperswylu pogrzeb zwłok jednego z członków zarządu, zmarłego 11. marca b. r. w Sztokholmie ś. p. Henryka Bukowskiego. Nieboszczyk był po śmierci hr. Platera jednym z filarów Muzeum. Wychodźca polityczny z r. 1863/4, osiadł w Sztokholmie i tam, szanowany przez Szwedów, a popierany gorąco przez dwór panujący, miał sklep starożytności, ceniony bardzo w świecie naukowym. Sklep niósł mu dochody olbrzymie, a on je obracał wszystkie na cele publiczne. Zasilał więc Muzeum rapperswylskie tak, że można nazwać go wtórym założycielem. Cokolwiek znalazł w Szwecyi pamiątek polskich, natychmiast zakupywał i słał do Muzeum, pamiętając i o innych podobnych zakładach w Krakowie, Lwowie itd. Nadto zasilał sowicie istniejący przy Muzeum w Rapperswylu fundusz stypendyjny im. Krystyna Ostrowskiego, — przeznaczony dla młodzieży szkół wyższych, która w kraju nie może ukończyć nauk z powodów politycznych i kształci się za granicą. Wreszcie prawie wyłącznie własnym kosztem Henryk Bukowski wydał dzieło jednego z najznakomitszych naszych dziejopisarzy Tadeusza Korzona z Warszawy p. n. „Kościuszko. Życiorys z dokumentów wysnuty“.

Zwłoki ś. p. Bukowskiego sprowadzono do Rapperswylu i złożono w głębi dziedzińca zamkowego w grobie obok zwłok hr. Platera, na prawo od mau-

zoleum, w którem od r. 1897. spoczywa serce Kościuszki, i od pamiątkowej kolumny z orłem polskim, zrywającym się do lotu i z napisem: „Niespożyty duch Polski, stuletnią krwawą walką protestujący przeciw ciemiężącej go przemocy, z wolnej ziemi Helwetów przemawia do sprawiedliwości Boga i świata".

Nim zwłoki zamknięto kamieniem grobowym, pożegnał je w imieniu Rady muzealnej członek jej Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż). Sędziwy powieściopisarz podniósł w swem przemówieniu różnostronne zasługi Bukowskiego, jego gorącą miłość Ojczyzny i wiarę w jej odrodzenie. Na zakończenie uroczystości pogrzebowej odśpiewano pieśń „Z dymem pożarów".

Wracając do obrad Zarządu, dodam, że w miejsce ś. p. Bukowskiego wybrano członkiem zarządu L. Dygata z Paryża. Że zaś nadto zrzekł się stanowiska członka Rady Stanisław Szczepanowski, powołano w jego miejsce publicystę R. Dmowskiego ze Lwowa. Z Galicyi członkiem zarządu jest profesor gimnazyalny i poseł do Rady państwa August Sokołowski z Krakowa Z zaboru rosyjskiego i pruskiego nikt w Zarządzie nie zasiada, gdyż rządy tamtejsze prześladują wszystkich, którzy z Muzeum mają jakiekolwiek stosunki. Niedawno jeden z redaktorów w Poznańskiem, W. Leitgeber, ogłosił drukiem broszurkę informacyjną o Muzeum i dostał się za to na 4 miesiące do więzienia. Podobnie i Roman Mielczarski, kilkoletni zarządca książnicy muzealnej, wracając w lipcu b. r. do Królestwa, został na granicy aresztowanym za to tylko, że był urzędnikiem muzealnym. Ostatnią czynnością Zarządu było rozdanie stypendyów. Rozdano tego roku około 16.000 franków (przeszło 15.000 k.). Fundusze, istniejące w Muzeum, uzupełniła hojna ofiarność prywatna.

Prześladowaniom uczniów polskich w zaborze pruskim niema końca. W ostatnich dniach r. szk. 1899/900 przedsięwzięto w Gnieźnie, Krotoszynie i innych miejscowościach W. Ks. Poznańskiego dokładną rewizyę książek, czytanych w domach przez uczniów, przyczem zabierano książki polskie, głównie z zakresu dziejów i piśmiennictwa polskiego. U niektórych uczniów przeprowadzano rewizye po trzy i cztery razy, ponieważ przypuszczano, że ponkrywali książki polskie. Profesorowie polecali uczniom, aby przez wakacye nie brali do rąk książek polskich. Dalej zakazano rodzinom polskim przyjmowania „na stancyę" uczniów polskich.

Ale niczem są te wszystkie prześladowania wobec rozporządzenia, które w ostatnich czasach pruskie ministerstwo oświaty i wyznań wystosowało do zarządów szkół w Poznańskiem. Z rozporządzenia tego dowiadujemy się, że rząd znosi polską naukę religii w szkołach ludowych już od trzeciej klasy począwszy, a zaprowadza niemiecką naukę religii — od tej samej klasy znosi także naukę języka polskiego, czytania i pisania po polsku. Odtąd więc w szkołach zaboru pruskiego, gdzie dziatwa jest przeważnie polska, nie śmie rozbrzmiewać słowo polskie, niemczyzna powinna być wszechwładną tak, że nawet modlitwę przed szkołą i po niej należy odmawiać po niemiecku. Więc nie „Ojcze nasz", ale „Vater unser" . . . .

Rozporządzenie ministra Studta odnosi się do religijno-moralnego wychowania młodzieży. Zanim więc minister je wydał, powinien się był porozumieć z najwyższą władzą duchowną W. Ks. Poznańskiego, z ks. arcybisk. Stablewskim Nie uczynił tego. Świątobliwy kapłan, widząc się pogwałconym w swych prawach i widząc gwałt, bezprzykładny w dziejach, popełniony znowu na narodzie naszym, wystosował do ministra zapytanie urzędowe, dlaczego wydano rozporządzenie powyższe bez odwołania się do zdania władz kościelnych. Odpowiedziano, że rząd musiał uczynić takie zarządzenie, gdyż nauka religii w szkołach W. Ks. Poznańskiego jest środkiem „propagandy polskiej". Łatwo zrozumieć, jakie wzburzenie umysłów zarządzenie owo musiało wywołać w całej Polsce.

Jednakże nietylko Polacy, ale i Niemcy oburzają się na barbarzyńskie zarządzenia Prusaków. Dziennik, wychodzący w Kolonii p. n. *Volks-Zeitung*, omawia bardzo ostro rozporządzenie pruskiego ministerstwa, nazywając zniesienie nauki religii w języku polskim jaskrawym dowodem dezorganizacyi rządu; powiada otwarcie, że rząd myli się bardzo, jeśli sądzi, że Niemcy-katolicy pochwalą jego zarządzenia i biskupi j wykonają. Ani jeden biskup pruski nie pochwali tego czynu, a ministerstwo nie posiada władzy do przeprowadzenia swoich zarządzeń, gdyż teraz biskupi po prostu nakażą udzielać nauki religii po kościołach.

Przypuszczają, że zanosi się w Poznańskiem na taką walkę z rządem pruskim, jaką toczono w roku 1873 Wtedy to pruski minister oświaty Falck, za pobudką Bismarcka, ogłosił t. zw. ustawy majowe, ograniczające prawa kościoła katolickiego w państwie pruskiem. Wszystkie sprawy kościelne, jak wychowanie księży, obsadzanie urzędów kościelnych i t. d., oddano nietylko pod kontrolę, ale nawet pod zupełną władzę rządu. Ówczesny arcybiskup poznański ks Mieczysław Ledóchowski (dziś kardynał w Rzymie), sprzeciwił się stanowczo tym ustawom i za to wtrącili go Prusacy do więzienia, w którem przebył 2 lata; wyszedłszy z więzienia, już nie wrócił na stolicę arcybiskupią W dziejach najnowszych wypadki z r. 1873 i kilku następnych nazywają się erą t. z. *Kulturkampfu*. Otóż zanosi się teraz na nowy *Kulturkampf*, a arcybiskup poznański będzie miał chwile ciężkie i trudne zadanie, aby obronić naród przed krzywdą, kościół przed bezprawiem, a siebie przed zniewagą.

Bolesną tedy w tej walce narodu naszego o byt w Poznańskiem jest utrata ziemi na rzecz Niemców. Oto w pierwszem półroczu r. 1900. komisya kolonizacyjna pruska nabyła tam 290 majątków większych i 60 gospodarstw chłopskich, obejmujących razem 142.300 *ha*. Cena kupna wynosiła 96,000.000 *mk*. (115,200.000 *k*.). Ziemię nabytą komisya rozdziela czyli parceluje pomiędzy osadników niemieckich, których zadaniem jest rzekomo „obrona cywilizacyi niemieckiej na wschodnich kresach państwa niemieckiego".

Pisma polskie w zaborze pruskim rzucają myśl utworzenia związku wszystkich towarzystw polskich tamtejszych. Dotychczas istnieje tam tylko „Związek towarzystw przemysłowych“ i „Związek towarzystw sokolich“, ale niema żadnej łączności pomiędzy innemi towarzystwami. Utworzenie takiego związku przyczyni się niezawodnie do żywszego rozwoju stowarzyszeń.

W drugiej połowie sierpnia Częstochowa była widownią groźnego pożaru. Gorzał klasztor na Jasnej Górze, pamiątka dziejowa, droga dla wszystkich Polaków i miejsce święte dla pątników, płynących tam tysiącami ze wszystkich stron Ojczyzny. Szczęściem kościół uratowano, a spaliły się tylko górne piętra słynnej wieży częstochowskiej. Ogólna szkoda wynosi, jak obliczają, przeszło 150.000 *r.* (przeszło 383 000 *k.*) OO. Paulini spodziewają się słusznie że składki publiczności pokryją rychło tę stratę. Zaraz nazajutrz po smutnym wypadku dzienniki *Kurjer warszawski* i tamtejsze *Słowo* rozpoczęły zbieranie składek, które też płyną bardzo obficie.

W dn. 5. i 6. b. m. odbył się we Lwowie zjazd delegatów galicyjskiego Związku ochotniczych straży pożarnych, przyczem na placu wystawy z r. 1894 odbyła się wystawa przyrządów i przyborów, używanych do walki z pożarem przez galicyjskie straże ochotnicze. Towarzystwa zaczęto zakładać w Galicyi około r. 1867. Pierwsze powstało w Krakowie. Za niem poszły inne, tak, że dziś Galicya liczy ich kilkaset. Związek powstał w r. 1875, a zjazd tegoroczny był jubileuszowym. Stowarzyszenia omawiane mają dla kraju znaczenie doniosłe. Bo nietylko to jest ich zasługą, że walczą uparcie i skutecznie z rozhukanym żywiołem, ale nadto budzą poczucie obowiązku osobistego poświęcenia się dla dobra współbraci, oraz zbliżają, łączą i bratają ze sobą ludzi różnych zawodów. To też członkiem ochotniczej straży pożarnej powinien być każdy człowiek dojrzały, a fizycznie należycie rozwinięty. *K. L. W.*

Rozmaitości.

Fauna pokojowa. Gdybyśmy zapragnęli zbadać faunę naszego pokoju, przekonalibyśmy się, że w mieszkaniu naszem wre życie w całej pełni. W różnych bowiem zakątkach rozmaite żyją istoty. W kuchni ciepłej np. koło komina w szparach żyje liczne społeczeństwo brunatnych i czarnych karakonów (*Blatta germanica i orientalis*), zwanych w rozmaitych miejscowościach rozmaicie, jak szwabami, prusakami, rusami itp. Obfitość jadła i napitku w kuchni stanowi raj prawdziwy dla naszych nocnych gości. Prócz karakonów ukryty w ciemnościach szpar i dziur, niby w grotach lub jaskiniach podziemnych, odzywa się świerszcz domowy swem jednostajnem ćwierkaniem, a w szarych zakątkach pokoju gnieździ się nasz współlokator, żarłoczny pająk, na misternie utkanych nitkach. Dalej w ciemnej spiżarce kryje się w szparach podłogi dziwaczna stonoga, jedyny nasz skorupiak domowy.

W starych ramach odzywa się kołatek (*Anobium*), w szafach, w sierci i włosach futer cieszą się życiem gąsienice moli; nad łóżkami, w szczelinach ścian i tapet gnieździ się powolna pluskwa, wreszcie w atmosferze pokoju brzęczy niekiedy mucha. A ileż to drobnych owadów żyje w naszych starych zwojach papieru lub zielnikach, nad którymi choć w części straż trzyma zaleszczotek (Chelifer). Jeżeli jeszcze wspomnimy, ile stworzeń znajduje życie w doniczkach i na liściach roślin pokojowych lub też pośród piasku i pyłu szpar podłogi, przekonamy się, że badanie życia tych żyjątek, mieszkających obok nas, dość wymagałoby czasu, ale za to trud opłaciłby się sowicie, gdyż wiele ciekawych spostrzeżeń możnaby poczynić, a do tego zachęca „Przyjaciel młodzieży“ swych czytelników!

Zagadnienia naukowe.

Nr. 121. Co oznaczają polskie nazwy miesięcy od sierpnia do grudnia?

Nr. 122. Kto był Buddha, kiedy i gdzie żył i działał, co stworzył?

Nr. 123. Jaki jest początek zakonu OO. Paulinów, jaka ich reguła, gdzie ich klasztory w Polsce?

Nr. 124. Co to są mgławice?

Nr. 125. Jakie są muzea publiczne polskie?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: E. Planchu „Chiny i Chińczycy“, J. Korzeniowskiego „Kolokacya“ i M. Kukuczyna „Obrazki i nowele“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 13. września b. r. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 111—120.

Nr. 111. Chińczycy wyprzedzili Europę w wynalezieniu druku i prochu, wyrobem porcelany, tuszu, papieru i jedwabiu, w rozpowszechnianiu oświaty ludowej, poważaniem wiedzy i nauki, wreszcie w etyce uzyskaniem większej zgody między czynami a zasadami.

Nr. 112. Prw. w nrze niniejszym „O jęz. chińskim“.

Nr. 113. Benedykt Polak (w r. 1246. odbył podróż do chana tatarskiego w Azyi środk.), Jan Tarnowski (1488—1501.), Ziemia św., Egipt, Arabia, Hiszpania i Portugalia), M. R. ks. Radziwiłł Sierotka (Palestyna), W. A. Łubieński, M. Beniowski (Syberya, Madagaskar), J. Kopeć (Syberya), Jan Potocki (1761—1815.), emir Wacł. Rzewuski, I. Domejko, J. Warszewski, K. Łapczyński, A. Waga, T. Trypplin Sygurd Wiśniowski, K. Wolski, K. hr. Lanckoroński, St. Bełza, E Dunikowski, J. Siemiradzki, A. Dygasiński, A. Gruszecki. Pomijamy poetów i powieściopisarzy.

Nr. 114. Z. Gloger w „Księdze rzeczy polskiej“ powtarza zdanie utarte, jakoby nazwa kaptura (sądów kapturowych) pochodziła od kaptura mnisiego, który przywdziewać miano na znak żałoby, ponieważ sądy takie przypadały na czas bezkrólewia w Polsce. Domysł wcale wątpliwy, lepszego nie ma.

Nr. 115. Dr. Tytus Chałubiński, ur. w Chociwku pod Radomiem 1820., um. w Zakopanem 4. XI. 1889., najznakomitszy lekarz polski współczesny.

Nr. 116. Turysta, turystyka itd. pochodzą co do nazwy z franc. *tour* = obejście, podróż, a więc oznaczają podróżnika, podróżowanie, na sposób angielski, z planem ściśle zakreślonym, celem wzmocnienia sił, szukania wrażeń i poznania rzeczy godnych widzenia.

Nr. 117. Sposoby techniki malarskiej: 1) akwarela (t. j. malowanie zapomocą barwików, rozpuszczonych wodą, prześwietlających; 2) gwasz — to samo barwikami nieprześwietlającymi; 3) tempera — barwikami, rozpuszczonymi białkiem; 4) woskowe — gdzie wosk stanowi środek rozpuszczający lub utrwalający; 5) pastel(a) kredkami barwnemi; 6) olejne — barwikami, rozpuszczonymi olejem; 7) *al fresco*, fresk — farbami wodnemi utrwalanie obrazu na świeżej ścianie; 8) stereochromia — toż na ścianach suchych farbami, nierozpuszczalnemi w kwasie.

Nr. 118. Ks. Franciszek Niegowiecki, prof. matematyki i założyciel obserwatoryum astronomicznego w Krakowie (1763.).

Nr. 119. (Jan) Adam Polak w Neapolu wydrukował „Liber vulgo dictus omnis mortalium cura“ w r. 1478., Stanisław Polak miał drukarnię w Sewilii 1491—1500, potem przeniósł się do Alkali de Henares, Jakub Guda 1490—3 w Ratyzbonie, Świętopełk Fiol z końcem w. XV. w Lewoczy na Węgrzech.

Nr. 120. Pierwszą książką, wydrukowaną w Krakowie, jest „Calendarium“ na r. 1474., po nim poszło łać. wydanie wszystkich dzieł św. Augustyna, ale dopiero na dziele „Tabula restitutionum usurarum et excommunicationum“, wyd. przez br. Franciszka de Platea, zjawia się rok wyjścia z druku: 1475., a na głośnym komentarzu do psalmów kardynała Jana de Turrecremata z tegoż roku, dodano nadto miejsce druku: *Cracis* (w Krakowie). Równocześnie w dziele „Statuta synodalia episcoporum... Vratislaviensium“, ogłoszonem we Wrocławiu, podano teksty modlitwy Pańskiej, pozdrowienia anielskiego i składu apostolskiego w brzmieniu więcej czeskiem, niż polskiem. Potem aż do początku w. XVI. z językiem polskim nie spotykamy się w drukach, natomiast Kraków rozpoczął drukować (pierwszy w świecie) księgi liturgiczne cyrylicą (1491).

Trafne rozwiązania nadesłali do 28. b. m.:

(11—77, 19—20) Auditor (świetnie). Bloch (b. dobrze); (11—4, 17, 19—20) Wietor (znakomite); (11—2 14, 16, 19, 20) Stamm; (11—3, 16, 20) Saulida; (11—2, 16, 19—20) Masiuk; (11—2, 14—5) Loewel; (11—2, 14, 20) Wiktor; (11—2, 19—20) Pordes; (11, 13—4, 16) W. Prajer; (11, 13—4, 20) L. Prajerówna; (11, 13—4) Cetnarski: (11, 20) Ślebodziński.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Ślebodziński (Komorowskiego „Wspomnienia“), Loewel (Ruskina „Krzak dzikiej oliwy“), L. Prajerówna (Dyakowskiego „Wędrówki źwierząt i roślin) i Bloch (Muira „Świat zjawisk chem.“.

Rozwiązanie łamigłówek z nrów 13-4.

1) *Krzyż magiczny*: Pasek, Asnyk, Zeyer.

2) *Logogryf:* Frankfurt, Jeziorański, Jamaica, Lessing, Źwierzyniec, Zaleski, Wawel, Wisła, Syrokomla, Budziszyn — razem Kraszewski.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 28. b. m:

(1 i 2) Agopsowicz, Cetnarski, Stamm, Wietor, Woroszyński; (1) Pordes; (2) Bloch, Masiuk.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

M. L. w Br. Premie polecono wysłać. *B. P. we Lw.* Wpisano na listę; trójkąt pójdzie. *W. Pr. w B.* Owszem, poczekamy. *Sfinks.* „Na przełęczy“ około 15 *k.*; Hajota—H. Szolc-Rogozińska; reszta później. *Saulida.* Przepisy, których musimy się trzymać, nie robią różnicy między pismami; zresztą wszelką wiadomość, uwagę, pomysł, zużytkujemy chętnie w sposób właściwy. *Sperans.* Na takie samo pytanie odpowiedź w nrze 2. str. 24. pod głoskami K. L. M. Czekamy zagadki. *Wietor.* Odpowiedź listowna. *R. A. Wor.* Łamigłówka niepolska, prosimy o inną.

OD ADMINISTRACYI.

Prosimy uprzejmie o przesłanie zaległej przedpłaty za III. kwartał.

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 15.—16. (podwójnego): Przyjaciele aż do grobu, powiastka chińska (Ciąg dalszy). — ***, Listy z podróży na Wschód daleki (z 5 ryć., Ciąg dalszy). — Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (z mapą). — *Mikołaj Lenau*, Niagara (wiersz, tłum. *A. Pajgert*). — O języku chińskim (z niem.). — *M. Pakrowski*, Główne metody astronomii fizycznej (Ciąg dalszy). — *K. L. W.*, Z całej Polski. — Rozmaitości, zagadnienia naukowe, skrzynka pocztowa Redakcyi i Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pl Bernardyński 7.

We Lwowie 16. września 1900.



Rok II.

Nr. 17. i 18.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Cena numeru niniejszego 60 h.

Nie pracą nas Bóg ukarał — praca jest dobrodziejstwem, ale walką poezyi ducha z prozą powszedniego życia. Poddać się jej, a nie zbrukać nią... dłonią grzebać w ziemi, a duszą i myślą być w niebie — to nasze zadanie!

J. I. Kraszewski.

Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

Powiastka

Lwa M. hr. Tołstoja.

W mieście Włodzimierzu żył młody kupiec Aksienów. Miał dwa sklepy i dom. Był rudy, kędzierzawy, czerwony, bardzo wesół i lubił śpiewać. Za młodu pił wiele, a upiwszy się, zaczynał często kłótnię; ale od chwili, gdy się ożenił, przestał pić i tylko rzadko kiedy przytrafiał mu się podobny wybryk.

Raz latem Aksienów jechał do Niższego Nowogrodu na jarmark. Gdy się żegnał z rodziną, powiedziała mu żona: „Janie Dymitrowiczu, nie jedź tam, śniły mi się o tobie bardzo brzydkie rzeczy“. Aksienów zaśmiał się i rzekł: „Ot, boisz się tylko, żebym sobie nie zaprószył głowy na jarmarku“. Żona odparła: „Nie wiem sama, czego się boję, ale miałam sen nieprzyjemny; zdawało mi się, żeś wrócił z miasta, zdjął kapelusz, a wtedy zobaczyłam, że twoja głowa całkiem biała“. Aksienów zaśmiał się: „No, to dobry znak! Zobaczysz, że zarobię dużo pieniędzy i przywiozę cenne gościńce“. Pożegnał się z rodziną i odjechał.

W połowie drogi spotkał się ze znajomym kupcem i wstąpił z nim na nocleg. Wypili razem po szklance herbaty i położyli się spać w dwu izbach sąsiednich. Aksienów nie lubiał spać długo: przebudził się o północy, a ażeby mu się lepiej jechało za chłodu, zbudził woźnicę i kazał zaprzęgać. Następnie zeszedł na dół do izby czeladnej, obliczył się z gospodarzem i wyjechał.

Ujechawszy z jakie 40 wiorst (ok. 10 godzin drogi), zatrzymał się na popasie, odpoczął sobie w izbie domu zajezdnego, w południe wyszedł na próg i kazał sobie podać samowar; dali mu gitarę i począł grać. Naraz przed dom zajechała trójka (t. j. powóz, za-

przężony w 3 konie), a z powozu wysiadł urzędnik z dwoma żołnierzami, przystąpił do Aksienowa i zapytał go, co zacz i skąd jedzie. Aksienów powiedział wszystko zgodnie z prawdą i zapytał wzajem: „Nie raczycie wypić ze mną szklanki herbaty?“ Urzędnik zasypywał go ciągle pytaniami: gdzie był na noclegu ostatniej nocy? sam, czy z kupcem? czy widział kupca rano? dlaczego tak wcześnie wyjechał z gospody? Aksienów dziwił się, dlaczego pyta go o to wszystko; odpowiedział na wszystko zgodnie z prawdą i dodał: „Dlaczego wypytujecie mię tak? Nie jestem przecie ani złodziejem, ani zbójem“. Wtedy urzędnik zawołał żołnierzy i rzekł: „Jestem sędzią, a wypytuję ciebie dlatego, ponieważ kupca, z którym byłeś na noclegu ostatniej nocy, zabito. Pokaż swoje manatki, a wy zrewidujcie jego!“

Weszli do świetlicy, wzięli tłumak i wojłok i poczęli, rozwiązawszy je, przeglądać. Nagle sędzia wyjął z wojłoka nóż i zawołał: „Czyj to nóż?“ Aksienów spojrzał nań, a widząc, że wyjęto krwawy nóż z wojłoku, przeląkł się niemało.

„A skąd ta krew na nożu?“

— „Ja — ja nie wiem — ja — nóż — ja — to nie mój...“

Na to odezwał się sędzia: „Rano znaleziono kupca zamordowanym w łóżku. Nikt inny nie mógł tego dokonać, tylko ty. Izba była zamkniętą zzewnątrz, a w niej niebyło nikogo prócz ciebie. Nadto masz krwawy nóż w wojłoku, a z twarzy twej przebija wina. Powiedz więc, jakeś go zabił i ile pieniędzy mu zabrałeś?“

Aksienów zaklinał się, że nie popełnił morderstwa, że nie widział kupca od chwili, gdy z nim pił herbatę, że ma 8.000 rubli, ale własnych, a nóż nie jest jego. Ale głos mu drżał, twarz pobladła i trząsł się cały ze strachu, jakgdyby był winnym. Sędzia zawołał żołnierzy i polecił im związać go i wsadzić na telegę (wóz chłopski). Gdy go położono z nogami związanemi na wózku, Aksienów przeżegnał się i wybuchł płaczem. Odebrano mu rzeczy jego i pieniądze, a samego odesłano do poblizkiego miasta do więzienia. Posłano też do Włodzimierza celem dowiedzenia się, co to za człowiek był Aksienów, a wszyscy kupcy i mieszkańcy włodzimierscy poświadczyli, że Aksienów za młodu lubiał pić i hulać, ale był człowiekiem dobrym. Potem stawiono go przed sądem. Oskarżono go o zabicie kupca ryazańskiego i kradzież 20.000 rubli. Żona gryzła się z powodu niego i nie wiedziała, co począć. Dzieci jej były jeszcze wszystkie małe, jedno nawet przy piersi. Wzięła wszystkie z sobą i pojechała do miasta, w którem jej męża trzymano w więzieniu. Zrazu nie puszczono jej do męża, ale wreszcie uprosiła zarządcę więzienia i zaprowadzono ją do męża. Gdy zobaczyła go w ubraniu więziennem, w kajdanach, razem z rozbójnikami, runęła na ziemię i długo nie mogła przyjść do siebie. Następnie ustawiła dzieci dokoła, siadła obok niego i poczęła opowiadać mu, co zaszło przez cały czas w domu, i wzajem pytać o wszystko, co się z nim działo. Powiedział jej wszystko. Na to rzekła: „Co teraz począć?“ Mąż odparł: „Musimy udać się z prośbą do cara. Niewinny nie może zginąć“.

Żona wyznała, że już wniosła prośbę o łaskę do cara, ale prośba nie doszła. Aksienów nic nie powiedział i zamyślił się tylko. Wtedy odezwała się żona: „Nie napróżno — przypominasz sobie? — śniło mi się, żeś posiwiał. Dyć już naprawdę posiwiałeś ze zgryzoty. Nie powinieneś był wtedy wyjeżdżać“. Potem, gładząc mu włosy, rzekła: „Wanio, mój mężu kochany, powiedzże swojej żonie prawdę — nie zrobiłeś tego?“ Aksienów odpowiedział: „Więc i ty wątpiłaś o mej niewinności!“ Zakrył twarz rękoma i począł płakać. Wreszcie przyszedł żołnierz i oświadczył, że żona z dziećmi musi się oddalić. Więc Aksienów pożegnał się po raz ostatni z rodziną.

Gdy żona wyszła, Aksienów zaczął rozpamiętywać to, co mówili z sobą. A gdy wspomniał sobie, że żona także wątpiła o jego niewinności i pytała go, czy nie zabił kupca, rzekł sam do siebie: „Widzę teraz, że prócz Boga nikt nie może znać prawdy i muszę tylko Boga błagać i tylko od niego oczekiwać zmiłowania“. Od tej chwili Aksienów przestał wnosić prośby o łaskę, przestał łudzić się nadzieją i tylko modlił się do Boga.

Skazano Aksienowa na knuty i zsyłkę do robót przymusowych. Tak się też stało. Oćwiczono go knutem, a gdy się rany od knuta zagoiły, posłano go razem z innymi skazańcami na Sybir. W katordze sybirskiej Aksienów przeżył lat 26. Włosy na głowie

jego zbielały jak śnieg, broda mu zarosła długa, siwa. Cała jego wesołość znikła. Zgarbił się, chodził powoli, mówił mało, nie śmiał się nigdy, ale często modlił się do Boga. W więzieniu nauczył się szycia butów, za pieniądze zarobione kupił sobie książkę „O św. męczennikach“ i czytał z niej ustępy, gdy siedzieli w kaźni; w niedziele i święta uczęszczał do cerkwi więziennej, czytał „Dzieje apostolskie“ i śpiewał na chórze; miał ciągle jeszcze piękny głos. Przełożeni lubili Aksienowa z powodu jego mądrości, a współwięźniowie szanowali go i nazywali „dziadkiem“ i „świętym człowiekiem“. Gdy chodziło o jaką prośbę więźniów, ci zawsze posyłali z nią Aksienowa do przełożonych, a gdy były jakie spory między więźniami, zawsze udawali się po rozstrzygnięcie do Aksienowa. Z domu nikt nie pisywał do niego, nie wiedział więc, czy żona jego i dzieci żyją.

Raz przyprowadzono do katorgi nowych więźniów. Wieczorem wszyscy starzy więźniowie zgromadzili się dokoła nowych i wypytywali ich, z którego miasta lub z której wioski każdy pochodził i za co tu się dostał. Aksienów także przysiadł się na łóżku obok nowych i, zwiesiwszy głowę, przysłuchiwał się ich opowiadaniom. Jeden z nowych więźniów byłto wysoki, zdrowy starzec może 60-letni, o siwych przystrzyżonych wąsach. Opowiadał, za co go uwięziono.

Mówił: „Tak, brachu, za nic dostałem się tutaj. Woźnicy odwiązałem konia od sani. Przytrzymali mię, mówiąc, żem go ukradł. Ale ja rzekłem: „Chciałem tylko prędzej dojechać na miejsce, dlatego wyprzągłem konia. A zresztą woźnica jest mym przyjacielem. To przecież nie jest nic złego“ — mówiłem. — „Owszem, powiedzieli, ukradłeś“. Ale o tem nie wiedzą, co i kiedy ukradłem naprawdę. Zdarzyło się — dawno temu — coś, za co byłbym się tu dostał z pewnością, ale nie mogli mnie wtedy przekonać, a dziś zagnali mię tutaj wbrew prawu“.

— „A skądżeś ty?“ zapytał pewien więzień.

„Z Włodzimierza, mieszczanin tamtejszy. Nazywam się Makar, a po ojcu Siemionowicz“.

Aksienów podniósł głowę i zapytał: „A nie słyszałeś, Siemionowiczu, we Włodzimierzu o Aksienowych Korpcowych? Żyją jeszcze?“

— „Jakżebym nie miał słyszeć! Bogaci, tylko — niestety — ojciec ich na Sybirze. Bezwątpienia taki sam grzesznik, jak my. A za co ty tutaj, dziaduniu?“

Aksienów nie lubił mówić o swem nieszczęściu, westchnął więc tylko i rzekł: „Za swe grzechy już dwudziesty szósty rok przebywam w katordze“.

Makar ciągnął jednak dalej: „A za jakie grzechy?“

Aksienów odparł: „Już się stało“ i nie chciał mówić dalej, ale współwięźniowie opowiedzieli nowemu, jak Aksienów dostał się na Sybir. Opowiedzieli, jak ktoś w drodze zabił kupca i podrzucił nóż Aksienowowi i jak tego skazano za to niesłusznie. Gdy Makar to usłyszał, spojrzał na Aksienowa, uderzył się rękoma w kolana i rzekł: „Dziwna rzecz, bardzo dziwna! Zestarzałeś się dziaduniu!“ Pytano go, co go tak zdziwiło i gdzie widział kiedy Aksienowa; ale Makar nie odpowiedział, rzekł tylko: „O, to dziwna rzecz — gdziem się z nim spotkał!“

Po tych wyrazach przyszło na myśl Aksienowowi, że może człowiek ten wie, kto zabił kupca. Zapytał go więc: „Czyś słyszał, Siemionowiczu, już dawniej o tej przygodzie, albo czyś mię widział dawniej?“

— „Jakżebym nie miał słyszeć! Mówiono o tem w całem mieście. Ale to już tak dawno! Com słyszał, tom zapomniał“, rzekł Makar.

„Możeś słyszał, kto zabił kupca?“ zapytał Aksienów.

Makar zaśmiał się i rzekł: „Bezwątpienia ten go zabił, u kogo znaleziono nóż w wojłoku. Gdyby ci nawet kto był podrzucił nóż, to skoro go nie schwytano — nie jest złodziejem. Zresztą jakżeby ci mógł był włożyć nóż do wojłoku?! Wszak miałeś go pod głową. Byłbyś przecie usłyszał“.

Skoro Aksienów usłyszał te wyrazy, zaraz przyszło mu na myśl, że ten właśnie człowiek zabił kupca. Wstał i wyszedł. Przez całą noc nie mógł zasnąć. Smutek go opanował i zdało mu się, że widzi żonę taką, jaką była, gdy go odprowadzała po raz ostatni na jarmark. Widział ją jak żywą, widział jej twarz i oczy i słyszał, jak z nim rozmawiała uśmiechnięta. Potem przyszły mu na myśl dzieci takiemi, jakiemi były wonczas: maleńkie, jedno w kożuszku, drugie przy

piersi. I przypominał sobie, jakim był wtedy: wesół, młody; przypominał sobie, jak siedział na progu domu zajezdnego, w którym go uwięziono, jak grał na gitarze i jak mu wtedy było wesoło. I przypomniał sobie gmach sądu, gdzie mu wymierzano karę knutem, przypomniał sobie kata i lud dokoła i kajdany i skazańców i nad tem życiem dwudziestoszescioletniem w więzieniu i nad swą starością się zadumał. I taki smutek ogarnął Aksienowa, że omal nie targnął się na swe życie. „I to wszystko przez tego złoczyńcę!“ pomyślał sobie Aksienów. I taką złością zapałał przeciw Makarowi, że zapragnął zemścić się na nim. Przez całą noc czytał modlitwy, ale nie mógł się uspokoić. Za dnia nie przybliżył się do Makara i nie spojrzał nań wcale.

Tak minęły trzy tygodnie. — W nocy Aksienów nie mógł spać i taka tęsknota go owładnęła, że nie wiedział, co z sobą począć.

Raz nocą chodził po celi i spostrzegł, że z pod pewnego łóżka sypie się ziemia. Zatrzymał się i patrzył. Nagle Makar wyskoczył z pod łóżka i z wystraszoną twarzą spoglądał na Aksienowa. Ten chciał iść dalej, ażeby go nie widzieć; ale Makar chwycił go za rękę i opowiedział mu, jak wykopał korytarz pod ścianami, jak codziennie wynosi ziemię w cholewach i wysypuje na ulicę, gdy ich wypędzają do roboty. Dalej zaś ciągnął tak: „Tylko bądź cicho, starcze, a wyprowadzę cię stąd. Jeżeli zaś zdradzisz mnie, to mnie oćwiczą knutem; ale ja ci też tego nie daruję, zabiję ciebie“.

Aksienów, zobaczywszy tego, który go skrzywdził, drgnął cały, wyrwał rękę swoją z jego ręki i rzekł: „Nie potrzebuję uciekać i nikt mnie nie zabije, boś ty zabił mnie już dawno. A co do zdrady, to powiem albo nie — jak mię Bóg natchnie“.

Nazajutrz, gdy wyprowadzono więźni na ulicę, żołnierze zauważyli, że Makar wysypał ziemię, szukali po celi i znaleźli dziurę. Dyrektor przyjechał do więzienia i wypytywał wszystkich, kto wykopał dziurę. Wszyscy się wypierali. Ci, którzy wiedzieli o całej rzeczy, nie zdradzili Makara, ponieważ wiedzieli, że wymierzonoby mu za to tyle ciosów, ażby padł na pół martwym. Wtedy dyrektor zwrócił się do Aksienowa. Wiedział, że Aksienów jest prawdomownym, i rzekł: „Starcze, ty mówisz zawsze prawdę; powiedz mi wobec Boga, kto to zrobił?“

Z JESIENI.



W. Szerner, W żniwa.

Makar stał, jakby nie wiedział o niczem, i patrzył na dyrektora, nie oglądając się na Aksienowa. Aksienowowi zaś trzęsły się ręce i usta i nie mógł długi czas wyrzec ni słowa. Rozmyślał: „Czy powinienem to zataić i jego ocalić, skoro mnie zgubił? Niech odpokutuje za moje męki. Bo jeśli go zdradzę, ukarzą go z pewnością. A cóż będzie, jeżeli podejrzywam go niesłusznie? A zresztą, czy mi to w czem ulży?“

Dyrektor rzekł raz jeszcze: „Nuże, starcze, powiedz prawdę — kto zrobił podkop?“

Aksienów spojrzał na Makara i rzekł: „Nie widziałem, nie wiem“.

Następnej nocy, gdy Aksienów położył się na swem łóżku i ledwie się zdrzemnął, usłyszał, jak ktoś przyszedł i usiadł mu w nogach. Rozglądnął się w ciemności i poznał Makara. Rzekł więc: „Czego chcesz jeszcze odemnie? Co tu robisz?“ Makar milczał. Aksienów podniósł się i rzekł: „Czego chcesz? Odejdź, bo zawołam żołnierzy“. Makar pochylił się nizko nad Aksienowem i szepnął: „Janie Dymitrowiczu, odpuść mi!“ Aksienów zapytał: „Co ci mam odpuścić?“

— „Ja zabiłem kupca, a nóż podrzuciłem tobie. Także ciebie chciałem zabić, ale na dworze ozwał się jakiś łoskot; wsunąłem więc tobie nóż do wojłoku i wylazłem przez okno".

Aksienów milczał i nie wiedział, co powiedzieć. Makar zlazł z łóżka, ukląkł na ziemi i rzekł: „Janie Dymitrowiczu, odpuść mi, odpuść na Boga! Wyznam, że zabiłem kupca — i uwolnią ciebie. Wrócisz do swoich". Aksienów odrzekł: „Łatwo ci to powiedzieć, ale co ja pocznę teraz? Dokąd pójdę teraz? Żona umarła, dzieci zapomniały; nie mam gdzie się podzieć". Makar nie wstawał z podłogi, bił sam jest winnym. Gdy nadeszło rozstrzygnięcie, że Aksienów może wrócić do swoich — Aksienów już nie żył.

LISTY
z podróży na Wschód daleki.

(Ciąg dalszy).

Jeszcze kilka słów o pobycie w „hotelu Królowej". Kandy, letnia siedziba gubernatora i przeważnej części Europejczyków z Ko-

Z JESIENI.



G. M. Wywiórski, Z polowania.

głową o ziemię i mówił: „Janie Dymitrowiczu, odpuść mi! Gdy mię bito knutem, było mi lżej, niż teraz, gdy patrzę na ciebie. A tyś jeszcze zlitował się nademną — nie zdradziłeś mnie wcale. Odpuść mi na Boga! Odpuść mnie, złoczyńcy kajającemu się!" i załkał.

Gdy Aksienów usłyszał, że Makar płacze, sam wybuchł płaczem i rzekł: „Bóg ci odpuść! Możem sto razy gorszy od ciebie". Nagle zrobiło mu się lżej. I przestał tęsknić za domem: nigdy odtąd nie wychodził z więzienia, ciągle rozmyślał o ostatniej godzinie. — Makar nie posłuchał Aksienowa i wyznał, że

lomba, posiada kilka hoteli, ten jednak jest największym i najlepszym. Jest to duży budynek, położony nad jeziorem, dwupiętrowy, z pięknym widokiem na okoliczne góry. Od przodu i z jednej strony ciągnie się obszerna weranda; parter zajmują: ogromna sala jadalna, palarnia, czytelnia, sala bilarowa itd., na piątrach mieszczą się pokoje dla gości, duże, jasne i — co w tym klimacie najważniejsze — przewiewne. Pokoje gościnne urządzono skromnie, ale wygodnie. Łóżko z kotarą muślinową, jako ochroną od komarów, stolik, toaleta, szezlong i umywalnia, stano-

wią całe urządzenie. Służba, znakomicie wytresowana, składa się wyłącznie z krajowców, jak to bywa zresztą wszędzie w osadach angielskich, gdzie z wyjątkiem maszynistów kolejowych wszyscy, nawet naczelnicy stacyi, są kolorowi. Rozpisuję się nieco obszerniej o hotelu, bo mi to potrzebne jako wstęp do opisu zwyczajów angielskich, które w nim panują, a które tu poznałem po raz pierwszy dokładniej.

Dzień upływa tu w sposób następujący: Rano między ósmą a dziewiątą podają herbatę, bułki, masło, konfitury; kto chce, dostaje także jaja i szynkę. Palić w jadalni nie wolno, do tego jest weranda i smoking room (palarnia). Ranek spędza się w czytelni lub na przechadzkach. O godzinie drugiej popołudniu podają śniadanie (lunch, w Indyach zwane tiffin), składające się z mnóstwa potraw, bardzo ostro przyprawionych i podawanych małemi porcyami. O wpół do ósmej wieczorem podają obiad (dinner). Jest to punkt kulminacyjny dziennego jedzenia. Panie przychodzą w toaletach balowych, panowie we fraku, smokingu lub t. zw. dinner jacket'cie, t. j. białej kurtce, krótkiej, sięgającej po biodra, z wykładanym lub stojącym kołnierzem, zapiętej na jeden guzik; do tej kurtki ubiera się czarne spodnie, lakiery, szeroki pas jedwabny i czarną krawatę.

Zwyczaje angielskie, które tu poznałem, niekoniecznie zgadzają się zupełnie z mojem przekonaniem. Nie jestem zwolennikiem banalnego przyjaźnienia się, ale też nieznośną mi jest angielska sztywność i wyłączność. Z obcokrajowcami Anglik zawiera stosunki niechętnie i niełatwo, a jeżeli zawrze, to traktuje ich zawsze z pewnej wysokości. Miałem dobrą sposobność przekonania się o wyłączności angielskiej podczas wycieczki do Kandy. W sali jadalnej podczas naszego pobytu, przy obiedzie, produkowała się muzyka jakiegoś obcego okrętu. Anglicy, jakby nie mieli uszu, nie zwracali uwagi nawet na najklasyczniejsze utwory, wykonywane zupełnie poprawnie. Towarzystwo ożywiło się dopiero, gdy zagrano *God save the Queen*. Wszyscy powstali z miejsc. Anglicy wskakiwali na krzesł

Z JESIENI.



M. Harasimowicz, Stawisko.

i stoły, wznosząc okrzyki na cześć królowej i żądając po kilkakroć powtórzenia ich hymnu narodowego. Niepiękna wyłączność, ale budujące przywiązanie do królowej, jako widomego wyrazu społecznego ładu i narodowego ideału. Zdaje mi się, że Anglicy nie grzeszą poczuciem muzykalnem. Najjaskrawiej okazał się brak tego poczucia, kiedy wieczorem rozpoczęto tańce. Angielki tańczyły wprawdzie dobrze, ale sztywnie i nie do taktu muzyki. Walca tańczą, kręcąc się pomału na palcach, jak muchy w mazi, i nie zwracają wcale uwagi na rytm. Zresztą zauważyłem ten brak słuchu już kilkakrotnie, szczególnie u angielskich muzyk wojskowych. Muzykanci grając kładą największą wagę na piękną postawę i ładne, błyszczące narzędzia muzyczne, ale grają wszystko bez rytmu i czucia.

Kilka dni, spędzonych na zielonym Cejlonie, przeszło mi bardzo przyjemnie i zostawiło na zawsze bardzo miłe wspomnienie. Jednak bogowie zazdrośni nie pozwolili bez smutku opuścić czarownego zakątku. Pod cieniem palm spoczął jeden z czcigodnych moich towarzyszy podróży snem wiecznym. Nie mogliśmy mu nawet oddać ostatniej posługi, bo zostawiliśmy go chorym i dowiedzieli się dopiero w Syngapurze (Singapore), że się z nami już tutaj nie połączy...

Przeprawa z Kolomba do Syngapuru udała się, jakkolwiek mieliśmy czas nieszczególny: dżdżysty i wietrzny.

Nowy rok 1900. święciliśmy na pełnem morzu. Nazajutrz wychyliły się z odmętów potężne brzegi Sumatry, a drugiego dnia popołudniu, przepłynąwszy piękną cieśninę malajską, zawinęliśmy do Syngapuru. Tu zastaliśmy austryacki statek wojenny Zentę i niemieckie okręty Deutschland i Hansę. Bawił tu również w powrocie do Europy ks. Henryk pruski, który zdawał dowództwo eskadry azyatyckiej swemu następcy, kontradmirałowi Pritzemu. Syngapur (Singapore) liczy około 180.000 mieszkańców i jest bardzo ciekawem miastem. Przeważną część ludności stanowią Chińczycy i Malaje. Europejczyków jest zaledwie 2.000. Najoryginalniejszą jest dzielnica malajska, zbudowana śród rzeki

Z JESIENI.



Targ na wełnę w Warszawie.

na palach. Równie ciekawem jest miasto chińskie. Niebiesko pomalowane domy, cały parter zajmują sklepy, pracownie i garkuchnie; ściany zewnętrzne pokryte wywieszkami, noszącemi napisy w zdobnie wykonanych hieroglifach. Sklepy oświetlone różnobarwnymi lampionami. Tu i ówdzie świątynia z ładnemi majolikowemi ozdobami, herbaciarnia lub palarnia opium z zaspanymi Chińczykami. Na ulicach ruch ogromny. Pełno t. zw. vikisha, wózków dwukołowych, ciągnionych przez chińskich kuliów (kuli).

Odbyłem tu małą wycieczkę myśliwską, urządzoną przez sekretarza austr. konsulatu, p. Pustana. Miały być dziki i jelenie, nie widzieliśmy jednak przez cały dzień ani żywego ducha. Mimo to powróciłem zadowolony, gdyż mogłem oglądnąć zblizka bogatą przyrodę podzwrotnikową. — Przedzieraliśmy się wśród ulewnego deszczu przez dziewiczy las, tak gęsty, że musieliśmy torować sobie drogę nożem. Zwiedziłem także przy tej sposobności rozległe plantacye ananasów i trzciny cukrowej.

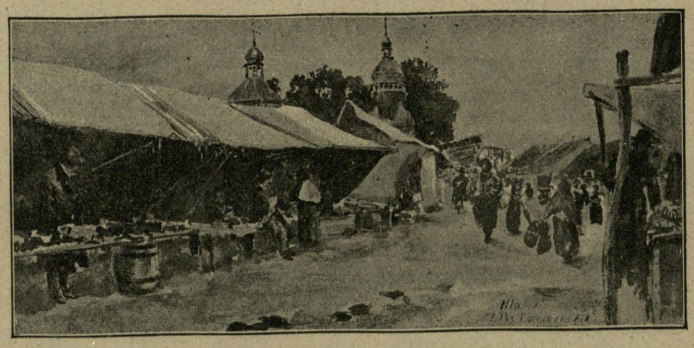
Wróciwszy z wycieczki do hotelu Adelphi, który jest doskonale urządzonym, siedzę po smacznej herbacie na werandzie i spoglądam w noc księżycową. Pełno ciekawych rzeczy, nowy świat, klimat i nowi ludzie. Począwszy od Arabów w Port-Saidzie, Somaliów w Adenie, Syngalów i Hindusów w Kolombie, a skończywszy na pracowitych Chińczykach i dumnych Malajach w Syngapurze, od żółtych piasków pustyni syryjsko-arabskiej do zieloności podzwrotnikowej rajskiego Cejlonu, wszystko to przesuwa się jak w kalejdoskopie, jak marzenie, przed mojemi oczyma. A ile to pięknych i ciekawych rzeczy mam jeszcze zobaczyć! Państwo synów nieba, tajemnicze Chiny, mumię prastarej cywilizacyi, Japonię, kraj przyszłości... Ale precz ze snami, płyńmy dalej, a jakkolwiek może kto woła, nie słychać, bo to nawet nie step akiermański, lecz szumiące morze chińskie, na którem przy silnym północno-wschodnim monsunie już czwarty dzień statek się rzuca jak opętany w drodze z Syngapuru do Honkonu (Honkong).

* * *

W Honkonie, zbudowanym na skalistej wyspie, zastaliśmy oprócz 20 angielskich też mnóstwo obcych okrętów wojennych, mianowicie amerykańskich, niemieckich, japońskich i chińskich. Niektóre z nich zwiedziliśmy i podziwiali ich doskonałe uzbrojenie i świetne urządzenie. Bliższe szczegóły o samem mieście, które stanowi na wodach chińskich najsilniejsze oparcie dla potęgi angielskiej, zachowuję na później... (C. d. n.)

* * *

Z JESIENI.



A. M. Sozański, Z jarmarku w Ułaszkowcach.

O sejmach w Polsce.

IV.

Sejm walny od Zygmunta I. (1506) aż do Konstytucyi Trzeciego Maja (1791.)

Sejm walny składał się z dwu izb: z senatu i z izby poselskiej. Senat, jako rada przyboczna króla, istniał dawniej niż izba poselska, gdyż jeszcze książęta i królowie z rodu Piastów mieli przy sobie radę prałatów i baronów, którą od w. XVI. poczęto w Polsce nazywać senatem. W skład senatu wchodzili najpierwsi dygnitarze państwa, duchowni i świeccy, a więc: arcybiskupi i biskupi, wojewodowie, kasztelani, ministrowie koronni i litewscy. Do r. 1569., t. j. do unii lubelskiej, istniał osobny senat polski i osobny litewski, dopiero unia połączyła oba w jeden. W miarę dalszego powiększania się państwa i przybywania nowych prowincyi zwiększała się liczba senatorów tak, że przy końcu Rzeczypospolitej senat liczył 146 osób, a mianowicie: dwu arcybiskupów (gnieźnieńskiego i lwowskiego), 15 biskupów, 37 wojewodów, 82 kasztelanów i 10 ministrów. Ministrowie dzielili się na koronnych i litewskich, a byli nimi: marszałek w(ielki) k(oronny), marszałek

w. lit(ewski), kanclerz w. k., kanclerz w. lit., podkanclerzy kor., podkanclerzy lit, podskarbi kor., podskarbi lit., marszałek nadworny kor., marszałek nadw. lit. Wszystkich senatorów mianował król, któremu nowomianowani składali przysięgę, iż mu udzielać będą „wiernych rad". Król zwoływał senat nietylko w czasie sejmu walnego, a więc równocześnie z izbą poselską, ale także mimo sejmu; wtedy atoli mógł przywoływać do rady tych tylko senatorów, których sam chciał. Od r. 1573. rezydowali przy boku króla stale czterej senatorowie, a mianowicie jeden arcybiskup lub biskup, jeden wojewoda i dwaj kasztelani, bez których zezwolenia król nie mógł nic ważniejszego przedsiębrać. Senat, w komplecie zwołany, zasiadał w izbie senatorskiej, która miała kształt prostokąta; wzdłuż obu boków dłuższych stały krzesła dla senatorów t. zw. krzesłowych, a za rzędem krzeseł rząd ławek dla senatorów t. zw. drążkowych; przy jednym z krótszych boków tego prostokąta był tron królewski, a po stronie przeciwległej siedzenia dla ministrów. Podczas obrad senatorowie objawiali swe zdania porządkiem starszeństwa w godności senatorskiej, a więc pierwszy arcybiskup gnieźnieński, po nim lwowski, potem biskup krakowski, dalej kujawski i t. d. Między senatorami stanu świeckiego pierwszym był kasztelan krakowski, drugim wojewoda krakowski na równi z poznańskim, trzecim wojewoda wileński i t. d. Z kasztelanów pierwszym był poznański, drugim sandomirski, trzecim kaliski i t. d. Ten porządek ustaliły zwyczaj i ustawa. W senacie zasada jednomyślności nie obowiązywała; w razie równości zdań król przechylał się zazwyczaj do zdania, za którem stali senatorowie najznaczniejsi.

Gdy sejm walny miał się odbyć, zarówno senatorowie, jak i posłowie ziemscy, otrzymywali zawiadomienia; senatorom posyłał król t. zw. deliberatorya, t. j. listy z wymienieniem spraw, które miały być przedmiotem obrad, posłów wzywał t. zw. uniwersałami. Sejmy walne bywały ze względu na czas zwołania zwyczajnymi lub nadzwyczajnymi. Pierwsze odbywały się od r. 1573. co 2 lata, w porze jesiennej, drugie zaś (ekstraordynaryjne) w razie potrzeby. Miejscem sejmu był początkowo Piotrków, — później, gdy na sejm zjeżdżała Litwa, miasta Lublin i Parczów, a od roku 1569. Warszawa. Konstytucya z r. 1673. zmieniła tę rzecz o tyle, że postanowiła, ażeby po dwu sejmach w Warszawie trzeci odbywał się w Grodnie. Sejmy koronacyjne odbywały się w Krakowie.

Z JESIENI.



H. Alchimowicz, Przy świetle księżyca.

Sejm rozpoczynał się uroczystem nabożeństwem, po którem posłowie odprowadzali króla do jego komnat, a stamtąd udawali się do Izby poselskiej. Na pierwszem posiedzeniu Izby przewodniczył marszałek poprzedniego sejmu i rozpoczynał od zarządzenia wyboru nowego marszałka. Marszałkami wybierano kolejno: Wielkopolanina, Małopolanina i Litwina. Przy wyborze marszałka rozstrzygała większość głosów; mimo to jednak niekiedy już przy tym wyborze zrywano sejmy. Nowoobrany marszałek składał przysięgę, poczem otrzymywał laskę z rąk swego poprzednika. Władza marszałka Izby poselskiej była obszerną, gdyż nietylko przewodniczył obradom, otwierał i zamykał posiedzenia, poddawał wnioski pod obradę i gło-

sowanie, ale także sprawował sądownictwo nad posłami i ich służbą przez cały czas trwania sejmu. Za funkcyę swą pobierał marszałek w XVII. w. 40.000 złp., a od początków XVIII. w. nawet 60.000 złp. Marszałka w razie tegoż przeszkody zastępował pierwszy godnością poseł z jego prowincyi Marszałek mianował pisarza czyli sekretarza sejmowego, który jednak nie był posłem, ale szlachcicem osiadłym i pobierał 10.000 złp.

(C. d. n.)

Dr. Alojzy Winiarz.

Polowanie.

Bajka.

Pielęgnować ideały każdy z nas bliźniemu radzi,
Sam pod tym względem
Obsadzając jak najrzadziej
Własną grzędę.
Kochamy prawdę — w innych; lubimy, jeżeli
Bliźni ufność ku nam żywi,
Ale wyprowadzać w pole
Ufnych — samiśmy łapczywi.
Nawet co do mnie: jak anieli
Żyję — potulnie, skromnie, a również wolę
Do czynienia mieć z lepszym. Będąc w szkole
(Ach jakże mi łzawo,
Gdy wspomnę o tamtych czasach),
Czytałem (oczywiście pod ławą)
Następujące podanie.
Dwaj Indyanie:
Łatany Wigwam i Ogon Szakali —
Tak się zwali — polowali w Pampasach
Na antylopy
I, nie wiedzący o sobie nawzajem,
Szli różnymi tropy.
Ze skóry antylopiej każdy miał ubranie,
Co jest Indyan obyczajem,
Żeby w czujnem zwierzęciu wzbudzić zaufanie.
Płochliwa antylopa, widząc kształt kamraci,
Zbliża się, nieświadoma zdrad, — i życie traci.
Tu przerywam bajki nitkę,
Nadmieniając, jak jest brzydkie
Podobne wyzyskiwanie stworzeń, których
Jedyną obroną — chyżość nożna.
Tak niemożna!
Ja za to ganię czerwonoskórych, —
To jest, ganiłem (wtedy) i cieszyło mnie wielce,
Że słono zapłacili za to — wisielce.
Bo kiedy po jednym pełzli obaj tropie
Z dwu krańców przeciwległych, a przeto
Jeden drugiemu był jakoby metą,
Naraz ujrzeli własne larwy antylopie,
Wyzierające z trawy. W każdym serce pika
Z wesela, każdy mu mniemanie,
Że do smakolyka
Wysyła strzał jadowity, —
Aliści sobie zadają po ranie.
I wyśmienitej nie jadłszy pieczeni,
Sami byli zjedzeni
Przez termity.

Jan Lemański.

Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego

(z mapą).

(Ciąg dalszy).

I. Mieszkańcy i okolice nad Wisłą

Ziemia to odwiecznie polska. Przeważnie zamieszkują ją też Polacy. Napływowa ludność niemiecka, przeważnie rzemieślnicza, już od 600 lat, a zwłaszcza od pierwszego rozbioru Polski, przychodziła i osiedlała się przeważnie po miastach. Nadto jest w W. Ks. Poznańskiem około 80.000 Żydów, którzy głównie po miastach zajmują się wyłącznie handlem, a tylko w małej części fabrykami. Ze wszystkich prowincyi w Prusiech ma W. Ks. Poznańskie największą liczbę Żydów. Niemcy są przeważnie protestantami, Polacy ogólnie katolikami. Nad granicą brandenburską i w powiecie wschowskim są też Niemcy katolicy; ewangeliccy chłopi polscy mieszkają nad granicą Ślązka.

Mieszkańcy trudnią się przeważnie rolnictwem. W ostatnim czasie podniosło się też sadzenie i pielęgnowanie drzew owocowych. Sławne niegdyś bartnictwo zniweczało zupełnie wśród napadów szwedzkich, brandenburskich, nawet moskiewskich. W najnowszych czasach czynią usilne starania około podniesienia tej gałęzi gospodarstwa wiejskiego.

Rzeki i jeziora są dość rybne dzięki ochronie ryb. W lasach rządowych i lasach wielkich majątków, należących do osób prywatnych, panuje gospodarstwo wzorowe. W licznych hutach szklanych i cegielniacn znajduje zatrudnienie wielu robotników. W ostatnich czasach pobudowano wiele gorzelni, browarów, cukrowni i innych fabryk. Wielką jest liczba miasteczek, z których wiele nie ma więcej nad 1000 mieszkańców.

Wisła płynie wzdłuż granicy W. Ks. Poznańskiego tylko na krótkiej przestrzeni. Przybiera z lewej strony Brdę pod Bydgoszczą i odtąd kierunek północnozachodni, w którym płynęła, zmienia na północny kierunek. Na wiosnę, a czasem i około św. Jana, wzbiera gwałtownie i na nizinach zrządza wielkie szkody. Brda powstaje w Prusach Zachodnich; w dalszym biegu płynie przez Koronowo i Bydgoszcz, odtąd jest spławna dla statków i wpada pod Fordonem do Wisły. Przy ujściu Brdy do Wisły jest port, który służy za bezpieczną przystań dla tratw i statków.

Tak wzdłuż Wisły, jak i Brdy, ciągną się pasma wzgórz, które w znacznej rozciągłości pokrywa sosnowy las, mianowicie nad Brdą Pod Koronowem znajduje się kopalnia węgla brunatnego. Po obu stronach Brdy ciągną się rozległe piasczyste przestrzenie; podobne obszary piasku ma i Wisła po lewej swej stronie, począwszy od Królestwa Polskiego aż do Czerska i Fordonu; ale niziny nadwiślańskie, zwane Żuławami, mają bardzo urodzajną ziemię, bujne łąki i żyzne patwiska. Żuławianie nadwiślańscy wysyłają przeto wielką ilość mleka, masła, sera, jarzyn, zboża i owoców w dalekie strony.

Kanał bydgoski łączy Brdę z Notecią. Ciągnie się od Bydgoszczy aż w pobliże Nakła i ma 4 mile długości. Na najwyższym punkcie tego kanału leży ósma śluza. W miejscu tem kanał zasila woda górnej Noteci, która jest położona wyżej od kanału. Na całej długości kanału znajduje się 10 śluz cz. zamknięć, każda opatrzona 2 bramami, z których jedna służy do podniesienia stanu wody w korycie kanału, druga do zatrzymania wody, celem wpuszczenia tratew lub statków do wnętrza, zawartego między obiema bramami.

Bydgoszcz (Bromberg) już w XIV. w. była znacznem miastem handlowem. W drugiej połowie XVIII. w. podupadła znacznie i w czasie pierwszego podziału Polski miała zaledwie 1000 mieszk. Obecnie jest miastem departamentowem i ma 45.000 mieszk. Tu znajdują się: rejencya, sąd ziemiański, wyż. dyrekcya poczty i kolei żel.; są tu gimnazya łacińskie, realne szkoły, zakłady dobroczynne, kilka szkół miejskich i protestanckie seminaryum dla nauczycieli i dla nauczycielek. Jest też znaczna załoga wojskowa. Katolicki kościół farny, który leży nad samą Brdą, jest dość obszerny; większym od niego jest kościół pojezuicki. Położony w najpiękniejszem miejscu, przy starym rynku, tworzy z gmachami pojezuickimi jeden bok rynku. Dawniej miał dwie piękne wysokie wieże, ale te zwaliła burza w roku 1848.; dotąd też ich nie odbudowano. Bydgoszcz prowadzi znaczny handel drzewem i zbożem, którego wielką ilość mielą codziennie młyny królewskie, położone nad Brdą. Stare zwaliska zamku bydgoskiego są podziśdzień widoczne, chociaż zachowały się już tylko w bardzo małej części. Wzgórza t. zw. szwedzkie upiększone są klombami drzew i ścieżkami, w wielkim porządku utrzymywanemi. Stąd roztacza się prześliczny widok na miasto.

Koronowo (Krone a. Br.), w pięknem położeniu nad Brdą, ma 4000 mieszk. Znajduje się w niem więzienie karne, na które zamieniono gmachy dawniejsze bardzo bogatego klasztoru Cystersów. Fordon, w pobliżu ujścia Brdy do Wisły, zamieszkują przeważnie Żydzi. W nim znajduje się zakład karny dla kobiet. Na południe od Fordonu leżą szańce, zwane szwedzkimi. Solec (Schulitz), miasteczko nad Wisłą w okolicy piaszczystej i leśnej, trudni się handlem drzewa i tarciem desek.

(C. d. n.)

Szkice z zakresu estetyki.

VI.

Barwy w malarstwie.

(Dokończenie)

Malarz Runge wyznaczył trzem barwom zasadniczym: żółtej, czerwonej i niebieskiej stanowiska następujące. Żółta, jako najbliższa białej, zaczyna szereg barw t. zw. gorących, który poprzez pomarańczową (rozdzielającą się znów na czerwonożółtą i żółtoczerwoną) ciągnie się aż do czystej czerwieni; natomiast niebieska, sąsiadująca z czarną, zaczyna szereg barw t. zw. zimnych, który poprzez fiolet (naprzód czerwononiebieski, następnie niebieskoczerwony) dochodzi również do czerwieni; czerwień sama stanowi styczną obu szeregów. Wreszcie po stronie przeciwnej zieleń, jako barwa, wynikająca ze zmieszania żółtej z niebieską, zamyka to koło barw.

O wrażeniu barw poszczególnych Goethe poczynił uwagi następujące: Żółta wywiera zawsze wrażenie jasności, wesołości i ciepła, dlatego właściwą jest oświetlonej części obrazu. Uwagę tę należy ograniczyć o tyle, że stosownie do swego charakteru każdorazowego może niekiedy oddziaływać zimno, taksamo jak złota, w której Goethe uznaje szczyt barwy żółtej. Natomiast jest faktem, że barwa żółta jest bardzo wrażliwą na wpływ materyału; szorstka materya przyćmiewa ją, jak można się przekonać na wełnie w przeciwieństwie do jedwabiu. Barwy czerwonożółtej (pomarańczowej) nie należy za Goethem uważać za spotęgowanie i wzmocnienie żółtej, lecz raczej za jej przyćmienie i przejście do czerwieni. Barwie żółtoczerwonej (cynobrowi) właściwą jest ogromna siła tak, że nawet wsród dość znacznej ciemności robi wrażenie. Silni, zdrowi, prości ludzie, w wielkiej mierze dzieci i ludy dzikie, lubują się przeto w tej barwie, a nawet na źwierzęta działa ona pobudzająco.

Przeciwnie barwa niebieska ma charakter czegoś wybitnie ciemnego, chłodnego, uspokajajacego; jest to barwa cieni, głębi i dalekich planów; przy dodaniu nieco zieleni nabiera przyjemniejszego wyglądu jako barwa morza. Barwy czerwononiebieskiej (fioletu) znów nie możemy pojmować jako wyższego stopnia, tylko raczej jako przyćmienie; nawet rożcieńczenie do barwy bzu (lila) nie odbiera jej owego chłodu. Natomiast barwa niebieskoczerwona (purpura) działa pobudzająco, gdy występuje w całej swej potędze.

Oba szeregi łączą się w czystej czerwieni (karminie) jako w swym punkcie szczytowym. Ta bowiem barwa wywoływa wrażenie wspaniałości i dlatego zwykle używają jej jako symbolu władzy; odcień różowy, słabszy jej stopień, można nazwać barwą młodości. Zresztą stosownie do tego, czy podkreślamy więcej zimne czy ciepłe tony czerwieni, można ją urozmaicać do nieskończoności. Zieleń, połączenie barwy żółtej i niebieskiej, oddziaływa taksamo, jak barwa niezłożona, t. j. wywoływa wrażenia zadowolenia i sytości, gdy oba składniki równoważą się zupełnie. Barwy białą i czarną, które w kolorystyce mają doniosłe znaczenie jako punkty ogniskowe najwyższej siły światła i największego spokoju, Goethe pomija milczeniem. Rzecz to bardzo charakterystyczną.

Fizyologicznie tłumaczy się ta rozmaitość wrażenia, wywieranego przez poszczególne barwy, rozmaitością natężenia fal świetlnych, które umożliwia spostrzeganie barw owych. Najmniejszej siły potrzebują promienie zielone, ażeby wywołać wrażenie światła w naszem oku; około $1\frac{1}{2}$ raza silniejszem musi być drganie eteru, przy promieniach zielononiebieskich, 3—4 razy przy niebieskich, 15—17 przy żółtych, a najsilniejszem, bo 25—34 razy tak silnem, przy czerwonych, jeżeli chcemy odnieść z nich wrażenie światła.

Dalej barwy swem rozmaitem zestawieniem wywołują różne wrażenia barwne. Rozstrzygającym jest tu przedewszystkiem ten moment, że człowiek nie zadawala się widokiem jednej barwy, ale zaraz uczuwa potrzebę dopełnienia jej sobie tą, z którą ona tworzy dopiero harmonijną całość: żołtej fioletem, niebieskiej pomarańczową, czerwieni zielenią i naodwrót. Są to t. zw. barwy dopełniające (Complementärfarben).

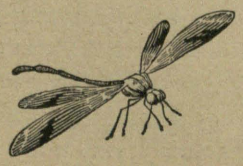
Inne zestawienia barw, które Goethe nazywa charakterystycznemi w przeciwieństwie do owych harmonijnych, budzą pewne wrażenia odmiennego rodzaju, chociaż brak im spokoju, który bije ze skończonej całości. Umieszczając obok siebie osobno te barwy, z których połączenia powstają barwy mieszane, a więc barwy pośrednie owych trzech zasadniczych, zmuszamy oko widza do tworzenia sobie samoistnego tych barw mieszanych; ale to osiągniemy tylko wtedy, gdy widz będzie patrzył zdaleka na te drobniuchne plamki barwne, ułożone obok siebie bez przerwy. Takiego oddalenia wymagają też obrazy wielu dzisiejszych t. zw. impresyonistów. Mamy zaś cztery takie zestawienia barw: żółta i niebieska to zestawienie najprostsze, ale też najuboższe we wrażenia, bo brak mu choćby krzty czerwieni, natomiast najbliższe jest zieloności wrażeniem spokoju; żółta i karmin oddziałują wesołością i wspaniałością, podobnie cynober, chociaż wyłącznie ciepłe tony składają się na to zestawienie; niebieska i karmin odpowiadają purpurze ze strony tonów zimnych; wreszcie cynober i purpura działają pobudzająco i przypominają karmin. Zestawianie barw, bardzo blizkich sobie, ma często swój cel w obrazach, ale w ogóle odczuwamy je mało; zieleń z żółtą barwą z jednej, a z niebieską z drugiej, nawet rażą zwykle.

Zestawienia tonów jasnych z ciemnymi wytwarzają dalszą rozmaitość, przyczem doświadczenie uczy, że barwy gorące zyskują na sile świetlnej w sąsiedztwie czarnej barwy, a zimne tracą pod tym względem; natomiast drugie ożywiają się w sęsiedztwie białej. Karmin i zieleń przy czarnej wyglądają ciemno i ponuro, przy białej zaś wesoło.

Barwy zasadnicze: czerwoną, żółtą i niebieską, można mieszać parami; wszystkie trzy zazem dają szarą. Barw pośrednich: zielonej, pomarańczowej i fiołkowej, natomiast niemożna razem mieszać, bo przez dodanie częściowe barwy trzeciej brudzą się zupełnie! Ale wzięte razem rozpływają się również w szarej, bo wtedy barwy zosadnicze znów występują z równą siłą. Zestawienia takie, jak niebieskawo-pomarańczowa barwa, czerwonawa zieleń lub żółtawy fiolet, dziś już wprawdzie nie rażą tak, jak raziły Rungego, ale zawsze tkwi w nich coś odtrącającego i wyzywającego.

Wszystkich tych barw, ich właściwości w odosobnieniu i tych, które wynikają z ich mieszania i łączenia, może malarz używać celem przedstawiania pewnych zjawisk przyrodniczych, a dalej celem wyrażenia pewnych wrażeń, które spoczywają w jego duszy. Jak w przyrodzie przeciwieństwo zimnych cieni do ciepłego światła wywoływa ustosunkowanie się pewne obu gatunków barw, tak i malarz stara się w obrazie o równowagę obu nastrojów, przyczem stosownie do swego celu jużto używa więcej gorących tonów, gdy mu chodzi o ożywienie obrazu, jużto zimnych, aby wyrazić spokój głęboki. Im silniejsze pragnie wywrzeć wrażenie, tem skąpiej wprowadza barwy dopełniające. Przy wyborze zaś barw, które winny przeważać w obrazie, trzeba pamiętać o tem, że im ich mniej, tem potężniejszem wrażenie; używanie wielkiej ilości barw świecących wywoływa wprawdzie wrażenie świetności i blasku, ale dzieje się to po części tylko z ujmą pierwotnej siły wrażenia, jakie obraz wywiera na widzu.

Z Woldemara Seidlitza.



Główne metody astronomii fizycznej.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli dość długo zdejmujemy pewną część nieba, otrzymamy mnóstwo drobnych gwiazd na płycie fotograficznej. Im dłuższa ekspozycya, tem więcej gwiazd pokaże się na płycie. Toteż myśl powstała złożenia z fotografii atlasu nieba, w którymby uwzględniono wsystkie gwiazdy aż do gwiazd 14-go stopnia. To przedsięwzięcie stanowi nową epokę w astronomii gwiazd. Przyrzeka nam mapę z 30—40 milionami gwiazd -- świetny środek oryentacyjny przy odszukiwaniu małych płanet, odkrywaniu małych gwiazd itd., a na dalszym planie — szerokie pole pracy nad budową naszego układu gwiaździstego. Każdą część nieba będzie się fotografować dwa razy. Na zdjęciu drugiem – z ekspozycyi mniejszej — powinny uwidocznić się nawet gwiazdy 11-go stopnia. Stanowiska ich wymierzy się następnie starannie i wpisze w katalog, który będzie zawierał do 3 milionów liczb porządkowych, podczas gdy katalog międzynarodowego Towarz. astronomicznego, opracowywany przez kilka obserwatoryów od r. 1869., wykazuje do ćwierci miliona gwiazd ledwie.

Przy pomocy fotografii odkryto mnóstwo małych płanet, t. zw. asteroidów. Małe te części składowe naszego układu słonecznego nie różnią się na zewnątrz niczem od gwiazd drobnych. Dla odkrycia ich trzeba stwierdzić ich pomieszczenie i w tym celu poczynić szereg pomiarów co do wzajemnego rozmieszczenia gwiazd, tymczasem na płycie fotograficznej widać zwykle płanetę odrazu — ponieważ płaneta poruszając się wystepuje jako mała kreska, podczas gdy gwiazdy okrążające przedstawiają się w postaci kropek. Jeżeli czas ekspozycyi był z jakiegokolwiek powodu za krótkim, to płaneta ostatecznie przedstawi się też jako kropka, ale w takim razie często wystarczy dokonać jeszcze jednego zdjęcia z tej samej części nieba, ażeby przez porównanie obu, przyczem nakłada się jedno zdjęcie na drugie stwierdzić stanowisko płanety.

Jednem z najciekawszych zadań współczesnej astronomii jest badanie gromad gwiazd. Bezpośrednie pomiary nawet najjaśniejszych gwiazd w obfitej gromadzie są rzeczą żmudną i zabierają za wiele czasu, tymczasem foto-

grafia daje nam świetne zdjęcia ze wszystkimi drobnymi szczegółami, które łatwo można wymierzyć pod drobnowidzem w pracowni każdej chwili, przyczem wszystkie uzyskane stanowiska gwiazd będą dotyczyły chwili dokonania zdjęcia. Zajmującym przykładem tego rodzaju prac jest pomiar, dokonany przez prof. Scheinera na znanej kulistej gromadzie w konstelacyi Herkulesa, owego potężnego systemu słońc, tak dalekiego, że nawet w silnych dalekowidzach gwiazdy jego przedstawiają się nam w zbitej masie, jakgdyby świetlane ziarnka perłowe. Dziś zaś posiadamy mapę tej gromady i katalog dokładny rozmieszczenia 833 najwybitniejszych w niej gwiazd.

Wielkie znaczenie posiada fotografia w badaniu słońca. Kto raz przynajmniej spojrzał przez dalekowidz na to ciało, wie, jak złożoną budowę wykazuje jego powierzchnia. Żaden artysta nie potrafi oddać dokładnie obrazu tego wiecznie wrącego, płomiennego oceanu, tymczasem na płycie fotograficznej promień światła utrwala wszystko sam w $^1/_{1000}$ sekundy. Fotografia daje nam nadto o wiele więcej szczegółów, niż można widzieć przez dalekowidz, i wystarczy porównać fotografie, otrzymywane kolejno w nieznacznych odstępach czasu, ażeby wyrobić sobie wyobrażenie o strasznych przewrotach na powierzchni słońca, o jakich zjawiska ziemskie nie mogą dać najmniejszego pojęcia.

Zdjęcie fotograficzne jest pewnego rodzaju dokumentem. Mając je, możemy zawsze określić zjawisko, na którego podstawie uczyniono pewien wniosek. Tymczasem to, co widzimy w dalekowidzu, przepada dla nas często na zawsze, skoro tylko przerwiemy badanie. Należy i to podnieść, że płyta fotograficzna przekazuje nam zjawisko przedmiotowo tak, jak ono odbywało się w rzeczywistości, a nie tak, jak przedstawiało się badaczowi, lub jak on potrafił je narysować.

Postępy fotografii astronomicznej w ostatnich czasach są niezwykle wielkie i w człowieku, nieobznajomionym ze szczegółami, mimowoli może obudzić się podejrzenie, że wkrótce przyjdzie czas, kiedy wszystkie badania zejdą na fotografowanie.

Ale daleko jeszcze do tego.

W dzisiejszych czasach tak metoda badań naocznych, jak i fotografia, przedstawiają się jako zupełnie równouprawnione, każda ma swoje zalety i swe braki. Jeżeli fotografia oddaje nieocenione zasługi przy badaniu przedmiotów słabo widzialnych i ogonów komet, mgławic, gromad gwiazd, jeżeli przy pomocy fotografii udało się astronomowi francuskiemu P. J. C. Jansinowi (ur. 1824, dyr. obserw. w Meudonie) stwierdzić zadziwiające szczegóły na powierzchni słońca, to naodwrót wszelkie próby fotografowania księżyca, a tem bardziej płanet nie zadawalają dotychczas.

Że fotografia oddała wielkie usługi w badaniu przedmiotów, słabo widzialnych, to pochodzi stąd, że tam punkt ciężkości leży nie w drobnych szczegółach, ale w fakcie samym istnienia tych ciał, w ich ogólnym kształcie i głównych kierunkach ich budowy. Na gwiazdach nie widzimy szczegółów taksamo przy fotografowaniu, jak w dalekowidzu. Dla nas ma wartość ich położenie. Na płycie fotograficznej gwiazdy nie występują jako kropki wyraźne, lecz jako kółka, mimo to można obliczyć dość dokładnie położenie ośrodków tych kółek.

Spektroskop daje nam wyniki zupełnie odmienne.

Przy pomocy tego przyrządu nie rozpatrujemy bezpośrednio ciała niebieskiego, lecz przeciwnie badamy skład pęku promieni, który ono wydaje z siebie, i wnosimy zeń o chemicznym składzie samego ciała. Analiza spektralna (rozbiór widma), według wyrażenia pewnego popularyzatora niemieckiego, jest językiem wszechświata. I rzeczywiście — nauczywszy się czytania tego abecadła światowego, dowiedzieliśmy się o rzeczach, na które zewnętrzny wygląd ciała niebieskiego nie wskazywał bynajmniej. Dziś wiemy, z jakich materyi składa się atmosfera słońca, jakie materye wchodzą w skład tej lub innej jasnej gwiazdy, z czego składają się komety, mgławice; przy pomocy spektroskopu przekonaliśmy się, że wiele mgławic nie jest niczem innem, jak gromadą gwiazd, których przez dalekowidz nie możemy rozróżnić li dlatego, że znajdują się od nas wcale daleko. Poznanie widm gwiazd pozwoliło ustanowić klasyfikacyę ich i poczynić pewne uogólnienia, które jasno dowodzą ogólnej idei, jedynego, wspaniałego planu w budowie wszechświata.

Nie dość na tem! Przy pomocy spektoskropu możemy badać bezpośrednio protuberancye (zaburzenia) na powierzchni słońca,

które przedtem widywano li przez krótką chwilę zupełnego zaćmienia słonecznego. Spektroskop umożliwia nam także wydawanie sądu o ruchach ciała niebieskiego. Dziś nietylko wiemy, że protuberancye składają się z rozżarzonego wodoru i różnych kruszców, lecz także możemy obliczyć chyżość, z jaką powstają te straszne wybuchy na powierzchni słońca. Nie wiemy wogóle nic o odległości gwiazd od nas, tymczasem spektroskop umożliwia nam orzekanie o ich ruchach na podstawie widma. Widmo gwiazdy, jak wiadomo, przedstawia się jako barwny prążek, poprzerywany w poprzek kreskami ciemnemi. Te kreski charakteryzują skład chemiczny zewnętrznej osłonki gazowej ciała świetlnego, ich miejsce pomiędzy barwami widma wskazuje ruchy ciała tego. Jeżeli kreski ciemne w widmie gwiazdy w porównaniu z widmem nieruchomego źródła ziemskiego nagromadzą się przy granicy czerwieni, oznacza to, że gwiazda oddala się od nas, — przeciwnie, jeżeli przesuną się ku granicy fioletu, to gwiazda zbliża się ku nam. Na tem polega t. zw. zasada Dopplera*), przy której pomocy dokonano w naszych czasach tyle zdumiewających odkryć. (*D. n.*)

K. Pakrowski.

Rozstrzygnięcie konkursu II.

W odpowiedzi na temat „Dlaczego uważamy Adama Mickiewicza za największego poetę polskiego?“ nadesłano 7 prac.

Komisya, zaproszona do ocenienia tych prac i wyznaczenia nagród, przyznała pierwszą nagrodę („Wybór pism E Orzeszkowej“ w 4. t.) Stelli Starklównej we Lwowie, drugą (2 t. „Pism pośmiertnych“ B. Zaleskiego) Eleazarowi Bykowi we Lwowie, trzecią („Wybór poezyi“ Asnyka) Jadwidze Petrolewiczównej w Kołomyi, czwartą (M. Konopnickiej: „Mickiewicz, jego życie i duch“), autorowi pracy pod godłem „Stach Rola“, nadto zaś dodatkowo piątą nagrodę Bojarowiczowi (Batorowi). Na tę dodatkową, nie objętą konkursem nagrodę, wybrano „Złote myśli A. Mickiewicza“, zebrane i wydane przez J. Nogaja.

Komisya kierowała się przytem nietylko względem na trafność sądu, ale i samodzielność autorów. Dotyczy to przedewszystkiem pracy pod l. 3., która bezwzględnie powinnaby otrzymać nagrodę pierwszą, ale z powodu zbyt wielkiej zależności od dziełka Konopnickiej, przezuaczonego przez nas na czwartą nagrodę, musiała ustąpić miejsca innym.

Redakcya.

*) Chrystyan Doppler, matematyk i fizyk (1803—53), wyłożył w r. 1842 prawo, dotyczące wpływu, jaki na poczucie pewnego ruchu falowego wywiera przesuwanie się źródła tego ruchu, lub też przesuwanie się organu, przejmującego to wrażenie; prawo to stosuje się do wszelkich objawów ruchu falowego, zarówno do głosu, jak i do światła.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 126. Kto to jest L. M. Tołstoj?

Nr. 127. Co znaczy nazwa Syngapur?

Nr. 128. Kto i jaką drogą zabrał się u nas do reformy wymowy, wypaczonej błędami wieku XVII.?

Nr. 129. Co to jest elektrotechnika?

Nr. 130. Co to jest Rada państwa, jaki skład jej, prawa i zadania?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: K. Świetli „Nowele“ i „Historya kawałka węgla“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 28. września b. r. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 121—5.

Nr. 121. Sierpień (od sierpa) miesiąc żniw; październik (od październy) m. obróbki lnu; listopad m. padanie liści; grudzień (od grudy) m. mrozu i zimy.

Nr. 122. Około połowy VI. prz. Chr. urodził się w kraju i rodzinie Sakiów (w Indyach) królewicz Siddhattha (dosł. ten, który osiągnął swój cel), który po wielu latach askezy i rozmyślań poczuł w sobie powołanie do głoszenia nowej religii i jako „Przebudzony“ (Buddha), lub też pod rodowym przydomkiem Gotamy, działał do 81. r. ż.; po śmierci nazwawo go Sakiamunim t. zn. mędrcem z rodu Sakiów. Stworzył religię, zwaną buddhyzmem, która liczy najwięcej wyznawców ze wszystkich na świecie.

Or. 123. Zakon OO. Paulinów, zwany też pustelniczym i wywodzący swój początek od św. Pawła, pierwszego pustelnika, powstał w XI. w. na Węgrzech, gdzie św. Andrzej Zoërard z Polski rzekomo pierwszy wywołał naśladowców tego sposobu życia. Zatwierdzony w r. 1309. na podstawie reguły św. Augustyna,

osiadł w Polsce 1382 r. w Częstochowie na Jasnejgórze, gdzie mu Władysław, książę opolski, wystawił klasztór, macierz 16 innych w Polsce; dziś liczy tylko 2 w Częstochowie i w Krakowie na Skałce (od r. 1472.)

Nr. 124. Mgławice są to roje ciał niebieskich, które wskutek zbyt wielkiego oddalenia wyglądają niby mgły pomiędzy bliższemi gwiazdami na niebie.

Nr. 125. Muzea polskie: a) pamiątek polskich i sztuki — narodowe i Czartoryskich, oraz Dom Matejki w Krakowie, Lubomirskich, połączone z Zakładem narod. im. Ossolińskich, we Lwowie, Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu, miejskie w Warszawie, Branickich w Wilanowie, narodowe polskie w Rapperswylu, Kopernika w Rzymie; b) przemysłowe we Lwowie, Krakowie i Warszawie; c) przyrodnicze — Dzieduszyckich we Lwowie, Tow. przyrodników im. Kopernika w Krakowie; d) ludoznawcze — Tow. ludoznawczego we Lwowie, a jego oddziałów po prowincyi, pokuckie hr. Starzeńskiego w Kołomyi, huculskie w muz. Dzieduszyckich we Lwowie, przy przemysłowem i przy Akademii umiej. w Krakowie, przy przemysłowem w Warszawie, wołyńskie w Żytomierzu; e) starożytności kościelnych przy kapitułach krakowskiej i włocławskiej

Trafne odpowiedzi nadesłali do 13. b. m

(wszystkie) Auditor, Kobierzycki i Wietor (wyborne), Stamm; (22—5) Bloch, Cetnarski, Otfinowski; (22 4) Prajer, Prajerówna; (22, 24—5) Chrzanowski, Saulida; (22—3) Masiuk; (22) Pordes.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Presser („Chiny i Chińczycy“), Otfinowski (Korzeniowskiego „Kolokacyę“) i Kobierzycki (Kukuczyna „Obrazki i nowele“).

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Do wszystkich Czytelników. Ojczyznę swą każdy powinien znać jak najlepiej. Niestety rozdział ojczyzny naszej na 3 części sprawił, że w szkole mamy do czynienia z Galicyą, Poznańskiem i Król. Polskiem, jako częściami 3 państw zaborczych, a i przy tym systemie zaledwie Galicyę poznajemy dokładniej. Chcąc uzupełnić te braki, rozpoczęliśmy w nrze poprzednim druk „Opisu W. Ks. Poznańskiego“, a dla objaśnienia go dołączamy do nru bieżącego jako dodatek bezpłatny dla przedpłacicieli pisma naszego (za kwartał III.) mapę polską W. Ks. Poznańskiego.

Sądzimy, że Czytelnicy nasi powitają krok nasz z uznaniem, a mapka odda im należyte usługi przy ocenianiu stosunków naszych pod zaborem pruskim, o których dzienniki piszą bezustannie.

Bol. Bat. Uwagi i krytykę przyjmujemy zawsze z wdzięcznością do wiadomości i staramy się uczynić im zadość. O sprawozdania z naszego współczesnego ruchu naukowego i literackiego postaraliśmy się i nawet początek był w jednym z nrów pierwszych b. r. Niestety tak autor rubryki „Nowych książek“, jak i ten, który pisał o najnowszem naszem piśmiennictwie dramatycznem, musieli zaprzestać na razie dalszego prowadzenia tej rzeczy z powodu nawału innych zajęć. Mimo to drugi drukuje przecie w „Przyj. mł.“ rzecz o Sienkiewiczu, a pierwszy rozpocznie w kwartale IV. szkice o poetach współczesnych: Gomulickim, Kasprowiczu, Tetmajerze, Żuławskim i in., a zapewne wróci też do „Nowych książek“. O dramatach Wyspiańskiego także pomówimy wkótce. Za życzenia i obietnice dzięki. *W. Pr. w B.* Nagrodę polecono wysłać. — *Sfinks.* Z owadów odszukaliśmy na razie Callidium violaceum = ściga; o resztę zapytamy zawodowców. *E. St. w T.* Języka uczymy się najlepiej przez czytanie utworów, pisanych prozą, a więc wypada czytać utwory prozaiczne Goethego, Schillera Herdera i Lessinga przedewszystkiem, oraz powieści nowszych pisarzy (Eschenbachowej, Freitaga, Spielhagena, Heysego i in.). Najlepszy podręcznik szachowy Dufresne'a „Lehrbuch d. Schachspiels“ (wyd. Reclama nr. 1411—5 1 20 *k.*); zupełne wydania klasyków łać. i gr. ogłasza Teubner w Lipsku, sprowadzi je na żądanie każda księgarnia, n. p. Gebethnera i Spki w Krakowie lub Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie. *Wietor.* Listy nasze się rozminęły.

OD ADMINISTRACYI.

Prosimy o odnowienie przedpłaty na kwartał IV. wszystkich tych, którzy nie uczynili tego dotychczas. Tym, którzy zalegają z przedpłatą za kwartał III., wstrzymujemy wysyłkę.

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 17.—18. (podwójnego): *L. M. Tołstoj*, Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy (powiastka). — ***, Listy z podróży na Wschód daleki (Ciąg dalszy). — *A. Winiarz*, O sejmach w Polsce, IV. — *Jan Lemański*, Polowanie (bajka, wiersz). — Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (Ciąg dalszy). — *W. Seidlitz*, Szkice z zakresu estetyki, VI. Barwy w malarstwie (Dok.). — *K. Pakrowski*, Główne metody astronomii fizycznej (Ciąg dalszy). — Rozstrzygnięcie konkursu II. — Zagadnienia naukowe, skrzynka pocztowa Redakcyi i Administracyi. — Dodatek bezpłatny (osobno): Mapa Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pl. Bernardyński 7.

We Lwowie 1. października 1900.



Rok II.

Nr. 19.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

POŚWIĘCONO PAMIĘCI

KS. STANISŁAWA KONARSKIEGO S. P.

w 200. rocznicę jego urodzin.

Żeby człowiek nie o fałszywą, ale rzetelną, nie o powierzchowną dla oka ludzkiego, ale o wewnętrzną starał się poczciwość, największą ma do tego przyczynę siebie samego, to swoje własne dobro: bo od rzetelnej i wewnętrznej poczciwości i pokój sumienia jego i stateczna jego imienia reputacya u ludzi i duszy jego — nie doczesna tylko, ale i wieczna — szczęśliwość zawisły. Lecz ponieważ człowiek nie dla siebie samego na tym jest położony i żyje świecie, trzeba przyłożyć i drugie wielkiej uwagi przyczyny, dla których każdy człowiek o nie obłudną, lecz gruntowną poczciwość starać się powinien. Każdy bowiem jest członkiem i cząstką społeczności ludzkiej i od małości całe życie ma ustawicznie i bardzo wiele do czynienia z ludźmi i z nim do czynienia wespół ludzie żyjący. Jest tudzież podany krajowemu rządowi, królowi czy pod jakimżekolwiek imieniem panu, panującemu nad krajem. Jak to więc wiele na tem i panującym rządcom, królom, monarchom i całej ludzkiej społeczności zależy, żeby mieć wszystkich ile można obywateli kraju, nie powierzchownie tylko, ale w sercu i gruntownie poczciwych: bo z tą całą powierzchowną, ludzkie oczy łudzącą, niepochodzącą z duszy, nie w gruncie serca wkorzenioną poczciwością, cóż to będzie za wierny poddany królowi? co za minister stanu? co za senator? co za rada? co za poseł? co za biskup? jaki to sędzia? jaki to magistrat? jaki wódz? jaki oficyer? jaki pan? jaki mąż? jaki ociec? jaki przyjaciel? jaki sąsiad? jaki obywatel? W każdej biorąc go kondycyi, jaki to na każdej funkcyi i w każdej okoliczności wszędzie człowiek będzie ladaco! Nieszczęśliwy panujący, zdesperowany kraj i naród, gdzie mało ludzi prawdziwie poczciwych.

Ks. Stanisław Konarski.

(O religii poczciwych ludzi, r. 1769.)

Stanisława Konarskiego

krótki rys żywota.

Mrok wielki pokrył krainę polską przy schyłku wieku XVII. Pasowało się światło z ciemnością za Wazów i ich najbliższych następców, obok złych i nikczemnych powstawali wielcy i święci, aż wreszcie ci drudzy legli w grobie, a nastały gody przewrotności, głupoty i zdrady.

I zdawało się, że nietylko zniknie z widowni dziejowej państwo polskie, ale że dziady pozostawią wnukom swoim jako jedyną spuściznę — hańbę. Żeśmy straszliwego tego spadku po przodkach swych nie odziedziczyli, to zasługą nieśmiertelną kilku wielkich, wśród których jedno z miejsc najpierwszych zajmuje potężna postać Stanisława Konarskiego.

Ród Gryfów Konarskich słynął w Polsce już od XV. w., a w ciągu stulecia XVI. i XVII. dał Polsce wielu posłów, senatorów, biskupów. Ale już w w. XVII. począł podupadać majątkowo, wobec czego Konarscy, nie chcąc rozdrabniać topniejącego i tak majątku, zaciągali się chętnie w szeregi wojskowe lub przywdziewali szaty duchowne. Przy schyłku XVII. stulecia aż czterej bracia z tego rodu służyli wojskowo, a tylko jeden Jerzy, miecznik sandomierski uprawiał rolę ojczystą. Najmłodszym z synów Jerzego był Hieronim, znany w dziejach oświaty polskiej pod zakonnem imieniem Stanisława.

Urodził się 30. września 1700. r. we wsi Żarczycach, leżącej w województwie sandomierskiem. Do szkół (pijarskich) uczęszczał w Piotrkowie, uczył się tam łaciny, pisał jak wszyscy obowiązkowo wiersze łacińskie, wygłaszał szumne, napuszyste „perory“ na powitanie Trybunału, który zbierał się w tem mieście, wygłaszał też *officiosas orationes* na cześć protektorów bractwa *Sodalitas Mariana*. Sam powiada później w dziele „*De emendandis eloquentiae vitiis*“. (O naprawie błędów w wymowie), że treścią mów tych nie było nic więcej, jak tylko: *loquendum est hodie* (dziś należy mówić).“ Gdy w 1715. opuszczał zakład piotrkowski, nie nauczywszy się w nim prawie niczego, rodzice jego już nie żyli. Po naradzie z opiekunem swym, wujem Czerwińskim, postanowił młody Konarski udać się do Podolińca, by odbyć tam u Pijarów nowicyat zakonny. Tu uczęszczał też przez 2 lata na kursy filozoficzne, czytał dużo (dzieła teologiczne, filozoficzne, poetów klasycznych) i pisał sam wiersze treści religijnej na cześć M. Boskiej, mieszając w nich wyobrażenia chrześcijańskie z pogańskiemi. Nazywał się wieszczem (*vates*), a nie powołanym kazał *favere linguis*. Lektura klasyków nie poprawiła mu stylu, bo równocześnie rozczytywał się w pseudopoetach jezuickich. Uczył też w Podolińcu młodzież tego, czego wprzód jego nauczono, ale że uczył widocznie lepiej niż inni, powołali go w r. 1721. Pijarzy do Warszawy na nauczyciela poezyi i wymowy w kolegium pijarskiem.

Pozostając na tem stanowisku, musiał z urzędu występować w imieniu zakładu z panegirykami i nieszczęsnemi oracyami, w których stosował się do obowiązującego wówczas kodeksu retorycznego. W przeciągu 4 lat popełnił Konarski „niedorzeczności tego rodzaju“ (jak sam wyznaje) dwanaście, choć nie wszystkie dochowały się do naszych czasów. Naśladował w nich panegirystów współczesnych poetów, nowołacińskich: Holendra Kaspra Baerlego (*Barlaeus* 1584—1648) i Szkota Jana Barclaya (1582—1621).

Z panegiryków zachowanych poznać można, że młody zakonnik-nauczyciel był w tym czasie, jak całe społeczeństwo, gorącym wyznawcą zasad „złotej wolności“ i szlacheckiej „równości“, że wierzył w astrolologię i znaki niebieskie, że był wreszcie aż do fanatyzmu religijnym, co mu zresztą nie przeszkadzało porównywać w panegiryku biskupa Jana Tarły ze św. Janem Apostołem.

Wzruszył się widocznie biskup (a krewny Konarskich) wyczytanemi pochwałami, bo zaproponował Stanisławowi w r. 1725. wyjazd za granicę celem dalszego kształcenia się. Pijarzy dali zezwolenie (trudno było odmówić, gdy biskup proponował) i tak wyjechał uszczęśliwiony Konarski w tymże roku do Rzymu.

Co tam robił, czem się zajmował, o tem wiemy z historyi literatury. Wiemy więc, że się sam, a potem uczył drugich *w Collegium Nazarenum*, zakładzie naukowym, zreformowanym zupełnie pod wpływem teoryi Bakona, a prowadzonym świetnie i wyposażonym w doskonałe siły nauczycielskie. Poznał wówczas,

że *Collegium Nazarenum* to nie Piotrków, ani nawet Warszawa, gdzie kształcono tylko pamięć, a na rozwój umysłu nie zwracano uwagi, gdzie uczono po łacinie, a nie znano dobrze Cycerona, gdzie wreszcie wierzono, że uczeń będzie umieć tyle tylko, „co się na nim wybije," a o wyrabianiu siły woli nie miano wyobrażenia. Takiej samej różnicy między zakładami naukowymi polskimi a zagranicznymi dostrzegł także, gdy się znalazł w Paryżu, gdzie również badał stan szkół i sposoby nauczania.

Jakie usiłowania podejmował Konarski po powrocie do Warszawy (1731) celem zreformowania szkół pijarskich, z jakiemi musiał walczyć przeszkodami, jak doszło wreszcie do założenia słynnego *Collegium Nobilium* (1741), o tem wiemy również z historyi literatury.

W pierwszym roku istnienia zakładu przebywał w nim jeden tylko uczeń, w roku drugim było ich już dwudziestu, a Konarski począł krzątać się około budowy nowego gmachu, w którym z czasem znalazło pomieszczenie sześćdziesięciu wychowanków (wśród tych oznaczona ilość stypendystów).

Ogólne zasady pedagogiczne i dydaktyczne, według których urządził Konarski swój „Konwikt prywatny", odpowiadają ściśle myśli przewodniej, widniejącej w reformie szkół pijarskich z r. 1741. i 1753, bo organizacya tych szkół była również dziełem naszego zakonnika.

Zerwano więc w Collegium nobilium, tak jak i w publicznych szkołach pijarskich, z mechanizmem w nauczaniu, z obciążaniem pamięci uczniów, z przeładowywaniem jej marnymi szczegółami i szczególikami, a zwrócono uwagę na rozwinięcie zmysłu oryentacyjnego i kombinacyjnego, na umiejętność wyprowadzania z przesłanek prawidłowych wniosków; w parze z tą zasadą ogólną szło wprowadzenie do szkół lepszych podręczników, wśród których niebrakło też ułożonych przez samego Konarskiego.

Za przykładem szkół włoskich i francuskich starał się nasz reformator zbliżyć i naszą szkołę do życia. Zniósł zaciekania teologiczne i subtelne szermierki językowe, zniósł wypracowania szkolne na niedorzeczne tematy i urzędowe sporządzanie wierszy, a wprowadził nauki t. zw. realne, tudzież naukę historyi polskiej, języka ojczystego, francuskiego i niemieckiego; greczyznę, jako nie doprowadzającą wówczesnych szkołach do pożądanego rezultatu, usunął.

Nadał wreszcie szkołom charakter narodowy, dbał o to, by z wychowanków wyrośli nietylko zacni ludzie, ale i dobrzy Polacy, miłujący swój kraj, zdolni do poświęceń dla dobra ogólnego.

Pod względem formalnym urządził Konarski Collegium nobilium wprost wzorowo. Na czele zakładu stał rektor i zawiśli od niego prefekt i podprefekci. Wszyscy czuwali nieustannie nad postępowaniem młodzieży, nie spuszczając jej nigdy z oka.

Wychowankowie spali w jednej olbrzymiej sypialni, w której jednakże mieściło się sześćdziesiąt alków, a w każdej z nich stało łóżko, stolik, taburecik i szafka na ubrania. Wspólną również była sala naukowa, jadalnia i bawialnia. Sala teatralna zgromadzała też nierzadko wszystkich „konwiktorów". Nowością były łazienki z przymusową dla wszystkich kąpielą.

Uczniowie wstawali o wpół do szóstej, słuchali mszy św., jedli śniadanie, powtarzali lekcye, poczem udawali się do sal szkolnych, w których bawili się do godziny 12-tej. Po dwunastej zasiadali w jadalni do obiadu, spożywanego razem z rektorem, prefektem i całem gronem nauczycielskiem. Po obiedzie zaś szli w dzień pogodny do ogrodu, w słotę lub w czasie ostrych mrozów bawili się w sali rekreacyjnej fechtunkiem, tańcem, musztrą żołnierską, brali lekcye muzyki. W porze letniej jeździli konno.

Gdy zabawy i ćwiczeń fizycznych mieli już dosyć, powracali znów do książek, a o w pół do szóstej szli powtórnie do sal szkolnych, by zabawić tam do w pół do ósmej i wrócić już na wieczerzę, po której aż do godziny 9-tej byli zupełnie swobodni. O 9-tej musiał już być każdy w łóżku.

Ustawicznie zaprawiano młodzież do porządku, do czystości, starano się rozwijać w niej zmysł oszczędności. Wydatki swe musiał każdy jak najskrupulatniej zapisywać, pożyczać jeden od drugiego nie mógł pod żadnym warunkiem. Kar surowych niebyło. Perswazya, zachęta, pobudzanie do szlachetnego współzawodnictwa — oto były środki, którymi Konarski polecał wpływać na mło-

dzież, ale zuchwałych lub leniwych wydalano bezwzględnie. Tak urządzonem było owo słynne Collegium nobilium, szkoła, o której dziś jeszcze z dumą prawdziwą mówić możemy. Publiczne szkoły pijarskie, zreformowane przez Konarskiego, nie dawały oczywiście młodzieży tego wszystkiego, co ów zakład, zwłaszcza pod względem fizycznym, ale plan nauk i sposób nauczania były w nich zupełnie analogiczne.

Konarski dokonał dzieła olbrzymiego, położył podwaliny pod nowożytne wychowanie młodzieży, był ojcem duchowym Komisyi edukacyjnej i całego szeregu reform, z imieniem Komisyi związanych. Tą jednak stroną działalności jego zajmować się obszerniej w niniejszym artykule nie będziemy, nam bowiem chodzi głównie o życie i sylwetkę duchową tego człowieka.

Był to umysł niesłychanie wszechstronny, a natura niezwykle bujna. Pobyt zaś zagranicą użyźnił jeszcze tę wydajną glebę i rzucił w nią ziarna liczne, które wnet po powrocie do kraju miały zakiełkować. Rozejrzał się młody Pijar po niwie ojczystej i ujrzał, że źle się na niej dzieje — nietylko na polu szkolnictwa. Marnowało czas i siły kilka pokoleń, pokolenia też całe musiały naprawiać błędy poprzedników, a tu ani chętnych do pracy, ani rozumiejących, że pracować i naprawiać złe trzeba. Odezwie się więc Konarski i będzie wołał głosem wielkim o reformę, ale któż młodego, nieznanego zakonnika posłucha?! Wołali przecie więksi, bardziej zasłużeni od niego, a głos ich przebrzmiał bez echa.

Tu praktyczny zmysł Konarskiego podszepnął mu, że, kto chce być słuchanym, musi się wprzód dać poznać, trzeba się czemś odznaczyć. Zabiera się więc Stanisław do mozolnej, a olbrzymiej pracy, do zebrania praw polskich, rozrzuconych po przeróżnych archiwach, i wydaje już w r. 1732. pierwszy tom p. n. „*Volumina legum*“, poprzedzony poważną rozprawą wydawcy o rozwoju praw w Polsce. Tom ten poświęca królowi Augustowi II. W r. 1733. ogłasza tom drugi i t. d., aż w r. 1739. tomem szóstym kończy swą pracę.

Czy wydawnictwo to, bardzo zresztą szacowne i pożyteczne, pozostawało w bezpośrednim związku z reformatorskimi zamysłami młodego zakonnika? Nie, ale podejmując się wydania dzieła, którego brak odczuwano powszechnie, wiedział, że zwróci na siebie uwagę króla, uwagę osób wpływowych i że ze zdaniem jego ogół zacznie się od tej pory bądź co bądź liczyć. Toteż gdy niebawem zaproponuje ksiądz Stanisław OO. Pijarom, by wysyłali rokrocznie zdolniejszych zakonników za granicę, którzyby się tam obznajamiali ze sposobem nauczania rozmaitych przedmiotów i rozszerzali swą wiedzę, propozycyi jego Ojcowie już nie odrzucą.

Gdy po zgonie Augusta II. wysunęła się kandydatura St. Leszczyńskiego, Konarski wiedząc, jakie z nią łączą się nadzieje, porzuca na razie myśl o reformatorskiej działalności, a oddaje się duszą całą agitacyi za swym kandydatem; wie bowiem, że wraz ze wstąpieniem Leszczyńskiego na tron plany jego znajdą silnego protektora. Ale gdy August III. zwycięży, Konarski pogodzi się w niedługim czasie z nowym królem, by podjąć na nowo swe usiłowania, choć w niekorzystnych warunkach.

W dziwny bo sposób łączy się u tego człowieka nadzwyczajna siła woli z wytrwałością, cierpliwością i zmysłem praktycznym. Szedł do boju z okrzykiem wojennym i podniesionym mieczem, ale gdy napotkał trudną do zwalczenia przeszkodę, cofał się, miecz chował, zajmował się pozornie czem innem, by w chwili stosownej uderzyć tem niespodzianiej i tem skuteczniej. Świetnie charakteryzują go listy, pisane do przełożonych zakonu Pijarów w sprawie egzekucyi, która czekała szkołę pijarską w Wilnie wskutek zabiegów Jezuitów. Radzi tedy szkoły nie zamykać i egzekucyi spokojnie oczekiwać, „a kiedy żołnierze zjawią się przy bramie, wtedy pójść należy do Najprzewielebniejszego Biskupa, do J. Oświeconego Marszałka Trybunału, do J. O. Wojewody wileńskiego i do innych i oświadczyć, że zostawszy przed dalszymi skandalami zmuszeni gwałtem jawnym, chcemy zaniechać szkoły i uledz czasowi, wszelako nie przez odstąpienie od przywilejów króla, przyznanych naszej kongregacyi, od konstytucyi z r. 1677., zatwierdzających nasze przywileje, od dekretów i bull papieskich w sprawie wileńskiej. Następnie prosić należy tych panów, aby postarali się o cofnięcie wyroku od naszego kolegium, po danem zapewnieniu ustnem,

żadną miarą piśmiennem, że nie będziemy przyjmować młodzieży, do kolegium zgłaszającej się w mieście". W tych słowach przebija się cały Konarski, spokojny, cierpliwy, ostrożny, ale od swego nie ustępujący ani o krok.

Niezwykły spryt znów zaznacza się w sposobie, którego użyje nasz zakonnik przy walce z niesmacznym, napuszystym stylem w dziełku „*De emendandis eloquentiae vitiis*" (1741). Wyśmieje w niem także własne panegiryki, a w ten sposób odbierze broń tym, którzy mogliby mu uczynić zarzut, że chce pouczać innych, kiedy sam popełniał wszystkie błędy, wyśmiane w tem dziełku.

A jakiej metody trzyma się Konarski we wiekopomnem swem dziele „O skutecznym rad sposobie (4 tomy 1760—3)"? Czy wystąpi odrazu przeciw *liberum veto*, czy nazwie je odrazu „bałwanem wolności, największem i najzgubniejszem nieszczęściem"? Nie. On będzie mówił zrazu o sejmie, podejmie jego krytykę, przedstawi wadliwe urządzenie (t. I.), potem dopiero zwróci się do *liberum veto*, ale po to, by wykazać, że nie jest ono instytucyą prawną, lecz owszem prawa wypaczeniem, nie może być zatem uważanem za nietykalną świętość, za jaką miano je dotychczas (t. II.). Tak, ale może mimo to przysporzyło Ojczyźnie szczęścia i dobrobytu, może to prawo zwyczajowe stało się pożyteczniejszem od niejednego nadanego? By odpowiedzieć na to, trzeba przyjrzeć się tym sejmom, na których *veto* święciło swe gody. I oto roztacza Konarski przed oczyma czytelnika cały szereg zerwanych sejmów i wykazuje, że zerwanie każdego z nich przynosiło zawsze szkodę Rzeczypospolitej (t. III.) Jakiż więc wniosek wysnuwa ze wszystkich poprzednich przesłanek? Oto konieczność zupełnego zniesienia *liberum veto*, a wprowadzenia ustawy, mocą której uchwały zapadałyby większością głosów (t. IV.)

Konarski nie godzi tedy odrazu w ubóstwianą przez ogół „źrenicę wolności", by ogółu tego nie zniechęcić i niekorzystnie dla wniosków swych nie usposobić, ale każe czytelnikowi, choćby uprzedzonemu, dojść na podstawie logicznego rozumowania do wyciągnięcia tych konsekwencyi, które dla autora były założeniem.

Reforma szkolnictwa, walka skuteczna z „błędami wymowy" i zmiażdżenie w opinii publicznej *liberum veto* — to trzy olbrzymie zasługi niestrudzonego pracownika, choć każda z nich osobno zdołałaby zapewnić Konarskiemu nieśmiertelność.

Ale i po dokonaniu tych dzieł, choć strudzony i pochylony wiekiem, nie zaprzestał Konarski pracy. Usuwając się od piastowania godności (nie przyjął biskupstwa inflanckiego), pisał i ogłaszał swe prace ciągle. W r. 1767. wydał naukę wymowy p. n. „*De arte bene cogitandi ad artem dicendi bene necessaria*, tudzież zbiór utworów lirycznych łacińskich p. n. „*Opera lyrica*" (utwory liryczne). W r. 1769. wystąpił ze swą „Religią poczciwych ludzi" — dziełkiem, wymierzonem przeciw deizmowi, a gdy go z powodu tego spotkały zarzuty, że odstąpił w niem od nauk kościoła, przełożył książkę na język łaciński i posłał tłumaczenie swe do Rzymu, który rozstrzygnął sprawę na korzyść obwinionego.

Wszelako przykrości, których doznawał ciągle, walcząc w imieniu prawdy i postępu, wyczerpały w końcu jego siły. Rozpaczą też przejmowało go ówczesne położenie polityczne. Od r. 1771. nie opuszczał już łóżka, a w r. 1773, zakończył pełen chwały żywot.

I teraz dopiero zamilkła zawiść, znikli przeciwnicy osobiści i polityczni, pochylił czoło cały naród przed zwłokami tego potężnego reformatora*). Wszystkie zakony warszawskie odprawiły nabożeństwa żałobne za spokój duszy Stanisława, nuncyusz apostolski, i wszyscy biskupi celebrowali sami podczas mszy św. A nawet Jezuici, najzawziętsi jego przeciwnicy za życia, nie pozostali w tyle przy składaniu ogólnego hołdu zasługom zmarłego. Jezuita, ks. Zacharyasiewicz, wygłosił nawet mowę pogrzebową nad trumną reformatora: „Któż — wołał — może go nie żałować?! Tento mąż zabrany nam jest przez śmierć, którego mądrość i cnota i temu domowi, w którym się zrodził, zaszczytem i temu zakonowi, w którym życia dokonał, chwałą i tej ojczyźnie, w której i dla której żyć

*) Nie brakło głosów publicznych i wierszy pochwalnych z powodu śmierci jego, tak n. p. Zabawy przyjemne i pożyteczne ogłosiły w tomie VIII. M. Czarnka, sekretarza królewskiego „Odę na pochwałę Stan. Konarskiego", a w t. XIII. wiersz „Na śmierć St. K.", że pominiemy inne głosy i przekłady wierszy łacińskich zmarłego. (*P. R.*)

umiał, pomocą i pożytkiem była. Jakże nad tak wielką szkodą nie ubolewać!“ Przy końcu mowy zaś rzucił myśl, by medal z napisem *Sapere auso*, którym król uczcił zasługi Konarskiego, położono na mogile nieboszczyka.

Ignacy Krasicki napisał mu nagrobek:

„Ten, co pierwszy zdziczałe ciął gałęzie wzniosłe
I śmiał ścieżki odkrywać, wiekami zarosłe,
Co nauki, co miłość kraju wzniósł i szczepił,
W cieniu laurów spoczywa, które sam zaszczepił“.

W króciutkim tym zarysie nie zwróciłem bynajmniej uwagi na całą działalność Konarskiego, nie było to nawet moim zamiarem. Nie wspominałem wcale o jego przekładach z francuskiego, o oryginalnej tragedyi „Epominondzie“ (1756.), o broszurach i wierszach treści politycznej, o wzniosłych mowach, ogłoszonych drukiem, o pośmiertnem wydaniu poezyi Stanisława p. n. „*Carmina posthuma*“ (1778.) Trudno bowiem objąć cały ogrom prac tego męża, a trudno tem bardziej, że nie mamy dotychczas wyczerpującej monografii założyciela *Collegium nobilium*. Wiele listów jego, wiele pism, odnoszących się do jego życia, pozostaje dotyczas w ukryciu i niemało zapewne minie czasu, zanim wyrobimy sobie dokładne wyobrażenie o znaczeniu Konarskiego, o wpływie jego na dobę, w której żył, i na następne pokolenia.

Wszelako dziś już możemy powiedzieć z pełnem przekonaniem, że był to olbrzym, jedna z tych postaci, które zjawiają się w chwilach przełomowych życia społeczeństw i wstrząśnięciem potężnych ramion burzą zbutwiały gmach stary, by na miejscu jego wznieść nowy, piękniejszy i trwalszy.

Konstanty Wojciechowski.

Adversa cum fortuna.

Wiersz ks. St. Konarskiego.

Przeciwnej los fortuny jeślić zbytnie srogi
I ciężką niesie bitwę, a tryumf zbyt drogi,
Toć wdzięczna i pomyślna więcej trudów zada:
Przed największym tu mężem rzadki wieniec pada.

Przez cały życia przeciąg bić się człeku trzeba,
Za sprawce walki mając i za sędzie nieba:
Bóg bowiem, widząc z wierzchu bohatery dzielne,
Trzyma w dłoni niechybnej wieńce nieśmiertelne.

Nic mu niema milszego, nic go tak nie ruszy,
Jak gdy się spotka z szczęściem cnej filozof duszy:
Kontent, gdy przed zwycięzcą ślepe bóstwo pryśnie,
A on mu kark — choć z dąsem tłocząc — k ziemi [ciśnie.

Lecz jak nudno mu widzieć tego czasu męża,
Co go zły los nie pożył, lecz dobry zwycięża;
Przykry los cnotę wzmacnia, a pomyślny łamie,
Kto w oboim trwa wryty, ten męża ma znamię!

Któż nad cię, królu, lepiej obu doznał losów?
Komuż tak bieg świadomy wśród pociech i ciosów?
Obywatel wszedł na tron, skroń złotem obleka:
A cóż mogło się trafić szczęśliwiej dla człeka?

Dana ci do rąk z berłem jest najwyższa władza,
Naród chętnieć na pierwszem dostojeństwie sadza,
Nic fortunniej ci nad to Bóg nie mógł skorzyścić,
Lecz co za moc twej myśli, coć to mogła ziścić!

Poczciwość, cnota, rozum, statek w zmiennej doli,
Dałyć model, jak los nasz po swej trzymać woli.
Tron ci obywatelstwa z cnej myśli nie składa —
I król i obywatel jednem berłem włada.

Berło królem, lecz skromność cię obywatelem
Znać daje — niemniej jakby Tytem lub Aurelem:
Wielu się równa z bóstwy, a Stanisław woli
Najlepszym jeden w ludzkiej okazać się doli.

Co się w równym z drugimi urodziłeś stanie,
Chce miłością ojczyzny ubiedz twe staranie:
Pomyślność cię nie mogła w niczem przeobrazić,
Jakożkolwiek pomyślność ród nasz zwykła kazić.

Zaczem zgubna cnych mężów gromicielka rzecze:
„Więc i ze mnie ta-to myśl łup zwycięzki wlecze?!“
A nie mogąc ni darem, ni wabem zaszczytnie
Twardego ruszyć serca, — ostrząc zęby — zgrzytnie.

Wraz ci burzę z Erebu i nawi lność puści,
Pędząc czarne jędz roje z piekielnej czeluści, —
Te z ogniem i żelazem na smolnych ożogach
Po wszystkich w srogim wrzasku rozlecą się drogach.

Toż się z niemi niezgoda łącząc, zmąci wszystko —
(Sprośniejsza stokroć jędza nad Megerę brzydką) —
Śmiała, stawiąc ojczyznę nad ostatnim kresem,
Praw, tronu i wolności grunt ruszyć z kretesem.

Na to patrząc, Auguście, krajesz się z boleści,
Żeć żaden ból w rodzeniu nie przejdzie niewieści:
Tak bolał czuły Enej nad swej Troi stosem,
Tak Kamil nad okropnym Rzymianów pokosem.

Żniwoć tu twoje, mężu, cnót pięknych zasady,
Tu-to kamień probierski twej duszy i rady.
Można rzec, że tak srodze rzadko kogo z ludzi,
Jak ciebie, dobry królu, ślepe szczęście trudzi.

Lecz o serce niezłomne czczych jak wiele miota
Pocisków! — i niejeden grot jeszcze zgruchota.
Z wierzchołka górnej myśli, ni z wysokiej skały,
Patrzysz, jako nurt słone z szumem ciska wały.

Niech na cię pryska odmęt, niech piorun dokoła
Ognistym trzaska bełtem — nie tknieć serca zgoła!
Nie własneć bolą szkody, lecz nędza Ojczyzny
I, które z bolem smutny lud doznawa, blizny.

Wylejesz krew za naród i chętnie i szczodrze,
Byś nie sobie samemu spodobał się, Kodrze!
Wreszcie gardzisz fortuny srogość i jej groty
I bezsilnych zawiśniów — płochopędne zwroty.

Nuże, trwaj mężnie! Miły dajesz widok Bogu,
Masz imię i otuchę z pomyślnego wrogu:
Stać sława i cześć zawżdy będzie Stanisława —
Pierzchnie przemoc fortuny i zawisna wrzawa!

*Tłum. Fr. Kniaźnin.**



Szkoły jezuickie w Rzeczypospolitej**).

Opłakany stan szkół katolickich w Koronie, brak ich prawie zupełny na Litwie i Rusi w w. XVI. był głównym powodem sprowadzenia Jezuitów do Polski i zakładania licznych kolegiów. Odpowiadało to głównemu celowi zakonu, który nawet profesorów swoich obowiązywał do nauczania dziatwy w szkołach i do katechizacyi. Zakon przyswoił sobie zrazu plan nauk ówczesnych akademii czyli uniwersytetów, mianowicie paryskiego i lowańskiego, na których kwitnął humanizm chrześcijański; w miarę doświadczeń przerabiał go powoli, wreszcie od 1593., a właściwiej od 1599. r. występuje wszędzie z własnym planem nauk czyli *Ratio studiorum*, który w redakcyi z r. 1616. przyswoiły sobie, w Polsce przynajmniej, kolonie akademii krakowskiej i szkoły innych zakonów, a w Galicyi szkoły rządowe aż do 1848. r. Szeroko to nakreślony plan, bo obejmuje wszechnice i szkoły średnie, rozprawia o nauczaniu, ale i o wychowaniu młodzieży, zakonnej naprzód, potem i świeckiej.

Jakiż to był plan nauk paryskiego *studium generale* czyli uniwersytetu XVI. wieku? Wówczas, jak przez całe średnie wieki, uważano teologię jako główną, jedyną prawie wiedzę, inne gałęzie wiedzy ludzkiej uprawiano o tyle, o ile pomagały do studyum teologicznego. Wykładano więc filozofię i nauki przyrodnicze nie jako całość i cykl nauk oddzielnych, ale jako pożyteczne i pomocnicze do gruntowniejszego studyum św. teologii. Gimnazyalne zaś szkoły przysposabiały umysł do studyum filozoficznego, a gruntowna nauka łaciny i greki dawała klucz do czytania dzieł klasyków, filozofów i teologów znakomitszych.

Jeżeli szkoła ma kształcić i wychowywać, to musi mieć profesorów wykształconych i dobrze wychowanych. Zakon chcąc, aby młodzież w jego szkołach „razem z naukami obyczajów także godnych chrześcijanina nabyła“, musiał się starać przedewszystkiem o profesorów nietylko uczonych, ale też moralnie stojących wysoko. Zobaczmy, jak *Ratio studiorum* formowała nauczycieli szkół niższych czyli gimnazyów i profesorów szkół wyższych (filozofii i teologii) pod obu względami.

W szkołach niższych (*infima, grammatica, sintaxis, humaniora* i *rethorica*) uczyli t. zw. magistri, t. j. klerycy po ukończonych studyach filozofii, czasem starsi już księża, tędzy pedagogowie, a nawet profesi 4 ślubów. Wszyscy ćwiczyli się najmniej 5 lat, czasem kilkanaście i kilkadziesiąt, w szkole zakonnej doskonałości. *Ratio* przepisuje wszystkim profesorom, aby „modlitwą i przykładem zakonnego swego życia budowali uczniów“, aby strzegli się forytowania jednych nad drugich, bogatszych nad biedniejszych, a cierpliwi byli i wyrozumiali dla mniej uzdolnionych.

W szkołach wyższych (filozofia i teologia) uczyli tylko profesi 4 ślubów. Wszyscy zaś nauczali bezpłatnie, nie dla chleba i nie dla karyery, a nieodrywani troską i kłopo-

*) Podajemy w przekładzie znanego poety próbkę rymotwórstwa ks. Konarskiego, który obok swych zajęć znalazł dość czasu na poezyę głównie w języku łacińskim, a nawet na pisanie dramatów szkolnych w rodzaju „Epaminondy“, ogłoszonego niedawno w Archiwum do dziejów liter. i ośw. w Polsce. Jak z każdego utworu wielkiego Pijara, tak i z tego bije płomienna miłość Ojczyzny, która kazała mu nawet w Stan. Auguście dopatrywać się materyału na idealnego króla i powitać go wierszem powyższym.

Jako wyrazowi szlachetnego sposobu myślenia wielkiego męża, należy mu się miejsce w nrze niniejszym; jeśli bowiem chcemy poznać człowieka, trzeba poznać jego czyny i myśli. O pierwszych poucza życiorys, drugie najlepiej wydobywać ze słów własnych danego osobnika. Oto powód, dla którego utwór, tracący dziś już bez wątpienia myszką, „za uczony“ — jakbyśmy rzekli — przedrukowaliśmy z czasopisma zeszłowiekowego p. n. „Zabawy przyjemne i pożyteczne“, naturalnie z zachowaniem archaizmów i zwrotów, dziś już nieużywanych, zresztą łatwo zrozumiałych.

**) Według najnowszej pracy ks. St. Załęskiego T. J. p. n. „Jezuici w Polsce“, której cz. I. wyszła właśnie z druku.

tami codziennego życia, mogli się wyłącznie poświęcać i poświęcali się zupełnie nauczaniu, niektórzy całe życie aż do późnej starości. I z tego powodu, jako „ciało nauczycielskie“, wyżej nierównie stali moralnie, niż świeccy profesorowie, obarczeni zazwyczaj rodziną, a chudo uposażeni, którzy i marzyć nie mogli o pomnożeniu środków naukowych dla własnego dalszego kształcenia.

Równą troskliwość rozwijano około wykształcenia naukowego i pedagogicznego profesorów. Uniwersytet paryski żądał, aby profesor wyższych szkół słuchał przez 3 lata filozofii, przez 5 lat teologii i zdobył sobie stopnie akademickie; dla szkół niższych wystarczał skończony kurs filozoficzny ze stopniem lub bez stopnia bakałarza lub magistra W podobny sposób postępował zakon. Seminaryami nauczycielskiemi były wielkie kolegia, t. zw. *Collegium maximum*, w każdej prowincyi przynajmniej jedno: dla polskiej w Poznaniu, potem u św. Piotra w Krakowie, dla litewskiej akademia wileńska, na której uczyli ozdobieni przez jenerała stopniem doktorskim profesorowie.

A czego uczono w szkołach jezuickich? W wiekach XVI.—XVII., a nawet w XVIII. nauka w szkołach nie była encyklopedyczną, lecz ograniczała się do szczupłej liczby przedmiotów, w których jednak chciała kształcić gruntownie. *Ratio studiorum*, nie odstępując od tej zasady, przepisywało nietylko rozkład przedmiotów na każdą klasę, ale nawet godzin, sposób wykładania autorów i reguł gramatyki, zadawania wypracowań i wypytania lekcyi, słowem prowadzenia szkoły w najdrobniejszych szczegółach.

Przedmiot szkół niższych właściwie był tylko jeden: łacina. Grekę uważano za przedmiot pomocniczy. Uczono łaciny z gramatyki O. Emanuela Alvareza i z klasyków rzymskich. W infimie tłumaczono i rozbierano ustępy łatwe, wybrane z Cycerona, bajki Fedrusa i żywoty sławnych mężów Korneliusa Neposa. W gramatyce: listy Cycerona, wyjątki z mów i rozpraw jego, „Komentarze“ Cezara i łatwiejsze wiersze Owidyusa. W syntaksie „celniejsze“ listy Cycerona, rozprawy jego o starości, przyjaźni itd., nadto tłumaczono i opowiadano po łacinie własnemi słowami dziejopisarzy: Salustyusa, Kurcyusa i Liwiusa; objaśniano elegie i listy Owidyusa, niektóre ustępy Katulusa, Tibulusa, Propercyusa, sielanki Wergiliusa, V. i XII. księgę Eneidy i IV. Georgik. Podobnie rzecz się miała z greką. Gramatyka zamykała się w ciasnym obrębie odmiany imion i słów. Bajki Ezopa i dyalogi Lukianosa tłumaczono w gramatyce, a Ksenofonta, św. Chryzostoma i in. w syntaksie.

Przez humaniora rozumiano poetykę i retorykę, ale właściwie była tem tylko poetyka. Zadaniem tej klasy było „przygotować niejako grunt pod wymowę (retorykę), a to tem trojgiem: znajomością dokładną właściwości języka i obfitością, jaką taką erudycyą i streszczeniem prawideł wymowy“. W tym celu czytano codziennie i objaśniano Cycerona rozprawy obyczajowe, Liwiusa, Kurcyusa i innych, z poetów: Wergiliusa Eklogi, nadto elegie, epigramaty i inne poezye znakomitych poetów starożytnych, „byle oczyszczonych z wszelkiej bezecności“. Erudycyi czyli t. zw. realiów niezbyt wiele, aby badaniu właściwości języka nie przeszkadzała. Z greki: nauka o składni; uczniowie mieli rozumieć *mediocriter* autorów i umieć napisać coś po grecku.

Szczyt szkół niższych (gimnazyalnych) to wymowa, retoryka. W myśl *Ratio studiorum* składały się na nią „prawidła wymowy, styl, erudycya“. Prawidła brano z Cycerona, Kwintylianusa i Arystotelesa, styl jedynie z Cycerona, przedewszystkiem z jego mów; erudycyę (t. zw. *realia*) czerpano z historyi obyczajów i zwyczajów starej Romy i Grecyi, z czytania autorów i z wszelkiej wiedzy, ale niezbyt wiele, stosownie do pojęcia uczniów, tak, ażeby badanie własności językowych, *observatio linguae*, na tem nie ucierpiało.

Wielką wagę kładzie *Ratio* na ćwiczenia pisemne. W gramatykalnych klasach zadawano codziennie *pensum* łacińskie, raz na tydzień greckie; nie ograniczano się na tłumaczeniu zdań oderwanych, ale całe ustępy łatwiejsze z autorów przekładano na polskie, a te znów na łacinę lub grekę i porównywano z oryginałem. W poetyce przerabiano wiersze miarowe, lub układano ody, sielanki, elegie na wzór dany, w retoryce wreszcie wypracowywano oryginalne mowy i wiersze, którymi później uczniowie popisywali się wobec gości zaproszonych. Wielką wagę przywiązywano też do ćwiczenia pamięci.

I ćwiczono ją aż do przesady. Student, który umiał recytować całe księgi Wergiliusa, Owidyusa lub Horacyusa z odpowiednią gestykulacyą, był dość częstem zjawiskiem.

Z postępu nauk uczniowie zdawali pod koniec roku ścisłe egzaminy ustnie i pisemnie.

Religia — rzecz charakterystyczna — nie była właściwie przedmiotem szkolnym. Uczono jej wszelako na pamięć raz w tydzień przez pół godziny, a przez drugie pół wykładano lub wykład zastępowano pobożną egzortą i to we wszystkich klasach. Zato studenci obowiązani byli do słuchania kazań w niedziele i święta, a sodalisi Maryi egzort comiesięcznych. Już to tej „nauki chrześcijańskiej“ nie brakło studentom; niektórzy z nich, by teologowie, znali subtelności dogmatyczne i dyskutowali w obronie wiary z zapałem, ale i z wiedzą. Czytanie książek religijnych polecano im usilnie, często jako temat zadania pisemnego naznaczano humanistom i retorom mowy i hymny na cześć Najśw. Maryi Panny i Świętych. Nawet różnowiercza młodzież szkolna, wolna zresztą od innych praktyk religijnych, nie była wolną od słuchania „nauki chrześcijańskiej“, egzort i kazań.

Kształcenie rozumu to dopiero jedna część wychowania. *Ratio* wielkie staranie łoży na kształcenie woli, uformowanie serca młodzieży. Wbrew dzisiejszemu systemowi, aby uczniowi ułatwiać wiecznie pracę naukową, *Ratio* zmuszała młody umysł do żmudnej pracy, przedewszystkiem do pamięciowego wyuczania się prawideł gramatyki, poezyi, wymowy, ustępów celniejszych z klasyków, i do codziennej pisemnej pracy, do ciągłych egzaminów, koncertacyi i dysput.

Karność też szkolna, nierównie surowsza od dzisiejszej, rozciągała się nawet poza mury szkolne, a czuwał nad nią prefekt szkoły, prawa ręka rektora.

Co dnia młodzież musiała bywać na mszy św., co tygodnia na egzorcie lub kazaniu, co miesiąca przystępować do św. sakramentów. Powinna była wystrzegać się przysiąg, lekkomyślnych przezwisk, przekleństw, kłamstwa i obmów, gier i lokalów zakazanych; unikać towarzystwa osób podejrzanych; nie bywać na publicznych widowiskach i przy egzekucyach wyroków śmierci, które wówczas — niestety — bywały takiemi widowiskami. Zwyczaj noszenia broni, powszechny w Polsce, nie miał przystępu do szkół, gdzie nie wolno było wchodzić z nią ze względu na krewkość, właściwą młodzieży. Niesfornych upominano, krnąbrnych karano chłostą, która tak była pospolitą w owych wiekach, że nawet św. Ignacego Loyolę, gdy 33 lata mając, zapisał się na akademię w Barcelonie, skazano na rózgi, jako rozsiewacza błędnych doktryn i już się chłopięta, koledzy jego z gramatyki, z pękiem rózg zebrały na egzekucyę, gdy wdanie się kilku rozsądniejszych profesorów wykazało niewinność jego i wyrok na plagi cofnięto. Niepoprawnych wreszcie wydalano ze szkoły.

Ale bardziej niż rygorem i karami starano się o umoralnienie uczni pochwałą, nagrodą i szlachetnem współzawodnictwem. W praktyce działo się to tak: Na początku roku profesor dzielił uczniów na dwa oddziały; potem zadawał *pensum*. Dwaj, którzy je wypracowali najlepiej, otrzymywali dowództwo (*consules, imperatores*); tych, którzy po nich najmniej błędów zrobili, dodawano im jako podkomendnych (*quaestores, tribuni*). Konsulowie z kwestorami ustawiali całą klasę w pary równych w postępie naukowym współzawodników (*aemuli*). Z tych par wybierał sobie każdy konsul jednego ucznia. Tym sposobem klasa dzieliła się na dwa o równych prawie siłach naukowych obozy, które według mody ówczesnej przybierały nazwy Rzymian i Samnitów lub Kartagińczyków, Greków i Makedonów itp. Kiedy więc profesor zapytał ucznia z obozu np. Rzymian, natychmiast wstawał jego współzawodnik z obozu przeciwnego; jeżeli tamten nie umiał dać odpowiedzi, to ten dawał za niego. Gdy zaś i ten nie umiał pytania rozwiązać, profesor pytał drugiego, wołając: *sequens* — zaraz wstawał jego *aemulus*. Odpowiadający otrzymywał dobrą lub złą notę w katalogu profesora, ale równocześnie *quaestor* czyli podskarbi zapisywał dobrą lub złą notę dla całego obozu. Dobre więc noty jednostek stanowiły skarb, — złe dług publiczny całego oddziału. Z końcem tygodnia lub miesiąca obliczano *plus* i *minus*; po której stronie przeważało *plus* dobrych not, po tej stronie *victoria*, zwycięstwo. Zwycięzcy otrzymywali honorowe miejsca w ławkach, odznaki i nagrody.

Inny sposób tej szlachetnej emulacyi stanowiły akademie cz. zebrania najcelniejszych uczniów w celach naukowych i kongregacye maryańskie, do których jako *sodales Mariani* dopuszczano też tylko pilnych i przykładnych. Pierwsze odbywały się w dni świąteczne i wolne od nauki pod kierunkiem prefekta, a przedstawiały małą Rzeczpospolitą z jednej, a Towarzystwo przyjaciół nauk z drugiej strony. O towarzyskie przygotowanie młodzieży dbano zapomocą przechadzek obowiązkowych (zwykle we wtorki), zabaw, a przedewszystkiem — łącząc przyjemne z pożytecznem — zapomocą przedstawień scenicznych. „Dramaty jezuickie“, nieraz wyszydzane przez późniejsze wieki z powodu wad, zresztą ubocznych, mają tę niespożytą u nas zasługę, że przygotowały grunt pod scenę polską i dały właściwy początek dramatowi polskiemu.

W połowie XVIII. wieku zakon nauczał w Polsce w 60 kilku szkołach i zakładach naukowych.

Wielką zaletą jezuickiego wychowania, która mu też najwięcej wzięcia zjednała, było to, że było tanie, bo w zasadzie bezpłatne, a więc przystępne nawet najbiedniejszym.

Jesienne scherzo.

Zdziwiły się zwiędłe liście
Na cudowne ono przyjście;
Na to przyjście nie do wiary:
W chłodu drżeniach, we mgle szarej
W jesiennego wichru świście.

— „A to znowu co? A to co?
A którędyż to szło? Nocą?
Drożynami zaklętemi,
Rąbkiem nieba, skrajem ziemi
Kędy gwiazdy kolej złocą?

I pod czyją szło opieką
Przez wiszary chmur, daleko,
Przez toń zdradną, gąszcz ponurą,
By za siódmą błysnąć górą,
By za siódmą błysnąć rzeką?

I czy skazce czar wykradło
Migotliwy, jak zwierciadło,
Jako stawu ciche woda,
Gdy weń spojrzy wiosna młoda,
A nie jesień z twarzą zbladłą?“

Dziwo! Dziwo! Bajka szczera!
Spadła w jary mgła-przechera...
Ciepło, jasno — ano wiosna!
A pod niebem cud nie krosna
Biała prządka rozpościera.

Widział kto takiego trzpiota?
Co zamota, to rozmota;
Co nawinie, to rozwinie;
Wciąż zaś garścią ku dolinie
Rzuca przędzę — ot, robota!

A robota? Baczność z nami,
Baczność! Anuż czar omami —
I nim poznasz, już na nici
Serce tęskne się uchwyci
I popędzi gdzieś światami.

I nim poznasz, w jednej chwili
Pomknie szlakiem gdzieś motyli —
Po promieniach, po przeźroczy,
Pomknie chyłkiem w świat, za oczy...
— A doleci? A nie zmyli?

St. Rossowski.



Rozmaitości.

Abakanowicz Bruno, najwybitniejszy z naszych elektrotechników, zmarł nagle w z. m. we Francyi, gdzie przebywał od roku 1881. Urodzony 6. października 1852. w Wiłkomierzu, po ukończeniu techniki w Rydze został docentem mechaniki w politechnice lwowskiej i szybko zasłynął pracami w dziedzinie, która mu nadto przyniosła wielkie mienie od chwili, gdy opuścił Galicyę. Majątku swego umiał jednak używać z pożytkiem dla narodu, bo nie żałował go na wsparcia dla polskiej młodzieży technicznej. Wszak głównie dzięki jego hojnemu zasiłkowi dorost techniczny nasz miał w lecie b. r. sposobność poznania wystawy paryskiej i zaznaczenia poważnym swym zastępem, że w pracy nad postępem kulturalnym Polacy nie wyrzekają się udziału, choć zewsząd doznają w niej raczej trudności, niż pomocy. — Z wynalazków nieboszczyka najważniejszymi są: integrator, t. j. przyrząd matematyczny, który mierzy mechanicznie pole, ograniczone liniami krzywemi, wykazuje ilość pracy, wykonanej przez motor parowy w ciągu pewnego czasu, oblicza, ile elektryczności przepłynęło przez pewien obwód i t. d., szereg przyrządów do kreślenia linii krzywych (spirograf, parabolograf, eksponencyograf), dzwonek elektromagnetyczny do sygnałów kolejowych i lampa elektryczna.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 131. Jaki jest początek zakonu Pijarów, jakie były i są jego klasztory w Polsce?

Nr. 132. Którzy członkowie zakonu Pijarów w Polsce odznaczyli się na polu cywilizacyjnem (jako pisarze, mowcy, wychowawcy, artyści itd.)?

Nr. 133. Którzy są najsławniejsi mowcy polscy od czasów najdawniejszych do dziś dnia?

Nr. 134. Dlaczego święcimy rocznice wielkich wypadków, ludzi itp.?

Nr. 135. Jakie archaizmy znajdujemy w wierszu Konarskiego „Adversa cum fortuna“ i jakiemi wyrażeniami dziś je zastępujemy?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: H. Wernica „Stanisław Konarski“ i „Chemia codziennego życia“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 13. b. m. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 126–30.

Nr. 126. Leon Mikołajewicz (t. zn. według zwyczaju rosyjskiego syn Mikołaja) hr. Tołstoj — najznakomitszy współczesny powieściopisarz rosyjski, nowelista i badacz zagadnień religijno-społecznych (ur. 28. VIII. 1828.) w Tule, żyje w Jasnej Polanie. Słynne są jego powieści: „Wojna i pokój“, „Anna Karienina“, „Sonata Kreuzerowska“, „Pan i sługa“, „Zmartwychwstanie (Odrodzenie)“ — przystępne w przekładach polskich. Pisali o nim u nas M Zdziechowski, Karowski i inni.

Nr. 127. Syngapur — po sanskrycku Sinhapura (*s* niezmiękczone) — należy taksamo, jak nazwa Syngalezów (po sansk. Sinhala), mieszkańców Cejlonu, po sanskr. *sinhala* t. zn. lew; drugi człon złożenia *pura* = gród, miasto (πόλις) razem Lwigród!

Nr. 128. Odpowiedź stanowi art. o Konarskim w nrze niniejszym.

Nr. 129. Elekrotechnika jestto zastosowanie energii elektrycznej do celów technicznych, do potrzeb człowieka: telegraf, galwanoplastyka, oświetlenie elektryczne, koleje elektryczne, wydobywanie kruszców z rud (elektrometalurgia) itp.

Nr. 130. Rada państwa jest wspólnem ciałem prawodawczem wszystkich t. zw. krajów koronnych Przedlitawii. Zgodna uchwała obu jej Izb (posłów i t. zw. panów), które obradują l. uchwalają oddzielnie, staje się ustawą. Izba pierwsza liczy 425 członków (z Galicyi 78), wybieranych w poszczególnych okręgach wyborczych przez 5 grup, zwanych klasami l. kuryami wyborczemi. Kurya I., obejmująca najmniej wyborców, bo właścicieli dóbr, najwyżej opodatkowanych, wybiera w Galicyi aż 20 posłów II. kurya miast, złożona z mieszczan, opłacających podatki bezpośrednie w pewnej wysokości, urzędników i ludzi, posiadających stopień naukowy (doktorat), wybiera w G tylko 13 p., III. k. Izb handlowybh i przemysłowych 3 p. (Lwów, Kraków, Brody), — IV. k. gmin wiejskich, obejmująca wsi i miasteczka, a oparta na tejsamej zasadzie, co k. III, wybiera tylko 15 p., i to drogą pośrednich wyborów (upośledzenie niczem nie uzasadnione), wreszcie V. k. t. zw. powszechna, zaprowadzona w r. 1896, a obejmująca wszystkich pełnoletnich obywateli płci męzkiej (a więc i wyborców k. I–IV.), wysyła 15 posłów. Izba panów składa się z członków takich, którzy należą do niej: *a*) swem urodzeniem, mianowicie pełnoletni członkowie domu cesarskiego; *b*) z tytułu swej godności (arcybiskupi i biskupi-książęta, a więc z G. krakowski): *c*) z mianowania cesarskiego, a to albo dziedzicznie powołani (głowy rodów szlacheckich), albo dożywotnio (zasłużeni około państwa, Kościoła, nauk i sztuk mężowie). Izbie panów cesarz mianuje sam przewodniczącego i jego zastępcę, Izba posłów wybiera ich sobie sama (prezydenta i 2 wiceprezydentów). Obie zbierają się corocznie w Wiedniu na wezwanie cesarskie dla obradowania i uchwalania w sprawach, przydzielonych im szczegółowo ustawą zasadniczą o reprezentacyi państwa. Należą mianowicie do Rady państwa sprawy, dotyczące praw, obowiązków i interesów wspólnych wszystkim krajom Przedlitawii (wspólne tej części monarchii z Zalitawią należą do delegacyi wspólnych, wybieranych z łona Rady państwa przedlit. i Sejmu zalit.). W szczególności uchwala R. p. ustawy w sprawach prywatnych i publicznych, w sprawach szkół wyższych i zasad nauczania w szkołach średnich i ludowych, kontroluju zarząd (administracyę) państwa, przyznaje budżet państwa na rok przyszły na podstawie wniosków (preliminarzy) ministeryalnych i pociąga do odpowiedzialności ministrów za ich urzędowanie. Uchwały jej obowiązują wszystkich obywateli, gdy cesarz je zatwierdzi, a dziennik praw państwa ogłosi.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 28. b. m.:

(wszystkie) Auditor (wybornie); (26–7, 29–30) Saulida; (26, 28–30) Cetnarski, Kobierzycki, Michalewicz (wybornie); (26, 28, 30) Oberhard; (26, 29–30) Bloch, Galvani, Masiuk, Otfinowski, Wiktor; (26, 29) Jabłonowski; (26, 30) Starklówna; (26) Szreniawa.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): N. Michalewicz ze Lwowa (Świetli „Nowele“) i M. Treter z Chyrowa („Historya kawałka węgla“).

Szarada.

Pierwszą z drugą miewa
Każdy rodzaj drzewa;
Pierwsza tak, druga wstecz —
To dla Turka święta rzecz;
Trzecia, też czytana wspak,
To algebraiczny znak.
Całość — kto ją zbierze? —
Góruje w tym numerze.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Do wszystkich Czytelników. Numer niniejszy poświęciliśmy pamięci człowieka, który powinien przyświecać wszystkim miłośnikom Ojczyzny swą nieustraszoną odwagą i wytrwałością w obronie zasad i przekonań swoich; takich, jak on, potrzeba nam jak najwięcej. Zapoznać się więc z jego życiem i pracami należy się jak najdokładniej, ażeby wiedzieć, jak go naśladować ze skutkiem pomyślnym dla sprawy narodowej. Toteż stali Czytelnicy nasi nie wezmą nam chyba za złe, że niemal cały numer poświęciliśmy jednej świetlanej postaci z czasów przełomowych w życiu narodu naszego — i tak miarkowaliśmy się z konieczności —, a przygodni niech nam przebaczą, jeśli nie wyczerpaliśmy — nie brakło chęci, brakło sił i środków! Gdyby jednak ci Czytelnicy przygodni zmienili się w stałych (czemu chyba z naszej strony nic nie stoi na przeszkodzie, boć przedpłata całoroczna wynosi tylko 5 koron za blizko 40 arkuszy druku *in 4-to*), moglibyśmy rozwinąć pismo nasze i wyposażyć tak, że nie potrzebowałoby — jak obecnie — krępować się względami pieniężnymi. Ich uwagę zwracamy na to, że pismo nasze, założone w myśli ulżenia młodzieży polskiej, tej nadziei narodu, pracy nad sobą i przygotowania się do ciężkich obowiązków i zadań, które ją czekają w przyszłości, stara się o utrzymanie czytelników swych w ciągłem zetknięciu z ruchem umysłowym nietylko swojskim, lecz także zagranicznym, jak tego dowodzi blizko 50 artykułów, ogłoszonych w dotychczas wydanych nrach b. r., tak z dziedziny beletrystycznej, jakoteż artystycznej, naukowej i społecznej, stałe pogadanki, rubryka „Z całej Polski“, zagadnienia naukowe i konkursy na tematy dane. Stałych zaś Czytelników naszych raz jeszcze wobec początku nowego roku szkolnego i kwartału prosimy o życzliwe poparcie „Przyjaciela“ wśród znajomych, kolegów i koleżanek. W Waszem ręku los pisma. Uznaliście pracę naszą, — dobrze, pracujemy chętnie, zróbcie Wy swoje!

Cyprowski. Nr. 13—16 wysłano, bo bez nich brakłoby związku myśli w poszczególnych artykułach; jesteśmy cierpliwi, czekamy chętnie na wyrównanie zaległości, gdy mamy do czynienia z tak rzetelnym osobnikiem. W nadesłanych wierszach postęp widoczny, szczegółowa krytyka listownie, ale później, bo redaktor ma obecnie za wiele kłopotów osobistych. Może nawet coś się przyda. Przedpłaciciela o nazwisku podanem nie mamy. *T. Otf. T.* Załatwiono stosownie do żądania. *Sfinks.* Nagrodę wysłano przecie za poleceniem. Abgar Sołtan = Abgarowicz, Józef Maskoff = G. Zapolska. O dramatach, odznaczonych na konkursie Wydziału krajowego, pomówimy naturalnie o tyle, o ile ukażą się w druku; czy już w b. r., trudno orzec, bo musimy pokończyć rozpoczęte prace o Sienkiewiczu, sejmach w Polsce, rozmaitych typach światopoglądu etycznego, głównych metodach astronomii fizycznej, oraz prowadzić dalej „Listy z podróży na Wschód daleki“, które pisze Polak, bawiący obecnie w Chinach, a więc świadek niedawnych wypadków a o których jak największe dozy upominają się czytelnicy, — szkice ze współczesnej poezyi polskiej T. Piniego, szkice fizyologiczne B. Błażka, wreszcie rozpocząć druk prac, które mamy przyrzeczone lub w tece. *St. St. Lw.* Rękopis do odebrania w administracyi. Gratulujemy pracy. *Szreniawa.* „Historya literatury polskiej“ St. Tarnowskiego — niewyczerpująca, zresztą 5 t. 22 *k*; na drugie pytanie odpowiemy w nrze 20. *Prawda.* Proszę rpsy i zebrane piosnki ludowe złożyć w administracyi; przeczytamy i damy odpowiedź ustną lub pisemną jak najrychlej. *Eleon.* Red. i adm. „Ludu“: Lwów, ul. Zimorowicza l. 7., dla uczni i akademików rocznie 2 *kor.*

OD ADMINISTRACYI.

Prosimy o odnowienie przedpłaty na kwartał IV. (1½ kor.) wszystkich tych, którzy nie uczynili tego dotychczas.

Nowo przybywający przedpłaciciele mogą nabywać numery, dotychczas wydane w r. b. t. zn. I—18., za dopłatą kwoty, brakującej do przedpłaty rocznej t. zn. 3 koron 50 hal. (zamiast 4 koron); ci, którzy nadeślą tę kwotę, otrzymają nadto 3 dodatki bezpłatne: odbitki obrazów Rubensa i Van Dycka, oraz mapę W. Ks. Poznańskiego.

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru. 19: *Konstanty Wojciechowski*, Stanisława Konarskiego krótki rys żywota. — Adversa cum fortuna. (Wiersz ks. St. Konarskiego, tłum., *Fr. Kniaźnin*). — Szkoły jezuickie w Rzeczypospolitej (wedł. *ks. St. Załęskiego*). — *St. Rossowski*, Jesienne scherzo (wiersz). — Rozmaitości, zagadnienia naukowe, szarada, skrzynka pocztowa Redakcyi i Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pl. Bernardyński 7.

We Lwowie 16. października 1900.



Rok II.

Nr. 20.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Nie na tych polega szczęście ludzkości, co burzą, ale na tych, którzy budują. *Z. Kaczkowski.*

Lew kamienny*).

Opowiem wam bajkę, dla której najmniejsze dzieci są za duże, aby w nią uwierzyć mogły.

— Ukochał lew naprzód samotność, więc rozkoszował się i gęstwiną leśną, w której spoczywał tak osłonięty, że go często słońce nie widziało, i płaską, olbrzymim kręgiem w kopule nieba osadzoną pustynią, po której zwykle tylko wiatr chodził i wielkie garści piasku z miejsca na miejsce przerzucał. Bo on jeden nie trwożył się i nie uciekał, usłyszawszy gniew króla źwierząt, a nawet miał odwagę zwichrzać lub głaskać mu grzywę i puszczać w wir pląsające przed nim słupy kurzu. Tygrysy, jaguary, wszystkie drapieżce, równym przestrachem zdjęte, jak żyrafy, kozy, antylopy, małpy, o ile nie ginęły rozszarpane i pożarte, pierzchały z okolicy aż tam, gdzie ich przerażające ryki lwa najsłabszem echem nie dobiegały.

Żył on więc tylko z samotnością, która mu rodziła niezliczone marzenia. Ale zwłaszcza jedno z tych dzieci umiłował. Szumem z wysoka na ziemię padającego wiatru, głosami z daleka przylatujących ptaków mówiło mu ono ciągle, że gdzieś poza widnokręgiem wznoszą się olbrzymie góry, które w zawojach z chmur lub w koronach z promieni słonecznych wznoszą nad światem swe głowy.

Poszedł tedy lew dnia pewnego w kierunku, który mu jego marzenie wskazywało. Przebył długą drogę, przepłynął szerokie morza, a owych śnionych wyżyn nigdzie nie spotkał. Zmęczony bardziej zawodem niż podróżą, gdy mu raz chmury nawet światło gwiazd zaćmiły, legł nad brzegiem jeziora, w którem utonąć zapragnął. Szczebiotało ono do niego czule i wabiło go nęcącym szmerem swych drobnych fal:

*) Wejścia do przystani jeziora Kostnickiego w Lindau strzeże lew kamienny, zapatrzony w widniejące zdala szczyty Alp przedarulańskich.

— Ukołyszę cię, wypieszczę, ucałuję... Na mojem łonie zaśniesz w spokoju, którego ci życie nigdy nie da. Zejdź z dobrowolnej tortury na miękką pościel mojego kryształowego pałacu, przytul się do mojej piersi, która cię nigdy nie odepchnie i dla ciebie bić będzie. Szczęście jest nieczułością i zapomnieniem...

Ale u głowy tułacza siedziało skrzydlate marzenie, które mu przewodniczyło ciągle w wędrówce i które go teraz odciągało od tej pokusy.

— Nie wierz zdradzieckiej namowie! Nie ścigaj śmierci, bo ona cię goni. Ile razy zechcesz, stawi się natychmiast na twoje rozkazy: nie potrzeba jej prosić i wzywać, nie potrzeba po nią ręki wyciągać, bo ona stoi tuż przy tobie... Jesteś już u celu swych rojeń. Gdy ranek zasłony nocy pościąga i góry z mgieł omiecie, zobaczysz...

Lew powstał. Przez mroki dojrzał na drugiej stronie jeziora czarne ściany, ogromne skały czy mury, jak gdyby wynurzone z wody cielska potworów. Miałżeby on za niemi tęsknić, do nich dążyć?

Tymczasem posępne oblicze nieba zbladło; mroki rzedniały, nabierały coraz większej przeźroczystości. Powoli zarysowały się rozmaite kształty w otchłani cieniów i występowały barwy z tła szarego. Wszystko, co noc stopiła w jedną czarną masę, zaczęło się wydzielać i wyosobniać.

Lew patrzył ciekawie na to budzenie się natury i jej rozdziewanie z szat nocnych. Na przeciwległym brzegu jeziora stała gromadka gór owiniętych w mgłę białawą. Jedna za drugą, podejmując ku wierzchowi tę oponę, ściągały ją przez głowy i zawieszały na krawędziach skał wyższych. A gdy brzask rozlał w powietrzu jasność poranku gdy na niebie zapłonęła łuna, poprzedzająca wschód słońca, one już stały nagie i przeglądały się w jeziorze. Były to góry nizkie, rodzajne, karmicielki człowieka, obwieszone kiściami ziaren i gronami jagód. Lew je podziwiał, ale ciągle wzrok puszczał poza nie, dalej, gdzie stały inne, większe, z głowami, zatopionemi w puchach obłoków. Jeszcze drzemały, gdyż dopiero dzień je budzi i odkrywa.

(Dok. nast.) *A. Świętochowski.*

LISTY
z podróży na Wschód daleki.

(Ciąg dalszy).

Na południowem morzu chińskiem 21. lutego 1900. Od ostatniego mego listu minęło sporo czasu, gdyż odbyłem małą wycieczkę. Najpierw zawinęliśmy do Makaa (Macao), posiadłości portugalskiej, położonej niedaleko Honkonu. Z powodu nizkiego stanu wody musieliśmy zarzucić kotwicę o cztery mile od lądu. Mieliśmy jednak na nasze usługi mały parowczyk portugalski, którym jeździliśmy na ląd i z powrotem. Sama miejscowość nie przedstawia wiele ciekawego. Dzielnica chińska posiada wprawdzie piękne sklepy, świątynie i wcale zajmujące życie uliczne, jednak zapach specyficznie chiński zmusza zwiedzającego do opuszczenia jej czem prędzej.

Charakterystyczne dla Makaa są liczne domy gry, utrzymywane przez Chińczyków, a przynoszące rządowi ogromne zyski. Uwagi godne jest ich urządzenie i sposób, w jaki grają. Na pierwszem piątrze znajduje się niewielki, mroczny pokój. Pułap jest w środku przerwany, tak że w braku miejsca na dole można grać z górnego pokoju, spuszczając stawki w koszyku, na ten cel zawieszonym. W dolnym pokoju stoi ogromny stół, dokoła niego wysokie stołki chińskie. Bankier siedzi na szerokim fotelu, poza nim znajduje się ołtarzyk bóstw domowych z mnóstwem świeczek i trociczek. Gra odbywa się w sposób nader pierwotny. Są 4 numery, na które można stawiać. Stawka wynosi najmniej 10 centów. Gdy obstawią numery, bankier sięga do urny, stojącej na stole, i wydobywa z niej garść przedziurawionych starych monet chińskich, wysypuje je na stół i odlicza zapomocą długiej pałeczki po cztery. Wygrywa numer, odpowiadający liczbie monet, które zostaną się ostatecznie, bo nie stanowią czwórki. Chińczycy, a nawet przejezdni Europejczycy grają tu namiętnie.

Następnie ruszyliśmy w dalszą drogę ku Kantonowi (po chińsku: Kwanczeufu) i zarzucili kotwicę o kilkanaście mil od tego miasta przed Wampoą. Jest to port chiński dla łodzi torpedowych. Dotychczas jeszcze stoją doskonałe, niegdyś przez europejskich inżynierów zbudowane urządzenia, ale tak zaniedbane, że aż serce boli patrzyć. Przystań

leży na rzece, a raczej w ujściu trzech rzek, które tutaj uchodzą kilku ramionami do zatoki, zwanej z angielska *Kanton River*. Ramiona te odcinają od stałego lądu liczne wyspy różnej wielkości, t. zw. *Flut Islands*. Na tych ostrowach znajdują się obszerne pola ryżowe, nader starannie uprawione i sztucznie nawodnione przy pomocy licznych kanałów i śluz, które doprowadzają wodę z rzeki. Nie dziwota więc, że się tu roi od ptactwa błotnego. Toteż prawie codziennie wyruszaliśmy na polowanie. Strzelaliśmy do kszyków, które porywały się przed nami całemi stadkami, do nurów i kulików. Także dzikich gołębi wielka obfitość.

Z Wampoy zwróciliśmy się ku północy do Swatau. Jest to jeden z niewielu portów chińskich, otwartych dla handlu europejskiego, położony o kilka mil od ujścia rzeki Hanu. Malownicza okolica. Na lewym brzegu skalista, na prawym płaska i piaszczysta. Tu też leży miasto chińskie, — na lewym zaś brzegu, a raczej na skalistej wyspie, zwanej Kahkia, mieszkają nieliczni Europejczycy i wznoszą się konsulaty: angielski, zarazem austryacki i niemiecki.

Dziś rano wybrałem się z jednym z towarzyszy podróży na polowanie. Najęliśmy za $1^1/_2$ dolara na cały dzień łódź, t. zw. *tampan*, zaopatrzyli się w żywność i w towarzystwie sprytnego chłopaka chińskiego, który nie rozumie żadnego języka oprócz ojczystego, ruszyli w pole. Okolica przypomniała mi okolicę Stryja. Równina, zakończona na widnokręgu wysokiemi górami, pokryta urodzajnemi polami, tu i ówdz e malownicze osady chińskich rolników, strugi, podmokłe pastwiska lub grupy drzew rozłożystych.

Podziwiałem spryt i wytrwałość Chińczyków, z jaką piaski nadbrzeżne przemienili w urodzajną rolę przez sztuczne nawodnianie i sypanie wysokich wałów. Nad brzegiem rzeki widać jeszcze dokładnie ogromne wydmy rzecznego piasku, po którym się chodzi tak, jak u nas po zamarzniętym śniegu.

Ma tu być mnóstwo kuropatw, kaczek i gęsi, strzelałem jednak tylko do dubeltów, a mój towarzysz zastrzelił czaplę, ogromnego sokoła i ciekawego kruka z białą szyją.

Muszę tu wspomnieć nieco o Chińczykach, których na swych wycieczkach myśliwskich i fotograficznych mogłem poznać nieco bliżej. Otóż o ile mieszczanie, niechlujni, niedowierzający i zepsuci, wcale mi się nie podobają, o tyle ludność, zamieszkująca rzeki, i wiejska jest mi nader sympatyczną. Pracowitość i staranność są jej cechami charakterystycznemi. Nie dostrzegłem u tych ludzi najmniejszego cienia nienawiści ku Europejczykom, owszem miałem niejednokrotnie sposobność do podziwiania ich uprzejmości. Wadą ich jest tylko nadzwyczajna ciekawość; mimo to nie są natrętnymi.

* * *

Amoy 10. marca. Wśród zwiedzania rozmaitych ciekawych rzeczy i porządkowania notat w pamiętniku nie zdołałem dokończyć listu w Swatau. Tymczasem posunąłem się znowu o kilkaset mil dalej ku wschodowi.

Zanim przystąpię do opisu Amoyu, muszę wspomnieć o swej drugiej wycieczce myśliwskiej w Swatau. Wybrałem się o ósmej rano w towarzystwie Chińczyka, który niósł mój prowiant i przynosił zastrzeloną zwierzynę. Do godziny czwartej popołudniu krążyłem po polach ryżowych i nad brzegiem rzeki, gdzie odpływ morza obnażył dno na kilkadziesiąt metrów od brzegu. Roiło się od kulonów i kulików, ale niestety niemożna było ich podchodzić z powodu szlamu, niegłębokiego wprawdzie, ale tak gęstego, że niepodobna było po nim stąpać.

Koło południa zatrzymałem się na suchej kępie i byłem właśnie zajęty spożywaniem swych zapasów, gdy znane kwilenie zwróciło moją uwagę. Dwa ogromne kulony ciągnęły wprost ku mojemu obozowisku. Przysiadłem i czekałem. Za chwilę nadleciał jeden z nich na strzał. Trafiony w szyję na wcale pokaźną odległość, zwinął się w powietrzu i runął w błoto. Po „obiedzie“ ruszyłem w dalszą wędrówkę. Przechodziłem właśnie koło pola ryżowego, pokrytego wodą, gdy nadciągnęła prześliczna czapla królewska, którą mi wierna moja angielka pozwoliła również sobie przywłaszczyć. Piękne srebrzyste pióra, których mi tu wszyscy towarzysze podróży zazdroszczą, schowałem sobie na pamiątkę. Pióra te płaci się w Europie drożej od strusich. Strzelałem także dwa razy do gęsi. W ogólności polowania błotne w południowych Chinach są bardzo piękne i zajmujące. Oprócz naszych dubeltów i kszyków spotykałem tu mnóstwo

drobnych bekasów, jakich u nas nie widziałem nigdy...

Amoy jest równie jak Swatau portem, otwartym dla handlu europejskiego. Leży nad rzeką, w okolicy nader malowniczej, skalistej. Zwiedziłem miasto dokładnie podczas swych wycieczek fotograficznych i zrobiłem kilka zdjęć wcale pięknych.

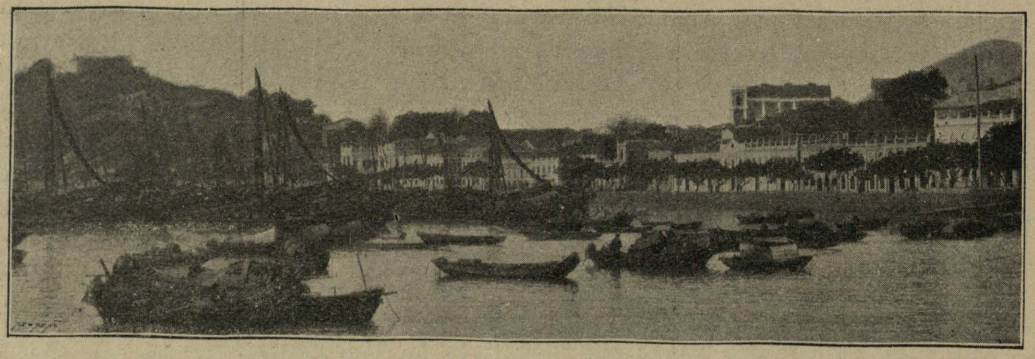
Amoy to morze nizkich domów, labirynt wązkich, brudnych i cuchnących ulic, na których cisną się tłumy synów państwa niebieskiego, gwarne i brudne, jak wszystko w Chinach. O niechlujstwie tego narodu niemożna sobie wyrobić pojęcia, jeśli się nie miało sposobności przekonania o niem naocznie. Nasi Żydzi małomiasteczkowi są wzorem czystości w porównaniu z Chińczykami Do charakterystycznych postaci na ulicach miast chińskich należą kuliowie, roznoszący w kubłach, zawieszonych na bambusowych tykach, nawóz ludzki, który zatruwa swym odorem całą okolicę. Nawozu tego używają w Chinach do użyźniania pól i ogrodów.

Opowiadają, że gdy słynny Lihunczan (Li-Hung Czang), niegdyś wicekról Korei, obecnie gubernator Kantonu, zachorował, lekarz europejski nie chciał go pierwej badać, aż wziął kąpiel, gdyż brud pokrywał skorupą ciało „ekscelencyi". Łaźnie w miastach chińskich są zupełnie nieznane. Nic dziwnego przeto, że choroby skórne grasują tu straszliwie.

Ale jeżeli kto przezwycięży w sobie wstręt i zapuści się w mrowisko, zwane miastem chińskiem, wnet zapomni o ujemnych stronach, podziwiając wytrwałość, pracowitość i zręczność Chińczyków. Sklep koło sklepu, warstat koło warstatu, a w każdym Chińczycy pochyleni nad robotą. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że ci ludzie śpią nad robotą; ale wkrótce przekonujemy się, że robota postępuje raźno, jakkolwiek Chińczyk robi wszystko w sposób najmozolniejszy, jaki można sobie wyobrazić.

Poszczególne cechy zajmują osobne ulice. Tu sklepy snycerzy, wyrabiających piękne przedmioty z cyny, łupku lub żelaza, — tam krawcy, hafciarze, — ówdzie tokarze, kupcy, sprzedający tusz, lub też całe ulice, zapełnione sklepami przekupni wiktuałów.

Komiczny przypadek wydarzył mi się przed kilkoma dniami na wycieczce fotograficznej po Amoyu. Przechodziłem koło budynku szkolnego. Budowa czysto chińska i grupa uczniów, uczących się czytać pod przewodnictwem starego nauczyciela, zajęła mię tak, że postanowiłem zrobić zdjęcie fotograficzne. Zaledwie zdołałem przygotować przyrząd, gdy otoczył mnie tłum ciekawych Chińczyków, a uczniowie opuścili swoje miejsca i przybiegli oglądać nieznany im aparat. Pan profesor skakał ze złości i zatrzasnął drzwi od sali szkolnej. (C. d. n.)



Makao od strony wschodniej (p. str. 226.)

* * *

Chór
z „Baśni nocy świętojańskiej"

prologu, napisanego na otwarcie teatru miejskiego we Lwowie.

Niech się nam święci cudny kwiat paproci,
Niech się nam święci wonny, jasny dzień!
Oto już w zorzy śnieżny szczyt się złoci,
Który tak długo obleczon był w cień.

Niech się nam święci w nieprzerwane lata
Tej naszej pieśni wszechpotężna moc!

Ona blask sieje po rozłogach świata
I ze serc ludzkich ciemną płoszy noc.

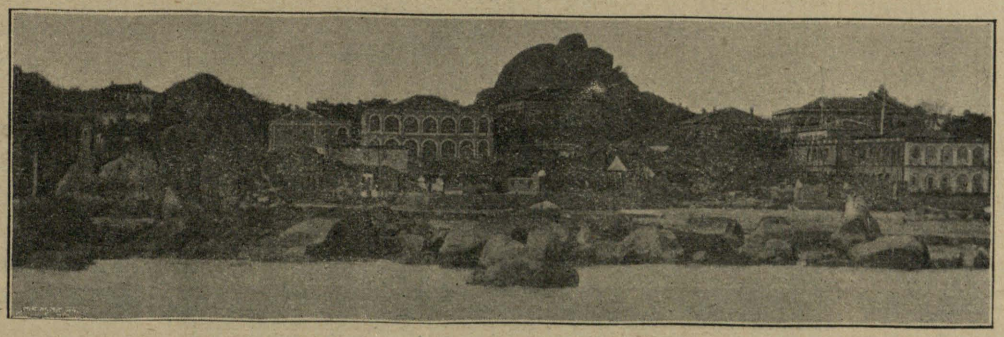
Z miesięcznych mgławic lotne widma tworzy,
Z piany potoku i z poszumu drzew.
Przez nią przemawia odwieczny duch Boży,
Jak świst wichury lub jak jeziór śpiew.

Ona-to z duszy wywabia prostaczej
Miłosnych szeptów słodki, wonny czar,
Głos daje zbrodni, cnocie i rozpaczy,
Jest matką czynów i wspaniałych mar.

Rycerzy budzi, uśpionych przez wieki,
Gród krwawej łuny prowadzi ich w bój
I dzień zwycięstwa przybliża daleki
I w tryumf zmienia tysiącletni znój.

O boża pieśni! O cudna paproci!
Ty w naszych sercach na wieki się pleń!
W niezgasłych blaskach niech się dzień twój złoci,
Nieustającej chwały jasny dzień!

Jan Kasprowicz.



Amoy (Kulanseu, p. str. 227.)

O sejmach w Polsce.

(Ciąg dalszy).

Po wyborze marszałka następowały t. zw. r u g i p o s e l s k i e. Mianowicie jeżeli przeciw któremu posłowi podniesiono zarzut, jakoby nieprawnie został wybranym, lub ciężył na nim wyrok sądowy (kondemnata) i t. p., badano zarzut ten, a w razie stwierdzenia jego prawdziwości usuwano (rugowano) tego posła. O wyborze swym zawiadamiał marszałek króla przez kilku posłów, z Izby w tym celu wybranych (deputowanych), poczem cała Izba z marszałkiem na czele udawała się do Izby senatorskiej na powitanie króla. Po mowie powitalnej marszałka Izby poselskiej przystępowali posłowie kolejno wedle województw i ziem do ucałowania ręki królewskiej. Po tej ceremonii odbywały się przez kilka dni obrady wspólne senatu i posłów w Izbie senatorskiej. Odczytywano przysięgę królewską, *pacta conventa* (t. j. umowę króla ze stanami, którą przy każdej elekcyi spisywano), kanclerz przedkładał stanom przedmioty narad Sejmu, odczytywano pisma tajne, uchwały senatu, które zapadły od czasu poprzedniego Sejmu, oraz instrukcye (wskazówki), udzielone posłom, za granicę wysłanym. Izba poselska przedkładała królowi kandydatów na opróżnione (wakujące) godności i królewszczyzny, a król poddawał te wnioski pod obradę senatu. Senatorowie oddawali swe głosy (wota) w sprawie tych wakansów; mogli jednak od tego przedmiotu odbiegać i wypowiadać zdanie też o innych sprawach, które miały być przedmiotem obrad sejmowych. Po załatwieniu wakansów wybierano komisyę z senatorów i posłów do poprawy konstytucyi, które miano uchwalić. Następowały sprawozdania posłów, wysłanych do mocarstw zagranicznych, po nich słuchano mowców, wyznaczonych od wojska koronnego i litewskiego, którzy zalecali żołnierzy, dobrze zasłużonych, do nagrody, lub skarżyli się na zatrzymywanie żołdu. Po załatwieniu tych spraw posłowie udawali się do swej Izby i obradowali oddzielnie.

Obrady Izby posłów rozpoczynały się wnioskami w sprawie bezpieczeństwa publicznego i wogóle przedłożeniami królewskiemi; Izba mogła jednak czynić samoistnie wnioski i uchwalać nawet to, czego nie było w przedłożeniu rządowem, n. p. różne zlecenia, dane posłom w instrukcyach sejmikowych. Gdy na wniosek jakiś niemożna było uzyskać zgody w Izbie, wówczas posłowie rozchodzili się na t. zw. s e s y e p r o w i n-

cyonalne, które odbywały się poza Izbą (zazwyczaj w klasztorach); tu przybywali także senatorowie prowincyi i każda prowincya radziła osobno nad wnioskiem.

Podczas trwania Sejmu odbywał król z senatorami i posłami, wyznaczonymi przez marszałka, sądy sejmowe.

Było zasadą, że Sejm trwać może tylko przez taki czas, na jaki go zwołano, a przedłużyć go wolno jedynie za zgodą posłów. Konstytucya z roku 1573. ustanowiła termin trwania Sejmu na sześć niedziel, który to termin można było jednak skracać lub przedłużać

Po ukończeniu obrad w Izbie udawali się posłowie znowu do senatu; tu marszałek odczytywał uchwały Izby poselskiej. Każdą uchwałę nazywano konstytucyą i nad każdą z osobna mogły się toczyć rozprawy, w których udział brać wolno było tak senatorom, jakoteż posłom. Gdy dyskusya nie doprowadziła do porozumienia, wówczas konstytucya taka upadała. Wspólne obrady senatu i Izby poselskiej trwały wedle zwyczaju przez pięć ostatnich dni trwania Sejmu. Obrady z prawidła odbywały się tylko w dzień, gdyż nie było wolno obradować przy świecach; jednak często odstępowano od tego przepisu i obradowano po całych nocach.



Dżunka chińska w Makau (p. str. 226.).

Po ukończeniu obrad marszałek żegnał króla, poczem znów wszyscy posłowie przystępowali do ucałowania ręki królewskiej. Sejm zamykano uroczystem nabożeństwem.

W sposób powyżej opisany odbyło się niewiele sejmów. Bardzo często bowiem zrywano sejm zaraz po rozpoczęciu. Na 55 sejmów, zwołanych w latach 1652—1764., doszło do skutku tylko 7, a 48 zerwano. Obrady sejmowe udaremniano rozmaitymi sposobami Do najgwałtowniejszych środków należało założenie *veto* (t. zn. nie pozwalam) choćby przez jednego posła, który następnie opuszczał natychmiast Izbę poselską. *Veto* miało ten skutek, że nietylko Sejm nie mógł dalej obradować, ale — co gorsza — wszystkie uchwały poprzednie Sejmu tego upadały, choćby były jednogłośnie uchwalonemi. Mniej ostry środek stanowiło zatamowanie czynności Sejmu. Poseł mógł przez wyrzeczenie słów: *Sisto activitatem* (wstrzymuję czynność) udaremnić powzięcie uchwał przez Izbę, tak że Izba mogła wprawdzie obradować, ale nie mogła powziąć żadnej uchwały. Posła, który zatamował bieg czynności, proszono zazwyczaj, ażeby się nie upierał przy zdaniu swojem. Jeżeli się udobruchał i pozwolił na dalszą czynność, w takim razie Sejm obradował dalej ze skutkiem; jeżeli jednak poseł ów nie chciał się zgodzić na cofnięcie swych słów i wyjechał, to Sejm był zerwanym. W razie zerwania Sejmu marszałek z posłami udawał się do Izby senatorskiej i oznajmiał fakt ten królowi. — Można było wreszcie udaremnić obrady Sejmu w ten sposób, iż posłowie cały czas trwania obrad trawili na swarach, kłótniach, zawieszaniu czynności i t. p., a nie zgodzili się na przedłużenie Sejmu.

(C. d. n.)

Dr. Alojzy Winiarz.

Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego

(Ciąg dalszy)

II. Okolice nad Notecią.

Noteć przepływa północną część W. Ks. Poznańskiego i jest największym dopływem Warty. Przepłynąwszy Gopło, wije się przez Kujawy pod nazwą Mątwi. Aż do Nakła ma

kierunek północno-zachodni, następnie zwraca się ku zachodowi. Przyjmuje z prawej strony z większych rzek Łobzonkę, Głdę (Küddow) i Drawę, które spływają ze wzgórz, po prawej stronie położonych. Lewy brzeg jest nizki. Ujście Noteci do Warty znajduje się dopiero w Brandenburgii. Począwszy od Gopła aż do ujścia jest Noteć spławną.

Okolica nad górną Notecią obejmuje powiaty inowrocławski, strzelnieński, mogilnicki, witkowski, gnieźnieński, żniński, szubiński, i wągrowiecki. Najwięcej obfituje w jeziora. Jeziora te, albo położone osobno, albo tworzące malownicze grupy, lub też ciągnące się długim łańcuchem, ocienione niejednokrotnie lasem, przedstawiają widok bardzo piękny. Często łączą je rzeki, wijące się wśród łąk i dolin. Sama Noteć przepływa kilka jezior i łączy je z sobą podobnie, jak Wełna, która jest od Noteci znacznie mniejszą i także wpada do Warty. Do największych jezior zaliczają: Gopło i jeziora trląskie, powidzkie, rogowskie i żnińskie.



Chińczycy przy grze (p. str. 226.).

Gopło ma $^1/_2$ mili szer. i blizko 5 mil dług; ciągnie się z północy na południe daleko za granicę Królestwa Polskiego. Brzegi ma nizkie, w wielu miejscach zarosłe trzciną, sitowiem i olszyną. Na pagórku pod Kruświcą stoi Mysza Wieża, w której, wedle podania, myszy zjadły Popiela. Nad Mątwą i na północ od Gopła ciągnęły się dawniej ogromne błota, zwane Bachorzą, które corocznie zalewała woda Gopła i Mątwi, zrządzając przez to wiele szkody. Dziś błota te osuszono kanałami i rowami i teraz powstały tam łąki, pastwiska, a miejscami nawet pola uprawne. Po obydwu stronach górnej Noteci rozciągają się pasy bardzo urodzajnej ziemi. Tu leżą sławne Kujawy. Kujawska pszenica słynie daleko. Nad Wełną ciągną się piękne dębowe lasy.

Po obydwu stronach Noteci ciągną się wzgórza, poprzerywane licznemi węższemi i szerszemi poprzecznemi dolinami rzeczek, strumyków i parowów, któremi spływa woda z pól w czasie roztopu i deszczów. Wzgórza te są jeszcze w znacznej części pokryte lasami rozmaitego drzewa. Najwyższe wzgórza ciągną się od Wyrzyska aż w pobliże Białośliwia i znane są pod nazwą „gór Krostkowskich“. Wzgórza nadnoteckie pokrywa także las w okolicy Chodzieża, Ujścia i Czarnkowa; pod tem miastem ciągnie się piękny las liściasty i okolica ta nosi nazwę „polskiej Szwajcaryi“. Po prawej i lewej stronie Noteci znajdują się miejscami rozległe płaszczyzny piasku, które jednakże w nowszym czasie na wielu miejscach uprawiają i ulepszają ciągle przez nawozy.

Miasta w dolinie Noteci:

Kruświca (Kruschwitz), położona na północnym krańcu Gopła, należy do najstarszych miast w Polsce. Kolebka Piastów, była długi czas stolicą książąt polskich. Dziś ma około 700 mieszkańców. W najnowszym czasie zbudowano tu cukrownię. Pakość (Pakosch) także z cukrownią, Barcin, Łapiszyn i Rynarzewo leżą na lewym brzegu Noteci. Mieszkańcy tych miasteczek trudnią się przeważnie rolnictwem; Łapiszyn ma kilku sukienników.

Inowrocław, miasto powiatowe, położone wśród urodzajnej czarnej ziemi, jest najznaczniejszem miastem na Kujawach. Tu krzyżują się koleje żelazne, które prowadzą do Bydgoszczy, Torunia, Poznania i Rogoźna. Za miastem znajdują się solanki, w pobliżu nich zakład kąpielowy z wodą, sól zawierającą, bardzo skuteczną w wielu chorobach. Miasto się podnosi; ma już 18 tysięcy mieszk., gimnazyum i główny urząd celny.

Mogilno, miasto powiatowe, położone wśród urodzajnej gleby, ze starożytnym kościołem poklasztornym, jest stacyą na linii kolei żelaznej poznańsko-toruńskiej. Trzemeszno (Tremessen), miało dawniej klasztor Kanoników regularnych i gimnazyum, zniesione przed 25 laty; dziś ma progimnazyum. Liczyło 5000 mieszk. Znajduje się tam wspaniały kościół poklasztorny, zbudowany na wzór wielkiego kościoła św. Piotra w Rzymie.

(C. d. n.)

Główne metody astronomii fizycznej.

(Dokończenie).

Szczególnie obfite wyniki uzyskano w ostatnich latach przez połączenie metody spektroskopowej z fotograficzną. Zamiast badania widma ciała świecącego bezpośrednio wzrokiem, umieją teraz i wolą je fotografować.

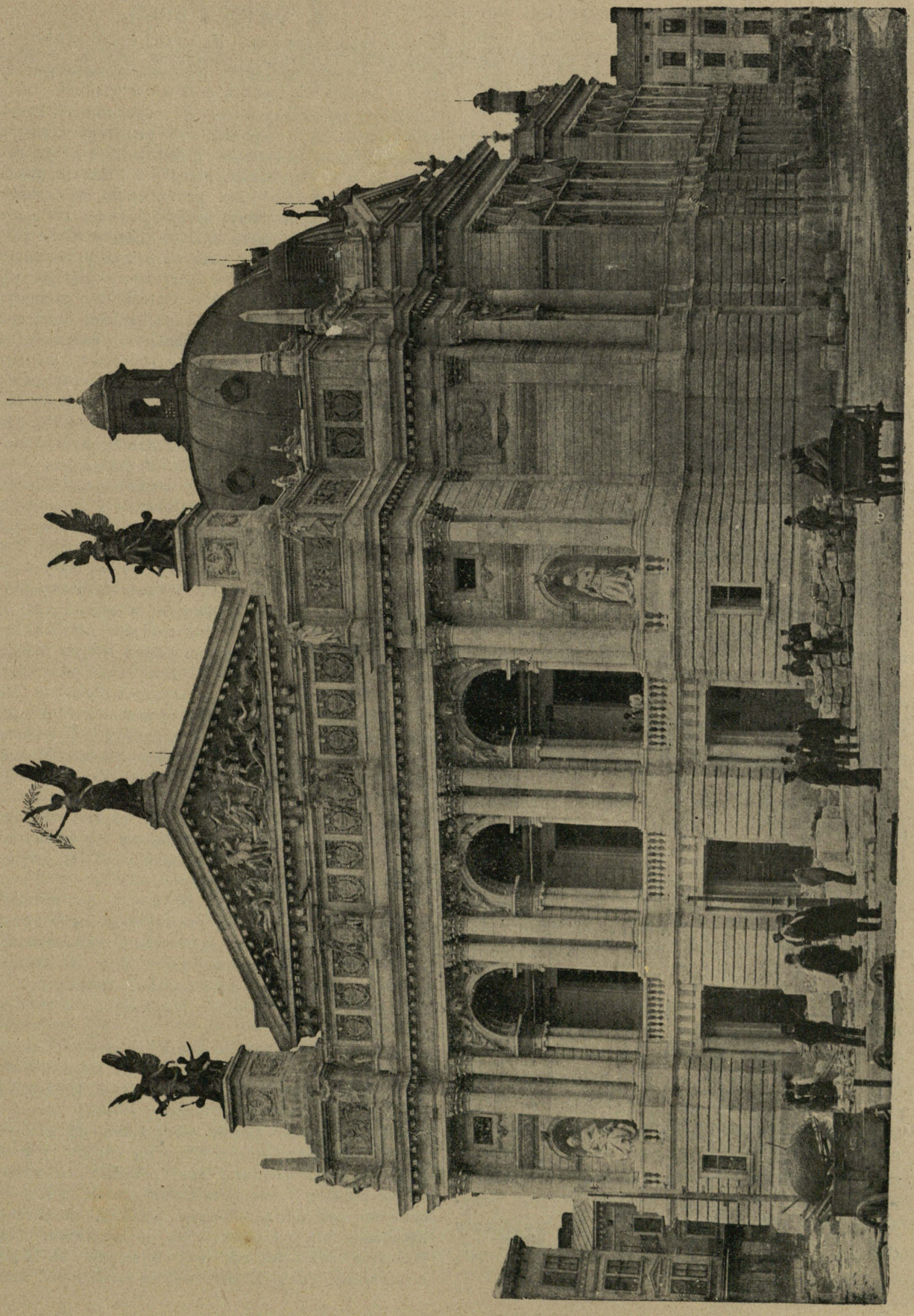
Gwiazda — jak wiadomo — na polu widzenia dalekowidzu przedstawia się jako punkt mniej lub więcej jasny; jeżeli jednak poprzednio przepuścimy pęk promieni, wychodzący od niej, przez spektroskop, to kropka ta rozciągnie się w kreskę. Jasność tej kreski będzie wprawdzie o wiele słabszą i w takim widmie nie rozróżnimy jeszcze żadnych kresek poprzecznych — a przecie te kreski to grunt! Trzeba koniecznie rozszerzyć widmo przy pomocy walcowatej soczewki, a to osłabi jeszcze bardziej jego napięcie (intenzywność). Stąd wynika mnóstwo trudności przy bezpośredniem badaniu widma okiem, a jeszcze więcej przy wymierzaniu jego, ponieważ wskutek wpływów atmosferycznych rzadko kiedy można otrzymać obraz spokojny. W tym względzie płyta fotograficzna jest o wiele odpowiedniejszą od siatkówki ocznej. Choćby widmo było możliwie najsłabszem, odfotografujemy je, a jeśli poświęcimy trochę więcej czasu, możemy zastosować też większe rozprószenie światła tak, że zobaczymy najdrobniejsze szczegóły.

W r. 1886. w obserwatoryum kolegium harwardzkiego na zdjęciach fotograficznych widma gwiazdy *Z* Wielkiej Niedźwiedzicy (*Ursae maioris*) zauważono ciekawe zjawisko: pewna ciemna kreska widma, oznaczana zwykle literą *K*, rozdwajała się w pewnych odstępach czasu. W r. 1889. spostrzeżono podobne peryodyczne dwojenie się kresek w widmie gwiazdy *β Aurigae*. Co było przyczyną tego zjawiska? Jedyne wytłumaczenie leży w tem, że gwiazdy wymienione przedstawiają dwa systemy. Według praw mechaniki oba składniki takiego systemu pozostają zawsze w ruchu dokoła wspólnego ciężkości środka, przyczem jeśli jedna gwiazda zbliża się ku nam, to druga oddala i naodwrót. Skoro gwiazdy znajdują się blizko siebie, widma ich padają na się wzajem; gdy gwiazdy poruszają się prostopadle do promienia widzenia, t. j. gdy obie nie przybliżają się, jeno oddalają od nas, wtedy jednoimienne kreski ciemne obu widm zlewają się. Na odwrót, jeżeli jedna gwiazda zbliża się ku nam, kreski ciemne jej widma wydadzą się skupionemi ku fioletowemu końcowi, gdy zaś równocześnie druga się oddala i ciemne kreski jej widma przesuwają się ku brzegowi czerwonemu, zobaczymy podwojenie się linii.

Jeżeli jeden ze składników jest względnie ciemnym, to nie zobaczymy jego widma, ale musi nastąpić przesunięcie ciemnych kresek w widmie drugiej gwiazdy; ono będzie odbywać się peryodycznie to w tę, to w ową stronę od średniego położenia, które otrzymujemy przez porównanie z widmem źródła nieruchomego. Takie zjawisko przedstawia n. p. widmo znanej zmiennej gwiazdy *β Persei* cz. Algolu. Już dawniej przypuszczano, że zmiany w blasku Algolu są wynikiem przejścia ciemnego jego satelity między tą gwiazdą a nami — dziś stało się to faktem niewątpliwym.

Spektroskop odkrył nam całą klasę nieznanych blizkich par gwiazd, o których istnieniu nie dowiedzielibyśmy się nigdy przez badania dalekowidzowe choćby tylko dlatego, że nigdy nie uzyskamy takiego powiększenia, żebyśmy mogli rozdzielić te pary.

Przy pomocy spektografu, t. j. przyrządu, służącego do fotografowania widm, próbowano oznaczyć ruch ze względu na promień widzenia mgławic i dzięki tym badaniom otrzymaliśmy niektóre dane, pozwalające orzekać o ich odległości od nas. Wszystkie tego rodzaju badania widmowe stanowią ogniwo, łączące dawniejszą astronomię ruchu i nową jej dziedzinę, która zajmuje się badaniem fizycznych właściwości ciał niebieskich. Niezwykle zajmujące są badania spektograficzne



Teatr miejski we Lwowie.

w obrocie obręczy Saturna, z r. 1895. Pokazało się, że obręcz wewnętrzna obraca się chyżej, zewnętrzna powolniej; to zgadza się z hipotezą Maxwella i Greena, którzy uważają obręcze Saturna za stężały rój małych satelitów. Badania spektrograficzne podczas zupełnego zaćmienia słońca w r. 1893. dowiodły, że korona słoneczna bierze udział w ogólnym obrocie. Niemożna też pominąć zdumiewających prac amerykańskiego astronoma, który umie teraz między innymi fotografować ogniska na całej tarczy słonecznej, podczas gdy dawniej mogliśmy badać je tylko na brzegach itd.

Każdy z tych wyników jest w swoim rodzaju prawie cudem, o jakim niebyło można nawet marzyć przed niewielu laty.

Streszczając to, co powiedziano wyżej, można rzec, że metodę badań naocznych stosuje się głównie przy badaniu drobnych szczegółów przedmiotów, względnie jasnych, oraz ubarwienia różnych ich części, natomiast fotografia odgrywa rolę wybitną przy badaniu przedmiotów o słabem świetle. Cenne zalety tej metody polegają w tem, że płyta fotograficzna zdolną jest do zsumowania działania promieni światła, że sprężystości płyty zawdzięczamy zdjęcia i jasnego słońca i słabo świetlnych mgławic, niedostępnych dla ogromnych nawet dalekowidzów, że wreszcie wyniki, uzyskane tym sposobem, są ścisłe i przedmiotowe.

Przy pomocy spektroskopu poznajemy skład chemiczny ciał świecących, śledzimy ich ruch według promienia widzenia; właściwości jego dowiodły nam istnienia blizkich siebie par gwiazd, których nie potrafimy rozdzielić nawet przy pomocy potężnych dalekowidzów. Badamy nawet i fotografujemy przy pomocy tego przyrządu ruchy słońca itd. Żadnej jednak z metod wymienionych nie można dzisiaj zastąpić drugą; w przyjacielskiem współzawodnictwie wszystkich leży główna siła i pewność dalszych zdobyczy astronomii fizycznej. Mieliśmy w szkicu niniejszym na oku li zewnętrzną, badawczą stronę rzeczy samej, niemożna jednak na koniec przemilczeć i tej okoliczności, że często głęboka myśl i ścisłe obliczenia matematyczne oczyszczały drogę i, wyjaśniając fakty, wytyczały dalszy jej kierunek. *K. Pakrowski.*

Z całej Polski.

(Ucisk w zaborze pruskim. — Na kresach Polski w Austryi: z Bukowiny i Ślązka. — Akademia górnicza w Wieliczce. — Studya kobiet. — Jubileusz Konarskiego. — Drobne wiadomości. — Teatr lwowski.)

Kiedy się ukazało znane już czytelnikom „Przyjaciela młodzieży“ rozporządzenie pruskiego ministra oświaty, Studta, nakazujące dzieci polskie uczyć religii w języku niemieckim, niebyło w Prusiech pisma katolickiego, któreby nie protestowało w sposób energiczny przeciw temu barbarzyństwu. I Polacy nie mogli w takiej chwili milczeć. Liczne wiece polskie na całej przestrzeni państwa pruskiego uderzały na rząd, wykazując ogrom bezprawia, jakiego się dopuszcza. Jednakże wszelkie protesty nie pomogły, a ministrowie pruscy, aby jeszcze bardziej dokuczyć społeczeństwu polskiemu, zjechali do Poznania na konferencyę celem obmyślenia sposobów jak najrychlejszego zniemczenia ziem polskich, zabranych przez Hohenzollernów. Narady ministrow doprowadziły, jak donoszą polakożercze pisma pruskie, do zupełnej zgody pomiędzy rządem państwowym a władzami prowincyonalnemi W. Ks. Poznańskiego. Powzięto uchwały, zdążające do wzmocnienia przedewszystkiem niemieckich rękodzielników i niemieckiej małej własności ziemskiej. Postanowiono także jak najbardziej poprzeć żywioł niemiecki w samym Poznaniu, aby z tego miasta uczynić t w i e r d z ę n i e m i e c k o ś c i na wschodnich kresach państwa pruskiego, odświeżającego w Europie w ostatnich chwilach XIX. w. najbrutalniejsze tradycye Attyli i Hunów. Równocześnie z wiadomościami o tych uchwałach, skierowanych przeciw nam, nadchodzą inne o procesach politycznych, wytaczanych Polakom. Posłowi Głębockiemu w Środzie wytoczono proces z powodu mowy, którą w r. 1898. wygłosił podczas uroczystości obchodu 100. rocznicy urodzin Mickiewicza, a niejakiego p. Bernarda Zakrzewskiego w Gruczno w Prusiech zachodnich skazano na 100 marek za prywatne uczenie dzieci języka polskiego. Nadto w ostatniej chwili dowiadujemy się o skazaniu panny Komankowskiej w Poznaniu na 5 dni więzienia za takiesamo „przestępstwo“ (!).

Zapisujemy wszystkie te fakty, bo młodzież polska powinna wiedzieć, że społeczeństwo nasze wchodzi w okres koniecznej a ciężkiej walki o istnienie z żywiołem niemieckim, który chce nas zgnieść, sprowadzić do rzędu niewolników, karmiących się okruchami kultury obcej, a niezdolnych do rozwijania własnej.

Jesteśmy narażeni na ucisk ze strony Niemców nietylko w Prusiech, ale także w Austryi. Wszak w Wiedniu, gdzie mieszka kilkadziesiąt tysięcy Polaków, niema ani jednej szkoły polskiej, mimo że gmina jest wedle ustawy obowiązaną do otwarcia szkoły już wtedy, gdy znajdzie się choćby tylko 40 dzieci w wieku szkolnym. Inny przykład: w wyższej szkole żeńskiej (liceum) w Czerniowcach, gdzie jest mnóstwo uczenic narodowości polskiej, uczą religii katolickiej nie po polsku, ale po niemiecku. Najjaskrawiej zaś ucisk narodowy występuje na Ślązku cieszyńskim, gdzie Niemcy usiłują paraliżować każdy

krok narodu, skierowany ku odrodzeniu, i świadomie przekręcają fakty, aby tylko dowieść, że żywioł niemiecki przeważa jakoby, choć na blizko 300.000 ludności tego kraju jest przeszło 200.000 Polaków.

Właśnie z początkiem bież. r., dzięki zapisowi dra Hassewicza z Karlsbadu, otwarto w Cieszynie szkołę ludową polską; zapisało się odrazu stokilkanaście dzieci! Rada gminna m. Cieszyna, która zazwyczaj udaje, że nie rozumie po polsku, wydała tym razem do „rodziców, mających dzieci, uczęszczające do szkół ludowych“, odezwę polską, w której, gromadząc przewrotne argumenty, usiłowała wykazać szkodliwość nauki w języku polskim i wyższość języka niemieckiego. Odezwa pozostała bez skutku, a gwałtowne napaści na Polaków ze strony wrogiego nam pisma codziennego w Cieszynie p. n. *Silesia* były grochem, rzuconym o ścianę Jednakże w tem wszystkiem dowód, z jak wielką zaciekłością Niemcy zrywają się do walki o odebranie nam naszych przyrodzonych praw narodowych. Napisałem „Niemcy“, ale właściwie powinnoby się napisać: „Prusacy“, bo jest w Austryi bardzo wielu Niemców, myślących po prusku, „pruscfilów“; dla nich Bismark i Hohenzollerni są słońcami, ku którym się zwracają. Do takich Niemców liczą się przedewszystkiem Niemcy na Śląsku.

Mówiąc o Cieszynie, nie mogę przemilczeć tego, że towarzystwo „Macierzy szkolnej dla Księstwa Cieszyńskiego“, utrzymujące wspomnianą szkołę ludową i gimnazyum polskie, zakupiło za przeszło 84.000 *k* dom, w którym się mieści gimnazyum. Stało się to z tego powodu, że właściciel domu, wplątany w wielkie przedsiębiorstwa, nosił się z myślą sprzedaży budynku; gdyby więc gmach ten był się dostał w ręce niemieckie, byłby dla gimnazyum zamknięty i szkoła polska mogła się znaleźć na ulicy. Zakupno domu zrobiło dużą szczerbę w funduszach Macierzy, którą wyrównać jest obowiązkiem społeczeństwa polskiego, tak chwalebną pieczołowitością otaczającego polskie szkoły kresowe. Toteż nie ustawać, ale ze zdwojoną obfitością powinny teraz płynąć składki na gimnazyum cieszyńskie — społeczeństwo powinno wspierać kresy, bo one są przednią strażą, powstrzymują Niemców w ich niepohamowanym *Drang nach Osten*. Do spełnienia tego obowiązku powinnaś się i ty, młodzieży, poczuwać!

Jedną więcej instytucyą polską w Cieszynie będzie niebawem dom polski, w którym znajdą pomieszczenie wszystkie towarzystwa polskie, tam istniejące. Dom ten jest już na ukończeniu. Uroczystość otwarcia odbędzie się w pierwszych dniach listopada b. r. Podobny dom otwarto przed kilku tygodniami w Ostrawie Morawskiej.

Im bardziej rozpatrujemy się wokoło siebie, tem lepiej spostrzegamy braki, które jak najrychlej należy usuwać, jeśli chcemy dotrzymać kroku zagranicy, zwłaszcza na polu kulturalnem. Na ważną lukę zwrócił właśnie uwagę p. L. M. z powodu zjazdu b. polskich uczniów akademii górniczej w Leobenie, który odbył się świeżo w Krakowie. Oto potrzeba nam polskiej akademii górniczej w Wieliczce celem podniesienia górnictwa polskiego.

Ministerstwo wyznań i oświecenia dla Przedlitawii ogłosiło rozporządzenie, mocą którego kobiety mogą być uczenicami wydziałów lekarskich na wszechnicach austryackich, składać egzaminy ścisłe (rygoroza) i otrzymywać stopnie naukowe, dające prawo do praktyki lekarskiej. Do studyów na wydziałach filozoficznych dopuszczono kobiety już przed kilku laty. Obecnie dopuszczono je także do studyów farmaceutycznych z zastrzeżeniem, że na każdorazowe objęcie apteki przez kobietę ministerstwo musi dać osobne pozwolenie.

Z pobudki Zarządu głównego Towarzystwa Szkoły ludowej w Krakowie odbyły się w wielu miejscowościach Galicyi obchody dla upamiętnienia 200. rocznicy urodzin ks St. Konarskiego: we Lwowie, Krakowie, Przemyślu, Stanisławowie, Sieniawie i t. p. W Warszawie otwarto w tych dniach szkołę ludową im. Konarskiego.

Znakomity powieściopisarz i patryota, Zygmunt Miłkowski (T. T. Jeż), mieszkający stale w Zurychu, bawi obecnie w Ameryce północnej. Sędziwy autor „Szandora Kowacza“, „Uskoków“ i „Rycerza chrześcijańskiego“ jest przedmiotem serdecznych owacyi ze strony Polonii amerykańskiej, którą pobyt jego w ojczyźnie jankesów pokrzepi do dalszej pracy nad odrodzeniem Ojczyzny naszej.

Wielką stratę poniesie szkoła sztuk pięknych w Krakowie, podniesiona właśnie do godności akademii, jeżeli genialny malarz, Jacek Malczewski, twórca potężnej „Melancholii“, nie cofnie swego zrzeczenia się obowiązków nauczyciela.

Natomiast wszechnica lwowska zyskała nową dzielną siłę dla zaniedbanego w niej pola — astronomii. Oto dr. Marcin Ernst, autor wyborny, popularyzator tej gałęzi wiedzy (prw. jego broszurę „O końcu świata i kometach“, dzieło „Astronomię gwiazd stałych“ i t. p.), rozpoczyna z bież. r. szk. wykłady astronomii na tej wszechnicy jako docent.

Najdonioślejszym wypadkiem dni właśnie minionych było dla Lwowa otwarcie nowego teatru miejskiego. Dnia 9. z. m. odbyło się ostatnie przedstawienie pożegnalne w gmachu, który przez lat 58 służył wiernie sztuce polskiej. Wybudowany w roku 1842. przez ś. p. Stanisława hr. Skarbka (ur. 1780., um. 1848.), musiał z konieczności długi czas gościć w swych murach trupę niemiecką, choć wbrew woli założyciela, tak że scena polska była w nim tylko Kopciuszkiem. Dopiero z początkiem ósmego dziesiątka b. w., w pierwszych latach ery konstytucyjnej udało się wyrugować z gmachu skarbkowskiego teatr niemiecki; a obecnie przyszła kolej na zastąpienie gmachu starego nowym, odpowiedniejszym wobec zmienionych warunków i wymagań czasu. Stanął więc na placu Gołuchowskich obok dawnego nowy teatr według planów architekty Z. Gorgolewskiego kosztem przeszło milionowym — okazały, wygodny, urządzony na wzór najlepszych zagranicznych. I dyrektora zmienił. Oto rządy objął w nim po szeregu dyrektorów-przedsiębiorców znów człowiek, jakiego od czasów ś. p. St. Dobrzańskiego brakło tej instytucyi — mianowicie b. dyrektor teatru krakowskiego, wielki znawca i miłośnik sztuki, Tadeusz Pawli-

kowski, potomek rodu, który zawsze dzierżył wysoko sztandar nauki i sztuki. Jak pojmuje nowy dyrektor swe zadanie, świadczy następujący ustęp z mowy, którą wygłosił 4. b. m. przy sposobności poświęcenia nowego gmachu: „Teatr jest dla publiczności, z tem liczyć się musi kierownictwo teatru, lecz publiczność winna się także z niem liczyć. Sztuka ma prócz innych i zadanie społeczne; dla spełnienia ich winna się demokratyzować. Demokratyzacya zaś ta może być dwojaka: obniżanie tego, co wysokie, albo podnoszenie co wielkie. Drugi rodzaj demokratyzacyi jest w tradycyi polskiej: on znalazł też wyraz w konstytucyi 3. maja. Zadanie więc demokratyzującej się sztuki — uszlachcenie. Więc jeśli teatr ma być czynnikiem kulturnym, to nie śmie poddawać się gustowi ogółu, lecz winien iść o krok przed nim naprzód". Że nowy duch wstąpił w progi teatru lwowskiego, dowiodło zaraz przedstawienie inauguracyjne tegoż wieczora Rozpoczął je prolog znanego dziś już powszechnie poety, Jana Kasprowicza, p. n. „Baśń nocy świętojańskiej" (wydany równocześnie drukiem, cena 1 *k*), i nigdy niestarzejąca się komedyjka Fredry „Odludki i poeta", a zakończyła nowa opera Wł. Żeleńskiego (do słów L. Germana) „Janek", osnuta na tle życia góralskiego. Publiczność i krytyka zachwycone wykonaniem — wszyscy czekają dalszych przedstawień z niecierpliwością. Miejmyż nadzieję, że nastała dla sceny lwowskiej nowa era! *K. L. W.*

Zagadnienia naukowe.

Nr. 136. Jakie wypadki dziejowe łączą się z nazwą miasta Kostnicy (Konstancyi)?

Nr. 137. Oznaczyć według zasad umiejętnych ptaki, wymienione w „Listach z podróży na Wschód" w nrze bież.

Nr. 138. Co oznaczają nazwy rzek, wymienionych w „Opisaniu W. Ks. Poznańskiego" (Noteci, Warty i t. d.)?

Nr. 139. Jakie jest pochodzenie, znaczenie i używanie wyrazu „prolog"?

Nr. 140. Jak można i należy popierać żywioł polski na Ślązku?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: J. Kasprowicza „Baśń nocy świętojańskiej" i „Życie w kropli wody".

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 29. b. m. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Z powodu braku miejsca odpowiedzi na nry 131—5. odłożono do nru 21.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 13. b. m.:
(wszystkie) Auditor (wybornie), Pordes; (31, 33—5) Bloch, Wietor (znakomicie); (32—5) Saulida; (31, 33) Cetnarski; (31, 34) Wiktor.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): E. Byk (Wernica „Konarskiego") i A Cetnarski („Chemię codziennego życia").

Rozwiązanie szarady: Ko-nar-ski.

Trafne odpowiedzi nadesłali: Auditor, Bloch, Pordes, Szreniawa, Wietor.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Wszystkich Czytelników, którzy nadesłali rozwiązania zagadnień 126—130., a mimo to pominięci zostali w wykazie, przepraszamy za to; wina po naszej stronie o tyle, że musieliśmy przyśpieszyć druk nru, poświęconego pamięci Konarskiego, a wyznaczyli termin do nadsyłania odpowiedzi za późny. Ale też zwracamy uwagę i na błędne rozumienie terminu przez niektórych czytelników; jeżeli podajemy n. p. dzień 13. b. m., to znaczy, iż dnia tego wszystkie, nawet zamiejscowe odpowiedzi powinny być już w rękach redakcyi, — a tak niestety nie bywa zwykle. Celem zaś uregulowania wymiany kart z widokami z powodu skarg, które dochodzą nas z różnych stron, prosimy wszystkich, którzy chcą brać udział w tej wymianie, o podanie adresów dokładnych.

Auditor. Rpis leży w administr. *Angloman.* Nazwisko Szekspira (Shake-speare dosł. = niem. Schütte-Speer, niby Trzęsidzida) jest — jak utrzymują — przekręceniem imienia i nazwiska przodka poety, Walończyka, *Jacques Pierre* (Jakub P.). Na tosamo, co ang. Shakespeare, wychodzi nazwisko heskiego rodu szlacheckiego *Schutzbar*, dawniej Schutzper, t. zn. Schütte-speer. *B. P.* Sprawę uregulujemy; na razie proszę się wstrzymać z wysyłką. *Saulida.* „Nad strumieniem" to proza rymowana, nie wiersz. *Sfinks.* „Szkice" Sewera wyczerpane, Świetla 50 *h.* *Szreniawa.* Kraszewskiego „Dzieła" wyd. K. Bartoszewicza (Kraków 1883.) 5 t. po 0·80 *k*, lub „Wybór pism" (Warsz. 1898.) 2·60 *k*; nrów okazowych „Lud" nie posyła, bo zeszyt kosztuje 3 *k*. Nie możemy przemienić pisma na tygodnik, bo nie znajduje takiego poparcia w młodzieży, ażeby mogło stać na własnych nogach bez ofiar redakcyi i współpracowników. Zamiast „egzystuje" należy mówić „istnieje, wychodzi" itp. „Polak" — o ile wiemy — przestał wychodzić. *S. Sch St.* Odpowiedzieliśmy listem. *Wietor.* Prw. uwagę dla wszystkich czytelników; karta w administr.

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 20: *A. Świętochowski*, Lew kamienny. — ***, Listy z podróży na Wschód daleki (z 4 ryc., C. d). — *Jan Kasprowicz*, Chór z „Baśni nocy świętojańskiej" (wiersz). — *A. Winiarz*, O sejmach w Polsce (C. d.) — Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (C. d.). — *K. Pakrowski*, Główne metody astronomii fizycznej (Dok.). — *K. L. W.*, Z całej Polski (z ryc.: Teatr miejski we Lwowie). — Zagadnienia naukowe, skrzynka pocztowa Redakcyi i Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pl. Bernardyński 7.

We Lwowie 1. listopada 1900.



Rok II.

Nr. 21.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Prawda nie inaczej się może zdobywa, jak wpatrzeniem się w dwie zupełnie przeciwne strony jednej rzeczy.
J. I. Kraszewski.

Lew kamienny.

(Dokończenie.)

Nareszcie cicho i skromnie, jak gdyby nie było panem i żywicielem natury, szeroko rozwartą i niczem niezmąconą źrenicą wysunęło się na lekko wyzłocony błękit nieba świeże, odmłodniałe słońce. Trącone jego promieniami wielkie, dotąd senne góry zerwały szybko ze swych głów białe zawoje i oblały się strugami światła. Wtedy lew ujrzał widok czarujący. Na śnieżnem czole jednej z gór słońce zapaliło olśniewający dyadem, który błyszczał, jak zwieszony z nieba łuk ognisty. Ramiona jej okrywał kołnierz gronostajowy, z pod którego ku dołowi zbiegał płaszcz ciemnego granatu, oszyty futrem zielonych drzew i krzewów. Ze słońcem nad głową stała ona wspaniała i majestatyczna, jak królowa, przed którą inne w licznym orszaku pochyliły się i upadły na kolana.

Lew wskoczył na ocios głazu, wystający z jeziora, usiadł, patrzył na to urocze zjawisko i powoli w zachwycie kamieniał. A chociaż słońce, odchodząc wyżej na sklepienie niebios, zdjęło swe blaski z czoła góry, chociaż ona znowu owinęła się obłokiem, on ciągle na niej wzrok trzymał.

Nieruchomy, skamieniały, z obliczem, w jedną stronę zwróconem, z uśmiechem upojenia i tęsknoty na odemkniętych wargach siedzi tak od lat wielu na bryle granitu u bramy przystani jeziora. Codziennie przepływają około niego setki statków i tysiące ludzi, wre nieustanny gwar życia i pracy, przesuwają się coraz nowe obrazy — on nigdy na nie nie spojrzał, ani na chwilę nie odchylił ku nim głowy. Natura przebiera się w rozmaite widoki, czaruje wiosną, odurza latem, siecze deszczami jesieni, mrozi chłodami zimy — on tego wszystkiego nie widzi. Nieraz wybuchały koło niego pieśni wesela, nieraz rozszalała się burza: wicher wstrząsał jego podstawą, znurtowana woda opryskiwała mu oblicze, gromy huczały nad nim jak gryzące się lwy — on nie zmrużył powieki i nie

odwrócił oczu od punktu, w którym je utkwił. Spokojny i niewzruszony czeka ciągle chwili, kiedy góra, którą ukochał, znowu odgarnie swe zasłony, a on ją w koronie, strzelającej promieniami światła, pierwszy zobaczy.

I co w niej tak umiłował, że oczarowany nią skamieniał? Czy to, że tak wysoko ponad inne się wzniosła? Czy to, że blaskami słońca tak wdzięcznie się stroi? Czy to, że głowę na niebie oparła i nigdy śnieżnego czoła pyłem ziemskim nie oprószyła? Czy za to, że wielka, czy za to, że niepokalana, czy za to, że w światło natury zblizka spogląda?

Nigdy na te pytania nikomu nie odpowiedział, bo, stawszy się głazem, jak głaz milczał.

Tylko czatownik latarni jeziora twierdzi, że pewnej nocy słyszał, jak lew przemówił do jakichś cieniów, które po falach do niego przyszły i dziwnym głosem z odrętwienia go zbudziły. Słowa jego wszakże nie wiązały się w żadną treść zrozumiałą. Mówił, że żyje, myśli i czuje, ale skamieniał na wszystko, co spodem świata się toczy, że cierpi, gdy chmury promienny szczyt przesłonią, ale te smutki roztapia mu w rozkosz jedna chwila widzenia góry w jej majestacie, że największem szczęściem jest zawieszenie wzroku na wysokości, do której kurz walk padołu nie sięga i która nie mdłemi ogniskami nizin, ale blaskami podniebia gorzeje. Ten tylko między ludźmi był rozumnym, zadowolonym i szczęśliwym — wyszeptał w końcu — kto tak, jak ja, kochał i kto do przedmiotu swej miłości nie zbliżył się bardziej, niż na odległość kochania.

Szeroko wieść rozniosła te słowa, które usiłowano złożyć w jasne rozwiązanie zagadki — ale daremnie. Lew pozostał sfinksem.

Siedzi dotąd kamienny na kamiennym zrębie i patrzy w zachwyceniu ku górze, czy ona płaszczem się otuli, czy rozodziana z cieniów uroki na jego oczy rzuca. Zdaje się, że widzi on coś duszą nawet wtedy, kiedy wszyscy nie mogą niczego dojrzeć wzrokiem. A ponieważ znudził ludzi swem osłupieniem, więc uznali, że nie żyje, a jego rozmowa z cieniami czatownikowi się przyśniła.

A. Świętochowski.



LISTY
z podróży na Wschód daleki.

(Ciąg dalszy).

Shangai 25. marca. Od ostatniego listu, datowanego z Amoju, poznałem trzy nowe porty chińskie, otwarte dla handlu europejskiego na mocy umowy. Z Amoju wypłynęliśmy o dzień później z powodu burzy, która szalała na pełnem morzu. Następnego dnia wyruszyliśmy do Fuczau, wielkiego miasta handlowego przy ujściu rzeki Minkianu (Mingkiang). Z powodu nizkiego stanu wody nie mogliśmy zarzucić kotwicy pod samem Fuczau, lecz 8 mil morskich poniżej na t. zw. *Pagoda Anchorage.* Stamtąd odbyłem na łodzi wycieczkę do miasta, jak wszystkie chińskie brudnego i cuchnącego; oprócz wcale pokaźnych sklepów zresztą nie zawierają nic szczególnego.

Z mostu kamiennego, łączącego obie połowy miasta, przypatrywałem się niezwykłemu połowowi ryb przy pomocy kormoranów. Rybak stoi na wązkiej tratwie, zbitej z trzech belek, którą manewruje z błyskawiczną szybkością przy pomocy podwójnego wiosła. Na tratwie znajdują się dwa kormorany z mosiężnemi obrączkami na szyi, które pozwalają im połykać tylko małe rybki. Przez kołysanie tratwy zmusza rybak ptaki do nurkowania. Ptak wynurza się po nieraz dosyć długim pobycie pod wodą z dużą rybą w dzióbie. Natenczas pan jego wyławia go wraz z łupem siatką, osadzoną na długiej tyce bambusowej. Czasem przychodzi między ptakiem a rybą do krwawej walki, z której pierwszy wychodzi prawie zawsze zwycięzko.

Fuczau jest jednym z największych targów na herbatę. Kupiłem kilogram wcale niezłej herbaty za koronę.

Nie pominąłem sposobności i spróbowałem polowania także w tej okolicy, obfitującej w zwierzynę. Pierwszego dnia niebardzo mi się wiodło, chociaż napukałem się dowoli do kszyków. Proch, który kupiłem w Amoju, musiał być fałszowanym, gdyż śrót padał o kilkanaście kroków od wylotu lufy do wody. Postarałem się o inny proch i zaraz wiodło się inaczej, gdy nazajutrz ponownie wyruszyłem w pole. Proszę sobie wyobrazić wśród rzeki ogromną, sitowiem porosłą wyspę, która w czasie przypływu stoi pod wodą!

W przeróżnych kierunkach wiją się wązkie kanały — eldorado kaczek!

Po tych kanałach jeździłem małą łódką z przewodnikiem Ahlinem (Ahling) i jego synem. Był to bardzo sympatyczny i uczciwy Chińczyk, sam zapalony myśliwy, a polecony mi przez wielu znajomych jako znakomity przewodnik na polowaniu. Posiada własny, bardzo ładny i schludny *sampan*, na którym żyje wraz z rodziną, składającą się z żony, dwu dorosłych synów i kilkoro małych dzieci. Miałem sposobność przypatrzenia się dość dokładnie życiu tych ludzi. Matka steruje łodzią, ojciec i synowie wiosłują lub obsługują żagle. Dzieci starsze bawią młodsze jużto na pokładzie, jużteż w kajucie pod nim. Harmonia rodzinna tych mieszkańców rzek chińskich jest prawie rozczulającą. Nigdy nie słyszałem swarów, sprzeczek, łajania lub przekleństwa. Dzieci zarówno jak starsi uprzejme i grzeczne. Gdy spożywałem obiad w przedniej części łodzi, dla pasażerów przeznaczonej, rodzice i starsi synowie koło steru zajadali pałeczkami ryż gotowany i smażone ślimaki. Dopiero, gdy starsi głód zaspokoili, młodsze dzieci zasiadały do obiadu.

Przy rozstaniu podarowałem im fotografię z Wampoy, którą uradowani niezmiernie umieścili natychmiast w ramce oszklonej na honorowem miejscu jako pamiątkę wyprawy myśliwskiej. Byłbym chętnie przepędził kilka dni z tymi poczciwymi ludźmi, ale okoliczności nie pozwalały poza dzień jeden przedłużać tej rzecznej sielanki.

Następnego onia opuściłem Fuczau i zwróciłem się ku północy, zdążając do wielkiego emporyum azyatyckiego — do Szangaju.

Dwudniowa podróż przeszła prawidłowo. O godź. 10. wieczorem 22. marca zarzuciliśmy kotwicę koło wyspy Gutzloffu i oczekiwali pilota i przypływu morza, gdyż w czasie odpływu większe okręty nie mogą przejeżdżać przez dwie ławy piaszczyste, zamykające ujście rzeki. Tejsamej nocy o godź. 3. wyruszyliśmy w dalszą drogę, a około południa zawinęli do przystani szangajskiej.

Na lewym brzegu rzeki Jancego (Jangtse) rozsiadło się ogromne miasto, a raczej cztery miasta: chińskie, angielskie, francuzkie i amerykańskie. Ostatnie jest siedzibą przemysłu fabrycznego.

Przy szerokich ulicach wznoszą się okazałe domy, wystawne sklepy i liczne warsztaty. Całe miasto oświetlone elektrycznie. Nad bezpieczeństwem publicznem czuwa policya europejska, doskonale zorganizowana i wyćwiczona. W dzielnicy angielskiej stoi jak posąg na rogu każdej ulicy kolosalny Hindus w czerwonym turbanie. Na jego skinienie zatrzymuje się cały ruch uliczny jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Główną ulicą jest nankińska, t. zw. *Nanking Road*. Szeroka, pełna okazałych sklepów europejskich i chińskich, jest ogniskiem życia handlowego w Szangaju. Szczególnie zajmująco przedstawia się w niedzielę, kiedy tłum różnobarwny i wielojęzyczny pieszo, w powozach, na kole, w lektykach lub konno używa świątecznej swobody. Oto ogólne wrażenie, jakie się odnosi, zwiedziwszy to ogromne miasto.

Uwagę moją zwrócił piękny pomnik dla marynarzy niemieckich okrętu *Iltis*, który przed kilkoma laty padł ofiarą tajfunu w pobliżu Szangaju. Jestto ulany z bronzu kawał złamanego masztu, u którego stóp leży flaga. Na ścianach piedestału są wypisane nazwiska tych, którzy utonęli. Pomnik przedstawia się w swej skromności pięknie i odpowiada zupełnie celowi.

Powoli zaczynam wchodzić w tutejsze towarzystwa i poznawać dokładniej miejscowość. Wczoraj spędziłem bardzo przyjemnie wieczór w domu austryackiego generalnego konsula p. Piska na wspaniałym raucie, danym na cześć europejskich statków wojennych, które właśnie wtenczas pod Szangajem stanęły na kotwicy.

Gospodarstwo bardzo uprzejmi, dom wykwitnie urządzony, kuchnia europejska, zastawa elegancka, a przytem zwyczaje towarzyskie swobodne, francuzkie, a nie owe sztywne angielskie, które są w tych stronach tak bardzo rozpowszechnione. Z wybitniejszych osobistości poznałem tamtejszych konsulów włoskiego i francuzkiego, tudzież francuzkiego oficera, przydzielonego (*attaché*) do poselstwa w Pekinie. Rozmowa toczyła się przeważnie w języku włoskim i francuzkim. Po herbacie tańczono i bawiono się wyśmienicie przy dźwiękach muzyki okrętowej.

Jutro wybieram się w liczniejszem towarzystwie na polowanie na kaczki do Wutury,

co mi da sposobność bliższego poznania okolicy szangajskiej. Pojutrze odpływam do Taku.

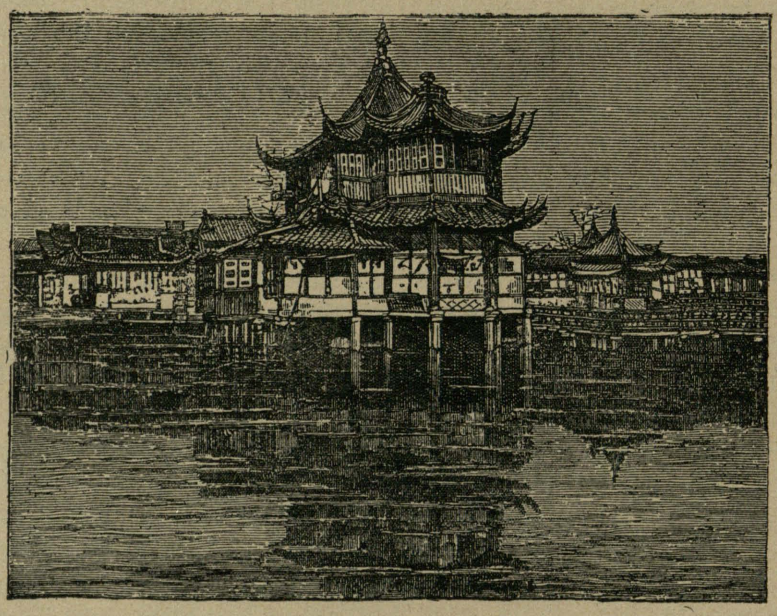
(C. d. n.)

* * *

O sejmach w Polsce.

(Ciąg dalszy).

W razie śmierci króla następowało bezkrólewie. Zastępcą króla stawał się arcybiskup gnieźnieński, prymas Korony i Litwy, a w razie, gdy go niebyło, biskup kujawski. Prymas, zwany po łacinie *interrex*, po polsku bezkrólem, ogłaszał śmierć królewską uniwersałami i zwoływał Sejm i sejmiki. Sejm, który po śmierci króla zbierał się w Warszawie, zwano konwokacyjnym. — Izba poselska obierała sobie marszałka i — podobnie jak za życia króla — w pierwszych dniach obradowała wspólnie z senatem. Sejm konwokacyjny miał przedewszystkiem na celu oznaczenie miejsca i dnia wyboru (elekcyi) nowego króla i obmyślenie wszystkiego, co było koniecznem do jej przeprowadzenia bezpiecznego. Obradował pod węzłem konfederacyi i wszystko, co na nim uchwalono, nazywało się konfederacyą generalną, gdyż obradujące stany wiązały się ze sobą przymierzem i przyrzekały sobie pod wiarą, honorem i sumieniem wzajemną pomoc przeciwko tym, którzyby chcieli łamać ich postanowienia.



Osada nawodna w Chinach (p. „Listy z podróży".)

Sam wybór króla był także rodzajem Sejmu, z tą jednak różnicą, że głosowali nietylko senatorowie i posłowie, ale wszystka szlachta, która przybyła na elekcyę. Na polach koło wsi Woli pod Warszawą okopywano miejsce elekcyi wałem i rowem. W wale robiono trzy bramy: wschodnią dla Wielkopolski, południową dla Małopolski, a zachodnią dla Litwy. W obrębie wałów budowano dla senatorów szopę, a zewnątrz budynku ustawiali się posłowie w miejscu, zwanem Kołem rycerskiem. Opodal Koła ustawiała się szlachta, która przybyła na elekcyę, w miejscach, wyznaczonych każdemu województwu przez marszałka w. k., i tam rozbijała namioty. Sam akt zaczynał się nabożeństwem; potem wszyscy udawali się na pole elekcyi, gdzie posłowie obierali sobie marszałka. Także szlachta obecna obierała sobie marszałka, na czem zwykle tracono wiele czasu. O wyborze marszałka poselskiego zawiadamiali posłowie senatorów, którzy następnie zapraszali posłów do siebie na wspólne obrady. Prymas przedkładał przedmiot obrad i zdawał sprawę ze wszystkiego, co się zdarzyło od czasu Sejmu konwokacyjnego. Po powrocie do Koła mianował marszałek z pośród posłów sędziów kapturowych do t. zw. sądu kapturowego generalnego, który miał prawo i obowiązek karania wszelkich wykroczeń, popełnionych na polu pod Wolą. Elekcya rozpoczynała się wysłuchaniem mów posłów, którzy zalecali kandydatów na króla. W dniu wyboru senatorowie i posłowie zgromadzali się w Kole sejmowem, a szlachta, na województwa podzielona, oczekiwała głosowania konno, pod chorągwiami. Po mowie prymasa i odśpiewaniu hymnu „*Veni Creator*" senatorowie i posłowie udawali się do swoich województw; tu senator, najstarszy w województwie lub w ziemi, zalecał jednego kandydata lub wyliczał ich kilku, a szlachta

okrzykami przyjmowała jednego z kandydatów. Ustawy wymagały jednomyślności wszystkich głosów. Gdy uzyskano zgodne głosy wszystkich województw i ziem, wtedy senatorowie i posłowie udawali się napowrót do Koła. Z kolei prymas, objeżdżając konno zgromadzoną szlachtę, po trzykroć zapytywał, czy jest zgoda na tego kandydata. Gdy nikt się nie sprzeciwił, prymas ogłaszał go królem.

Z nowoobranym królem cz. elektem stany sejmujące zawierały umowę, t. zw. *pacta conventa*, którą posłowie elekta podpisywali w jego imieniu. Sejm, który następował po elekcyjnym, nazywał się koronacyjnym, gdyż na nim koronowano króla; odbywał się zawsze w Krakowie.

Najsłabszą stroną sejmowania polskiego była bezsprzecznie zasada jednomyślności; wkorzeniła się zaś głęboko w umysły szlachty, która nazywała ją „źrenicą wolności“. W początkach jednak panowania Stanisława Augusta stronnictwo Czartoryskich poczęło myśleć o zaprowadzeniu innego porządku sejmowania, ażeby położyć koniec krzyczącym nadużyciom, których się dopuszczano z *liberum veto*. Pod wpływem tego stronnictwa Sejm z r. 1768. przeprowadził reformę, ale w sposób bardzo nieszczęśliwy. Sprawy, które miały należeć do Sejmu, podzielono na trzy kategorye. Do pierwszej przydzielono t. zw. prawa kardynalne, które uznano za wieczyście trwałe i nieodmienne. Do tych praw należała n. p. zasada, że tron polski nie jest dziedzicznym, ale elekcyjnym. Do drugiej kategoryi zaliczono t. zw. *materiae status*, które można było załatwiać tylko jednomyślnie. Do nich należały: powiększenie lub ustanowienie nowego podatku, pomnożenie wojska, zwołanie pospolitego ruszenia, traktaty z obcemi państwami, wypowiedzenie wojny i zawieranie pokoju, — wogóle wszystkie ważniejsze sprawy państwowe. W trzeciej kategoryi wreszcie umieszczono sprawy, najmniej ważne, które już można było rozstrzygać większością głosów. Tak więc reforma ta była połowiczną, a dodatniem w niej tylko to, że przynajmniej w sprawach wagi najmniejszej usunęła *liberum veto*, a nadto postanowiła, iż zerwanie Sejmu skutkiem *veta* nie unieważnia uchwał, powziętych poprzednio na tym Sejmie jednogłośnie.

(Dok. n.) *Alojzy Winiarz.*



Willa mandaryna chińskiego (p. „Listy z podróży“.)

Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego

(Ciąg dalszy).

Gniezno (Gnesen), miasto powiatowe z 16000 mieszk. Niegdyś stolica królów polskich, mianowicie wielkiego króla i wojownika Bolesława Chrobrego. Leży w prześlicznej okolicy wśród jezior, wzgórz i licznych ogrodów. Katedra gnieźnieńska jest jednym z największych kościołów w Polsce. W niej są zachowane zwłoki św. Wojciecha. W Gnieźnie znajdują się: kapituła katedralna, sąd ziemiański, gimnazyum i koszary wojskowe ze znaczną załogą. Tu też krzyżują się koleje żelazne: poznańsko-toruńska z oleśnicko-gnieźnieńską i gnieźnieńsko-nakielską; stąd wychodzą koleje żelazne do Poznania, Torunia, Oleśnicy i Strzałkowa. W mieście odbywają się na św. Wojciech wielkie i sławne jarmarki na konie. Strzelno, miasto powiatowe, ma 4.500 mieszkańców. Witkowo, miasto powiatowe, w pobliżu granicy Królestwa Polskiego. Żnin i Szubin leżą nad Gąsawką, która wpada pod Rynarzewem do Noteci. Wągrowiec, miasto powiatowe, 4.500 miesz. leży nad Wełną, wśród urodzajnej gleby, pięknych łąk i lasów. Ma kościół po Cystersach i gimnazyum.

Nakło (Nakel), ma 6.500 mieszk. Położone w miejscu, gdzie kanał bydgoski łączy

się z Notecią, leży nad najdawniejszą szosą, pobudowaną we W. K. Poznańskiem, i nad koleją żelazną, otworzoną w r. 1851. Z tego powodu zakwitło wcześnie i odznaczało się wielkim ruchem i handlem Dziś oskrzydlają je nowe drogi kolei żelaznej, z których jedna na północy prowadzi przez Chodzież, druga na południe przez Gniezno i Inowrocław. Linie te zmniejszyły handel Nakła, ale nie usunęły go całkiem, bo droga wodna, którą posiada, stanowi główną arteryę handlu wywozowego. Nakło zapisało się w dziejach zwycięstwem Władysława Łokietka nad Krzyżakami; ma gimnazyum, sąd ziemiański, ładny kościół katolicki i ewangelicki. Ujście (Usch), miasteczko położone przy ujściu Głdy (Küddow) do Noteci, ma wielką hutę szklaną. Czarnków, 4.500 mieszk., ma seminaryum nauczycielskie, Wieluń (Filehne), 4.500 mieszkańców, ma zamek po Sapiehach i pedagogium w Ostrowie. Krzyż ze wspaniałym dworcem, gdzie się krzyżują linie kolei żelaznej wschodniej i poznańsko-starogrodzkiej.

Po południowej stronie Noteci, w oddaleniu $1^1/_2$ mili, leży na wysokiem wzgórzu Kcynia (Exin). Na najwyższym punkcie Kcyni w rynku stoi kościół pokarmelicki, który widać na kilka mil wokoło. Kcynia ma katolickie seminaryum nauczycielskie. O milę leży wieś Wapno z kopalnią gipsu. Szamocin i Margonin, miasteczka, których mieszkańcy trudnią się przeważnie rolnictwem. Chodzież (Colmar i P.) w pięknem położeniu; mieszkańcy trudnią się płóciennictwem, garbarstwem i farbiarstwem,

Łobżenica (Lobsenz) nad Łobżonką o 2 mile na południe od Noteci, ma sąd ziemiański. Wyrzysk (Wirsitz) m. powiat. nad tąż rzeką, głośne swymi młynami. W Pile (Schneidemühl) nad Głdą krzyżuje się 6 linii kolejowych. Miasto to liczy 15 000 mieszk. i prowadzi bardzo ożywiony handel. Mieszkańcy Trzcianki (5.000) trudnią się jeszcze sukiennictwem, choć w bardzo skromnej liczbie (C. d. n.)

Deszcz liści.

Pada i pada deszcz krwawozłoty,
Milionem kropel szeleszcze;
Liście strącone, liście - sieroty,
Sypią się jeszcze i jeszcze ...

Kędy dosięgnie sucha ulewa,
Tam ziemia rdzawo się plami;
Rzekłbyś, że bolem targane drzewa
Krwawemi płaczą wciąż łzami.

Już po zachwytach, słońcu i śpiewie!
Szczęknęła kosą swą zima...
Na drzewie marzeń, na życia drzewie,
Liść żaden już się nie trzyma.

Ach nigdyż ziemia nie będzie syta
Ciał martwych i martwych liści?
Zawszeż grobami ma być okryta —
Bez celu i bez korzyści?...

Z wiosną zadzwoni w świeżej gęstwinie
Słowiczych piosenek echo, —
Ale dla liścia, co dzisiaj ginie,
Jestże to jaką pociechą?...

Pada i pada deszcz krwawozłoty,
Milionem kropel szeleszcze;
Liście strącone, liście - sieroty,
Sypią się jeszcze i jeszcze ...

Wiktor Gomulicki *).

Rozmaite typy światopoglądu etycznego..

IV.

Nie będziemy wdawali się tutaj ani w szczegółowy wykład nauk, głoszonych przez filozofów-pesymistów, ani w ich krytykę. Musimy oświadczyć stanowczo, że mamy na oku te tylko odcienie pesymizmu, które wypływają z pobudek moralnych i potrzeb wyższego przyrodzenia człowieczego, a nie z niezadowolenia z powodu bolów życiowych. Zjawisko drugie łączy się ze sztucznem zdziczeniem moralnem w Europie zachodniej i objawia się tam rozmaicie — niekiedy nawet w sposób wcale groźny... Tu poprzestaniemy li na nakreśleniu powstania (genezy) wyższego, etycznego pesymizmu. Ten przedstawia się jako pierwsza, przyrodzona, nieunikniona próba oceny świata z punktu widzenia moralności. Pesymista nie zadowala się prostem uznaniem faktu — żelaznych praw przyrody; z rozpaczą i złością woła:

*) Podajemy piękny wierszyk ten jako przegrywkę do studyum o tym poecie, które rozpoczniemy w nrze następnym.

„Czcze marzenia, próżne prośby
Wobec srogich praw przyrody“ *).

Człowiek, niewolnik ustroju światowego:

„Niewolnikiem się rodzi, niewolnikiem w grób kładzie
I śmierć mu nawet nie powie,
Dlaczego szedł drogą żmudną łez
Męczył się, gryzł, cierpiał i zginął!“ **).

Ale to jeszcze możnaby znieść od biedy, gdyby można znaleźć jakikolwiek cel dla życia jednostki, tymczasem — jak Puszkin powiada — „celu niema przedemną!“ Tak więc pesymizm (i to stanowi jego podstawę metafizyczną) ujmuje się za wiecznemi prawami jednostki i, dobijając się dla niej rozumnego znaczenia wszechświatowego, nieznacznie dla siebie domaga się jednolitego systemu świata. Ale błędnie zatrzymuje się przy jednym osobniku, nie wprowadza go jako ogniwo ogólnego łańcucha; toteż ustrój świata wydaje się pesymizmowi etycznie nieznośnym, a jako lek jedyny, choć gorzki, przedstawia mu się wyzwolenie z więzów życia w ten lub ów sposób.

Czy jednak niema innego sposobu rozwiązania tego zagadnienia (problemu), — takiego, żeby niebyło potrzeba ani pozbawiać się życia, ani uciekać od świata, żeby owszem było można pracować i trudzić się według sił swoich wśród danych warunków? Owszem, filozofia podaje nam nitkę, z której pomocą zdołamy się wydostać z labiryntu pesymistycznego.

Weźmy fakt istnienia rozumu naszego. Skąd on się wziął? Doktryna rozwojowa, panująca obecnie, a rzekomo umiejętna, aż nadto jest trwożliwą, by uznać stworzenie świata z nicości, ale bez wahania wywodzi rozum właśnie z nicości. Wszelkie bowiem ustroje, wszelkie rośliny, zwierzęta i nawet najwyższy szczebel tej drabiny, człowiek wolnomyślący, — to wszystko rozwinęło się rzekomo w przeciągu milionów (a choćby nawet trylionów) pokoleń z nierozumnej komórki organicznej jakiegoś *Bathybiusa* ***), który przytem powstał w niewiadomy sposób. Osięga się to drogą różniczkowania i całkowania (dyferencyacyi i integracyi), nagromadzenia cech korzystnych, doboru płciowego itd. No, ale w jakiż sposób rozum wziął się z bezrozumu? Prawo zasadnicze myślenia logicznego „wyklucza możliwość trzecią“: *A* nie powstanie z *nie-A* i niema nic pośredniego między niemi. A więc rozum to pierwotna i istotna cecha wszelkiej istoty ludzkiej. U pozytywistów, materyalistów, monistów *) i t. p. niema i nie może być odpowiedzi na pytanie, któreśmy zadali sobie. Nauka ich przypomina wywody o kupcu, który dobił się wielkiego znaczenia przez stopniowe rozszerzanie obrotów handlowych, choć nigdy nie miał ni grosza. Skądże się bogactwo jego wzięło? Powtórzmy formułkę, którą nawet przeciwnicy rozumności uznają: „*e nihilo nihil* (z niczego nic)!“ Pieniądze — z pieniędzy, rozum — z rozumu. Byłoby już lepiej uznać teoryę idealistów cz. uniwersalistów, według której świat jest wynikiem samorozwoju idei rozumnej. Niestety jednak idealizm nie umie wcale objaśnić wyosobnienia (indywidualizacyi), t. j. faktu istnienia osób oddzielnych; a przecie czujemy się bezpośrednio osobnikami (indywiduami) i widzimy, że rozum nasz należy do nas samych, jest naszą osobistą funkcyą.

W gruncie rzeczy tedy rozum powinien stanowić bezsporny fakt naszego poznania. Pesymiści, widząc, że bieg rzeczy ani nie odpowiada podmiotowym ideałom i pragnieniom moralnym, ani nie zgadza się z nimi, uznają świat nietylko za illogiczny, t. zn. sprzeciwiający się rozumowi, lecz nawet wprost za alogiczny cz. wogóle bezrozumny. Filozofia, zwracając uwagę na sprawę powstania rozumu, odkrywa w rozumności najwyższe prawo świata. „Wszystko, co istnieje, jest rozumne“, t. zn każde zjawisko następne ma zawsze

---

*) Wiersze głośnego twórcy „Demona“, poety rosyjskiego, Michała Juryewicza Lermontowa (1814 do 1841.).

**) Wiersze nieszczęśliwego poety rosyjskiego, Konstantego Batiuszkowa (1787—1855.), naśladowcy Tybulusa, Petrarki, Tassa i in.

***) *Bathybius Haeckeli Huxley* — nazwa rzekomo najprostszego ze znanych obecnie pierwotniaków (*Protozoa*), którego dawniej uważano za czysty pierwoszcz (protoplazmę).

*) Pozytywiści = wyznawcy systemu filozoficznego Augusta Comte'a, wykluczającego teologię i wszelką spekulacyę; materyaliści = wyznawcy teoryi, według której materya (pojęcie, określane zresztą przez nich samych rozmaicie) byłaby przyczyną wszelkich zjawisk fizycznych i psychicznych; moniści = mędrcy, głoszący naukę, że niema dwoistości takich, jak siła i materya, duch i materya i t. p., tylko jedność (prw. gr. wyr. μόνος).

swoją przyczynę, którą można wyjaśnić, ale też każde poprzednie ogranicza się następnem, jako swym celem i doń jest przystosowanem. Świat jest teleologicznym, t. zn. odpowiednim do celu swego. Wszystko łączy się w łańcuch przyczyn i skutków, środków i celów. Świat jest technicznym systemem czynników współrzędnych (koordynatów). Nasze *ja* wchodzi w skład tego systemu jako jedno z ogniw. Każda jednostka znaczy coś w systemie świata. Jej funkcye są wytknięte już naprzód w wieczności.

(Dok. n.)

O krążeniu krwi.

Nie pomylę się — sądzę — jeśli powiem, że każdy z was, czytelnicy moi, przynajmniej raz w życiu zażywał jakiegoś lekarstwa, a już stanowczo twierdzić mogę, że codziennie po kilka nawet razy je i zaspakaja pragnienie. Lecz żaden z was nie pomyślał może ani razu, jaką drogą odbywa się to pośrednictwo przemiany materyi z ustrojem żywym.



Posąg Kościuszki w Chicagu (dłuta T. Barącza).

Pośrednikiem tym jest krew.

W poprzedniej pogadance zastanawialiśmy się nad wyglądem krwi i jej własnościami. Teraz wypada nam z kolei rzeczy omówić jej znaczenie dla ustroju, jako tego niestrudzonego pośrednika, który dniem i nocą bez chwilki wytchnienia przebiega najodleglejsze jego zakątki. W chorobie roznosi lekarstwa, w zdrowiu pośredniczy w wymianie materyi.

Ilość jej u zdrowego i dorosłego człowieka wynosi od siódmej do ósmej części jego ciężaru. Gdy więc czyjaś waga wynosi n. p. 50 kg., to ilość jego krwi równa się przeszło 7 litrom. U psa stosunek ten wynosi ósmą lub dziewiątą część jego ciężaru, u królika tylko około jednej szóstej. Widzimy więc, że stosunek ten nie jest stałym, a nawet u jednego i tego samego indywiduum ustawicznym ulega zmianom. Co więcej, normalną ilość krwi można sztucznie zwiększyć lub zmniejszyć przez jej upust lub dolanie (transfuzyę). Przy transfuzyi jednak uwagi godną jest okoliczność, że każdy osobnik przyjmuje bez ujmy dla swego ustroju tylko krew zwierzęcia tego samego gatunku. Pies ginie, gdy wprowadzimy do jego ustroju przez jakąś żyłę krew świńską lub wolą w ilości 0·002, owczą w ilości 0·012, a kurzą w ilości 0·020 do 0·025 jego wagi. Zjawisko to polega na rozkładzie krwi obcej, a raczej jej czerwonych ciałek, w nieswojem środowisku.

Lecz spostrzeżono, że przy wielkich upływach krwi podczas zranień i t. p. nietylko sama krew, wprowadzona do ustroju, przywraca mu życie, lecz nawet pewien rozczyn soli kuchennej w wodzie (0·6% do 0·75%). Ażeby się o tem przekonać, zróbmy następujące doświadczenie:

Przymocujmy zwykłą żabę (*Rana esculenta* lub *temporalis*), nie zabijając jej przedtem,

szpilkami do deszczułki, brzuchem do góry! Następnie przeciąwszy delikatnie nożyczkami skórę na brzuchu, ujrzymy dosyć grubą żyłę tam przebiegającą. Odpreparowawszy ją dokładnie, nadetnijmy ją! Otrzymawszy w ten sposób dwa końce żyły, zobaczymy, że z jednego sączy się krew obficie. Załóżmy do drugiego końca delikatną rurkę szklaną, t. zw. kaniulkę! Z kolei rozpoczniemy przez nią przepłukiwać cały układ (system) krwionośny żaby roczynem soli kuchennej (0·6%) tak długo, póki z drugiego końca przeciętego naczynia nie będzie wypływała zamiast krwi tylko sól lekko zabarwiona. Zawiążemy wówczas nitką jeden i drugi koniec przeciętego naczynia i będziemy mieli żabę, w której ustroju jest roczyn soli kuchennej, a tylko bardzo nieznaczna ilość krwi, której wypłukać nie zdołaliśmy. Gdy zeszyjemy zadaną ranę, to żaba będzie się poruszała tak, jak zwyczajnie, tylko nieco wolniej i może pozostać przy życiu przez czas dłuższy, a nawet może przyjść do siebie zupełnie, jeśli wypłukanie nie było zbyt dokładnem.

Z tego doświadczenia widzimy, że krew jest dla ustroju tem, czem palenisko dla machiny parowej. Krew ta musi być w ustawicznym ruchu musi się wciskać w najdrobniejsze naczynia włoskowate, roznosząc wszędzie ciepło i życie. Musi więc krążyć.

Jak to krążenie wygląda, możemy się przekonać, wziąwszy pod drobnowidz (mikroskop) język lub błonę międzypalcową żaby żywej. Zobaczymy wówczas całą sieć większych i mniejszych naczyń, niby cały system rzek, rzeczułek, potoków i strumieni, połączonych kanałami. To sieć naczyń krwionośnych! Wszystkie są wypełnione jasnożółtym płynem, w którym widzimy bardzo gęsto rozsiane czerwone ciałka krwi (u żaby kształtu owalnego). Ciałka te z niezmierną chyżością płyną w najrozmaitszych kierunkach. Gdy natrafią na bardzo wązkie naczynie, biegną jedno po drugiem, przewężają się, przesuwają, prześlizgują, byle tylko płynąć i płynąć dalej, bez chwili odpoczynku, bo odpoczynek to śmierć dla ustroju. Musimy się więc bliżej zastanowić nad rodzajem tego ruchu i jego początkiem.

Przyczyna krążenia krwi leży w skurczach serca, które jest niewielkim workiem mięsistym. Z niego wychodzą główne pni naczyń krwionośnych. Te, dzieląc się na coraz drobniejsze gałązki, oplatają całe ciało nasze i wszystkie jego organy. Prawie niewidzialna sieć ich rozłożona jest pod naszą skórą i to sprawia blednienie w chwili strachu, to znów wywoływa rumieniec wstydu. W pierwszym wypadku krew cofa się z nich, w drugim wypełnia je w większej ilości, niż zwykle.

Serce, kurcząc się, wtłacza swą zawartość krwi do naczyń, zwanych tętnicami, a rozkurczając się, znów napełnia się krwią, spływającą z naczyń, zwanych żyłami. Krew więc krąży w naszym ustroju pewnemi naczyniami od serca, innemi zaś do serca. Znaczeniem tych ruchów zajmiemy się później; teraz zastanowimy się tylko nad pracą serca podczas jednego skurczu.

Pojemność serca wynosi około 150 *gr.* i takąż ilość wtłacza ono przy każdym skurczu w naczynia krwionośne, a czynność tę powtarza 72 razy na minutę. Cała więc praca wynosi 0·28 kilogrametru na sekundę, co czyni na dzień około 29.000 *kgm.* czyli $^1/_{223}$ siły konia. Ponieważ zaś serce waży około 500 *gr.*, więc siła, wytwarzana przez nie, jest tak wielką, że potrafiłaby swój własny ciężar podnieść w godzinie na wysokość 400 *m.* Ilość zaś ciepła, wywołana pracą przy wciskaniu krwi do układu krwionośnego, wynosi około 68 jednostek ciepła (kaloryi) kilogramowych; jest to zatem taka ilość ciepła, która doprowadzi do wrzenia $^1/_2$ litra wody. — Takto wielką pracę wykonywa serce!

Czas, którego potrzeba, aby cząstka krwi odbyła całą swą drogę w ustroju i wróciła do serca, wynosi u psa 15·2 sekundy, co odpowiada 27 skurczom serca. U człowieka trwa to nieco dłużej, bo 22·5 sekundy.

Roztrząśnijmy pod koniec jedno jeszcze pytanie, a mianowicie: czy ta ilość krwi, która znajduje się w ustroju, jest bezwarunkowo potrzebną do życia, czyteż istnieje jej nadmiar? Otóż liczne doświadczenia, robione na źwierzętach, i spostrzeżenia przy krwiotokach u ludzi wykazały, że śmierć następuje z chwilą utraty $^1/_2$ lub $^2/_3$ całej zawartości krwi, a poprzedzają ją konwulsye. Przy mniejszych upływach krwi, n. p. z nosa, następuje dosyć nawet znaczne czasem osłabienie, które jednak znika po dłuższym lub krótszym przeciągu czasu — stosownie do ilości krwi utraconej.

Bolesław Błażek.

Nowe książki.

Maryan Sokołowski: Studya i szkice z dziejów sztuki i cywilizacyi (z rycinami), Kraków 1899 t. I., cena 9 *k*. Studya z zakresu dziejów sztuki i cywilizacyi to u nas rzecz rzadka; specyalnych badań na tem polu mamy niewiele, takich zaś, któreby je uprzystępniały szerszemu ogółowi, jeszcze mniej. Pracowników na tej dziedzinie liczba szczupła, a i tej śmierć nielitościwa nie oszczędziła, zabierając z ich grona jednego z najzasłużeńszych, ś. p. prof. Władysława Łuszczkiewicza. Niestrudzony jednak badacz pozostał, — a nim jest prof. Sokołowski. Książka jego, której napis podaliśmy, jest nader cennym nabytkiem dla naszej nauki; w formie łatwej, popularnej, podaje wyniki poszukiwań szczegółowych z rozmaitych gałęzi sztuki, w jej związku z kulturą ogólną. Są to studya, dotyczące różnych okresów cywilizacyjnych i najrozmaitszych zabytków sztuki. „Starożytność i wieki średnie“, „Włochy i Odrodzenie“, „Bizancyum i Ruś“ — oto trzy główne działy. Najciekawszy dział drugi, w którym uwagę czytelnika przykuwają: „Wspomnienia o Rafaelu Sanzio. Urbino i Perugia“, „Wielka rezydencya i wielki ród“ (o sławnym w dziejach rodzie Colonnów i ich pałacu w Rzymie), opis pałacu i zbiorów artystycznych w Gołuchowie, niegdyś rezydencyi rodu Leszczyńskich, dziś należącego do hr. Izaizabeli z Czartoryskich Działyńskiej. Język książki piękny. — Niemożna przy tej sposobności pominąć i tej okoliczności, że znakomite dzieło J. Klaczki „Rzym i Odrodzenie — Juliusz II.“, wydane pierwotnie po franc, wyszło obecnie w Warszawie w przekładzie polskim z ryć. (cena 10 *k*).

Tadeusz Wojciechowski: Kościół katedralny na Wawelu, Kraków 1900 (cena 20 *k*). Wspaniała monografia naukowa znakomitego dziejopisarza polskiego zająć powinna jak najszersze koła czytelników. Po popularnych pracach dziś już przestarzałych o katedrze na Wawelu otrzymaliśmy teraz dzieło gruntowne, w którem zbadano historyę kościoła tego od najpierwszych jego początków jak najdokładniej. Nie wchodzimy w ocenę zalet książki, trudno jednak pominąć fakt, iż przynosi pewien nader cenny nabytek ogólniejszej natury: oto prof. W. ustala lub wprowadza w swem dziele znakomite nazwy techniczne dla określenia pojęć artystycznych.

Pomniki Krakowa. Wyszło już 8 zeszytów tego oddawna zapowiadanego wydawnictwa. Autorami wizerunków są pp. Cerchowie ojciec i syn, tekst napisał dr. Feliks Kopera. St. Cercha całe życie poświęcił zbieraniu i odrysowywaniu zabytków artystycznych naszej starej stolicy, oddając w ten sposób wielką przysługę całemu społeczeństwu. Drogie te pamiątki historyczne powinny być znane każdemu, kraj swój miłującemu Polakowi. Wydanie dzieła jest nader staranne, tekst pisany jasno i zajmująco. Dzieło to powinno się znajdować w każdym księgozbiorze szkolnym i służyć do nauki poglądowej przy wykładzie dziejów ojczystych. Jednostkom bowiem trudno zdobyć się na wydatek 200 *k*, a tyle będzie całość kosztowała (zeszyt po 5 *k*).

Edward Przewóski. Krytyka literacka we Francyi. Lwów 1899, 2 t., (cena 4 *k*.) Zbiorek szkiców literackich, z których można sobie utworzyć pełny obraz współczesnej literatury i krytyki we Francyi; dla pragnących poświęcić się studyom nad historyą literatury rzecz nader pożyteczna. Najdokładniej omówiono tu działalność F. Brunnetière'a, rozgłośnego krytyka, redaktora „Przeglądu dwu światów“ (*Revue des deux Mondes*). Zbiorek wydał i uwagami krytycznemi zaopatrzył poeta Antoni Lange, który sam uraczył nas niedawno „Studyami z literatury franc.“ (Bibl. Mrówki Nr. 314 -6, cena 60 *k*), omawiającemi poezye K. Baudelaire'a, Leconte'a de Lisle, S. Prudhomme'a, obok symbolizmu i modernizmu, a obecnie ogłosił swe „Studya i wrażenia“ (Warszawa 1900, 4·70 *k*). Ten tom obejmuje 13 artykułów: w cz. I. ogólne o sztuce, twórczości i geniuszu, w II. o Nietzschem, Ruskinie, Schillerze itd., a koniec stanowią 2 artykuły o poezyi współczesnej.

Paweł ks. Sapieha. Podróż na Wschód Azyi 1888—1889, z ilustracyami w tekście. Lwów 1900, (cena 10 *k*). Nader ubogie jest nasze piśmiennictwo podróżnicze; dopiero w ostatnich latach zaczął się zwrot na lepsze. Dzięki ruchliwemu redaktorowi „Misyi katolickich“ ks. M. Czermińskiemu wyszły od r. 1890. jego pióra wspaniałe „Szkice z Indyi“ (1894), „Albania“ (1893) i in., oraz ks. J. Hołubowicza „Wyspy sandwickie i Gambier w Oceanii“, ks. W. Zaborskiego „W północnej Ameryce“ itd. Po nich poszły wspaniale wydane, choć beztreściowe „Notatki myśliwskie“ J. Potockiego, a teraz potomek zasłużonego rodu wydał dzieło o podróży, którą odbywał w wygodnych warunkach. W Indyach, Chinach, Japonii, a nakoniec na Syberyi, wszędzie wpływowe polecenia otwierały mu drogi, dla innych niedostępne. Spostrzeżenia, zebrane przez młodego podróżnika, są więc nader zajmujące i doskonale informują czytelnika. Najciekawszą dla nas jest opowieść o przejeździe przez Syberyę; postaci polskich wygnańców przesuwają się przed naszemi oczyma, a ich opowiadania wzruszają do łez.

Wincenty Lutosławski. Z dziedziny myśli. Studya i szkice filozoficzne. Warszawa 1900 (cena 6 *k*). Wybitnego myśliciela polskiego, którego studya nad Platonem zajęły cały naukowy świat europejski, ukazał się zbiór prac i rozpraw, napisanych w ciągu kilku lat ostatnich. Obejmuje w nich autor całokształt filozofii, dając z dziedziny starożytnej oryginalne studyum o pojęciu teoryi rewolucyi u Arystotelesa, z filozofi nowożytnej o Lotzem i Descartesie (Kartezyusie); na czele pomieścił prof. L. szkic, dający dokładny obraz współczesnego stanu filozofii. Pragnący poświęcić się studyom filozoficznym, obeznany już jednak nieco z pierwszemi, podstawowemi pojęciami filozoficznemi, znajdzie w tej książce wiele wiadomości, które jednak powinien przyjmować z pewną krytycznością. Kto nie posiada takich podstaw, może je nabyć z bajecznie taniej książki H. Struvego „Wstępu do hist. filoz.“ (II. wyd., cena 7·80 *k*); przyda się też broszura A. Mahrburga „Co to jest nauka“.

St. Schnür-Pepłowski: *a*) Opowieści historyczne, Lwów 1899, (3·60 *k*), *b*) Szkice historyczne, Lwów 1900, (4·80 *k*). Wiek Polski porozbiorowej dziejopisarze nasi zaniedbują z wielu względów, nieraz bardzo błahych. Toż tem skwapliwiej należy chwytać książki takie, które — jak prace p. Pepłowskiego — przypominają czasy niedawne, a jednak po macoszemu traktowane w szkołach, — czasy naszych klęsk, ale i zwiastuny odrodzenia. Pierwszy z tomów wymienionych zapoznaje nas w lekkiej formie z „Pierwszym legionistą“, A. A. Kosińskim, z „niezłomnym“ Kniaziewiczem, „rycerzem-poetą“ C. Godebskim, wreszcie ze smutną wyprawą na „Santo-Domingo“; słowem poświęcony jest czasom legionów. Tom drugi, nawiązując do poprzedniego, kreśli wspaniałą epopeę napoleońską, w której Polacy dotrwali z zapałem, godnym lepszej sprawy, „usque ad finem“, maluje stosunki polityczne w Europie w l. 1840—6. na podstawie „listów polskiej damy“, opowiada koleje „ojca Bema“, który po to walczył za wolność Węgrów, ażeby ci niewdzięcznicy przytłaczali teraz ciemiężką dłonią karki Słowian, a nam zabierali Morskie Oko, wreszcie na podstawie „pamiętników Garczyńskiego“ szkicuje ruchawkę poznańską, której dzieje przedstawia szczegółowo najnowsza książka dra K. Rakowskiego, ruchliwego i zdolnego publicysty, p. n. „Powstanie poznańskie w r. 1848. (Lwów 1900).

Zagadnienia naukowe.

Nr. 141. Pochodzenie i znaczenie warazu *eldorado*.

Nr. 142. Skąd przejęliśmy nazwę marszałka i co ona znaczyła pierwotnie?

Nr. 143. Którzy są najwybitniejsi myśliciele (filozofowie) polscy?

Nr. 144. Jakie ma znaczenie krew w podziale naukowym istot żyjących?

Nr. 145. Gdzie i jakie znajdują się pamiątki po T. Kościuszce?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: E. Strumpfa „Obrazy Kaukazu“ i dla Jotejki-Radnickiej „Chemia“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 13. b. m. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 131—40.

Nr. 131. Św. Józef Kalasanty z Hiszpanii założył w Rzymie 1587. r. szkołę, którą w 10 lat później nazwano *schola pia* (pobożna) i około której skupił się nowy zakon, zatwierdzony brewem Pawła V. z 6. marca 1617. r. jako zakon Pijarów. Do Polski wprowadzili ich Władysław IV. i Jerzy Ossoliński; mianowicie w r. 1642. przybyło do Warszawy 13 Pijarów z Rzymu, między nimi już jeden Polak, K. Rogatko. Odtąd mnożyły się ich kolegia i klasztory (2-gi w Podolińcu, 4-ty w Krakowie 1654 r., 20-ty we Lwowie 1756 r.) tak, że na ziemiach polskich było ich wreszcie 40 — dziś jest tylko 1 w Krakowie.

Nr. 132. Najwybitniejsi z Pijarów polskich obok St. Konarskiego: dziejopisarze D. Krajewski, D. Szybiński, N. Jodłowski, I. Waga, F. Siarczyński, J. Gacki; wydawca „Volumina legum“ M. Dogiel; prawnik K. Skrzetuski; gramatyk O. Kopczyński; słownikarze C. Zapolski i bp. wileń. A. St. Krasiński (autor „Słownika synonimów polskich“, świetny kaznodzieja); organizator wszechnicy wileń. i bp. tameczny H. Strojnowski; prof. liceum krzemienieckiego A. Osiński; filozofowie A. Dowgird i A. Wiśniewski; malarz Ł. Hübl; poeta F. Ks. Dmochowski; przyrodnik St. B. Jundziłł.

Nr. 133. Najwybitniejsi przedstawiciele wymowy w Polsce: *a*) religijnej: Mateusz z Krakowa, Stanisław ze Szkalmierza, Jakób z Paradyża, Jan Elgot (z Lgoty); M. Kromer, St. Hozyusz, M. Białobrzeski, P. Skarga, F. Birkowski; S Starowolski, T. Młodzianowski, J. P. Woronicz; H. Kajsiewicz, L. Trynkowski, A. Prusinowski, K. Antoniewicz, Z Golian, Wł. Chotkowski i S. Załęski; *b*) świeckiej: J. Ostroróg; P. Tomicki, P. Kmita, S. Orzechowski, A. Modrzewski, L. Sapieha, J. Zamojski; J Ossoliński S. Czarnkowski; J. U. Niemcewicz, T. Czacki; L Osiński, O Hausner, L. Jaźdżewski (oraz karnodzieja), J. Dunajewski, St. Tarnowski, T. Romanowicz.

Nr. 134. „Rocznice wypadków i ludzi i t. p. święcimy, aby z jednej strony uczcić pamięć i złożyć hołd ludziom wielkim, zasłużonym, z drugiej zaś, przypominając współczesnym ważniejsze chwile przeszłości, wzbudzić w nich zamiłowanie i uszanowanie dla niej, zapalić i zachęcić ich do naśladowania, lub do stania się godnymi przodków swoich“ (*Auditor*).

Nr. 135. Archaizmy wiersza Konarskiego: *a*) z głosowni: zawisny bez *t*, wszytko (błąd druku: wszystko) bez *s*; *b*) z odmienni: dopełniacz l. p. wrogu zam wroga, l. m. zawiśćiów, Rzymianów (dziś bez *ów*), biernik l. m. imion osob. sprawce, sędzie, bohatery (dziś używamy tu dopełniacza); *c*) ze słowotworu: skrócenia na wzór franc. imion starož. Tyt, Aurel, Enej, Kamil, Kodr; *d*) ze składni: gardzić z biern. (dziś z narzędnikiem), doznawać z biern. (dziś dopełn.); *e*) z wyrazownictwa: bełt (pocisk) i wogóle używanie krótszych i niezłożonych postaci, jak ruszyć (wzruszyć), dąs, wab (wabienie) i t. p. Na str. 219. w w. 8. wydrukowano zawiśniów, jak jest w oryg.; ale powinno być zawiściów.

Nr. 136. W Kostnicy, — od r. 1805. mieście badeńskiem, przedtem siedzibie biskupstwa, które sekularyzowano w r. 1802., — Fryderyk Rudobrody zawarł pokój z miastami lombardzkiemi (1183.); w l. 1414—18. odbywał się tu XVI. sobór powszechny kościelny, podczas którego

6. lipca 1415. spalono na stosie reformatora czeskiego, Jana Husa.

Nr. 137. Ptaki, wymienione w „Listach z podróży“ (nr. 20): bekas, dubelt i kszyk (*Scolopaces*: *gallinula*, *maior* i *gallinaga*), oraz czapla król. (*Ardea purpurea*) z rzędu brodźców (*Grallatores*); kulik (*Numenius*), kulon (*Oedicnemus crepitans*), nur (*Colymbus*); kuropatwa (*Perdix cinerea*) z rz. kuraków (*Gallinacei*); gęś dzika (*Anser segetum*) i kaczka dzika (*Anas boschas*) z rz. pływaków (*Natatores*); sokół (*Falco*) z rz. drapieżców (*Rapaces*); kruk (*Corvus corax*) z rz. wróblowatych (*Passeres*); gołąb dziki (*Columba palumbus*). Należy pisać kszyk, nie krzyk, bo nazwa jego pochodzi od ksykania.

Nr. 138. Nie wszystkie nazwy rzek poznańskich są nam dziś jasnemi. Do ciemnych należą: Głda i Łobzonka, choć mamy podobne nazwy rzek i miejscowości, jak Łobzów, Łobożnica, Łobżenica, Łobżanka, Łobozew (prw. nazwisko bpa tarnow). Łobos i łoboź = łodyga, łobożnica = motyl nocny *Botys*). Drawa, nazwa pospolita rzek w ziemiach słowiańskich, należy — tak samo jak Drwęca — do tego samego pierwiastka co gr. *drá(w)o* „robię, a właść. śpieszę“ sanskr. *drawati* „biegnie“, a więc dosł. „Biegnąca“; na to samo prawie wychodzi *Warta*, której pierwiastek mamy w przym. *wartki*. Noteć należy do tego samego pierw., co gr. *náo* „płynę“, *narós* „płynący“, a więc dosł. „Rzeka“; podobnie Wełna oznacza „falę“ do dziś dnia jeszcze w czeskim (*vlna*). Mątew od mętnej wody.

Nr. 139. Prolog (z gr. *pro* przed i *lógos* mowa) stanowił „przedmowę“ tak do dzieła jakiegokolwiek, jak przedewszystkiem w dramacie greckim do właściwej akcyi; wyjaśniał mianowicie położenie, wypadki poprzednie itp. Później oderwano go od związku ze sztuką i zamieniono w przemowę, którą wygłaszał zwykle jeden z aktorów celem pozyskania widzów dla sztuki lub wygłoszenia programu dyrekcyi itp. Dziś używa się go w różnych kombinacyach, najczęściej jednak wykonują prologi okolicznościowe.

Nr. 140. Popierać żywioł polski na Ślazku (i wszędzie indziej na kresach) należy moralnie i materyalnie: a więc śmiałem przyznawaniem się do narodowości polskiej, używaniem wyłącznie języka ojczystego we wszelkich stosunkach z ludnością tamtejszą, udziałem choćby tylko duchowym we wszelkich wesołych i smutnych dla niej wypadkach — to doda otuchy kresowcom do walki dalszej o nasze ideały; materyalna pomoc należy do tych, którzy mają własne mienie. O ile wy, młodzi, możecie rozporządzać takimi środkami (czy to z łaski rodziców, czy też dzięki własnej pracy), macie też obowiązek popierania materyalnego Ślązka itd., przez ofiary na rzecz Macierzy szkolnej dla Ks. Cieszyńskiego, która utrzymuje pryw. gimnazyum polskie (jedyne na Ślązku!) tak w pieniądzach, które przyjmują wszystkie dzienniki i pisma polskie, jakoteż w przedmiotach, potrzebnych do nauki, głównie książkach szkolnych i do czytania.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 29. b. m.

(36-7, 39—40) Auditor (wybornie), Bloch, Filos, Pordes, Saulida, Wietor; (36—7, 39) Cetnarski, Masiuk; (36, 39—40) Szreniawa, Wiktor; (36, 39) Galvani.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): A. Bednarowski ze Lwowa (Kasprowicza „Baśń nocy świętojańskiej“) i St. Kot z Rzeszowa („Życie w kropli wody“).

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Auditor. Więc zagadnienie 138. za trudne? Przecież nawet w „Wypisach“ u dawnych pisarzy zachodzi wyraz wełna - fala! Nie należy używać postaci „Szlązk“, bo to wymowa niemiecka, polska odwieczna: Ślązk, jak dowodzi łać. Silesia. *Galvani.* „Prosić“ rządzi dopełniaczem osoby, nie biernikiem. Żądaniu wskazówek co do dzieł fizykalnych w zakresie wskazanym uczynimy zadość dopiero w nrze 22., bo trudno tu wskazać na zawołanie coś nowego szan. korespondentowi, który zna tyle rzeczy. Zwróciliśmy się więc do zawodowca i czekamy jego odpowiedzi. *A. Gawl. Kr.* Żądanie sz. korerp. nie jest wcale „śmiałością“, jeno prawem, a my uczynimy mu zawsze chętnie zadość. „Księga pamiątkowa uczniów uniw. Jagiell.“ 8 *k* — księgarmia Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie. Zresztą można przesłać pieniądze naszej admin., a załatwimy sprawę. *Sfinks.* Każdy tom „Pism“ Sienkiewicza 2·60 *k* („Rodzina Połanieckich“ t. XXIV - VI., „Bez dogmatu“ XXI - III.) Jan Łada - ks. J. Gnatowski. *Ar. Wi.* Już raz zwróciliśmy uwagę na to, że „fortuna kołem się toczy“. Czekajmy, może się uśmiechnie! Proszę przysłać — jeśli dobra, umieścimy. *Wal.* Niepierwszy to człowiek, który pod nawskróś niem. nazwiskiem żywi czysto polską duszę. A Lelewel, a Traugutt, a tysiące innych! Co do znaczenia to *Leitgeber* składa się z *Leit* (dawniej *lît* „moszcz“, prw. *litkup* „mohorycz“) i *Geber*, pierwotnie jako imię pospolite oznaczało szynkarza (trunko - dawcę).

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 21: *A. Świętochowski*, Lew kamienny (Dok.) — ***, Listy z podróży na Wschód daleki (z 2 ryc., C. d.). — *A. Winiarz*, O sejmach w Polsce (C. d.) — Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (C. d.). — *W. Gomulicki*, Deszcz liści (wiersz). — *E. Bobrów*, Rozmaite typy światopoglądu etycznego, IV. — *B. Błażek* O krążeniu krwi. — Nowe książki. — Zagadnienia naukowe, skrzynka pocztowa Redakcyi i Administracyi. — *W. Barącz*, Posąg Kościuszki w Chicagu, rycina.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pl. Bernardyński 7.

We Lwowie 16. listopada 1900.



Rok II.

Nr. 22.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Hej! ramię do ramienia! wspólnymi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko
I w jedno ognisko duchy!

A. Mickiewicz.

Obrazki miejskie Wiktora Gomulickiego.

Gomulicki zapisał swe nazwisko złotemi głoskami w księdze dziejów naszej poezyi najnowszej. Tworzy wprawdzie niezbyt wiele, bo poza dwoma zbiorkami średniej objętości*) zaledwie kilkanaście mniejszych lub większych wierszy błąka się tu i ówdzie po rocznikach czasopism literackich, jednak nie ilość, lecz jakość poematów stanowi o sławie i znaczeniu ich twórcy. A wszystko, co wyszło z pod pióra Gomulickiego, przybrane jest w szatę, tak nieskalanie piękną, tak artystyczną w każdym szczególe, że tworzy szereg prawdziwych cacek, pieścidełek, które mogłyby być ozdobą nietylko naszego, ale każdego piśmiennictwa. Rzecz dziwna i niepowszednia, że pod tym względem, pod względem artystycznego opracowania, nie widać prawie u Gomulickiego postępu, wyrobienia się, lub wogóle jakiejkolwiek różnicy pomiędzy pierwszymi a ostatnimi jego utworami. Jeżeli prawdą jest to, co sam o sobie żartobliwie powiada, że poematy jego pierwsze „brano pod placki“, to poematów takich nigdy, w najpierwszej nawet młodości, nie ogłaszał drukiem, z ogłoszonych zaś żaden nie zasługiwał na podobnie barbarzyńskie postępowanie.

*) Mówimy tu tylko o Gomulickim — poecie, nie prozaiku. Pierwszy zbiór jego utworów p. n. „Poezye“ wyszedł w Warszawie (1886.) — drugi „Nowe Pieśni“ w 10 lat później w Petersburgu. Obecnie ukazały się w Warszawie, gdzie poeta przebywa stale, „Wybór poezyi“ oraz „Pieśń o Gdańsku“. Z wierszy, nieobjętych powyższymi zbiorkami, należy do najpiękniejszych może obrazek „O północy“ (Biblioteka warsz. 1900. kwiecień) i drobne „Wierszyki“, pojawiające się od czasu do czasu w „Tygodniku illustrowanym“.

Jeżeli pod względem formy znajdziemy u Gomulickiego zupełną jednolitość, to co do treści panuje zato w jego utworach olbrzymia różnorodność. Zdarza się często, niestety nawet zbyt często, że poeta jakiś, trafiwszy na pole, najwłaściwsze dla jego zdolności, rozlubuje się w niem nadmiernie i albo wyłącznie, albo przynajmniej przeważnie, w niem już tylko zaczyna się obracać, traci z oczu inne objawy życia, staje się jednostajnym i jednostronnym i popada w manierę. U Gomulickiego nie doszukamy się ani śladu takiej maniery, jaką widać np. u Konopnickiej, a nawet u wielu młodych poetów — owszem, oprócz jednego może Asnyka, nikt z naszych poetów, którzy wystąpili na widownię po r. 1863., nie przedstawił tak rozmaitych stanów duszy, nie opisał życia w tak rozmaitych sytuacyach, jak właśnie on. W poezyach jego znajdziemy wybuchy serdecznego śmiechu obok łez żalu i rozpaczy, gorzką ironię, przechodzącą niekiedy w sarkazm, obok zachwytu i uniesień, ekstazy głębokiej wiary obok rozpaczliwego zwątpienia — jednem słowem wszystkie uczucia, jakie mogą powstać w duszy człowieka nowożytnego, a wszystkie wyrażone z równem pięknem i równą prawdziwie wielką prostotą.

Toteż w niemałym kłopocie znajduje się ten, ktoby chciał w krótkim szkicu dać swoim czytelnikom jakie takie wyobrażenie o autorze „Pieśni o Gdańsku“. Aby objąć całą działalność jego, trzebaby poświęcić wiele trudu i zapisać wiele arkuszy — a na to nie pozwala miejsce; jeśli zaś kto wyjmie jeden tylko z tylu najrozmaitszych tonów i akordów, które Gomulicki wygrywał na swojej lutni, to popadnie w jednostronność i wypaczy do reszty i tak bardzo nieuchytny portret poety — i jedno złe i drugie niedobre! Trzeba więc sobie poradzić chyba w ten sposób, że, zachowując różnorodność uczuć, wyrażanych przez poetę, ograniczy się je na jakieś niezbyt obszerne terytoryum i omówi w tych niewielkich ramach. Wybierzmy na „chybi, trafi“ — m i a s t o!

Jakto? nowożytne miasto, z wiecznie dymiącymi kominami fabrycznymi, z parą i elektrycznością, brukiem i asfaltem, powozami i „kołami“, okopcone, nudne, jednostajne?! Czyż może być coś mniej poetycznego? Prawda, wdzięku poetycznego ma ono w sobie niewiele, ale tem większe zajęcie budzi pytanie: jak też Gomulicki je przedstawia, jak potrafił przystroić ten prozaiczny temat w szatę poezyi? Ominąwszy nawet obszerną „Pieśń o Gdańsku“ — bo wymagałaby dłuższego sprawozdania — w drobniejszych utworach naszego poety znajdziemy materyału aż nadto. Roi się w nich prawie od opisów miejskiego życia, miejskich typów lub miejskich ulic i zaułków.

Zacznijmy od ostatnich:

Nizko mgła się wlecze brudna
Po ziemi;
Gaz połyska w niej oczami
Żółtemi...

Łatwiej duszy skrzydła zwinąć
Dla chleba,
Niż wśród mgły tej znaleźć drogę
Do nieba.

A więc Gomulicki nie lubi miasta i będzie je zawsze przedstawiał w barwach ciemnych, ujemnych tylko? Bynajmniej! Jego wrażenia nie zawsze są równe, bo niezawsze równym jest stan jego duszy, od którego zależą. Te dwie prześliczne zwrotki napisał zapewne w chwili jakiegoś smutku, bo kiedy go „odurzy wino wiosny i młodości“, wcale inaczej przedstawiają mu się gwarne ulice:

Zdaje mi się, że złociściej
Palą się latarnie,
Że posągi pośród liści
Mrugają figlarnie;

Zdaje mi się, że pojazdy
Do rytmu turkocą,
Że nie świece, ale gwiazdy
W ulicach migocą;

Zdaje mi się, że tęczowo
Lśnią kamienic ściany,
Że mozajką marmurową
Chodnik wykładany;

Zdaje mi się, że przechodnie
W uśmiech stroją twarze,
Że ich serca biją zgodnie,
Jak młotki w zegarze...

Dosyć! To nie zachwyty, to ironia! Poszukajmy więc nie zachwytów i nie wybuchów chwilowego żalu, ale trzeźwego sądu, zwykłych, codziennych wrażeń!

O miasto! masz ty upojenia,
Jakich nie dają wiejskie wczasy —
Gdy się ulica rozpłomienia
I wśród namiętnych rozmów wrzenia
Szumią koronki i atłasy...

Idziesz, niesiony ludzką falą,
Jakbyś sen roił gorączkowy,
Świat ci biesiadną zda się salą,
Kędy się słońca sztuczne palą
I, ze krwią, bije szał do głowy...

A więc życie miejskie nie jest tak jednostajnem i banalnem, jakby się mogło wydawać, trzeba tylko umieć na nie patrzeć, zrozumieć jego objawy, a odkryje się całe mnóstwo szczegółów nowych a ciekawych. Oto naprzykład zwykły „ogródek na przedmieściu“, jakich tysiące wszędzie.

Od zachodu — wielka biała ściana,
Od południa — złote słoneczniki,
Od północy — bluszczowa altana
A od wschodu — czarny szczyt fabryki,

Ale pomimo takiego sąsiedztwa „miło tutaj zapach róż pić z rana“ albo leżąc „na murawie czytać *Bukoliki*“ — tylko wniknąć w to dzieło rzymskiego poety, przenieść się myślą w jego czasy, niemożna tutaj tak, jak w jakiemś wiejskiem ustroniu, bo

... gdy, goniąc idyliczne mary,
Z miejsc tych wzlecisz w światy Wergiliusza,
Nagle z nieba strąca cię świst — pary...

Tak, gdy w czyścu zabłąkana dusza
Zbyt oddali się od miejsca kary,
Wrzask ją czartów do powrotu zmusza!

Życie to więc nieponętne, kiedy przypomina kary czyścowe, ale jakby na to stworzone, aby artyści mogli z niego czerpać treść do swych dzieł. Bo „ślepym“ chyba był ten malarz, który rozpaczliwie prosił o jakąś myśl do obrazu,

A nie widział, jak z każdego głazu
Dramat ludzki huczy: oto jestem!

Miasto drgało wśród płomieni gazu,
Jak trup w ogniu, spowity azbestem,
I łańcuchów brzęk, pełen wyrazu,
Płynął wespół z jedwabiów szelestem.

Tutaj wyły płaczki pogrzebowe,
Ówdzie śmieszek słyszałeś niewieści,
Albo łotrów tajemniczą zmowę;
Grzmiała burza szaleństw i boleści...

I jakby na dowód, że tej treści jest mnóstwo, daje nam Gomulicki cały szereg obrazków, wprost z życia zaczerpniętych, niewyszukanych, codziennych, a tak prawdziwych, że przypominają momentalne zdjęcia fotograficzne.

Czasem objaśnia nam taki szkic jakąś uwagą, częściej jednak nie dodaje od siebie nic i wnioski pozostawia czytelnikowi, wprawiając go tylko dobraniem faktów w jakiś nastrój, wesoły lub ponury.

Oto przykład:

Noc. Z dwu krańców przeciwległych miasta
Para ludzi zdąża w jedną stronę:
Z pod rogatek wychudła niewiasta,
Z ponad Wisły chłopisko zgarbione.

By krup garstkę zdobyć i kęs ciasta,
Muszą życie pędzić rozdzielone,
I dopiero, gdy cień nocy wzrasta,
Żona męża, a mąż wita żonę.

Jednak ciężar ten ich nie zastrasza,
Bo gdy wrócą, dzieciątko różowe
Głośnym śmiechem ich smutek rozprasza.

Lecz dziś w domu znajdą wieści nowe...
Dziecię oknem wypadło z poddasza
I na bruku roztrzaskało głowę.

I nic więcej — żadnego wykrzyknika, żadnej uwagi. Ileż to skarg, narzekań, a nawet klątw wypowiedziałaby zaraz na ten temat Konopnicka, ileż łez wylałaby sama i kazała wylewać czytelnikowi nad nieszczęściem dziecka i niedolą rodziców, którzy utracili w niem jedyną pociechę! Gomulicki podaje tylko nagi fakt, nie wywoływa w nas uczucia sztucznie. „Jeżeli odczuwasz to nieszczęście, — zdaje się mówić do czytelnika, — to płacz nad niem, lub lepiej jeszcze, zaradź podobnym na przyszłość; jeżeli zaś go nie odczuwasz, jeżeli ono samo do ciebie nie przemawia, to i moje pośrednictwo nie na wiele się przyda.“

Czasem jednak i on niedowierza czytelnikom, czy się domyślają, o co właściwie chodzi, i pomaga im jakąś uwagą.

Do widzenia!.. W namiętnym wybuchu
Raz ostatni splotły się ich dłonie.
Pociąg ruszył — w mgle wieczornej tonie...
On na miejscu wciąż stoi bez ruchu.

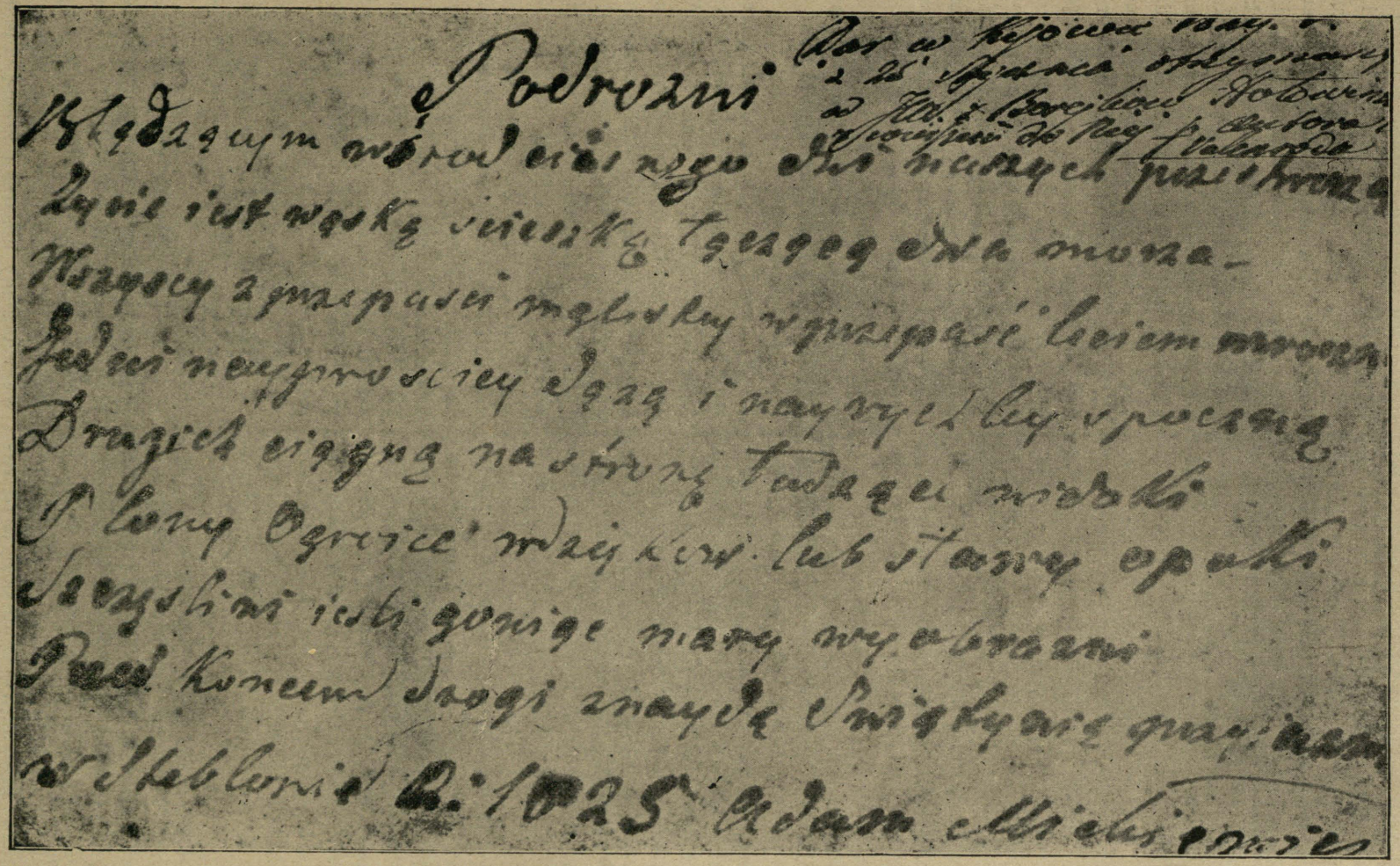
„Do widzenia!“ i jej dźwięczy w uchu...
Do szyb ciśnie rozpalone skronie,
Tchu jej braknie w zamkniętym wagonie,
Aż łez strumień ulżył jej na duchu.

Ona w drogę wyrusza tułaczą,
On za losu ma gonić widmami —
Jednak wiary są pełni, choć płaczą...

I tu mógłby być koniec, bo w tych jednastu wierszach zawarto wszystko, co widz może zauważyć: obraz skończony. Ale poetą



Piotr Stachiewicz: „Przed bitwą".



Autograf wiersza Adama Mickiewicza p. n. „Podróżni.“.

nie wie, czy czytelnicy pojmują całą grozę położenia; może przypuszczają, że ci ludzie, których nędza teraz rozdziela, będą później szczęśliwszymi, bo wszakże i oni sami „wiary są pełni, choć płaczą“. Więc trzeba odsłonić także rąbek przyszłości:

Lecz ta wiara zdradnie ich omami:
Prawda, że się po latach zobaczą,
Nie zobaczą się jednak — ciż sami...

(Dok. nastąpi.) *Tadeusz Pini.*

LISTY
z podróży na Wschód daleki.

(Ciąg dalszy).

Zatoka Peczili 5. kwietnia. Od kilku godzin kołyszę się na falach zatoki Peczili, podążając z Czwanntau do Kiauczau.

Jak w ostatnim liście wspomniałem, opuściliśmy Szangaj 30. marca i zwrócili się ku północy. Już u wnijścia Jancego gęsta mgła zmusiła nas do zarzucenia kotwicy i oczekiwania lepszej aury. Nazajutrz rano ruszyliśmy w dalszą drogę, którąśmy przebyli szczęśliwie, jakkolwiek od czasu do czasu przeciskaliśmy się przez ławice mgły tak gęstej, że nie było nic widać na kilkaset metrów. Był to gość, niebardzo pożądany na wodach o tak znacznym ruchu okrętowym, jak okolica szangajska.

Następnie posunęliśmy się przez wschodnie Morze chińskie i przez Morze żółte, opłynęli półwysep Szantun i zawinęli 3. kwietnia do zatoki Cnwanntau; tu bowiem według umowy musieliśmy wziąć na pokład pasażerów z Pekinu, którzy mieli z nami odbywać dalszą drogę. Tę przystań wybrano dlatego, że tu znajduje się przystanek kolei, wiodącej z Tyencynu (Tien-tsin) do Szanhajkwau.

Chcieliśmy wyzyskać czas, zanimby przybyli przyszli towarzysze podróży i zwiedzić sławny mur chiński, który kończy się tutaj właśnie. Pokazało się jednak, że praktyczni Chińczycy rozebrali mur do szczętu, a materyału użyli do budowy domów. Chcąc oglądać to dzieło prawdziwie chińskiej wytrwałości, trzeba więc jechać stąd godzinę koleją, a cztery godziny na osłach lub mułach. Na taką wycieczkę niebyło czasu; ograniczyłem się przeto na zwiedzeniu najbliższej okolicy i na kilku zdjęciach fotograficznych.

Mulista równina, zamknięta od zachodu wysokiemi górami, kilka wiosek, stacya telegraficzna — ot i wszystko, co, razem wzięte, przedstawia widok smutny i robi wrażenie stepu. Na licznych bagnach i jeziorkach uwijają się stadami kaczki, gęsi i czaple.

Amerykanie zakupili ten szmat ziemi i budują tu ogromną przystań i miasto, odpowiadające wszelkim wymaganiom nowoczesnym. Widziałem setki kuliów, pracujących nad budową olbrzymich grobli portowych o wysokości 15-metrowej.

Gdy nowi towarzysze podróży przenieśli się z dworca na pokład, puściliśmy się w drogę powrotną do Szangaju, ażeby potem podążyć w górę Jancego i zobaczyć, co się dzieje w głębi państwa niebieskiego i jak tam wygląda świat Boży...

Po ciężkiej przeprawie zawinęliśmy 6. kwietnia o siódmej nad wieczorem do Czyntau, portu Kiauczau.

Już wczoraj, gdy pisałem, okręt kołysał się dobrze, a wiatr dął coraz silniej. Dziś była przez cały dzień silna burza. Wiatr północno-zachodni pędził spiętrzone fale, okręt kołysał się jak pijany, przechylając się o 20° na lewo. W kajutach pospadało wszystko, czego nie przytwierdzono silnie, i spacerowało po podłodze. Kilka szklanek i filiżanek padło ofiarą; tem gniewny Neptun zadowolił się zupełnie. Natomiast wiatr porwał nam żagiel trójkątny i przerwał linę drucianą, do której żagiel był przytwierdzonym. Ładnemu jamniczkowi, który także znajdował się na statku, snać awantura ta się nie podobała, bo stracił humor tak dalece, że nie chciał nawet jeść ciastek ulubionych, gdy mu je podawałem.

Zanim dotrę do nowych miejscowości, uzupełniam niektóre szczegóły z pobytu w Szangaju.

Przed wyjazdem odbyłem wcale zajmującą wycieczkę myśliwską, urządzoną przez p. Gottwalda, tłumacza austryackiego konsulatu generalnego, bardzo miłego i uprzejmego człowieka. O godzinie $^1/_2$8 rano dnia 29. marca wyjechaliśmy cesarską koleją chińską z Szangaju do Wusunu, miejscowości, położonej u ujścia rzeki. Dzieje tej kolei muszę krótko

opowiedzieć. Przed laty pewne towarzystwo angielskie uzyskało pozwolenie na budowę tej linii. Po jej ukończeniu zabobonni Chińczycy zburzyli ją, a cały materyał przewieźli na Formozę, gdzie butwieje dotychczas. Dopiero przed niedawnym czasem udało się linię odbudować! Kolej urządzono zupełnie po angielsku, ale cała służba z wyjątkiem maszynistów i portyerów składa się z Chińczyków. Jako portyerzy fungują potężni Hindusi w czerwonych zawojach. W Wusunie czekała na nas piękna dżunka (*house-boat*), urządzona znakomicie nawet do kilkudniowych wycieczek.

Po godzinie jazdy na rzece, pełnej okrętów różnego rodzaju, przybyliśmy na miejsce, wybrane do polowania.

Teren przypominał mi żywo nasze równiny naddniestrzańskie. Wśród pól zbożowych ciągną się wysoką trawą porosłe strugi. Tu i ówdzie zieleni się mały gaik lub czernią powyginane dachy wiosek chińskich. Na strugach roiło się od kszyków i kulików różnego rodzaju i różnej wielkości.

Charakterystyczną cechą okolicy Szangaju jest niezliczona liczba grobów i trumien, rozsianych po polach. Przepisy tamistyczne bowiem nie pozwalają chować nieboszczyków, dopóki bonzowie nie uznają, że nadeszła chwila odpowiednia. Naturalnie trwa to tak długo, jak długo można jeszcze co wyłudzić od rodziny zmarłego. Nieraz musi biedny nieboszczyk czekać latami, zanim go pochowają ostatecznie. Trumny zamożniejszych składają do małych murowanych domków, ubogich poprostu na polu, w najlepszym razie przykrywają trumnę słomą. Widziałem wiele trumien, które już się rozsypały, a kości bielały rozsypane dookoła. Ze względu na zdrowotność — nie mówię już o stronie etycznej — jest to zwyczaj nader naganny, gdyż z trumien rozchodzą się wyziewy zabójcze. Ale co kraj, to obyczaj!

* * *

Gdyśmy wreszcie w zatoce Arkonie zarzucili kotwicę, wyszedłem na ląd dla oglądnięcia własnemi oczyma osady niemieckiej w Kiauczau. W 2 godzinach, któremi rozporządzałem, trudno było zwiedzić wszystko dokładnie, a tem mniej ocenić. Ale wrażenie ogólne odniosłem bardzo korzystne. Znać tu wytrwałość i zmysł kolonizacyjny, właściwy Niemcom. Okolica pusta, grunt gliniasty lub piasczysty, zapełnie pozbawiony roślinności. A przecież w ostatnich 2 latach zrobiono bardzo wiele. Roboty niwelacyjne są w toku. Przeprowadzono znakomitą kanalizacyę, chińską osadę Czyntau spalono, a na jej miejsce kazano Chińczykom pobudować porządne domy z kamienia, — słowem położono kamień węgielny pod ogromne miasto nowoczesne. Roboty nad otworzeniem wygodnej przystani postępują również szybkim krokiem. Stanęło też kilka fabryk, a główna stacya elektryczna zaopatrywa w światło całą osadę. Rząd niemiecki buduje kolej z Czyntau do Kiauczau, a podobno uzyskał nawet pozwolenie na dalsze linie, sięgające prawie po Pekin.

Siłę zbrojną osady stanowi oprócz t. zw. *Schutztruppen* głównie marynarka k o n n a. Brzmi to nieco śmiesznie, ale tak jest w istocie. Ażeby módz szybko bronić linii kolejowych i telegraficznych, zagrożonych nieraz przez podburzone tłumy, utworzono pułk artyleryi polowej, obsługiwany przez marynarzy. Każdą armatę ciągnie 6 silnych mułów, a na każdej parze siedzi majtek. Oprócz tego istnieje oddział marynarzy na koniach; ci w swych mundurach marynarskich i wysokich butach z ostrogami niezwykły przedstawiają widok. Zwiedziłem ich baraki i stajnie, które są nader porządnie urządzone i czysto utrzymywane.

Na razie podobno kolonia się nie opłaca, owszem wymaga ogromnych wkładów, ale spodziewają się, że z czasem po wykończeniu portu i zupełnem zbudowaniu miasta nietylko wyłożony grosz się wróci, ale i zysk będzie znaczny. Zresztą krótki czas pobytu nie pozwolił mi zebrać dat bardziej pozytywnych. Będę się starał to powetować, gdy w powrocie z Japonii zawinę w te strony na dłuższy pobyt.

* * *

Szangaj, 16. kwietnia. Jutro w południe opuszczam Szangaj na czas dłuższy. Święta spędziłem samotnie, nie wierząc prawie, że to dni tak uroczyste. Jedynie przyroda zdawała się współczuć ze mną. Po dżdżystych i wietrznych ostatnich dniach zimy nastał piękny czas wiosenny, dni chłodne, ale uśmiechnięte, słoneczne. Drzewa i łąki pokryły się świeżą

zielonością, woń balsamiczna napełnia powietrze. Były chwile, w których zdawało mi się, że jestem w naszym kochanym kraju; brakło tylko najbliższych, ażebym się czuł zupełnie szczęśliwym.

Jutro wyruszam w górę rzeki Jancego; niezmiernie się tem cieszę, bo zobaczę 1200 *km* dolnego biegu olbrzymiej rzeki, jednej z największych na świecie, jedną z najważniejszych dróg wodnych chińskich i wtargnę prawie do serca państwa „synów niebios".

(C. d. n.)

* * *

Wspomnienia ucznia wszechnicy warszawskiej
z roku 1830.

Jeszcze w miesiącu wrześniu 1830. r., zaraz po powrocie z wakacyi, wielu uczniów wszechnicy, obudzonych i wstrząśnionych wypadkami Zachodu, poczęło gromadzić się i ściślej wiązać z sobą. Nietylko rewolucya lipcowa, ale także świeży sąd sejmowy, pogrzeb ś. p. senatora Bielińskiego, a szczególniej silny i wytrwały duch Henryka Dąbrowskiego, do ostatniego tchu życia zupełnie oddanego Polsce, niewymownie działał na umysły młodzieńcze. Dwa szczególniej utworzyły się kółka, nieliczne co do osób, ale energiczne i wywierające niemały wpływ na współkolegów. Jedno z tych kółek zbierało się w mieszkaniu Jana Bartkowskiego, rodem z Działdowa z Prus Zach.; tam uczęszczali: Aleks. Liedtkie, Nap. Szymański, L. Gewartowski, St. Faliński, Hip. Rzewuski, podpisany i Kruszelnicki, ze szkoły podchorążych zaś Winc. Gancz, Mazowiecki, Dutkiewicz, Czernik. Drugie kółko zbierało się przy ul. Danielewiczowskiej, w dawnym gmachu biblioteki Załuskich, gdzie była rządowa drukarnia, na drugim dziedzińcu; tam mieszkali: Z. Niemojewski, W. Nasiorowski, M. Szwejcer, Ksaw. Nowicki, J. Łabęcki i kilku innych. W tem kółku zjawił się raz tylko Ludwik Wołowski dla dostania języka i raz także Rzewuski z artyleryi — zdaje mi się — Adam, którego młodzież pragnęła mieć naczelnym wodzem.

Dwa te kółka nie mogły pozostać długo w odosobnieniu; do jednego dążyły celu, jednym przejęte duchem. Pewnego dnia po 2 czy 3 z każdej strony zeszło się pod Kopernikiem i tam po krótkiej rozmowie postanowiono, żeby naprzód broń, którą już mieli, wypróbować i wprawić się w strzelanie, czego dopełniono w kilka dni potem. Zamożniejsi powyjeżdżali za rogatki, Dutkiewicz zaś poprowadził dwu na Foksal i tam do starego dębu, przyczepiwszy na nim kawałek papieru, strzelili kilkakrotnie, gdy wtem nadszedł ks. Woroniecki, pułkownik Konopolców, i prosił o zaprzestanie, ponieważ w pobliżu, w dolnem mieszkaniu, żona jego chora trwoży się strzałami. Zaprzestano natychmiast.

Już też w owym czasie — zdaje mi się — w pierwszych dniach października coraz więcej rozszerzano pogłoski, że wybuch nastąpi wkrótce; policya była czujniejszą, ale w naszem kółku nikt nie przypuszczał, żeby czuwał nad nami, każdego z nas najmniejszy ruch notował i donosił policyi — kolega nasz Kruszelnicki. Dla jakich przyczyn chciano rzecz przyspieszyć, nie wiem; dość, że dzień 18. października był dniem wyznaczonym. Wieczorem dosyć późno, bo na dworze było już ciemno, wyszło nas kilku uzbrojonych z mieszkania Bartkowskiego i niepewni, gdzieśmy się mieli zebrać, ciągnęliśmy od św. Krzyża Krakowskiem Przedmieściem aż ku Bernardynom. Czas był posępny, na dworze błotno, a kiedyśmy uszli dosyć daleko, dobiegł do nas W. Nasiorowski, oznajmiając, że jakieś wyższe kółka pragną odwlec wybuch do wiosny — dla bardzo ważnych powodów. Zniechęceni już od samego wyjścia napotykaniem różnych przeszkód, a jeszcze bardziej tem, że podchorążych z nami niebyło, rozeszliśmy się z rozpaczą w sercu, że już nam przyjdzie zginąć, nic nie zrobiwszy. Jednak po niejakim czasie uspokoiliśmy się i uczęszczali pilnie i prawidłowo na wykłady.

Około tego czasu W. Józefowicz wezwał mnie w imieniu kółka, w którem był Z. Niemojewski, ażebym obejrzał dokoła Belweder i zdał sprawę o rozstawieniu wart. Dosyć późnym wieczorem udaliśmy się tam. Dokoła było pusto, ledwie słabo lampy przyświecały. Na warcie stojących dojrzeliśmy tylko — zdaje mi się — dwu, opartych o budki swoje, i powróciliśmy do domu, nikogo więcej nie napotkawszy.

Ale już wówczas nie tak kółka, jak cała młodzież poczynała wrzeć coraz więcej i już nie w skrytości, ale jawnie zamierzała działać. I tak w pierwszych dniach listopada, jeden z uczniów wszechnicy (nazwiska nie pomnę) wezwał mnie w imieniu młodzieży, abym się udał z nim dla zamówienia mszy św. w rocznicę wyrznięcia Pragi. Dnia 3. t. m. we dwójkę udaliśmy się aż na koniec tego przedmieścia do kościółka, blizko rogatek, zwanego — jeśli się nie mylę — Loretańskim. Tam uprosiliśmy ks. wikarego, aby nazajutrz (4-go) raczył odprawić żał. nabożeństwo za poległych, a zakrystyan z tacką obszedł po kościele, a znajdzie dość na pokrycie obchodu. nazajutrz pomiędzy 10-tą a 11-tą młodzież zapełniła kościółek. Zapał jakiś, a zarazem spokój panował na tych twarzach. Kościelny przeszedł wśród młodzieży i zebrał dość znaczną sumę. Nikt nie mógł dać mniej, niż 5 zł. p.; kto nie miał, zapożyczał się od sąsiada, a jednak przeważały różowe papierki. Po skończeniu nabożeństwa mł dzież wyszła: pozostali na Pradze tylko ci dwaj, którzy zamówili obchód. Na moście wszyscy się skupili i postępowali w szeregach. Nadbiegł wówczas kapitan żandarmeryi, Jurgaszko, zawiadomiony zapóźno. Zelżony i podobno poturbowany, śpiesznie powrócił do w. księcia z raportem o tem, co mu się przytrafiło. Nazajutrz, piątego, zamówiono nabożeństwo u Kapucynów, ale nie z ramienia młodzieży i mała jej tam liczba była.

Podobne manifestacye spowodowały to, że rektor wszechnicy, ks. Szwejkowski, czy z własnej woli, czy z wyższego rozkazu, powołał do wielkiej auli uniwersytetu wszystkich uczniów. Sala była zapełniona Ksiądz rektor, którego uczniowie bardzo poważali dla jego charakteru prawego i sprawiedliwości i którego mowę, wypowiedzianą za czasów Księstwa Warszawskiego na poświęcenie orłów, wielu umiało na pamięć, przedstawił w swem przemówieniu stan Król. Polskiego od r. 1815. Wspomniał o pomnożeniu się ludności, o pobudowaniu dróg, kanałów i mostów, o wzrastającym dobrobycie, o podniesieniu przemysłu i rolnictwa, założeniu wszechnicy, uwolnieniu młodzieży od rekruta i otwartej dla niej karyerze nietylko w Król. Polskiem, ale nadto w całem cesarstwie rosyjskiem. Sposób, w jaki to mówił, dawał wiele do myślenia. Uczniowie rozeszli się zaniepokojeni.

Już nazajutrz, 9. listopada, bedele wszechnicy wzywali do rektora każdego z osobna, bardzo wcześnie i tylko z kółka Bartkowskiego, lub takich, którzy stykali się z nim przypadkowo. Około 9-tej zrana stawiłem się u ks. rektora; wprowadzono mnie do jego sypialni. Tam ks. rektor wskazał mi krzesło wzmiankując, że ma przeszło 60 pytań, na które muszę odpowiedzieć, a on odpowiedzi musi spisać. Przesłuchanie trwało długo. Pozwolono mi nareszcie wyjść do kancelaryi uniwersyteckiej. Przechodząc przez pokoje, widziałem A. Liedtkiego, badanego przez prof. L. Osińskiego; innych kolegów przesłuchiwali dziekani. Sekretarz wszechnicy, K. Brodziński, postarał się o obiad dla zmęczonych i zgłodniałych. Wszyscy spożyli go razem i wspólną rozmową pokrzepili się nieco na duchu. Już nas nie wypuszczono stamtąd. Wieczorem w wielkim pokoju obok kancelaryi zebrali się rektor, wszyscy dziekani i cała kuratorya. Tam badano każdego z osobna, a Kruszelnicki wypowiadał nam w oczy, co który mówił, co robił, gdzie i po co wychodził. Potem nadszedł rozkaz z góry, żeby nas pozamykano każdego osobno. Poumieszczano wszystkich kolegów w salach uniwersyteckich. Ja pozostałem w pokoju rektora, który raczył przysłać mi własny swój płaszcz dla przykrycia się.

(Dok. nast.) *Adam Piwowarski.*

Z całej Polski.

(Drożyzna oświaty w zaborze moskiewskim. — Polemika a młodzież warszawska. — Zarządzenia ministeryalne w Poznańskiem. — Pacierz niemiecki i polski. — Niemcy na Bukowinie. — Jubileusz prof. Nehringa. — Nowy arcybiskup lwowski. — Ze statystyki szkolnej — Zmarli).

Oświata w całem cesarstwie rosyjskiem, a więc i w ziemiach polskich, jest bardzo droga, gdyż czesne w szkołach średnich wynosi około 70 rs. (= 172 *k.*), a w szkołach wyższych przeszło 100 rs. (= 254 *k.*) Łatwo zrozumieć, ile cierpi na tem młodzież uboższa, tembardziej, że liczba uczni zarówno w szkołach średnich, jak i wyższych jest ograniczona, a opóźnienie w uiszczeniu opłaty zamyka nieodwołalnie drzwi szkoły. W połowie października b. r. upłynął ostateczny termin wnoszenia opłaty szkolnej na wszechnicy warszawskiej, przyczem 258 słuchaczy, czyli — jak w Królestwie mówią — studentów, usunięto z uni-

wersytetu, bo nie zapłacili czesnego. Tak więc, gdy rząd pruski narzuca nam gwałtem oświatę niemiecką, a bezwzględnie tępi polską, rząd moskiewski także nie chce pozostać w tyle i utrudnia szerzenie wiedzy i wykształcenia, jak może.

W prawdzie rok rocznie zjawisko usuwania słuchaczy, którzy nie uiścili opłaty, powtarza się w Warszawie, ale nigdy przedtem nie towarzyszył mu inny, który rzuca cień przykry na społeczeństwo. Dotychczas publiczność drogą koncertów, przedstawień itp. przedsiębiorstw składała sumę pokaźną, potrzebną na pokrycie czesnego. Dziś biedakom zamknięto wrota wszechnicy, a społeczeństwo ciska na nich kamień potępienia z łamów dziennikarskich. Co więcej, z prasy warszawskiej polemika za i przeciw młodzieży warszawskiej przeniosła się też na grunt lwowski — najniestosowniej, bo obwinieni z powodów cenzuralnych nie dostaną pism oskarżycielskich do rąk i nie będą mogli odpowiedzieć na nie należytą obroną.

Nazwaliśmy zaś objaw ów przykrym, bo w chwili, gdy potrzeba działać i użyczać poparcia pieniężnego, bawić się w moralizatora i oskarżyciela wygląda tak, jakby społeczeństwu sprzykrzył się obowiązek jego wobec młodzieży i swoje zaniedbanie chciał usprawiedliwić obwinianiem ogółu studentów o błędy jednostek.

Wspomnieliśmy w jednym z numerów dawniejszych o zjeździe ministrów pruskich w Poznaniu *), gdzie zastanawiano się nad sposobami zgnębienia polskości w zaborze pruskim. Jednym ze środków, wiodących do tego celu, będzie rzekomo (wedle dzienników berlińskich) ograniczenie prasy polskiej, a nawet w razie potrzeby zawieszenie wszystkich pism polskich, dalej zaś zamknięcie teatru polskiego w Poznaniu, który ostatnimi czasy rozwija się coraz piękniej i pomyślniej i za niedługo będzie święcić dwudziestopięcioletni jubileusz istnienia swego. Nawet pisma niemieckie uważają te pomysły ministeryalne za barbarzyńskie.

Ze stosunków w Poznańskiem zapisuję jeszcze obrazek nader charakterystyczny. Chłopak wiejski pasł bydło i trzaskał z bata, śpiewając wesołą piosenkę. „Czy ty, kochanie, umiesz pacierz?“ spytał go ksiądz proboszcz, przechodząc ścieżką obok. — „Jakżebym nie umiał! Umiem i po niemiecku“. I chłopak bez zająknienia, w czapce na głowie, nie odkładając bata, odklepał „*Vater unser*“ od początku do końca. „Dobrze, a teraz zmów po polsku!“ powiedział ksiądz proboszcz. Wtedy chłopiec zdjął czapkę, odłożył bat, ukląkł i pobożnie odmówił „Ojcze nasz“. Tak to Pana Boga chwalić można tylko w swoim języku, a Niemcy nie chcą tego zrozumieć.

Z Czerniowiec nadeszła w połowie z. m. wiadomość, że Niemcy na Bukowinie, którzy stanowią tam ledwie $^1/_{10}$ całej ludności, domagają się gwałtem utworzenia w stolicy tego kraju biskupstwa rzymsko-katolickiego. Dotychczas Bukowina należała do archidyecezyi lwowskiej i słusznie, bo rdzeń ludności katolickiej na Bukowinie stanowią Polacy.

Niemcy starają się o biskupstwo to, bo się spodziewają, że biskupem czerniowieckim zostałby Niemiec. Byłoby to, rzecz prosta, groźne pod względem narodowym dla nas, a jest tem dziwniejszem, że projekt wychodzi od Niemców . . . protestantów! Tak więc, powtarzamy, cośmy pisali już tu niejednokrotnie, że i w Austryi nie jesteśmy bezpieczni przed zniemczeniem. Toteż winniśmy mieć się na baczności!

Przedmiotem licznych owacyi z końcem październik był znakomity dziejopisarz piśmiennictwa naszego prof. Władysław Nehring. Urodzony w r. 1830. w Klecku w Poznańskiem, jest profesorem piśmiennictwa i językoznawstwa słowiańskiego na wszechnicy wrocławskiej, oraz autorem cennych rozpraw naukowych, z których najważniejsze są: „Studya literackie“ (Poznań 1884). o Kochanowskim, Morsztynie, Krasickim, Mickiewiczu i t. d., dalej „Altpolnische Sprachdenkmäler“ (Berlin 1886.) i wiele innych, wymienionych w t. I. „Prac filologicznych“ (Warsz.) i w t. II. „Podręcznika dla samouków“.

Nietylko jednak jako uczony i wychowawca szeregu badaczy, którzy już dziś zapisali się chlubnie na kartach piśmiennictwa naszego (między nimi też redektor obecny warszawskiego *Ateneum*, I. Chrzanowski), cieszy się prof. Nehring uznaniem u nas i u obcych, lecz także jako człowiek o niezłomnej woli, charakterze nieskazitelnym i pracy wytrwałej. Cześć mu!

Arcybiskupem lwowskim obrz. rzymsko-katol. po ś. p. ks. Seweryna Morawskiego został obecnie dotychczasowy profesor teologii na wszechnicy lwowskiej, ks. dr. Józef Bilczewski. Nominat był rektorem wszechnicy w b. r. szkolnym i podczas niedawnej uroczystości otwarcia roku szkolnego wypowiedział piękną mowę, którą zwrócił na siebie powszechną uwagę, a w której stwierdził wszechstronny postęp na polu nauki w w. XIX. z radością, cechującą prawdziwego miłośnika wiedzy.

Wpisy na wszechnicach lwowskiej i krakowskiej ukończono i dziś możemy podać cyfry następujące. Pierwsza liczy 1805 słuchaczy (nie licząc farmaceutów), druga 1243 (wraz z farmaceutami i studyum rolniczem). Najwięcej — jak zwykle — wpisało się „na prawa“ (L. 1105, K. 615), drugie miejsce przypada we Lwowie teologii (320), ponieważ mamy tu oba obrządki reprezentowane; w Krakowie natomiast górą filozofia (365 słuch., L. ledwie połowa tej liczby). Wydział lekarski we Lwowie liczy 124, w Krakowie 151 sł. Charakterystyczna rzecz, że kobiety, którym otwarto ostatecznie podwoje szkół wyższych, nad Pełtwią podążyły tylko na filozofię (71, z tego tylko 3 zwycz.!), nad Wisłą 36 tylko na ten wydział, a aż 31 (z tego 3 tylko nadzw.) na lekarski, wreszcie 3 na kursy rolnicze.

Na koniec zachowaliśmy sobie wieści smutne, których niestety rok bieżący nie szczędzi nam wcale. Zmarli w jednym dniu — na obczyźnie jeden, na placówce drugi — dwaj ludzie, z których pierwszy zabłysnął jak meteor nietylko na ciasnym widnokręgu

*) Prw. nr. 20. s. 234., gdzie mylnie wydrukowano nazwisko dzielnej Polki, która za nauczanie języka polskiego przecierpiała 5 dni więzienia: Komankowska; zwie się bowiem J. Omańkowska.

naszym galicyjskim, lecz i na szerszej widowni życia politycznego i społecznego, tworząc podwaliny dlaś rozwoju ekonomicznego kraju, — zabłysnął i z asł, nie dokonawszy tego, czego pragnął, tak, jak pragnął. Widocznie wziął na swe barki ciężar „ponad siły“ — jak beletrystyczna obrona tego niepospolitego człowieka z pod pióra Sewera Maciejowskiego stara się wykazać. Drugi wtórował swemu mistrzowi i przyjacielowi dzielnie, dokopując się skarbów na Podkarpaciu; ale gdy przyszło ratować druha, złożył wszystko w ofierze i z podziwienia godną wytrwałością i swobodą umysłu, zakasawszy rękawy, rozpoczął pracę na nowo. Niestety zginął niespodziewanie. I tak spoczęli w mogile równocześnie Stanisław Szczepanowski i Kazimierz Odrzywolski, obaj niepospolici, obaj nieszczęśliwi. Co w nich było dobrego, zachowajmy w pamięci i naśladujmy, nad resztą śmierć rozpostarła dobroczynny całun zapomnienia!

W ostatniej chwili otwarła się jeszcze jedna mogiła W nrze poprzednim „Przyjaciela“ omówiono dwie książki pisarza, który z szczególnem zamiłowaniem zajmował się dziejami porozbiorowemi Polski. Nie spodziewał się krytyk, że śmierć zabierze autora „Opowiadań historycznych“, „Dziejów teatru lwowskiego“, „Życia za wolność“, i tylu innych wspomnień i obrazków z naszej doli i niedoli — przedwcześnie. A jednak... Stanisław Schnür-Pepłowski nie żyje. *K. L. W.*

Zagadnienia naukowe.

Nr. 146. Którzy mężowie byli naczelnymi wodzami w walce o niepodległość Ojczyzny w. l. 1830 do 1831.?

Nr. 147. Którzy poeci odznaczyli się u nas w dziedzinie sielankopisarstwa (bukolik)?

Nr. 148. Co to jest kreozot, jakie j go właściwości i pożytek?

Nr. 149. Pochodzenie wyrazu „autograf“ i znaczenie tej rzeczy w życiu tak jednostek, jak grup ludzkich.

Nr. 150. Co to jest „noc belwederska“ — skąd nazwa?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych: Matlakowskiego „Wspomnienia z Zakopanego“ i Kukuczyna „Obrazki“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 29. b. m. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 141–5.

Nr. 141. *El dorado (hombre)* po hiszp. = mąż pozłacany. Tak w Europie XVI. nazywano bajecznego władcę kraju południowo-ameryk., Kundynamarka, rzekomo tak bogatego, iż nawet szaty jego pokrywał proszek złoty. Potem zwano tak kraj jego, niby okolicę jeziora Parimego w Wenezueli, z powodu urojonych jego bogactw cel wypraw awanturniczych. Jako przenośnia poetycka zatem „eldorado“ oznacza krainę rozkoszy, niby raj ziemski.

Nr. 142. Nazwę marszałka przejęliśmy z niem., gdzie wyr. ten brzmiał w starogórniem. *marah* (dziś Mähre, koń) *skalk* (dziś Schalk, suga), w średniogn. *marschalk*, a więc właść. „parobek od koni“, potem nadzorca stajni i t d., wreszcie urzędnik dworski, krajowy, wojskowy i t. d. o wielkiem znaczeniu.

Nr, 143. Najwybitniejsi myśliciele polscy; Jan Śniadecki, Józ. Gołuchowski, Hoene-Wroński, B. Trentowski, A. Cieszkowski. K. Libelt, J. Kremer, J. Ochorowicz, A. Mahrburg, H. Struve, S. ks Pawlicki, M. ks. Morawski. W. Lutosławski, M. Straszewski, A. Raciborski, K. Twardowsui.

Nr. 144. Żwierzęta dzielą się na 1) ciepło- i czerwono-krwiste (ssawce, ptaki) 2) zimno- i czerw. kr. (gady, płazy, ryby), 3) biało- i zimno-kr. (członkonogi) 4) bezbarwno lub biało, a zimnokrwiste, (robaki, mięczaki, szkarłupnie, jamochłany. (*Filos*).

Nr. 145. Zwłoki Kościuszki spoczęły między grobowcami królów polskich, w podziemiach katedry na Wawelu, serce znajdowało się długi czas we Włoszech, skąd uroczyście przewieziono je wr. 1897. do Muzeum narod. w Raperswylu. Ku czci K. rodacy wznieśli mogiłę jego imienia pod Krakowem. Pomniki bohatera z pod Racławic wznoszą się w mniejszych miastach Galicyi; Kraków, gdzie w rynku na południ.-wschodniej połaci znajduje się kamień pamiątkowy przysięgi, złożonej przez Kościuszkę jako wodza naczelnego w dniu 24. marca 1794., otrzymają pomnik wkrótce; Amerykanie uczcili go pomnikami w Waszyngtonie i Czykagu (piszą: Washington, Chicago), Szwajcarzy pomikiem i tablicą w Solurze, gdzie też zmarł w domu Zeltnerów. W Paryżu znajduje się jego szabla, po innych muzeach polskich drobniejsze pamiątki (mundur, papiery listy itd.). Wreszcie imię K. nosi też pewien szczyt górski w Australii.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 13. b. m

(wszystkie): Auditor (znakomicie), Filos, Pordes, Saulida, Vietor (świetnie); (41—3, 45) Bloch, Cetnarski, Masiuk. Wiktor; (71—3) Otfinowski, Szreniawa (b. dobrze); (41, 44) Galwani.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Wiktor (Strumpfa „Obrazy kaukazu“ i Masiuk (Rudnickiej „Chemię“.

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Do wszyskiech Czytelników, List głównego pisarza francuskiego, Anatola Leroy-Beaulie'go, „O przeszłości narodu polskiego“ omówił krótko Kropka w jednej z „Pogadanek“ (w nrze 3. b. r.). Ponieważ

jednak warto poznać go w całości dla pokrzepienia serca i zachęty do dalszej pracy dla urzeczywistnienia idei, w nim zawartych, przeto dołączamy do nru bieżącego broszurkę, wydaną właśnie we Lwowie p. n. „L'avenir de la nationalité polonaise“, a podającą list ów w całej rozciągłości i w oryginale francuskim. Chyba każdy z Czytelników naszych — jeśli nie sam, to z obcą pomocą siostry, brata, kolegi... — przeczyta rzecz tę skwapliwie i z pożytkiem. Niech po przeczytaniu udzieli jej innym, bo bo warta rozpowszechnienia jak najszerszego!

Do zbieraczy kart z widokami. Przypominamy wezwanie do przesłania adresów dokładnych w jak najkrótszym czasie, ażebyśmy mogli je ogłosić w osobnej rubryce dla użytku tych, którzy pragną wymiany.

Auditor. Odpowiedź na zag. 143. to cała rozprawa! Brawo! Przejrzymy jeszcze raz dokładnie i poprawimy rzeczowo i stylistycznie stosownie do życzenia, nie prędzej jednak, aż po 1. grudnia, zwrócimy rpis. „Unikać“ rządzi dopełniaczem. Tłumaczenie było zbędne, bo z jednej strony nie czyniliśmy wyrzutów, tylko pytali, z drugiej nawet tomy listów i odpowiedzi nie przerażą nas, bo przecie chodzi nam o jak najpełniejszą wymianę myśli. *Galvani.* O promieniach Röntgena oprócz Biernackiego: 1) Z. Korosteński, Ciemne promienie światła; 2) K. Georg, Röntgen-Strahlen; 3) Lenard, Kathodenstrahlen; 4) Jedliczka, Fortschritte der Röntgenstrahlen. O wynalazkach Bequerela, Marconiego i t d. można się dowiedzieć szczegółów z czasopism „Zeitschrift für Physik“ lub z „Wszechświata“, wydawanego w Warszawie. Za popieranie pisma dzięki serdeczne. Na różne sądy o „Przyjacielu“ nie zważamy — pochwały, których nie brak nam wcale, nie uśpią nas i nia rozleniwią tak samo, jak szyderstwa i krytyki nie zrażą; mamy bowiem jasny cel przed sobą: być prawdziwymi przyjaciółmi młodzieży, nie pochlebcami ani uwodzicielami. *T. O. T.* Poczekamy chętnie. *Annij Pokrasień.* Na listę wpisaliśmy, ale jeszcze nie ogłosimy, bo czekamy na większą liczbę, a tymczasem mimo wezwania zgłoszenia nie wpłynęły w czas. I my nie rozumiemy przyczyny; obraz Rubensa wysłaliśmy stanowczo. Ale też wina szan. korespondenta. W razie bowiem nienadejścia nru lub dodatku — a najdalej 18-go względnie 3-go każdego miesiąca powinny być na miejscu — należy upomnieć się o to bezpłatną kartą, zwaną reklamacyą (wyraz ten należy w tym celu umieścić na czele karty lub listu otwartego). Wyślemy raz jeszcze z tym nrem. *Saulida.* Są to nry 3, 7, i 9—10. Można je nabyć, ale tylko pe zwykłej cenie, bo tym sposobem czyni się jeden egzemplarz całego rocznika niezupełnym. *Servus.* Cieszy nas to, że „Chemia codziennego życia“ podobała się sz. przedpłacicielowi. Numer okaz. wysłano podług wskazówki. *Sflnks.* Myślicieł, mędrzec — to polskie nazwy filozofa. O tem, co to jest filozofia, jaki jej zakres itd., poucza każda encyklopedya; tu wyłuszczać łego nie podobna, zresztą prw. początek art. „Rozmaite typy światopoglądu etycznego“. Pomyślimy też o odpowiednim artykule w r. 1901. Epigoni, jak nazwa grecka wskazuje, są to „potomkowie“; specyalnie w sztuce, nauce itd., używą się tej nazwy z odcieniem niepochlebnym jako o naśladowcach, którzy nie dorośli mistrzów i wzorów swoich. Noworomantykaml zowią dzisiejszych poetów, którzy wskrzesić chcą hasła romantyzmu. Przykładem epigona i noworomantyka w jednej osobie może być L. Rydel. Prus nie jest ani jednym ani drugim, jeno wielkim powieściopisarzem, który jest sobą i stanowi dla siebie etykietę. Boć wszystkie podobne nazwy to tylko etykiety, które mają cel praktyczny na oku: określenie danej rzeczy jednym lub paru wyrazami. *Szreniawa.* Wydanie pomnikowe dzieł J. Kochanowskiego (Warsz. 1884—98) dotychczas 3 tomy dzieł i cz. I. tomu IV. (życiorys), cz. II-a w druku; cena całości 39 *k.* Tarnowskiego „Jan Kochanowski“ (Krak. 1888.) 6 *k.* O Bace później. Spis wydawnictw swoich zarząd „Macierzy polskiej“ wysyła na żądanie. Poprosimy. Za życzenia dzięki. *Vietor.* Nie rozumiemy, jak księgarnie mogą wyzyskiwać przy zamawianiu książek, wydanych poza Galicyą. Każda bowiem księgarnia ma prawo do pobrania tylko takiej sumy, jaką oznaczono na książce, lub za jaką sprzedają ją w miejscu wydania; ale w takim razie trzeba czekać ze 2 lub więcej tygodni, aż księgarz, niemający książki na składzie, sprowadzi ją np. z Lipska. Gdy zaś kto chce mieć dzieło pewne zagraniczne jak najszybciej, musi dopłacić do jego ceny koszt listu, czy też telegramu i przesyłki.

OD ADMINISTRACYI.

Nowi przedpłaciciele mogą otrzymać nry 1—18. (kwartał I—III.) b. r. wraz z 3 dodatkami bezpłatnymi (odbitkami obrazów Rubensa i Van Dycka, oraz mapą W. Ks. Poznańskiego) za dopłatą 3 *k* 50 *h* (zamiast 4 *k*) do końca b. m. Nieliczne egzemplarze rocznika I. (1899) są do nabycia w administracyi pa cenie 4 *k* 50 *h* (w księgarniach po 5 *k*); mamy też nieliczny zapas poematu J. Vrchlickiego „Legendy o św. Prokopie“, który sprzedajemy naszym przedpłacicielom po *1 k* 50 *h* (cena księg. 2 *k*).

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 22. *Tadeusz Pini,* Obrazki miejskie Wiktora Gomulickiego. — ***, Listy z podróży na Wschód dalek (C. d.) — *Adam Piwowarski,* Wspomnienia ucznia wszechnicy warszawskiej z r. 1830. — *K. L. W.,* Z całej Polski. — Zagadnienia naukowe, Skrzynka pocztowa Redakcyi i Administracyi. — Ryciny: *Piotr Stachiewicz,* Przed bitwą. Autograf wiersza Adama Mickiewicza p. n. „Podróżni“.

Dodatek bezpłatny: A. Leroy-Beaulieu. L'avenir de la nationalité polonaise.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pl. Bernardyński 7.

We Lwowie 1. grudnia 1900.



Rok II.

Nr. 23.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna;
Sto razy wrogów zachwiana potęgą,
Skończy zwycięstwem!

A. Mickiewicz.

Wspomnienia ucznia wszechnicy warszawskiej z roku 1830.

(Dokończenie).

Ostatniego dnia w tym tygodniu czytałem przy świeczce jakieś dziełko, wypożyczone mi przez ks. rektora, gdy wtem, zbliżywszy się do okna, ujrzałem, że w celach moich kolegów światła pogasły. Sądziłem, że ułożyli się do snu, i sam się też położyłem. Wtem drzwi się otwarły, i wszedł urzędnik policyjny z kilkoma pachołkami i oświadczył, że musimy pójść na wszechnicę. Ubierając się zauważyłem, iż zabierają pościel i wszystko, co miałem, a przeszedłszy dziedziniec i bramę, tuż przed nią spostrzegłem dorożkę. Zrobiłem uwagę, że jeśli udajemy się na wszechnicę, to jest tak blizko, że nie potrzeba dorożki. „Taki nakaz“ — odpowiedziano i wsadzono mię do powozu. Ale zamiast na wszechnicę wieziono mię wokoło aż na Leszno. Na tej ulicy raz tylko byłem po przybyciu do Warszawy, w sierpniu czy wrześniu 1829. r., a gdym przechodził nią, taki niepokój dziwny mię opanował, że ani razu już potem nie zapuszczałem się w tę stronę. Poznałem ją po jej samotności. Dorożka stanęła przed bramą. Otwarto. Zaledwie za nią stanąłem, drzwi się zatrzasły. Gdzie się obrócić, nie wiedziałem. Podszedłem jednak parę kroków, gdy z jednej i drugiej strony odezwały się głosy: „Kto idzie?“ Odpowiedziałem, że to ja idę, ale nie wiem, gdzie. Dopiero zbiegł ktoś ze schodów i rzekł: „A! to nr. 18. — prosimy“. Dowiedziałem się więc, że się nazywam nr. 18., i za prowadzono mnie pod ten numer. Nadszedł kapitan Niewodowski, komendant więzienia, kazał mi pooddawać wszystko, co miałem, zapisał to i życzył mi dobrej nocy. Izba była znacznie większą od tej, w której siedziałem

u św. Krzyża, ale okna zakratowane, a na zewnątrz pokryte koszem tak, że światło dochodziło tylko z góry.

Zaraz po zamknięciu usłyszałem głosy i otwieranie izby sąsiedniej, ale dla wrzawy nie poznałem, kogo tam wprowadzono. Dopiero w nocy bardzo późno usłyszałem pukanie tam, gdzie łóżko stało. Pukałem i ja, ale nie znając abecadła więziennego, przestawszy zawołałem półgłosem: „Kto ty jesteś?“ i wymówiłem swoje nazwisko, a sąsiad swoje. Był to Ksawery Nowicki. A więc i drugie kółko było już szarpnięte; z przeciwnej bowiem strony siedział Wołowski, za Nowickim Hip. Rzewuski, a dalej Faliński.

Ośm dni przedtem, gdym jeszcze siedział w sali mineralogicznej, Leon Górzeński zawiadomił mnie, że koledzy jego pragną, ażebym uciekł, że mi ułatwią wyjście z Warszawy, a na drogę zbiorą 2.000 zł.; ale już go potem nie zobaczyłem, pewnie go uwięziono. Ostatni tydzień pobytu w więzieniu przeszedł dosyć spokojnie; raz tylko odwiedził nas lekarz naczelny w towarzystwie kilku wojskowych i po wybadaniu stanu zdrowia pożegnał.

Dzień to był pamiętny, ale i straszny, ten dzień 29. listopada. Wieczorem na dworze panowała cisza wielka, zdala słychać było najlżejsze kroki zabłąkanego w te strony przechodnia. Nagle usłyszałem trzask w niewielkiem oddaleniu; coby to znaczyło, nie mogłem odgadnąć. Naraz ze wszystkich cel koledzy poczęli dzwonić, sądzili bowiem, że to pożar i że klasztor się pali. Stanąłem blizko drzwi i usłyszałem, jak żołnierze mówili między sobą głosem cichym, że kapitan kazał strzelać, gdyby się więźniowie dobijali. Wkrótce potem już bardzo zblizka ozwały się okrzyki: „Do broni koledzy! Do broni!“ i przypuszczono szturm do bramy. Gdy już coraz gęstsze strzały poczęły padać z ulicy, a żołnierze odpowiadali z więzienia, rozpacz mnie opanowała i bez namysłu skoczyłem pędem od okna do drzwi, a potrzaskawszy je, wybiegłem na korytarz. Porwałem łupkę drzewa, która leżała przed piecem, i wybiłem drzwi Wołowskiemu, Nowickiemu i Rzewuskiemu. Ale już i bramę więzienia otwarto; wpadali na korytarze ludzie, wybijając drzwi innym kolegom. Wyszliśmy. Kapitan Niewodowski otrzymał ranę w ramię. Woronicz Juliusz, który dobijał się do bramy wraz z rzeźnikami, był rannym w bok. Kobieta jakaś, która mieszkała naprzeciw i jedna tylko w Warszawie widziała, jak nas zwożono do więzienia, dostała kulą w brzuch i padła przed bramą. Trzask, który słyszeliśmy w więzieniu, było to starcie się 4. pułku z Wołyńcami; tam zginął, na czele pułku rosyjskiego, polski jenerał Blumer!

Kiedyśmy wychodzili z bramy więzienia, ktoś nam powiedział, że Wołyńcy przecinają nam drogę do miasta. Dlatego kol. Szymański, zobaczywszy oddział wojska, który stał w poprzek ulicy, chciał go wyminąć i począł biedz. Jenerał Stan. Potocki ze swego konia zawołał wtedy do żandarma: „Goń tego pana!“ Ten, dopadłszy Szymańskiego, ciął go pałaszem w kark. Zrobiła się wrzawa. Jam także pędził, ażeby pomścić kolegę, gdy wtem oficer, który dowodził oddziałem, zatrzymał mnie i rzekł: „To nie żandarm winien, lecz jenerał; tak dłużej trwać nie może“. Mówił mi zarazem, że wysłał oddział żołnierzy celem uwolnienia nas, ale za późno. Dlatego stało się wiele złego.

Stąd pobiegłem do arsenału. Ciemno było. Wyniesiono mi karabin i pałasz. Udałem się natychmiast na Krakowskie-Przedmieście, gdzie zebrało się nas kilkunastu, pomiędzy innymi kol. Dworzaczek Edward i żołnierz od weteranów. Poszliśmy na plac Saski, gdzie jak nas zapewniano — mieli być więzionymi na odwachu wojskowym koledzy nasi podchorążowie. Uderzyliśmy we drzwi kolbami, otwarły się nagle i 5 czy 6 bagnetów najeżyło się ku nam. Tak samo i my uderzaliśmy swoimi bagnetami w ciemności. Drzwi się zatrzasły. W tej chwili na placu Saskim usłyszeliśmy kroki piechoty i głos: „Kto idzie? Hasło!“ Powiedzieliśmy hasło swoje — był to wyraz „wolność“ i jakiś drugi. Dano do nas ognia — wszystko pierzchło. Pozostali E. Dworzaczek, weteran i ja. Weteran odstrzeliwał się, bo miał ładunki, my nie. Ale już w Warszawie wojsko działało, był pewien kierunek, pewien plan; nam więc należało łączyć się z nimi i spełniać, co polecono.

W dwa dni potem cała młodzież zebrała się na Lesznie i tam obozowała. Razem z nią byli profesorowie Krystyn Lach Szyrma i Józef Hube, a przyłączyło się do niej dosyć literatów i innych osób. Podzielono ją na kompanie, a młodzież sama wybierała sobie komendantów kompanii. Dnia 3. grudnia we-

zwano 100 ochotników do zajęcia Modlina. Ruszyliśmy więc nazajutrz wraz z kilku kompaniami piechoty pod dowództwem pułkownika kwatermistrzowstwa Chrzanowskiego; inną stroną zabiegał z kawaleryą jen. Kicki. W Modlinie znajdował się garnizonem oddział kirasyerów; ten groził zniszczeniem miasta, a było tam wielu urzędników i wojskowych polskich. Nim doszliśmy do twierdzy, wysłano stamtąd kap. Szulca, Polaka, i jakiegoś oficera od huzarów z oświadczeniem, że bramy są otwarte, a proszą tylko o poręczenie własności wojskowych rosyjskich, co też nastąpiło. Późno dostaliśmy się do twierdzy. Wezwano nas, ażebyśmy wysłali kilkunastu z pośród siebie celem zabrania żywności. Tem zakłopotani, prosiliśmy, aby nas przyłączono do piechoty, a żywność naszą żołnierze ugotowali w kociołkach. „A to bieda z tymi akademikami!“ rzekł kapitan. „Więc inaczej z wami zrobimy! rozdzielimy was na kwatery i tam was pożywią“.

Dwaj z nas dostali się do jakiegoś urzędnika wojskowego. Ten zapytał nas przy wieczerzy: „Cobyście panowie zrobili, gdybyście znaleźli Kruszelnickiego? – „Rzecz bardzo prosta“, — odpowiedziałem — „jako zdrajca i szpieg poniósłby karę“. Zobaczywszy kwaśne twarze gospodarstwa, nie miałem więc już ochoty do jedzenia. Nazajutrz, wcześnie bardzo, opuściłem ten dom i wyszedłem na rynek. Tam spotkałem Bartkowskiego i powiedziałem mu, co mi się zdarzyło. Rzekł do mnie: „Pewnieś głodny? Chodź na moją kwaterę, tam stół zastawiony“. Poszedłem. Gospodarz w mundurze — zdaje mi się — lekarza wojskowego zachęcał do stołu, ale miał twarz bardzo smętną i co chwila zaglądał do drugiego pokoju, gdziem spostrzegł zapłakaną kobietę z załamanemi rękoma. „Co to znaczy?“ spytałem Bartkowskiego. — „Nie wiesz, gdzie jesteś? To rodzice Kruszelnickiego“. Wybiegłem, nie chcąc już niczego pożywać, i już się nie pytałem, gdzieby się ten zdrajca ukrywał.

Następnie wróciliśmy do Warszawy, gdzie się rozpoczynały rządy jen. Chłopickiego.

Adam Piwowarski.



LISTY

z podróży na Wschód daleki.

(Ciąg dalszy).

Na Jancem 23. kwietnia. Z Szangaju wypłynęliśmy dnia 18. b. m. Około szóstej wieczorem byliśmy już na kotwicy o kilkanaście mil od ujścia Jancekianu. Podróżujemy bowiem tylko w dzień ze względu na naszego pilota, który po trudach dziennych musi w nocy odpoczywać. Statki, którym zależy na pośpiechu, biorą dwu pilotów, nam wystarczał jeden zupełnie. Jest to okazały Duńczyk, władający doskonale językiem niemieckim, znakomity przewodnik, gdyż pełni swoją funkcyę już od r. 1866. Rzekę zna jak własną kieszeń i oryentuje się na niej znakomicie bez mapy. Bez pilota niepodobna puszczać się w taką podróż, ponieważ rzeka zmienia często swoje koryto, a wskutek tego mapy nie mogą być dokładnemi.

Podróż była początkowo dosyć jednostajną. Ujście olbrzymiej rzeki szeroko rozlane, zamknięte dwiema wielkiemi i kilku mniejszemi wyspami, brzegi nizkie, porośnięte szuwarem, tu i ówdzie wioska chińska, kilka nędznych lepianek, dokoła uprawne pola lub grupa drzew.

Dopiero koło Kianjinu, gdzie zatrzymaliśmy się dnia następnego, budziły brzegi rzeki więcej zajęcia. Zielone pagórki urozmaicają tu już scenerye nadrzeczną. Kianjin jest widocznie ważnym punktem strategicznym, gdyż liczne forty, po europejsku urządzone, strzegą dostępu w górę rzeki.

W drodze musiałem zastanawiać się w podobny sposób, jak przed kiku laty Sienkiewicz na Morzu Czerwonem.

Mimowolnie nasuwa się pytanie, dlaczego rzekę tę (Jance) nazwano „błękitną“, skoro jej wody są tak żółte, jak fale Wisły w czasie powodzi. Królowa rzek chińskich wije się, dzieli na ramiona, tworzy liczne wyspy i wysepki, z których najpiękniejszą jest t. zw. *Silver Island* (Wyspa srebrna) koło Czynkianu. Koło niej znajduje się „Skała kormoranów“, kończasta biała rafa, tak nazwana, ponieważ ją zamieszkują liczne kruki morskie.

Do Czynkianu zawinęliśmy 20. b. m. Miasto, zbudowane na prawym brzegu rzeki u stóp stromych, zielonością pokrytych pa-

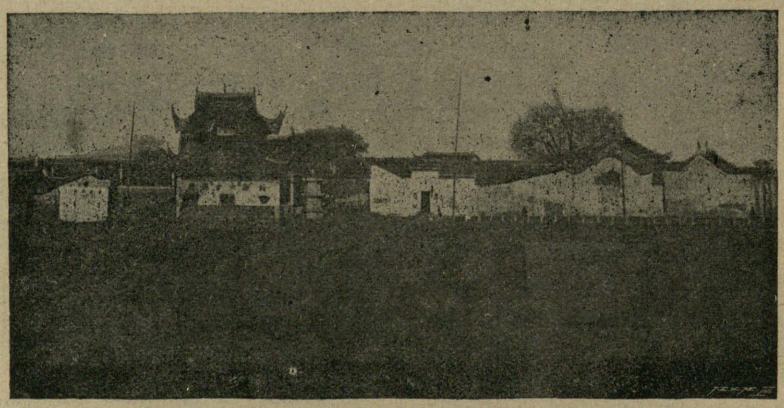
górków, jest najbrudniejszem z miast chińskich, jakie widziałem dotychczas. Domy nizkie, drewniane, ulice wązkie brudne i cuchnące. Widzieliśmy, jak trup ludzki leżał na środku ulicy, przykryty tylko słomianą matą; o usunięcie go nikt się nie troszczył. Opowiadano mi, że niedawno temu umarł nagle jakiś żebrak na ulicy. Ciało leżało tam, aż uległo rozkładowi; wtedy wreszcie jako nawóz wywieziono je na pole. Nie wiem, czy Chińczycy nos noszą tylko dla ozdoby, ale to pewna, że zmysłu powonienia brak im zupełnie. Zważywszy dalej, że „syn państwa środka“ boi się wody jak zarazy, odzieży nie zmienia nigdy, lecz pod zimę wdziewa coraz więcej sukni jednę na drugą, a na noc nie rozbiera się wcale, to nic dziwnego, że każdy prawie kwalifikuje się, jako typowy okaz na klinikęchorób skórnych.

W czasie naszego dwudniowego pobytu w Czynkianie miało miasto wygląd świąteczny, gdyż oczekiwano przybycia wicekróla.

Od rana gromadziły się tłumy ciekawych Chińczyków nad brzegiem rzeki. Koło południa zwrócił moją uwagę dźwięk trąbki wojskowej. Z ulicy, wiodącej ku rzece, wychylił się najpierw ogromny czerwony parasol, który niósł żołnierz w asystencyi trzech innych, kilka kroków za parasolem niesiono w lektyce mandaryna, naczelnika oddziału. Za lektyką jechali konno dwaj adjutanci. Żołnierze maszerowali gęsiego, ubrani w granatowe spodnie i w czerwone mundury z granatowym kabatem, pokrytym białemi hieroglifami; słomiany kapelusz i takież sandały dopełniały ubrania, uzbrojenie stanowiły karabiny dużego kalibru, z przodu nabijane, i długie bagnety. Oprócz tego niósł prawie co drugi żołnierz na długiej tyce bambusowej czerwoną chorągiew. Był to widok bardzo malowniczy. Godny uwagi jest strój mandarynów wojskowych. Mundur zrobiony z jedwabiu, barwy śliwkowej, ze smokiem, bardzo pięknie wyszytym na rękawie. Głowę pokrywa kapelusz pilśniowy z pawiemi piórami, ozdobiony futrem. Na szczycie kapelusza znajduje się słynny guzik z rozmaitego materyału, stosownie do stopnia dygnitarza.

Wicekról wystawił na próbę cierpliwość swych poddanych — przybył dopiero w nocy.

Następnego dnia popołudniu odbyliśmy wycieczkę do pagody na Wyspie Złotej *(Gold Island)*. Na zielonym pagórku wznosi się ogro-



Sziwujjen nad Jancekianem (patrz str. 263).

mny klasztor buddhystyczny, składający się z kilku budynków i obszernych podwórzy. Pośród tych budynków stoi sześciopiątrowa wieża z cegły. Poszczególne piątra przedzielają dachy z rogami, powyginanymi do góry. Na każdym rogu wisi miedziany dzwonek. Przy najlżejszym powiewie wiatru wydają dzwonki melancholijne dźwięki. Rzeźby w drzewie i malowidła, nader starannie wykonane, zdobią dachy, węgły i ściany. Świątynia przedstawia się jako wielki budynek bez okien, nawpół ciemny, oświetlony lampionami. W głębi stoją dwa olbrzymie posągi Buddhy z drzewa, bronzowane tak zręcznie, że robią wrażenie posągów, odlanych w bronzie. Pod ścianami umieszczono posągi szesnastu uczniów Buddhy, zrobione w ten sam sposób. Tu i ówdzie stoły ofiarne i czara na kadzidło. W drugiej części świątyni całą ścianę zaj-

muje płaskorzeźba, przedstawiająca niebo chińskie; na środku stoi ogromny posąg, podobny do posągów Madonny. W przedsionku świątyni szczerzą zęby postaci potworne, jaskrawo pomalowane, mające podobno zadanie odstraszania złych duchów. Oprócz głównego sanktuaryum znajduje się wiele pomniejszych.

Kapłani buddhajscy, przyodziani w żółte szaty, brudni i zaniedbani, podali nam zaraz herbatę w równie brudnych filiżankach, której naturalnie z podziękowaniem nie przyjęliśmy.

Nazajutrz podążyliśmy w dalszą drogę w górę rzeki ku Nankinowi. O Nankinie, tej tej prastarej państwa chińskiego stolicy, doszczętnie zniszczonej w czasie powstania Tajpinów, może później napiszę więcej, ponieważ teraz nie znalazłem dosyć czasu do rozpatrzenia się w szczegółach. Okolica prześliczna. Wśród zielonych pagórków wznosi się miasto,z którego dawnej świetności pozostał tylko mur 36-kilometrowy, ruiny wieży porcelanowej i groby cesarzy z dynastyi Minów.



Pagoda w Nankinie nad Jancekianem (p. str. 265).

Z Nankinu wypłynęliśmy 23. kwietnia i zdążyliśmy śpiesznie ku Hankau, ażeby jeszcze w czas zdążyć na wyścigi, które się tam odbywały właśnie.

Koryto rzeki zwężało się miejscami silnie, wapienne skały zbliżały się do samego jej brzegu, gdzieniegdzie wyzierał czerwony piaskowiec, charakterystyczny dla górnego biegu tej rzeki. Gdzieniegdzie znowu Jance rozlewa się szeroko, tworzy liczne wyspy i mielizny, pokryte trzciną i szuwarem, doskonałe kryjówki dla nieprzeliczonej ilości kaczek, gęsi, czapli i innego ptactwa wodnego i błotnego, które się uwija tutaj całemi stadami. Po nadbrzeżnych polach żerują liczne bażanty, których piękne skórki wywożą tysiącami do Europy, gdzie je wypychają, a następnie sprzedają muzeom i gabinetom przyrodniczym.

(C. d. n.)

* * *

Rozmaite typy światopoglądu etycznego.

(Dokończenie).

Taka nauka filozoficzna ma wielkie znaczenie praktyczno - życiowe. Napełnia nas rozumną pewnością siebie i daje uzasadniony spokój duszy. Mając go, możemy na świecie oddawać się ulubionej działalności, do której serce nas ciągnie; bo wiemy i wierzymy, a raczej u p e w n i l i ś m y s i ę, że spełniamy rozkaz przedwieczny. Wszelkie wahania się i wątpliwości ustają! Dojdziemy do celu..

Z drugiej strony uznanie, że nie możemy objąć świata, jako systemu niezliczonych istot, równo uprawnionych z nami, zniewala zaś mimowoli do należnej skromności Uznając za sobą jakieś w i e c z n e znaczenie, nie będziemy wysuwali — jak to pesymiści czynią — swego j a na czoło, jako celu procesu światowego i nie będziemy żądali dla siebie wszelakich zadowoleń w imię tego j a. Filozofia uczy człowieka samoograniczania się.

Wszystkie członki świata uznają się za podobne nam. Równość lub jednakowość jakościowa ustroju duchowego w monadach*) stanowi podwalinę wewnętrzną przyznania jednakowej wartości i ich życiu, prowadzi do jednakowego pojmowania ich mąk i bied naszych własnych. Zasada równości stanowi podnóżek prawa miłości.

Nauka, którąśmy wyłożyli właśnie, nazywa się filozofią jednostkową, p e r s o n a l i z m e m cz. „k r y t y c z n y m i n d y w i d u a l i z m e m“. Już nieśmiertelny nauczyciel ludzkości, Gotfryd Wilhelm Leibniz*) (1646—1716),

*) Monady (jednostki z gr.wyr. μόνος) są to według Leibniza proste, bezcielesne istoty, które są ostatecznemi przyczynami wszystkich zjawisk.

*) Godzien uwagi fakt uznany, iż mędrzec ten pochodził z rodziny s ł o w i a ń s k i e j, zniemczonej ostatecznie.

naszkicował ogólne rysy tej filozofii. Na potwierdzenie tego i w uzupełnieniu tego, co powiedziano wyżej, przytoczymy głęboko wzruszający, ostatni punkt 90ty jego „Monadologii".

„Pod tymi doskonałymi rządami Boga ani dobre czyny nie mogą pozostać bez nagrody, ani złe bez odpłaty i wszystko musi wychodzić na dobre dobrym, t. j. tym, którzy są zadowoleni ze wszystkiego w tem wielkiem państwie, którzy ufają Opatrzności, spełniwszy swą powinność, którzy miłują i, jak mogą, naśladują Twórcę wszelkiego dobra, radując się zgodnie ze szczerą przyrodą z poznania doskonałości jego, czystej miłości, sprawiającej, że znachodzimy zadowolenie w szczęściu istoty miłowanej.

To właśnie zmusza ludzi mądrych i dobrych do pracy nad wszystkiem, cokolwiek przedstawia się jako zgodne z wolą Bożą, w przyszłości lub przeszłości, a mimoto pozostawia im wolną wolę, bo Bóg nad samym czynem rozpościera Swą tajną, konsekwentną i stanowczą wolę, w przekonaniu, że gdybyśmy mogli dostatecznie pojąć porządek wszechświata, przyznalibyśmy, iż on uprzedza wszystkie życzenia najmędrszych i niemożna uczynić go jeszcze lepszym, niż jest, nietylko w ogóle i w całości, lecz także dla nas samych w szczególności, bylebyśmy byli przywiązani do Twórcy nietylko jako do budowniczego i działającej przyczyny naszego istnienia, lecz także jako do naszego Pana i ostatecznej przyczyny, który powinien stanowić wszystek cel naszego życia i sam jeden tylko może stanowić nasze szczęście".

W kościele chrześcijańskim nastrój podobny znalazł wyraz w natchnionym hymnie:

„Tyś — moją twierdzą, Panie,
Tyś — moją siłą też,
Tyś — mój Bóg,
Tyś — moją jest radością!"

E. Bobrów.

Noc zimowa.

Niosą czarne rumaki po niebios lazurze
Nocy rydwan złocisty i z pod kopyt miotą
W przestworza deszcz promieni. Skier jasnych mgłę złotą
Sypią na ogród zimy, gdzie śnieżne śpią róże.

Noc-królowa z rydwanu jasnej swojej córze
Na gronostaje białe, co barki jej gniotą,
Rzuca brylanty lśniące, a ziemia z tęsknotą
Rozmodlone śle dłonie do matki — hen! w górze.

I zbliża się ku ziemi orszak gwiazd tęczowych,
Co — szukając swych świateł w toniach kryształowych —
Darmo wkół roziskrzone rzucają spojrzenia.

Czasem jęk się odezwie pośród ciszy sennej.
Czy to echo dalekie gwiazd gędźby promiennej?
Czy ziemia w nieskończoność śle tęsknę westchnienia?

wg.

Mark-Twain.

Gdy Mark-Twain [czyt. Tuén], największy humorysta świata, obchodził 60. rocznicę swych urodzin w dniu 30. listopada 1895. r., wychwalano go jako najszczęśliwszego śmiertelnika, ponieważ w wieku względnie wczesnym mógł, otoczony rodziną, w posiadaniu pięknego majątku, spozierać z zadowoleniem i bez troski na życie swe, pełne ruchu i powodzeń. Ale on sam patrzył dalej i sięgał wzrokiem głębiej w przyszłość. Żartobliwie napomykał, iż przeczuwa, że raz jeszcze zejdzie na dziady. Jakoż spełniło się to w parę miesięcy potem. Wskutek bankructwa firmy nakładowej Webstera w Nowym Jorku, której powierzył był całe mienie swoje, Mark-Twain stracił wszystko. Spotkał go los Waltera Scotta, z tą różnicą, że powieściopisarz angielski był o wiele młodszym i w pełni sił twórczych, gdy go nieszczęście nawiedziło, potrafił więc swem płodnem piórem pokryć długi w paru latach, podczas gdy Mark-Twain dobiegł do końca swej piśmienniczej karyery. Tem heroiczniejszym i śmielszym musi się wydać krok Mark-Twaina, który postanowił natychmiast chwycić się wszelkich kroków, byle zaspokoić swoich wierzycieli co do grosza. Mianowicie wyrzekł się spokoju i wygód na czas długi i przedsięwziął podróż naokoło świata z odczytami. Po przeszło rocznym pobycie w Australii, Indyach i Afryce wrócił w r. 1897. do ojczyzny i osiągnął cel swój o tyle, że mógł spłacić pokaźną część swoich długów dochodem z tej podróży. Innymi dochodami literackimi, oraz innymi środkami, udało mu się potem zaspokoić dłużników zupełnie. „Podróż naokoło świata"

pojawiła się wreszcie w druku, przekład jej niemiecki, jak przekład wyboru pism jego 6-tomowy, wyszedł w Sztutgardzie nakładem R. Lutza. Wprawdzie „Podróż naokoło świata“ nie jest dziś nadzwyczajnością, ale gawędzić o niej tak, jak Mark-Twain, nikt chyba nie potrafi.

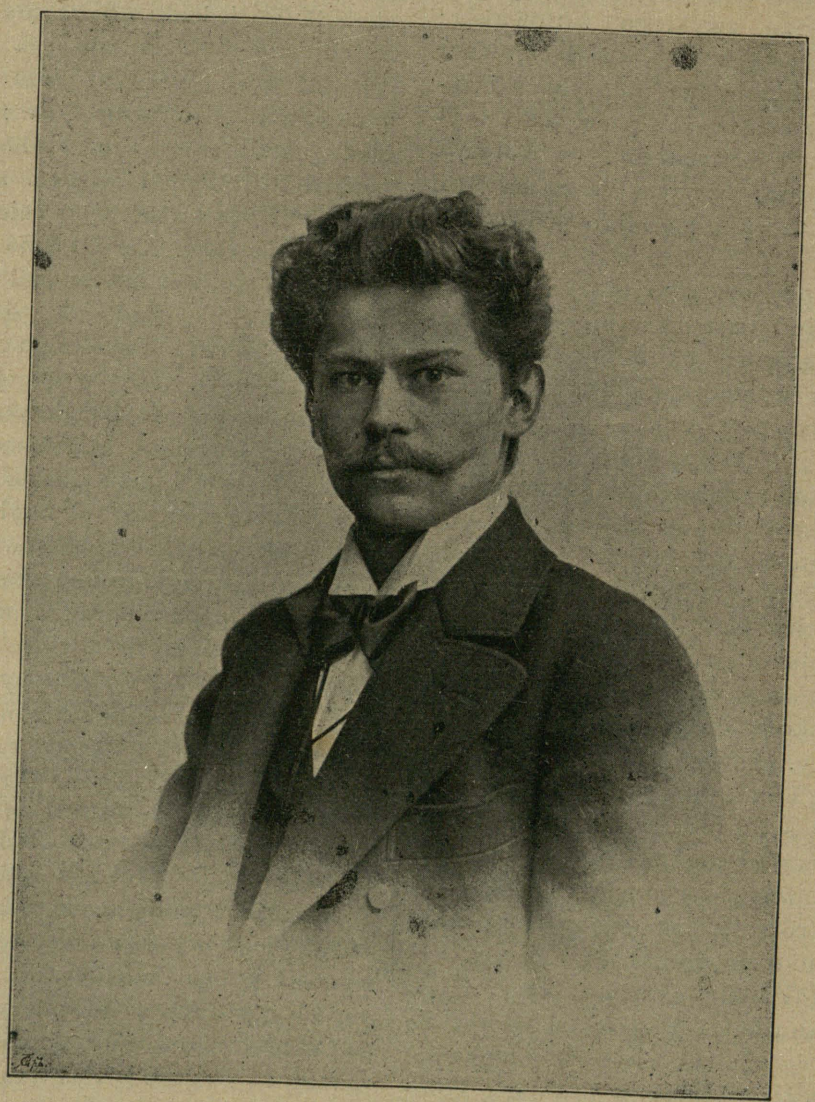
Mark-Twain uchodzi w oczach wielu ludzi — prawdopodobnie takich, którzy go sądzą na ślepo, — za zwykłego żartownisia; lecz kto rozczyta się w jego dziełach, wnet się przekona, że humorysta amerykański zarówno bawi i rozwesela, jak p o u c z a i w y c h o w y w a swych czytelników. Ktokolwiek czytał Mark-Twaina, przyzna, że pisma jego wywarły na nim trwałe, moralnie podnoszące wrażenie...

„Mark-Twain“ to tylko przybrane nazwisko (pseudonim) naszego humorysty, a pochodzi stąd, że sternicy na rzece Mississippi wykrzykują przy wyrzucaniu ołowianki: mark one, mark twain (zam. two — jakby nasze: jeden, dwa) itd. W rzeczywistości imię i nazwisko jego brzmi: Samuel Langhorne Clemens. Naszkicujmyż żywot naszego Samuela czyli Sama [czyt. Sema]. Przeżył lata młodociane w Hannibalu, mieścinie stanu Mississippi, gdzie ojciec jego, John [Dżon = Jan], był sędzią pokoju od r. 1840. Sam był chłopcem poczciwym, ale dzikim i nieokiełzanym, zaniedbywał szkołę często i wyprawiał najrozmaitsze psoty. Opisał te czasy w sposób drastyczny w „Tomie Sawyerze“ [czyt. Soujerze] i w powieści p. n. „Huckleberry Finn“ [czyt. Hökkelberri Fynn]. Gdy miał lat 12, ojciec umarł i mały Sam musiał zarabiać sobie na chleb równie, jak jego rodzeństwo. Wstąpił na naukę do drukarni „Kuryera tygodniowego“ (Weekly Courier, czyt. Uikli Kurir)) w Hannibalu. Pismo to liczyło 10 przedpłacicieli w mieście, a 350 na prowincyi; miejscy uiszczali przedpłatę w towarach kolonialnych, prowincyonalni w główkach kapusty i w drzewie opałowem, „jeżeli wogóle płacili“, — dodaje Mark-Twain z humorem. Gdy nasz uczeń, który zresztą rzadko kiedy stawał przy kaszcie składacza (zecera), liczył lat 15, już „wyterminował“ i udał się na wędrówkę, podczas której poznał Nowy Jork, Filadelfię, Cincinnati [czyt. Sinsinetti], Louisville i St. Louis [czyt. Sęluj]. Nigdzie nie zagrzał miejsca. Był nawet sternikiem na Mississipi, a opis tych chwil podał w „Życiu na Mississippi“. Wybuch północno-amerykańskiej wojny domowej położył kres jego karyerze marynarskiej. Wziął się więc do poszukiwania złota w Kalifornii, skąd posyłał szkice do różnych dzienników. Został nawet na czas pewien redaktorem, ale zajęcie to tak mu obmierzło, że znów zapragnął być marynarzem. Jenerał Mc*) Comb, zaprzyjaźniony z nim, odwiódł go jednak od tej myśli, poznawszy się na wielkich zdolnościach Mark-Twaina. Pozostał więc wiernym pióru i wziął się do wydawania „Kalifornijczyka“; ponieważ jednak pismu temu nie wiodło się, mimo że wydawca drukował w niem swe przepyszne „Szkice“, zaprzestał wydawnictwa i powrócił do kopania złota. Ale i tu nie wiodło mu się, więc jako sprawozdawca udał się na wyspy sandwickie, by stąd już po 2 miesiącach wrócić do San Franciska [czyt. Sen Francyska]. Tu żył aż do r. 1867. w istnej nędzy. Potem udał się w podróż z odczytami, które cieszyły się wielkiem uznaniem. Tegoż roku ukazał się tom I. jego „Szkiców“, który czytano równie chciwie w Anglii, jak w Ameryce. Powrócił znowu do Nowego Jorku, skąd się przeniósł do Washingtonu [czyt. Uaszyntonu]. Przy poparciu Mc Comba potrafił przyłączyć się tutaj do towarzystwa podróżującego, które udawało się do Europy; z tej podróży posyłał sprawozdania do pewnego pisma kalifornijskiego. Po powrocie tułał się po tychsamych, co poprzednio, miastach, napróżno szukając nakładcy na swą książkę „Innocents abroad“ [czyt. Innosenc ebród t. zn. Poczciwcy na obczyźnie]. Wreszcie spółka wydawnicza w Hartforcie podjęła się nakładu, sprzedano 200.000 egz i połowa czystego zysku, który wynosił 75.000 dolarów (tzn. przeszło 325.000 kor.), przypadła w udziele autorowi. To była podwalina jego sławy autorskiej, która odtąd wzrastała ciągle; pisma dobijały się o współpracownictwo jego, a o nakładców nie potrzebował się już troszczyć. Dziś wprawdzie dzieło wspomniane w całości swej jest przestarzałe — jestto gawęda o Francyi, Wło-

*) *Mc*, spotykane często przed nazwiskami angielskiemi, jest skróceniem wyrazu *mac* (czyt. mek), który w szkockim i iryjskim oznacza syna i wskazuje na pochodzenie szkockie lub iryjskie danej osoby.

szech i Palestynie, — ale wyjątki poszczególne są dziś jeszcze godne czytania (mieszczą się w t. V.—VI. wspomnianego wydania niemieckiego).

Pewien humorysta niemiecki charakteryzuje pisma Mark-Twaina bardzo trafnie w następujących wyrazach: „Kto zagłębi się w nich, będzie im zawdzięczał wiele godzin wesela



Jan Szczepanik.

i rozkoszy i nieraz pokoik nawet samotnego czytelnika przy ich przerzucaniu ozwie się hucznym śmiechem. Wnet jednak się przekona, że Mark-Twain nie szuka popisu w karykaturalnem przesadzaniu rzeczywistości, jeno że przebija z każdej karty pism jego serce czułe i umysł głęboki". *S. T.*

Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego

(Ciąg dalszy).

III. Okolice nad Wartą.

Najznaczniejszą rzeką w W. Ks. Poznańskiem jest Warta; Wisła bowiem dotyka granic jego zaledwie na krótkiej przestrzeni, od strony północnowschodniej. Źródła Warty znajdują się w Król. Polskiem o kilka mil poza Krakowem. Wkroczywszy w granice Księstwa poniżej Pyzdr, płynie zrazu na zachód ku Śremowi, następnie na północ aż do Obornik, odkąd znów zwraca się w kierunku zachodnim. W Brandenburgii przybiera Noteć, a pod Kistrzyniem wpada do Odry. Z wyjątkiem południowych i północnowschodnich obwodów nadgranicznych całe Poznań-

skie należy do dorzecza Warty, której najznaczniejszymi dopływami są: z lewego brzegu Prosna i Obra, z prawego Wełna i Noteć. Wartą spławiają wiele tratw, nawet szkuty i parowce żeglują po niej; o ile w lecie stan wody jest nizkim, o tyle z wiosną wzbiera i wylewa nierzadko.

Prosna wytryska w Górnym Ślązku i aż do swego ujścia do Warty stanowi granicę między Poznańskiem a Król. Polskiem. Płynie okolicą płaską, równą; wskutek tego płytszą jest od Brdy, która zresztą jest od niej węższą i dźwiga zaledwie tratwy z drzewem lasów nadbrzeżnych.

Wełna bierze początek z jeziora Zamkowego pod Gnieznem, przepływa jezioro Rogowskie, a następnie wśród żyznych pól i lasów liściastych płynie w kierunku zachodnim ku Warcie. Najznaczniejsze miasta nad jej brzegami są Wągrowiec i Rogoźno.

Do dorzecza Warty należą powiaty: skwierzyński, międzychodzki, szamotulski, obornicki, poznański wschodni i zachodni, śremski, średzki, wrzesiński, jarociński i pleszewski. W dolinie Warty znajdują się piękne łąki, dobre grunty, rzadko tylko murszaste. Rolnictwo, hodowla bydła i owiec stanowią główne źródło dochodu mieszkańców. Poniżej Skwierzyny rozciągają się nadzwyczaj urodzajne błota. Wzdłuż Warty ciągną się nizkie wzgórza, które miejscami leżą tuż przy samem korycie rzeki. W okolicy Poznania rozciągają się po obudwu stronach rzeki rozległe płaskowzgórza, z których wschodnie ciągnie się aż do Gniezna. Na tem płaskowzgórzu znajdują się liczne jeziora i stawy, które są początkiem wielu rzek i strumieni. Najwyższym punktem w tej stronie jest góra św. Anny (z łacińska Antokol), pod Owińskami. Okolica nadwarciańska ma w większej części ziemię zbożodajną, w powiatach śremskim i średzkim przeważnie pszenną. Natomiast północne okolice pomiędzy Wartą i Notecią są piaszczyste i pokryte rozległymi sosnowymi lasami. Pomiędzy Obornikami a Sierakowem znajdują się wzdłuż Warty pokłady węgla brunatnego.

Nad Wartą leżą:

Śrem (Schrimm), miasto powiatowe jakby na wyspie, w miejscu gdzie Warta tworzy zakręt. Jest połączony z Czempiniem koleją drugorzędną i ma 7.000 mieszkańców. Gleba okolicy nadzwyczaj urodzajna. Srem ma gimnazyum; mieszkańcy trudnią się rolnictwem, płóciennictwem i pędzeniem wódek.

Poznań (Posen), stolica W. Księstwa, należy do najstarszych miast w Polsce; był długi czas stolicą książąt wielkopolskich i już w średnich wiekach miał znaczny handel i przywileje. Ma obecnie przeszło 110.000 mieszkańców. Najstarsza część miasta leży po prawej stronie Warty. Tu wznosi się katedra, w której znajduja się groby pierwszych chrześcijańskich królów polskich, Mieczysława i Bolesława Chrobrego. Główne jednak miasto rozciąga się po lewej stronie rzeki. Rynek zdobi starożytny ratusz z wysoką wieżą. Poznań jest siedzibą najwyższych władz prowincyonalnych, stolicą arcybiskupa archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej. Tu mieści się naczelne prezydyum, wyższy sąd ziemiański i regencya departamentowa. Poznań ma trzy gimnazya, dwa klasyczne i jedno realne, szkołę średnią, szkołę wydziałową, pięć szkół miejskich, seminaryum żeńskie dla nauczycielek i zakład dla głuchoniemych. Jest miastem przemysłowem, w którem wyrabiają fabrycznie przedmioty ze sukna, skóry i ze żelaza. Jest tu kilka browarów i fabryk spirytusu, porcelany itd.

Handel i komunikacyę podnosi i ożywia 7 linii kolei żelaznych: do Zbąszynia, Krzyża, Piły, Inowrocławia, Strzałkowa, Kępna, Leszna i Janowca. Poznań ma też twierdzę, jedną z najwarowniejszych w Niemczech.

Pod Poznaniem leżą wielkie wsi, liczące po kilka tysięcy mieszkańców, jak Górczyn i Winiary. Najbliżej Poznania położone wsi zamieszkują Bambrowie, którzy odróżniają się od mieszkańców miasta ubiorem oryginalnym.

Oborniki przy ujściu Wełny do Warty, m. powiat., 3.000 mieszk. Obrzycko, Wronki, Nowy-most (Neubruck) i Sieraków (Zerke), miasteczka nad Wartą, w których kwitnie sukiennictwo. Mieszkańcy Międzychodu (3.200) trudnią się płóciennictwem i kuśnierstwem. Skwierzyna (Schwerin) przy ujściu Obry do Warty, m. powiat., 6.900 mieszk., ma b. urodzajną okolicę, znaczne zakłady, fabryki i garbarnie; tu odbywają się też wielkie jarmarki na konie.

Z prawej strony Warty leżą: Września (Wreschen) i Środa, m. powiat., każde po 5.000 mieszk. Prowadzą handel zbożem

i rozwinęły znaczny przemysł. Rogoźno (Rogasen) nad Wełną (5.000 mieszk.), połączone koleją z Piłą, Inowrocławiem i Poznaniem, ma gimnazyum nauczycielskie.

Z lewej strony Warty: Pleszew, m. powiat., 6.000 m. Od niego na półn.- z chód Jarocin, gdzie krzyżują się koleje: oleśnicko-gnieźnieńska i poznańsko-kluczborska. Szamotuły (Samter), m. pow. (przeszło 3.000 mieszk., leży na zachód od Obornik nad koleją poznańsko-szczecińską; posiada szkołę rolniczą. (Dok. n.).

O sejmach w Polsce.

(Dokończenie).

Gruntownej reformy sejmowania dokonała dopiero Ustawa rządowa z dnia 3. maja 1791. Sejm miał się składać nadal z dwu Izb: z Senatu i z Izby poselskiej.

Wszystkie sprawy sejmowe podzielono na dwie grupy, z których jedną nazwano prawami ogólnemi, drugą uchwałami sejmowemi. Do pierwszej zaliczono prawa, które miały obowiązywać przez długi przeciąg czasu, a więc ustawy polityczne, cywilne, kryminalne, podatkowe. W drugiej umieszczono wszystkie inne, n. p. uchwały w sprawie wojny, zawarcia pokoju, traktatu, uchwały jednorazowego podatku, nadanie szlachectwa i t. p. Uchwały sejmowe zapadały większością głosów, ale głosy Senatu, i Izby poselskiej zliczano razem tak, że nawet w razie sprzeciwienia się całego Senatu, mogła ustawa przejść głosami Izby poselskiej, która — jak wiadomo — była liczniejszą. Prawa ogólne uchwalano większością głosów w Senacie i w Izbie poselskiej, ale głosów nie zliczano razem; Senat jednak nie mógł się sprzeciwić nowej ustawie, mógł ją tylko odroczyć do przyszłego Sejmu. Nawet król nie mógł się sprzeciwić ustawie, przez Izbę poselską uchwalonej, gdyż na Sejmie nie miał osobnego głosu, ale głosował z Senatem, a tylko głos jego liczył się za dwa.

Był to niewątpliwy błąd nowej konstytucyi, że jednym zamachem chciała królowi i Senatowi odebrać prawa, które przysługiwały im od wieków. Za to dwa inne postanowienia były bardzo trafnie obmyślone. Pierwszem z nich była zasada, że: „Sejm ma być zawsze gotowy“, t. zn. że posłowie, obrani na Sejm ordynaryjny (co dwa lata odbywany), nie tracą swych funkcyi z ukończeniem jego, ale zatrzymują je na całe dwulecie. Gdyby się zatem okazała potrzeba zwołania Sejmu nadzwyczajnego w ciągu tych dwu lat, to nie było potrzeba nowych wyborów. Drugie postanowienie jest ważniejszem. Poseł odtąd nie miał być przedstawicielem tego tylko sejmiku, który go obrał, ale całego narodu i nie potrzebował się krępować instrukcyą sejmikową, ale powinien był co najwyżej stosować się do życzeń swych wyborców.

Tym sposobem Konstytucya 3. maja podcięła zasadę *liberum veto* u samego korzenia i obaliła ją zupełnie. Sejm nie miał być odtąd zjazdem pełnomocników poszczególnych ziem (niby niezawisłych od siebie państewek), ale zgromadzeniem wysłanników jednego, jednolitego narodu.

W tem też leży zasługa tej Konstytucyi, że wykryła chorobę, na którą sejmowanie polskie cierpiało od pierwszych swych początków i że chciała w nie tchnąć nowego ducha, który mógł państwo sprowadzić na pomyślniejsze tory. Niestety obalono rychło Konstytucyę 3. maja i dziś świadczy ona chlubnie tylko o tem, że Polska w r. 1791. miała jeszcze zasób sił żywotnych i padła jedynie ofiarą przemocy.

Alojzy Winiarz.

Zagadnienia naukowe.

Nr. 151. Przyczyny powstania listopadowego.
Nr. 152. Którzy wybitni Niemcy prócz Leibniza (p. str 265.) pochodzili z rodzin, pierwotnie słowiańskich?
Nr. 153. Którzy są najznakomitsi humoryści polscy?
Nr. 154. Co jest godnym naśladowania rysem w charakterze Mark-Twaina?
Nr. 155. Kiedy odbył się ostatni sejm polski?

Nagrody za rozwiązanie zagadnień powyższych Sternschussa „Dom Matejki“ (z rysunkami) i Feldmana „Stan ekonomiczny Galicyi“.

NB. Dzień ostateczny do nadsyłania odpowiedzi 13. b. m. Wystarczy odpowiedzieć trafnie na 1 zagadnienie, aby mieć prawo do losowania o nagrodę.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 146—50.

N. 146. Naczelnymi wodzami w l. 1830—1 byli: Józef Grzegórz Chłopicki (5|XII. 1830. 17/I. 1831), Michał ks. Radziwiłł (od 17/I. do 25/II.), Józef Skrzynecki (od 25/II. do 11/VIII.), Henryk Dembiński (od 11/VIII. do 15/VIII.), Małachowski (od 17/VIII. do 8/IX.) Rybiński (4/X. przeszedł granicę pruską). (*Nemo*)

Nr. 147. Najwybitniejsi sielankopisarze nasi: Szymon Szymonowicz Bendoński (*Simonides*, 1557—1629.), Szymon (1604—29.) i Józef Bartłomiej (1597—1682.) Zimorowicze, Jan Gawiński (XVII. w.) Adam Naruszewicz (1733—96.), Franciszek Karpiński (1741_3—1825.), Franciszek Dyonizy Kniaźnin (1750—1807.), Kazimierz Brodziński (1791—1835.), Konstanty Gaszyński (1809—66.), Ludwik Kondratowicz (pseud Wład. Syrokomla (1823—62.), Teofil Lenartowicz (1822—93.)

Nr. 148. Kreozot (z greck. *kréas* mięso + *sódzo* utrzymuję, konserwuję), związek ustrojowy chemiczny, wydobywany ze smoły drzewnej (bukowej) i torfowej. Jako ciecz bezbarwny, o przenikliwej woni dymu. Jaż ot znajduje się w dymie z palonego drzewa; ponieważ posiada obok własności groźnych ustrojowi tkankowemu także wiele dobrych, zwłaszcza zdolność utrzymywania pewnych ciał w dobrym stanie, przeto na nim opiera się np. wędzenie mięsa w dymie. W lecznistwie używa się przeciw chorobom płucnym, żołądkowym, kiszkowym, raka, zębów itd.

Nr. 149. Autograf (z greck. *autós* sam + *gráfo* piszę, a więc własnoręczne pismo człowieka przedstawia wartość dwojaką: jedną rzeczywistą, drugą — rzecby można — uczuciowią. Z pierwszego punktu widzenia jest to dowód prawny pewnego czynu (np. weksel dowodem zaciągnięcia długu w wysokości wskazanej, podpis na protokole sądowym dowodem zgodności zeznań, opisu itd. z rzeczywistym stanem rzeczy) lub też dziejowy (tu już rozumieć to trzeba w znaczeniu szerszem: n p. list, opis, kronika pewnej osoby z dawnych czasów donosi nam o wypadkach, nieraz skądinąd nieznanych, ale możemy tylko wtedy bez wahania uznać ów list, opis, ową kronikę, za wypływ poglądu tej osoby, jeśli mamy jej autograf). Wobec częstych fałszerstw umyślnych autograf dla badaczy dziejów i dla wydawców pism poety, powieściopisarza, uczonego itd., posiada zatem wartość nieocenioną. Stąd usprawiedliwiona chęć posiadania autografów osób, które nas zajmują z powodów wskazanych; księgozbiory więc i muzea starają się posiadać zbiory odpowiednie „rękopisów“ mężów, na jakiemkolwiek polu wybitnych. Może też pismo jako pismo („charakter“ pisma) zdoła rzucić pewne światło na charakter pisarza; tak przynajmniej utrzymuje sztuka, zwana i uprawiana dziś pod nazwą grafologii. Ale pozatem autograf drogim jest osobie, związanej jakimkolwiek węzłem z osobą, z której pióra pochodzi. Jeśl autografy ludzi znakomitych płacą się drogo, nieraz za drogo to na parę słów choćby, nakreślonych ręką osoby drogiej sercu, niema ceny — to skarb nieprzepłacony. Oto dwojaka wartość: rzeczywista i uczuciowa A czy tak bywa tylko z autografami?

Nr. 150. Noc belwederska to noc z 29. na 30. listopada 1830. r., tak nazwana stąd, że wielki książę Konstanty, brat i przedstawiciel cara Mikołaja I., napadnięty wtedy przez 18 wychowanków szkoły podchorążych, mieszkał w Warszawie w pałacyku Belwederze (z włosk. piękny widok). Śmiałków owych, których zamach udaremniło tchórzowstwo w. księcia, zwiemy Belwederczykami; przewodniczył im Piotr Wysocki.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 13. b. m:

(wszystkie) Auditor, (świetnie); Bloch Cetnarski, Filos, Galvani. Jaromir, Masiuk, Nemo (b. dobrze); Pordes, Stamm, Vietor (znakomicie); (46—7, 50) Chrzanowski; (46—8, 50) Szreniawa; (47—9) Saulida; (46—7) Perykles. Zawadowicz.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): Zawadowicz (Matlakowskiego „Wspomnienia z Zakopanego“) i Z. Klemensiewicz (Kukuczyna „Obrazki“).

Skrzynka pocztowa Redakcyi.

Do wszyskich Czytelników, Wynik odpowiedzi na zagadnienia nr. 146 i 150. nasunął nam uwagi, wcale niewesołe. Nie chcemy przypuszczać, żeby szkoła zaniedbywała swych obowiązków, żeby przy każdej sposobności nie dawała wyjaśnień z dziejów lat ostatnich, niezbędnych do zrozumienia naszej poezyi romantycznej i poromantycznej, naszego stanu dzisiejszego, naszych praw, nadziei i obowiązków w przyszłości. Nie chcemy tego przypuszczać. Raczej przypuszczamy możliwość drugą: Szkoła wobec nawału przedmiotów i przeładowania materyału nie może poświęcić ostatniemu wiekowi walki naszej z przemocą tyle czasu, ileby chciała. W takim razie pozostaje uczniom inna droga otwartą — droga, która w Anglii wydała Milla, Smilesa. Spencera, w Ameryce Franklina, Mark-Twaina i tylu innych. Jest to droga samopomocy, samokształcenia. Dziś, gdy mamy taką książkę, jak „Podręcznik dla samouków“, której zalety podnosiliśmy już kilkakrotnie, tylko własne lenistwo myślowe może się usprawiedliwiać brakiem wskazówek potrzebnych. Gdyby bowiem nawet „Podręcznik“ z powodów cenzuralnych (wychodzi w Warszawie, a więc nie może mówić o wszystkiem ze swobodą pożądaną) wykazywał tu i ówdzie braki, to wystarczy zwrócić się do nas, a chyba nikt, ktokolwiek to uczynił, nie może się skarżyć, abyśmy nie starali się o zaspokojenie jego żądzy wiedzy podług sił swoich, najlepszej chęci i wiary. Na razie rocznica listopadowa nasunęła nam — jak wspomnieliśmy — myśli niewesołe. W odpowiedziach na zagadnienia nasze z tej dziedziny widoczny brak zrozumienia tak całości (idei), jakoteż szczegółów. Do pracy więc nad sobą, młodzi Przyjaciele, bo „cudze rzeczy znać pożyteczna, ale swoje konieczna“! Ażeby Wam wtem pomódz,

*

wyliczamy na tem miejscu parę książek, pouczających o wypadkach l. 1830—31. Książek, obejmujących całokształt dziejów porozbiorowych, nie posiadamy; albowiem tak St. Tarnowskiego „Nasze dzieje w ostatnich stu latach“, jakoteż X. Y. (B. Limanowskiego) „Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość“ są bardzo jednostronne (w dwu przeciwnych kierunkach), a za mało przedmiotowe. Natomiast godnem poznania jest dzieło Fr. hr. Skarbka „Królestwo Polskie od epoki początku swego do rewolucyi listopadowej“ i w ogóle wszystkie wspomnienia, pamiętniki i historye lat 1830—31., pochodzące od świadków naocznych, a najczęściej nawet współdziałaczy i wodzów. Naturalnie i tu się znajdzie stronniczość, ale za przejrzysta, ażeby jej nawet młody czytelnik nie zdołał wydzielić w swej retorcie myślowej celem wydobycia ziarna prawdy. Tu przedewszystkiem należy obszerne, 5-tomowe dzieło St. Barzykowskiego „Historya powstania listopadowego“ (pisana ze stanowiska zachowawczego) i M. Mochnackiego „Powstanie narodu polskiego w r. 1830. i 1831.“ (pisane ze stanowiska rewolucyjnego). Pamiętniki zebrał A. Hirschberg i wydał w dziele p. n. „Zbiór pamiętników do historyi powstania 1830—31.“, do którego dodał możliwie wyczerpującą (po rok 1881. t. zn. czas wydania) bibliografię pism, książek, broszur o wypadkach omawianych. Od tego czasu parę nowych pamiętników wydano, z tych najważniejsze nakładem krakowskiej Spółki wydawniczej, łatwo dostępne i w cenie przystępne. Są też dzieła, omawiające powstanie owo z punktu widzenia wojskowego, jak L. Mierosławskiego, J. Prądzyńskiego i jen. rosyjskiego Puzyrewskiego, ale przeczyta je z pożytkiem tylko ten, kto posiada potrzebne wiadomości wstępne. Na razie to, co już wymieniliśmy, wystarczy aż nadto.

Filos. Nie rozumiemy pytania o „najlepsze krytyki literatury polskiej“. Przypuszczamy, że chodzi tu o podręczniki do dziejów piśmiennictwa ojczystego. Jeśli tak, to powtórzymy, co już powiedzieliśmy na pytania podobne innym korespondentom: najlepszym jest „Podręcznik do nauki historyi literatury polskiej“ K. Króla i J. Nitowskiego (Warsz. 1900). O Mickiewiczu: P. Chmielowskiego. „A. Mickiewicz“ w 2 t., J. Kallenbacha taksamo, o Sienkiewiczu wydał książkę dobrą St. Tarnowskl. Każda księgarnia powinna je mieć na składzie, a w każdym razie sprowadzi na żądanie. Gdyby nie było księgarni w miejscu, proszę zwrócić się albo do księg. Gubrynowicza i Schmidta we Lwowie, albo do księg. Spółki wydawniczej w Krakowie. *Jaromir.* „Dziesiąty pawilon“ nie jest utworem Asnyka; na razie nie zdołaliśmy odszukać, czy, gdzie i kiedy wyszedł, toteż prosimy o cierpliwość. Garczyńskiego „Wacława dzieje“ w wyd. jego „Poezyi“ (Bibl. pisarzy polskich Brockhausa t. I. Lipsk 1863) Zadanie konikowe zachowaliśmy na przyszłość; słowa nieodpowiednie. Za obietnicę dzięki. *W M. Krak.* Cieszy nas zadowolenie z pow. „Chemii“. *Sfinks* „Pożary i zgliszcza“ Zmogasa t. j. Maryi Rodziewiczównej) wyszły w 2 t. we Lwowie 1888. (wydanie Dziennika polskiego, cena 3·20 k.) O Wallace'ie, twórcy Ben-Hura, możemy na razie donieść tylko tyle, że nazwisko to czyta się: Uolles; poszukamy jednak dalszych szczegółów. „Krewni“ Korzeniowskiego mają wyjść w wyd. Bibl. powszechnej. Dotychczas nie wyszli tam.

E. St. T. Przepraszamy, że nie daliśmy dotychczas odpowiedzi na żądane pytanie; i teraz jeszcze nie damy, dopiero w nrze 24. — zwróciliśmy się bowiem w tej sprawie do zawodowca i czekamy wyjaśnienia. Czem właściwie był materyał, który Rzymianie zwali *murrha* (wzgl. *myrrha*), a z którego wyrabiano w starożytności kosztowne, ale bardzo kruche naczynia (*vasa murrhina*), dotychczas nie wiemy na pewne. Myślano o porcelanie, najrozmaitszych glinkach i minerałach, a wynik *non liquet*. *St. St. L.* Ze smutkiem zauważyliśmy, żeśmy przeoczyli pytanie z 17. paźdź. jeszcze. Poprawiamy błąd ten i odpowiadamy: *Jury*, wyraz ang. (wymawia się *dżiuri* z przyciskiem na *u*, a nie jak mylnie mówią z francuska: *żyri*, albo z polska: *jury*), przejęty za pośrednictwem języków franc. (*jurée*) z łaciny, gdzie *iurare* znaczy przysięgać. Wyraz franc. oznacza właśc. sąd przysięgłych, później znawców i w tem drugiem znaczeniu przyjął się w ang. i w całym świecie. Zamiast niego powinno się mówić: sąd znawców. *Szreniawa.* Zajęcia osobiste nie pozwoliły „Kropce“ pogadać z młodymi przyjaciółmi; obiecał poprawić się w grudniu — niestety, jak widać z nru niniejszego, — nie mógł dotrzymać przyrzeczenia. Książkę żądaną wymieniliśmy w odezwie do wszystkich czytelników (do nabycia w Księgarni polskiej we Lwowie, cena 1·50 *k*). Daliśmy jako dod. bezpł. obecnie broszurę Leroy-Beaulieu'go; w kwart. IV. nie możemy dać nic innego. Adres administracyi wydawnictw Macierzy Polskiej: Lwów, gmach sejmowy. *A. W. Wi.* Cena 4·50 *k* dotyczye gz. nieoprawnych, ale administracya posiada też parę oprawnych po cenie 5 *k*. *S. Zar.* Podobiznę J. Szczepanika, o którą się sz. korespondent upominał, podajemy w nrze niniejszym; szczegóły o wynalazcy tym, o którym mówi się u nas dziś tyle i słusznie, podamy później, ponieważ artykuł zamówiony nie nadszedł.

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 23. *Adam Piwowarski*, Wspomnienia ucznia wszechnicy warszawskiej z r. 1830. (Dok.) — ***, Listy z podróży na Wschód daleki (z ż. ryć. C. d.). — *E. Bobrów*, Rozmaite typy światopoglądu etycznego (Dok.) *wg.* Noc zimowa(wiersz). — *S. T.*, Mark-Twain. — Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego (C. d.). — *Alojzy Winiarz*, O sejmach w Polsce (Dok.). — Zagadnienia naukowe, Skrzynka pocztowa Redakcyi. Rycina: Jan Szczepanik

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pl. Bernardyński 7.

We Lwowie 16. grudnia 1900.



Rok II.

Nr. 24.

Pismo dla starszej młodzieży szkolnej.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca. Przedpłata z przesyłką pocztową: roczna 5 kor., półroczna 2 kor. 50 halerzy, ćwierćroczna 1 kor. 50 h., numer pojedyńczy kosztuje 30 h. Korona = 1 mrk., 1 fr. 25 ct., 50 kop.

Walka to ruch, a ruch jest głównym warunkiem bytu i postępu.

Z. Kaczkowski.

Do Betleem.

(Z pieśni ludowej).

Hej! na polu, na judejskiem
Zebrały się Mazury —
Bo złocista,
Promienista
Wyszła gwiazda zza chmury —
A na ziemi gwar i wrzawa:
Urodziła Panna prawa
Synaczka małego.

Zstąpił z niebios Bóg-Duch Święty,
Olśnił blaskiem Dziewicę —
O tym cudzie
Wiedzą ludzie
I ziem wszystkich granice;
Wieść poniosły lasy, kwiaty
Od Betleem za Karpaty,
Nad fale wiślane.

Chwycił pierwszy Stach-koniucha
Ową dobrą nowinę —
Wpadł do sioła:
„Pódźwa", woła,
„Ujrzeć świętą Dziecinę!"
Porobili wnet supełki
I pognali wzdłuż Wisełki
Do Betleem prosto.

Kędy jeno okiem zajrzy,
Tłumy płyną falami —
Moc narodu,
A od Wschodu
Idą króle z darami:
Niosą złoto, szkarłat, mirę.
Dzwonią skrzypki, słychać lirę
I pieśni bez liku!

Szum — gwar — hałas, nawet śpiewa
Cyganisko przybłęda...
Wtem Mazury
Hukną z góry:

„Hej kolęda! kolęda!“
Aż Jezusek podniósł brewki,
Wżdy nie słyszał takiej śpiewki,
Mazurów nie widział!

„A skąd, chłopcy?“ — „Z pod Warsęgi
Przyszlim tutaj z darami.
Nasze wioski,
Synu Boski,
Nawiedź Swemi stopami!
Złotem zbożem łan zakwitnie,
Spotężnieją kłosy żytnie,
Ziemia się odrodzi!

A pilnować będziem Ciebie
Jako światła źrenicy —
Na pieluchy
Same puchy
Ułożymy w świetlicy —
Zdrzemniesz nocką, czy w południe,
Będziem Tobie śpiewać cudnie,
Piosnką ululamy!“

Płynie, dzwoni pieśń gorąco,
Że aż ściany się trzęsą —
Aż niebieski
Syn królewski
Uczuł rosę pod rzęsą.
Siadł na sianku w swej izdebce,
Do Mateńki coś tam szepce,
Józefa się radzi.

„Wracaj, Kubo — Bartku — Stachu,
Na równiny piaszczyste!
Wasze dary
Są bez miary,
Wasze serca złociste!
Przyjdę do was, będę z wami,
Byście mymi szli śladami,
A szli krok za krokiem.

Co mi Ojciec da Niebieski,
Ja wam oddam w podzięce:
Miłość Maryi,
Krzyż Kalwaryi,
Okrwawione me ręce —
Berło moje, wieniec z głowy
I trzydniowy sen grobowy
I nad śmiercią tryumf!

Niech pamięta świat — i ludzie
Pamiętają me słowa:
Że śród cierni
Idą wierni,
Że grób życia nie chowa...
Bezlitosny głos anioła
Na mój straszny sąd zawoła
Chrystusa zaprzańców!“

I umilkło Dziecię Boże..
Krwawy obrzask padł z chmury.
Na kochany
Brzeg wiślany
Powróciły Mazury;
Chrystusowe niosą dary,
Chrystusowej pełni wiary,
Cisży Chrystusowej.

Kazimierz Gliński.



LISTY
z podróży na Wschód daleki.

(Dokończenie).

Charakterystycznem dla Jancekianu są skały wapienne stożkowate, pokryte krzami karłowatymi. Szczyt skały zdobi zazwyczaj wysoka wieża chińskiej pagody i budynki klasztorne mnichów buddhajskich. Koło pięknej skały takiej przepływałem 24. kwietnia. Nazywa się po angielsku *Little Orphan*, t. zn. Mały sierota, a po chińsku *Siankuszan*.

Następnego dnia przepłynęliśmy przez żelazną bramę, po chińsku *pwanpinszan*. W tem miejscu rzeka zwęża się i płynie wśród wysokich skał, romantycznie poszarpanych, miejscami jednak pokrytych bujną zielonością. Na ścianach skalnych widnieją wyryte napisy chińskie, które się odnoszą do słynnego powstania Tajpinów.

O godzinie $^3/_4$5. popołudniu zarzuciliśmy 25. kwietnia kotwicę pod Hankou i stanęli u celu podróży na rzece Jancem u ujścia rzeki Hanu leżą naprzeciw siebie dwa ogromne miasta chińskie: Hankou na lewym i Wuczan na prawym brzegu. Wokoło roztaczają się uprawne pola, na których sieją, a raczej sadzą zboże, ryż, trzcinę cukrową, herbatę i bawełnę.

Hankou jest jednym z największych portów herbacianych, toteż panuje tu ogromny ruch w czasie zbiorów.

Podczas naszego pobytu w Hankou odbywały się właśnie ćwiczenia armii chińskiej, ściągniętej z prowincyi okolicznych. Oficerowie niemieccy pełnili funkcye instruktorów; zaprosili więc nas po znajomości, którąśmy zawarli z nimi, pewnego dnia na ćwiczenia.

Oczom naszym przedstawił się obraz, bardzo zajmujący. Na równinie u stóp pagórka ze wspaniałą pagodą na szczycie, pokrytym mogiłami starego cmentarzyska, stały naprzeciw siebie w ogniu dwie armie w sile 10.200 ludzi. Podziwiałem zręczność i sprawność żoł-

nierza, szczególnie pułku, wyćwiczonego przez oficerów niemieckich. Piechota była uzbrojoną w doskonałe karabiny mauzerowskie. Także artylerya sprawiała się bardzo dobrze. Każdą armatę ciągnęło sześciu kuliów, co dla Europejczyka przedstawiało widok niezwykły. Konnica wydała mi się lichą i źle uzbrojoną. Walka skończyła się klęską Japonii, gdyż armię przeciwną prowadził instruktor japoński.

Podczas tych manewrów poznałem księcia Su, który był przed kilku laty porucznikiem piechoty austryackiej w Gradcu, a teraz jest adjutantem komenderującego jenerała.

Następnego dnia byłem na balu w klubie angielskim i bawiłem się znakomicie, jakkolwiek nie tańczyłem wiele z powodu niemądrych reguł balowych angielskich, według których powinno się damę nawet do walca lub polki naprzód zapraszać i tańczyć z nią cały taniec lub przynajmniej usiąść przy niej i bawić ją; to jednak miało przynajmniej tę korzyść, że mogłem się zaprawiać w angielszczyźnie.

Poznałem tu także bardzo miłego człowieka, p. Mundusa, plenipotenta firmy Melchersa i Sp. w Bremie, który mię zaprosił na polowanie na dubelty.

Powróciwszy po godzinie trzeciej nad ranem z balu, przysposobiłem setkę ładunków i o ósmej stawiłem się punktualnie na miejscu umówionem. Tam oczekiwali mnie p. Mundus, młody lekarz Dr. Thomson i p. de Luca, Neapolitańczyk, naczelnik urzędu celnego chińskiego. Po przedstawieniu usiedliśmy do *house-boat'U* i po godzinie żeglugi w dół rzeki przybyliśmy na miejsce przeznaczenia. Teren zastałem znakomity.

Przed nami roztaczała się ogromna równina aluwialna, pokryta uprawnem polem i łąkami, tu i ówdzie zaś przerznięta staremi odnogami rzeki.

Każdemu z nas towarzyszył kuli, który nosił amunicyę i przynosił zwierzynę ubitą. Do godziny trzeciej popołudniu padły 84 dubelty, z tego 11 z mojej ręki. Gdybym był strzelał lepiej, byłbym ubił z pewnością co najmniej dwa razy tyle. Trudno uwierzyć, jaką ilość błotnego ptactwa spotyka się tutaj. Winienem dodać, że polowaliśmy bez psa, nie maczając nóg, bo dubelty siadywały wszędzie, nawet po zbożach i po łąkach, zupełnie suchych. Okolica Hankou w ogólności obfituje w zwierzynę. Wywożą stąd oprócz wspomnianych już skór bażancich także wielkie ilości kosztownych piór czaplich.

P. Mundus opowiadał mi, że jeżeli się ma kilka dni do zbycia i urządzi dłuższą wycieczkę, można dowoli nastrzelać się do jeleni, kozłów i dzików. W okolicy znajduje się rewir, las dziewiczy, do którego żaden Chińczyk nie odważy się wstąpić; króluje tam tygrys i żbik.

Opowiadano mi tu również o niezwykłym sposobie polowania na tygrysy, praktykowanym w okolicy Amoju. Skoro wytropią tygrysa, myśliwy wchodzi na czworakach do jamy, trzymając w ręce gwintówkę, gotową do strzału. Za nim suną się dwaj kuliowie z zapalonemi pochodniami. Tygrys przerażony blaskiem pochodni, cofa się w najdalszy kąt nory. W ciemności świecą tylko ślepie zwierza. Między te dwa świecące punkty trzeba strzelić i — trafić. Po chybionym strzale myśliwy jest zgubiony. Pewien Anglik rzekomo w ten sposób zastrzelił 20 tygrysów.

Pożegnawszy się z miłymi towarzyszami myśliwskiej wycieczki, popłynąłem dnia następnego w drogę powrotną. Około dziesiątej godziny rano zatrzymaliśmy się w Szuwinjanie i odbyliśmy pouczającą wycieczkę koleją do Tichszanu, gdzie zwiedziłem nadzwyczaj ciekawe kopalnie żelaza, należące do wicekróla prowincyi nankińskiej. Miny te leżą w górach, złożonych z wapienia, porfirów, granitu i rudy żelaznej. Żelazo leży tuż pod powierzchnią, a ruda zawiera 64% kruszcu czystego. Oprowadzał nas inżynier, zarządzający kopalnią, p. Phillip, który nas następnie podejmował nader gościnnie w swym domu.

Chiny kryją w głębi swej ziemi nieoszacowane skarby mineralne. Różne przedsiębiorstwa europejskie nabyły tu tereny celem eksploatacyi, a dla jej ułatwienia budują sieci kolei żelaznych.

Belgijskie towarzystwo buduje kolej z Tiencynu do Hankou, a amerykańskie z Hankou do Kantonu. Z tego pnia będą się rozchodzić odnogi do poszczególnych kopalni i do miejsc handlowych. Oprócz tego budują Niemcy kolej z Kiauczau w głąb Chin.

Kto może odgadnąć, jak za kilkanaście lat Chiny będą wyglądać?

Dalszym przestankiem w drodze powrotnej było Kinkiau. Jest to również jeden z por-

tów traktowych i słynie wyrobami porcelanowymi. Nad brzegiem rzeki, ujętej w tem miejscu kamiennemi groblami, wznosi się malowniczo położona osada europejska wśród zieleni cienistych drzew, na tle wysokich gór, które sinieją w oddali. Kościół i klasztor misyonarzy króluje tuż nad rzeką, budki różnych



„Z gwiazdą betleemską".

domów handlowych stoją na kotwicy u brzegu. Miasto chińskie, otoczone murem, brudne i cuchnące, kubek w kubek podobne do innych gniazd chińskich.

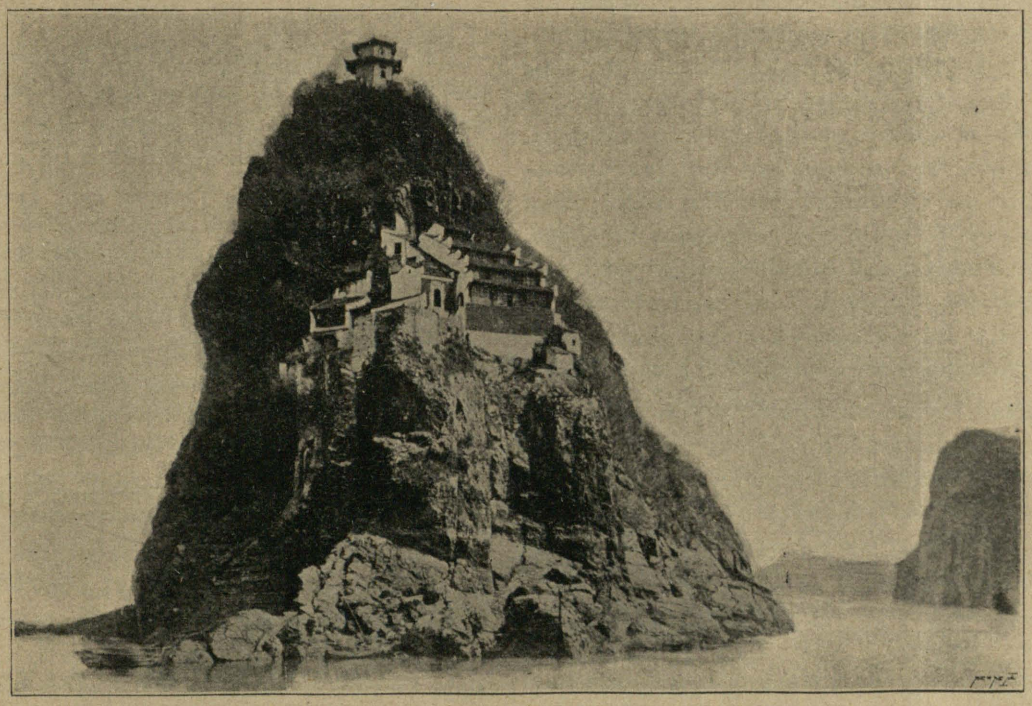
Zwiedziłem kilka sklepów z porcelaną. Było wiele ślicznych okazów; jednakowoż wybrałem tylko dwie duże wazy nowszego wyrobu i dwie stare popękane z białej porcelany ozdobione czarnym smokiem w płaskorzeźbie, tudzież serwis do herbaty z czerwonej porcelany ze złoconym wzorcem. Serwis kupiłem dla jego oryginalności, jakkolwiek sama porcelana nieszczególna. W ogólności teraz trudno w Chinach o dobrą porcelanę. Pod tym względem niebezpieczną współzawodniczką Chin jest Japonia, gdzie wyrabiają staranniej takie przedmioty o bardzo pięknym rysunku.

W Nankinie zatrzymaliśmy się bardzo krótko. Zaledwie znalazłem czas do zwiedzenia w towarzystwie kilku znajomych Europejczyków grobów dynastyi Minów. Wycie-

czkę odbyliśmy konno i z podziwieniem przypatrywaliśmy się uwagi godnym zabytkom dawnej świetności miasta. Dnia następnego podnieśliśmy o godzinie czwartej rano kotwicę i z szybkością 18 węzłów na godzinę podążyli do Szangaju. Uzupełniwszy zapasy węgla, odpływamy dnia 12. maja do Japonii i opuszczamy na kilka miesięcy Chiny.

* * *





„Mały Sierota“ na Jancekianie (p. str. 274).

Obrazki miejskie Wiktora Gomulickiego.

(Dokończenie.)

Obrazków takich, malujących sceny życia miejskiego, znajdziemy u Gomulickiego wiele, a w tonie ich i sposobie ujęcia przedmiotu panuje wielka rozmaitość. Ogółem jednak wziąwszy więcej tu materyału do smętnych rozmyślań, niż do wesołego, swobodnego śmiechu, bo poeta widzi w tem zbiorowisku ludzi, otoczonem kopcącymi kominami, więcej plam i cieni, niż światła. Stąd nawet w humorystycznych obrazkach spostrzegamy jakiś cień żalu, że ci ludzie są tak śmiesznymi, czy to w uczynkach, czy w sposobie myślenia, i mimowoli czujemy, że poeta wolałby może nawet pisać panegiryk, choćby w części uzasadniony, niż te satyry, płynące mu nie ze śledziony, ale z serca, głęboko czującego.

Tak naprzykład w sonecie „Odpoczywa“ mamy obraz człowieka, który „rwąc wszystkie serdeczne ogniwa, depcąc miłość, młodość i zabawę, zebrał milion“. Teraz ma wszystko, czego pragnął, wszystko, co tylko może dać bogactwo, — a przecież widzi, że to bardzo mało, bo w wycieńczonem, schorowanem ciele czuje zarodki zbliżającej się śmierci.

Cóż więc zyskał za serca martwotę,
Za dni, w mroku pędzone i ciszy?
Do wygodnej trumny wieko złote!

Gdzieindziej znowu („Na huśtawce“) widzimy w ogródku przedmiejskim pomocnicę sklepową, wzlatującą na huśtawce „nad drzew szczyty“ wśród śmiechu towarzyszek i skrzypienia sznurów.

Jutro wróci maszynkowym ruchem
W świat kupiecki, wrażeń niełakomy,
Z łokciem w ręku, stalówką za uchem;
Lecz wertując ksiąg handlowych tomy,
Będzie mogła z dumnym wyrzec duchem:
„Wzlatywałam i ja — nad poziony!“

A jednak możnaby przysiądz, że poeta nie wypowiedział tu wszystkiego, co myślał o tym obrazku, że gdyby nie względy artystyczne, byłby dodał uwagę dla czytelników, mniej domyślnych i mniej silnie czujących: „Tak, ten śmieszny wzlot na huśtawce — to jedyna jaśniejsza i swobodniejsza chwila w życiu tysiąca takich istot o *maszynkowym ruchu*. Ale czy to nie smutne? czy nie powinno być inaczej? czy podniosłe wrażenia powinny być na zawsze niedostępnemi dla tych męczenników ciężkiego obowiązku? Pomyślcie nad tem, a może śmiech zamrze wam na ustach!“

Gdyby ton poematu, ten nastrój, w jaki pewien utwór wprowadza nas po przeczytaniu, można było rozbierać tak, jak się rozbiera zdania i wyrazy, nietrudno byłoby wykazać słuszność powyższej uwagi — ale niestety, taka analiza jest niemożliwą do przeprowadzenia, bo tu wchodzi w grę nie rozum, lecz serce, a przynajmniej nietyle rozum, ile serce, a że nie mamy jeszcze żadnej logiki sercowej, więc łaskawy czytelnik musi mi uwierzyć na słowo, albo też dośpiewać sobie w duszy te piosnki Gomulickiego, jak chce i umie.

Oprócz tych niedomówionych wierszyków, tych „dokumentów życiowych“, jakby je nazwali naturaliści literaccy — ale dokumentów, zbieranych częściej sercem, niż oczyma, — mamy w poezyach Gomulickiego grupę drugą, w której zarówno zapatrywania, jak i uczucia poety występują jasno i wyraźnie, bez osłonek i domyślników. I znowu nie przejdziemy tych utworów wszystkich, lecz weźmiemy pod uwagę tylko najbardziej charakterystyczne.

„Głodnego nakarmić“ — to jeden z dłuższych utworów poety, który zwykle bywa w swych wynurzeniach zwięzłym, a jednak pomimo większej objętości jest w tym wierszu stosunkowo bardzo mało treści i akcyi. Jesteśmy we wspaniałym parku królewskim, wśród posągów, wodotrysków, sztucznych grot, klombów kwiatów wyszukanych i roślin egzotycznych — i wnosimy z tych wrażeń, że życie mieszkańców tego cudownego pałacu jest z pewnością

> .... próżne i walk i boleści,
> Rozkoszną drzemką wśród wachlarzów szumu,
> Bańką mydlaną, śliczną — choć bez treści!

I oto w takiem miejscu zjawia się grono „obdartych i głodnych najmitów“, którzy przychodzą tu odpocząć po wytężającej pracy i zjeść swój skromny posiłek południowy.

> Odzież ich w strzępach, lica jak z mogiłek...
> Siadają w cieniu z nieruchomą twarzą,
> A lipa na nich strząsa złoty pyłek.
>
> Pożądliwością oczy ich się żarzą
> Na widok rzodkwi i czarnego chleba,
> Po którym liszki prążkowane łażą.
>
> I najpierw wznoszą źrenice do nieba
> Ze łzą dziękczynną, co świadczy widomie,
> Że im z tych wyżyn niczego nie trzeba;
>
> Potem z bochenka rwą kąsy łakomie,
> A jak u źwierząt, podrażnionych głodem,
> Pod brwią im gęstą błyska dzikie płomię...

Po spożyciu tego posiłku składają znowu dłonie, okaleczone ciężką pracą, i za przewodnictwem najstarszego, siwego staruszka, modlą się znowu. I cóż jest treścią tej modlitwy?

> Za chleb dziękują i za pot swój krwawy,
> Za to, że życie nie wiąże ich niczem
> I że w grób mogą kłaść się bez obawy,
>
> Że na świat patrzą kamiennem obliczem,
> Że mrok bezgwiazdny dusze ich zalewa,
> Że radość widmem jest dla nich zwodniczem
>
> I że nie wiedzą, o czem słowik śpiewa,
> I że na piękno brak im czułych oczu
> I że dni gorszych każdy się spodziewa.

W takiej ironicznej modlitwie przedstawia poeta smutny los tych ludzi, los, do którego najwymowniejszem przeciwieństwem jest ów pałac królewski. Ale był pomiędzy nimi człowiek jeszcze biedniejszy, bo nie miał nawet „rzodkwi i czarnego chleba“, a nie musiało to być w jego życiu położenie wyjątkowe, skoro „głód mu w policzkach wyżłobił dwa doły“ i w całej postaci jego widać było ślady nędzy. Początkowo chciał nadrabiać miną, napił się wody ze wspaniałego wodotrysku i świstał — ale nagle głód przemógł, „twarz mu zastygła schmurzona“ i strasznym, jadowitym wzrokiem spojrzał na wspaniały pałac, na kwiaty i posągi, „a pod tym wzrokiem wszystko pociemniało“.

> Pałac czuć zdala trumną i pustkowiem,
> Przelękły łabędź po fali ucieka,
> A słońce bladym wydaje się nowiem...

I tak jedno spojrzenie głodnego człowieka zmieniło ziemię, zmąciło jej ciszę i przygniotło ją jakby wielkiem trumny, bo matka-przyroda zasmuciła się, że jej najdoskonalszym

tworom brak tego, co posiada nawet licha trawka, że chodzić muszą z oczyma błędnemi od strasznego głodu.

A przecie z głodu drzewo nie usycha,
Ani się skarżą nań powietrzne ptaki,
Ani wśród piasków zna go mrówka cicha.

Wszyscy od życia wzięli los jednaki,
A ziemia, pomnąc o każdem z swych dziatek,
Żywi lwy dumne i nędzne robaki.

W rzekach i borach jest karmi dostatek,
Owoc na drzewie połyska soczysty —
I miód się w plastrach bieli, jak opłatek;

Na polach szumi zboża płaszcz kłosisty,
A z rykiem trzody zespala się zgodnie
Plusk ryb, wrzask ptactwa, tłustych żółwiów [świsty...

Więc na człowieku tym spełniono zbrodnię,
Gdy go od uczty życia odepchnięto,
Prawo istnienia kradnąc mu niegodnie.

Ale wobec stanowiska, zajętego tu przez poetę, możnaby zapytać, czy wzgląd na kilku nędzarzy ma powstrzymać ludzkość w jej pochodzie cywilizacyjnym? czy dlatego, że są ludzie głodni, nikt nie powinien oddawać się sztuce? czy piękno należy skazać na zagładę dla próżnych żołądków? Nie, Gomulicki nie myśli o czemś podobnem i dlatego wyjaśnia bliżej, w jakim celu postawił nam przed oczy ów rażący kontrast — wspaniały pałac i głodnego nędzarza:

O! wznośmy pięknu wspaniałe ołtarze,
Marmur i złoto niech rzucają blaski,
Wino niech szumi w kryształowej czarze!

Skroń strójmy w róże, twarz w wesołe maski,
Myśl nasza słońcem niech będzie pojona,
A słuch zamknięty na niesforne wrzaski!

Wieżami tumów prujmy chmurom łona,
Niech posąg każdą przyozdabia niszę,
Rzeźb koronkowych niech błyszczy zasłona;

Niech nas pieśń wieszczów dopóty kołysze,
Aż każdy smutków daremnych zaniecha
I myśl pogrąży w olimpijską ciszę;

Wesołe tylko budząc w życiu echa,
Niechaj ofiary biorą od nas wszędzie:
Miłość i rozkosz, piękno i uciecha..

Lecz wprzód — niech głodnych pośród nas [nie będzie!

Myśli to tak jasne, że chyba nie potrzebują wyjaśnień, a tak piękne, że nie potrzeba dla nich szukać sztucznych podpórek w estetyce — szkoda tylko wielka, że po załatwieniu tej sprawy „chleba dla wszystkich“ w sercu i głowie naszej nie załatwi się jej jeszcze w rzeczywistości i że to piękne życzenie poety będzie, niestety, najprawdopodobniej na zawsze tylko „pobożnem życzeniem“ szlachetnych serc całej ludzkości!

Nie od rzeczy też może będzie zwrócić uwagę, że w tym jedynym wierszyku zachodzi blizkie pokrewieństwo celów i środków pomiędzy Gomulickim a Konopnicką. Pod tym jednym utworem nie raziłby nas podpis autorki „Wolnego najmity“, a dziwił tylko jej niezwykły spokój, brak przesadnych uniesień, podbijanie czytelnika nie szumnymi frazesami, ale siłą najczystszej logiki, jednem słowem przewaga piękna nad tendencyą. Ha! bo też to nie Konopnicka, ale Gomulicki!

Nie nadużyję może cierpliwości czytelnika, przedstawiając mu jeszcze jeden obrazek z życia miejskiego, bo obrazek to tak oryginalny i tak piękny, że w całej naszej nowszej poezyi niewiele jest podobnych. Napis jego: „*El mole rachmim*“... Słowa to hebrajskie, znaczą: „Boże, pełen miłosierdzia!“ a są początkiem pieśni za umarłych. Podczas obrzędu ślubnego, jeżeli jedno z narzeczonych jest sierotą, pieśń tę nuci *chazen*, t. j. kantor. Otóż pieśń tę słyszał poeta, patrząc na obrzęd ślubny z podwórka domu żydowskiego. Musiał się tam zakraść pokryjomu, bo „wiara, zamiast jednoczyć, dzieli i oddala“, więc zdala tylko przypatrywał się mnóstwu ludzi, zebranemu w małych pokoikach.

Żenił się Icek, warjar, z tandeciarki córką,
A goście i ciekawi zalegli podwórko.
I miejsce było szpetne i ludzie zwyczajni.
Kilka zbudzonych gęsi gęgało przy stajni,
Na poręczach galeryi pościel się wietrzyła,
Z kuchni woń ryb skwarzonych płynęła niemiła,
A w kącie dwie akacye marły na suchoty.
Niebo od gwiazd błyszczało, jak szabaśnik złoty;
Obłoków*) nie plamiła nawet chmurek wełna
I noc była królewskiej wspaniałości pełna.

Z tego podwórka mógł poeta przypatrywać się swobodnie wszystkiemu, co się działo wewnątrz niewielkiej izdebki. Poruszał się tam stłoczony tłum gości weselnych, równie pospolitych, jak tło tego obrazka: tandeciarzy, faktorów, przekupni i tragarzy, a pośród nich stał pan młody, Icek, pod starym, szkar-

*) Tak we wszystkich wydaniach od r. 1867. do 1900.; widoczny błąd drukarski zamiast „niebiosów“.

łatnym baldachimem, oblany światłem świeczek i dymem kadzielnic. Chustka zakrywała mu oblicze, a przed nim stał jakiś człowiek blady, z piętnem smutku w obliczu, i przy wtórze dwu chłopaków nucił pieśń weselną, ale dosyć smutną. Widok ten nie sprawiał zbyt silnego wrażenia.

Patrzyłem na ten obraz ciekawie, lecz zimno.
Icek, choć skryty chmurą świetlaną i dymną
I poważny na śmieciach, jako przed ołtarzem,
Był dla mnie tylko Ickiem, ubogim waciarzem.
I w innych nie widziałem nic poetycznego.
Zdawali mi się ludźmi zwykłymi, co strzegą
Z równą pilnością bród swych, jak wiary i mienia.
Próżno od blasku nowin i od świec płomienia
Śniade lica ich brały tajemnicze piętno:
Żaden nie nęcił twarzą natchnioną lub smętną.

Po chwili śpiew ucichł, a uroczystość przeniosła się do przyległej salki, gdzie siedziała zalana łzami oblubienica w otoczeniu niewiast. *Chazen* przystąpił do niej, wzniósł nad nią ramiona, przypomniał jej, że jest sierotą, że ojciec jej już dawno leży na cmentarzu pod ciężkim kamieniem i że w tej uroczystej chwili zabraknie jej jego błogosławieństwa. Przytomni wybuchnęli na to głośnym płaczem, a *chazen* zaczął wśród powszechnego lamentu śpiewać ową pieśń za umarłych, zaczynającą się od słów „*El mole rachmim*...“

Naprzód, choć łzami wezbrana,
Pieśń płynęła spokojnie, niosąc do stóp Pana
Ból serdeczny, rozwagi wstrzymywany siłą; —
Tak płacze syn dorosły nad ojca mogiłą,
Potem, przesiąkłszy smutkiem, który z grobów
Traciła po iskierce wiarę i nadzieję, [wieje,
Rosła w moc i, porwana zamętem boleści,
Topniała w łzach gorących i skardze niewieściej.
Już nie jednej mogiły, lecz grobów miliona
Stała się głośną płaczką i z bolu szalona
Biegła nad cmentarzami zawodzić staremi,
Nad kośćmi Izraela, co po całej ziemi
Rozsiane są, jak piasku bezpłodnego ziarna, —
I nad tem, że ta siejba będzie może marna,
I nad tem, że na grobach chwast wyrasta głuchy,
I nad tem, że skarlały słabe synów duchy
I że ta noc niewoli tak długa, tak długa!
Już jej nic nie więziło; rwała się, jak struga,
Kiedy po burzy w rzekę zmieni się spienioną.
Śpiewak miał iskry w oczach i drgające łono,
A czoło, które odkrył, w tył zsunąwszy czapkę,
Ciekło potem. — Śpiew wzruszył nawet starą
Którą paraliż trupem uczynił i skałą: [babkę,
Szkło jej źrenic, napoły martwych, zapotniało.
Wszyscy w izbie płakali, zdjęci wielkim żalem.
A kiedy chazen wspomniał świętą Jeruzalem,
Matkę, która, choć zdala białą twarzą świeci,
Od wieków już umarła dla swych pierwszych dzieci,
Gdy wspomniał bezlitosne losów okrucieństwo,
Nędzę, prześladowanie, tułactwo, męczeństwo
I szczęście, utracone na zawsze, na zawsze:
Boleść stała się żywszą, rany serca krwawsze,
Po izbie szał rozpaczy powiał tchnieniem dzikiem
I zawrzała ogromnym, beznadziejnym krzykiem.

Potężny śpiew wzruszył nietylko gości weselnych, ale i poetę, który słuchał zdala. Ci ludzie przed chwilą wydawali mu się zbiorowiskiem zwykłych, codziennych, a wcale niezajmujących postaci, — teraz, gdy zanosili głośną skargę do Boga, gdy wspomnienia dawnej wielkości i poczucie obecnej niewoli napiętnowały ich jakąś mieszaniną dumy i rozpaczy, wzrośli i wyszlachetnieli w jego oczach nad wszelki wyraz:

Nie widziałem już szpetnych plam na baldachimie,
Nie raził mnie strój Icka, ani Icka imię,
Znikła dla mnie powszedniość z tych brodatych [twarzy
I stałem się jak człowiek, co... na jawie marzy.

A kierunek wytknęła temu marzeniu pieśń chazena, wspomnienia dawnych, szczęśliwych czasów, które pozostawały w rażącej sprzeczności z obecnem położeniem tego narodu, ukochanego niegdyś przez Pana.

Podwórko... Nie! to była już kwietna dolina.
Kędyś u stóp Libanu, co się w niebo wspina
I lasem ciemnych cedrów szumi, jakby śpiewał,
Księżyc na tę dolinę zdroje srebra zlewał,
Niebo ją nakrywało kryształowym dzwonem,
Pustynia przewiewała tchnieniem rozpalonem,
A palmy ochładzały wachlarzami z liści.
Między ziemią i niebem niebyło zawiści;
Twarz Jehowy patrzyła z góry uśmiechnięta,
Błogosławiąc dolinę, ludzi i jagnięta;
Tłum wiernych szeptał modły i kłaniał się Panu,
W powietrzu pływał zapach nardu i szafranu.
Strumień jak wąż rozwijał srebrnołuskie sploty,
A gwiazdy tak błyszczały, jak szabaśnik złoty...

Obrazek to tak piękny, tak w każdym szczególe wykończony, że chyba nic niemożna mu zarzucić. A jednak spotkał się z zarzutem z powodu zakończenia, które, jak wiadomo, jest powtórzeniem wiersza z pierwszej części poemaciku. „Kiedy wszystko tak wyszlachetniało pod wpływem śpiewu, niepodobna, aby ten jeden szczegół pozostał niezmienionym“ — twierdził jeden z najpoważniejszych krytyków naszych. Tak, ale nie trzeba zapominać, że z tego właśnie powodu także to porównanie przestało być trywialnem — i ów „szabaśnik złoty“ nie był już dla poety przedmiotem lekceważenia, pogardy, bo i on

Mapa Wielkiego Księstwa Poznańskiego.



Dodatek do nru 17. i 18. „Przyjaciela młodzieży“ z r. 1900.

przeistoczył się w jego marzeniu tak, jak brudne podwórko zmieniło się w cudowną dolinę u stóp Libanu. Zarzut jest zatem niesłusznym, choć i bez odparcia go trzebaby przyznać, że „*El mole rachmim...*“ jest jednym z brylancików najnowszej poezyi naszej i to brylancikiem najczystszej wody.

Nie wyczerpaliśmy materyału bynajmniej, a jednak i z tej małej cząstki utworów, przytoczonych lub streszczonych, widać chyba dostatecznie, ile najrozmaitszych motywów poruszyć, jakie mnóstwo najróżnorodniejszych uczuć wysnuć umie Gomulicki z powszedniego, a na pozór tak mało poetycznego życia miejskiego. Nie znaczy to wcale, że zna dobrze tylko to życie lub że nikt inny przed nim nie opracował tego tematu poetycznie; owszem, ale u żadnego może z naszych poetów niema w tych opisach takiej rozmaitości i — powiedzmy śmiało — takiego mistrzowstwa, jak u Gomulickiego.

Kiedy przy pisaniu tych słów przeglądam po raz nie wiem już który te znane mi tak dobrze obrazki, doznaję wrażenia podobnego, jak na widok owych rojnych tłumów, których życie przedstawiają: gdy patrzysz na nie zdaleka, z zimną ciekawością, widzisz tylko barwne szaty, mniej lub więcej ładne kształty i widok ten zabawi cię może ale nie ogrzeje, nie wzruszy; jeżeli jednak twem spojrzeniem będzie kierowała nie ciekawość, lecz serdeczne współczucie, wówczas odsłoni się przed tobą widok nowy, — zapomnisz o rozmaitości szat i kształtów, a zajmiesz się tragedyą uczuć i myśli, która się rozgrywa w sercach wszystkich, małych czy wielkich, biednych czy bogatych. I Gomulicki wydaje się niekiedy zimnym, obojętnym — ale spojrzyj pilnie za tę zasłonę obojętnych na pozór rymów, a sercem odczujesz tam serce gorące, współczujące z każdem nieszczęściem, i umysł trzeźwy wprawdzie, ale bystry i wzniosły, który to potężne uczucie ujął w potężniejsze jeszcze karby, jest jego panem i kieruje niem według swej woli. Czasem pozwoli mu wybuchnąć silniej, czasem przytłumia je zupełnie — ale zawsze i rozum i serce są razem, w zupełnej zgodzie i harmonii. Toteż wiersze Gomulickiego mogą nietylko rozgrzać, ale i pouczyć — i taką piękną naukę daje on miastu. On na nie, jak ów „smutny myśliciel“ w jednym z jego obrazków („Zmrok“)

Patrzy z miłością. „Idziesz-że ty z Bogiem,
(Mówi on), grodzie swawolny, lecz dobry?
Czy umiesz bywać w jałmużnie rozrzutnym?
Czy jesteś sercem bogaty i chrobry?
Czy niesiesz radość i pociechę smutnym?
O! bo nie dosyć, żeś wymiótł ulice,
Rzeźb koronkami zahaftował mury,
Gazowych świateł zatlił błyskawice
I wieżom kazał zatrzymywać chmury...
Nie dość, że mawiasz w kościele pacierze,
A dziadom sypiesz grosze i srebrniki,
Że ciebie Chrystus malowany strzeże
I żeś powiesił na piersiach krzyżyki, —
Potrzeba jeszcze, byś w sercu miał Boga!“

Tadeusz Pini.

Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego

(Dokończenie).

IV. Okolice nad Obrą.

Rzeka Obra, lewy dopływ Warty, ma swe źródło w stawie pod wsią Obrą, na północ od Koźmina. Zrazu płynie w kierunku zachodnim aż do Krzywina doliną między pagórkami; odtąd zwraca się na północozachód i przerzyna równinę urodzajną, pokrytą tu i ówdzie lasami. Poniżej Kościana tworzy błota, a począwszy od Kębłowa rozlewa się kilkakrotnie w jeziora, wreszcie za Skwierzyną wpada do Warty. Błota nadoberskie, zamienione dziś po osuszeniu w ziemię uprawną, należą do najurodzajniejszych okolic w Poznańskiem.

Miasta w dorzeczu Obry:

Gostyń, m. powiat. z 3.400 mieszk., na południe od tej rzeki; kwitną tu płóciennictwo i garncarstwo, słynne są jarmarki tutejsze na bydło i owce. Pod miastem na Jasnej górze klasztor Filipinów. Na południe od Gostynia Krobia, niegdyś też m. powiat.

Krzywin (Kriewen) nad O.; mieszkańcy przeważnie rolnicy. Kościan (m. powiat., 4.700 mieszk.) jest przystankiem kolei poznańsko-wrocławskiej. Mieszkańcy Śmigla, miasteczka powiat. (3.800 mieszk.) na południowym krańcu błót nadoberskich, trudnią się tkactwem i rolnictwem; wiele tu także wiatraków. W okolicy Rostarzewa i Rakoniewic (na północ od owych błót) znajdują się winnice.

Okolica nad Prutem, który z prawego brzegu wlewa się do Obry, jest bardzo urodzajną. Jakoż najwięcej uprawiają tu buraki cukrowe; także chów koni, bydła i owiec jest znacznym. Pod Bukiem i Nowym Tomyślem (Neutomischel) widać rozległe chmielarnie, a Grodzisk słynie daleko i szeroko z wybornego piwa. Nad granicą brandenburską Obra tworzy tu kilka jezior, z których Zbąszyńskie jest największem. Na pagórkach pod Babimostem (Bomst), który leży na zachód od Obry i posiada stary zamek, udaje się chmiel i wino; podobnie pod Kargową (Kargel) pełno winnic i sadów, które ciągną się aż po Wolsztyn.

Zbąszyń (Beustchen), miast. rolnicze w miejscu, gdzie Obra wypływa z jeziora Zbąszyńskiego, jest węzłem 5 kolei żelaznych.

W Trzcielu (Tirschtiegel), nad Obrą i jeziorem również, trudnią się mieszkańcy sukiennictwem i wyrobami tabacznemi. Międzyrzecz (Meseritz), m. powiat. (5.200 mieszk.) nad Obrą, ma połączenie kolejowe ze Zbąszyniem, sąd ziemiański, gimnazyum i seminaryum nauczycielskie; sukiennictwo, maszynowe przędzalnie wełny i garbarstwo stanowią główne zajęcia Międzyrzeczan. Na południe stąd, tuż nad granicą brandenburską leży Paradyż z dawnym klasztorem pocysterskim, zamienionym dziś na seminaryum nauczycielskie.

V. Wzgórza nad granicą ślązką.

Okolice to po największej części pagórkowate. Pagórki te należą do pasma uralsko-karpackiego i mają nazwę grzbietu polskiego, który stanowi dział wód między dorzeczem Warty z Obrą i Odry. Najznaczniejszą rzeką tych stron jest Barycz. Wypływa z bagien na południe od Ostrowa, tworzy kilka stawów, poniżej Odolanowa wkracza do Ślązka, gdzie zwraca sie na zachód ku Odrze. Wielka tu rozmaitość widoków: piaski w większej części, choć nie brak gruntów urodzajnych, zwłaszcza w okolicy Wschowy, gdzie równie jak pod Lesznem i Rawiczem mnóstwo wiatraków rozsiadło się po wzgórzach, wreszcie góry pod Ostrowem i Ostrzeszowem czernieją borami sosnowymi, nieraz kilkumilowymi.

Mieszkańcy Niemcy, którzy tu się osiedlili, byli to wychodźcy; wojny i rabunki w ich ojczyźnie pchnęły ich w te strony, a książęta i szlachta polska ułatwili im osadnictwo przywilejami. Tak Rawicze założyli Rawicz (dziś 15.000 mieszk., m. pow., stacya kolei wrocł.), Bojanowscy Bojanowo, odbudowane po pożarze z r. 1857., Leszczyńscy Leszno (Lissa i. P.), słynne gniazdo Braci Czeskich i miejsce długoletniego pobytu głośnego reformatora szkolnictwa Jana Amosa Komeńskiego. W tych też okolicach koło Krotoszyna mają olbrzymie majątki książęta Thurn-Taxisowie, a pod Ostrowem Radziwiłłowie.

Z miast prócz wyliczonych już wymienić jeszcze wypada Wschowę (Fraustadt) z 7.406 mieszk.. gimnazyum realnem, załogą wojskową i przemysłem płócienniczym i sukienniczym, Koźmin (4.300 mieszk.) nad Orlą, prawym dopływem Baryczy, Odolanów nad Baryczą (Adelnau), miejsce jarmarków na trzodę chlewną i Kępno (6.000 mieszk.), bardzo ruchliwe miasto handlowe.

Z całej Polski.

(Zgon ks. Imierietyńskiego. Nauka języka polskiego w szkołach średnich Królestwa. — Wiece ludowe na Śląsku Górnym. — Nowi biskupi w Galicyi.)

Dnia 30. listopada r. b. o g. $7^1/_2$ wieczorem zmarł w Warszawie „główny naczelnik kraju“ (Królestwa Polskiego), książę Aleksander Imierietyński. Wielkorządca z ramienia cara najważniejszej części Polski w zaborze moskiewskim, zmarł niemal niespodziewanie wskutek wady serca, w 63. roku życia. Był z pochodzenia księciem kaukazkim, ale wychował się w szkole i obyczajach moskiewskich. Karyera w której doszedł do bardzo wysokiego stanowiska, była niemal wyłącznie wojskową. W r. 1877. brał udział w wojnie rosyjsko tureckiej na ważnem stanowisku naczelnika sztabu armii. Rządy w Królestwie Polskiem objął w d. 5. stycznia r. 1897. Poprzednikiem jego był znany w Europie dyplomata, hr. Szuwałów, którego rychło uznano niezdolnym do sprawowania tak ważnego urzędu. Mianowanie Imierietyńskiego obudziło w umysłach braci naszych w zaborze mowskiewskim liczne nadzieje. Spodziewano się, że nowy dostojnik położy kres bezprawiu biurokracyi rosyjskiej w Polsce, może nawet powstrzyma zapędy rusyfikacyjne rządu. Nadzieje zawiodły zupełnie tak, że dzień każdy rządów księcia leczył ze złudzeń tych, którzy żyli niemi, a były to złudzenia niejednokrotnie nader szkodliwe dla samo obrony społeczeństwa przed przemocą wroga. „Imierietyński — pisze jedno z pism warszawskich, nie mogąc wyrażać się jaśniej z powodu więzów, jakiemi

je cenzura krępuje — stał niewzruszenie na gruncie państwowości rosyjskiej i dążył do ściślejszego zespolenia życia ludności naszego kraju z życiem ogólnopaństwowem rosyjskiem". Stać niewzruszenie na gruncie państwowości rosyjskiej — to znaczy dążyć do zupełnego zgnębienia żywiołu polskiego i zastąpienia go w prowincyach polskich pod berłem cara ludnością rosyjską. Nieboszczyk dążył do tego wytrwale. Popierał, jak żaden z jego poprzedników, rozwój szkolnictwa rosyjskiego w Polsce, był twórcą pierwszego pisma dla ludu, wydawanego przez rząd p n „Oświata", drukowanego wprawdzie po polsku, ale w duchu rosyjskim, wreszcie wznosił system aresztowania i więzienia wszystkich, na których tylko padł cień podejrzenia, że pracują nad szerzeniem oświaty polskiej pomiędzy ludem. Za rządów księcia rozpoczął się tłumny napływ robotników rosyjskich do Królestwa polskiego, sprowadzanych po to, aby wytrącić zarobek tu ludności polskiej. Cóż wobec tych i mnóstwa innych „reform" wynsą ochłapy, które rzucał jedną dłonią lizunom-rządowcom w postaci kuchni ludowej, zabaw ludowych, teatru ludowego itp.? Pod pozorem filantropijnym krył się tu wąż — myśl zrusyfikowania tymi środkami warstw jak najszerszych. Nawet pomnik Mickiewicza i obchód Sienkiewiczowski — to tylko mydlenie oczu, bo dlaczegoż równocześnie w szkołach język tych mistrzów słowa jest tylko kopciuszkiem, a poza szkołą jego nauczenie należy karać więzieniem?!

W ciągu najbliższych miesięcy car pewnie zamianuje następcę ks. Imierietyńskiego. Kto nim zostanie, niewiadomo, bo nawet nazwisk kandydatów prasa nie wymienia dotychczas. Ktokolwiek nim będzie, trudno się spodziewać, aby poszedł drogami, odmiennemi od tych, któremi szedł zmarły; nie zanosi się bowiem na zmiany w gospodarce rosyjskiej w Polsce.

Pisma rosyjskie ogłosiły nowy plan nauki języka polskiego w szkołach średnich Królestwa. W planie tym rozszerzono nieznacznie zakres nauki, zwłaszcza dziejów piśmiennictwa, ale zatrzymano zasadę, że językiem wykładowym języka polskiego musi być język rosyjski i że celem nauki polszczyzny jest ułatwienie wszechstronnego zaznajomienia się z językiem rosyjskim. Curiosum pedagogiczne.

W Bytomiu na Śląsku Górnym (w zaborze pruskim) odbył się w połowie listopada b. r. wielki wiec ludowy polski, zwołany przez redakcyę pisma, noszącego napis „Katolik"; celem było zaprotestowanie przeciw bezprawiom rządu pruskiego. „Od pewnego czasu — mówił jeden z redaktorów, wyjaśniając cel wiecu, — zerwała się pośród ludności polskiej w Prusiech niebywała zawierucha. Na każdym kroku uważają nas za obywateli drugiej klasy, a przeważnie pełnimy nasze obowiązki zupełnie tak, jak Niemcy. Płacimy takie same podatki, służymy tak samo w wojsku, przelewaliśmy niejednokrotnie krew za sprawę niemiecką*). Nie szemraliśmy nigdy i nie szemramy więcej, aniżeli Niemcy; stosujemy się do urządzeń państwowych, słuchamy władzy. A gdzież jest równonprawnienie? gdzież jest swoboda, zagwarantowana nam przez konstytucyę? Tylko na papierze, ale nie w praktyce. Jak to n. p. ma się rzecz ze stowarzyszeniami? Niemcy bawią się w swoich stowarzyszeniach bez przeszkody, urządzają uroczystości na wielką skalę, stroją domy w wieńce i kwiaty, zawieszają girlandy. Nie zazdrościmy im tego, ale niech nam wolno będzie zabawić się choć bez tego szumu i demonstracyi. Tymczasem władze ograniczają nasze towarzystwa na każdym kroku i pod każdym względem, a gdy posłowie nasi zapytują w sejmie o przyczyny, to ministrowie nie umieją ich wyjaśnić.... Trudno dobrać słów odpowiednich, aby napiętnować butę i zarozumiałość, z jaką niektóre gazety niemieckie traktują naszą mowę. Sprawiedliwi Niemcy potępiają to nawet sami..." „Rodzice! — kończył mówca, — do was się zwracam, aby zaprotestować przeciw bezprawiu. Uczcie dzieci wasze nietylko czytania polskiego, ale stójcie zawsze w obronie pacierza polskiego!" Inny mówca wołał: „Niech domy nasze bedą twierdzą niezdobytą, a komendantem każdej niech będzie ojciec, głowa rodziny!"

Wiec polski w Bytoniu miał przeszło 2.000 uczestników, a w najbliższym czasie odbędzie się drugi o podobnym charakterze politycznym w stolicy Ślązka Górnego, Opolu.

Galicya miała do niedawna jedno arcybiskupstwo i dwa biskupstwa osierocone. O mianowaniu ks. Bilczewskiego arcybiskupem lwowskim jużeśmy pisali. Tu dodajemy, że ks. Bilczewski zapobiegł utworzeniu biskupstwa łacińskiego w Czerniowcach, które mogło się stać szkodliwą dla nas placówką niemiecką na kresach, jak nią jest — niestety, świeża jubilatka, wszechnica czerniowiecka, gdzie dla 40 Rusinów znalazła się katedra osobna zwyczajna języka i piśmiennictwa ruskiego, ale zabrakło funduszów na katedrę polską dla co najmniej tyluż Polaków! Biskupem przemyskim w miejsce ś. p. ks. Soleckiego mianowano dotychczasowego sufragana miejscowego, ks. J. S. Pelczara, dawniejszego profesora wszechnicy krakowskiej. Biskupem tarnowskim został ks. dr. Leon Wałęga, b. profesor teologii fundamentalnej na wszechnicy lwowskiej. *K. L. W.*

*) W wojnie prusko-francuzkiej. Prw. sienkiewiczowskiego „Bartka zwycięzcę"!



Zagadnienia naukowe.

Odpowiedzi na zagadnienia Nr. 151—5.

Nr 151. Przyczyną ostateczną powstania listopadowego było niezadowolenie z załatwienia sprawy polskiej na kongresie wiedeńskim (1815.), który uświęcił rozbiór Polski. Pozatem były pomniejsze, których liczba wciąż rosła, a z nich najważniejsze: dzikie rządy w. ks. Konstantego,

brata carskiego, w Królestwie, ciągłe gwałcenie przyznanej konstytucyi, zaprowadzenie cenzury (1820.) prześladowanie młodzieży i patryotów (1828.), wogóle wyraźna dążność do odjęcia Królestwu jakiegokolwiek cienia samorządu.

Nr. 152. Prócz filozofa Leibniza pochodzili ostatecznie z rodzin, niegdyś polskich: G. E. Lessing, znany poeta niem., powieściopisarz G. Freytag, myśliciel Fryderyk Nietzsche (świeżo zmarły, autor głośnego dzieła „Also sprach Zarathustra"), a nawet według dość utartego mniemania największy wróg polskości, Bismarck.

Nr. 153. Najznakomitsi humoryści polscy: M. Rej z Nagłowic, W. Potocki, K. Węgierski, J. Krasicki, A. Wilkoński, Placyd Jankowski (John of Dycalp), J. Wilczyński, Jan Lam, Klemens Junosza (Szaniawski) B. Prus (A. Głowacki), A. Urbański, Rodoć (M. Biernacki).

Nr. 154. Mark-Twain musi imponować nam hartem woli, poczuciem obowiązku, wytrwałością w pracy i pogodą umysłu, które nie pozwalają rozpaczać nawet w trudnych warunkach, lecz prowadzą do zwycięstwa.

Nr. 155. Ostatni sejm polski odbył się w Warszawie 1831. r.; na nim uchwalono usunięcie od tronu polskiego dynastyi Romanowów.

Trafne odpowiedzi nadesłali do 13. b. m

(wszystkie) Auditor; (51—4) Filos, Saulida; (51—3, 55) Bloch; (51, 53—5) E. Stamm, Pordes; (51, 55) Galvani, (51, 53) Jaromir; (51) Perykles.

Nagrody otrzymali (przez losowanie): E. Stamm (Feldmana „Stan ekonomiczny Galicyi") i Galvani (Sternschussa „Dom Matejki").

Wymiana kart z widokami.

(Spóźnione z braku miejsca).

Zawsze można łączyć przyjemne z pożytecznem, gdy się pragnie. Tak też nowoczesna zabawka modna wymiany kart, opatrzonych rysunkami i t. p., może zapoznać nas z krajem naszym, okolicami jego i przedmiotami, którebyśmy w zwykłych warunkach poznali nierychło — może i nigdy. Ażeby ułatwić czytelnikom naszym wymianę taką, już w nrze 4. b. r. otworzyliśmy dział, w którym podaliśmy szereg adresów zbieraczy kart z widokami, uzupełniając go odtąd od czasu do czasu. Obecnie wobec zmian, spowodowanych nowym rokiem szkolnym, widzimy się zmuszonymi do zreformowania tego działu. Oto adresy dawniejsze należy skreślić, natomiast podajemy niżej nowe tych, którzy pragną wstąpić w stosunki wymienne w zakresie kart z widokami. Warunkiem nieodzownym jest to, ażeby karta podawała jakikolwiek godny uwagi widok z okolicy, w której bawi wysyłający. Adresat zaś musi odwzajemnić się tak samo w przeciągu co najdalej kwartału; w przeciwnym bowiem razie na zażalenie tego, który nie otrzymał odpowiedź na kartę, wysłaną pod adresem wskazanym, będziemy musieli wykreślić go z listy naszej. W spisie tym używamy skróceń: u. = uczeń, k. = klasa, g. = gimnazyum, r. = szkoła realna, s. = seminaryum naucz. (m. względnie ż.), L. = Lwów, K. = Kraków. Dotychczas zgłosili się: 1. Alfred Cetnarski, u. VII. k. g. L., ul. Wałowa l. 29; 2. A. Kończakowski, u. III k. g. w Buczaczu; 3. Mieczysław Treter, u. VI. k. g., Bąkowice o. p. Chyrów 4. Bernard Pordes we Lwowie ul. Żółkiewska.

Od Redakcyi.

Trudności, z któremi wydawnictwo walczyło przez dwa lata bezskutecznie, zmuszają nas do zaprzestania jego. Numer niniejszy jest ostatnim nrem „Przyjaciela młodzieży".

Wszystkim, którzy popierali pismo nasze łaskawie, dziękujemy serdecznie, a zarazem prosimy o zachowanie życzliwości dla pisma, które od N. Roku zamierzamy wydawać p. n. *Polonia*. Numer okazowy nowego dwutygodnika prześlemy wszystkim dotychczasowym przedpłacicielom „Przyjaciela" — tam też znajdą odpowiedzi na zapytania postawione przez nich, a dotychczas niezałatwione.

OD ADMINISTRACYI.

Z nrem niniejszym ustaje zniżka ceny, którą ogłosiliśmy poprzednio na nry 1—18. b. r. Owszem z powodu, że nr. 1. jest zupełnie wyczerpanym, a niezbędnym do uzupełnienia egzemplarzy reszty nrów, których pewien zapas posiadamy, **upraszamy gorąco wszystkich naszych Czytelników i Przedpłacicieli, ażeby zechcieli rozpytać się między kolegami i znajomymi, którzy nr. 1. otrzymali jako okazowy, a nie zgłosili przedpłaty, czy nr. ten posiadają; jeżeli tak, to prosimy o zwrot nru tego natychmiast, koszt przesyłki zwrócimy. Tak samo wszystkich, którzy odbierają pismo nasze, ale nie zbierają całego rocznika, upraszamy o odstąpienie nam nru 1.**

Adres redakcyi i administracyi: Lwów, pl. Bernardyński l. 7. (Drukarnia).

Wydawca i redaktor odpowiedzialny:
Dr. Franciszek Krczek.

Treść nru 24. (ostatniego): *K. Gliński*, Do Betleem (wiersz z rys.). — ***, Listy z podróży na Wschód daleki (Dok. z rys.) — *T. Pini*, Obrazki miejskie W. Gomulickiego. (Dok.) — Opisanie Wielkiego Księstwa Poznańskiego. (Dok.) — *K. L. W.*, Z całej Polski. — Zagadnienia naukowe. — Wymiana kart z widokami. — Od Redakcyi. — Od Administracyi.

Z Drukarni Ludowej we Lwowie, pl. Bernardyński 7.

IV